

Philippe Jaenada



**PRZESTĘPCA
Z ZASADAMI**

BIOGRAFIA SUBIEKTYWNA

O książce

BRUNO SULAK

W latach 80. cała Francja z zapartym tchem śledziła jego brawurowe napady na sklepy jubilerskie i coraz bardziej zuchwałe ucieczki z więzienia.

Zwykli ludzie trzymali kciuki za tego sympatycznego, przystojnego chłopaka, który kpił sobie ze stróżów prawa i nigdy nie stosował przemocy.

Złodziej dżentelmen, który potrafił zawrócić w głowie nie tylko kobietom, ale również ścigającym go policjantom, sędziom, dyrektorom więzień i klawiszom.

Przestępca z klasą, który wiedział, co to jest francuska robota, chociaż miał polskie korzenie – jego dziadek pochodził z Krakowa.

Dezterter z Legii Cudzoziemskiej.

Wieczny uciekinier, zawsze płynący pod prąd.

„Przypomina Jamesa Deana, tyle że w jego oczach jest więcej smutku”, napisał o nim jeden z dziennikarzy.

„Wróg publiczny i supergwiazda!”, zatytułował artykuł inny.

„Wraz z nim odeszło z tego świata trochę prostoduszności”, przyznał sędzia, który go skazał.

„Nie znalazłem innego rozwiązania, by zdobyć pieniądze, jak tylko wziąć je z miejsc, gdzie są”, powiedział Sulak sam o sobie.

Postaci tak fascynującej nie wymyśliłby żaden pisarz, i Philippe Jeanada, francuski pisarz (ur. 1964 r.), w swojej ósmej powieści nie wymyślił Sulaka, lecz z niezwykłym poczuciem humoru, nie ukrywając sympatii do swojego bohatera, opowiedział historię jego szalonego życia.

A przy okazji opisał czasy, gdy gangsterzy mieli urok i klasę.

Philippe Jaenada

PRZESTĘPCA Z ZASADAMI

BIOGRAFIA SUBIEKTYWNA

Z francuskiego przełożył
OSKAR HEDEMANN



Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
SULAK

Copyright © Julliard, Paris 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.
2016

Polish translation copyright © Oskar Hedemann 2016

Cet ouvrage a bénéficié du soutien des Programmes d'aide à la publication de l'Institut français.

Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Institut français w ramach programów wsparcia wydawniczego.

Redakcja: Ewa Pawłowska

Zdjęcie na okładce: © AFP/EAST NEWS

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-309-0

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em

Dla Tali

Ostatnimi czasy sporo piszę.

Nie ma to jednak nic wspólnego z autobiografią.

Zresztą już na samą myśl o tym przechodzą mnie dreszcze.

Ktoś przecież zajmie się tym po mojej śmierci.

Bruno Sulak, 22 stycznia 1985

Prolog

To ile za tego psa w witrynie? Hau! Hau! Na gramofonie w restauracji Krief w Sidi Bu-l-Abbas siostrzenica szefa włącza ostatnią płytę Line Renaud o prędkości siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę, która pojawiła się w sklepach zaledwie dwa miesiące temu. Dziewczyna ma na sobie zwiewną czerwono-białą sukienkę. Młody legionista od tygodnia przychodzi tu każdego dnia i siada przy stoliku w głębi sali, nie spuszczać z dziewczyny wzroku, chociaż robi to dyskretnie. Ten przystojny blondyn o niebieskich oczach, bez prawej ręki, wreszcie po raz pierwszy odważył się do niej odezwać: poprosił, aby wybrała dla niego jakąś płytę, tę, na którą będzie miała ochotę. On nazywa się Stanislas Sulak, ma dwadzieścia dwa lata. Ona nazywa się Marcelle Amoyel i tak jak on ma dwadzieścia dwa lata. Zawierowała biało-czerwoną sukienką, lekko rozbawiona podeszła do płyt i trochę przypadkowo wybrała spośród nich okładkę z *Chien dans la vitrine*, wielki szlagier tamtych czasów. Stanislas powróci tu nazajutrz i poprosi ją o tę samą płytę, a potem dzień później znowu, i znowu, i codziennie, po południu, prosić ją będzie o tę samą płytę, którą dla niego włączy, chociaż żadne z nich, rzecz jasna, nawet nie przeczuwa, że pewnego dnia, a odległy to jeszcze dzień, mały piesek zmieni się w panterę. W panterę w witrynie. Ich syn nie zapyta nawet, ile ona kosztuje.

Pięćdziesiąt dziewięć lat później, w kąciku na pierwszym piętrze café de Flore, śliczna młoda brunetka rozmawiać będzie po angielsku z młodym, jasnowłosym Holendrem. Oboje zamówili to samo, napar z werbeny. Kiedy powoli miesza łyżeczką w wielkiej filiżance, jej spojrzenie gubi się gdzieś w pustce nad stołem, tak jak cukier rozpuszcza się w filiżance i jak piosenki Line Renaud rozplývają się w odległej przeszłości. To wnuczka Marcelle i Stanislasa, Amélie Sulak. Siedzę ze szklanką piwa półtora metra dalej, udając, że czytam gazetę, ale słucham, o czym mówią. Nie wszystko rozumiem. Wydaje mi się, że rozmawiają o jakichś fotografiach, o stromym wybrzeżu, o jakiejś wspinaczce, ona się uśmiecha. Umówiłem się z nimi, a przede wszystkim z nią na spotkanie, ale nie wiem już sam, co mi strzeliło do głowy, gdy ją rozpoznałem (widziałem jej zdjęcie w internecie), bo nie potrafiłem zdobyć się na odwagę, aby do nich podejść i odezwać się, zasiadłem więc mimowolnie przy sąsiednim stoliku, odpychany przez już sam nie wiem jaką siłę, która nie pozwalała mi im przeszkadzać. No a teraz, to jasne, jest już za późno, gdyż minęło co najmniej pół godziny: jeśli się do nich odwrócę i przedstawię, wezmą mnie za wariata.

Wysoki kelner w czerni i bieli podchodzi do mnie, zamawiam jeszcze jedno piwo, gdy prawie jednocześnie Amélie wyciąga do niego banknot dwadzieścia euro i paragon, zbierając się do wyjścia, a nas na dwie sekundy połączył ten wielki, chudy kelner. Kiwa głową w moją stronę, oddaje jej resztę, niedużo tego jest,

a potem oddala się zmęczonym, ale profesjonalnym krokiem i idzie schodami prowadzącymi na parter café de Flore, daleko od restauracji Krief w Sidi Bu-l-Abbas i tamtego gramofonu.

A tymczasem w ciągu pięćdziesięciu dziewięciu lat wielu ludzi się urodziło, wielu ludzi zmarło, było wielu ludzi bardziej lub mniej dobrze nastawionych do życia, bardziej lub mniej wrażliwych, na ziemi pojawiło się wielu ludzi, którym poszczęściło się bardziej lub mniej, a wśród nich był też Bruno Sulak.

===AGEKfw9mCWcIKF9/L0M2RSpJM0o+WzdZMB4+dzMTJBwpECETKw===

Bruno Sulak, przykładowy żołnierz Legii Cudzoziemskiej, magik i gangster w tenisowym stroju, człowiek, który ukradł panterę, Bruno Sulak, wieczny uciekinier, urodził się w Sidi Bu-l-Abbas w Algierii 6 listopada 1955 roku o godzinie 15.10. Jego ojciec, Stanislas, urodził się dwadzieścia pięć lat wcześniej w Foug, niedaleko Toul, na wschodzie Francji. Jego dziadek zaś urodził się w Krakowie na początku roku 1900.

Dziadek był w Polsce policjantem, a w soboty i niedziele grywał na skrzypcach. Jako chłopski syn całkiem nieźle sobie poradził: wyrwał się ze wsi i wspinał się coraz wyżej po szczeblach kariery, by cieszyć się uznaniem, jaki dają mundur i muzyka; potem spotkał Ukrainkę, która uciekła ze swoich rodzinnych stron, gdy na te tereny wkroczyła Armia Czerwona, i urodziła mu dwójkę dzieci, syna i córkę. Jednak po dwóch latach wojny z bolszewicką Rosją i sześciu miesiącach złudnej demokracji Polska kojarzyła się z rajem tylko najbardziej żarliwym patriotom: gdziekolwiek indziej żyłoby się zapewne lepiej. Nic zatem dziwnego, że na początku lat dwudziestych małżonkowie z dwójką brzdąców wyruszyli do Francji, zabierając z sobą zaledwie kilka walizek, które postawili wreszcie niedaleko Tours, bo tam akurat kogoś znali. W walizce nie było munduru, bo nie można przecież być polskim policjantem na własny rachunek. Zresztą nie dano im wyboru drogi życiowej: mogli zostać robotnikami rolnymi albo niczym. Zgoda. Robotnik rolny, tak było lepiej. Pracy nie brakowało, bo podczas I wojny światowej większość francuskich chłopów posłużyła za mięso armatnie, miejscowi nawet z zadowoleniem ich przyjęli, więc w sumie mieli sporo szczęścia. Pracowali od piątej rano do dziesiątej wieczorem (tak jakby Pana Boga złapali za nogi), a że byli emigrantami, to protestować mogli tylko po cichu, i to nocą. Przy takiej harówce skrzypce bardzo szybko stały się męczącym luksusem, a smyczek ważył z tonę. Mundur i muzyka pozostały zatem w szufladzie przyjemnych wspomnień obok pożółkłej fotografii rodziców, którzy zostali w ojczyźnie, złamanego wiecznego pióra i starych kluczy, które nie wiadomo już, co otwierały. Odtąd ich życie było uprawianiem ziemi, w błocie i z karkiem schylonym od świtu do zmierzchu, tak więc znowu znaleźli się w punkcie wyjścia. Przeszłość zawsze nas dogoni, zwłaszcza gdy staramy się przed nią uciec.

Jednak dumny dziadek Sulak mimo wszystko trochę się od tego odciął. Za radą jednego ze swoich ziomków wyruszył do pracy w zakładach odlewniczych w Pont-à-Mousson, między Toul a Metzem, a tam pozwolono mu wykonywać trudny, ale zarazem szlachetny zawód hutnika. Daleko było wprawdzie temu zajęciu do finezji gry na skrzypcach, ale też i do roboty na kartoflisku. Wytapiać surówkę oznaczało również stawić czoło czemuś silniejszemu od niego, i to mu się podobało. To znaczy do pewnego stopnia. Tak czy inaczej, stał się ekspertem od

potężnych spustów surówki, zrozumiał, że poświęci resztę życia wytapieniu żeliwa, znalazł więc niewielki dom w Foug, na skraju lasu, który dzisiaj stanowi część regionalnego parku przyrodniczego Lotaryngii, dom bardzo skromny i może niespecjalnie urokliwy, ale za to z ogródkiem, gdzie można było posadzić sałatę i warzywa (bo, cokolwiek by o tym mówić, ogródek zawsze się przyda). Sprowadził tam rodzinę, która miała rozrosnąć się wręcz spektakularnie: Ukrainki są bardzo płodne. Jego żona urodziła mu więc jedenaścioro dzieci, z których jedno zmarło zaraz po urodzeniu, a dwoje w wieku dorastania. Pozostałe w każdym razie wyrosły na krzepkich i dzielnych Polaków. Wśród nich była Marie, najstarsza siostra, która na zawsze miała pozostać dla braci mużą, światłem i madonną (zresztą później wyjdzie za mąż za Josepha), no i był również Stanislas.

Odkąd mógł utrzymać w ręku motykę, Stanislas, tak jak jego bracia i siostry, pomagał w ogródku warzywnym rodzicom (dla których „czas wolny” był pojęciem z gatunku science fiction). Nie podobało mu się to wcale bardziej niż jego ojcu, lecz cóż było robić. Pracowała cała rodzina. Żyli skromnie, ale każdego dnia jedli do syta, ojciec tylko na to pracował. Ich ubrania nie były ani zbyt dobrej jakości, ani modne, chociaż zawsze schludne i czyste, a matka pracowała wyłącznie po to właśnie. Była kobietą wielkiego serca i wielkiej odwagi, pierwsza wstawała rano, by przygotować śniadanie, a kiedy inni poszli już do roboty lub do szkoły, zabierała się do pracy w ogródku albo w domu, sprzątała, prała albo cerowała (z całą tą czeredą, można by rzec, właściwie sama prowadziła dyskretny jednoosobowy warsztat), kładła się wieczorem ostatnia, kiedy wszystko już posprzątała, aby następnego dnia mógł zacząć się niczym niesplamiony, dziewiczy. Któregoś dnia, kiedy Stanislas kopał w ogródku, odnosząc wrażenie, że nie posuwa się w ogóle do przodu, i mając już tego wszystkiego powyżej uszu, wyprostował się i odwrócił do ojca. A ten, pewnie całkiem odruchowo, ustawił go jak należy:

– Patrz przed siebie, patrz na to, co zostało do zrobienia, a nigdy nie oglądaj się za siebie.

To pozornie błahe zdanie wypowiedziane znużonym i być może nieświadomie tęsknym głosem w niedzielne wiosenne popołudnie w Lotaryngii tuż przed wybuchem II wojny światowej miało towarzyszyć Stanislasowi przez całe życie, ale przede wszystkim miało ono w magiczny sposób przetrwać do następnego pokolenia i pokierować życiem jego syna Bruna – słynnego bandyty, nieuchwytnego złodzieja, który uprawiać będzie swój ogródek na własny sposób, tak naprawdę nigdy nie mając wyboru i będąc zmuszonym zawsze patrzeć wyłącznie przed siebie.

Kiedy miał piętnaście lat, już po wojnie i po ukończeniu szkoły, która zupełnie nie wzbudzała w nim emocji (za mało się działo), Stanislas schował swoje szkolne świadectwo i porzucił dalszą edukację. W naturalny sposób zatrudnił się w tej samej co ojciec hucie, gdzie skierowano go do produkcji klocków

hamulcowych do lokomotyw. W ogóle mu się to nie podobało – nie tyle może nawet chodziło o same klocki do lokomotyw, bo właściwie nie miał nic przeciwko klockom do lokomotyw, ale nie znosił tego rodzaju wyczerpującej i monotonnej pracy, no i tej atmosfery, w której musiał spędzać całe dni: traktowano go jednocześnie jak dzieciaka i Polaka (a więc jak kogoś, kim naprawdę był, chociaż uważał się już za człowieka niemal dorosłego i Francuza – w domu mówiono tylko po francusku, żeby się dostosować do otoczenia), jego szef był ponurym typem, zawziętym i zarozumiałym kurduplem, pełnym pogardy i pogardzanym, który mścił się za swoją szarą egzystencję, na kim tylko mógł. I wreszcie, jakby tego było mało, Stanislas nie zarabiał prawie nic, gdyż ze względu na wiek był opłacany gorzej od innych. Z jednej strony już wtedy się nudził, a z drugiej coraz bardziej się irtował. (Trzydzieści lat później jego syn będzie odczuwać dokładnie to samo, pracując za barem w knajpie na dworcu Saint-Charles w Marsylii, ponieważ swym dzieciom przekazuje się coś więcej niż tylko grupę krwi i kształt uszu). Jego ojciec, dawny policjant pogodzony z losem, starał się go uspokoić i przywołać do porządku:

– Od czegoś trzeba zacząć, takie jest życie.

Tyle że Stanislas Sulak nie bardzo miał ochotę na takie właśnie życie, co to, to nie. Skoro jego ojciec był teraz całkiem spętany (musiał wyżywić chmarę dzieci, więc nie mogło to nie wpływać na jego decyzje), postanowił, że niejako zamiast niego pieprznie tym wszystkim z hukiem. (Owszem, pewnie, że gdyby się żyło trzysta lat, byłby wtedy czas na naukę, na zrozumienie swoich słabości i popełnionych błędów, na wyciągnięcie odpowiednich wniosków, na zmianę drogi życiowej, i dziadek pewnie by to zrobił, gdyby miał przed sobą jeszcze dwieście sześćdziesiąt lat, ale niestety nie żyje się aż tak długo. Dzieci, jeśli są sprytne, mogą stać się przedłużeniem swych rodziców, tyle że w innej, bardziej rozwiniętej i przemyślanej formie). Po roku niepotrzebnych wysiłków i upokorzeń odszedł wreszcie od maszyny i skierował swe kroki do małego biura szefa, nie wiedząc jeszcze za dobrze, czy idzie tam, by zaprotestować, czy żeby powiadomić go o swoim odejściu. Wchodząc do biura, nie zdjął z głowy beretu. Ponury mruk wreszcie raczył podnieść wzrok i powitał go ostro:

– Jak się staje przed moim biurkiem, to się beret ściąga z głowy!

– Ach tak? No to ja ci zaraz odstawię to biurko.

I całkiem spokojnie Stanislas złapał oburącz metalowe biurko i walnął nim z całej siły o ścianę, po czym rozległ się jesienny szelest spadających kartek i zaraz potem Stanislas bez słowa, z godnością wyszedł z biura, nie rzucając na odchodnym czerwonemu z wściekłości szefowi jałmużny w postaci stymulującego trzaśnięcia drzwiami, by ten kurdupel nie mógł sobie pomyśleć, że racja jest po jego stronie. Od tej chwili Sulakowie nie pozwolą sobą pomiatać, ale unosić się będą zawsze z elegancją. W głębi duszy jego syn Bruno go za to podziwiał.

Wysłuchawszy od ojca kilku stosownych i łagodnych wyrzutów, Stanislas zaczął się zastanawiać, co też będzie dalej robił. Wyruszenie gdzieś przed siebie pozostawało zawsze jednym z możliwych rozwiązań (tak właśnie pomyśleli sobie w Polsce jego rodzice), więc tuż przed siedemnastymi urodzinami udał się samotnie na południe, gdzie podobno miało być lepiej. Ale los dopadł go, zanim jeszcze wyruszył w drogę: ponieważ Polakom nie wolno było robić tego, co chcieli, i tam, gdzie chcieli, więc gdy opuszczał Lotaryngię, wydano mu kartę robotnika rolnego (przekleństwo) i kazano mu się z tego cieszyć. Kiedy dotarł do Salon-de-Provence, natychmiast zatrudnił się – bo cóż innego mu pozostawało – u miejscowego rolnika, który, jako że niespodzianki są raczej czymś rzadkim na tej ziemi, nie był szczególnie elastyczny, jeśli chodzi o godziny pracy, ani też nadmiernie hojny w kwestii wynagrodzenia. No i cóż? Ano jedziemy znowu z motyką! Oj, warto było jechać na drugi koniec Francji.

Pod pozorami wymuszonej uległości Stanislasa najbardziej ciągnęło do sportu, a w szczególności do boksu. Był szybki i dobrze zbudowany, ważył siedemdziesiąt sześć kilogramów, więc mógłby uchodzić za całkiem niezłego zawodnika wagi średniej. I właśnie dlatego, kiedy kilka miesięcy później usłyszał od kogoś o sali sportowej w Miramas, gdzie czekali na świeżą krew i pięści, natychmiast olał rolnika i udał się do sąsiedniego miasteczka, zabrawszy swoje oszczędności (dobrą stroną pracy, w której haruje się jak wół po piętnaście godzin dziennie, jest to, że nie ma ryzyka, iż przepuści się wszystko na rozrywkę), zapisał się na boks i zaczął szukać jakiegokolwiek pracy, byleby tylko nie było to znowu kopanie kartofli. Ale pierwszy pracodawca, który nie spuścił go po brzytwie (tutaj wszyscy chętnie obnosili się ze swoją pogardą, podczas gdy w takiej Lotaryngii, no, może z wyjątkiem tego złośliwego buldoga z odlewni, większość ludzi raczej okazywała zrozumienie), podpowiedział mu uprzejmie, żeby zaszedł do merostwa, bo jest pewien problem. A tam jakiś zadowolony z siebie urzędnik, który zresztą przypominał tamtego buldoga, tyle że z ohydny południowym akcentem (Stanislas marszczył nieświadomie czoło, starając się zrozumieć, co też on do niego mówi), pokazał mu, gdzie jego miejsce:

– Ma pan kartę robotnika rolnego, ma pan pracować w rolnictwie, więc wróci pan na wieś.

Stanislas Sulak poczuł wyraźnie, że jeszcze trochę i nie wytrzyma. Wyciągnął obie ręce w stronę śródziemnomorskiego władcy ludzkich losów i powiedział:

– A ja mam może wypisane na rękach, że jestem chłopem?

– Nie jest pan przecież Francuzem i mówi się panu wyraźnie, że ma pan pracować na roli, więc będzie pan uprawiał ziemię i jeszcze mi pan ładnie

podziękuje.

A niech idą do diabła, tak będzie najprościej. Tym razem Stan niczego w biurze nie zniszczył, tylko ze stoickim spokojem wyszedł (choć jeszcze tu wróci pewnego dnia, już mniej spokojny, i powie dwa słowa temu porządnemu obywatelowi w ubraniu z tergalu). Nie wrócił już na wieś. Wykorzystał oszczędności, żeby poświęcić sześć następnych miesięcy na uprawianie boksu, dobrze sobie radził, lubił to, nie pracował, spacerował sobie, w ogóle to wiódł piękne życie na ulicach Miramas – i nie wiedząc o tym, ten beztroski chłopak na pewno przechodził obok domu, w którym kiedyś, ponad trzydzieści lat później, będzie się ukrywał jego syn.

Tyle że pieniądze, jak zresztą wszystko inne, wcześniej czy później się kończą, a nawet znacznie szybciej. Bez grosza przy duszy i bez żadnej nadziei na pracę poza wiejską katorgą, brukwią i całą resztą, zrobił to, co zrobiłby w jego sytuacji każdy sportowiec amator będący emigrantem, którego nie pociągały ani rozbój, ani kariera żigolaka, ani żebractwo czy sutanna: zgłosił się w Marsylii do Legii Cudzoziemskiej. Ale i tam pech go nie opuścił, a w każdym razie nie od razu, bo nie przyjęli go zbyt ciepło. Gdy tylko się pojawił, od razu zaczęli go podejrzewać jako Polaka, że pewnie przysłali go komuniści, żeby narobił trochę zamętu. No cóż, zdecydowanie bycie Polakiem nie było zbyt praktyczne. Próbował wprawdzie im tłumaczyć, że nawet nie zna polskiego, ale to ich za bardzo nie interesowało. Okropny cham, który miał rozpatrzyć jego kandydaturę, w niczym nie przypominał, przynajmniej z wyglądu, tych dwóch ujadających kundli z odlewni i z merostwa. A co gorsza, nie wyrażał swoich myśli wyłącznie za pomocą słów – w biurze, gdzie odbywał się nabór. Wychodząc z założenia, że lepiej zapobiegać, niż leczyć, zaczął bić Stanisłasa, wyzywając go od parszywych komuchów i śląc naprawdę niecenzuralne teksty pod jego adresem. Stanislas nie mógł mu oczywiście oddać, bo nie był na przyjaznym mu terytorium, a legionieści to nie aniołki, zwłaszcza gdy się ich zdenerwuje. Ale miał też za sobą dzieciństwo spędzone na wschodzie Francji, no i tych sześć miesięcy boksu, więc przyjmował ciosy bez zmrużenia oka i czekał tylko, aż się to skończy: stał dwadzieścia centymetrów od ściany i nie dotknął jej głową ani razu. A to sprawiało, że napastnik był coraz bardziej rozjuszony i wściekły z bezsilności. Ciosy padały jak w Gravelotte, które jest położone całkiem blisko huty w Pont-à-Mousson (Stanislas czuł się więc prawie jak u siebie w domu, a ten głupi palant mógł sobie dalej w niego walić i walić).

Bicie wreszcie się skończyło z braku reakcji ofiary, poobijanego ciała, któremu w głowie kołatała się już tylko jedna myśl: „Ci goście są kompletnie porąbani”. Zrozumiał, że Legia Cudzoziemska nie jest dla niego. Zgłosił się do nich, nic złego nie zrobił, a oni masakrują mu twarz. Ci goście są nienormalni. Późnym popołudniem wypatrzył okno wychodzące na ulicę i pomyślał sobie, że

właśnie przez nie ucieknie najbliższej nocy, a najpóźniej następnego dnia. Jednak w nocy wyczuł (instynkt Polaka w niebezpieczeństwie), że nierozważnie byłoby szwendać się po tych ciemnych korytarzach, a nazajutrz rano, kiedy na apelu odpowiedział „obecny”, gdy wywołano jego nazwisko, wysłano go od razu do biura, gdzie czekały już na niego papiery do podpisania. Podpisał, nie mając odwagi rzucić się do ucieczki. Siedem razy złożył podpis na dole każdej z siedmiu stron. Potem pomyślał sobie: „Skoro podpisałem, muszę teraz to uszanować”. Tak więc zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej.

Nigdy nie wiemy, rzecz jasna, jakie będą konsekwencje naszych czynów, ale z perspektywy czasu możemy z całą pewnością stwierdzić, że tych siedem podpisów Stanisłasa, który wtedy pomyślał sobie po prostu, że wpakował się w niezłą kabałę, wytyczyło z góry w najdrobniejszych szczegółach krótki żywot Bruna Sulaka.

Zaledwie po dwóch miesiącach szkolenia Stanisłasa wysłano wraz z 13. DBLE¹ do Indochin, gdzie było ostro, i już po tygodniu, a tyle czasu potrzebował, żeby zrozumieć, co jest grane, sytuacja wyglądała bardzo nieszczególnie: nagle trzystu legionistów znalazło się w potrzasku, bo otoczyło ich dwa albo trzy tysiące żołnierzy Viet Minhu. Musieli na nich ruszyć z bagnetami i przebijać się przez ludzką masę (podczas tego ataku na Wietnamczyków Stan, pełen wigoru i świeży jak żrebak, wysunął się jakieś trzydzieści metrów przed pozostałych – a przecież kimś, kto wcale nie miał ochoty wstępować do legii, taki chrzest bojowy musiał nieźle wstrząsnąć) i chociaż zostawili na polu walki pięćdziesięciu zabitych, to udało im się w końcu przebić.

O dziwo, Stan całkiem dobrze się czuł w gronie tych szaleńców, w męskim, wypełnionym braterstwem świecie, gdzie własne życie nie za bardzo się liczyło (to dobrze robi na głowę i pozwala się odprężyć), w przeciwieństwie do życia innych: jeśli któryś z nich znalazł się w tarapatach, nikt się nie przejmował ryzykiem, nikt nie myślał o sobie, wszyscy natychmiast ruszali z pomocą. Stan nie obawiał się śmierci, a w każdym razie nie myślał o niej (w drugiej zwrotce marszu Legii Cudzoziemskiej, w słynnej pieśni o kaszance i o Belgach, strzelcach do dupy, można usłyszeć te słowa: *W naszych dalekich kampaniach / W gorączce i ogniu / Zapomnijmy wraz z naszymi troskami / Także o śmierci, która tak rzadko o nas zapomina*), i zawsze wchodził jako pierwszy do podziemnych kryjówek Viet Minhu, a kiedy kumple prosili, by uważał, i powtarzali mu, że w końcu straci tam życie, on im tylko odpowiadał: „Wiem przecież, że któregoś dnia zdechnę, jutro, może pojutrze, zobaczymy. Na życie dostaje się przepustkę, okaże się, na ile czasu mi ją wystawiono. Są przepustki krótkie i długie, to zależy od losu na loterii”. Jego przepustka była długoterminowa.

Nie miał też ochoty awansować w tej całej hierarchii, a status prostego legionisty całkowicie mu odpowiadał, było mu to obojętne, ale i tak legioniści go cenili, szanowali, gdyż były od niego siła, dobroć i pewność siebie, co robiło olbrzymie wrażenie na tych wszystkich, którzy się z nim stykali (jego syn, w głębi ducha bardzo nieśmiały, odziedziczył po nim tę niewytłumaczalną charyzmę), i czyniło z niego w sposób zupełnie naturalny – chociaż nie miał wcale jakiegoś szczególnego zamiłowania do władzy i rządzenia – przywódcę. Kapitan Cabeyron, dowódca kompanii, również darzył tego młodego człowieka autentyczną sympatią, lecz nie uważał przy tym za właściwe, aby jakiś zwykły szeregowiec dyrygował choćby częścią jego oddziału:

– Jeśli chcesz dowodzić, to w porządku, ale na razie dowodzić możesz tylko sforą psów. A jak ci się to nie podoba, pójdiesz do paki.

Zdyscyplinowany wtedy, gdy uznawał to za słuszne, przeszedł więc

przewidzianą regulaminem drogę, zostając najpierw kapralem, a potem starszym kapralem. Tak było bardziej logicznie.

Pewnego ranka, podczas akcji w jakimś buszu, którą kierował, zajmując jak zawsze najbardziej wysuniętą pozycję, wpadł do dołu z bambusami, w pułapkę, w jaką nikt na świecie nie miałby ochoty wpaść. Ale w sumie miał szczęście, bo zaostrome paliki przebiły mu tylko udo i pośladek. Musiało to być mniej przyjemne niż pocałunek tancerki, ale przecież mógł sobie równie dobrze przedziurawić brzuch albo gardło. (Miał więc sporego farta, bo była to zwykła, najbardziej prymitywna zapadnia. Tymczasem Wietnamczycy potrafili skonstruować znacznie bardziej wymyślne pułapki – Stanislas szanował Wietnamczyków, nawet ich lubił, uważał, że są odważni, sprytni, ale nie wredni – w których były strome ściany, całość wyglądała jak zjeżdżalnia, po której delikwent zsuwał się do fosy głębokiej na dwa metry i najeżonej zaostrozonymi palikami: nieszczęśnik wpadał więc do tego dołu obowiązkowo na plecy albo na brzuch). Jako dowódca jednostki musiał pokierować ludźmi i zorganizować akcję wyciągania z głębi dołu starszego kaprała. Nie można tego było zrobić w trzy minuty, bo nie ściąga się człowieka nadzianego na dwa bambusy jak oliwki z wykałaczki. Kiedy już znalazł się na powierzchni, co prawda w opłakanym stanie, zakrwawiony, lecz przytomny, zdał sobie sprawę, że po raz kolejny miał więcej szczęścia, niż podejrzewał: tuż obok znajdowała się bowiem druga zapadnia, niemal identyczna, tyle że były w niej dodatkowo ukryte dwa granaty. Naprawdę niewiele brakowało, by jego przepustka na ziemi skończyła się właśnie tutaj. Jednak jeszcze nie tym razem.

Kiedy rekonwalescencja dobiegła końca, podążył za oddziałem, znowu z powodzeniem, a gdy był w stanie już normalnie chodzić, wyruszył do walki.

W tym samym czasie w Foug ojciec Stanislasa rozchorował się po raz pierwszy w życiu, w którym przecież nie brakowało ciężkich chwil. Były policjant i skrzypek w jednej osobie musiał poddać się operacji usunięcia wrzodu żołądka; tak więc, nawet gdy próbujemy nie oglądać się wstecz, żal pozostaje i jak kwas draży ludzkie wnętrze. Dwa miesiące po operacji wrócił do szpitala, wciąż odczuwając silne bóle brzucha. Wkrótce potem lekarze wezwali jego żonę, piękną Ukrainkę, aby uprzedzić ją, że koniec jest już bliski, że mężowi nie pozostało więcej niż osiem dni życia i najbardziej ludzkim gestem będzie zabranie go do domu. Tam, w małym domku, który znalazł dwadzieścia dwa lata wcześniej, walczył nie przez osiem dni, lecz przez sześć długich miesięcy. Wytrzymał więc niczym kolos przez sześć miesięcy ze swymi wspomnieniami z Polski, swym ciałem wymęczonym pracą na roli, swoją siłą wytapiacza surówki i przez sześć miesięcy opierał się pierwszej w swym życiu chorobie, aby umrzeć wreszcie w wieku pięćdziesięciu jeden lat.

Na drugim krańcu świata, gdzieś bardzo daleko, Stanislas zamartwiał się

(myśląc o swoim „Tacie”), a jego ludzie wyruszyli z misją, aby zniszczyć zakład zbrojeniowy Viet Minhu, kiedy na prowadzącej do niego drodze, w wilgotnej i niepokojącej dżungli, natknęli się na gęste zarośla, które nagle wydały im się podejrzane. Wśród nich był pewien gość, dopiero co przybyły z Francji, który miał nad nimi objąć dowództwo, gdy już dotrą na miejsce. Ponieważ nie miał jeszcze wyczucia, nakazał legionistom wejść w te zarośla. Sierżant Stanislas odmówił wykonania rozkazu. Skoro ciągle jeszcze odpowiadał za oddział, postanowił jednak, że sam zanurzy się w te podejrzane krzaki. Piętnaście sekund później nastąpił wybuch miny.

Jego ludzie chcieli od razu rzucić mu się na ratunek, lecz on znalazł w sobie dość siły, żeby krzyknąć do nich, by się nie ruszali z miejsca. Podniósł się z trudem, co łatwo zrozumieć, i stwierdził, w jakim jest stanie: miał paskudną, głęboką ranę na prawym udzie, spaloną połowę twarzy, a prawe ramię zwisało bezwładnie, trzymając się ledwo, ledwo na ścięgnię albo czymś w tym rodzaju.

Kiedy wydostał się z zarośli, posuwając się rzecz jasna z olbrzymim trudem, prawie że martwy (ale i tym razem wyszedł z tego cało, bo Polacy są twardzi, zwłaszcza gdy wyciągną na loterii szczęśliwy los), pierwsze słowa, jakie wypowiedział do świeżo przybyłego z Francji głupka, brzmiały:

– No i co, chciałeś chłopaków władować w te chaszczce?

Jeden z legionistów wyciągnął broń i przyłożył lufę do głowy przyszłego dowódcy, który uszedł z życiem tylko dlatego, że w nadludzkiem wręcz odruchu Stanislas znalazł w sobie jeszcze dość siły, by w ostatniej chwili odsunąć broń. Uczynił to lewą ręką.

Ponieważ tylko on był ranny, więc wysoko postawieni mędracy z kwatery głównej uznali, że nie opłaca się wysyłać po niego helikoptera. Stanislas to rozumiał. Dlatego musieli iść pieszo przez ponad dwadzieścia kilometrów. Kiedy szli w tamtą stronę, omijali utarte szlaki właśnie w obawie przed minami, ale teraz nie mieli wyboru, nie było mowy o transportowaniu ciężko rannego tą samą wijącą się przez zbity gąszcz ścieżką. Bez wahania i bez lęku wszyscy jego ludzie na ochotnika zgłosili się, by torować drogę: zmieniali się na czele konwoju, idąc czwórkami, trzymając się pod ręce, zajmując całą szerokość drogi, wyprzedzając o dziesięć metrów tych, którzy nieśli nosze. „Jeśli wpadniemy na jakąś minę, to trudno, chodzi o to, żeby szef się z tego wykaraskał”. I chociaż musiał w tym czasie odczuwać inne rzeczy związane z cierpieniem i przyszłością, to jednak Stanislas znalazł w sobie dość siły, by wzruszyć się tym pięknym braterskim gestem. Ta siła wypełniała go całego. Odgłos kroków, który dochodził do niego z przodu, ciężko dudniąca ziemia, to oznaczało, że towarzysz broni ryzykuje dla niego swoje życie. Po pokonaniu dwudziestu kilometrów, które wydawały im się setkami, jakby przeszli całe Indochiny, wreszcie umieścili go w karetkę, a ta zawiozła go w końcu do oddalonego o blisko dwieście kilometrów szpitala.

W tym samym czasie w Sidi Bu-l-Abbas Marcelle Amoyel spacerowała z dwiema przyjaciółkami po boulevard de la République. Zbliżało się już południe, miała pomóc wujkowi w restauracji, pewnie się trochę spóźni, aby obsłużyć pierwszych klientów. Jej bladoniebieska sukienka była mocno dopasowana w talii, a ona wyczuwała na sobie kątem oka wzrok młodych mężczyzn. Bawiło ją to.

W tydzień po wybuchu miny w szpitalu w Sajgonie z oficjalną wizytą u Stanisłasa zjawiał się marszałek Juin, który odznaczył go Krzyżem Wojennym i Medalem Wojskowym Zamorskich Teatrów Operacyjnych. (Kiedy już wróci do Francji, zostanie kawalerem Legii Honorowej). W szpitalu został jedynie przez dwa tygodnie, tak jakby chodziło o drobne komplikacje po operacji wyrostka robaczkowego, i wyszedł stamtąd podreperowany, lecz tylko z jedną ręką, a już po miesiącu umiał pisać lewą ręką prawie równie dobrze, jak kiedyś prawą. Podobnie z wiązaniem sznurowadeł, chociaż ciężko to sobie w ogóle wyobrazić. Wypracował też nad wyraz zmyślną technikę, która pozwalała mu posługiwać się jedną ręką zapałkami tak, aby móc palić swoje gauloisy. Trzeba patrzeć przed siebie i myśleć o tym, co pozostało jeszcze do zrobienia, i nigdy nie oglądać się za siebie. A do zrobienia miał jeszcze bardzo wiele rzeczy.

Na początku 1953 roku Stanislas Sulak został przetransportowany do Sidi Bu-l-Abbas wraz z wieloma innymi rannymi i inwalidami, którzy walczyli za Francję w Indochinach. Lubili tam żołnierzy, aczkolwiek ojcowie i bracia dziewcząt z miasta mieli ich zawsze na oku. W legii zalecenia były jasne: z mundurem nie ma żartów, nie wolno było tykać kobiet, choćby kładąc im dłoń na przedramieniu. Z kolei jeśli to one występowały z inicjatywą i wykonywały pierwszy krok, wtedy można było nie stawiać oporu. Stan dobrze o tym pamiętał. Jednakże już nazajutrz po powrocie nadarzyła mu się okazja do zupełnie innego rodzaju kontaktów interpersonalnych. Na korytarzu w koszarach stanął nagle twarzą w twarz z brutalnym antykomunistą, który pobił go, kiedy chłopak przyszedł zaciągnąć się do legii. Zachował się jednak porządnie: popatrzył mu prosto w oczy, z jedną ręką, po czym bez słowa walnął go lewym prostym w dziób. Zataczając się, z rozkwaszonym nosem całym we krwi, ten osioł nawet nie zaprotestował. To była z jego strony rozsądna reakcja.

Michelle, młodsza siostra Marcelle Amoyel, miała piętnaście lat i w każdą sobotę pracowała w restauracji Krief, żeby pomóc wujkowi. Nazywano ją Michou. W tym wieku, gdy siła uczuć rośnie w błyskawicznym tempie, natychmiast zauważyła przystojnego jasnowłosego legionistę, który niby to obojętnie spoglądał na jej siostrę, zajmując miejsce zawsze przy tym samym stoliku w głębi sali, czasami z kumplami, a kiedy indziej znowu całkiem sam.

– Tak, tak, zauważyłam – szepnęła Marcelle.

Kiedy więc minął zaledwie tydzień, *Le Chien dans la vitrine*, hau, hau, stał się muzycznym tłem dla popołudniowych, delikatnych chwil przedmiłosnych napięć w spokojnym, zacienionym wnętrzu restauracji, co stanowiło dla Stanislasa miłą odmianę po pobycie w mocno nieprzyjaznej dżungli wśród groźnych Wietnamczyków i min, w której był zaledwie miesiąc wcześniej. Zupełnie inne emocje. Bardzo ostrożnie zaczął się starać o względy dziewczyny. Odprowadzał ją do domu wieczorem, towarzysząc jej na prawie całkiem opustoszałych ulicach. Szła po jego lewej stronie (wystarczy spędzić kwadrans w kawiarnianym ogródku, zresztą, wszystko jedno gdzie, żeby zdać sobie sprawę, że zazwyczaj kobiety idą po prawej stronie mężczyzn – zapewne chodzi tu o jakieś atawistyczne zachowania, które datują się jeszcze z czasów, gdy człowiek żył w lesie albo gdy na drogach pełno było zbójców: kobieta zajmuje miejsce po prawicy tego, kto może ją ochronić), gdyż był to jedyny dla niej sposób, aby mogła niby to nieopatrnie musnąć dłonią jego rękę. I to właśnie zrobiła dziesiątego dnia znajomości. Stanislas, jako porządny żołnierz, umiał wykazać się do tej chwili cierpliwością, lecz kiedy dostrzegł, że dała mu zielone światło, postanowił nie tracić zbyt wiele czasu na metafizyczne rozważania: natychmiast objął ją i pocałował, gdy tylko

zatrzymali się na chodniku. Od razu zrozumiał, że są dla siebie stworzeni: miała tak wąską talię, że jedno ramię wystarczało, by ją objąć.

W tej właśnie chwili narodził się Bruno Sulak, w mrocznej uliczce w Sidi Bu-l-Abbas, wczesną wiosną 1953 roku (choć na świat przyjdzie dopiero (przy czym to za ledwie szczegół, ot, kwestia czasu) dwa lata później, o ile bowiem Stanislas bardzo szybko pomyślał o tym, by poprosić Marcelle o rękę, o tyle wiedział doskonale, że aby mieć prawo do zawarcia małżeństwa, niezbędne jest niestety siedem lat służby w legii – no chyba że, jak mawiają, natura zdecyduje inaczej). Marcelle, z takich czy innych względów, z powodów estetycznych bądź pragmatycznych, w trosce o swoją przyszłość, mogła nie chcieć wiązać się z mężczyzną pozbawionym prawej ręki. Wtedy Bruno Sulak nigdy nie przyszedłby na świat, tak jak i nie byłoby Amélie, a ja pisałbym książkę o kimś innym. Jednak Marcelle było zupełnie obojętne, czy Stanislas ma jedno ramię czy cztery, bo go kochała. I bez wahania pozwoliła się objąć i całować.

Nazajutrz zjawili się u niej pięciu legionistów, aby zapytać ją uroczyście, czy ma na pewno poważne zamiary wobec Stanislasa. Poświęcił się dla swoich ludzi, uratował im życie i dlatego nie powinna bawić się z nim w jakieś nieuczciwe gierki. Ale po rozmowie z nią odeszli uspokojeni. W następną sobotę znowu zjawili się całą piątką w restauracji Krief, tym razem z małym, plastikowym pieskiem, który piszczy, gdy się naciska jego brzuszek, tym kiczowatym symbolem zakochanych, i wręczyli go jej w prezencie. Nie trzymała go w rękach dłużej niż trzydzieści sekund, kiedy wyrwała go jej Michou:

– Ja go zatrzymam i dam go waszemu dziecku, może będzie z niego mały legionista.

Cóż, młode dziewczyny mają zwykle intuicję.

Sobota, 25 lipca 1953 roku, w serbskiej wiosce niedaleko Leskovaca, ponad dwa tysiące kilometrów w linii prostej od Sidi Bu-l-Abbas, gdyby poprowadzić ją nad Włochami, na świat przychodzi ten, bez którego ta historia byłaby podobna do wielu innych opowieści. Nazywa się Novica Živković, później zaś będzie miał jeszcze wiele innych imion. Jego ojciec, Krsta, chłopski syn, pracuje jako kamieniarz – szlifierz marmuru. I dobrze mu z tym zawodem kamieniarza. Jest człowiekiem trochę oschłym i zamkniętym w sobie, ale zarazem prawym, nieustępliwym, pracowitym i nieokazującym uczuć. Kiedy był bardzo młody, wziął sobie za żonę ładną dziewczynę z sąsiedniej wioski, trochę nawet zbyt płochą jak na niego, jeszcze niemal nastolatkę, pannę Jovanović, która myśli tylko o tym, by się bawić. Z jednej strony ma rację, ale z drugiej nie zawsze jest to najlepsze, kiedy pojawia się dziecko. Krsta próbuje ją utemperować, przekonać do „roli matki”, ona jednak się opiera, on ma do niej żal, sprawy przyjmują nieciekawy obrót i wkrótce po narodzinach Novicy rodzice się rozwodzą. Dziecko trafia pod opiekę dziadków ze strony ojca, a matka jest poniekąd zmuszona je porzucić: syn nigdy więcej już jej nie zobaczy i zapomni o niej. No, może nie do końca. Krsta zaś wyjedzie do Belgradu, gdzie łatwiej znaleźć pracę.

Novica dorasta na wsi w rozdartej konfliktami Jugosławii, która z trudem leczy rany po II wojnie światowej; wychowywany jest prosto i uczciwie w surowych warunkach, w których niemal wszystko, co stanowi o życiu, mogłoby uchodzić za ciężkie i przykre – z wyjątkiem miłości, jaką obdarza go dziadek, Cvetko Živković, rolnik i miejscowa legenda, człowiek, który okazał się niezłomnym bohaterem podczas niemieckiej okupacji i dla którego chłopiec odczuwa nieopisany wręcz podziw. Zachowa zresztą jego wielki czarno-biały portret, jedyny przedmiot, jaki towarzyszyć mu będzie aż do śmierci we wszystkich przeprowadzkach. Ale za wcześnie jeszcze o tym mówić, na razie bowiem Novica jest raczej szczęśliwym dzieckiem, które od najmłodszych lat podąża śladami swego wspaniałego dziadka ze strony ojca: chłopiec jest uparty, skory do bitki i lojalny.

W tym samym czasie w Belgradzie jego ojciec Krsta spotyka kobietę, która znacznie bardziej mu odpowiada, a na imię ma Kata. Żeni się z nią.

Stanislas Sulak musiał na pewien czas rozstać się z Marcelle, w styczniu 1954 roku przeniesiono go bowiem do Paryża, aby podnosił na duchu rannych żołnierzy i tych, którzy przeszli załamanie nerwowe. Przydzielony do służby u kapitana Olliera, który wrócił niewidomy z Tonkinu, wziął sobie tę misję mocno do serca, a ponieważ podnoszenie na duchu obejmuje bardzo wiele rzeczy, zaproponował kapitanowi, że odda mu własne oko, aby ten mógł zobaczyć syna, który urodził się wkrótce po tym, jak wysłali go na wojnę do Indochin. „Skoro można żyć z jedną ręką, można też żyć z jednym okiem”. (Rozumowanie może wydawać się cokolwiek prostackie, bo czy skoro można żyć tylko z jednym uchem, to można też żyć tylko z jedną nogą? Ale właściwie chyba jednak tak, bez wątplenia). Kapitan Ollier – rzecz jasna – odmówił. Lecz mimo wszystko to przyjemne, bo liczy się przecież intencja, i od razu poczuł się podniesiony na duchu.

Przeniesiono go następnie, wciąż bez Marcelle, do Puyloubier, niedaleko Aix-en-Provence, gdzie został adiutantem kompanii, więc skorzystał z okazji, żeby wpaść na chwilę do Miramas. A ściślej do merostwa w Miramas, do biura wzorcowego urzędnika, który kiedyś wyjaśnił mu, że skoro jest Polakiem i ma kartę robotnika rolnego, to znaczy, że jest robotnikiem rolnym, i na tym koniec. Stał więc przed nim wyprostowany (zapewne w żółtych oczach urzędasza pojawił się niewyraźny błysk: „Gdzieś już go chyba widziałem...”) i pokazał mu swoją jedyną rękę, nieważne, chłopską czy nie, w każdym razie tę, która mu została:

– A teraz powiedz mi pan, że nie jestem Francuzem.

Wystraszony urzędnik nawet nie drgnął, nie poruszył się ani trochę i dobrze zresztą zrobił, bo uniknął porządnie podbitego oka, w tym konkretnym przypadku prawego.

Życie Stanisłasa zaczynało wreszcie przybierać lepszy obrót, rachunki powoli się wyrównywały, a przyszłość rysowała się coraz jaśniej. Aby wszystko stało się jeszcze jaśniejsze, Marcelle wreszcie dołączyła do niego w Puyloubier, gdzie przyroda jest niezwykle gościnna.

We wtorek, 9 marca 1954 roku w Jugosławii, w Pločicy, małej wiosce położonej w gminie Kovin, nieopodal Smedereva, dwieście kilometrów na północ od Leskovaca, gdzie zaczyna gaworzyć Novica, na świat przychodzi dziecko, któremu rodzice dadzą na imię Drago. Jest już trzecim synem w rodzinie. Ten nieszkodliwy niemowlak wygląda niepozornie, tak jak inne dzieci, gdy wrzeszczy wniebogłose na rękach matki w niewielkim, zrujnowanym szpitalu, gdzieś na głębokiej serbskiej prowincji zapomnianej przez wszystkich na ziemi, lecz to właśnie on niebawem połączy wszystkie postaci tej historii. Bez niego, bez tego czerwonego małego czegoś, które się wije w pieluchach, nigdy by się nie spotkali, a ja pisałbym w tej chwili zupełnie inną książkę. Powiedzmy, że byłaby to opowieść o Fauście Coppim.

Jest niedziela, 6 listopada 1955 roku w Sidi Bu-l-Abbas; Marcelle Sulak, z domu Amoyel, zaraz będzie rodzić. W każdym razie zaraz powinna zacząć rodzić. Ale coś jest nie tak. Przywieziono ją prosto z pracy na salę porodową, cierpi już od dwóch dni, ma krwotok wewnętrzny i lekarze obawiają się, że nie przeżyje porodu. Proszą Stanislasa, aby zdecydował, kogo mają ratować: żonę czy dziecko.

To właśnie w Puyloubier, w samym sercu Prowansji, kochali się po raz pierwszy. A pewnego marcowego poranka, na krótko przed nadejściem wiosny, podeszła do niego na dziedzińcu koszar i obwieściła mu, że jest w ciąży. I że według niej to będzie chłopiec (intuicja). Wkrótce potem Stanislas jedzie z powrotem do Sidi Bu-l-Abbas, aby znaleźć dla nich wygodne mieszkanie, mieszkanie dla całej rodziny, i wszystko przygotować na nadejście dziecka, podczas gdy Marcelle udaje się do Foug, niedaleko Toul, żeby spokojnie donosić ciążę. Zatrzymuje się u matki Stana, która teraz mieszka sama, u Ukrainki, wielkiej specjalistki od dzieci oraz tego wszystkiego, co z nimi związane. Jednak życie tam, bez jej mężczyzny, wydaje się jej zbyt ponure, zatem dołącza do niego już w maju w Bu-l-Abbas. Pobierają się w sierpniu, gdy Marcelle jest w szóstym miesiącu ciąży.

Stanislas powiedział dwóm lekarzom, którzy podeszli do niego na korytarzu, aby przede wszystkim ratowali życie jego żony. Wrócili na salę operacyjną i niemal w ostatniej chwili udało im się zrobić coś więcej: o godzinie 15.10 wycieńczona potężnym krwotokiem Marcelle wydaje na świat chłopca, tak jak przeczuwała. Niemal cudem uniknęła śmierci, podobnie jak dziecko. Było fioletowe. Miało pępownię dwukrotnie okręconą wokół szyi. Ale nikt tego dzieciaka już nigdy więcej nie pozbawi swobody ruchów, aż do końca jego dni.

Tego samego dnia, 6 listopada 1955 roku, nagle robi się upał. W Paryżu jest 20,8 stopni Celsjusza, co dla stolicy pozostanie rekordową temperaturą w listopadzie w XX wieku.

Tego samego dnia, 6 listopada, w odległości tysiąca sześciuset kilometrów na północ od Sidi Bu-l-Abbas, w parterowym domu na przedmieściu Rouen, Anny, dziewczynka, która ma lat osiem i pół, leży nieruchomo od godziny jedenastej przed południem, a teraz otaczają ją policjanci i strażacy. Gdy się obudziła rano, jej rodzice, Ginette i Lucien Legrasowie, poprosili ją, żeby przyszła do łazienki umyć się razem z nimi. Odmawia, strasznie marudząc, po czym znowu zasypia. O godzinie jedenastej, w czasie gdy Marcelle Sulak i jej syn walczą o życie, Anna się budzi. Jej rodzice, w wieku dwudziestu ośmiu i trzydziestu lat, leżą martwi na podłodze w łazience, zatruli się tlenkiem węgla wydobywającym się z uszkodzonego piecyka gazowego. Chłopczyk, który z takim trudem przyszedł na świat w Sidi Bu-l-Abbas, przeżyje rok później coś podobnego, co ta dziewczynka,

którą uratowała senność, a potem zostanie aktorką; postanowi, że nazywać się będzie Anny Duperey.

Tego samego 6 listopada w Paryżu inna aktorka, wielka gwiazda, Ingrid Bergman, jest honorowym gościem programu *La joie de vivre* nadawanego w ogólnokrajowej stacji radiowej Programme National (która później zmieni nazwę na France Culture), a audycja będzie emitowana jeszcze tego samego dnia po południu przez stację Radio-Algérie. Być może w szpitalu w Sidi Bu-l-Abbas ktoś włączył wtedy jakiś odbiornik radiowy. O godzinie 15.30, gdy audycja dobiega już końca, a Marcelle trzyma na rękach swojego syna, zdziwiona mocno, że wciąż jeszcze żyje, Jean Gabin podchodzi do mikrofonu i śpiewa po raz pierwszy *live*, choć jeszcze wtedy tego tak nie nazywano, piosenkę z filmu *Wielka wygrana*. I być może są to pierwsze słowa, jakie usłyszało dziecko (nic zresztą nie rozumiejąc).

*Od poniedziałku do soboty
Ciężka orka, by zarobić na chleb,
Kiedy już wykonało się bez zapału
Swą codzienną robotę,
I gdy musiałeś znosić przez dzień cały szefa,
Poborcę podatkowego i panią piekarsową,
I wlokłeś żalostnie twe pieskie życie,
Wreszcie nadchodzi upragniona niedziela.
I pędzimy do Nogent,
I wtedy wszystko
Wydaje się urocze!
Gdy spacerujemy nad wody brzegiem,
Jakże wszystko jest piękne,
Jakże wszystko jest nowe,
Paryż w oddali jest jak więzienie,
A w sercu pełno wesołych piosenek...*

Zgodnie z obietnicą Michou przynosi synowi starszej siostry małego plastikowego pieska darowanego dwa lata temu przez pięciu legionistów. Patrzy mocno przejęta na swego siostrzeńca. Mały jest spod znaku Skorpiona z ascendentem w Baranie, więc będzie się działo. Dadzą mu na imię Bruno. Wszyscy się zgadzają: Bruno Sulak, to dobrze brzmi.

Dnia 27 marca 1956 roku w Sorgues, w regionie Vaucluse, niedaleko od Puylobier, gdzie poczęty został Bruno Sulak, przychodzi na świat dziewczynka o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Jej rodzice dają jej imię, którego nie będzie nosić zbyt długo. Znajdzie bowiem dla siebie inne, będzie dorastać, stanie się piękna i odważna, a w końcu spotka na swojej drodze młodego dezertera z Legii Cudzoziemskiej i wytatuuje sobie na prawej łydce skorpiona.

Dokładnie w rok i tydzień po narodzinach Bruna chłopiec ma już małą siostrzyczkę (nie ociągają się zanadto u Sulaków, bo dobrze wiedzą, że przepustka może okazać się za krótka, więc korzystają bez wytchnienia z życia, także i z prawa do dania go innym), Pauline, która zjawia się na świecie 14 listopada 1956 roku, w tym samym miejscu co brat i w dodatku o tej samej godzinie, 15.10. Dziewczynka może spokojnie spać w kołysce, gdyż będzie miała wspaniałego opiekuna, troskliwego i skuteczniejszego aniżeli cały kordon policji – choć na razie jest jeszcze zbyt młody, aby sam zapewnić sobie bezpieczeństwo: ma zaledwie półtora roku, gdy pewnego dnia w 1957 roku bierze prysznic razem z rodzicami (trzeba oszczędzać ciepłą wodę) – w tym wieku człowiek nie może się im sprzeciwić, zresztą nie potrafi mówić, by oznajmić im, że wolałby może jeszcze trochę poleżeć w łóżku – bawi się więc mydłem, kiedy nagle osuwa się, traci przytomność, Marcelle łapie go w ostatniej chwili, potrząsa nim, on na chwilę odzyskuje świadomość, po czym znowu mdleje. Przerazona matka zabiera go z łazienki i podtyka mu pod nos wodę kolońską, chłopiec wreszcie otwiera oczy. Jest uratowany, przeżył awarię piecyka, ocalił też życie swoim rodzicom, gdyż posłużył im, niczym maleńka istota opatrnościowa, za świadka i ofiarę zarazem, ostrzegając ich o grożącym niebezpieczeństwie. Bruno miał więcej szczęścia od małej Anny, wszyscy troje bowiem mogą dalej normalnie żyć.

Gdy już porusza się pewnie i w pozycji pionowej, Bruno czeka na legionistów na dziedzińcu koszar, trzymając w dłoni patyk, a kiedy żołnierze wracają z ćwiczeń, kładzie go sobie na ramieniu i maszeruje razem z nimi równym krokiem. Nie chodzi tu o przedwczesne zamiłowanie do dyscypliny ani o instynkt stadny, gdyż bardzo szybko udowodni, że to nie dla niego, ale próbuje w ten sposób uchodzić za silnego mężczyznę, za nieustraszonego twardziela, a więc za legionistę. Rozbawia tym wszystkich wokoło – nigdy nie wiemy, kim dzieci staną się w przyszłości. A jednak Bruno niepokoi swoich rodziców, dlatego że coraz mniej je. Nie wygląda wprawdzie na chorego, ale sytuacja wcale się nie poprawia: kiedy ma dwadzieścia miesięcy, zupełnie odmawia jedzenia. Rzecz jasna jest to mocno niepokojące, a Marcelle zastanawia się, czy smakują mu jej kaszki i papki, czy chłopiec nie jest aby uczulony na sól lub masło, lecz to sprawa wielce zagadkowa: chłopiec wcale nie chudnie, ma zdrową cerę, nogi jak z żelaza, ma mnóstwo energii, a w nocy śpi jak suseł. Co to za kosmita?

Pewnego dnia na dziedzińcu jeden z legionistów odciągnął Stanisłasa na bok z rozbawioną i tajemniczą miną, prosząc, by ukrył się gdzieś w pobliżu, nie ruszał się i uważnie się przyglądał. Stan posłuchał go, marszcząc tylko brwi. Kilka chwil później, kiedy odgłos trąbki obwieścił porę obiadu, zobaczył pędzącego jak bolid wygłodniałego dzieciaka, który wybiegł z domu w kierunku mesy oficerskiej.

Wszedł więc tam za nim i zobaczył, jak syn zanurza rączki w menażkach jego kolegów, napychając się jak rozanielony mnich. Tajemnica została więc wyjaśniona. Mały Bruno odkrył coś, czego użyteczność sprawdził i w czym zasmakował przez kilka następnych dni: otóż, gdy ma się na coś ochotę, należy po prostu wejść i samemu się obsłużyć. Owszem, nie trwało to może zbyt długo, bo w końcu go przyłapali, ale ojciec był zanadto rozbawiony, by go zbesztać.

W 1957 roku Algieria nie jest najspokojniejszym miejscem na ziemi. A co bystrzejsi domyślają się, że sytuacja zapewne szybko się nie uspokoi. Od stycznia w Algierze coraz bardziej rośnie napięcie między sześcioma tysiącami spadochroniarzy generała Massu, który niewiele ma w sobie z baleriny, a zwolennikami Frontu Wyzwolenia Narodowego, których komórki rozbijane są jedna po drugiej, a ich członków czeka przejście przez piekło, gdy zostaną zatrzymani. W stolicy kraju coraz częściej stosuje się tortury. Moja matka, Marie, która ma szesnaście lat, jest ich świadkiem, kiedy wraca z liceum i nie wie za bardzo, co o tym myśleć, idzie więc z powagą i lekko, z tornistrem w rękę, do willi rodziców przy rue Ravin-de-la-Femme-Sauvage. Mój ojciec Antoine jest w Oranie, ma siedemnaście lat, właśnie kupił sobie czarne kąpielówki, pręży klatę i gapi się na dziewczyny opalające się na plaży Corailleurs (gdzie zresztą trzy lata później spotka moją matkę). W odległości około sześćdziesięciu kilometrów na południe, w Sidi Bu-l-Abbas Marcelle się niepokoi. Jej męża być może nie wyślą już na niebezpieczną misję wojskową, ale przecież nie jest również sprzedawcą porcelany, wciąż bowiem służy w armii, a sprawy mogą przybrać zły obrót. Wieczorem, kiedy dzieci już śpią, naciska na niego coraz bardziej, prosi, by z tym skończył i by ich życie wyglądało inaczej. Stanislas się waha. Doskonale wie, że ona ma rację i że koszary mogą stać się niebawem niezbyt przyjaznym miejscem dla dzieci, lecz trudno mu złożyć broń i się wycofać. Przedłuża służbę o rok, Marcelle musi się z tym pogodzić.

Wiedzą oboje, że może to jeszcze tak trwać przez jakiś czas i że za rok niekoniecznie okaże się bardziej skory do porzucenia swoich kumpli, ale Stan, niczym wielki strateg, wpada na doskonały pomysł: po sześciu miesiącach wysyła Marcelle (która znowu jest w ciąży – no bo jak nie teraz, to kiedy?), Pauline i Bruna do swojej matki w Foug, utrzymując, że tam będą bezpieczni. Nie robi tego po to, by żona, zniechęcona klimatem i pejzażem Lotaryngii, przyznała, że w sumie lepiej żyć w Algierii, a skoro już się tam jest, to lepiej zostać w legii; ale głównie po to, żeby narzucić sobie trudną próbę rozłąki. Wie dobrze, iż długo bez niej nie wytrzyma i że nic nie skłoni go do życia z dala od niej.

Zna doskonale samego siebie: po upływie roku, nie mogąc już dłużej wytrzymać, po raz ostatni zdejmuje mundur, żegna się ze swymi towarzyszami broni, nie okazując za bardzo emocji, i wyrusza, aby dołączyć do swojej rodziny. (Pięćdziesiąt cztery lata później wciąż będzie przeświadczony, że swoje życie zawdzięcza miłości do Marcelle: bez niej i bez dzieci zostałyby w Algierii i zginął tam).

Dnia 8 kwietnia 1958 roku w szpitalu w Nancy zgłasza się kolejny, trzeci już, mały Sulak: będzie miał na imię Denis. Stanislas, chcąc się przekwalifikować,

uczy się księgowości. W tym celu musi pojechać do Muret, niedaleko Tuluzy, znowu sam i z dala od rodziny. W księgowości ryzyko, że się zginie, jest znacznie mniejsze, to fakt, ale taka praca jest też mniej ekscytująca niż życie legionisty. No, ale mówi się trudno, nie ma wyboru, trzeba wrócić do normalności i zestawiać te kolumny liczb.

Marcelle jednak nie czuje się zbyt dobrze. Sama, bez męża, w regionie, którego nie zna, bardzo się nudzi, ogarnia ją przygnębienie, wokoło jest szaro i pada deszcz. Trochę tego za dużo. Toul i okolice nie są dokładnie tym, o czym marzyła we wczesnej młodości. W końcu Stanislas wraca z Tuluzy, zmęczony rozłąką i niekończącymi się kolumnami cyfr, a wkrótce potem stwierdza ze smutkiem, że kraj jego dzieciństwa źle wpływa na cerę i nastrój żony, i żeby sprawić jej radość, zgadza się, choć niechętnie, na przeprowadzkę na południe. (On sam wolałby pozostać na wschodzie Francji: wie od dawna, że chociaż miejscowi wyglądają surowo i chropawo, często okazują się otwarci i serdeczni – dowodzą tego wszystkie stereotypy – a w każdym razie są od początku dobrze nastawieni do innych, podczas gdy na południu, jak mawiał Stanislas, „zawsze podejrzewają, że przyjezdny ukradnie im słońce”. Ale nikt im niczego nie ukradnie. A przynajmniej nie od razu).

Rodzina przenosi się więc po raz kolejny, ustawia meble i rozpakowuje walizki w Trets, dużej wiosce (dwa tysiące ośmiuset mieszkańców w tamtym czasie) położonej dwadzieścia kilometrów od Aix-en-Provence, bardzo blisko Puyoubier. Stanislas był tam niegdyś adiutantem, zna okolicę, tak samo zresztą jak Marcelle: przecież to właśnie tutaj cztery lata wcześniej poczęty został Bruno i tutaj także będzie dorastał, rozwijał się i znajdzie swoje pierwsze punkty oparcia w świecie. Biega po polach i wspina się na drzewa, gdzie znajduje świetne kryjówki.

Nie czując się wciąż zbyt pewnie we wrogim i lodowatym świecie księgowości, a do tego, tak czy inaczej, niezbyt entuzjastycznie nastawiony do perspektywy siedzenia przez cały dzień na tyłku, były legionista musi rozejrzeć się za jakimś innym sposobem wyżywienia swoich trzech brzdąców, wraca więc do pracy na roli, która nie chce dać mu spokoju. A zatem do dzieła, robotniku rolny, choćbyś miał tylko jedną rękę. (Kiedy jakiś rolnik pyta go, co mu się stało, Stanislas patrzy na brakujące ramię i odpowiada: „To? Nic takiego”). W tych stronach uprawia się czosnek, winorośl, melony, a więc i on się tym zajmuje, zginając kark i dając z siebie wszystko bez słowa skargi. Pracuje dwanaście albo i piętnaście godzin dziennie, rezygnuje z wieczornego aperitif, a często także za drogich dla niego gauloisów, aby mieć pewność, że cała rodzina będzie miała co jeść, dokładnie tak samo postępował jego ojciec. Lecz dla Pauline i dla Bruna, biegających i rozrabiających w okolicy, w promieniach słońca, którego wcale nie muszą nikomu kraść, dzieciństwo jest beztroskie i chyba nigdzie nie czuliby się

lepiej niż właśnie tutaj, gdzie są wszyscy razem. Przyjemny czas spędzany w domu, ale i czujność w szkole: na dziedzińcu przedszkola w Trets Bruno broni zawzięcie swojej siostrzyczki, bo większość chłopców to mali i kłótlivi żołnierze, bez rozumu i bez litości, trzeba ich umieć poskromić albo trzymać na dystans. Ale jemu udaje się to osiągnąć bez trudu. Bije się z nimi, gdy trzeba, i wcale mu to nie przeszkadza (w ciągu jednego roku w przedszkolu w jego życiu będzie więcej przemocy aniżeli w całej karierze gangstera). Później, kiedy chłopcy zaczną kręcić się wokół pięknej Pauline, zawsze będzie miał na nich oko, i na nią zresztą też.

Poświęcając cały swój czas czosnkowi i melonom, Stanislas zarabia dziennie zaledwie dwadzieścia franków. Złodzieje! Nawet gdy daje z siebie wszystko i tak nie wystarcza pieniędzy na życie. Nie jest to już kwestia miłości własnej, ambicji czy komfortu, jak w hucie w Pont-à-Mousson, kiedy miał siedemnaście lat, ale tego, by rodzina mogła przeżyć. Na szczęście życzliwy sąsiad, Szwajcar, nauczył go zawodu malarza i tapeciarza. (Na początku lat osiemdziesiątych, gdy wszystkie gazety będą pisały o jego synu, a więc czasem i o nim, w niektórych, a były wśród nich również dzienniki szanowane i opiniotwórcze, pojawiła się informacja, że wykonywał zawód cukiernika. Wystarczyło, że jakiś dziennikarz śledczy za bardzo się pospieszył, był roztargniony lub równie kompetentny w tych sprawach, co jego babcia, i zamienił miejscami dwie pierwsze spółgłoski, a zaraz pięciu czy sześciu innych podażyło jego śladem jak barany, kierując się charakterystycznym dla prasy instynktem stadnym. W gazecie z tamtych czasów przeczytałem nawet, że ojciec Bruna Sulaka był „tapeciarzem i cukiernikiem”² – baran jednak zawsze pozostanie uparty). Stanislas w krótkim czasie wynajduje kilka sposobów, aby wykonywać jedną ręką to, co inni robią znacznie wolniej, a w dodatku używając dwóch, trzech, czterech, a nawet sześciu rąk – bo wytapetowanie sufitu jedną ręką nie należy chyba do rzeczy najprostszych, aczkolwiek gdy się nad tym trochę zastanowił, wpadł na kilka znakomych patentów i wypracował sobie własny styl. Kiedy opowiada o tym wieczorem po powrocie do domu (gdy już Marcelle umyje mu lewą rękę szczotką ryżową – bo nigdy o tym nie myślimy, ale mycie rąk staje się czymś bardzo skomplikowanym, kiedy rękę ma się tylko jedną), podsuwa swoim dzieciom kilka prostych rad i zasad na przyszłość: z tapeciarstwem jest trochę tak jak niemal z całą resztą – liczy się głowa, a dopiero potem ręce.

Na początku 1964 roku kamieniarz Krsta Živković wraz ze swoją nową żoną, Kata, wyjeżdżają z Belgradu, zabierają od dziadków małego Novicę i postanawiają wyemigrować do Francji. Oboje wierzą, że w nowym kraju przyszłość może być tylko lepsza, a w każdym razie, że otworzą się przed nimi jakieś szersze perspektywy (zawsze to coś) niż w pozbawionej perspektyw rozwoju Jugosławii, którą opuszczają bez większego żalu, jak zresztą wielu ich rodaków (większość z nich pracować będzie w fabrykach na przedmieściach Paryża, niektórzy oddadzą siłę mięśni i zimną odwagę na usługi kilku słynnych gwiazd filmowych – jeden spośród nich, Stevan Marković, ochroniarz Alaina Delona, wyjedzie z Belgradu mniej więcej w tym samym czasie co Živkovićowie, a jego ciało zostanie znalezione w stanie rozkładu cztery lata później na wysypisku w Élancourt, w departamencie Yvelines – kilku innych odniesie spore sukcesy na murawie stadionów, w klubach piłkarskich, a jeszcze inni sięgną od razu po złoto Zachodu, szukając go tam, gdzie się znajduje, a więc w sklepach z biżuterią). Novica nie jest zbyt szczęśliwy, że musi pożegnać się z Cvetkiem, swoim bohaterskim i opiekuńczym dziadkiem, ale w wieku jedenastu lat posępna jugosłowiańska wieś zaczyna go nużyć, toteż chęć poznania życia we Francji sprawia, że łatwiej jest stamtąd wyjechać.

Zamieszkują niedaleko Paryża, w miasteczku Levallois-Perret, w niewielkim budynku pod numerem 101 przy rue Victor-Hugo. Kata zaakceptowała małego Novicę całym sercem i niemal natychmiast stali się sobie bardzo bliscy i takimi już pozostaną, gdyż będzie dla niego dobrą macochą (co też stało się z biologiczną matką, która dobiega trzydziestki?), a jej pełna czułości obecność jest chłopcu bardzo potrzebna; relacje z ojcem są o wiele bardziej napięte, burzliwe i niejednokrotnie gwałtowne, Novica nie raz i nie dwa solidnie oberwie po twarzy od kamieniarza, ale zrozumie, dlaczego tak się dzieje, dopiero cztery czy pięć lat później: Krsta nie jest w stanie znieść tego, że chłopak wcale się go nie boi.

Dnia 25 maja 1964 roku to ja przychodzę na świat w Saint-Germain-en-Laye. Tyle że w tej opowieści nie ma to właściwie większego znaczenia.

Z kolei druga córka i czwarte już dziecko Marcelle i Stanisłasa Sulaka przychodzi na świat we wtorek, 16 marca 1965 roku w Aix-en-Provence. Rodzice dają jej na imię Stella. Ona również będzie mogła liczyć na starszego brata, który stanie się jej sprzymierzeńcem, przyjacielem, mistrzem, spowiednikiem, jej drugą połową na świecie, przynajmniej tak długo, jak będzie mógł. Po jej narodzinach Bruno próbuje coś ustalić. Kiedy ojciec wraca ze szpitala położniczego i chłopiec dowiaduje się, że Stella „przyszła na świat”, zadaje dwa pytania, żeby wszystko było już do końca jasne: „To znaczy skąd ona przyszła?”, a także „Co to takiego

świat?”. Ale nie dostaje precyzyjnej odpowiedzi (każdy robi dla dzieci, ile się da, ale każdy ma także pewne ograniczenia), będzie więc musiał sam się nad tym problemem kiedyś pochylić i zastanowić. Na razie wygląda to tajemniczo. Chcąc się nieco oswoić z tym pojęciem, tego samego roku, na Gwiazdkę, zamawia u rodziców skrzynkę, w której kryje się tajemnica dopasowana do jego wieku i łatwa do rozwikłania, a prezent ten pozwoli mu wnieść niewielki chociaż wkład do całej tej historii: będzie to zestaw małego magika. Od razu jest nim zafascynowany. Codziennie bez wytchnienia pracuje nad różnymi sztuczkami, ćwiczy z chińskimi obręczami, wędrującymi węzłami, jajkiem-akrobatą, przeróżnymi kubkami, szalikami i różdżką, chce stać się najlepszym prestidigitatorem na świecie (potrzebny mu jest, rzecz jasna, również pseudonim sceniczny: wybierze dla siebie Lord John, całkiem to nieźle brzmi). Zresztą mniej więcej w tym samym czasie, w wieku dziesięciu czy jedenastu lat, postanawia, że będzie najlepszy we wszystkim. Przecież nie musi to być wcale tak bardzo skomplikowane. (Na przykład jeździć na rowerze, a co? I stać się najlepszym na świecie kolarzem).

Następnego roku w Levallois-Perret Kata Živković wydaje na świat swoje pierwsze dziecko, przyrodniego brata Novicy (choć samo pojęcie przyrodniego brata nie istnieje w serbskiej kulturze); na potrzeby urzędu stanu cywilnego nazywać się będzie Michel, w serbskich dokumentach będzie widniało imię Milorad, a dla wszystkich będzie po prostu Mikim. Będzie miał z ojcem te same problemy co brat, a całą miłość i cały podziw przeniesie na starszego o trzynaście lat kolosa, którego zawsze nazywać będzie Bato, po serbsku „starszy brat”. Przez całe życie, od swoich pierwszych kroków, podążać będzie jego śladem. W chwili gdy piszę te słowa, Michel, Miki, siedzi w więzieniu we Fresnes.

Z początkiem roku szkolnego 1967 Pauline wysłana zostaje do szkoły z internatem, Maison d'éducation des demoiselles de la Légion d'honneur (do czego dają jej prawo odznaczenia przyznane jej ojcu za pełną poświęcenie służbę w Indochinach, więc szkoda byłoby z tego nie skorzystać, gdyż to dobra szkoła, która wychowa ją na porządną i uczciwą dziewczynę) w Saint-Germain-en-Laye. Można by sądzić, że byłam tam jeszcze wtedy i że być może nasze drogi skrzyżowały się bez naszej wiedzy w jakimś parku albo na chodniku, chociaż nie, było inaczej. Spędziłam tam zaledwie dwa miesiące (moja matka pracowała jako kelnerka w restauracji le Grand Cerf, która dziś już nie istnieje), w roku 1967 jestem więc w Morsang-sur-Orge i znowu, po raz kolejny, nie mam z tą historią nic wspólnego. W roku 1990 Amélie, córka Bruna, pójdzie za przykładem swojej ciotki Pauliny i także zostanie przyjęta do tej samej Maison d'éducation de la Légion d'honneur. Ona też będzie dobrą dziewczyną.

Przez ten czas reszta rodziny Sulaków przenosi się do Marsylii, gdyż praca tapetiarza w Trets nie daje wielkich pieniędzy. Zamieszkają na niewielkim osiedlu,

pod numerem 140 przy avenue de Mazargues. Dla dzieci zmiana otoczenia jest radykalna, muszą zapomnieć o polach, drzewach, chatkach, otwartej przestrzeni, świeżym powietrzu i czym prędzej odnaleźć się w znacznie ciasniejszym, o wiele bardziej zaludnionym i mniej bezpiecznym świecie. Bruno zmienia się i dostosowuje. Pauline byłoby trudniej, ostatecznie będzie nawet zadowolona, że wyjechała z domu. Jednak z czysto ekonomicznego punktu widzenia tak jest lepiej dla wszystkich: Stanislas rozkręca interes razem ze swoim współnikiem, portugalskim przyjacielem, a klientów im nie brakuje, w tamtym czasie bowiem wszystko idzie dobrze, każdy myśli o własnym mieszkaniu, domu, o ładnym, wygodnym miejscu, które trzeba urządzić, kolor ścian musi pasować do mebli, kolor brązowy, pomarańczowy, no i kuchnia musi być pomalowana w kolorze lodówki, można sobie teraz na to pozwolić, bo wszyscy wiedzą, że przyszłość rysuje się jasno i obiecująco. Szef Sulak przyjmuje ludzi do pracy, dobrze płaci swoim robotnikom, dwa albo i trzy razy więcej niż inne tego typu firmy, to czas pomyślności i zadowolenia z wykonywanej pracy. (Potem, stopniowo, pojawią się niepokój, szarzyzna i wzrosną podatki, a uczciwe wynagradzanie pracowników stanie się znacznie trudniejsze).

W Pločicy, w Jugosławii, Drago bardzo urósł. Ten rumiany malec, który nie tak dawno wiercił się jeszcze w pieluchach, teraz stał się mocnym, barczystym czternastoletnim chłopcem o prostym, uczciwym, ale i twardym spojrzeniu. Tam, skąd pochodzi, ludzie rosną silni, odważni i wytrzymali. Jednak jego rodzicom trudno jest żyć na tej ziemi. Oni także postanawiają opuścić kraj i wyjechać wraz z trzema synami do Francji, gdzie niemal cudem udaje im się znaleźć mieszkanie niedaleko porte de la Villette. Zaczynają się ciężkie lata, które potem okażą się tragiczne. Rodzina mówi słabo po francusku i aklimatyzuje się z wielkim trudem. Drago zapisuje się na dwumiesięczny intensywny kurs językowy, żeby przyspieszyć naukę: jest najmłodszy i ma bardzo chłonny umysł, więc uda mu się dostosować do tych nowych ram. Jednak trudne warunki życia i poczucie izolacji wywołują dramatyczne konflikty pomiędzy rodzicami.

W tym czasie napięcie społeczne rośnie zresztą prawie wszędzie. Podczas gdy Bruno uczestniczy w swoich pierwszych bójkach między małymi bandami na ulicach Marsylii, w Levallois-Perret Novica odkrywa salę do trenowania boksu, zaledwie kilkaset metrów od rue Victor-Hugo. To miejsce go pociąga, wchodzi więc do środka, zakłada rękawice, wskakuje na ring i czuje, że jest to dla niego jak objawienie. Tak samo jak Stanislas Sulak dwadzieścia lat wcześniej, zapalał miłością do tego eleganckiego i dzikiego zarazem sportu, w którym mężczyzna, stając naprzeciwko innego mężczyzny, chce się z nim bić. Już teraz jest wysoki i silny, nie boi się niczego i nikogo i każdy widzi, że jest bardzo uzdolniony. Przepowiada mu się wielką karierę w wadze ciężkiej.

Tymczasem w Sorgues młoda niebieskooka brunetka, która nie lubi swojego

imienia, już niebawem będzie nastolatką. Jej ojciec, pełen powagi Włoch, który niesłychanie poważnie traktuje wychowanie i dobre obyczaje, *un Italiano vero*, wysłała ją do sióstr w Orange, do prywatnej szkoły katolickiej. Zrobił tyle, ile mógł.

Bruno Sulak to dwie osobowości, a każda z nich usiłuje zawładnąć jego rozwijającym się umysłem i ciałem (żadna z nich jednak nie zapanuje nad drugą, tak więc będą musiały się z tym pogodzić i burzliwie z sobą współistnieć). Bruno jest jednocześnie ładnym chłopcem, wrażliwym i wesołym, niezwykle przenikliwym, bez przerwy czyta, wszystkim się interesuje, z czułością chroni swoje dwie siostry i zaczyna cieszyć się coraz większym powodzeniem u dziewcząt; zwierza się ze wszystkich swoich spraw sercowych mamie; lecz jest też chłopcem popędliwym, niezdyscyplinowanym, nerwowym i skorym do bitki, który coraz częściej wałęsa się z innymi zbuntowanymi chłopakami i czasami spotyka się z agresją ze strony miasta i jego mieszkańców.

Marcelle i Stanislas nie od razu zdają sobie jednak sprawę z tego, że jego inteligencja i pamięć rozwijają się w sposób nieprzeciętny. On sam nie wspomina o tym nikomu, ale w gimnazjum wszystko chwyta w lot, wyprzedza, nic o tym nie mówiąc, wyjaśnienia nauczycieli, zapamiętuje natychmiast i na zawsze wszystko, co usłyszy i przeczyta. Wystarczy mu raz tylko usłyszeć lub zobaczyć i od razu, jak automat, rejestruje to w pamięci. Ponieważ inni uczniowie nie posiadają, rzecz jasna, takich zdolności, lekcje dłużej mu się niemiłosiernie i wciąż ma wrażenie, że wszystko się powtarza, więc się nudzi. Nikomu się do tego nie przyznaje z obawy, że posądzą go o zarozumiałość (przedwczesna dojrzałość nie wydaje mu się cechą, z której powinien być szczególnie dumny, bo to tylko kwestia czasu), lecz jest mu z tym coraz gorzej i dlatego coraz częściej pojawia się u niego nonszalancja typowa dla buntownika – a więc kogoś, kto pragnie się uczyć, właśnie tego oczekuje, ale wyczuwa przy tym, że przyszłość jest przed nim zamknięta, wąska niczym ciemna uliczka prowadząca donikąd. Nikt tak naprawdę nie udziela odpowiedzi na jego pytania. Stąd też, chcąc się zabawić, odprężyć i rozwijać, niezależnie od otoczenia, zaczyna trenować kolarstwo. Podczas pierwszego wyścigu, w którym bierze udział, zajmuje drugie miejsce na czterdziestu startujących. Jest wściekły.

W Levallois-Perret, mimo fascynacji boksem, który z jednej strony pozwala mu się wyżyć, a z drugiej jeszcze bardziej go nakręca, Novica jest zapalczym nastolatkiem, roznosi go energia, niecierpliwość i złość. Jego ojciec kamieniarz nie jest tu bez winy. Podobnie jak ten, który stanie się jego sobowtórem, jego drugą połową w świecie wyjętych spod prawa, chociaż o istnieniu Bruna nie wie jeszcze wtedy nic, buntuje się, chce być niezależny, odcina się od tego, co go otacza, i rwie się do bitki z byle powodu, a bije się chyba nawet częściej w życiu codziennym aniżeli na ringu. Jednak w odróżnieniu od Bruna, Novica przeciwstawia się głównie swojemu ojcu. (Kocha Katę, która przyjęła go z otwartymi ramionami, ale zapewne myśli też często po cichu o swojej biologicznej matce, zastanawiając się, dlaczego go zostawiła. Widzi też wyraźnie, że między jego macochą i ojcem

układa się coraz gorzej). Kamieniarz na niego właśnie przenosi wszystkie swoje frustracje. A że nie wolno uderzyć własnego ojca, Novica znajduje inne obiekty, nad którymi może się pastwić. Kiedy w końcu Krsta zrozumie, że bicie, groźby i kary nie robią na jego synu żadnego wrażenia, nie uspokoją go i nie sprawią, iż ten spuści wreszcie wzrok, wpada we wściekłość, poddaje się i wysyła go do internatu. Mały Miki widzi, jak opuszcza go brat, jego „Bato”, i zostaje sam ze swoją miłością i podziwem dla niego. I zostaje też sam z ojcem, który kieruje przeciwko niemu całą swą bezradną wściekłość.

Zmuszony do ciągłej walki w obronie własnej na ulicach w dzielnicy Mazargues, Bruno stał się silniejszy i zebrał wokół siebie niewielką bandę rówieśników. Wszędzie zresztą tworzą się takie właśnie bandy, bo przecież trzeba wywalczyć sobie pozycję w każdej dzielnicy, aby pod marsylskim słońcem kontrolować świat przemocy i obrócić ją na swoją korzyść. W wieku piętnastu lat Bruno, który stopniowo zaniedbuje szkołę, gdyż nic mu już ona nie daje, został szefem małego gangu pryszczatych chłopaków. Tak jak niegdyś jego ojciec, wzbudza u innych respekt, wszyscy go słuchają, kiedy mówi, szanują go, bo wiadomo, że wie, o czym mówi. Pośród tego chaosu, jaki panuje na ulicy, można się czuć pewniej, gdy podąża się śladem Bruna. Można mu zaufać. Często się bije, bo kiedy między dwiema bandami powstaje jakikolwiek spór, a niektóre z zasad wojennych w tym okresie życia albo w tej epoce nadal jeszcze obowiązują, walczą z sobą tylko przywódcy. Nie jest wcale wyższy ani bardziej muskularny, ale wykazuje się większym sprytem i szybkością w porównaniu z szefami innych band, tak więc zwycięża i stopniowo nabiera coraz większej pewności siebie. Przewodzi młodocianym żołnierzom ze swojego małego gangu: „Nie ruszamy dzieci, biedaków i torebek staruszek. Szanujemy dziewczyny. Jesteśmy po to, żeby się bronić, nie jesteśmy łobuzami”. Wszyscy się zgadzają. Gangsterskie życie Bruna Sulaka zaczyna się właśnie tutaj. Tak już jest. A stałoby się zupełnie inaczej, gdyby to, co napisali leniwi dziennikarze, było prawdą. A więc na przykład:

STANISŁAS SULAK JEST CUKIERNIKIEM

Cukiernia w Trets to może być niezły interes, gdyż ludzie w małych miasteczkach tak samo lubią ciastka jak ludzie w dużych miastach. Do tego konkurencja jest mniejsza. Tak właśnie powiedział Stanisłasiowi życzliwy sąsiad, Belg z pochodzenia, któremu nudziło się na emeryturze. Dawny mistrz cukiernictwa, specjalista od kawowych eklerów i ptysiów, z przyjemnością odsłonił przed nim tajniki zawodu. „Jedyny na razie cukiernik w okolicy jest kompletnym niedojdą, który potrafi obrzydzić szarlotkę nawet koniowi. A ty masz wszystkie atuty w rękę”. Stan daje więc sobie spokój z uprawą czosnku i melonów, pożycza trochę pieniędzy, otwiera ciastkarnię pod nazwą *Au petit légionnaire* albo *Au roi des Belges* w hołdzie dla swojego mistrza i już całkiem przyzwoicie zarabia na

życie. Nie ma sensu kusić diabła w Marsylii, w groźnym świecie tapeciarki. Bruno dorasta w Trets. W szkole, rzecz jasna, nudzi się, zamyka się w sobie i spędza całe godziny, siedząc na drzewach, co trochę niepokoi jego rodziców, ale przynajmniej nie staje się przywódcą jakiejś bandy ani też nie kradnie motorynek. Po zdaniu z dużym trudem matury zaciąga się do 21. RIMA³ we Fréjus, wybór ten nie wzbudza u nikogo żadnych wątpliwości, a potem, wzorem wielu innych sportowców, dołącza do słynnego batalionu w Joinville, ponieważ tylko sport wywołuje w nim te emocje, których szuka. Poświęca się więc kolarstwu, z łatwością zwycięża w swoich pierwszych wyścigach regionalnych, potem odnosi zwycięstwo etapowe w Tour du Vaucluse, następnie zdobywa Grand Prix de Plumelec i wreszcie zwycięża w dwóch kolejnych Tour de France. Później pracować będzie jako konsultant sportowy dla stacji Eurosport albo France 2, aby zakończyć zgrabnie karierę. Ale to (wcale) nie było jego życie, lecz życie Laurenta Fignona.

Stanislas miał bowiem za sąsiada tapeciarkę.

„Marsylia jest archetypem miasta bez kultury i bez przyszłości”, powie znacznie później Bruno. Wolałby dorastać gdziekolwiek indziej, w Lyonie, Paryżu, Montpellier, Tuluzie. A może nawet i w Trets.

Między bójkami często wychodzi na miasto, łązi na swoje pierwsze zabawy i odkrywa miłość, a w każdym razie odkrywa dziewczyny. One rozplývają się przed nim, wszystkie, bo chłopak jest przystojny (ma ciemne włosy, delikatne rysy twarzy, błyszczące oczy i dwa małe niepokojące pieprzyki, jeden tuż nad wargą, a drugi na lewym policzku), jest jednocześnie mroczny i uśmiechnięty, już bowiem sporo wie, wygląda na zdecydowanego i bardzo pewnego siebie. W rzeczywistości jednak sprawy nie mają się aż tak dobrze. Bruno jest trochę nieśmiały. Nie widać tego po nim, ale czasami można to usłyszeć: kiedy jest przejęty albo gdy coś zrobi na nim wrażenie, lekko się jąka. Próbuje to ukrywać, ale nie ze wszystkim jeszcze do końca potrafi sobie dać radę. Podrywając wszystkie dziewczyny jak wodzirej na balu, stara się też, paradoksalnie, ukryć przed sobą pragnienie zakochania się i myślenia wciąż przynajmniej o jednej z nich, niemalże witalne pragnienie kobiecej obecności i namiętności, która wypełniałaby go i upajała, jak alkohol, którego nigdy nie będzie pił. Będzie szukał takich emocji przez całe swe życie. I znajdzie je.

Bruno walczy z beznadziejną egzystencją i marną przyszłością, która się przed nim rysuje, rozpalając dziewczyny i zaliczając kolejne imprezowe podboje. Niczym wygłodniały kolos, którego częstuje się pestkami dyni, szuka czegoś zupełnie innego, otwiera szeroko ramiona i usta, chłonie, co tylko się da, pragnie zdobywać nowe doświadczenia, chce poznawać nowych ludzi, szuka ciągle nowych wrażeń. Nadal uprawia kolarstwo, gdyż lubi wygrywać wyścigi, jest szybki i ma zmysł taktyczny, ale próbuje też swoich sił w hokeju na lodzie i bardzo

szybko staje się jednym z najlepszych zawodników w drużynie – hokej łączy w sobie umiejętność ślizgania się, elastyczność, zręczność i siłę, i to właśnie mu odpowiada. W wieku piętnastu lat Lord John otrzymuje też dyplom magika oraz kartę członka zrzeszenia Amicale Robert-Houdin, które jest jedną z filii francuskiego Stowarzyszenia Artystów Prestidigitatorów, cechu iluzjonistów. Zaczyna interesować się fotografią, pożycza od rodziców niewielki aparat, ćwiczy najpierw na prostych tematach, a potem spędza całe godziny na ulicy, uwieczniając przechodniów i budynki. Chodzi na zajęcia z muzyki rockowej, ćwiczy bardzo solidnie przez parę miesięcy, a kiedy Pauline wraca na weekendy z internatu Maison d'éducation de la Légion d'honneur (uważa zresztą, że trochę za bardzo się stroi, leciutko sobie z niej drwi, bo nigdy nie całowała się z chłopcem – czego wcale by sobie przecież nie życzył), spędza całe noce, tańcząc z nią, gdy cała rodzina śpi. Uczy się też gry w szachy. I choć niewiele ma to wspólnego ze sportem i wysiłkiem fizycznym, to przynajmniej figury się ruszają. Wystarczy patrzeć na szachownicę, ocenić układ sił, trochę pomyśleć i zaatakować. Pamięta wszystkie rozegrane partie, wszystkie otwarcia i słynne zagrania, o których czytał w książkach i gazetach, szybko się rozwija i jest w stanie przewidzieć cztery czy pięć kolejnych ruchów do przodu. Natomiast nie wyobraża sobie wtedy, że już niebawem będzie spędzał długie, mroczne godziny i całe dni, zamknięty na kilku metrach kwadratowych, grając z nerwowymi lub zagubionymi typami.

W gimnazjum katolickim w Orange dziewczyna o niebieskich oczach stanowi dla siostr twardy orzech do zgryzienia. Nie jest żadnym demonem, uczy się bowiem tak jak inne uczennice i otrzymuje dobre oceny, lecz jest trochę zbyt żywa, wygłupia się, nie poświęca zbyt wielu myśli Bogu, no i cały czas się śmieje. Podczas zajęć z mitologii greckiej (Grecy wierzyli w najprzeróżniejsze rzeczy, jak daje do zrozumienia siostra-nauczycielka) koleżanki nadają jej przydomek, którego nie pozbędzie się do końca życia: Talia. A więc muza komedii, co świetnie do niej pasuje. Nawet siostra Marie-Bernadette uważa, że to zabawny pomysł, i wyjaśnia jej, że to imię w starożytnej grece oznaczało tyle, co „rozkoszna, kwitnąca”.

Kiedy Talia wraca na niedzielę do Sorgues, także nie może zachowywać się całkiem swobodnie i w pełni cieszyć się wolnością, hasać i dokazywać. Ojciec czuwa nad nią jak nad skarbem, w jego odczuciu zanadto żwawym, i wypuszcza ją z domu tylko po to, aby mogła spędzić popołudnie ze swoją kuzynką lub z Dany, przyjaciółką z czasów dzieciństwa. Mogą właściwie jedynie rozmawiać, rzecz jasna na niedozwolone tematy. Latem, kiedy rodzina wyrusza na wakacje do Bandol, w ciągu dnia Talii udaje się na chwilę oddalić od rodziców. Już wie, że nie będzie grzeczną dziewczynką.

Podczas tych wakacji Bruno ma szesnaście lat i wspólnie z trzema chłopakami z bandy kradnie swoją pierwszą motorynkę, nowiutką, cudowną, Peugeot 103, najnowszy na rynku model. Bawią się trochę, jeżdżą wokół domów, a potem zostawiają ją najstarszemu z nich, wysokiemu siedemnastoletniemu głuptakowi, który za nic nie chce się z nią rozstać. A Bruno ukradł ją tylko po to, żeby zrobić jedną rundkę.

Niedaleko porte de la Villette pewna rodzina, przybyła z daleka, aby znaleźć trochę blasku Paryża, przez ostatnie trzy lata coraz bardziej pogrąża się i rozpada, a wreszcie przestaje istnieć. Drago wyczuwał, że nadciąga katastrofa, nie miał odwagi nic zrobić, wciąż miał jeszcze nadzieję, lecz sama nadzieja niewiele jest w stanie zmienić: jego rodzice rozchodzą się, ojciec nie potrafi się z tym pogodzić i w końcu zabija matkę. Spędzi cztery lata w więzieniu, a potem zostanie wydalony z Francji i wróci do Jugosławii. Z dnia na dzień jego trzej synowie zostali zdani wyłącznie na siebie. Jedna z ciotek zostanie ich prawnym opiekunem, ale jej wpływ na chłopców będzie nie większy niż wpływ ważki na trzy nosorożce. Drago schodzi na złą drogę, gubi się w tym wszystkim, popełnia drobne oszustwa i kradzieże w sklepach, nikogo już nie słucha, nienawidzi ojca i myśli tylko o tym, by pomścić matkę (dlatego właśnie Talia, która teraz rozmawia z chłopcem o blond włosach na plaży Renécros w Bandol, a od Jugosłowian i złodziei dzieli ją szmat czasu, gdy upłynie wiele lat i wielu ludzi umrze, pojedzie z Dragiem do Smedereva po jego akt urodzenia, aby upewnić się, że nie będzie starał się odszukać i zabić

swojego ojca). Bracia bez trudu potrafili uciec od ciotki i dorastali w Paryżu, zajmując najpierw służbówki, a potem pokoje w hotelach, zabierając się początkowo do drobnych kradzieży, a kończąc na włamaniach do sklepów. Z czasem zaczyna się nimi interesować policja. Sprawy przyjmują nieciekawy obrót. Drago, zagubiony i coraz bardziej wściekły, pozwala się nieść na fali, ale rozsądna, umiarkowana i wciąż jeszcze dziecinna część jego umysłu daje mu odczuć, że to nie jest właściwa droga. Próbuje więc zostać spawaczem, ale mu się to nie podoba – można go zresztą zrozumieć, myślę, że i mnie by się to nie spodobało. A potem, nagle, wpada na szalony pomysł i stawia się w punkcie naboru do Legii Cudzoziemskiej. Bo cóż mógłby robić innego? Zawsze to lepsze od spawania. Nie czuje się jednak za dobrze wśród tych zimnych typów, którzy, jak mu się wydaje, są zdolni do wszystkiego, po prostu nienormalni. I już drugiego dnia patrzy na mury, na okna, myśli tylko o tym, by stamtąd uciec, tak samo jak Stanislas Sulak, zanim stracił ramię. Jemu jednak się udaje, zabiera torbę i zmywa się tuż przed złożeniem podpisu. Dosłownie w ostatniej chwili. Czy to właśnie przesądziło o jego życiu? Nie, los nie zawsze rozstrzyga się w kluczowym momencie wielkiego i niezwykłego zwrotu. Drago wróci bowiem jeszcze do legii.

W Marsylii Stanislas wraz ze swoim portugalskim współnikiem przeżywają coraz trudniejsze chwile, obciążeni coraz wyższymi podatkami, które nie pozwalają im przyzwoicie wynagradzać robotników i przy okazji godziwie zarabiać. I wtedy wydarza się coś, co diametralnie zmieni życie całej rodziny, a więc Stanislasa i pośrednio także życie jego syna, Bruna. Wspólnik, człowiek, któremu zaufał, wyczuwając, że koniec firmy jest bliski, zabiera to, co zostało w kasie, i znika. Firma upada. Ale zdrada zraniła Stanislasa bardziej nawet niż klęska zawodowa i finansowa. Stworzył to przedsiębiorstwo od zera, mocą jednego tylko ramienia, poświęcił cały swój czas i całe swe serce, podczas gdy fałszywy przyjaciel zniszczył wszystko i powalił go na ziemię. Zrozpaczony popada w depresję i zaczyna pić. Marcelle widzi, jak jej mąż staje się bezradny, dzieci nie rozumieją, jak coś takiego mogło się w ogóle wydarzyć, patrzą na niego, nie wierząc własnym oczom, przerażone, zwłaszcza dwójka najstarszych, Pauline i Bruno. Ten ostatni nigdy nie zapomni tego zdradzieckiego ciosu ani podłego oszustwa, ani obrzydliwej kradzieży.

Kiedy Stanislas trochę się pozbierał po tych przejściach, zrezygnował ostatecznie z tapeciarsstwa, nie miał już bowiem ani energii, ani środków, aby zaczynać wszystko od nowa, i wspólnie z Marcelle postanowili zająć się prowadzeniem baru i restauracji. Nie było tam gramofonu, jak w Sidi Bu-l-Abbas, ale była za to szafa grająca. Przez trzy lata ciężkiej pracy za barem codziennie kładli się spać o drugiej w nocy, żeby wstać już o czwartej rano. Życie tapeciarsza było weselsze, a życie legionisty o wiele prostsze.

Bruno, przytłoczony nudą, porzuca szkołę. Po wakacjach, które spędził,

włóczęc się po swojej dzielnicy (dla rodziców nie jest to czas, aby gdziekolwiek wyjeżdżać, nawet do Cassis czy do Bandol), w dniu rozpoczęcia roku szkolnego nie wróci już do liceum. A w tamtym właśnie roku miał zdawać maturę, trudno, nie tego rodzaju dyplom go interesuje. Zresztą postara się później zdobyć ten dyplom, jakby nigdy nic, przywłaszczając go sobie dyskretnie dla potomności: podczas ostatniego procesu, który przypieczętuje jego los, leciwy prezes sądu, zabierając głos na rozprawie przed odejściem na emeryturę i przy tej okazji popisując się swoją znajomością ludzkiego życia (kiedy zacznie opowiadać o młodości Bruna, ten zachęci go, zwracając się do niego z powagą i w skupieniu: „Bardzo proszę, niech pan mówi dalej, ale jeśli się pan pomyli, przerwę panu...”), trochę pogubi się w szczegółach i wspomni dziwnym trafem o „maturze o profilu A”. Bruno wejdzie mu w słowo, uśmiechając się i korygując tę wziętą z sufitu informację: „Nie, panie sędzio, matura o profilu C”. Ten niewinny żarcik uczyni z niego już na zawsze posiadacza matury (a w każdym razie do momentu, w którym postanowiłem zachować się jak pies ogrodnika, pisząc te słowa – ale dlaczego się do tego wtrącam?), liczne bowiem gazety, które będą o nim pisać, odtąd nie zapomną nadmienić, w bardziej lub mniej szczegółowych notach biograficznych, które mu poświęcą, że Bruno Sulak, jako błyskotliwy uczeń, zdał maturę o profilu C w wieku siedemnastu lat (lub szesnastu, według co poniektórych). Będzie to jego ostatni wyskok, w samym budynku sądu strzeżonego przez całą kompanię CRS⁴ i strzelców wyborowych GIGN⁵, którzy zajęli pozycje na wszystkich okolicznych dachach: uda mu się ukraść maturę.

Tak więc tej nocy pod koniec sierpnia, kiedy postanawia nie wracać do liceum, budzi Pauline, która ma wyjechać dwa dni później w okolice Paryża do internatu Maison d'éducation de la Légion d'honneur, wyciąga ją po cichu z łóżka i zabiera (tutaj łatwo przeskoczyć mur i jest to świetne ćwiczenie, które przyda się w przyszłości) na tańce do godziny trzeciej nad ranem. Są sobie tak bliscy, że wyglądają jak zakochani, tym bardziej że Bruno nigdy się od niej nie oddala, pilnuje podpitych szakali krążących wokół, nie lubi, gdy zbyt nachalnie się jej przyglądają, a jeszcze mniej mu się podoba, gdy ktoś prosi ją do tańca: „To nie w porządku, oni przecież nie mogą wiedzieć, że jestem twoim bratem, i co to w ogóle są za goście?”. Tego wieczoru dwa razy wpada w złość, wścieka się, nie mogąc znieść braku kultury, szacunku albo po prostu rozumu u tych chamów, co to się ślinią i obmacują kobiety, aż w końcu powala jednego z nich na ziemię, żeby nauczyć go dobrych manier. Trzeba jednak było wracać do domu. Chociaż Pauline wie, że Bruno ma rację i jedynie broni jej honoru, a właściwie honoru ich dwojga, jest jednak trochę speszona falą przemocy, która wylewa się z serca brata.

Siedemset kilometrów dalej na północ, w Paryżu, podczas gdy Drago wpada w spiralę penitencjarną, w Levallois Novica, który tak samo jak Bruno porzucił szkołę i uciekł z internatu, bije się podobnie jak Bruno, ale coraz rzadziej na ulicy,

za to coraz częściej na ringu: zostaje mistrzem Paryża w wadze ciężkiej. Zaczynają się nim interesować w środowisku bokserskim, coraz więcej ludzi przychodzi zobaczyć, jak walczy wielki Jugol, który niszczy przeciwników, a na widowni w pierwszym rzędzie często zasiada sam Jean-Paul Belmondo. Jednak mistrzostwo Paryża w boksie nie przynosi zbyt wiele pieniędzy. Wieczorami więc Novica pracuje jako wykidajło w tancbudzie przy rue de Lappe, jeszcze parę takich spelunek się ostało. I dzięki niemu jest to jedno z najspokojniejszych i najbardziej bezpiecznych miejsc w stolicy: jego wzrost, postura mitycznego Kolosa, kwadratowa szczeka i ciemne oczy zniechęcają najbardziej nawet podekscytowanych do odgrywania chojraków. Kiedy z kolei ci bardziej roztargnieni poczują w okolicach nosa siłę jego pięści (obojętne której), mają do siebie gorzki żal, że nie wykazali się większą spostrzegawczością, i jakby zstąpiła na nich łaska (choć w pierwszej chwili nie mają takiego wrażenia), zamieniają się w baranki na następne pięćdziesiąt lat. Przy rue de Lappe, tak jak i w Levallois, nazywają go „Bokserem”, i jest to eufemizm.

Życie Bruna Sulaka, które staram się opowiedzieć w tej książce najlepiej, jak potrafię (to nie jest oczywiście wasz problem, ale jeśli wolno mi trochę ponarzekać – jest godzina 4.40 nad ranem, mam od dwóch dni potężnego kaca, wypaliłem tej nocy paczkę papierosów, na dworze pada, a przez tę pogodę lewa noga w kolanie sztywnieje mi i boli, to kwestia wieku, mam więc chyba prawo trochę się poskarżyć – no więc, to nie jest wasz problem, ale uwierzcie mi, opowiadanie o życiu Bruna Sulaka nie jest sprawą łatwą), zostało, rzecz jasna, ukształtowane przez to, co przeżył w dzieciństwie i w okresie dojrzewania, czy też przez życie jego ojca, a nawet dziadka policjanta i skrzypka, ale przyjęło ono ostateczny kierunek i rozstrzygnęło się bez jego udziału (nie tylko ten jeden zresztą raz) pewnego popołudnia w 1972 roku w barze dla Jugoli, przy nabrzeżu Sekwany, niedaleko la Villette, w restauracji, która dzisiaj nosi nazwę la Plage i gdzie dzisiaj jedynym Jugolem jest właściciel, niejaki Nenad, ale to w zupełności wystarcza, bo jest Serbem aż do bólu – co niesamowite i przejmujące, przynajmniej dla mnie, ów Nenad był piętnaście lat temu właścicielem Saxo Bar, przy rue de la Jonquière, gdzie spędzałem najmarniej dziesięć godzin na dobę. Przyjął do pracy pewnego majowego ranka młodą, jasnowłosą, najwyraźniej mocno stukniętą kelnerkę, niejaką Anne-Catherine, która dzisiaj jest moją żoną i śpi sobie spokojnie za ścianą, w naszej sypialni, ma dziewczęce kolana, a jej oddech jest jak zapach polnych kwiatów. W owym czasie było to jedno z takich miejsc, gdzie tęskniący za krajem emigranci schodzili się, aby pogadać, wypić, zjeść coś, pograć w karty lub w kości, bo zawsze dobrze jest się pokazać, zaznaczyć swoją obecność i, kto wie, można się komuś na coś przydać, w razie gdyby co. Tego popołudnia w Marsylii, kiedy Bruno, trochę zawstydzony swoim zachowaniem poprzedniego wieczoru w nocnej spelunie w obecności siostry, zrozumie wreszcie, co dalej zrobi ze swoim życiem

(za chwilę do tego przejdziemy), Novica spotyka o dwa lata starszego rodaka, z którym natychmiast się zaprzyjaźnia. To jeden z dwóch braci Draga, którego imienia nie podam (tak czasami będzie się zdarzać w trakcie całej tej opowieści, ale literatura ma swoje zalety, wystarczy bowiem wymyślić jakieś inne imię, poinformować o tym, jak nakazuje uczciwość, i efekt jest właściwie ten sam – a zatem nazywać się on będzie Goran). Odtąd obaj mężczyźni są przyjaciółmi i regularnie się spotykają, Goran (całkiem dobrze to wyszło) często chodzi popatrzeć, jak Novica trenuje w sali bokserskiej w Levallois, a wieczorami, gdy „Bokser” nie urzęduje przy rue de Lappe, idą rozweselić paryżanki w knajpach przy Grands Boulevards. Już po kilku tygodniach Goran wpada na pomysł, aby przedstawić przyjacielowi swojego młodszego brata. Umawiają się w barze, gdzie spotkali się po raz pierwszy, nad brzegiem canal de l’Ourcq, i tak jak Goran przeczuwał, Novica i Drago, obaj krewcy i uczciwi na swój sposób, natychmiast poczuli do siebie sympatię. Szybko ocenili się nawzajem i zaczęli darzyć się uznaniem i szacunkiem. Pochodzą mniej więcej z tych samych stron. Każdy z nich stracił matkę, choć z różnych powodów. I z różnych też powodów największym wrogiem każdego z nich jest ojciec. Poza tym nie chcą, żeby świat robił z nimi, co chce. Są do siebie podobni. Kiedy dziś opowiada o nich ten, którego nazwałem Goranem, słyszę od niego, że się „odnaleźli”. Pod koniec stycznia 1972 roku dwie postaci tej historii, Novica i Drago, są więc już razem.

Dnia 26 stycznia 1972 roku samolot typu DC-9 należący do linii lotniczej Jugoslovenski Aerotransport startuje z Zagrzebia do Kopenhagi z dwudziestoma ośmioma pasażerami na pokładzie. Nad Czechosłowacją w luku bagażowym wybucha bomba ukryta w walizce przez terrorystyczną organizację ustaszy, chorwackich nacjonalistów, samolot rozpada się na dwie lub trzy części i spada na ziemię z wysokości ponad dziesięciu tysięcy metrów. W katastrofie ginie dwadzieścia siedem osób. Dwudziestodwuletnia jugosłowiańska stewardesa, Vesna Vulović, która znajduje się w ogonie maszyny, jest tylko lekko oszołomiona (prawdziwa siła natury) i po upadku z wysokości dziesięciu tysięcy stu sześćdziesięciu metrów, co po wsze czasy pozostanie rekordem świata w prawdziwym swobodnym spadaniu (bez spadochronu, więc nie musi się obawiać nadmiaru konkurentów), ląduje na ziemi, wciśnięta w kawałek ogona samolotu niedaleko czeskiego miasteczka Kamenice. Młoda, śliczna Jugosłowianka nie jest jednak z cukru: ma połamane obie nogi i strzaskane trzy kręgi oraz pękniętą czaszkę, przez długie miesiące będzie całkowicie sparaliżowana i nie zapamięta nic z tego wszystkiego, co wydarzyło się od startu z lotniska w Zagrzebiu do przebudzenia się w szpitalu po dwudziestu siedmiu dniach spędzonych w śpiączce, ale przeżyje i stanie się bohaterką znaną na całym świecie, a szczególnie w swoim kraju. Także i dzisiaj, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, Vesna niczego nie pamięta.

Po dłuższym zastanowieniu Bruno w końcu wybrał swoją drogę życiową. Zwrot jest gwałtowny, jego decyzja zaskakuje całe otoczenie, lecz jest ona spójna: z jednej strony czuje się zagubiony w świecie, w którym nic nie wydaje mu się stałe ani godne zaufania, a z drugiej drzemie w nim dynamiczna siła i nie potrafi jej spożytkować, przepelnia go naturalna, nieokiełznana chęć podążania przed siebie i jedynie działanie może ją zaspokoić. Wybiera więc sport i armię, ponieważ tam wszystko jest prostsze i bardziej logiczne – pociągają go tak naprawdę nie tyle dyscyplina (a jeszcze mniej życie stadne – już chyba o tym pisałem, prawda?), ile jasno określone reguły. I pozwoli mu to być może, dodatkowo, zobaczyć kawałek świata. W pierwszej chwili jego rodzice są zbiti z tropu, Stanislas zastanawia się, czy to aby na pewno dobry pomysł, Marcelle wcale nie czuje się przekonana, ale ostatecznie są przecież znacznie gorsze rzeczy (huta, praca na roli, księgowość, narkotyki, gangi).

W wieku siedemnastu lat, wyznaczwszy sobie wcześniej cel w postaci wstąpienia do batalionu Joinville, Bruno zaciąga się na pięć lat do wojska i zostaje przydzielony do 21. Pułku Piechoty Morskiej we Fréjus. Od samego początku, jako nieodrodny syn swojego ojca, okazuje się świetnym żołnierzem, inni go doceniają i osiąga bardzo dobre wyniki we wszystkich dziedzinach, od sportu – co oczywiste – po władanie bronią, ale również w technikach walki i analizie trudnych sytuacji (udaję, że się na tym wszystkim znam, chociaż obawiam się, że mogę oszukać tylko dzieci, kobiety i takich jak ja dekwoników, ale spędziłem jedynie dwie i pół godziny w armii czy raczej jej przedsiönku, gdzie potraktowano mnie jak żalosego socjopatę). Tak więc robi wrażenie na przełożonych, jest najlepszy ze swojego rocznika, zarówno pod względem fizycznym, jak i intelektualnym, i już planuje się, że zostanie wysłany do Państwowej Szkoły Podoficerskiej w Saint-Maixent-l'École, w departamencie Deux-Sèvres.

Jednak po upływie zaledwie sześciu miesięcy pułkownik wzywa go do siebie i obwieszcza mu, że będzie musiał zerwać pięcioletni kontrakt ze względu na „wymogi służby”. Bruno nic z tego nie rozumie, stoi ogłupiały w biurze pułkownika i ma wrażenie, że ziemia się przed nim rozstępuje. Pułkownik, czując się najwyraźniej niezręcznie w tej idiotycznej sytuacji, wyjaśnia mu, że sędzia rodzinny z Marsylii postanowił zakazać mu dalszej kariery w wojsku, a chodzi o jakąś historię z kradzieżą motorynki... Pokazując się wszędzie na pięknym, niebieskim skuterze marki Peugeot 103, wielki głuptak zostaje oczywiście w końcu zatrzymany, po czym, cały czerwony i roztrzęsiony, w ciągu trzech minut, jakie upłynęły od aresztowania, wydaje szefa bandy, a sędzia, święcie przekonany o słuszności swoich świątłych decyzji w zakresie wychowywania przyszłych żywotnych sił narodu oraz w trosce o moralność publiczną, nie wymyślił nic

bardziej sensownego, tylko nakazał wydalenie Bruna z wojska. Złodziej w armii? Jak tak dalej pójdzie, wszystko się zawali. Jednakże ten wielkoduszny i wyrozumiały człowiek zaoszczędzi łobuzowi kary, na jaką ten zasługuje, a więc pobytu w więzieniu, i ograniczy się do odesłania go do jego naturalnego środowiska, to jest na ulice Marsylii. (A do tego spotyka się z niewdzięcznością ze strony młodych ludzi, nie usłyszy nawet żadnego „dziękuję”, w ogóle nic).

Bruno, który czuł, że wreszcie podąża jakąś normalną, odpowiednią dla niego drogą, jest kompletnie oszołomiony i może tylko żałować tej idiotycznej kradzieży, której jedynym celem była dziesięciominutowa przejażdżka po dzielnicy, z włosami rozwianymi na wietrze, ale jest już za późno i nie można cofnąć czasu. Tak więc pozostaje mu tylko wrócić tam, skąd przyszedł, do tego miasta, gdzie się dusi i gdzie czyhają na niego niebezpieczeństwa, znowu czeka go beznadziejna perspektywa bójek ulicznych; rzucony ponownie na pastwę nudy i przemocy ze względu na wymogi służby. Tak to już jest.

Patrząc z dystansu, gdybyśmy na przykład spróbowali przyjrzeć się życiu Bruna z góry, tak jak byśmy się przyglądali makiecie, przypomina ono labirynt – tak samo jest, jak sądzę, z każdym innym życiem, lecz w jego przypadku na każdym skrzyżowaniu otwarte są przed nim tylko jedne drzwi. Często zmienia też kierunek – widzę, jak jego mała sylwetka idzie korytarzami labiryntu – lecz tak naprawdę możliwa jest tylko jedna droga. Być może on tam na dole nie zdaje sobie z tego sprawy. Gdyby niektóre z tych drzwi otworzyły się przed nim, mógłby, tak jak inni, dokonać wyboru.

SĘDZIA SĄDU DLA NIELETNICH NIE JEST OGRANICZONYM KRETYNEM

Na szczęście sędzia, któremu powierzono niesamowitą sprawę kradzieży motorynki Peugeot 103, jest człowiekiem wrażliwym i mądrym, który pragnie wykonywać swoją pracę w sposób możliwie jak najbardziej rozsądny i pożyteczny. Wzywa do siebie Bruna Sulaka, wyjaśnia mu, że nie wolno kraść motorynek, a w dodatku głupotą jest kradzież motorynki, która do niczego nie jest nam potrzebna, ale przyznaje też, że ten młody człowiek wybrał teraz, jak się wydaje, właściwą drogę, więc udziela mu surowego ostrzeżenia i daje mu szansę, pozwalając wrócić do 21. Pułku Piechoty Morskiej we Fréjus. Bruno dziękuje mu i zostaje Laurentem Fignonem. Albo też starym, wrażliwym i mądrym pułkownikiem.

Gdy Bruno znowu znalazł się w pułapce, czuje się skończony, nie wie, co dalej z sobą zrobić, i boi się o swoją przyszłość. Nie jest to doznanie, które byłoby mu zbyt dobrze znane. Ma żal do sędziego i jemu podobnych – a przeczuwa, że jest ich wielu – że wywołali w nim ten lęk, który wzbudza w nim odrazę, ma do nich żal, bo nałożyli na niego karę, która zmieni jego życie, w dodatku, jego zdaniem, niewspółmierną w stosunku do banalnego wykroczenia. Nie powinien był kraść,

lecz nie zasłużył sobie przecież na tak stanowcze potępienie. Aby to jakoś znieść i przestać się bać, uzbraja się w zimną złość, która nigdy już go nie opuści. Zrozumiał, że nie może liczyć, by prawo silniejszego było kiedykolwiek po jego stronie. Trzeba więc będzie znaleźć inne sposoby radzenia sobie, aby życie nie stało się zbyt smutne. Później napisze o tym czasie, gdy ograniczony sędzia, ten kretyn, wepchnął go ponownie w marsylski zgiełk: „Byłem jak dziewicza płyta gramofonowa, która wyrusza do tłoczni”.

Przez trzydzieści siedem lat Vesna Vulović była czymś w rodzaju gwiazdy w swoim kraju, kobietą, która spadła z wysokości dziesięciu tysięcy metrów i niemal otrzepała sobie tylko pyłek z kolan. Wpisana do *Księgi rekordów Guinnessa* (certyfikat wręczył jej sam Paul McCartney), była żywym – choć trochę nadwerężonym – dowodem siły i odporności Serbów oraz gościnnej i sprężystej czechosłowackiej ziemi. Tak było do stycznia 2009 roku, kiedy to dwaj dziennikarze niemieccy i jeden czeski, którzy uzyskali dostęp do niektórych archiwów lotnictwa cywilnego i rządu czechosłowackiego, stwierdzili, że cała ta piękna historia o cudownym upadku była zwykłym oszustwem. Według nich na pokładzie DC-9 nigdy nie było żadnej bomby podłożonej przez skrajnie prawicowych chorwackich terrorystów – komunistycznym tajnym służbom było na rękę, aby wszyscy w to uwierzyli. Samolot, który utracił wysokość w wyniku usterki technicznej, przez pomyłkę przelatywał nad terenem, gdzie składowano broń jądrową i został strącony przez myśliwiec armii czechosłowackiej niecały tysiąc metrów nad ziemią. Maszyna rozbiła się na zalesionym i pokrytym śniegiem wzgórzu (kilku świadków widziało samolot w płomieniach lecący na bardzo niskim pułapie, a narysowane przez śledczych plany, gdzie zaznaczono rozrzucone szczątki maszyny, wskazywały, iż był to zdecydowanie zbyt mały obszar, aby samolot rozpadł się wysoko w powietrzu). Vesna rzeczywiście jako jedyna przeżyła tę katastrofę, ale została odnaleziona w środkowej części kadłuba, na wysokości skrzydeł, a nie w ogonie (co, według niektórych, optymistów i marzycieli, wyjaśniało fakt, że wyszła z tego cało, spadając z tak dużej wysokości). W pierwszej chwili, choć niczego nie pamiętała, oświadczyła, że nie wierzy w tę nową wersję wydarzeń, mimo że w żaden sposób tego nie uzasadniła. Powiedziała jednak, że nie ma to dla niej większego znaczenia i że jest jej obojętne, czy jest bohaterką czy nie – co przede wszystkim pozwoliło jej uniknąć aresztowania przez Miloševicia, kiedy w 1990 roku manifestowała przeciwko jego programowi „etnicznego nacjonalizmu”. Kiedy zapytano ją, co czuje, dowiadując się, że jednak nie spadła z wysokości dziesięciu tysięcy metrów (to samo pytanie moglibyśmy zresztą zadać każdemu), odpowiedziała: „Cieszę się”.

Tymczasem w Paryżu o wielkim Novicy Živkoviću robi się coraz głośniejsze. Nabiera pewności siebie, czuje się silny i udaje mu się skierować swoją złość we właściwym kierunku, co pozwala mu się rozwijać: w 1972 roku, w wieku dziewiętnastu lat, zostaje bokserskim mistrzem Francji w wadze ciężkiej. Novica to twardy Jugol, wojownik, który nikogo się nie boi, za to wszyscy ci, którzy odważą się postawić nogę na ringu, gdzie on już na nich czeka, trzęsą się jak osika. I nie ma żadnych powodów, aby nie miało tak dalej być, uderza i zawsze będzie uderzać, nie ma powodu, aby nie otworzyło się przed nim świetlane i pełne wrażeń życie, aby nie miał jeszcze przez długi czas podnosić pięści w geście zwycięstwa. Przyciąga do sal tłumy, a jego niezwykła, wybuchowa osobowość, emanująca od niego siła i charyzma sprawiają, że wiele osób pragnie poznać go bliżej: najpierw Jean-Paul Belmondo, a potem René Chateau, przyjaciel i współnik gwiazdy filmowej, którzy po walce zapraszają go pewnego wieczoru na kolację. Są oczarowani, jemu to schlebia, dostaje się do eleganckiego, błyszczącego świata. Jego młodszy brat Miki ma zaledwie sześć lat, ale już wie, kto to jest Belmondo, więc jego Batę, który spotyka się ze słynnym aktorem, otacza w oczach Mikięgo aura jeszcze większego prestiżu i magii: kiedy jest się tak silnym, zapomina się o strachu, niszczy przeciwników i idzie się do restauracji na kolację z Belmondem. Lecz Novica zaprzyjaźnił się przede wszystkim z René Chateau. Jest on prawym i odważnym człowiekiem, takim, jakich lubi. Poznał Belmonda w 1965 roku, kiedy przeprowadzał z nim wywiad dla pisma „Lui” podczas zdjęć do *Szalonego Piotrusia*. Dwa lata później na zlecenie Warner Bros przygotowywał we Francji premierę filmu *Bonnie i Clyde* – pracując nad promocją filmu, pewnego wieczoru pokazał go Serge’owi Gainsbourgowi i udało mu się go przekonać do skomponowania piosenki o tej wyjętej spod prawa parze: następnego dnia rano piosenka była gotowa (przy czym Gainsbourg nie bardzo się namęczył, jeśli chodzi o tekst, bo po prostu przetłumaczył niemal słowo w słowo wiersz, jaki tuż przed śmiercią napisała sama Bonnie Parker). Rzecz jasna, bardzo się to podoba Novicy. Jego nowi koledzy, Jean-Paul i René, odkrywają przed nim świat, o którym nawet nie odważył się marzyć, kiedy mieszkał z dziadkiem Cvetkiem w Leskovacu, pragnął się jedynie do niego nieco zbliżyć tego dnia, kiedy jako nastolatek, wyprostowany i z wysoko uniesioną głową, opuścił Levallois-Perret i przedmieścia. Teraz od czasu do czasu robi za ochroniarza, zachodzi na kolację do słynnych restauracji, spotyka się ze znajomymi. (Przyjaźń z tymi dwoma bardzo mu się przyda parę lat później, kiedy po raz kolejny znajdzie się w innym świecie i zakpi sobie w niezwykłym stylu ze wszystkich policjantów we Francji, grając rolę gliniarza w najczęściej oglądanym i wyświetlanym filmie w czasie, gdy jest najbardziej poszukiwaną osobą w kraju). Ten nowy kierunek, w jakim teraz

zmierza, oddala go jednak od Gorana i od jego brata Draga, z którym tak spontanicznie zaprzyjaźnił się w barze przy canal de l'Ourcq – przy czym nie chodzi tu o lekceważenie, a już na pewno nie o lęk przed tym, że tego rodzaju znajomości mogą mu poważnie zaszkodzić, ale tylko i wyłącznie o to, że jest po prostu zajęty gdzie indziej.

Drago w tym czasie pogrąża się coraz bardziej, włóczy się po Paryżu, na jego koncie mnożą się idiotyczne, nieopłacalne i źle przygotowane kradzieże. Jego matka nie żyje, ojciec siedzi w więzieniu, brat się ustatkował, a jego przyjaciel Novica odwiedza restauracje przy Champs Élysées, nie ma więc zbyt wiele do stracenia – z wyjątkiem wolności, ta jednak nie trwa zbyt długo: zostaje wreszcie zatrzymany i skazany na osiem miesięcy więzienia za kradzież paru banknotów ze sklepu spożywczego w Dzielnicy Łacińskiej. (W związku z tą sprawą sąd wydaje postanowienie o wydaleniu go z kraju, ale ta decyzja nigdy nie zostanie do niego wysłana – a w każdym razie nigdy jej nie otrzyma). Bardzo źle znosi więzienie – niewielu zresztą jest chyba takich, którzy wpadliby w zachwyty, gdyby ich zamknąć w ciasnej, zatęchłej celi pod okiem gotowych na wszystko klawiszy, ale on rzeczywiście ma wrażenie, że się dusi. Kiedy już opuści celę więzienną, wie, że będzie musiał bardzo uważać, aby nie wrócić do klatki, dopóki nie wyciągnie się na chwilę na trawie, z tym że nazbyt spokojne i monotonne życie i ciągłe przeliczanie drobnych w kieszeni przerażają go niemal tak samo. Znowu więc kradnie, tyle że teraz jest bardziej ostrożny. Na szczęście po kilku miesiącach spotyka przypadkowo w jakimś barze jednego z gliniarzy, którzy go wcześniej zapudłowali, gliniarz jest jednak życzliwy, wyjaśnia mu, iż musi z tym zerwać, że dalej tak być nie może, jest już za dobrze znany, więc następnym razem jego koledzy dorwą go jak nic. Poradził mu, żeby wstąpił do Legii Cudzoziemskiej. Drago waha się, gdyż wpadł już przecież z mało obiecującą, krótką wizytą do tych wariatów, ale przyjazny błysk w oku policjanta, który podkreśla możliwość uprawiania tam sportu, codziennie dużo sportu, to już jest coś, a do tego nieco ciepła w jego głosie, wszystko to przekonuje go, by mu zaufać. Tak więc 4 września 1974 roku zgłosi się do legii – tym razem oprze się pokusie, by uciec, i podpisze kontrakt. Wyruszy więc drogą, na której później spotka Bruna Sulaka.

W tym samym czasie Bruno siedzi na miejscu, nie wie, co z sobą zrobić, kręci się w kółko, ma poczucie ogólnej stagnacji. Zanurzony w marsylskim bagienku, znowu spotyka się z dawną bandą nierobów o podwyższonym poziomie testosteronu, coraz rzadziej wraca na noc do domu (rodzice, którzy pracują dwadzieścia dwie godziny na dobę w restauracji, nie mają nawet czasu, żeby to zauważyć, a co dopiero przejąć się tym albo spróbować jakoś temu zaradzić), i tak jak mógłby przewidzieć pierwszy lepszy jarmarczny wróżbita, któregoś przeraźliwie nudnego wieczoru pod koniec zimy 1973 roku, po części po to, aby się zabawić, ale też w głębi duszy chcąc pokazać bezmyślnemu sędziemu, że warto

czasami chociaż przez dwie sekundy się zastanowić, kradnie tym razem, wspólnie z trzema wesołymi kolesiami, już nie motorynkę, ale samochód. Jeżdżą autem przez godzinę, aż wreszcie zatrzymuje ich nocny patrol.

Następnego dnia o godzinie 11.00 przed południem, kiedy zakuty w kajdanki siedzi w biurze centralnego komisariatu w Marsylii, który mieści się w dawnym pałacu biskupim, widzi swoją siostrę Pauline. Dotąd nie przejmował się tym, co może go spotkać, bardziej niż złym horoskopem kuzynki, ale tym razem, widząc niepokój i niedowierzanie na zrozpaczonej twarzy siostry, poczuł się bardzo źle. To przez niego znalazła się tutaj, a na jej ramieniu zaciskają się zakrzywione jak szpony palce policjantki.

Po ukończeniu poprzedniego roku nauki Pauline, tęskniąc za rodziną, wyjechała z Saint-Germain-en-Laye i opuściła Maison d'éducation de la Légion d'honneur, aby zapisać do Institut Saint-Vincent-de-Paul w Marsylii. I stamtąd właśnie tego ranka policja zabrała ją prosto z lekcji: „Chodzi o twojego brata, pójdiesz z nami”. Kazali podpisać zwolnienie siostrze przełożonej, a potem zabrali Pauline do pałacu biskupiego, gdzie przesłuchiwali ją, jakby zorganizowała wielki skok na Banque de France. Kiedy ujrzał ją, delikatną i zagubioną, na komisariacie, Bruno nie wierzył własnym oczom: jaki ona może mieć ich zdaniem związek z kradzieżą samochodu dokonaną przez czterech znudzonych łobuzów? Bruno ma do siebie żal. Kiedy Pauline wychodzi z biura popychana przez policjantkę o twarzy rzeźnika, słyszy dochodzący z korytarza głos ojca, który krzyczy, że jego syn może popełnił jakąś głupotę, ale to jeszcze nie powód, żeby przesłuchiwać nieletnią jak jakiegoś kryminalistę, ona z tym nie ma nic wspólnego, nie mają prawa, grozi, że złoży na nich skargę. Bruno czuje się źle. Gliniarze zatrzymają jednak jego siostrę aż do godziny 16.00. On zostanie szybko osądzony i po raz pierwszy w życiu skazany na karę więzienia.

Bruno wziął na siebie całą winę za kradzież samochodu – podobnie będzie postępował w późniejszych latach – próbując, na ile się da, odciążyć czerwonych ze wstydu współników (niech przynajmniej trzech z ich czwórki potraktują lżej, przecież to on jest szefem bandy, musi więc wziąć to na siebie). On dostaje cztery miesiące więzienia, oni – miesiąc. Cztery miesiące za godzinę jazdy samochodem.

Kiedy Pauline przychodzi zobaczyć się z nim w rozmównicy, uśmiecha się do niej. Wszystko jest zimne i wilgotne, nieludzkie, lecz pomimo młodego wieku trzyma się mocno, jak stary twardeł, którego nic nie rusza. Przynajmniej takie sprawia wrażenie. W środku jednak miałby ochotę wyć. Stanislas, jego ojciec, który sporo napłakał się tego wieczoru, kiedy go aresztowano, uprzedził, że go nie odwiedzi. Nie dlatego, żeby go w ten sposób ukarać albo pokazać, że ma do niego naprawdę pretensje (zjawi się, żeby powitać go z otwartymi ramionami, gdy będzie wychodził z więzienia), lecz dlatego, że nie mógłby znieść widoku syna w zamknięciu, oddzielonego od świata: trzeba na wszystkie możliwe sposoby unikać więzienia, nawet wtedy, gdy się jest na zewnątrz. Bruno zapamięta sobie dobrze tę zasadę. Ale tymczasem, spotykając się w rozmównicy z Pauline, uśmiecha się do niej.

Po czterech miesiącach, kiedy wszystko w środku się w nim gotuje, wychodzi wreszcie na wolność, gdzie na świeżym powietrzu naprzeciwno więzienia czeka już na niego cała rodzina, która zajęła miejsce w kawiarnianym ogródku (nazwa kawiarni brzmi: Tutaj jest Lepiej niż Naprzeciwno), jest ciepło, a niebo błękitne. Po powrocie do domu Bruno ma tylko dwa pragnienia: chce wziąć pierwszą od czterech miesięcy kąpiel i prosi matkę, aby upiekła mu tartę cytrynową. Uwielbia tartę cytrynową, którą piecze matka.

W ciągu następnych tygodni znowu dopadają go niepewność i strach. Kusząca i groźna Marsylia wiruje wokół, kumple wciąż wałęsają się po mieście, a w powietrzu wiszą głupie pomysły i przemoc. Zaczyna żałować, że zrezygnował z nauki w liceum, widzi coraz wyraźniej, że może się stoczyć i pozostać już na zawsze żalnym marsylskim łobuzem, przytłacza go to i zaczyna panikować. A przecież jedynym sposobem, aby pokonać strach, jest przejście do działania. Pewnej niedzieli zabrałem swojego dziewięcioletniego syna na Stade Français, do Boulogne, gdzie jego drużyna koszykówki miała zagrać w półfinale mistrzostw Paryża. W metrze był bładny jak ściana, biel na jego twarzy była taka sama jak kolor koszulek, w jakich mieli wystąpić jego przeciwnicy (Paris-Jean-Bouin, naprawdę groźni goście), cały się trząsł i powtarzał: „Boję się, tato, boję się”. Zawsze się bał przed każdym meczem i to go paraliżowało na boisku, tak jakby nie mógł zapanować nad własnymi rękami i nogami, nigdy nie było go tam, gdzie być powinien, piłka przelatowała mu przed nosem, aż żal było patrzeć. Moją rolą ojca

było pomóc mu pokonać strach, ale łatwo powiedzieć... Tłumaczenie komuś, kto się boi, że nie powinien się bać, jest równie mądre i przydatne, co powtarzanie komuś, komu chce się spać, że nie powinien zasypiać. W tym wypadku przyjąłem za punkt wyjścia – jak zresztą mam w zwyczaju – to, co najprostsze, coś, czego sam się zawsze trzymam: moje krótkie studia naukowe (niech to się na coś przynajmniej przyda). Jeśli strach paraliżuje, oznacza to, że jest on wrogiem działania, wrogiem ruchu. Logicznie rzecz biorąc, ruch, który nie może przecież – no bo niby z jakiej racji – zachowywać się jak mięczak, jest więc wrogiem strachu. Są to dwaj ścierający się bezpośrednio przeciwnicy: jedynie ruch pozwala przewyciężyć strach. W tym zaś przypadku, na boisku, strach blokował mięśnie rąk i nóg mego syna. Wystarczyłoby więc obudzić je, aby postawić strach w trudnej sytuacji, należało mechanicznie wprowadzić w ruch ścięgna i mięśnie, jak u robota, pobiegać najpierw trochę bez powodu, w razie potrzeby wymachując dyskretnie ramionami, a z chwilą, gdy strach niespodziewanie się oddali, nie dawać mu już okazji, by powrócił. Ta technika jest, rzecz jasna, skuteczna nie tylko w odniesieniu do sportu: jeśli boimy się wejść do sklepu, żeby kupić spodnie (a zdarza się to najdzielniejszym z nas), wystarczy postawić jedną nogę przed drugą i powtórzyć tę czynność tyle razy, aż dojdzie się do działu ze spodniami; jeśli boimy się zabierać publicznie głos, wystarczy ruszyć w stronę podium, pokonać dwa stopnie, podnosząc nogi, a potem uruchomić struny głosowe; poza tym, co oczywiste, gdyby posunąć to rozumowanie jeszcze dalej, ucieczka także może być skutecznym sposobem na pokonanie strachu. Zaraz po rozpoczęciu meczu ujrzałem, jak mój syn zaczyna biegać tam i z powrotem jak pomyłony, który biega tylko po to, żeby biec. Nie minęło nawet trzydzieści sekund, kiedy nagle odwrócił się, spojrzał w moją stronę i uśmiechnął się do mnie szeroko. Strach go opuścił. Rozegrał najlepszy mecz w swojej króciutkiej karierze, był przy każdej piłce, zaliczył wszystkie zbiórki z tablicy i trafił osiem razy do kosza. Mimo to, niestety, i tak przegrali piętnastoma punktami. No ale olbrzymy z Paris-Jean-Bouin są naprawdę groźne. Starając się pokonać lęk przed ponurą przyszłością, jaka czekała go na Canebière, Bruno, instynktownie (nie ma matury, ale przecież nie wszyscy muszą mieć wybitne osiągnięcia w szkole, a on naukę ma w duszy), postanawia działać. Pod koniec 1973 roku kończy osiemnaście lat, z własnej inicjatywy zgłasza się, zanim otrzyma wezwanie do odbycia służby wojskowej, do oddziału Czerwonych Diabłów w Colmar, daleko od Marsylii. Zaciąga się do 152. Pułku Piechoty Liniowej, uważanego za najlepszy pułk we Francji, którego dewizą jest: „Nigdy się nie poddawać!”. Rodzice odetchnęli z ulgą.

Tak jak wtedy, gdy stawiał pierwsze kroki w armii, dopóki sędzia rodzinny nie wyciął mu tego brzydkiego numeru, od razu wszystkich zaskakuje, jest świetny, bardzo się przykłada, uprawia zapamiętałe sport, trenuje tak ostro, że czasami nie jest już w stanie chodzić. Gra w piłkę nożną, jeździ na nartach, uczy się karate.

Zgłasza się na staż do komandosów, aby nauczyć się spadochroniarstwa, które go fascynuje: chce skakać, spadać, lądować. Już po krótkim czasie zostaje awansowany do stopnia kaprała, a zaraz potem starszego kaprała, wspina się tak szybko jak jego ojciec po szczeblach kariery wojskowej. Doskonali się w szachach. Pisze do rodziców, aby wysłali mu książkę: *Papillon* Henriego Charrière'a.

Pewnego dnia, kiedy podczas czterodniowej przepustki w Marsylii szuka w szufladzie talii kart, niespodziewanie trafia na papiery ojca. Wszystkie dokumenty na temat krzyża wojennego, odznaczenia z palmami, orderu Legii Honorowej. Nic o tym wcześniej nie wiedział. Wkłada kurtkę, od razu pędzi do restauracji rodziców i pyta ojca, dlaczego nigdy mu o tym nie mówił, dlaczego ukrywał przed nim, że jest bohaterem, a w każdym razie, że inni uważają go za bohatera. Widząc, co się maluje na twarzy syna, zupełnie zaskoczony Stanislas czuje, że to, co mu powie, będzie naprawdę ważne. Odpowiedź nasuwa mu się całkiem naturalnie:

– To nie twój problem. To dotyczy mnie, nie ciebie. I nie nakręcaj się pod pretekstem, że twój ojciec jest rzekomo bohaterem. Rób swoje, bo na razie niczego jeszcze nie udowodniłeś, a będziesz musiał to zrobić.

*

Wiosną 1974 roku w Paryżu, w knajpie, do której zaprowadził go René Chateau, Novica, znany już bokser, spotyka ładną dziewczynę o dobrych manierach, ale też o wybuchowym charakterze; podoba mu się to i w niespełna trzy minuty zakochuje się w niej. Od razu wie, że nie dopisze jej do długiej listy łatwych i zapomnianych następnego dnia podbojów, tych ulotnych przyjemności, których zaznał w paryskie noce jako przystojny chłopak. Jest zaskoczony, dowiadując się, że dziewczyna ma zaledwie szesnaście lat, ale co tam, zadziwia go przez to jeszcze bardziej. Ma na imię Nadine, pochodzi z porządnej rodziny z Cherbourga, mieszka w Paryżu, gdzie studiuje prawo, jest nad wiek dojrzała (później będzie pracowała jako prawniczka dla Compagnie française des pétroles, która w 1985 roku zmieni nazwę na Total – ale Nadine odejdzie z firmy rok wcześniej i zresztą wszystko zostawi rok wcześniej). Do niespodziewanej miłości dochodzi jeszcze w przypadku Novicy, przynajmniej na samym początku, mniej szlachetne, ale zrozumiałe uczucie, którego zresztą nie powinien się wstydzić: dla tego rozrabiaki emigranta, słabo jeszcze władającego językiem kraju, który go przyjął, ta stuprocentowa Francuzka, tak urocza i tak dobrze wykształcona, stanowi coś w rodzaju trofeum, pięknej zdobyczy, z której jest niezwykle dumny. Tak dumny, że potrafi stłumić w sobie niechęć do ojca na jeden przynajmniej wieczór, aby zawieźć swój łup na kolację do rodziców w Levallois-Perret. Ale sprawy nigdy nie układają się tak, jak sobie życzymy. Owszem, ośmioletni Miki jest po raz kolejny zafascynowany starszym bratem i zdobytym przez niego skarbem

o włosach w kolorze blond (i olśniony, nie przypuszcza nawet przez chwilę, że dziesięć lat później spędzi na drugim końcu świata długie miesiące sam z tą nieprzystępną istotą, która będzie przyczyną wielu jego trosk). Ale Krsta i Kata, na których nie wywarła ona żadnego wrażenia, najwyraźniej nie polubili Nadine. Uważają, że z jednej strony jest dla niego za młoda, a z drugiej, że zachowuje się jak snobka i jest źle wychowana (naprawdę niezłe przegięcie!), arogancka, a nawet bezczelna. Jest zanadto pewna siebie. Podczas kolacji jest mało przyjemnie, Novica żałuje, że wyobrażał sobie, iż mógłby ugłaskać albo oczarować ojca – ponurego, chamskiego gbura. I sam czuje się z tym trochę głupio. Nie zmienia to jednak w żadnym stopniu jego uczuć do Nadine, którą będzie kochał przez całe życie, nawet wtedy, gdy zniknie już jego chłopięca duma. Ona także zawsze będzie go kochać. A kiedy wszystko się skończy, wtedy wyruszy, zrozpaczona, na drugą stronę Atlantyku. Dzisiaj ma męża i mieszka niedaleko Seattle.

Na początku 1975 roku Bruno wraca do Marsylii. Ostatecznie po rocznej służbie nie zaciągnął się na stałe do Czerwonych Diabłów, tak jak planował wcześniej. Armia wydała mu się jednocześnie zbyt sztywna i zbyt miękka. Niebawem skończy dwadzieścia lat, nabrał pewności siebie, czuje, że jest silniejszy i mądrzejszy, wie również, iż nie wróci do ulicznych przestępstw, a szczęśliwym właścicielom motorynek nic już – w każdym razie z jego strony – nie grozi. Bruno jednak musi się czymś zająć. Ojciec znajdzie trochę czasu w niedzielę, żeby nauczyć go podstaw tapeciarstwa, zawsze byłoby to coś, choćby niewielkiego, przynajmniej na początek. Jednak tapeciarstwu Bruno mówi zdecydowanie nie. Tapeciarstwo go usypia. Znajduje więc pracę jako barman w barze na dworcu Saint-Charles, dwanaście godzin dziennie, ale nie jest to o wiele bardziej ekscytujące. Zarabia trochę pieniędzy, zawsze to coś, ale podawanie kawy przez cały dzień obojętnym i spieszącym się klientom, jak posłuszny, ubrany na czarno-biało automat, to nie jest życie dla niego, myśli, wydając resztę. Rezygnuje więc z pracy na dworcu (Marcelle i Stanislas zaczynają się niepokoić, ale mimo wszystko go rozumieją) i próbuje swych sił w London Clubie, barze-dyskotece przy Corniche, kilka metrów od morza. W nocy jest trochę ciekawiej, a w dodatku są to początki ery disco, które pojawiło się dwa, trzy lata wcześniej, Gloria Gaynor i George McCrae, jest kolorowo i dużo świateł, Bruno bawi się więc trochę lepiej i czaruje wszystkie dziewczyny, które przewijają się przez knajpę. W te rzadkie wieczory, kiedy nie pracuje, zachodzi do innych lokali, budzi się rano w ramionach kolejnych dziewczyn, ale szybko zdaje sobie sprawę, że kręci się tylko w kółko, tak jakby wciąż trwała jedna i ta sama noc, która niczym go nie zaskakuje: znowu czuje się wtłoczony w zbyt ciasną egzystencję. Proponują mu kilka lewych numerów, jakieś drobne kradzieże i małe przekręty, ale Bruno odmawia, nie rusza go to, a przede wszystkim nie ma ochoty wylądować znowu w więzieniu. Jest pełen energii, sił i odwagi i teraz właśnie powinien to wykorzystać, a nie za trzydzieści lat. Po trzech miesiącach pracy za knajpianymi barami idzie zobaczyć się z ojcem i zamawia u niego kawę.

– Nie mogę tak dalej żyć, tato. Wstawać, iść do roboty, potem kłaść się spać i znowu wstawać, iść do roboty... Zarabiać mało, potem to wydawać i na tym koniec. Nie mogę tak żyć. Muszę się ruszyć i jakoś się od tego oderwać.

Stanislas kiedyś też odczuwał to samo, i to nie raz (pamięta, co sobie pomyślał, kiedy jego ojciec powiedział do niego: „Od czegoś trzeba zacząć, takie jest życie”), i teraz może tylko się z nim zgodzić:

– Rób to, co chcesz.

Życie Bruna zaraz się zmieni, tak samo życie Novicy, tyle że on wcale tego nie chce. W Cap-d'Agde, gdzie spędził kilka cudownych dni z przyjaciółmi

Belmonda i René Chateau, podczas nurkowania Novicy zdarzył się wypadek, którego o mało nie przyplącił życiem: wyciągnięto go w ostatniej chwili na powierzchnię, ma kilka pękniętych kręgow szyjnych. Nigdy już nie wejdzie na ring, gdyż mocny cios mógłby mu złamać kark. Po roku bolesnej rekonwalescencji znów widuje się go na ulicach Paryża, jest silny tylko pozornie, jakoś tam jednak funkcjonuje dzięki dawnym kontaktom, pracując jako ochroniarz dla kilku aktorów, w tym oczywiście dla Belmonda, ale potem nudzi go to (on także marzy o czymś innym) i coraz częściej pojawia się w miejscach, gdzie spotykają się Jugosłowianie, i choć jest tam niebezpiecznie, to jednak bardziej obiecująco, jeśli się ich nie bać. A on się nie boi. Zrywając z poprzednim życiem, zmienia imię na Steve. Prawdziwa klasa, brzmi bardziej amerykańsko, jak Steve McQueen. Zresztą porzuca też swój dawny przydomek: „Bokser”, skoro już nie boksuje, staje się „Wielkim”. Dzięki swojej charyzmie, autorytetowi i wielkoduszności Steve, Wielki, w ciągu kilku zaledwie miesięcy zdobędzie sobie uznanie i stanie na czele całej serbskiej wspólnoty, która kradnie i kombinuje w mrocznych zaułkach Paryża. Jest uwielbiany przez tych, którzy go otaczają, wszyscy wiedzą, że zawsze można na niego liczyć i że będzie im pomagać, bronić ich, wskazywać drogę albo wręczać prezenty, wzbudza strach, ale i szacunek także wśród swoich wrogów (biedni ludzie). Jeszcze dzisiaj, trzydzieści pięć lat później, na spacerkach aresztów i więzień w różnych miastach we Francji starzy Jugosłowianie mówią o Wielkim z ogromnym przejęciem, podziwem i nostalgią. Wpadłem parę dni temu na jednego do la Plage, do Nenada, byłego właściciela Saxo Baru, który nie ma wiele wspólnego z bandytyzmem, jest zresztą za młody, żeby pamiętać tamte czasy, i powiedziałem mu, że piszę teraz książkę o Brunie Sulaku i że nigdy nie wiadomo, może jedna z postaci będzie mu się z czymś kojarzyła. Kiedy tylko powiedziałem „Steve”, popatrzył na mnie z uśmiechem, tak jakbym wspominał o Wercyngetoryksie albo o Zorro.

Podczas gdy Bruno pracuje na dworcu Saint-Charles, jego młodszy brat Denis, zły, że wciąż powtarzają mu, iż jest młody i niedoświadczony, przerażony – jak każdy, choć wielu godzi się na to – perspektywą pracowania po piętnaście godzin dziennie w barze albo na budowie, wstępuje do Legii Cudzoziemskiej (tak jak Stanislas dwadzieścia siedem lat wcześniej, a poprzedniego roku Drago), do 2. Cudzoziemskiego Pułku Powietrznodesantowego (REP)⁶, z bazą w obozie Raffalli, w Calvi. Trochę później, kiedy Bruno obwieści ojcu, że chce się „stąd ruszyć i oderwać od tego”, już dobrze wie, co zrobi: zaciągnie się do Legii Cudzoziemskiej. On także dołączy do 2. REP, nie mówiąc o tym młodszemu bratu, któremu chce zrobić niespodziankę, lądując na Korsyce w zielonym berecie.

2. REP dysponujący ośrodkiem dla spadochroniarzy jest jedyną jednostką, która sama zajmuje się ich szkoleniem. (Wikipedii wtedy jeszcze nie było, ale Bruno mimo wszystko o tym wiedział). Dewiza jednostki brzmi *More Maiorum*:

„Tak jak starożytni”. A refren ich pieśni głosi: *Mamy z sobą nie tylko broń, bo także diabeł z nami idzie.*

W czasie gdy Bruno Sulak otrzymuje w legii nowe imię i nazwisko, teraz nazywa się Bernard Suchon (trochę gorzej to brzmi) i jednocześnie staje się Belgiem, Talia opuszcza dom rodziców w Bédarrides i wynajmuje wspólnie z trzema przyjaciółkami mieszkanie w Awinionie. Kiedy Bruno, czyli Bernard, słucha bez szemrania rozkazów przełożonych, dla niej kończy się czas zdyscyplinowanej i uporządkowanej egzystencji. Dobre siostrzyczki nadal będą się modlić, tyle że już bez niej. Wreszcie będzie mogła robić to, na co ma ochotę, nie musząc się nikomu spowiadać, i wkrótce zacznie podróżować: najpierw pojedzie do Włoch, a potem do Hiszpanii i Grecji. Przyszłość Steve'a, jak na razie, nie wygląda różowo: z powodu dziecinnego błędu (nie podjął wystarczających środków ostrożności, kiedy postanowił wytłumaczyć, nie certując się zresztą, podstawowe zasady savoir-vivre'u znanemu w środowisku Jugoli łajdakowi, który zarabiał na chleb, wymuszając haracz od swoich ziomków robotników z fabryki Citroëna w Levallois-Perret; ów typ oberwał mocno po pysku, na co w oczach ogółu jak najbardziej zasłużył, ale nie w kaprawych ślepiach tego szubrawca, który od razu pobiegł wypłakać się na policję) dostał osiemnaście miesięcy bez zawiasów (nie ma co, naprawdę ostro mu przywalił) i trafił do więzienia Fleury-Mérogis, gdzie siedział już Goran, brat Draga. Nie mogąc znieść zamknięcia (czy naprawdę nikt w tej całej historii nie lubi więzienia?), Steve prosi, żeby przynajmniej umieszczono go w tej samej celi co przyjaciela. Prosi o to kilkakrotnie. Ponieważ nikt go nie słucha, a eksbokser nie należy do tych, którzy odpuszczają, postanawia podjąć proste działania: ucieka z warsztatu, gdzie pracuje, wspina się na dach, oblewa benzyną i pokazuje ogień zapalniczki, którą trzyma w wyciągniętej dłoni. Z wysoka raz jeszcze prosi, aby przeniesiono go do celi przyjaciela, bo inaczej się podpali. Tym razem go posłuchano. A więc nie było to znowu takie trudne: resztę kary odbędzie w jednej celi z przyjacielem.

Kiedy wyjdzie na wolność, rozumiejąc już, że będzie odtąd chodził zakazanymi ścieżkami, a przy tym postanawiając wykazywać się znacznie większą ostrożnością i sprytem, kładzie ostatecznie krzyżyk na swojej dotychczasowej tożsamości – przede wszystkim po to, aby rodzina pozostała z dala od tego wszystkiego, co go czeka, nawet jeśli wciąż uważa ojca za swojego największego wroga. Nikt, poza najbliższymi, nie będzie odtąd wiedział, że Steve kiedyś nazywał się Novica Živković. Wyrobił sobie fałszywe dokumenty na nazwisko Radiša Jovanović. A kiedy zaczną o nim pisać gazety, pojawi się w nich właśnie pod tym nazwiskiem. W „Libération”, „Le Figaro”, „Paris Match” nie ukaże się choćby jeden artykuł o Brunie Sulaku, w którym nie przypomniano by, że jego współnik, który każe do siebie mówić Steve, naprawdę nazywa się Radiša Jovanović. A kiedy jeszcze później to nazwisko pojawi się pod pierwszymi zdjęciami, jego ojciec,

Krsta, bardzo się zdziwi, odkrywając, że to jego syn, Novica. I zaniepokojony zadawać sobie pewnie będzie pytanie, dlaczego syn wybrał dla siebie nazwisko panięskie swojej biologicznej matki.

Dnia 12 lutego 1976 roku Marcelle i Stanislas poddają się i zasuwają po raz ostatni żelazną kratę, zamykając restaurację. Nie mają już siły, zasypiają na stojąco. Ich życie nie może dalej tak wyglądać. Odpoczywają przez sześć miesięcy, a potem przejmują dwugwiazdkowy hotel nieopodal Pharo. Jest tu znacznie spokojniej i mniej przygnębiająco.

W Calvi Bernard Suchon szybko odnajduje się w nowym środowisku, w zimnej i lojalnej zamkniętej społeczności, wśród ludzi, którzy idą ramię w ramię z diabłem, i tak jak wszędzie dotąd szybko zyskuje uznanie i szacunek, zarówno młodych twardzieli, jak i starszych, którzy go otaczają. Bardzo szybko wszyscy w koszarach go znają, zawiązuje przyjaźnie, przyciąga uwagę, wcale się o to nie starając, rozmawiają z nim, słuchają go, idą za nim – i długo będą o nim pamiętać (do dzisiaj byli legioniści piszą o nim w internecie). Powoli przygotowuje się i zarysowuje jego przyszłość. Spotyka pewnego wysokiego gościa mówiącego z dziwnym akcentem, potężny z niego facet, kawał chłopca, trochę może nieociosany i nerwowy, ale pod tym grubym pancerzem kryje się wrażliwe, czułe serce, to najbardziej niezaspokojony podrywacz w oddziale, który kręci się koło dziewczyn, gdy wieczorem wychodzi nawet na krótką przepustkę, ale zawsze zachowuje się jak dżentelmen i nigdy nie nalega, jeśli zdarzy się, że jego urok nie zadziała. Jest o półtora roku starszy od Bruna, nazywa się Drago. Chociaż dorastali w innych, a nawet wręcz skrajnie różnych warunkach, i chociaż Bruno mógłby ewentualnie liczyć na solidne wsparcie ze strony rodziny, podczas gdy ojciec Draga siedzi w więzieniu za zamordowanie jego matki, i wreszcie chociaż nie wstąpili do legii z tych samych powodów, to jednak odnajdują się nawzajem. Drago jest prawy, szczerzy, nie ma w nim ani odrobiny podłości czy obłudy, Bruno szybko się do niego przywiązuje i Drago na zawsze już stanie się jego kumplem. Gdyby wiedział, jaką rolę Drago odegra w jego życiu w ciągu najbliższych lat, pokochałby go jeszcze bardziej.

Początkowo Bernard specjalizuje się w łączności, pasjonuje go cała ta elektronika, która pozwala się z sobą porozumiewać – wie, że któregoś dnia, tak czy inaczej, na pewno mu się to przyda. Zalicza kilka kursów dokształcających, zdaje kolejne egzaminy (bez wysiłku), dostaje prawo jazdy na samochód, motocykl, ciężarówkę, zaczyna kurs spadochronowy (i niemal od razu zapowiada się na jednego z najlepszych spadochroniarzy operacyjnych w obozie Raffalli), uprawia przy tym jak najwięcej różnych dyscyplin sportu, wszystko, co się tylko da – biega, skacze, pływa. W jednym z listów do Pauline pisze:

Gdybym nie był tak beznadziejnie głupi, zostałbym mistrzem świata w jakiejś dziedzinie. Ale któregoś dnia, zapamiętaj to zdanie, pobiję rekord świata

w swobodnym spadaniu i skoczę z wysokości dwudziestu tysięcy metrów. Nie, ja wcale nie śnię, to mi się uda. A wtedy wspomnisz moje słowa.

W dniu 3 lutego 1976 roku, kiedy 2. kompania 2. REP, do której należą Bruno i Drago, przebywa z kilkutygodniową misją w obozie Holl-Holl, niedaleko Dżibuti, zostaje wezwana w trybie pilnym w pobliże somalijskiej granicy. Trzydzieścioro jeden dzieci, w wieku od sześciu do dziesięciu lat, zostało o godzinie 7.30 wziętych jako zakładnicy w dowożącym je do szkoły autobusie należącym do francuskich sił powietrznych. Bruno wskakuje od razu w buty, w końcu po to przecież wstąpił do legii, wreszcie jakaś akcja, a jeśli zginie – myśli sobie – to przynajmniej robiąc coś pożytecznego. Czterech terrorystów uzbrojonych w karabiny maszynowe – bojowników Frontu Wyzwolenia Wybrzeża Somalijskiego, który domaga się niepodległości dla Francuskiego Terytorium Afarów i Issów – weszło do autobusu w Dżibuti, kazało dzieciom położyć ręce na głowach i zmusiło kierowcę, aby wyruszył na pełnym gazie w kierunku ziemi niczyjej w okolicach przejścia granicznego w Loyadzie, oddalonego o jakieś dwadzieścia kilometrów. Zatrzymali się w odległości zaledwie dziesięciu metrów od Somalii, a tam dołączyło do nich trzech kolejnych terrorystów – żołnierze po drugiej stronie granicy podzielają ich poglądy i mogliby ewentualnie stanowić dla nich zaplecze. Nie wiadomo dokładnie, czego żądają, poza niepodległością, ale jeśli trzeba będzie czekać, aż im ją przyznają, dzieci mogą się zacząć trochę niecierpliwie. Pozwolono odważnej kobiecie z opieki społecznej wejść do autobusu, żeby zaopiekowała się dziećmi – niektóre z nich, za małe, żeby zrozumieć, co się właściwie dzieje, pomagają terrorystom wysledzić ukrywających się wokół autobusu francuskich snajperów. Bruno, Drago i pozostali zajmują pozycje w pobliskim gaju palmowym. Mija noc i nic się nie dzieje poza tym, że jest ciemno. Nazajutrz, o godzinie 15.45, kiedy legionieści zaczynają powoli dochodzić do wniosku, że szturm pewnie nigdy nie nastąpi, strzelcy wyborowi z utworzonego dwa lata wcześniej elitarnego oddziału GIGN otwierają ogień do znajdujących się w autobusie terrorystów, a kompania 2. REP i brygada żandarmerii z Loyady natychmiast przystępują do ataku, lecz trafiają pod ostrzał somalijskich żołnierzy zza granicy. Bruno nie myśli o śmierci i posuwa się do przodu; nie podoba mu się zupełnie, że w tej sprawie wykorzystano dzieci. Legionieści odpowiadają ogniem, zabijają dziewięciu Somalijczyków i udaje im się wdrzeć do autobusu, gdzie jedyny spośród siedmiu terrorystów, którego nie trafiły pociski snajperów, przejechał po dzieciach serią z karabinu maszynowego (tak w każdym razie tego samego wieczoru poinformowały władze), zanim zastrzelił go jeden z pierwszych legionistów, którzy wdarli się do środka i bez wahania użyli broni. Pracownica pomocy społecznej, kierowca autobusu i pięcioro dzieci zostaje lżej lub ciężiej ranionych przez ostatniego, rozjuszonego terrorystę. Ginie mała dziewczynka, Nadine Durand. Inna umiera w wyniku odniesionych ran kilka dni potem, po

przewiezieniu do Paryża; nazywała się Valérie Geissbuhler.

Bruno jest w pewnym sensie dumny, że udało mu się pomóc w uratowaniu dwadzieścia dziewięciorga dzieci. Nie zaciągnął się nadaremnie do legii. Ale jednocześnie rośnie w nim uczucie niemego buntu, które wypełnia mu serce. Zginęły przecież dwie dziewczynki. Niezależnie od problemów, cierpienia i być może słusznych żądań tych gości, którzy wsiedli do autobusu uzbrojeni w karabiny maszynowe, nie jest w stanie pojąć, jak można było wpaść na pomysł, żeby rozładować wściekłość i frustrację na małych dzieciach z tornistrami na plecach. (Legioniści i ludzie z innych francuskich oddziałów także dużo wtedy strzelali). Po raz pierwszy, bardziej nawet niż złość czy lęk, przepełnia go obrzydzenie. Zapadnie mu to bardzo głęboko w serce, właśnie w tym dniu, i pozostanie w nim przez całe życie, niczym niewidoczne piętno.

Kompania zostanie przez kilka miesięcy na miejscu, żeby utrzymać względny spokój w regionie. Mimo kolejnych misji Bernard Suchon znajduje czas na to, żeby doskonalić się w dziedzinach, które go interesują, poprawia technikę i wyniki, uczy się jak najwięcej i nawet przez pięć minut nie pozostaje bezczynny. Przełożeni są z niego zadowoleni, wręcz dziwi ich nie tylko jego zdolność do szybkiego opanowywania nowych dziedzin wiedzy i umiejętności, ale też jego energia i dokonania sportowe. Kiedy 26 marca 1976 roku zmierzono mu tętno, okazało się, że jego serce bije w rytmie czterdziestu ośmiu uderzeń na minutę. To naprawdę niewiele.

Tego samego dnia w odległości pięciu i pół tysiąca kilometrów, może nawet w tej samej chwili, gdy liczone są uderzenia serca tego, który pewnego dnia sprawi, że z kolei jej serce zacznie bić dużo szybciej i mocniej, na hiszpańskiej granicy Talia uśmiecha się do celnika (to beztroski czas, a ta sama granica pojawi się jeszcze w tej historii w znacznie bardziej ponurych okolicznościach); towarzyszą jej dwie przyjaciółki, a ona udaje, że zapomniała (ależ ze mnie idiotka) schować dziesięć butelek mocnego alkoholu, głównie whisky i wódki, kupionych w Hiszpanii, które teraz leżą całkiem po prostu w kartonowym pudle na tylnym siedzeniu austina. Celnik pomyślał sobie zapewne, że te pannice nie są zbyt przebiegłe, ale ponieważ Talia mówi mu, że chcą uczcić jej urodziny, a do tego wszystkie trzy są bardzo ładne, pozwala im jechać dalej, nie domagając się opłaty celnej, i nawet puści do nich oko spod swojego kepi. Mówcie, co chcecie, zdarzają się jednak mili celnicy. W samochodzie, pod siedzeniami, dziewczyny ukryły jeszcze pięćdziesiąt butelek.

Wszystko zostanie wypite już następnego dnia, 27 marca 1976 roku, z okazji dwudziestych drugich urodzin Talii, w wielkim hangarze, który jej przyjaciele odnowili rok wcześniej, w jej wiosce Bédarrides, żeby tam właśnie organizować różne imprezy. Jest tu długa lada, kominek, disc jockey, wszędzie podwieszane reflektory, no i stu dwudziestu zaproszonych gości, których wita kolejno

w drzwiach. Przyszli nawet jej rodzice (ojciec trochę kręci nosem na widok wszystkich tych butelek i jej kudłatych kolegów). Przed świtem połowa samochodów zakończy jazdę w pobliskich rowach. Talia wkroczyła, można by rzec, w wiek dorosły.

Dnia 7 maja około północy w Nicei, pod ziemią, dziesięciu ludzi, którzy przeszli trzy kilometry kanałami, niosąc na plecach ponad sto kilogramów sprzętu, właśnie wbija pierwsze uderzenia kilofem w stary porowaty mur. Wśród nich jest wysoki, chudy facet wyglądający na lekko postrzelonego, to on kieruje całą operacją. Ma na imię Albert.

Kiedy 5 lipca Bernard Suchon wraca z kumplami do bazy w Calvi, wszyscy są zadowoleni. Przysługuje im dziesięć dni przepustki. Tymczasem 25 maja 1976 roku (świętowałem wtedy swoje dwunaste urodziny w salonie naszego domu w Sainte-Geneviève-des-Bois, razem z rodzicami i siostrą, grzeczny i schludny – miałem na sobie podkoszulek i zapewne jakąś bluzę – uśmiechając się, jako przyszły nastolatek, do tortu czekoladowego upieczonego przez mamę) w niewielkim kanionie na Francuskim Terytorium Afarów i Issów rozbił się helikopter należący do GOLE⁷. Dwóch żołnierzy zostało wyrzuconych na zewnątrz w chwili zderzenia z ziemią, lecz siedmiu pozostałych było zakleszczonych w środku, kiedy maszyna zapaliła się i eksplodowała. Gdy Bruno i Drago przybyli na miejsce razem ze swoim oddziałem, z czarnego, zniszczonego wnętrza helikoptera wydobyli siedem doszczętnie spalonych, zwęglonych zwłok swoich towarzyszy z legii. Największe z ciał mierzyło zaledwie metr trzydzieści, ludzkie szczątki rozrzucone były w promieniu pięćdziesięciu metrów.

W piątek, 16 lipca, o godzinie 21.30, pod Niceą, wielkie uderzenie młotem otwiera wreszcie tunel, który przez ponad dwa miesiące kopało dziesięciu ludzi – po przebiciu się przez pierwszy mur musieli drążyć w glinie, piasku, skale, a potem musieli pokonać drugą ścianę, tym razem z betonu, o grubości niemal dwóch metrów. Za wydrążoną dziurą widać tylną ścianę wielkiej metalowej szafy. Udaje im się przewrócić ją za pomocą podnośnika. Z uśmiechem szczęśliwego psychopaty Albert Spaggiari wchodzi do sali sejfów banku Société Générale.

Człowiek ten dwa lata wcześniej przeczytał kryminał, gdy mieszkał dwadzieścia kilometrów od Nicei, w Bézaudun-les-Alpes, w swojej przerobionej na dom owczarni, którą nazwał „Dzikie Gęsi” – *Les oies sauvages*, jakoby w hołdzie dla młodych nazistów z Hitlerjugend, którzy śpiewali tę pieśń pełną piersią, ale to przecież także pieśń legii i spadochroniarzy z Indochin (Spaggiari był jednym z nich, zaciągnął się w wieku siedemnastu lat i wysłano go tam na początku 1950 roku, a więc w tym samym czasie co Stanisława Sulaka, którego być może, tego nie wiemy, tam poznał. Inaczej potoczyły się ich losy: o ile Stanisław poświęcił dla swoich ludzi ramię, o tyle Albert, wbrew sobie, jeśli tak to można określić, strzelał do małej dziewczynki, co wywołało w nim traumę i sprawiło, że chyba postradał

rozum; zabrał bowiem kasę z jakiegoś burdelu w Sajgonie, a gdy go już złapano, resztę wojny spędził w więzieniu. Tak czy owak, nazwa domu siłą rzeczy kojarzy się z hołdem dla nazistów, gdyż na szyldzie *Les oies sauvages* zawieszonym nad skrzynką na listy przed owczarnią sąsiadujące z sobą litery „S” wykaligrafowano w co najmniej mocno dwuznaczny sposób). Czytał więc w salonie w owczarni kryminał Roberta Pollocka, który dopiero co ukazał się we Francji, *Tous à l'égout!* (Loophole – Wszyscy do ścieku), wydany w Série noire. Była to historia bandy złoczyńców, którzy obrabiali banki, przedostając się przez kanały, i podsunęło mu to pewien pomysł. Sześć miesięcy później, za radą przyjaciela, który tam pracował, wynajął sejf w Société Générale w Nicei, na rogu rue Jean-Médecin i rue de l'Hôtel-des-Postes i rozejrzał się wokoło: no faktycznie, nie ma tu systemu alarmowego, a więc całkiem spoko.

Skontaktował się z dwoma znanymi mu drobnymi rzeźmieszkami (no bo co miał zrobić, skoro dopiero debiutował), a im z kolei udało się znaleźć odpowiednich ludzi od grubszej roboty, z których większość kręciła się wokół Gaëtana Zampy. Znany z szerokiego gestu Albert obiecał, że łup podzielą na dwie części: połowa dla niego, a druga dla reszty. Zresztą, tak naprawdę da się wyrolować jak dziecko: nie zna zbyt wielu ludzi, a co najważniejsze, nie ma pieniędzy na zakup sprzętu niezbędnego do wydrążenia tunelu, więc jest zmuszony zdać się na zawodowców w tej branży w osobach Jeannota Migozziego, nazywanego Grubym, powiązanego dawniej z French Connection, prawą ręką Zampy, i być może (co jest znacznie mniej pewne) Jacques'a Cassandriego, nazywanego Łysolem – którzy przejmą tę sprawę i odpalą mu zaledwie dwie niewielkie działki przy podziale pieniędzy i sztabek (zaledwie dwa razy tyle, co któremukolwiek z uczestników włamania, i to niejako tłumaczy, że później musiał zgodzić się na tak wiele płatnych wywiadów i na wydanie trzech książek, aby mieć za co się ukrywać), poza tym ani grosza ze sprzedaży biżuterii – biedny Albert. Dnia 7 maja 1976 roku dostali się do kanału przez podziemne koryto rzeczki Paillon, która wpada do Baie des Anges.

Ekipa spędzi cały weekend w sali sejfów. Otwierają je za pomocą palników i stalowych łomów, to praca wycieńczająca, ale przynajmniej uczciwie, jakże opłacalna. W sobotę wieczorem nagle wszyscy zastygli w bezruchu i wstrzymali oddech, słysząc dziwne dźwięki wydobywające się z wnętrza jednego z sejfów, większego od pozostałych. Głuchy odgłos, dochodzący w równych odstępach czasu. Czyżby ktoś tam siedział w środku? Nie, są to wypełnione pieniędzmi worki, które konwojenci zrzucają prosto z ulicy, utarg kilku dużych przedsiębiorstw, nocnych klubów, Galeries Lafayette... Naprawdę miło z ich strony. Żeby to uczcić, kiedy pozostali pracują, ten wariat Albert w trakcie włamania do banku wychodzi na świeże powietrze i umawia się z przyjaciółką na obiad w piwiarni dokładnie naprzeciwko, po czym wraca do przerwanej roboty.

Następnego dnia o drugiej w nocy muszą nagle przerwać pracę: deszcz pada już od kilku godzin i niemal w ostatniej chwili zdają sobie sprawę, że poziom rzeczki Paillon znacznie się podniósł. Chętnie zostaliby dłużej, gdyż bank otworzą dopiero za kilka godzin, ale trzeba jeszcze przepłynąć rzekę z zawartością trzystu siedemnastu sejfów na plecach, więc nie ma lekko. Przed opuszczeniem banku Spaggiari zdąży jeszcze zostawić w środku wiadomość, słynne „Bez broni, przemocy i nienawiści”. Będą musieli trzy razy pokonać tę trasę, płynąc w jedną stronę pod prąd, zanurzeni po szyję podczas ostatniej rundy, aby wydobyć spod ziemi zarobek za pracę podczas weekendu w wysokości pięćdziesięciu milionów franków.

Dziesięć dni później, 28 lipca 1976 r., o godzinie 4.13 rano, Christian Ranucci zostaje zgilotynowany w więzieniu Baumettes w Marsylii.

Albert zostaje zatrzymany 27 października. Jeden z paserów, który na pewno prochu nie wymyślił, chciał sprzedać skradzione sztabki złota oddziałowi banku Crédit Agricole. W czasie przesłuchania (numery sztabek szybko, rzecz jasna, ustalono) wydał dwóch gangsterów, którzy podrzucili mu tego gorącego kartofla, a oni ujawniają nazwiska innych członków ekipy, w większości ludzi z otoczenia Zampy, ci z kolei, zgodnym chórem, wsypują Alberta Spaggiariego. Gliniarze czekają na niego na lotnisku w Nicei: wraca właśnie z Japonii, gdzie udał się z krótką wizytą jako „fotograf pejzaży miejskich” w ramach podróży zorganizowanej przez Jacques’a Médecina, mera Nicei o nieskalanej reputacji (jego ojciec dał swoje nazwisko ulicy, przy której mieści się siedziba banku Société Générale). Zgarniają go więc natychmiast po wyjściu z samolotu i wkrótce potem przyznaje się do winy: w jego owczarni znaleziono całą masę broni, policjanci obiecują, że nie będą niepokoić jego żony, Audi, za posiadanie i handel bronią, jeśli on przyzna się, choćby częściowo, do udziału w napadzie na bank. Jako człowiek szlachetny zgadza się na tę propozycję (w końcu nie grozi mu za to gilotyna) i w swojej wielkoduszności wyjaśnia im nawet, że to on kierował włamaniem. (Jeannot Migozzi, którego nigdy nie niepokojono w tej sprawie, pewnie z zadowoleniem kiwa głową, czytając gazetę. Brawo, Albercie).

Chociaż Bruno jest w głębi duszy mocno rozczarowany od czasu Dżibuti, nie zdając sobie zresztą z tego do końca sprawy, to jako Bernard Suchon, w zielonym berecie albo w białym kepi, nadal przykładowie pełni służbę. W każdej dziedzinie odnosi sukcesy, jest świetny na lądzie, w powietrzu i w wodzie, jego ciało i umysł dokonują cudów, wszyscy w jego otoczeniu, a zwłaszcza przełożeni, przepowiadają mu wspaniałą przyszłość oficera – ale też w tym względzie wszyscy mylą się, i to bardzo, bardzo grubo. W przypadku młodszego Denisa sprawa jest bardziej skomplikowana. Nie znosi on bowiem dyscypliny, która przecież w legii nie jest niczym dziwnym, regularnie się buntuje i ląduje w karczerze, bo kiedy ktoś buntuje się w legii, to raczej nie dostaje za to klapsa. Któregoś dnia przegina pałę

i wlepiają mu sześćdziesiąt dni w naprawdę małej celi (no bo metr kwadratowy to jednak niedużo), gdzie może tylko stać albo siedzieć po turecku, i skąd wychodzi tylko raz w tygodniu na kwadrans, żeby wziąć prysznic (w legii nie ma żartów, trzeba o tym wiedzieć – i, co najistotniejsze, wiedzieć zawczasu). Każdego wieczoru sprężysty i skoczny Bruno przeskakuje przez mur, żeby podać mu coś do zjedzenia, najczęściej czekoladę.

Dnia 15 listopada umiera Jean Gabin. Ten sam, którego głos być może powitał Bruna Sulaka na świecie – *Gdy spacerujemy nad wody brzegiem, jakże wszystko jest piękne* – jego zmęczone serce gaśnie w Szpitalu Amerykańskim w Neuilly-sur-Seine. Bruno natomiast walczy dalej, no bo na wojnie, jak to na wojnie, czy w Calvi, czy nad wodą, nie czas jeszcze na spacer.

*

Albert Spaggiari tymczasem nie ma wcale ochoty siedzieć w więzieniu. Nie podoba mu się tam (no proszę, kolejny gość, który nie lubi więzienia!). Prosi swojego adwokata, Jacques'a Peyrata, który dwadzieścia dwa lata później zostanie merem Nicei (najwyraźniej Albert bardzo lubi merów tego miasta), aby ten pomógł mu w ucieczce. Jacques Peyrat nie jest jednak do tego zbyt skory, a nawet kategorycznie odmawia – i to ma być adwokat! Ale co tam... Niech sobie zostanie merem Nicei, skoro tak chce, Albert ma jeszcze innych kolegów, na których naprawdę można polegać: Roberta i Michela (o ksywie Toq albo Toq-Toq). W czwartek, 10 marca 1977 roku ma wyznaczone spotkanie w biurze sędziego Richarda Bouazisa w Nicei, jak zresztą w każdy czwartek od kilku tygodni – przez ten czas zdążyli już nabrać do siebie zaufania i jest bardzo fajnie. Około godziny 16.30 Albert prosi sędziego, żeby wyprosił z sali eskortę policyjną, twierdząc, że chce ujawnić pewne fakty, które nie są przeznaczone do powszechnej wiadomości (zapewne – jak wyobraża sobie Richard Bouazis – dotyczą one polityków, byłych członków OAS⁸, organizacji jakże bliskiej sercu Spaggiariego). W biurze z Albertem pozostali więc już tylko jego adwokat, sędzia i protokolantka. Wstając z krzesła, żeby rozłożyć na biurku sędziego nieporadnie rozrysowany na trzech kartkach papieru plan kanałów i tunelu, Albert dyskretnie wygląda przez okno i widzi, że Robert i Michel Toq-Toq czekają na niego na chodniku: polerują od niemal dwóch godzin motocykl Kawasaki – będzie lśnić, aż miło. Bouazis niewiele rozumie z tych rysunków, Spaggiari nachyla się więc, że niby chce mu coś wyjaśnić. Sędzia jest nadal lekko skonsternowany, ale mówi wreszcie:

- No dobrze, tak czy inaczej, zatrzymam je.
- Tak jest, niech je pan dobrze schowa, będzie pan miał po mnie pamiętkę.
- To znaczy?

Zanim sędzia zdążył się odwrócić, Albert otworzył okno i wyskoczył. („Nie, tylko nie to!” – krzyczy do niego Jacques Peyrat, który reaguje z wyraźnym

opóźnieniem: Spaggiari jest już na zewnątrz, a gdyby nawet, dziwnym trafem, ostatecznie dał się przekonać i zareagował na krzyk rozpaczony swojego adwokata, nie ma nic trudniejszego niż wspiąć się z powrotem, kiedy się już skoczyło). Na całe szczęście albo też cudownie amortyzując skok, Albert spada siedem metrów niżej, prosto na dach zaparkowanego na ulicy renault 6 (później zresztą wyśle właścicielowi samochodu przekaz na kwotę trzech tysięcy franków na naprawę dachu), koziołkuje i wskakuje na motocykl, który natychmiast rusza, prowadzony przez Toq-Toqa, a Robert spokojnie oddala się pieszo. Albert nie potrafi się powstrzymać, żeby nie podnieść się na siedzeniu motoru i nie pomachać stojącemu w oknie sędziemu i oszołomionym gliniarzom na chodniku: „No i co? Ale was wykołowałem!”. Nazajutrz Richard Bouazis stwierdzi spokojnie „Każdemu czasem uda się zrobić kogoś na szaro”. (Kilka lat później pojawiły się zaskakujące pogłoski, jakoby motocyklem kierował nie Michel o ksywie Toq albo Toq-Toq, lecz Christian Estrosi. Ale to nieprawda, bo przecież w całą tę historię nie mogło być zamieszanych aż tylu merów Nicei).

Dnia 23 października 1979 roku Albert zostanie zaocznie skazany na dożywocie. A w Argentynie pewien chirurg plastyczny zrobi mu całkiem nową twarz, żeby łatwiej mu było się ukrywać. Spore to było poświęcenie, ale w czerwcu 1983, przy okazji ukazania się jego wspomnień, *Journal d'une truffe* (czyli *Dziennik idioty* – jakże odpowiedni tytuł), zgadza się udzielić wywiadu Bernardowi Pivotowi w jego programie *Apostrophes*, już z nową twarzą, która zatem na nic mu się więcej nie przyda (mimo że założył perukę).

Umrze 8 czerwca 1989 roku w Belluno w wieku pięćdziesięciu trzech lat na raka krtani. (Powiedział: „Jeśli mnie dorwą, chcę, żeby się to stało na dwudziestym trzecim piętrze jakiegoś wieżowca. Żeby to ładnie zakończyć”. A tu nic z tego). Jego towarzyszką życia, Emilia, z którą wziął w Paryżu ślub kościelny, włoży jego zwłoki do przyczepy kempingowej, przekroczy niepostrzeżenie granicę i 10 czerwca pozostawi ciało swojego mężczyzny przed domem jego matki w Hyères. Zostanie pochowany w rodzinnej wiosce, Laragne-Montéglin, w departamencie Hautes-Alpes. Wolałby pewnie, żeby go skremowano.

*

Z okazji Wigilii 1977 roku w Corte kapral Bernard Suchon ustępuje miejsca Brunowi Sulakowi, którego wkrótce zastąpi stary kumpel Lord John: występuje jako prestidigitator przed dziećmi legionistów. Świecą im się oczy, śmieją się, on też czuje się świetnie. Ale już nazajutrz na powrót staje się kapralem Bernardem Suchonem, który choć jest równie błyskotliwy jak dawniej i nie zaliczył ani jednego dnia karceru w czasie służby, i zwycięża właściwie we wszystkich zawodach sportowych, w jakich uczestniczy, a więc w motocrossie, w maratonie, w strzelaniu, i choć jest najlepszym operacyjnym skoczkiem spadochronowym,

a ogólnie rzecz biorąc, jednym z najlepszych legionistów w całym 2. REP, jednak robi wszystko mechanicznie, bez entuzjazmu i ochoty. Życie nie wydaje mu się już takie całkiem proste. To, czego był świadkiem w Dżibuti, ta zorganizowana, usankcjonowana przemoc, jak później napisze, wzbudza w nim obrzydzenie.

Nic się nie zmieni na lepsze z początkiem 1978 roku. Bruno zajmuje miejsce w cессnie 185 skywagon, która wzniesie się na najwyższy osiągalny pułap. Bruno wyskakuje, spada, leci bez końca z nieprawdopodobną dla ludzkiego ciała szybkością, jest sam, między życiem i śmiercią, to najsilniejsze doznania, jakie kiedykolwiek odczuwał, wydaje się, że nigdy się to nie skończy. Otwiera wreszcie spadochron, najpóźniej, jak się da.

Na ziemi wszyscy biegną w jego kierunku, ogólna euforia, radosne krzyki, duma 2. REP: pobił rekord świata w swobodnym spadaniu z samolotu. Wieczorem dowie się jednak, że jego rekord zostanie uznany tylko pod tym warunkiem, że zgodzi się pozostać w legii przez kolejne pięć lat. Nie może w to uwierzyć, odjęło mu całkiem mowę. Co to w ogóle za szantaż? Dlaczego oni mu to robią? Protestuje, ale daremnie. Denerwuje się, też na nic. Wścieka się, nic to nie daje. Nie podpisze. Jest, jakby to powiedzieć delikatnie, rozczarowany. Głęboko i mocno rozczarowany.

*

Siedemnaście lat później jego córka Amélie także będzie próbować swoich sił w spadochroniarstwie. Swobodne spadanie, pęd powietrza upaja i oszałamia. Zajmowała się przez jakiś czas nurkowaniem, ale ostatecznie postanowi doskonalić się w zupełnie innej dyscyplinie sportowej, a mianowicie we wspinaczce. A więc nie chce już spadać, tylko się wznosić.

Powietrze, z góry na dół; woda; ziemia, z dołu do góry. O czwartym żywiole powie: „Jak sądzę, w środku jest ogień”.

W Paryżu, niedaleko Champs Élysées, w New Store, Steve, który ma dopiero niecałe dwadzieścia pięć lat, stał się niekwestionowanym przywódcą Jugoli. Pod takim imieniem znany jest w tej społeczności, wszystko przechodzi przez jego ręce, zupełnie jak przez wieżę kontrolną. Pewien niespełna dziewiętnastoletni Macedończyk, blondyn, który dopiero co przyjechał do Francji z Włoch, gdzie spotkał już paru twardzieli i zaznał kilku mało lirycznych doświadczeń, zwraca na siebie uwagę w nocnych klubach przy rue de Ponthieu, gdzie czasami spotyka się z Zemmourami, nazywanymi braćmi „Z”, a przynajmniej z Edgarem i Gilbertem, a więc tymi, na których drodze trup ściele się gęsto. Théodore bowiem znacznie wcześniej rozstał się ze swoimi bezlitosnymi braćmi, Roland i William zaliczyli już odpowiednią porcję kul w czaszkę, a Edgar, trafiony pięcioma kulkami w plecy przez ludzi delikatnego komisarza Broussarda podczas interwencji policji, która kosztowała życie jego brata Williama (w głowie utkwily mu cztery kule),

z Gilbertem dołączą do nich pięć lat później w raju zastrzelonych rewolwerowców, w odstępie trzech miesięcy, każdy z nich z dziurą w głowie. Steve szybko dowiaduje się o nieustraszonym i ambitnym Macedończyku i pewnego wieczoru w New Store, widząc, że kręci się po okolicy, postanawia, ot tak, dla zabawy, go sprawdzić. Przybiera mocno strapiony wyraz twarzy (w przypadku gościa takiego jak Steve, efekt jest uderzający) i kierując się w stronę wyjścia, tłumaczy chłopcu, że wielki Murzyn napakowany jak stodoła właśnie zakosił mu rolexa. Bez chwili wahania blondasek wybiega na zewnątrz razem z nim: „Gdzie on jest? No, gdzie on jest?”. To był tylko żarcik, ale Steve’owi spodobała się reakcja tego młodziaka, więc postanawia go dopuścić do wąskiego kręgu znajomych. Każe do siebie mówić Walter. Pojawi się w tej historii we właściwym momencie, choć nie będę mógł opowiedzieć o wszystkim, bo Walter wciąż jest w pobliżu, a nie chciałbym mu napytać biedy – mało kto chciałby zaszkodzić facetowi, któremu udało się przeżyć te trudne czasy (poszliśmy w zeszłym tygodniu na jednego, a raczej na dziesięć czy dwanaście kielonków, ale ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby mi, uczciwie mówiąc, do głowy, chociaż jestem wyjątkowo waleczny jak na pisarza, byłaby chęć wpędzenia go w jakieś kłopoty) – ale to, co opowiem, z pewnością wystarczy.

Pod koniec zimy 1978 roku komisarz Georges Moréas ląduje na lotnisku w Genewie, towarzyszy mu nadinspektor Hubert Fadda. Zabrzmie to może jak anegdota (bo chcę opowiedzieć zupełnie o czymś innym), ale w ramach pomocy prawnej mają się zająć wyjaśnieniem morderstwa. Jego ofiarą padł niejaki Giovanni Rumi, podrzędny mafioso, znaleziony martwy na poboczu autostrady A6 niedaleko Auxerre, podziurawiony jak sito przez ludzi, którzy najwyraźniej mieli do niego o coś pretensje, jako że przypadek lub pech odgrywają zwykle niewielką rolę, gdy mamy do czynienia z egzekucją z użyciem karabinu maszynowego. Przeszukując jego pokój w Paryżu, gliniarze znaleźli walizkę wypełnioną studolarowymi banknotami, zupełnie jak w kinie. Dowiedzieli się też, że wcześniej przebywał w Lozannie, a przede wszystkim dzięki Interpolowi ustalili, że numery na banknotach w walizce zgadzają się z numerami na tych, które zostały przekazane jako okup za porwaną córkę pewnego biznesmena z Genewy. Polecili więc do Szwajcarii. Dnia 17 października 1977 roku pięcioletnia Graziella (też nie o tym w ogóle miałem pisać, ale czasami człowieka poniesie), córka George'a Ortiza, kuzyna boliwijskiego „króla cyny” i wielkiego kolekcjonera dzieł sztuki, siedziała sama w samochodzie, który miał ją zawieźć do przedszkola, i czekała na kierowcę. Nagle z ukrycia wyskoczyło dwóch uzbrojonych mężczyzn, którzy uprowadzili dziewczynkę. Następnego dnia kontaktują się z Ortizem i dają mu kilka dni na zebranie dużej kwoty pieniędzy (musiał pożyczyć, więc chyba faktycznie sporo zażądali), i każą mu dostarczyć pieniądze osobiście. Ma pojechać w nocy autostradą, zatrzymywać się na kolejnych stacjach benzynowych, odczekać pięć minut i wyruszyć dalej, jeżeli nic się nie będzie działo. Rzecz jasna, jadą za nim szwajcarscy policjanci. I oczywiście dają się zrobić na szaro: już na pierwszej stacji benzynowej wydobywający się z ciemności, spokojny i uprzejmy głos nakazuje kolekcjonerowi przetrzucić walizkę przez ogrodzenie, przy którym zaparkował samochód, a on posłusznie wykonuje polecenie. Policjanci, którzy zapewne nie spodziewali się, że przekazanie pieniędzy nastąpi już na pierwszym postoju, nie byli dość czujni – zupełnie beznadziejni goście – i niczego nie zauważyli. Kiedy po dziesięciu minutach Ortiz wysiadł z samochodu, żeby powiedzieć im, co się stało, Giovanni Rumi i jego wspólnik, Henri Dormond, pewnie odbezpieczali już co najmniej drugą butelkę szampana (wesołość i zażyła przyjaźń porwaczy dziewczynki nie potrwa jednak długo, ponieważ już 1 czerwca 1982 roku Henri Dormond zostanie skazany nie tylko za uprowadzenie Grazielli, którą ostatecznie odnaleziono całą i zdrową, ale także za przerobienie na sito swojego kumpla Giovanniego).

Georges Moréas przekonuje genewskich policjantów, którzy nie za bardzo lubią się ruszać z miejsca, żeby pojechali razem z nim i z Faddą do Lozanny, gdzie

według ich informacji Giovanni Rumi mieszkał u jakiejś francuskiej barmanki. Ale ponieważ ci debile postarali się, aby informacja o planowanym przeszukaniu przedostała się do prasy, co skłoniło sprytną barmankę, by czym prędzej zniknąć, więc zdenerwował się, kazał im iść do szwajcarskiego diabła i zostawił ich na pastwę losu, pozwalając, by ich śledztwo grzęzło coraz bardziej (będą potrzebowali czterech lat, żeby odnaleźć Dormonda). Uważając swoją misję za zakończoną, Georges zatrzymuje się na jedną noc w hotelu, bo ma zamiar wyjechać następnego dnia, a potem spaceruje sobie po Lozannie (o tym właśnie chciałem opowiedzieć), rozgląda się wokoło, nie ma tam niczego nadzwyczajnego, aż wreszcie siada w jakiejś piwiarni naprzeciwko dworca, żeby się czegoś napić. Już przy pierwszym łyku czuje, że ktoś mu się przygląda. Powoli odwraca głowę. Dwoje czarnych oczu przeszywa mu mózg. Ten wzrok oplata go, a on wije się jak kurczak nabity na rożen. Jest to wysoka, bardzo piękna, smukła dziewczyna, z przyciętymi niezbyt krótko rudymi włosami, z tego, co wie, o odcieniu kasztanowym, o bardzo delikatnych i wyrazistych rysach twarzy. Ma dwadzieścia cztery, może dwadzieścia pięć lat. Ubrana jest w jeansy i bluzę ze sztucznego futra w kolorze zielonego jabłuszka. Jest idealnie w jego typie, w typie Georges'a. Jest dokładnie taki jak Bruno, impulsywny, nie potrafi oprzeć się pięknym dziewczynom – zwłaszcza, w jego przypadku, gdy mają ciemne oczy. Ponieważ wpatruje się w niego bez przesadnej nieśmiałości i nie żyje się przecież tysiąc pięćset lat na tej ziemi, bierze do ręki kieliszek i przysiada się do niej. Dziewczyna ma na imię Rose-Marie, pracuje w agencji reklamowej, czeka na pociąg o godzinie 20.35, żeby wrócić do domu, czterdzieści kilometrów od Lozanny. Pozwoli jednak, żeby pociąg odjechał bez niej. Po dwóch czy trzech kieliszkach i długiej rozmowie, prostej i lekkiej, jak to między kochankami, którymi jeszcze przecież nie są, wyruszają na dwugodzinny nocny spacer po mieście. Wracają odruchowo w okolice dworca, chociaż doskonale wiedzą, że ostatni pociąg już dawno odjechał. Georges zabiera Rose-Marie w kolorze zielonego jabłuszka do swojego pokoju w hotelu, w którym się zatrzymał, gdzie wszystko odbywa się tak, jakby znali się od dziesięciu lat, tyle że w lepszym wydaniu.

W środę, 17 maja 1978 roku kapral Bernard Suchon zostawia swój mundur i swoją belgijską tożsamość w szatni w koszarach: Bruno ma pięć dni przepustki i na pewno mu to dobrze zrobi. Ma wprowadzić zakaz opuszczania Korsyki, ale ten rozkaz wydaje mu się dosyć śmieszny, nie czuje się bowiem już od pewnego czasu skory do odgrywania posłusznego żołnierzyka, którego można wodzić bez przerwy za nos (zgodzić się na pięć dodatkowych lat służby, tak mu zdaje się powiedzieli?), ale przede wszystkim ma ochotę zobaczyć się z rodzicami i siostrami. Wsiada więc na statek w Île-Rousse i wczesnym wieczorem jest w Marsylii. Powinien wrócić w niedzielę wieczorem i dotrzeć na apel w poniedziałek rano.

Spędza trzy spokojne, sielskie dni z rodziną, jest i tarta cytrynowa, i pokazy

sztuczek magicznych (tych właśnie, dzięki którym – jak opowiada – wygrywa w legii wszystko, o co się założy), dużo rozmawia z Pauline, z ojcem, a potem w niedzielę po południu zabiera Stellę na lodowisko, gdzie kiedyś chodził tak często; ona jest zachwycona jego łyżwiarskimi umiejętnościami i dumna na myśl, że to jej starszy brat – i dumna z tego, że wszystkim wokoło opowiada, że ona, ta śliczna łyżwiarka, jest jego siostrą. Ma już trzynaście lat, ale jej brat wciąż może ją nosić na barana, jest silny, robi piruety, wirują we dwoje, mała krzyczy, rozradowana i przestraszona zarazem, płacze z radości i zimna, odrzuca głowę do tyłu i nie wie jeszcze, że to ostatnie wolne i szczęśliwe chwile, jakie spędzi w całym życiu ze swoim bratem.

W drodze powrotnej z lodowiska Bruno spotyka dawnych kolegów, z którymi niegdyś włóczył się po ulicach, nie wszystkim się powiodło w życiu, ale te pierwsze przyjaźnie są jak pierwsze miłości, pozostawiają w pamięci ślad, który nie znika z upływem czasu. Pozwala Stelli wrócić do domu i zostaje z kumplami, idą do baru, żeby opowiedzieć sobie o tym, co się wydarzyło w ostatnich latach, Bruno pije tylko coca-colę. No właśnie, a on zapomina, że czas szybko mija. Kiedy wraca do domu rodziców, jest 19.40 i ostatni tego dnia statek na Korsykę już odpłynął. Nie denerwuje się tym nadmiernie, dzwoni do Marignane: godzina wylotu ostatniego samolotu także już dawno minęła. Nie ma prawa być tutaj, na kontynencie, ale nie może też wrócić na wyspę. Nie panikuje jednak. Waha się. Ma tego po prostu dosyć. A może nadarzyła się właśnie okazja, żeby wreszcie wszystko to olać, uciec stamtąd, wysłać ich wszystkich do diabła, razem z ich karabinami maszynowymi i rekordami świata. Marcelle jednak zwraca mu uwagę, że byłoby czymś zupełnie idiotycznym, gdyby zdezerterował z tak błahego powodu i zaczął się teraz ukrywać ze względu na zaledwie kilkugodzinne spóźnienie. Słucha więc matki, gdyż zawsze jej słucha, bo ona ma zawsze rację. I teraz też ma rację, jest wysoko oceniany, będą dla niego wyrozumiali, w najgorszym razie grozi mu osiem dni karceru. Dzwoni, żeby zgłosić, że pojawi się dopiero następnego dnia wieczorem. Ale nikt nie odpowiada. Próbuje dodzwonić się na inny numer, nikt nie odbiera.

W końcu dzwoni do dawnego legionisty, z którym jest w bliskim kontakcie, od kilku miesięcy pracuje w gastronomii, jest kucharzem w Calvi. Ten dziwi się, że Bruno o niczym nie wie: wszyscy wyruszyli, zebrali się dosłownie w jednej chwili i mają ich zrzucić w Kolwezi.

Katangijscy buntownicy, którzy domagają się niepodległości dla swojej prowincji i stanęli do walki z marszałkiem Mobutu, nieprzewidywalnym władcą Zairu, 13 maja zajęli Kolwezi i uwięzili w nim, chociaż miasto jest spore, trzy tysiące Europejczyków i Amerykanów (i do tego sto tysięcy Zairczyków, którzy kryją się po domach). Wspierają ich oddziały kubańskie i wschodniemieckie, a żołnierze ci nie należą, delikatnie mówiąc, do ugodowych. Po krótkim namyśle

na najwyższych szczeblach władzy Francja postanawia rozpocząć operację Léopard: dnia 18 maja cały 2. REP odlatuje z bazy lotniczej Solenzara w kierunku Zairu. Są w Kinszasie o 23.45, a już następnego dnia, w dwóch rzutach, odbywa się desant nad Kolwezi, pierwsza grupa zrzucona zostaje wczesnym popołudniem (do niej należy między innymi Drago), w tym mniej więcej czasie Bruno pokazuje Stelli numer ze skaczącą kartą, a druga grupa ląduje wieczorem, podczas gdy Bruno chwali matkę za przepyszne nadziewane pomidory. Toczą się zaciekle, choć krótkotrwałe walki i w kilka zaledwie godzin 2. REP odzyskuje kontrolę nad miastem, ale za cenę sporej liczby zabitych: ginie dwustu pięćdziesięciu rebeliantów, sześciuset zairskich cywilów i czternastu zairskich żołnierzy, zabito także stu dwudziestu europejskich i pięćdziesięciu amerykańskich cywilów, w akcji zginęło też pięciu legionistów, a dwudziestu jeden spośród nich odniosło rany.

Gdy Bruno odłożył słuchawkę, zrobił się blady jak ściana, zamurowało go całkowicie, musiał czym prędzej usiąść. Zostawił swoich towarzyszy broni, pozwolił im wyjechać, pozwolił im skoczyć bez niego, kilku z nich pozwolił też zginąć. Tymczasem nie zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej, by robić pompki i obierać ziemniaki, lecz aby skakać ze spadochronem i działać, trenował właśnie po to, a teraz, kiedy trzeba skoczyć i działać, on spędza sobie miło czas z rodziną sześć i pół tysiąca kilometrów od epicentrum tych dramatycznych wydarzeń. Nigdy nie czuł się tak źle, nie miał wrażenia takiej bezsilności, jak w ten niedzielny wieczór, gdy siedział w salonie z rodzicami i wydawało mu się, że rozpada się w środku na kawałki. Przytłaczał go wstyd.

– Nigdy już nie będę mógł spojrzeć moim kolegom prosto w oczy – powiedział do ojca.

Stanislas jest przybity i załamany, ale świetnie go rozumie. Wie doskonale, że jego syn nie będzie mógł tam już nigdy wrócić – Bruno próbuje, ale nie jest w stanie wyobrazić sobie, jak pojawia się w Calvi, przekracza bramę koszar, podchodzi do kolegów. Zachował się właściwie dokładnie odwrotnie niż jego ojciec, który wziął na siebie wybuch miny, chroniąc w ten sposób swoich ludzi. Czuje, że w jednej chwili wszystko się zmieniło. Po prostu pech, tak to już jest. Odtąd jego poczucie honoru, chociaż można sobie myśleć o tym, co się chce, nie pozwala mu na nic innego, jak tylko na dezercję, ukrywanie się i wybór równoległego świata. Nazajutrz rano całuje rodziców i siostry, po czym opuszcza dom. Dzięki marsylskim znajomym szybko wyrabia sobie fałszywe papiery na nazwisko Bruno Dibon, a potem znika.

W ten oto sposób Bruno Sulak od tej pory będzie szedł inną ścieżką, która sprowadzi go na drogę bandytyzmu i najzuchwalszych napadów XX wieku.

**WRACAJĄC ZE ŚLIZGAWKI, BRUNO SULAK
NIE SPOTYKA SWOICH KUMPLI
ALBO KATANGIJCZY BUNTOWNICY W TYM**

WŁAŚNIE MOMENCIE NIE WPADAJĄ W SZAŁ

No bo jakie jest prawdopodobieństwo, że po pięciu latach spotka się kumpli z dawnych czasów, idąc szeroką, obsadzoną platanami aleją, która prowadzi na ślizgawkę? Szanse na to nie są jakieś olbrzymie, ale to przecież niewykluczone, coś takiego może się zdarzyć i wcale nie trzeba z tym biec od razu do specjalistów od zjawisk paranormalnych. A jakie jest ryzyko, gdy wybierze się jakąś przypadkową datę w ciągu roku, że katangijscy rebelianci akurat tego właśnie dnia wezmą szturmem jakieś miasto? Może jest ono niewielkie, ale jednak istnieje. Ale kiedy ktoś połączy te obie kwestie i zada sobie pytanie, jakie jest prawdopodobieństwo, że katangijscy rebelianci zajmą miasto szturmem dokładnie osiem dni wcześniej, zanim on natknie się na kumpli niedaleko ślizgawki, wtedy może dostać zawrotu głowy. Logicznie rzecz biorąc, miałoby się czas, żeby z dziesięć razy wygrać główną wygraną w lotto, zanim to nastąpi. No cóż, po prostu niefort, nie można tego inaczej nazwać. To właśnie bowiem koniunkcja tych dwóch zdarzeń sprawiła, że Bruno Sulak stał się gangsterem. Gdyby nie spotkał kumpli, wychodząc ze ślizgawki (albo gdyby spojrzął na zegarek, gadając z nimi w kawiarni, no, owszem, zgadza się), wróciłby na Korsykę, nie zadzwoniwszy tam wcześniej, wrzuciliby go od razu do karceru i nie musiałby dezerterować ani też schodzić na złą drogę. Gdyby ci katangijscy narwańcy weszli do Kolwezi 11 maja, a nie 13, operacja „Léopard” rozpoczęłaby się, zanim dostał przepustkę. Gdyby tak odczekali jeszcze trochę, żeby lepiej się przygotować do ataku (bo takie zajęcie miasta to nie przelewki), powiedzmy, że do 15 maja, a więc tyle, ile trzeba, żeby francuskie władze zważyły wszystkie za i przeciw, aby podjąć decyzję o reakcji, Bruno wróciłby na czas i zdążył załapać się na tę podróż. Owszem, kiedy wygasłby jego pięcioletni kontrakt w legii, może zacząłby się wałęsać po ulicach Marsylii i w końcu napadłby najpierw na jakiś mały supermarket, a potem może na jakiś większy. A może i nie. Może zaciągnąłby się jednak na kolejne pięć lat, choćby po to, żeby uznano oficjalnie jego rekord w swobodnym spadaniu. Albo też, po przeżytym doświadczeniu wojskowym, które nie dało mu satysfakcji, nie pozwoliło mu się rozwinąć ani też nie uspokoiło jego sumienia tak, jak tego oczekiwał, być może w końcu zdecydowałby się żyć jak wszyscy, a więc wstawałby rano, szedł do roboty, kładł się spać i znowu wstawałby rano, szedł do roboty i kładł się spać. Nie wiadomo. Może zostałby mistrzem świata w biegach albo pisarzem. W każdym razie nie byłby zmuszony ukrywać się i nie wpadłby w związek z tym w błędne koło, zanim zdecydował się na swój pierwszy napad.

Georges Moréas lubi się ruszyć z miejsca, lubi zmienić klimat. Ameryka Łacińska bardzo go pociąga, proponuje więc Rose-Marie, że zabierze ją na wycieczkę do Peru. Ona, rzecz jasna, się zgadza, zawsze jest chętna do podróży i zgadza się na wszystko, on znajduje dwa nie za drogie bilety na czarter do Limy, kupuje buty Pataugas i dwa plecaki. Jednak na tydzień przed wyjazdem Maurice Bouvier, szef policji śledczej, wzywa go do swojego biura przy rue des Saussaies. W tym czasie Moréas kieruje grupą do zwalczania bandytyzmu, której siedziba mieści się w Wersalu. Bouvier, autorytarny i wyniosły (Georges czuje się trochę nieswojo, a kiedy szef prosi go, by usiadł, waha się między dwoma stojącymi przed biurkiem krzesłami, słyszał bowiem, że Bouvier nie widzi na jedno oko, tyle że nie wie na które – decyduje się więc po dłuższej chwili, zdając się na los, na krzesło po prawej, mając nadzieję, że szef widzi na lewe oko), chłodny i budzący lęk, ale jednocześnie umiejący dostrzec zalety i postępy w pracy swoich ludzi, proponuje mu stworzenie oddziału BRI⁹ w Nicei, nazywanej w Paryżu „brigade antigang”, która podlegać będzie OCRB¹⁰. Niezbyt to miłe zajęcie, gdyż w Nicei w tym czasie zaczyna się robić naprawdę gorąco. Napady rabunkowe, wymuszenia i porachunki gangsterskie mnożą się tak jak napalone króliki, a sprawa Spaggiariego z pewnością nie poprawiła wizerunku miasta, nie wspominając o historii kasyna Ruhl.

Sześć miesięcy wcześniej, 27 października 1977 roku, dwudziestodwuletnia Agnès Le Roux zniknęła z powierzchni ziemi. Młoda i bogata (a w dodatku piękna), spadkobierczyni Palais de la Méditerranée, sąsiedniego i konkurencyjnego dla Ruhl kasyna, dała się uwieść starszemu o dziesięć lat Jeanowi-Maurice’owi Agneletowi, znanemu w owym czasie pożeraczowi damskich serc, a zarazem adwokatowi i przyjacielowi Jeana-Dominique’a Fratoniego, właściciela kasyna Ruhl, który z kolei ma ścisłe kontakty z włoską mafią i Jakiem Médecinem, wciąż jeszcze nieskazitelnym merem Nicei. Agneletowi udaje się przekonać Agnès, i to pomimo wściekłych protestów jej matki, Renée Le Roux, posiadaczki pięćdziesięciu procent udziałów w Palais, która dysponuje większością wyłącznie dzięki udziałom córki, żeby podczas walnego zgromadzenia zagłosowała przeciwko własnej rodzicielce, ale za to za Fratonim. Przejmuje on w ten sposób kontrolę nad kasynem. Głos zdrajczyni kosztował trzy miliony franków, które Fratonie przelał na konto w Genewie na nazwisko Jeana-Maurice’a Agneleta – Agnès ma jedynie pełnomocnictwo.

Na kilka dni przed ostatecznym zniknięciem Agnès zwierza się przyjacielom, że wyjeżdża na cały weekend wraz ze świętem Wszystkich Świętych z mężczyzną, którego kocha, Jeanem-Maurice’em Agneletem. On sam będzie temu później zaprzeczał, twierdząc, że w tamten weekend przebywał w Szwajcarii z inną

ze swoich kochanek, niejaką Françoise Lausseure (ją też musi bardzo kochać, przelał bowiem na jej konto owe trzy miliony, które zapłacił Fratoni, cóż, tym gorzej dla Agnès). Upłynął cały tydzień, zanim policja, którą pogoniła ostro Renée Le Roux, przeszukała wreszcie jej mieszkanie i znalazła połówkę kartki papieru ze słowami:

Przykro mi, ale zbliża się kres mojej drogi, na tym kończę. Wszystko jest w porządku.

Agnès.

Chcę, żeby Maurice zajął się wszystkim.

No dobrze, a więc popełniła samobójstwo. Ale jednocześnie nie znaleziono ani ciała, ani jej białego rovera. Podczas przeszukania w gabinecie Maurice'a, Jeana-Maurice'a, w szufladzie jego biurka sędzia znalazł interesujący dokument. Jest to fotokopia listu pożegnalnego, który Agnès zostawiła w swoim mieszkaniu, tyle że tym razem jest to cała kartka papieru, a u góry widnieje data. Okazuje się, że Agnès napisała te słowa ponad miesiąc wcześniej, przed nieudaną próbą samobójczą. Wszystko wydaje się więc jasne jak słońce: Agnelet zatrzymał tę kartkę, przeciął ją na pół i pozostawił część listu bez daty w mieszkaniu swojej zaginionej kochanki. Kiepsko to wygląda dla Agneleta. A jednak będzie miał sporo szczęścia, gdyż sędzia, który znalazł fotokopię listu w szufladzie, to nie byle kto, ale Richard Bouazis, ten sam, który przyglądał się przez okno, jak tuż sprzed nosa ucieka mu Albert Spaggiari. I cóż on robi, gdy znajduje obciążający dowód w gabinecie Jeana-Maurice'a Agneleta? Otóż nie wszczyna przeciwko niemu postępowania, nie składa wniosku o areszt, tylko pozwala mu pozostać na wolności. Sędzia ów wyzna publicznie kilka lat później: „Miałem przed sobą adwokata, który cieszył się przecież dobrą reputacją. Największe wrażenie robiło na mnie to, że był przewodniczącym Ligi Praw Człowieka w Nicei. Przyznaję, że ten fakt nie był bez wpływu na moją decyzję”. (Widziałem niedawno Richarda Bouazisa w telewizji, wygląda bardzo sympatycznie).

Ale zawzięta Renée Le Roux nie odpuszcza. Po dwudziestu jeden latach złoży kolejne doniesienie, tym razem w sprawie „ukrycia zwłok” i w związku z tym w czerwcu 1999 roku Françoise Lausseure, z którą Agnelet najpierw się ożenił, a potem rozwiódł, odwoła swoje wcześniejsze zeznania (ach, te kobiety...): tak naprawdę wcale nie była z nim w Szwajcarii 30 października 1977 roku, kłamała, żeby zapewnić mu alibi. Od tej chwili sprawa dawnego lowelasa nabierze tempa: wznowiono postępowanie, a w maju 2004 roku oskarżono go o morderstwo. Dnia 23 listopada 2006 roku uniewinniono go z braku dowodów. Jednakże prokuratura składa apelację i 11 października 2007 roku Agnelet zostaje skazany na

dwadzieścia lat więzienia. Sąd kasacyjny odrzuca jego odwołanie w 2008 roku, wyrok staje się prawomocny. Jean-Maurice ma siedemdziesiąt lat i prawdopodobnie umrze w celi.

Albo i nie. W marcu 2011 roku niejaki Jean-Pierre Hernandez, miły starszy pan w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, wydaje książkę *Confessions d'un caïd* (Wyznania szefa gangu), ten przynajmniej nie owija w bawełnę... Nazywany „Gros Pierrot” (nie ma szczęścia), należał do otoczenia Gaëtana Zampy, który miał co niemiara znajomych (choć Bruno Sulak do nich nie należał, gdyż nigdy nie zadawał się z ludźmi Zampy, takimi jak Francis le Belge i jego kumple, Gros Pierrot, Jacquot le Tondu, Jeannot z Marsylii i Tête de Pioche). W swojej książce szef gangu wyznaje, że jeden z jego szujowatych znajomych, Jeannot (kolejny) Lucchesi, zwierzył mu się w grudniu 1986 roku, na krótko przed śmiercią, że to on do spółki z innym typem (zapewne był to le Boiteux, Francky la Sauterelle albo jakiś inny Jeannot) zabili Agnès Le Roux. Po wykonaniu zlecenia (nie wiemy za dobrze, czy krył się za nim Fratoni, czy może wszechobecny Zampa) wrzucili ciało do głębokiej doliny Calanque des Goudes, na południe od Marsylii, a białego rovera zostawili u mechanika, który pociął samochód na kawałki. Zdaniem Gros Pierrota, Agnelet nie miał z tym nic wspólnego („Jako katolik przysięgam na głowę moich dzieci i niech mnie Pan Bóg pokara, jeśli kłamię”). Jean-Maurice odzyskuje nadzieję, bo to wyznanie wygląda bardzo poważnie. Dnia 17 września 2012 roku zbiera się komisja, lecz, co zaskakujące, uznaje, że zeznania Jeana-Pierre’a „caïda” Hernandeza nie wnoszą niczego nowego, i odrzuca wniosek o ponowne rozpoznanie sprawy. Jean-Maurice ma siedemdziesiąt cztery lata, umrze prawdopodobnie w swojej celi, a szkielet Agnès leży być może nadal w dolinie Calanque des Goudes, albo i nie.

Chyba odbiegłem co nieco od tematu, zostawmy już więc nieszczęsną Agnès i cofnijmy się trochę w czasie.

W biurze Maurice’a Bouviera Georges Moréas jest pełen entuzjazmu. Po najwyżej dziesięciu sekundach wahania przyjmuje propozycję szefa. Praca w SRPJ¹¹ w Wersalu jest nijaka, nie bardzo go bawi, potrzebuje zmiany scenografii i aktorów, a do tego wyjazd na południe pozwoli mu w naturalny sposób wygasić ognisko domowe – jest, co prawda, żonaty, ale z żoną mu się nie układa i czas już zakończyć ten związek. Założy więc w Nicei oddział BRI. Ale najpierw czeka go wyjazd do Peru. W końcu praca to nie wszystko, a schlebiająca mu propozycja przeniesienia nie przeszkodzi mu wyjechać, tak jak zakładał, w podróż w towarzystwie Rose-Marie. Potrzebuje przygód, uwielbia przygody – zresztą pewnego dnia powie o Brunie Sulaku, który był mu tak bliski, jak gliniarzowi może być bliski ktoś, kogo ściga: „Bardziej przypominał kogoś, kto łaknie przygód niż profesjonalnego bandytę”.

Kiedy Georges opowiada o czasie spędzonym w Peru, o swoich wrażeniach

i odczuciach, nieświadomie używa tych sformułowań, którymi posłuży się Bruno, gdy przebywać będzie w Ameryce Południowej, tyle że później i trochę bardziej na wschód, w Brazylii. Jest zafascynowany regionami, które odwiedza, historią wylaniającą się na każdym kroku, tajemnicą na wyciągnięcie ręki, chociaż nigdy nie można jej przeniknąć, ludźmi, którzy się uśmiechają pomimo problemów, jakie powinny ich przytłaczać, ludźmi otwartymi, zwyczajnymi i promiennymi, takimi, jacy powinni być wszyscy ludzie na ziemi. Chłonie wrażenia i emocje, syci się nimi, gromadzi je, wzbogacając się wewnątrz. U jego boku jest Rose-Marie, dziewczyna dosyć szczegółowa, wrażliwa, nieco infantylna, trochę mitomanka. Wciąga go w abstrakcyjny, nierzeczywisty i emocjonalny świat, w którym oddaje się marzeniom. Ich pobyt w Peru przypomina romantyczny film, a po powrocie do Francji on od niej odchodzi.

Chcąc, żeby o nim początkowo zapomnieli, i mając nadzieję, że nie będą go przez najbliższe lata zbyt intensywnie szukać, za zaoszczędzone w legii pieniądze Bruno wyjeżdża latem na Majorkę. Zajmuje się tam wyłącznie nicnierobieniem, odpoczywa na słońcu, rozgląda się wokół, biega i pływa, kiedy już mu się bardzo nudzi. Którejś nocy pod koniec lipca spotyka w jakiejś dyskotecie w Palma de Mallorca Patricję, młodą Francuzkę z okolic Périgueux, która tak jak on spędza na Majorce wakacje. Jest ładną blondynką, ma włosy przycięte à la Stone (która tego lata śpiewa razem z Chardenem piosenkę *l'Avventura*), przepelnia ją radość i energia, nie jest w stanie mu się oprzeć dłużej niż cztery sekundy: idą do łóżka. Szybko też zdadzą sobie sprawę, że ten pierwszy raz wystarczył, żeby poczęta została Amélie.

Patricia wraca do Francji w połowie sierpnia. Bruno zamierzał pozostać jeszcze trochę na wyspie, ale nie za bardzo wie, co tam z sobą zrobić, i wkrótce dołącza do niej. Ponieważ nie ma gdzie mieszkać, znajdują niewielki dom na południowy wschód od Périgueux, do którego się wprowadzają, dom pod numerem 8 przy rue Raymonde w Boulazac. Pierwsze tygodnie wspólnego życia nie są łatwe. Zachłysłeni się sobą, to początek miłości i tak dalej, ale mimo wszystko nie jest to proste. Prawie się nie znają, są młodzi, nagle rozpoczynają życie w związku, a wiadomość o tym, że Patricia spodziewa się dziecka, wywołuje w nich wrażenie nieodwracalności, obowiązku, zamknięcia, więc chociaż są razem szczęśliwi, atmosfera staje się napięta. Patricia uważa, że Bruno zachowuje się jak macho, jest zbyt zaborczy i zazdrosny. On zaś tłumaczy, że nie w tym rzecz, chce jedynie przestrzegać pewnych zasad moralnych i chciałby, żeby ona też ich przestrzegała. Bo Bruno jest człowiekiem z zasadami.

We wrześniu, kiedy jadą odwiedzić rodziców Patricii, Bruno zauważa przed ich domem piękny motor Yamaha XT 500. Aż przeszywa go dreszcz, uwielbia bowiem motocykle. Wchodzą do domu i w salonie poznają Yves'a, który właśnie ożenił się z Brigitte, siostrą Patricii. Jest to wysoki chłopak, z wyglądu trochę

nieśmiały, ale sympatyczny, o rok młodszy od Bruna i wyższy od niego o pięć centymetrów. Ma jasnoniebieskie oczy. Kiedy był młodszy, zaciągnął się na trzy lata do wojska, mniej lub bardziej zmuszony przez sędziego rodzinnego wyznającego zupełnie odmienne poglądy niż ten pajac, który uniemożliwił Brunowi dalszą służbę wojskową w 21. RIMA z powodu kradzieży motorynki (nic nowego pod słońcem, sprawiedliwość jest rzeczą ludzką, a co za tym idzie rzeczą zmienną i zawodną): gdy Yves miał siedemnaście lat i był trochę zagubiony, mroczny i porywczy, obejmował czule pewną dziewczynę u niej w domu w kuchni, kiedy wpadł nagle jej ojciec, zwyzywał go od bydłaków, a gdy spróbował go spoliczkować, młody człowiek sprzął go na kwaśne jabłko i zostawił poobijanego, posiniaczonego i zalanego krwią; sędzia rodzinny dał do zrozumienia matce Yves'a, że jej synek ma do wyboru tylko dwie drogi: albo pójdzie do poprawczaka, albo do wojska, co mu zresztą doradzał, więc Yves czym prędzej na to przystał i rozsądnie wybrał oddziały łączności w Montélimar („Elektronika i telekomunikacja”, to nie tylko robiło wrażenie, ale i wyglądało na coś na wskroś nowoczesnego), ale już po półtora roku uzyskał zwolnienie ze służby, bo udawał niezrównoważonego psychicznie. Obaj mężczyźni niemal od razu się zaprzyjaźniają, a po niecałej godzinie, widząc błysk w oczach Bruna, gdy mówi o jego motocyklu, Yves proponuje mu krótką przejażdżkę. Bruno zgadza się, zanim tamten zdąży skończyć zdanie: wyruszają w drogę bez kasków. Yves ma zamiar przetestować nerwy i przy okazji duszę lubego szwagierki, bo przecież nie wolno dopuścić, by wpadła w ręce jakiegoś tchórzliwego gościa bez jaj. Od razu rusza ostro z kopyta. Po pięciuset metrach uspokaja się co do Bruna, czuje się nawet zaskoczony, gdy ten prosi Yves'a, by przyspieszył. Więc przyspiesza. Mkną po wąskich polnych drogach, biorą akrobatycznie zakręty, Bruno trzyma się mocno i krzyczy, by Yves docisnął gaz do dechy, on też jest zadowolony, że jego pilot nie ma duszy na ramieniu. Gdy po godzinie naprawdę ostrej jazdy, na krawędzi bezpieczeństwa, wracają do domu z zaróżowionymi policzkami i z ogorzałymi od wiatru twarzami, są już przyjaciółmi, jakby połączyła ich natura. Potwierdza się pierwsze wrażenie Yves'a: Bruno niczego się nie boi. I będzie miał jeszcze okazję się o tym przekonać.

W ciągu kilku następnych tygodni widują się prawie co dzień, u jednego lub u drugiego w domu. Żaden z nich nie ma ochoty siedzieć na miejscu, pragną nie tyle nawet luksusu, co raczej odrobiny komfortu, żeby móc robić mniej więcej to, na co mają ochotę, kupić sobie trochę większy motocykl albo pojeździć na nartach wodnych w Hiszpanii. Jednak Yves nigdzie nie pracuje i doskonale wie, że gdyby nawet harował od świtu do nocy, zarobiłby co najwyżej na jedzenie i na benzynę do yamaha; oszczędności Bruna powoli się kończą, a z fałszywymi papierami nie może podjąć ryzyka szukania normalnej pracy, co zresztą wcale mu tak bardzo nie przeszkadza: społeczeństwo drażni go, denerwują go rutyna, niesprawiedliwość,

wojsko, bufet na dworcu i bankierzy – tak, jak w ogóle wszystko go denerwuje. Pewnego wieczoru rozmawiają o tym, o szarzyźnie życia i o przyszłości, siedząc w ogrodzie przed domkiem, gdzie mieszka z Patricią, gdy nagle Bruno mówi z uśmiechem do Yves'a:

– Ty nie masz kasy i ja też nie mam. Powiem wprost. Może zrobimy napad, co ty na to?

– Nie wiem, jak to się robi.

– Tym się nie przejmuj.

W sobotę, 14 października 1978 roku o godzinie 9.25 parkują simcę 1100, ukradzioną poprzedniego dnia przez Bruna (ma niezłe podstawy jeszcze z czasów marsylijskich i nie ma nic prostszego, jak ukraść simcę 1100 – potem prawie we wszystkich napadach posłuży się tym jakże praktycznym modelem) na parkingu przed supermarketem Mammouth w Albi. Ponad kilometr dalej zostawili renault 30 wynajęte przez Bruna Dibona w Périgueux na początku tygodnia. Są w Albi od kilku dni, zatrzymali się w hotelu, starannie przyjrzeni się wszystkiemu wewnątrz supermarketu i wokół niego (to ich pierwszy napad, jest trochę stresu, lepiej zachować odpowiednie środki ostrożności), wiedzą też, że furgonetka, która przyjeżdża po pieniądze, pojawia się o 10.00. Od czwartku napięcie rośnie jak słupek rtęci w termometrze na słońcu. Yves, chociaż gotowy na wszystko, jest spięty, podenerwowany, ale i zdeterminowany. Bruno z kolei wydaje się po prostu skoncentrowany, z godziny na godzinę coraz bardziej skupiony. Żeby się odprężyć, jeździ na deskorolce po uliczkach Albi. Przechodnie przyglądają mu się ze zdziwieniem, po raz pierwszy widzą takie dziwne wrotki.

Nie mają większych kłopotów ze zdobyciem broni, Bruno wykonał kilka telefonów do Marsylii, spotkał się z paroma przyjaciółmi, obiecał kilka banknotów i otrzymał w zamian dwa porządne gnaty, ani całkiem nowe, ani być może nazbyt skuteczne, ale za to robią wystarczająco duże wrażenie. Tak czy inaczej, jeśli w ogóle jest czegokolwiek pewny, to tego, że ich nie użyją.

Wchodzą do supermarketu jak najzwyczajniejsi klienci – no, prawie: mają na sobie obszerne bluzy, na tej, którą włożył Yves, widnieje logo Perkinsa (nie jestem szczególnie drobiazgowy, jeśli chodzi o modę, nie podaję na przykład marki jego butów albo ceny jeansów, jeszcze mi nie odbiło, ale nazwa Perkins jest tutaj ważna – bluzę dwa tygodnie wcześniej kupił mu w Périgueux jego żona Brigitte), obaj mają w jednej kieszeni kominiarkę, a drugiej spluwę. Zaczęli akcję bez obaw i wątpliwości, tak jak wtedy, na rozpędzonym motorze. Yves dostrzega, że Bruno, ten uprzejmy i rozluźniony chłopak, który cały czas żartuje, przeszedł nagle metamorfozę, gdy tylko weszli do sklepu: stał się zimny i twardy. Był w takim samym stanie, jak wtedy gdy czekał na sygnał do szturmu na autobus w Dżibuti.

Przechadzają się między półkami, żeby upewnić się, że wszystko gra, że nie nastąpiło nadzwyczajne rozmnożenie się ochroniarzy, nie widać nigdzie stada podeksytowanych gliniarzy, Yves bierze z półki longplay z utworami Jacques'a Brela, *Les Marquises*, i idzie z nim do kasy. Wykorzystuje ten moment, żeby wziąć dużą plastikową torbę z nadrukiem „Mammouth rozgniata ceny”.

W tej samej chwili, o 9.40, dwie kasjerki wchodzą do przeszklonego biura centralnej kasy. Nazywają się Marie-Claire Astié i Claudine Repoux. Bruno, który stał na czatach tuż obok, wkłada czym prędzej kominiarkę, wyjmując pistolet, robi

trzy wielkie kroki i popycha kobiety, aby wejść do środka za nimi. Musi pokazać im, że jest twardy i zdecydowany, żeby zrozumiały, iż nie zjawił się tutaj, by podjadać razem z nimi ciasteczka, ale też nie chce zachowywać się wobec nich brutalnie ani nawet ich wystraszyć.

– Przyszliśmy tu tylko po pieniądze, niech się panie nie boją!

Yves założył kominiarkę w momencie, gdy Bruno wchodził do środka za dwiema kobietami, i teraz dołączył do niego w szklanej budce. Rozgląda się wokoło, kilku klientów zrozumiało, co się dzieje, jakaś starszuszka zaczęła krzyżeć, trzeba się szybko uwijać. Bruno wydaje się spokojny, jego gesty są pewne. W tym skoku dobrze wszystko wyliczył: dyrektor sklepu jest w trakcie liczenia pieniędzy, które przekazałby konwojentowi, gdyby rano, oczywiście, wszystko potoczyło się normalnie. Bez słowa Bruno wymierza w jego kierunku pistolet, celuje w głowę, wpatruje się w niego ponurym wzrokiem i wyciąga w jego stronę torbę z nadrukiem „Mammouth”, którą podał mu przed chwilą Yves. Ten ostatni pilnuje dwóch przerażonych kasjerek, spogląda na drzwi biura i na klientów po drugiej stronie szyby.

Niecałe dwie minuty i po sprawie. Wychodzą, nie spiesząc się, nie rzucają się biegiem, Yves idzie z przodu, cały spięty, a Bruno tuż za nim, trzymając w ręku torbę z utargiem i płytą *Les Marquises*, jest wciąż skoncentrowany, trzyma pistolet w wyciągniętej dłoni, gotowy wycelować w jakimkolwiek kierunku:

– Nie bójcie się!

Trudno się nie bać, ale dobra rada nic przecież nie kosztuje. Nikt się nie rusza. Gdy tylko opuścili supermarket, natychmiast wskoczyli do samochodu, Yves siada za kierownicą i rusza z impetem, jak Steve McQueen (tak jak Steve McQueen mógłby ruszyć simcą 1100); postanowili wcześniej, że to on będzie prowadził w drodze powrotnej, jest bowiem świetnym kierowcą (zresztą parę lat później weźmie udział w kilku rajdach samochodowych i nawet odniesie jakieś sukcesy). Nie odezwali się do siebie ani słowem, dopóki nie dojechali do renault 30, parkują tuż obok, upewniwszy się zawczasu, że nikt za nimi nie jedzie, ściągają błyskawicznie kominiarki i bluzy, zostawiają wszystkie te manele w simce (w owym czasie nie było problemu z DNA), którą porzucają na poboczu, po czym ruszają w stronę oddalonego o dwieście kilometrów Périgueux. Dopiero teraz mogą odetchnąć głębiej, jadąc przed siebie, wyją i śpiewają, okazało się to takie proste.

Bruno zdaje sobie sprawę, że właśnie przeszedł przez drzwi, które być może nie otwierają się w drugą stronę, nie jest bezmyślny, ale nie wie jeszcze, jakiego znaczenia nabierze dla niego pięć i pół roku później przytłaczający ciężar, jakim stanie się ten pierwszy drobny napad w Albi, ta fanfaronada młodego, nieustraszonego człowieka.

Zatrzymują się na wąskiej drodze zaraz za Caussade i liczą pieniądze: dwieście dziewięćdziesiąt trzy tysiące sześćset franków, z czego blisko sto tysięcy

w czekach – które drą i wyrzucają do kubła na śmiecie sto metrów dalej, skądinąd ucieszeni, wręcz rozradowani społecznym skutkiem ich występku: w wózkach nazbierało się bowiem całkiem sporo darmowych zakupów i klienci bezpłatnie pożywią się na koszt Mammoutha. „Drodzy panowie, drogie panie, dzisiaj my stawiamy!”.

25

Kilka dni po tym pierwszym napadzie, chcąc skorzystać z ostatnich słonecznych dni nad Morzem Śródziemnym, wymieniają sporą paczkę franków na pesety, jadą z Patricią i Brigitte z powrotem na Majorkę, gdzie zatrzymują się u znajomego Bruna, który prowadzi nocną knajpę. Zostają tam do pierwszych naprawdę chłodniejszych dni pod koniec października, żyją sobie na luzie, prawdziwe „dolce vita”, bez ograniczeń, wylegują się na słońcu, spędzają czas w restauracjach, tańcząc na parkiecie, jak dzieciaki, które używają, ile wlezie na darmowym festynie ludowym. A wszystko to za dwie minuty napięcia w przeszklonym biurze.

Próbują też swoich sił na nartach wodnych. Bruno nigdy wcześniej tego nie robił (narty w wydaniu alpejskim, owszem, z Czerwonymi Diabłami w Colmar), ale także i w tym przypadku radzi sobie doskonale już na pierwszych metrach na wodzie, można by rzec, że całe życie spędził, płynąc uczepony łódki. Zresztą dosyć szybko zaczyna go to nudzić. Przerzuca się na pojedynczą nartę wodną, tu również efekt jest podobny, to dla niego zbyt proste, ot, zwykle ślizganie się po wodzie.

W zupełnie innym świecie Drago zostaje wysłany do Czadu z zadaniem utrzymania porządku (oczywiście nie sam, bo chociaż jest dobrze zbudowany, to możliwości każdego faceta, nawet Serba, mają jednak swoje granice – wyrusza więc razem z kilkoma dawnymi „kolegami” Bruna, kompanią 2. REP). To, co się tam dzieje, jest dosyć skomplikowane i nie będę wchodził w szczegóły (inaczej bowiem musiałbym napisać sto stron na temat toczących się walk i napięcia panującego w Czadzie, a wtedy moja książka wypadłaby wam z rąk, no chyba że pasjonujecie się historią i geopolityką – w takim przypadku z góry przepraszam, gdyż to, co zaraz nastąpi, sprawi, że będziecie powoli kręcić głową w prawo i w lewo), powiedzmy jednak krótko, że jest ostry konflikt między generałem Félixem Malloumem z jednej strony a Hissène Habré i Siłami Zbrojnymi Północy z drugiej oraz Goukounim Oueddeim i Ludowymi Siłami Zbrojnymi, które tkwią w tym wszystkim gdzieś pośrodku, a w każdym razie gdzieś niedaleko.

Po powrocie do Boulazac na początku listopada Bruno (właśnie straciłem sześcioro czytelników pasjonatów historii i geopolityki, ale każde przecież działanie człowieka, w tym pisanie, jest sztuką dokonywania wyborów – tak czy inaczej, niech żałują) nie zadaje sobie już pytania, czy będzie kontynuował napady z bronią w ręku (w przeciwieństwie do Yves’a, który nie za bardzo ma ochotę rozpieprzyć sobie doszczętnie życie). Nie dość, że odnajduje ekscytujące działania, których szuka, adrenalinę, która burzy w nim krew, ale nade wszystko jest to dla niego jedyny sposób, żeby dalej prowadzić przyjemną egzystencję. Skoro nie czyni nikomu krzywdy...

Nie minął tydzień od ich powrotu, a on już zdążył znaleźć nowego współnika, ochotników bowiem nigdy nie brakowało („Czy interesuje cię bardziej sto tysięcy franków, czy może wolisz starą motorynkę?”), z którym obserwuje kilka miejsc (nie mogę, niestety, powiedzieć, o jaki supermarket ani o jakie miasto chodzi). Potem kradnie simcę 1100 i znowu wyruszamy na podbój Dzikiego Zachodu. Ale w sklepie, już po przejściu kilku kroków, Bruno wyczuwa, że coś tu nie gra. Jego kumpel jest rozgorączkowany, porusza się jakoś nienaturalnie, rozgląda podejrzliwie na wszystkie strony i zupełnie nie sprawia wrażenia „normalnego klienta”. Bruno czuł się znacznie bezpieczniej i pewniej, kiedy był z Yves’em. Ale może nie jest to aż tak ważne. (A jednak jest). Powtarza dokładnie ten sam manewr, jaki wykonał w Albi, dostaje się do centralnej kasy, wchodząc za jedną z pracujących tam kobiet, i wymierza broń w dyrektora, który właśnie przeliczył pieniądze. Po chwili zjawia się podekscytowany współnik w przekrzywionej kominiarce na głowie, otwiera gwałtownym gestem drzwi, jakby wchodził do saloonu, bo pewnie go przerosła ta sytuacja, i wydaje z siebie jakieś dziwne dźwięki, coś między kaszlem i chrząkaniem. Poirytowany Bruno odwraca na sekundę głowę, a w tym czasie dyrektor wyjmuje, nie wiadomo skąd, gnata i strzela mu w brzuch.

Bruno poczuł tylko jakby oparzenie, mocne, ale krótkotrwałe, jak uderzenie batem, a kowboj w garniturze i pod krawatem sam jest zaskoczony tym, co zrobił, odgłosem i konsekwencjami; zanim zdąży przełknąć ślinę, Bruno jest już przy nim i przykłada mu lufę pistoletu do skroni.

– Coś ty mi zrobił?! Widzisz, co mi zrobiłeś? Powinienem cię teraz załatwić.

Dyrektor oddał mu broń, którą trzymał w bladej i miękkiej dłoni, prawdopodobnie nie był nigdy tak bliski posikania się, odkąd skończył dwa i pół roku, ale Bruno zachowuje zimną krew i zadowala się zabiciem go wzrokiem. (Odtąd zawsze już będzie wkładał najpierw dwa ślepe naboje do pistoletów, których będzie używał podczas napadów: trzeba być naprawdę silnym, żeby nie zgąć odruchowo palca wskazującego, gdy się dostało kulkę w brzuch, a kiedy indziej, nawet gdy się jej nie dostało, nigdy nie wiadomo, to może być kwestia zmęczenia i chwilowej słabości. Odtąd również zawsze będzie najpierw zakładał kajdanki swoim ofiarom, zanim czegokolwiek od nich zażąda. Będzie też starał się dokładniej dobierać współników. Każdy błąd jest niczym lekcja, uczymy się przecież każdego dnia). Oglupiały współnik zamiera w bezruchu i potrzebuje co najmniej pięciu sekund, aby zrozumieć, że Bruno chce, żeby podał mu torbę. Wszystko jednak kończy się w miarę dobrze, wychodzą z pieniędzmi i pistoletem dyrektora, Bruno przyciska rękę do brzucha, a współnik, który zapomina, że miał mierzyć w klientów, maszeruje zamyślony obok niego.

Nazajutrz w gazetach można będzie przeczytać, że niebezpieczni bandyci, gotowi na wszystko, aby zdobyć pieniądze, nie zawahali się użyć broni. Z tego właśnie powodu nie podaję nazwy miasta. Dyrektor sklepu być może nie przyznał się w domu, że to on strzelał. Nie rozczulam się zbytnio nad tymi, którzy są gotowi zabić, gdy ktoś chce im zabrać pieniądze, ale to może być kwestia kretyńskiego odruchu pod wpływem strachu, więc wolałbym, żeby jego dzieci nie dowiedziały się ode mnie, że ich ojciec wolał zabić człowieka, owszem, gangstera, żeby nie dopuścić do kradzieży lichego utargu z jego supermarketu.

Kula wyszła bokiem, zatem Bruno nie niepokoi się i tylko dezynfekuje ranę. Dwa dni później jednak jego brzuch robi się obrzmiały, twardy i obolały. Pauline, która pracowała w stacji Radio suisse romande w Genewie, zna tam dobrego lekarza, to pięć godzin jazdy: dwóch krewnych zawozi Bruna do spokojnej i bezpiecznej kliniki. (Pauline nie podoba się, i to całkiem, że zaczął napadać na ludzi z bronią w ręku, zarówno ze względu na niego, jak i na tych ludzi, ale nie wahałaby się dać sobie obciąć rękę, gdyby pozwoliło to jej starszemu bratu uniknąć ciężkiej grypy). Okazuje się, że to nic poważnego, przez dwa tygodnie zostaje na obserwacji i opuszcza klinikę jak nowy, tylko z blizną na brzuchu, która zostanie mu już do końca, ale to nic wielkiego, jak ślad po wyrostku robaczkowym, tyle że z drugiej strony. No i przybyło mu jeszcze kilka gramów, tak jakby trochę spoważniał: Patricia jest w trzecim miesiącu ciąży, a dziecko (to będzie

dziewczynka, ale on jeszcze o tym nie wie) będzie może szczęśliwsze, mając ojca.
Bruno musi więc nauczyć się ostrożności.

Dnia 18 lutego 1979 roku Drago i legionieści 2. REP lądują na lotnisku w Ndżamienie, razem z innymi francuskimi oddziałami, i starają się, jak mogą, doprowadzić do zakończenia straszliwej wojny domowej, w której ścierają się zwolennicy Mallouma i Habré, gdy tymczasem Oueddei czeka na sprzyjający moment. Dzieje się tam, oj dzieje, i Drago się nie oszczędza – 14 grudnia tego samego roku zostanie odznaczony Medalem Operacji Zamorskich z okuciem – Czad. W tym samym czasie Bruno rozmawia przez telefon z ojcem:

- Będę się żenił, tato.
- Jak to, będziesz się żenił? Jak chcesz to zrobić? Pod jakim nazwiskiem?
- Pod prawdziwym. Chcę, żeby moja córka je nosiła.
- Ale nie możesz tego zrobić, jesteś dezserterem.
- Trudno. Za trzy dni przyjdą po mnie do domu, to pewne, postawią mnie przed sądem i będzie, co będzie. Przecież nie dadzą mi dożywocia tylko dlatego, że zdezserterowałem. Zresztą, nie mogę postąpić inaczej.

Rankiem 24 lutego, w dniu ślubu, podniesione głosy budzą Bruna w domu w Boulazac. Stella, jego młodsza siostra, wstała jako pierwsza (cała rodzina zjawiała się poprzedniego dnia), sama zjadła śniadanie, a kiedy Patricia w siódmym miesiącu ciąży weszła do kuchni, zdenerwowała się i zaczęła krzyczeć, bo nastolatka zostawiła brudne naczynia na stole. Bruno dołączył do dziewcząt jeszcze mocno zaspany, ale szybko doszedł do siebie. Nikomu nie wolno czepiać się tej małej.

- Nie pozwalam ci się tak odzywać do mojej siostry! Wyżywasz się na kimś innym, ona ma trzynaście lat! Mam gdzieś twoje brudne talerze!

I nagle traci panowanie nad sobą. Jednym zamaszystym gestem zrzuca na podłogę wszystko, co stało na stole, filiżanki i słoik z konfiturami rozbijają się w drobny mak, po czym wyrzuca wszystko przez okno, otwiera szafki i znowu, co tylko znajdzie, talerze, kieliszki i szklanki, wylatuje przez okno.

- No i załatwione, teraz nie będziesz już nam zawracała dupy tymi durnymi naczyniami i będziesz mogła myśleć o czymś innym.

Uważa, że Patricia sama tworzy całą masę niepotrzebnych i zupełnie nieistotnych domowych problemów. Wydaje mu się to śmieszne, wyolbrzymione, jak coś, co bezsensownie psuje życie. (Pójdź w me ramiona, Bruno). Przez chwilę poważnie rozważa odwołanie ślubu, nie chce bowiem użerać się całymi latami o jakieś idiotyczne talerze czy okruchy. I jak zawsze, uspokaja go matka.

Po południu, około godziny 15.00 w kościele w Boulazac, Patricia i Bruno składają pocałunek na swych ustach. A więc stało się, ich córka będzie się nazywała Amélie Sulak.

Wczesnym wieczorem Yves razem z kolegą wychodzą z wesela, aby

pojechać na dworzec w Périgueux po jedną z jego sióstr, która nie mogła przyjechać wcześniej. Ma na nią poczekać w barze naprzeciwko. Parkuje swoje wielkie bmw kupione za pieniądze z supermarketu Mammouth w Albi, zastawiając inne samochody, po czym razem ze swoim kumplem siada pod oknem. Zamawiają wodę Perrier.

Rozmawiają sobie w najlepsze, właśnie dołączyła do nich siostra Yves'a, już zamierzają wyjść, gdy jakiś podenerwowany, mały, chudy jak szkielet gość uchyla drzwi i z niemiłym wyrazem twarzy wydziera się na całą salę:

– Niech ten debil, który zastawił mnie swoją głównianą bryką, zjeżdża stamtąd czym prędzej!

Ale podobnie jak Bruno, Yves wyznaje pewne zasady:

– Albo będzie pan uprzejmy, albo spierdalaj, palancie, na drzewo!

Mały mięśniak najwyraźniej nie jest zadowolony. Wchodzi do środka, ale tylko na krok, jakby rozmyśla się, kiedy Yves wstaje, i wychodzi, żeby coś powiedzieć dwóm typom, którzy zostali na chodniku, a wyglądają jak robotnicy z budowy. Otwierają tylne drzwi zablokowanej przez bmw furgonetki i wyjmują ze środka trzy grube pały, z tego co najmniej dwie są żelazne. Yves, tak samo jak i jego kumpel, nie należą do osób, na których trzech podekscytowani faceci mogą zrobić wrażenie. Wychodzą do nich na zewnątrz, żeby zasugerować im powrót do domu i do piaskownicy, ale trzech robote, pewnie trochę przerażeni ich wyglądem i widocznym luzem, nie pozwalają im nawet się odezwać i rzucają się na nich z prętami zabranymi z budowy. Chyba jasne, że trzeba na to jakoś zareagować. Wywiązuje się więc ostra bijatyka, po której bardzo szybko trzech narwańcy, mocno nadwerżeni, wiją się na asfalcie. Żelazne pręty obróciły się przeciwko nim.

Yves daje znać nieco zdezorientowanej siostrze, żeby wyszła z kawiarni, bez pośpiechu wsiadają do bmw i jadą z powrotem na wesele Patricii i Bruna. To, co się stało, wydaje się nieistotne (w każdym razie tym, którym nieobce są rozróby), ale mimo wszystko to pech. Prawdziwy pech.

*

W niedzielę w Boulazac wszyscy śpią i nabierają sił. Bruno wstaje szczęśliwy, że się ożenił, jego córka rozpocznie życie zgodnie ze wszystkimi wymogami formalnymi; martwi się może trochę, że jest teraz uwiązany; niepokoi się też, bo kiedy mija entuzjazm i na dalszy plan schodzą szczytne zamiary, zastanawia się, czego po wymiarze sprawiedliwości może spodziewać się dezertier, który z własnej, nieprzymuszonej woli rzucił się w objęcia mera: wie wprawdzie doskonale, że z tak błahego powodu nie skazą go na trzydzieści lat więzienia o zastrzonym rygorze, ale orientuje się również, że nie skończy się na tym, że dadzą mu linijką po łapach. Więzienia obawia się nie tyle ze względu na siebie, co na Patricię, która znajdzie się z dzieckiem bez środków do życia. Mógłby

wprawdzie uciec, ale nie jest to dokładnie to, co miałyby się ochotę zrobić, kiedy ma się urodzić dziecko. Nie, jeśli trzeba, odsiedzi swoje, czas już chyba spłacić długi. Ale najpierw chce wykorzystać czas, jaki mu pozostał, zaciągnąć po raz ostatni kredyt, aby zapewnić najbliższą przyszłość Patricii i Amélie, przynajmniej do czasu, gdy wyjdzie z więzienia – o ile go znajdą, co przecież nie jest wcale takie pewne, znając biurokrację i cały ten potężny administracyjny bajzel.

Bruno pyta więc Yves'a, czy zgodzi się zrobić z nim ostatni skok. Mówił mu już o tym jakieś dziesięć dni wcześniej, Yves waha się, być może, nie wie, dalej się waha. Z jednej strony bowiem zrozumiał, tam, w Albi, że napady z bronią w rękę nie są tym, co w życiu podoba mu się najbardziej, ale z drugiej niezręcznie mu odmówić pomocy przyjacielowi, który właśnie został jego szwagrem, i pozostawić go samemu sobie po tym numerze z kulką w brzuchu. No tak, tyle że to właśnie ta historia z kulką w brzuchu go niepokoi i pokazuje mu, jakże wyraźnie, że w tym fachu nic nie jest pewne, bo to przecież nie sekretariat czy piekarnia. Prosi Bruna, żeby dał mu trochę czasu do namysłu. Ten jednak nie ma go w nadmiarze, w każdej chwili mogą go zapudłować, a z tą marną kasą, jaka pozostała mu z ostatniego, krwawego napadu, Patricia z trudem będzie miała co włożyć do garnka. A zatem przyjaźń nade wszystko, Yves niechętnie się w końcu zgadza.

Na początku miesiąca Bruno przyjrzał się dokładnie supermarketowi Montlaur niedaleko Montpellier przy drodze z Carnon do Lattes. Postanowił, że tym razem lepiej będzie zrobić skok we trzech, bo sześcioro oczu to półtora raza więcej niż czworo, na wypadek gdyby znowu mieli wpaść na operetkowego Lucky Luke'a. Najął do roboty swojego kumpla Jeana-Pierre'a (jednego z tych, z którymi spotkał się wtedy po lodowisku, kiedy wracał ze Stellą, w ostatni dzień jego przepustki legionisty), i dodatkowo jednego marsylczyka, wystarczająco mocnego na jego gust, bo wtedy Yves ostatecznie się jeszcze nie zadeklarował.

W poniedziałek, 26 lutego, zaledwie dwa dni po ślubie, w Périgueux wynajmują dwa samochody, simcę 1307 i renault 30 (które przedtem przyniosło im szczęście w Albi). Wyruszają we czwórkę, gdyż Bruno zachował zdolność przewidywania i przeczuwa, że Yves może w ostatniej chwili zmienić zdanie – właściwie nawet by mu to tak bardzo nie przeszkadzało: jeśli sprawy potoczą się źle, lepiej będzie, gdy przynajmniej jedna z sióstr, Patricia albo Brigitte, zachowa męża. Bruno i Jean-Pierre jadą renault, a Yves z marsylczykiem – simcą.

Po drodze nie potrafią się powstrzymać, żeby nie poszaleć trochę za kierownicą, Al Carbone i jego banda przeciwko braciom Têtes-Dures (Roc i Gravillon), są młodzi i nieokiełzani, podekscytowani do tego kasą w Montlaur, pędzą więc na pełnym gazie i zostają zatrzymani za przekroczenie prędkości na drodze departamentalnej w Manaurie, zaledwie trzydzieści kilometrów od domu. Kurde. Tak jak trzech pozostali, którzy mają przy sobie prawdziwe dokumenty, Bruno niedbałym gestem wręcza swoje papiery: Bruno Dibon, bardzo dobrze.

Dostają dwa mandaty i odjeżdżają, nie przejmując się tym znanadto, nie ma przecież powodu, żeby ktoś powiązał później z tym zdarzeniem przyszły napad (jakże lukratywny) na oddalony o trzysta kilometrów supermarket Montlaur w Lattes. Wręcz bawi ich to wszystko: gliniarze zawsze mają problem z *timingiem*, albo zjawiają się poniewczasie, jak kawaleria, tak jest najczęściej, albo znowu, tak jak tym razem, zatrzymują ich za wcześnie.

W poniedziałek wieczorem wynajmują pokoje w hotelu w Marguerittes, niedaleko Nîmes. Sprawdzają sprzęt: poza własną bronią marsylczycy wzięli z sobą dwa rewolwery .38 Special, cztery pary kajdanek i kastet, o którym Bruno nie chce nawet słyszeć. We wtorek rano jadą do Montpellier i zatrzymują się na parkingu przed Montlaur, aby zanotować godzinę przyjazdu furgonetki (południe), która zabiera pieniądze z pomieszczenia administracyjnego nieco oddalonego od sklepu – jest to zresztą jeden z powodów, dla których Bruno wybrał ten właśnie supermarket, nie będą mieli bezpośredniego kontaktu z klientami, co pozwoli uniknąć wielu problemów. Sam fakt, że jest na miejscu, że czuje, jak jego serce zaczyna bić coraz szybciej, że wyobraża sobie, jak zakłada kominiarkę, jest dla Yves'a jak zimny prysznic. Wieczorem w Marguerittes, utwierdzony w tej decyzji przez Bruna, postanawia nie brać udziału w mającym nastąpić nazajutrz napadzie.

W środę o godzinie 6.00 rano na jednej z uliczek Nîmes Bruno znajduje bez trudu simcę 1100 gotową do natychmiastowego użytku. O godzinie 11.00 zostawiają simcę 1307, renault 30 i Yves'a na końcu avenue des Platanes, dwa kilometry od Montlaur. O godzinie 11.15 Bruno i dwaj marsylczycy czekają na parkingu w simce 1100, tuż obok budynku administracji. Byłem w tamtym czasie kilka razy z moją matką w supermarkecie Montlaur. Jej kuzynka Angèle mieszkała wtedy w Lattes. Często spędzaliśmy tam wakacje. Córki Angèle, Dominique i Cathy, moje kuzynki, pracowały kilka lat później w tym samym supermarkecie Montlaur. Cathy była zresztą pierwszą dziewczyną, która ukradkiem, za krzakami przy rue des Tamaris, dwa lata przed pojawieniem się w tej okolicy Bruna pokazała mi, co kryją jej majtki (oczywiście, żeby nie było z tym żadnej dwuznaczności, ot, chodziło tylko o jakże przydatną informację anatomiczną – nigdy tego nie zapomnę). Zatrudniła się w dziale księgowości w budynku administracyjnym. Właśnie do tego pomieszczenia zostaje wepchnięty siłą przez trzech facetów w kominiarkach pracownik, który dopiero co otworzył drzwi. Jean-Pierre został na parterze, żeby pilnować ochroniarza (który jednak będzie się stawiał mimo wycelowanego w niego .38 Special i w końcu dostanie ostro w dziób – cóż było robić), gdy tymczasem Bruno i drugi z marsylczyków wchodzi na pierwsze piętro w towarzystwie pracownika supermarketu, podają kajdanki trzem znajdującym się tam osobom, proszą, by raczyły łaskawie założyć je sobie na ręce, zabierają torbę z utargiem z dnia poprzedniego i schodzą na dół, krzywią się niezadowoleni, widząc ochroniarza z rozkwaszonym nosem, wychodzą z budynku i biegną do

simki 1100. Trzy minuty później przyjeżdżają po zdenerwowanego Yves'a na koniec avenue des Platanes, porzucają simcę 1100, ruszają z kopyta wynajętymi samochodami i postanawiają się spotkać u Yves'a w Chancelade, na północny zachód od Périgueux.

Yves razem z jednym z marsylczyków wraca simcą 1307 przez Millau i Rodez, a Bruno i Jean-Pierre, z pieniędzmi, jadą renault 30 przez Tuluzę – jakieś dziesięć kilometrów od Montpellier, przy drodze do Carcassonne, Bruno pozbywa się czeków opiewających na sto pięćdziesiąt tysięcy franków, wyrzucając je do kubła na śmieci (nie traci czasu na podarcie ich, niestety zostaną one odnalezione tego samego dnia po południu). Pozostaje sto siedemdziesiąt tysięcy franków gotówką. Cokolwiek by się teraz stało – oby jednak nic się nie wydarzyło – Patricia będzie miała pieniądze na utrzymanie.

Renault zatrzymuje się przed domem w Chancelade późnym popołudniem, wkrótce przyjeżdża też simca. Bruno wręcza połowę łupu przyjacielowi, ma się nią podzielić z tym drugim. Kiedy zjawia się Yves, obaj odjeżdżają, Bruno powierza torbę szwagrowi i wchodzi do domu, gdzie czekają na nich żony. Brigitte ma dziwną minę. Wyjaśnia mężowi, że dzwonili gliniarze w sprawie bijatyki przed dworcem w Périgueux, bo trzech mocno poturbowani panowie zdążyli zapisać numer rejestracyjny beemki i złożyli doniesienie w sprawie pobicia. Yves jednak nie wpada w panikę, w końcu nie rozwalił im łbów, więc następnego dnia zjawi się na komisariacie i wyjaśni, że te żelazne pręty nie spadły przecież z nieba i wszystko powinno dać się bez większych problemów załatwić. Ale lepiej będzie, żeby to Bruno przechowywał pieniądze i broń, bo nigdy nie wiadomo, czy gliniarzom nie przyjdzie raptem ochota, żeby trochę pogmerać w domu Yves'a.

Ale zła passa już się zaczęła.

Bruno chowa torbę z pieniędzmi, oba rewolwery .38 Special oraz broń automatyczną do bagażnika renault 30 i wraca z Patricia do Boulazac. Trzech gliniarzy czeka już na nich przed domem, pod numerem 8 przy rue Raymonde. To inspektorzy policji, jak wtedy ich nazywano, z miejskich sił bezpieczeństwa w Périgueux, panowie Dotte, Destribats i Mourra.

- Pan Bruno Sulak, alias Bernard Suchon?
- Nie. A o co chodzi?
- Jest pan poszukiwany za dezercję.
- No cóż.
- Mogę zobaczyć pana dokumenty?
- Oczywiście.
- Bruno Dibon? Średnie ma pan te papiery. Zawód?
- Zajmuję się sprzedażą odzieży.
- Niby gdzie?
- Na targowiskach.

– Ach, tak. Zabierzemy cię na komisariat, żeby to sprawdzić, jeśli nie masz nic przeciwko. Czy to twój samochód?

– Nie, tylko go wynająłem.

– Ach tak? W takim razie samochód też zabieramy.

Zostawiają Patricię w domu – nie ma przecież nic wspólnego z dezercją, to sprawy facetów, a poza tym jest w siódmym miesiącu ciąży – jeden z gliniarzy siada za kierownicą renault 30, dwaj pozostali i Bruno jadą za nim. Kiedy są na końcu ulicy, spanikowana Patricia dzwoni do Yves'a i opowiada mu o tym, co się wydarzyło. Wykończony drogą i napięciem, jakie towarzyszyło mu przez cały dzień, położył się już spać. Natychmiast wstaje, błyskawicznie się ubiera i nie zastanawiając się długo, postanawia udać się na komisariat, który dobrze zna, bo od czasu do czasu bywał tam jako nastolatek: wie, że dziedziniec jest zawsze otwarty, a przy odrobinie szczęścia (czasami można na nie liczyć), gliny nie pomyślą o tym, żeby zajrzeć do bagażnika, i wciągając skarpetki, opracowuje nieco ekstrawagancki plan odzyskania cichaczem pieniędzy i spluw, zanim się na nie natkną.

Na drugim piętrze komisariatu trzech policjantów bez zapalu wykonuje swoją robotę, nie jest to afera stulecia, ale trzeba spisać protokół. Pytają Bruna, którego już zdemaskowali, dlaczego zdezerterował, a kiedy opowiada im o poczuciu wstydu i o niemożności spojrzenia innym legionistom w oczy, ponieważ nie udało mu się skoczyć razem z nimi w Kolwezi, tylko się śmieją, no jasne, bo jeszcze ci uwierzymy. Kiedy pytają go o osobę, która dostarczyła mu fałszywe papiery, odpowiada: „To ten sklepikarz na rogu”. Nagle jednak Mourra, który nudzi się jak mops, wstaje i idzie rzucić okiem na zaparkowany na dziedzińcu samochód. Pojawia się z powrotem w biurze po pięciu minutach z promiennym uśmiechem na ustach i z trudem łapiąc oddech, zaróżowiony na twarzy:

– Chłopaki, słuchajcie, to grubszy numer!

Znalazł całą masę banknotów (na oko, najmarniej osiem albo dziewięć kół), trzy spluwy, kominiarki, wszystko, co trzeba, jackpot: szybko łączą to z napadem na Montlaur w Lattes, o którym powiadomiono ich wczesnym popołudniem.

– Życie przynosi sporo miłych niespodzianek – zauważa Destribats.

Yves wskoczył do simki 1307, a nie do swojego bmw, ale kilkaset metrów od domu, zanim jeszcze wyjechał z Chancelade, mijają kilka pojazdów policyjnych z migającymi kogutami i na sygnale, z wielką pompą (na całe szczęście w policji nie wszyscy są rozgarnięci). Wie, że jadą po niego. I wie również, że to nie Bruno go wydał, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, i szybko domyśla się, co musiało się stać: sprawdzając numer rejestracyjny renault 30, dowiedzieli się, że został zatrzymany dwa dni wcześniej za przekroczenie prędkości na drodze prowadzącej na południe, a więc w kierunku Montpellier i Lattes, w tym samym czasie co drugi samochód, wynajęty przez kogo? Ano przez niego właśnie! A więc

oczywiście przez współnika. (Myślę, że można w tym miejscu pozwolić sobie na małą przerwę, żeby dokonać krótkiej syntezy: policja, niewiarygodnym fartem, odnajduje dezterera dokładnie w tym momencie, w którym w bagażniku jego samochodu znajdują się pieniądze i broń, a te pieniądze i broń znalazły w bagażniku jego samochodu z powodu bójki z trzema rozwścieczonymi robotami, która rozegrała się przed dworcem w Périgueux, domniemany współnik zostaje zaś zidentyfikowany w ciągu zaledwie kilku minut dlatego, że bawiła ich szybka jazda – nie można rzec, by przypadek sprzyjał w tym tygodniu bandytom). Nocne oddziały interwencyjne zidentyfikowałyby Yves'a, gdyby jechał bmw, które rozpoznałyby z powodu doniesienia złożonego przez roboty, zawróciłyby ostro w amerykańskim stylu i rozpoczęłyby pościg, ale ponieważ Yves jechał simcą, minął patrol policji niezauważony. Rozumie, że sprawa się ryła i nie ma sensu próbować odzyskać kompromitującego ładunku znajdującego się w bagażniku stojącego na dziedzińcu komisariatu renault 30 (byłoby to wręcz dość głupie – „Serdecznie witamy, młody człowieku”) i że nikt mu nie uwierzy, jeśli powie, że nie uczestniczył w napadzie (policja znajdzie u niego w domu, w obecności załamanej Brigitte, dwa karabiny, to może jeszcze by uszło, ale do tego plan okolic Lattes oraz innego supermarketu w tym samym regionie, które powierzył mu Bruno), dlatego pędzi ukryć się u swojej siostry w Bordeaux. Zostanie tam tylko na jedną noc, a nazajutrz znowu rzuci się do ucieczki, aż wreszcie ukryje się w Marsylii w mieszkaniu przyjaciela.

Bruno ze swojej strony robi wszystko, co w jego mocy, żeby jak najmniej obciążać przyjaciela. Wykazując się dobrą wolą, podaje policjantom nazwiska dwóch współników, zanim zdążyli zadać do końca pytanie: Ange le Corse i Jacques le Marseillais. (Jego współnicy nazywali się, rzecz jasna, Ange i Jacques, tak jak ja nazywam się Casimir). Doświadczeni śledczy zacierają ręce, nie dłużej jednak niż pięć minut: w kartotekach figuruje osiemdziesięciu dwóch rzezimieszków, którzy mogliby nosić ksywę Ange le Corse, i stu dwudziestu siedmiu, którzy mogą występować pod pseudonimem Jacques le Marseillais. Przejęty ich rozterką, starając się współdziałać z nimi, tak jak tylko potrafi, Bruno przekazuje im dokładny rysopis obu indywiduów: „Jedwabne koszule, sygnet z brylantem na palcu, wyraźny południowy akcent”. (Nazajutrz pewien dziennikarz, miłośnik psychologii, świetnie zorientowany w technikach śledczych specjalista od spraw kryminalnych, stwierdzi odważnie w lokalnej gazecie: „Jedwabne koszule, brylanty na palcach, wyraźny południowy akcent, bez wątplenia chodzi o pospolitych bandziorów”). Cóż, kiedy nie pozwala to nadal ich zidentyfikować – los się sprzyścił. To przykre, bo oczywiście to właśnie Jacques le Corse i... („Co ja powiedziałem? Nie, przepraszam, szefie, Jacques le Marseillais i...”) Ange le Corse są mózgiem napadu. Bo tak naprawdę Bruno i Yves chcieli po prostu otworzyć salon gier w Périgueux, pomysł znakomity,

zarobiliby krocie, tyle że nie mieli kasy. Udali się więc do Marsylii, żeby zobaczyć, czy ktoś nie pożyczyłby im pieniędzy, żeby mogli rozkręcić interes – no tak, bo w Marsylii przecież pieniądze rozdaje się na prawo i lewo. Niejaki Francky la Sauterelle, wielki uwodziciel, uosobienie elegancji, zarządzający firmą zajmującą się sprzątaniem, która służy mu za przykrywkę, podał im adres. I tam właśnie spotkali – tam, czyli gdzie? – w barze, panie inspektorze, w knajpie niedaleko Vieux-Port, słynącej z prostytutek (aha, no tak, jasne), owych słynnych Ange’a le Corse’a i Jacques’a le Marseillais’go, z sygnetami na palcach. Problem w tym, że ci goście nie są z gatunku tych bezinteresownych, którzy pożyczą forszę ot tak, za nic. Ale skoro już mieli pod ręką pełnych dobrej woli młodzieńców, zaproponowali im udział w napadzie niedaleko Montpellier. I wtedy właśnie Bruno i Yves popełnili błąd: dali się skusić. Jak żółtodzioby. Są winni, to jasne. Nie Yves. Ale Bruno – owszem, musi się do tego przyznać. I ma do siebie straszny żal.

Jeśli chodzi o Yves’a, funkcjonariusze chętnie by go dopadli, ale jak na razie mają Bruna, który jest przecież tak chętny do współpracy i będzie musiał puścić nieco pary na jego temat. Nie chodzi wcale o to, żeby im sprawiać kłopot, skądże znowu: tłumaczy im, że nie było go tam, że nie brał udziału w tym skoku, co, rzecz jasna, budzi ich rozbawienie, będzie więc musiał się trochę przyłożyć i być bardziej przekonujący. Zdając sobie sprawę, że mu nie uwierzą, kiedy im powie, że gdy dotarli na miejsce, Yves po prostu zdecydował, iż z nimi nie pojedzie, Bruno wymyśla inną wersję. Otóż Bruno i Yves poprzedniego dnia spotkali się z bandytami z Vieux-Port w pizzerii w Montlaur. Kiedy jednak Jacques i Ange zjawili się na miejscu, imponujący w swoich jedwabnych koszulach, zdali sobie sprawę, gdy siadali przy stole, jeden zamówiwszy reginę, a drugi calzone, że zapomnieli zabrać z Marsylii cały swój sprzęt. (Co to w ogóle za beznadziejne, niekumate bandziory? – zaczyna się zastanawiać zaniepokojony Bruno. Jadą sto pięćdziesiąt kilometrów, żeby obrobić supermarket, i żaden z nich nie raczył zapytać tego drugiego, czy pamiętał, żeby zabrać gnaty? Może lepiej byłoby odpuścić, przecież to cieniasy. A jednocześnie taki salon gier to byłby złoty interes, to pewne”). Ten palant Ange le Corse wreszcie postanawia się poświęcić i wrócić do Marsylii po broń. Wraca wieczorem, ale znalazł tylko trzy sztuki broni, dwa pistolety .38 Special i jeden pistolet automatyczny. Można się wściec. Yves, honorowo, wycofuje się i postanawia nie brać udziału w skoku. Wraca w nocy do Chancelade swoją simką 1307. I tyle. Co zastanawiające, policjanci chyba mu wierzą.

Tydzień później niejaki Jean-Charles Fossecave, zwany Nanou, przyjaciel Yves’a i Bruna, były mistrz Francji w zapasach w stylu klasycznym, a obecnie wykidajło w Bilboquet, nocnej knajpie w Chamiers niedaleko Périgueux, zostaje zatrzymany w drobnej sprawie kradzieży monet z parkometrów. Zaprzecza wprawdzie stanowczo, ale podczas przeszukania w jego mieszkaniu znaleziono

ukryte w kominku dwa tysiące trzysta franków w bilonie. Przyciśnięty do muru podaje pierwsze wyjaśnienie, jakie przychodzi mu do zapaśniczej głowy: to Yves pożyczył mu te pieniądze. (W drobnych... Bardzo fajny gość z tego Yves'a, rozbił skarbonkę dla swoich kumpli. Oczywiście gliny wyciągają wniosek, że chodzi o drobne z utargu w supermarkecie Montlaur). Nanou wie, że Yves jest ścigany i że długo go jeszcze nie znajdą, a do tego czasu wszyscy zapomną o parkometrach.

W marsylskim mieszkaniu Yves przez chwilę zastanawia się nad tym, w jaki sposób mógłby pomóc Brunowi w ucieczce. Ale to nie jest proste. W przeciwieństwie do swojego szwagra nie zna żadnego twardziela, który zgodziłby się mu pomóc w tego typu akcji. Wciąż jeszcze to rozważa, kiedy za pośrednictwem adwokata, a potem Brigitte, Bruno przesyła mu wiadomość: „Zeznawałem tak, że jesteś czysty, prawie nic nie ryzykujesz, możesz się zgłosić na policję”. Yves zdaje sobie doskonale sprawę, że długie i uciążliwe ukrywanie się przed policją byłoby bezsensowne i że przyszedłoby mu za to któregoś dnia słono zapłacić. Dowiedział się jednak przy okazji od Brigitte, że Nanou wpakował go w tę historię z monetami, co komplikuje sprawę. Brigitte idzie więc zobaczyć się z bramkarzem z Bilboquet, prosi go o odwołanie złożonych wcześniej zeznań, by Yves mógł się spokojnie zgłosić na policję, a Nanou, przeprasząc, bez wahania łaskawie się zgadza. Bo i tak miał zostać skazany za aferę z parkometrami.

Po dwóch tygodniach ukrywania się Yves oddaje się w ręce policji i dołącza do Bruna. Obaj zostają zamknięci w więzieniu w Montpellier, nazywanym ironicznie „zamkiem”: to stare, ponure, brudne i cuchnące więzienie, za małe w stosunku do liczby więźniów stłoczonych w warunkach higienicznych niegodnych kraju, który przecież wydobył się już ze średniowiecza (w 1990 roku w jego miejsce pojawi się zakład penitencjarny Villeneuve-lès-Maguelone). W momencie gdy znajdują się tam Bruno i Yves, administracja odnotowuje trzecie samobójstwo więźnia w okresie zaledwie czterech miesięcy.

Bruno stara się nie ulec panice. Obijając się o wilgotne od pleśni ściany malutkiej celi, zastanawia się, co mu odbiło, że się w to władował, przypomina sobie, jak wesoło śpiewał po pierwszym udanym napadzie, wspomina, z jaką radością dwa tygodnie wcześniej wyrzucił czeki przy drodze do Carcassonne, ale przede wszystkim zadaje sobie pytanie, co teraz będzie robił, ile czasu będzie tutaj gnił, jak pogrzebany żywcem. Nie skarży się jednak i wie, że może mieć pretensje, jak zwykle się mawiać, wyłącznie do siebie (zresztą to się nawet całkiem dobrze składa, skoro jest tu sam). Myśli wciąż o dewizie Czerwonych Diabłów z Colmar: „Nigdy się nie poddawać”. Myśli też o tych, którzy w ciągu ostatnich miesięcy popełnili samobójstwo, dokonali samounicestwienia. On jednak wybiera coś innego, być może inną formę destrukcji: ucieczkę.

W piątek, 20 kwietnia 1979 roku, w tym samym czasie, gdy Bruno rozgrywa partię szachów z Jeanem-Louisem S. (teraz dla odmiany podaję same inicjały, bo wielu z dawnych niepokornych stało się szanowanymi dziadkami i ojcami rodzin), starszym o dziesięć lat więźniem, z którym wkrótce mocno się zaprzyjaźni (a mocna przyjaźń między więźniami to nie jakaś tam znajomość przy kawiarnianym barze, twoje zdrowie i do zobaczyska), prezydent Jimmy Carter łowi ryby w stawie w swojej posiadłości Plains w stanie Georgia. Jest sam i siedzi w bardzo prostej łódce. Jego sekretarz, ochroniarz i fotograf z Białego Domu rozmawiają na brzegu w odległości kilkudziesięciu metrów, nie zwracając na niego za bardzo uwagi. Od godziny Jimmy nic nie złowił, zaczyna się nudzić. Nagle słyszy jakiś dziwny dźwięk dochodzący z wody, odwraca głowę i widzi wielkie zwierzę płynące wprost na niego i wydające niepokojące dźwięki, coś jakby rżenie wydobywające się z gardła połączone ze zgrzytaniem zębów. Prezydent potrzebuje pięciu sekund, żeby zrozumieć, nawet jeśli jego mózg się temu opiera, że to królik. Bardzo duży królik. Myśli przez chwilę, że biedny królik Bugs topi się, ale okazuje się, że wcale nie, bo biedny królik mknie rozjuszony wprost na niego z otwartą paszczą, wybałuszonymi gałami i wzrokiem mordercy. Gwiżdże przy tym jak torpeda. Prezydent przyzna później uczciwie, że w owym czasie nie miał żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o wściekłe króliki. Trochę więc spanikował. Królik z mokradeł! Stracił zimną krew, nie ma co się dziwić, gdyż po chwili zwierzę, którego nic nie jest w stanie powstrzymać, próbuje wskoczyć do łódki i go zaatakować. Wczepiwszy przednie łapy w jej krawędź, wali z wściekłością w wodę tylnymi (bardzo mocnymi) łapami, nozdrza ma szeroko rozwarte, a zęby jak drapieżnik. W jak najbardziej ludzkim odruchu Jimmy przywała mu wiosłem w pysk. Królik z mokradeł groźnie warczy i jeszcze mocniej naciera, chcąc skoczyć mu do gardła, lecz po drugim uderzeniu wiosła przez łeb rozumie, że ma do czynienia z prawdziwym twardzielem, nurkuje zatem z powrotem i oddala się, płynąc teraz jakby spokojniej, myśląc sobie zapewne, że się przeliczył, że przegrał może bitwę, ale przecież nie wojnę, więc gdyby wielka loteria życia sprawiła, że urodziłby się aligatorem, a nie królikiem, sprawy z pewnością potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Nazajutrz, na balkonie Trumana, na drugim piętrze Białego Domu, prezydent rozmawia z kilkoma spośród najbliższych współpracowników, w tym z attaché prasowym, i popełnia błąd (ja też bym go popełnił), opowiadając o swojej niemiłej przygodzie z zabójczym królikiem. Oczywiście nikt mu nie wierzy (no cóż, stało się, coś mu się porobiło w główce), ale fotograf, który był wtedy na brzegu, wykazał się nieomal olimpijskim refleksem, gdyż udało mu się zrobić zdjęcia. Jimmy żąda, aby wywołano je jak najszybciej. Ponieważ nie widać za dobrze (to

nie królik, ale bóbr – albo raczej nutria, nie?), chce, żeby zdjęcie powiększono. „Ha, ha! Widzicie! To olbrzymi królik, przecież wam mówiłem!”.

Mija kilka miesięcy, jak gdyby nigdy nic, aż pewnego dnia attaché prasowy, Jody Powell pije herbatę z Brooksem Jacksonem, korespondentem Associated Press przy Białym Domu. Jody nieopatrznie opowie mu, zagryzając biszkopty, o króliku z mokradeł, nie zdając sobie zupełnie sprawy z ogromnej wagi tej informacji. Już następnego dnia w „Washington Post” pojawi się podpisany przez tego drania Brooksa Jacksona artykuł zatytułowany: KRÓLIK ATAKUJE PREZYDENTA (w tekście opublikowanym w gazecie bezduszny dziennikarz zabawi się nawet, zaznaczając, że *killer rabbit* z powodzeniem przebił się przez system zabezpieczeń służb specjalnych). Rzecz jasna, dla Jimmy’ego to kompromitacja. Został zaatakowany przez królika... Wszystkie gazety podchwycą ten temat, cała sprawa przyjmie monstrualne rozmiary, a republikanie będą się skręcać ze śmiechu, nie zapominając przy tym podkreślić tchórzostwa i słabości lidera demokratów (no i jego haniebnej postawy: jak można uderzyć królika wiosłem!), niektórzy będą się domagać ujawnienia zdjęć, Biały Dom kategorycznie odmówi (jego rzecznik prasowy, Rex Granum, wyjaśni: „Niektóre historie dotyczące prezydenta powinny na zawsze pozostać owiane mgłą tajemnicy”), a już rok później w wyborach prezydenckich Jimmy Carter uzyska większość tylko w sześciu stanach i przegra z kretesem z Ronaldem Reaganem, który pewnie rozerwałby zwierzaka na strzępy gołymi rękami i przyniósłby go do Manman na wieczornego grilla.

Tak więc ostatecznie to królik wygrał wojnę.

*

Trzy dni po złowróżbnym ataku na stawie w Plains, w poniedziałek, 23 kwietnia 1979 roku, na świat przychodzi Amélie Sulak. Jej ojciec zobaczy ją jednak po raz pierwszy dopiero po przeszło miesiącu. Często są z Yves’em wzywani do biura sędziego śledczego, ponieważ chcą obarczyć ich winą za niemal wszystkie napady na supermarkety przeprowadzone na południu Francji, w Brive, Tarbes, Albi, Tulonie, Nicei, La Ciotat – w niektórych przypadkach całkiem słusznie, ale to przecież siły porządkowe powinny były ustalić w których, niech każdy robi, co do niego należy, a ja na pewno nie będę kablował. Bruna z Yves’em najbardziej niepokoi napad na supermarket Mammouth w Albi w październiku 1978 roku. Kilka osób przypomina sobie, jak w tamtym czasie Bruno jeździł ulicami miasta na deskorolce, nikt tego nie zapomni, bo wtedy po raz pierwszy widziano coś podobnego. Marie-Claire i Claudine, dwie kobiety pracujące w supermarkecie, które Bruno wepchnął do pomieszczenia głównej kasy, są pewne, że rozpoznają Yves’a, mimo że był w kominiarce: ma jasnoniebieskie oczy. W odległości kilometra od Mammoutha policja odnalazła simcę 1100 (ta sama

marka i ten sam model jak odnaleziony cztery miesiące później niedaleko supermarketu Montlaur w Lattes), a wewnątrz dwie bluzy, w tym bluzę Yves'a z napisem „Perkins”. Rozpytując w okolicznych, nielicznych zresztą sklepach, które sprzedają takie bluzy, gliny trafiają w dziesiątkę: szefowa sklepu Passy w Périgueux pamięta dokładnie, że sprzedała taką właśnie bluzę Brigitte. Nie mogłaby zresztą zapomnieć tej klientki, bo przecież razem chodziły do liceum (*Pech, na skrzydłach ptaków, niczym echo mojego dzieciństwa, znowu wypisuję twe imię*¹²). Słowem przyskrzynili ich, są teraz jak szczury w klatce. A jednak wciąż uparcie wszystkiego się wypierają. Nie tyle nawet w nadziei, że im w końcu uwierzą, bo co do tego nie mają żadnych złudzeń, ale dlatego, że zależy im, by śledztwo ciągnęło się możliwie jak najdłużej: dzięki temu są częstymi gośćmi w biurze sędziego śledczego w Albi (nie mają wtedy jeszcze zamiaru uciekać przez okno, ponieważ od czasu skoku wykonanego przez Spaggiariego dwa lata wcześniej koledzy po fachu sędziego Richarda Bouazisa są nad wyraz czujni i zamykają dokładnie okna), spędzają z tej okazji jedną lub dwie noce w celi w miejscowym więzieniu, a zakład penitencjarny w Albi jest mniejszy i bardziej „rodzinny” niż więzienie w Montpellier (przebywa tam niespełna setka więźniów), nie przypomina wyglądem średniowiecznej fortecy i dlatego ucieczka stamtąd wydaje się możliwa. (Aczkolwiek w ciągu dziesięciu lat udało się stamtąd uciec tylko jednemu więźniowi: był to niejaki Raymond Ayrat, który zostanie zatrzymany piętnaście lat później – wlepią mu w związek z tym kolejne osiem lat – za przemyt kokainy, i będzie w tę sprawę zamieszany również znany paryski komisarz policji, ale Bruno i Yves o tym nie wiedzą). Udają upartych przygłupów, zaprzeczają temu, co oczywiste, tylko i wyłącznie po to, żeby opracować plan ucieczki, a nie jest to mimo wszystko prosta sprawa, oraz żeby skołować potrzebny sprzęt, by wydostać się w końcu na świeże powietrze.

Pod koniec maja Bruno widzi wreszcie po raz pierwszy swoją córeczkę Amélie, którą trzyma na rękach Patricia. Nie może ani jej pocałować, ani przytulić do siebie ze względu na dzielącą ich w rozmównicy szybę, musi wystarczyć mu jej widok, a to dla niego trudne. Ma do siebie żal, że postawił żonę w takiej sytuacji, musi się teraz sama zajmować małą, a w dodatku nie ma pieniędzy, pomysł na zdobycie kasy w Montlaur nie wypalił i teraz bez niego Patricia ma pod górkę. Odwiedza go też jego matka, Marcelle, smutna i niespokojna o dalsze losy syna, przynosi mu listy od kilkunastoletniej Stelli, która rozpacza, że „straciła” starszego brata: pisze, że zapisała się na zajęcia gimnastyczne i chodzi na nie pięć razy w tygodniu, żeby przestać o tym wszystkim myśleć, zmusić do pracy ciało i dać wytchnąć sercu. Bruno wie, że zrobił wokół siebie potworny burdel i musi ponieść tego konsekwencje. Staje się nerwowy, łatwo się irtuje, wścieka się na siebie i na to, co go trzyma w tych cuchnących ścianach, rygor więzienny potwornie mu doskwiera, cały gotuje się w środku, lecz musi trzymać na wodzy swój porywczy

charakter i niepokorną duszę: jeśli go wyślą do karceru, to o ucieczkę będzie jeszcze trudniej. Nie wolno wszystkiego popsuć – popsuć wszystkiego jeszcze bardziej. Żeby się wyciszyć i odwrócić uwagę od tego, co go dręczy i dusi, uczy się, doskonali swój angielski i hiszpański, opanowuje, jak zwykle szybko, podstawy prawa. Chciałby mieć w jakiś sposób wyrażać emocje, może poprzez muzykę albo pisanie, ale przypadek lub pech zdecydowały inaczej (przypadek, pech czy coś innego, przy czym nikt przecież go nie zmuszał – i on o tym dobrze wie – żeby zaliczyć ten pierwszy supermarket), i rozumie już, przesiąknięty więzieniem, zdławiony, spętany i stłamszony przez to miejsce, że jest na to za późno, choć ma dopiero dwadzieścia trzy lata.

Yves na krótko opuszcza areszt, żeby stanąć przed sądem z oskarżenia o pobicie przy użyciu żelaznego pręta. Za ów występ w dniu ślubu Bruna dostaje pięć miesięcy.

Pod koniec lipca 1979 roku Georges Moréas przyjeżdża do Paryża razem z dwunastoma ludźmi z brygady BRI, podążając śladem nicejczyków wspieranych przez Włochów, przekonany, że przygotowują jakiś skok. Dołącza do nich około dziesięciu gliniarzy pod dowództwem Roberta Broussarda (którego podkomendni nazywają Poil Autour) i wspólnie obserwują budynek przy rue de Sèvres. Każdego ranka do jego piwnic wchodzi nicejczycy i Włosi ubrani w robocze stroje, a każdego wieczoru z nich wychodzą, przy czym w znajdującym się tuż obok oddziale banku Société Générale nic złego się nie dzieje. Po czterech dniach, w piątek wieczorem, Włosi, którzy zatrzymali się w jednym z hoteli przy Montparnasse, odlatują samolotem do Mediolanu, a nicejczycy, którzy zajmowali mieszkanie w Suresnes, wracają mercedesem na południe. W sobotę rano Moréas w towarzystwie czterech policjantów postanawia dyskretnie rzucić okiem na ten dom. Nie wiedząc, w której z piwnic pracują owi rzekomi robotnicy, i nie mogąc otworzyć wszystkich, gdyż zaalarmowaliby w ten sposób właścicieli i lokatorów, a co za tym idzie stracili wszelką nadzieję na przyłapanie bandytów na gorącym uczynku, sami przebierają się za kanalarzy, unoszą wieko studzienki przy rue de Sèvres i mając zapewne w pamięci wyczyny Spaggiariego, idą przed siebie kanałami, zbliżając się stopniowo do podziemi wiadomego budynku: natrafiają na otwór w ścianie o średnicy pięćdziesięciu centymetrów, który został prowizorycznie zatkany. Śledztwo nie posunęło się zatem za bardzo do przodu. Ekipa ma z pewnością zamiar przedostać się przez kanał, ale gdzie zamierzają dotrzeć? I jakiego sprzętu użyć? (Otóż faktycznie, cała ekipa wróci w następny poniedziałek, eksploracja piwnic budynku trwać będzie jeszcze przez dwa robocze, czterdziestogodzinne, tygodnie, po czym Moréas i Broussard dowiadują się, dzięki podsłuchom telefonicznym, że bandyci napotkali pewne trudności – lanca termiczna, którą zamierzają wykorzystać, aby przebić się przez mur do sali sejfów w Société Générale, a bank ten podchodzi teraz bardzo nieufnie do kanałów,

wymaga odejścia od ściany o cztery metry, na co nie pozwalają panujące w tym miejscu warunki – więc obawiając się, że bandyci zrezygnują i wrócą do domu, zanim zostaną aresztowani, postanawiają interweniować i dopadną ich w miejscu pracy: wprawdzie nie jest to dokładnie to, co rozumiemy przez zatrzymanie na gorącym uczynku, ale robi to w sądzie odpowiednie wrażenie). Wychodząc na powierzchnię w sobotni poranek i wysuwając głowę ze studzienki kanalizacyjnej na rue de Sèvres, Georges Moréas nie może się powstrzymać, by nie popatrzeć na opalone nogi trzech ładnych, idących chodnikiem dziewczyn. Choć wystaje mu tylko głowa, jako rasowy podrywacz pozdrawia je z uśmiechem na ustach. One jednak spoglądają na niego zimnym wzrokiem, pełnym niechęci czy pogardy – no, może litości, jak można uznać w przyływie dobrego humoru. Jakiś czas potem napisze: „Bracia moi, kanalarze, tego dnia zrozumiałem, jak wielu wyrzeczeń wymaga od was ten zawód i jak okrutne są młode dziewczęta”. Jakże mu blisko w tamtej chwili do tego, który już wkrótce stanie się jego przeciwnikiem, jego mrocznym sobowtórem.

Dnia 2 listopada 1979 roku Bruno otrzymuje w więzieniu list od swojego brata Denisa, któremu zostały jeszcze cztery miesiące do końca służby w legii (ma już tego dosyć), i powiadamia go, że niebawem zostanie ojcem: czy Bruno zgodziłby się zostać ojcem chrzestnym? Już następnego dnia odpowiada mu, że zgadza się z dumą, i dodaje w swoim liście, że śniło mu się, iż to będzie chłopiec. Siedem miesięcy później rzeczywiście przyjdzie na świat chłopiec. Jak często się zdarzało i zdarzać będzie, Bruno miewa prorocze sny. (Ten jednakże sen z pewnością nie zasługuje na Nobla w dziedzinie antycypacji, naprawdę nie ma powodów, by się ekscytować). Potem, w tym samym dniu, poprosi swoją siostrę Pauline, żeby zdobyła dla niego żyłkę wędkarską, jakieś dwadzieścia metrów, i dostarczyła mu ją do rozmównicy. Tego samego popołudnia o godzinie 15.15 Jacques Mesrine¹³ zostaje zastrzelony przez policję w swoim samochodzie przy porte de Clignancourt w Paryżu. Jego córka Sabrina przyjedzie tam natychmiast, gdy się o tym dowie (ciało jej ojca pozostanie przez trzy godziny na miejscu), później zjawią się też Broussard i Lucien Aimé-Blanc, dwaj zwaśnieni bracia, wszyscy dotrą na quai des Orfèvres. Tam zostawią dziewczynę w małym biurze, gdzie będzie siedzieć sama przez prawie dwie godziny. Słyszy, jak za drzwiami strzelają korki od szampana, którego otworzyli z okazji śmierci jej ojca. Ma dopiero osiemnaście lat. Poil Autour w końcu wchodzi do pokoju i proponuje jej lampkę szampana. Niczym prawdziwy dżentelmen o szlachetnej duszy. Sabrina zgadza się, po czym chlusta mu zawartością kieliszka prosto w twarz.

Po kilku podróżach i dorywczej pracy, po paru sezonach spędzonych na Lazurowym Wybrzeżu i na Korsyce oraz kilku występach na lokalnych pokazach mody Talia, która chce w pełni korzystać z młodego wieku i niezależności, znalazła niezłą pracę jako barmanka w nocnym barze Winston w Camaret-sur-Aigues. Lubi nocne życie, w tygodniu jest tam niewielki ruch, może tańczyć, kiedy ma ochotę, to proste zajęcie pasuje jej.

Drago, który dotrwał do końca pierwszego pięcioletniego kontraktu w Legii Cudzoziemskiej, otrzymał Medal Operacji Zamorskich z okuciem – Czad, kilka miesięcy temu dostał nowy przydział, skierowano go bowiem do garnizonu stacjonującego w Orange, do 1. Cudzoziemskiego Pułku Kawalerii, jednostki mniej aktywnej i o mniejszym nieco rygorze niż w 2. REP. Każdego wieczoru może opuszczać koszary. Zaledwie pięć kilometrów od dzielnicy Labouche, gdzie stacjonują oddziały legii, znalazł miejsce, które sobie upodobał, i spędza tam również sporą część nocy, bar Winston.

W rozmównicy, zajmąwszy miejsce naprzeciwko brata, Pauline i Stella są jednocześnie podekscytowane, spięte i rozbawione: próbują podać mu długi kawałek nylonowej żyłki, o którą prosił. Nie jest to jednak wcale takie proste, obie

szyby bowiem, które ich dzielą, są oddalone od siebie o prawie dziesięć centymetrów, a znajdujące się w nich małe otwory nie są umieszczone dokładnie naprzeciwko siebie. Jednakże po kilku minutach usilnych starań i śmiechu, udaje im się wreszcie, dzięki czemu Bruno jest w posiadaniu pierwszego elementu zestawu, który będzie mu potrzebny do ucieczki z więzienia.

Okna w celach są zakratowane. Jeden z więźniów, który obdarzył Bruna zaufaniem (co ciekawe, Bruno prawie natychmiast zdobywa sympatię każdego, z którym zamieni dwa słowa), uczy go, jak przeciąć niezbyt grubą kratę bez użycia piły czy pilnika. Wystarczy do tego kawałek drewna albo jakikolwiek pręt, no i sporo cierpliwości. Bruno posłuży się w tym celu szczotką do kibla. Po wsunięciu pręta w romboidalne oczko kraty i poruszaniu z odpowiednią siłą to w jedną, to w drugą stronę (trwa to bardzo długo i jest nad wyraz uciążliwe, chociaż prostsze do wykonania niż do opisanego), metal się rozgrzewa i wreszcie, jakieś pół wieku później, odkształca się i pęka.

Bruno przywiązuje małe ciężarki z papieru maché do końca nylonowej żyłki, zdobywa w jakiś sposób, nie wiadomo gdzie i jak, dmuchawkę, i kilka nocy później, po wydrążeniu na tyle dużego otworu, żeby mogła przezeń przejść niewielka paczuszka, dmucha mocno w dmuchawkę i przerzuca kulę na drugą stronę więziennego muru – bez trudu mu się to udaje, i to już za pierwszym razem, w końcu więzienie jest w mieście, a mur znajduje się stosunkowo blisko okien celi. Jean-Pierre, przyjaciel marsylczyk, który uczestniczył w napadzie na Montlaur, odbiera przesyłkę na dole, przy boulevard Henri-IV, następnie przywiązuje do żyłki cienutki sznurek, na którego końcu wisi plastikowa torba z czterema małymi piłami, dwiema krótkofalówkami oraz tubką kleju do metalu Sintofer – o wszystkie te rzeczy Bruno poprosił Pauline, kiedy spotkała się z nim w rozmównicy. A potem, trzymając końce linki, na zasadzie kolejki linowej, przeciągają paczkę nad dziedzińcem, w całkowitych ciemnościach, kilka metrów zaledwie od strażników, którzy czytają komiksy albo przysypiają, aż wreszcie pakunek dociera do celi Bruna. Temu zaś pozostaje już tylko zakleić starannie okratowanie za pomocą kleju firmy Sintofer.

W tym czasie więźniowie nie mają telewizji (Robert Badinter zezwolił na to pod koniec 1985 roku). Ale za to każdy więzień może mieć w celi odbiornik radiowy. Yves zgłasza, że jego radio szwankuje: uzyskuje zgodę, aby jego naprawą zajął się Bruno, który przecież jest złotą rączką, więc może coś z tym zrobić. Instynkt Bruna nie oszukał, bo właśnie teraz przydadzą mu się kursy z elektroniki i budowy radia, w jakich brał udział w Legii Cudzoziemskiej. Demontuje radio szwagra, podobnie jak swój odbiornik, wyjmuje kabelek łączący transformator i wszystkie znajdujące się w nich obwody i wkłada do środka najpierw po dwie małe piły, a następnie przykrywa je wyjętymi z oprawek krótkofalówkami. Dzięki temu, gdyby któremuś z klawiszów przyszedł do głowy perfidny pomysł

zajrzenia do środka (mimo panującego zaufania), i tak nie domyśliłby się, że ma przed oczyma coś innego niż zwykły układ scalony.

Dnia 25 maja 1980 roku (to znowu dzień moich urodzin, tyle że szesnastych, krótko o tym wspomnę, bo jestem tym faktem przejęty i, co więcej, nie zajmie to wiele miejsca – a zatem jest niedziela, w garażu przy domu moich rodziców w Sainte-Geneviève-des-Bois, całkiem niedaleko od Fleury-Mérogis, zebrało się około dwudziestu bardziej lub mniej bliskich mi osób, kiepsko coś się czuję w blasku tych czerwonych, zielonych, żółtych i niebieskich reflektorów, do tego wypłem dwa piwa 33 Export, nie mogę jakoś za nic zdobyć się na odwagę – miałem w głowie straszny mętlik – i zagadać do Nadège Alexandre) Bruno pisze do swojej matki Marcelle w liście, którego treść została dokładnie sprawdzona przez funkcjonariusza odpowiedzialnego za korespondencję więźniów:

Podjąłem mocne postanowienie, aby wrócić do was w możliwie jak najdogodniejszych okolicznościach.

Wkrótce potem Patricia i Amélie odwiedzają go i spotykają się z nim w rozmównicy. Widzi, jak jego córka wykonuje pierwsze kroki. Być może to piętasty albo i dwudziesty krok, ale wszyscy udają, że właśnie teraz dziewczynka zaczyna chodzić. Bruno niepokoi się o tę małą. O to, jakie czeka ją życie. Nieczęsto będzie pewnie widywała się z ojcem.

W odległości stu czterdziestu kilometrów na północ, Novica, Radiša, Steve także siedzi w więzieniu, tyle że we Fresnes. Podczas rutynowej, jeśli tak można rzec, rewizji policjanci znaleźli u niego w domu pistolet ukryty w żyrandolu. Od dawna już chcieli go dorwać, nie jest to może zbrodnia roku, ale zawsze coś, bierze się, co się da, a poza tym, o ile sam nie wiesz, za co go aresztujesz, o tyle on wie na pewno. Zamknięty, chodzi w kółko po celi i zaciska zęby. Wlepili mu tylko sześć miesięcy, nie ma więc sensu uciekać.

Bruno i Yves uzyskali to, czego chcieli: ponieważ dochodzenie w sprawie napadu na supermarket Montlaur w Lattes zostało zamknięte na początku wiosny 1980 roku, zostaną przeniesieni do niewielkiego aresztu w Albi, żeby regularnie spotykać się z sędzią i (nie) odpowiadać za napad na Mammoutha. (Opuszczając więzienie w Montpellier, Bruno obiecuje nowemu przyjacielowi Jeanowi-Louisowi S., że gdy tylko znajdzie się na wolności, przybędzie, żeby go uwolnić. Ten zaś patrzy na niego przyjaźnie, chociaż na jego ustach rysuje się odrobinę smutny i pobłażliwy uśmiešek. No co, liczą się przecież intencje!). W przeddzień wyjazdu furgonetki więziennej do Albi Bruno i Yves dostają zgodę, by spędzić ostatnią noc w tej samej celi. Traktowani są teraz jak zwykli, raczej spokojni więźniowie, nie bardziej groźni od oswojonych szczurów, więc dyrektor zakładu nie widzi przeszkód, żeby zrobić im tę niewielką w końcu uprzejmość. Rozmawiają przez prawie całą noc i korzystają z tego, że są razem, aby urządzić sobie konkurs pompek. Pompki robili każdego dnia, tyle że każdy w swojej celi, żeby mijał jakoś

czas i żeby zachować odpowiednią formę fizyczną, co niebawem im się bardzo przyda. Do tej pory Yves'owi udawało się za jednym razem zrobić ich około pięćdziesięciu, więcej niż Brunowi, który zadowalał się serią czterdziestu pompek. Tym razem jednak postanawiają, że zwycięzca konkursu wspinać się będzie jako pierwszy po linie, kiedy będą pokonywać mur więzienia w Albi. Bruno daje z siebie wszystko, sięga do najgłębszych pokładów energii zgromadzonych w mięśniach, i udaje mu się utrzymać narzucony przez Yves'a rytm. Ten zaś zaczyna powoli słabnąć, może nawet mógłby pociągnąć jeszcze trochę, ale zatrzymuje się po siedemdziesięciu pompkach: tak czy inaczej, jest silniejszy, bardziej muskularny niż Bruno i właściwie nie przeszkadza mu to, że będzie wspinać się po linie jako drugi. Kiedy Bruno to zauważa, odrobinę może za późno, po zrobieniu siedemdziesięciu dwóch pompek opada ciężko na betonową posadzkę. Yves dostrzega w oczach Bruna żal i niezadowolenie, że został pokonany i że dał się wciągnąć w tę grę.

W więzieniu w Albi Bruno zostaje umieszczony w celi na pierwszym piętrze, a Yves na parterze. Mają, rzecz jasna, z sobą tranzystory, w Albi jest tak samo nudno jak w Montpellier, a oni chcą być na bieżąco z tym, co dzieje się na zewnątrz. Nikt nie pomyślał, żeby zajrzeć do środka, klawisze są mniej przebiegłe, niż się uważa. Teraz pozostaje już tylko cierpliwie, po cichutku piłować nocą pręty i kraty w oknach, jak robiono to w dawnych czasach.

Na początku lata, w Nicei, Georges Moréas wysłuchuje zwierzeń informatorki (i, jakby to powiedzieć... bliskiej przyjaciółki), Annie-France, dziwnej i nieprzewidywalnej dziewczyny, która równie chętnie spotyka się z glinami, co z przestępcami, i orientuje się niemal we wszystkim, co dzieje się w okolicy Baie des Anges: trzech byłych wojskowych, blisko powiązanych ze skrajną prawicą, coś szykuje, nie wiadomo wprawdzie jeszcze co, ale nastąpi to już niebawem. Szefem jest najprawdopodobniej niejaki Richard Ughetto – facet, który ma tyle samo skrupułów, co wyciskarka do owoców cytrusowych, a dla szmalu jest w zasadzie gotowy zrobić absolutnie wszystko. Dzięki podsłuchom telefonicznym Moréas dowiaduje się, że „to się stanie dziś wieczorem”. Rozstawia więc swoich ludzi w liczbie dwudziestu, prawie wszystkich, jakimi dysponuje, każąc im zająć miejsca w dziewięciu samochodach, w pobliżu mieszkań tych trzech typów. Tuż przed północą dostaje przez radio informację, że Ughetto właśnie wyruszył spod swojego domu na motocyklu Honda 1000. Kilka minut później wszedł do budynku, w którym mieszka jeden z dwóch pozostałych koleśków. W nieoznakowanym samochodzie policyjnym stojącym przed domem siedzi Charles Marteau, trzydziestoletni chłopak, którego Moréas bardzo wysoko ceni, jest dla niego jak przyjaciel. Udało mu się wprawdzie zatrzymać Ughetta trzy lata wcześniej, ale sędzia śledczy nie znalazł przeciwko niemu wystarczająco mocnych dowodów, a kiedy ten typ wyszedł wolny z jego gabinetu, nie omieszkał arogancko pokazać

policjantowi wała. Charles'owi się to nie spodobało. Dzisiaj jednak czuje się już różnie.

Po niecałym kwadransie trzech mężczyźni razem wychodzą z domu, każdy z torbą w rękę, wsiadają do dwóch samochodów, do dużego audi i do simki 1100. Pięć nieoznakowanych pojazdów BRI jedzie za nimi w odpowiedniej odległości, zmieniając się na dwudziestokilometrowym odcinku drogi prowadzącej na północ aż do niewielkiej drogi departamentalnej, która biegnie wzdłuż rzeki Vésubie. Nie ma żadnego oświetlenia, niebo jest zasnuwane chmurami, panują niemal egipskie ciemności, ale policjanci muszą zgasić światła, żeby nikt ich nie zauważył. Po prawej stronie, tuż obok drogi, biegnie wąwóz prowadzący do rzeki Vésubie. Charles siedzący obok Moréasa, który prowadzi renault 30, podpowiada mu, żeby przyspieszył, jest skoncentrowany i napięty zarazem, nie chce stracić okazji, żeby odwzajemnić się za wiadomy gest Ughettowi, który najpewniej znalazł się w tym odludnym miejscu, żeby kogoś obrabować albo porwać lub coś w tym rodzaju.

Po przejechaniu sześciu kilometrów wciąż tą samą drogą departamentalną audi i simca zatrzymują się. Pięćset metrów za nimi, widząc, że światła stanęły w miejscu, policjanci wygaszają reflektory. Po kilku minutach jeden z dwóch samochodów rusza dalej. Moréas nie chce podjąć ryzyka i jechać za nim, żeby nie nadzieć się na ten drugi samochód. Ponieważ nic się nie dzieje, gliniarze postanawiają ostrożnie podjechać kawałek do przodu i po chwili widzą pustą, zaparkowaną na poboczu simcę. Ci trzech faceci będą musieli tędy wracać i wtedy trzeba będzie ich dopaść. Chico, jeden z ludzi Moréasa, proponuje unieruchomić simcę, coś w niej uszkadzając. Potem policjanci chowają się, znajdując sobie kryjówki w promieniu pięćdziesięciu metrów. Jest pierwsza w nocy. Minęły prawie dwie godziny.

Nagle w oddali pojawiają się światła, a więc wracają, wszyscy są gotowi do interwencji, mocno podminowani tym długim oczekiwaniem. Rzeczywiście nadjeżdża audi. Tyle że zatrzymuje się w odległości trzydziestu metrów od simki, wysiada tylko dwóch facetów, audi zawraca i odjeżdża. Policjanci są zdezorientowani, wahają się, obaj mężczyźni wsiadają do simki, próbują uruchomić silnik, lecz gdy tylko zapalają w środku lampkę podsufitki, rzuca się na nich piętnastu atletów, wywlekają ich brutalnie z samochodu, powalają na ziemię, zakładają im kajdanki w czasie krótszym, niż potrzeba, aby zasznurować buty. Rzecz jasna, obaj skrępowani goście nie spieszą się, by ujawnić, gdzie podział się Ughetto. Charles Marteau jest wściekły, lecz szef tchnął w niego nieco nadziei: żeby wrócić do Nicei, będzie przecież musiał pojechać tą drogą, tyle że w przeciwnym kierunku. Moréas odsyła do Nicei jeden z samochodów z ładunkiem w postaci zaobrączkowanych gości i wyrusza w drogę razem z trzema pozostałymi pojazdami. Dwa, a może trzy kilometry dalej, tuż przed Saint-Jean-la-Rivière, trafiają na pierwsze skrzyżowanie: można dalej jechać prosto albo skręcić w prawo

i przejechać przez niewielki most nad Vésubie. Byłoby łatwiej przeprowadzić akcję na tym małym mostku. I nagle, w odległości mniej więcej kilometra, widzą żółte smugi świateł omiatające ciemności na przeciwległym brzegu. Moréas reaguje natychmiast, ma tylko kilka sekund na podjęcie decyzji: wysyła jeden z samochodów na drogę jako szpicę, żeby policjanci zorientowali się i przekazali mu przez radio, czy faktycznie jest to audi Ughetta, a drugi pojazd nakazuje zatrzymać po przeciwnej stronie mostu i wygaszając, rzecz jasna, światła, ukryć we wgłębieniu po prawej stronie szosy, żeby zajechać w razie czego drogę audi, kiedy pojawi się z naprzeciwka. Sam czeka razem z dwoma pozostałymi samochodami, z których wysiadają policjanci, po czym pod kierunkiem Marcela, najstarszego w ekipie, chowają się po prawej i lewej stronie. Moréas nie jest zbyt zdenerwowany, ma czterdzieści dwa lata, nie takie rzeczy już widział. Siedzący na fotelu obok kierowcy Charles Marteau niecierpliwi się znacznie bardziej, wręcz cieszy się. Jest też o dwanaście lat młodszy.

Nadjeżdża audi. Moréas naciska gwałtownie pedał gazu i wjeżdża na most. Ughetto hamuje, drugi z samochodów jeszcze się za nim nie pojawił, wrzuca bieg wsteczny, ostro hamuje na widok szybko nadjeżdżającego z naprzeciwka pojazdu i uderza w barierkę. Moréas i Charles już zdążyli wysiąść z renault 30, pozostali policjanci nadbiegają ze wszystkich stron, Marcel podchodzi do drzwi samochodu i próbuje je otworzyć. Stojący przed maską audi Moréas w mgnieniu oka rejestruje dwie rzeczy: Ughetto ma na sobie kamizelkę kuloodporną, wyciąga jakąś spluwę dużego kalibru i bez chwili wahania strzela. Marcel, zgięty wpół, cofa się gwałtownie. Moréas natychmiast ripostuje, oddaje kilka strzałów, podobnie jak Chico i pozostali, a w tym samym czasie Ughetto opróżnia magazynek, strzelając do nich, oni zaś nie mogą celować tak, jak by chcieli, bo otaczają samochód i muszą uważać, żeby się nawzajem nie pozabijać. Gdy skończyły mu się naboje, Ughetto przeskakuje przez barierkę. Słychać jeszcze kilka strzałów oddanych w ciemności, ale nie widać nic, za późno.

W ciszy, jaka zapada po strzelaninie, policjanci są ogłuszeni i otepiali. Nie udało im się. Kilku z nich podbiega do Marcela. Rana nie jest ciężka, siła rażenia pocisku kalibru 11,43 mm została osłabiona przez kaburę pistoletu. Wzywają pomoc przez radio. Skonsternowany Moréas kręci głową. Wszystko na nic. Nagle odczuwa brak, czyjaś nieobecność. Odwraca się. Charles Marteau gdzieś zniknął. Policjanci patrzą po sobie, wołają go, krzycząc w ciemną noc – „Charly?” – ich krzyki rozlegają się po dwóch stronach mostu, nie słychać jednak żadnej odpowiedzi, dochodzi do nich tylko szum Vésubie, dziesięć lub piętnaście metrów niżej. Niektórzy próbują zsunąć się w dół, lecz stok jest zbyt stromy i tonie w ciemnościach. Powiadomiamą centralę w Nicei, muszą czekać do świtu, pozostaje im tylko krzyczeć od czasu o czasu: „Charly?!?”

O świcie nie ma śladu po Charles’u ani w wąwozie, ani w rzece – nie ma też

oczywiście żadnego śladu po Ughetcie, (ale tym akurat nikt się nie przejmuje – żandarmi zatrzymają go po południu, gdy, trafiony czterema kulami, będzie próbował złapać na drodze okazję; zostanie skazany na dziesięć lat więzienia). Przez następne trzy dni Georges Moréas porusza się jak we mgle, nie jest w stanie znaleźć w sobie motywacji do jakiegokolwiek działania, dobrze wie, że nie istnieje nawet jedna szansa na tysiąc, żeby odnaleźć przyjaciela żywego. Czwartego dnia Vésubie oddaje ciało Charles’a Marteau, trzy kilometry od mostu. Nie zginął od kuli. Ma za to głęboką ranę na głowie. Zmarł w wyniku pęknięcia czaszki i złamania kręgow szyjnych. Najprawdopodobniej przeskoczył przez barierkę na środku mostu, podejmując pościg za Ughettem, lecz nie zdawał sobie sprawy, jak głęboka rozciąga się pod nim przepaść: skoczył i zabił się, spadając na głazy. Charles miał trzydzieści lat i dziesięcioletniego syna, Oliviera. Georges Moréas nigdy się po tym wydarzeniu nie otrząśnie.

W nocy z 27 na 28 grudnia 1994 roku Richard Ughetto zostanie zabity o godzinie 4.30 przed wejściem do klubu nocnego w Nicei przez trzech mężczyzn z rywalizującej z jego gangiem bandy: dostał kilka kul w głowę. Georges Moréas, który w tym czasie nie pracuje już w policji, nie będzie tym faktem zasmucony.

We wtorek, 24 czerwca 1980 roku, Bruno i Yves są już bliscy przepiłowania krat w celi, pręty trzymają się zaledwie na kilku milimetrach metalu. Na ulicy, po drugiej stronie muru okalającego więzienie, przy samochodzie czeka Jean-Pierre, który nie za dobrze się czuje tego wieczoru. O godzinie 1.30 w nocy Bruno daje sygnał Yves'owi przez krótkofalówkę (Jean-Pierre, który ma przy uchu własną, przerzuca przez mur linę z supłami i przystawia do niego drabinę, żeby ułatwić im później zejście), kończą piłować kraty, Yves wychodzi przez okno na parterze, Bruno wyskakuje z okna na pierwszym piętrze z wysokości czterech metrów i ląduje bez problemów na dziedzińcu (zeskakiwał już bez najmniejszego zadrapania z dwa razy większej wysokości, kiedy był w Legii Cudzoziemskiej), pędzą jak króliki, a może raczej kangury, jak małpy przeskakują przez dwa kolejne ogrodzenia z siatki ze zwojami drutu kolczastego, fizycznie są w doskonałej formie, trenują od ponad roku, pragnienie wolności i obawa, że mogą jej nie odzyskać, potęgują ich siły i zabijają wszelki ból; po przeskoczeniu drugiego ogrodzenia więzienny mur jest już bardzo blisko, biegną, Bruno jako pierwszy chwyta za sznur, tak jak ustalili w konkursie robienia pompek, szybko się wspina, tuż za nim zaczyna się wspinać Yves.

Nagle na dziedzińcu zapalają się wszystkie reflektory. Wiedzą, że normalnie żaden klawisz nie robi obchodu między pierwszą a trzecią w nocy. Jednakże akurat tej nocy jednemu z nich zachciało się sikać i przez to przekłete parcie na pęcherz zobaczył, jak zbiegowie wspinają się po pierwszym ogrodzeniu.

Za ich plecami, w chwili gdy światło rozlewa się po dziedzińcu, zaczynają się wydierać wszyscy strażnicy. Bruno, zaskoczony (choć to słowo z pewnością nie oddaje tego, co należałoby w nim zawrzeć), rozluźnia uścisk i jego stopy uderzają w głowę Yves'a, któremu udaje się nie upaść, klawisze wrzeszczą wniebogłosy, każą im się zatrzymać, bo inaczej będą strzelać. Bruno i Yves wiedzą, że tamci nie mają broni, zbierają się więc w sobie i z wściekłością wspinają się dalej. Zanim jednak Bruno dotarł do szczytu muru, nagle z tyłu za nimi zapadła całkowita cisza. Odruchowo odwracają głowę: zastygli w bezruchu klawisze patrzą w stronę wież strażniczych, skąd ich dwóch kolegów uzbrojonych w długie strzelby, gotowych do strzału, celuje w uciekinierów.

Popychany do przodu pragnieniem odzyskania wolności, nie chcąc już dłużej przebywać w zamknięciu, przepelniony brawurą, która na zawsze wryje się w pamięć Yves'a, wynikającą z przeświadczenia, że już nigdy się nie cofnie i że odtąd będzie zawsze toczył walkę z całym światem, Bruno posyła do diabła grożącą mu śmierć, pokonuje błyskawicznie ostatni metr konopnego sznura, czekając na kulkę w plecy, i rzuca się głową do przodu na drugą stronę muru, próbując uczepić się sznurowej drabinki. Yves nie rusza się, jego serce zamarło,

wie bowiem doskonale, że nie starczyłoby mu czasu, żeby zrobić to samo. Osuwa się na ziemię na dziedzińcu, klawisze rzucają się na niego.

Nie mogąc skoczyć tak, jak zamierzał, Bruno upadł nieszczęśliwie i skrzył nogę w kostce. Nieważne, już jest za murem więzienia. Rozdygotany Jean-Pierre pomaga mu dobiec do samochodu, który czeka z włączonym silnikiem. Wskakują do środka i uciekają.

Kiedy zbliżają się do Nîmes, gdzie mają się kilka godzin przespać, Bruno zauważa kiepską formę Jeana-Pierre'a, który denerwuje się i bardzo się poci. Pyta go, czy coś nie gra, Jean-Pierre odpowiada, że to nic takiego, trochę jest na głodzie i tyle. Bruno dziwi się, ale nie do końca pojmując wagę tej informacji.

Za próbę ucieczki Yves dostanie czterdzieści pięć dni karceru – daleko mu do uroków rejsu po Nilu. Rok później stanie przed sądem w Montpellier za napad na supermarket Montlaur. Zostanie skazany na sześć lat więzienia bez zawieszenia. (Za taką cenę w sumie byłoby lepiej, żeby faktycznie wziął udział w tym napadzie, bo przynajmniej wiedziałby, dlaczego przed trzydziestką nie zobaczy horyzontu). Zastanawia się do dziś, a ma już pięćdziesiąt siedem lat, co też by się stało, gdyby wspinał się po linie jako pierwszy, jak wyglądałoby życie Bruna i jego własne, gdyby zrobił o te trzy pompki więcej. Nie wiem, czy byłby tutaj dzisiaj, aby opowiedzieć mi tę historię o konkursie.

Już następnego dnia rano Bruno dzwoni na chwilę do rodziców, żeby ich uspokoić, a przede wszystkim przeprosić za to, co muszą przez niego znieść, niepokój, lęk i pewnie też naciski ze strony policji. Mówi matce, że mu bardzo przykro, ale nie mógł tego dłużej wytrzymać, nie był w stanie dłużej żyć w zamknięciu, pokusa wyrwania się stamtąd była silniejsza od niego i teraz nie może się już cofnąć. Prosi, żeby nie wspominała nikomu o tej rozmowie i powiedziała policji, że nie ma od niego żadnej wiadomości. Marcelle jest załamana.

Trzy dni później pisze do rodziny list, żeby wytłumaczyć im dokładniej motywy swojego postępowania i przekazać im, co tak naprawdę odczuwa, jak postrzega świat i co zamierza:

Wiem, że niczego nie zmienię, lecz mimo to pozostanę do końca wierny swoim przekonaniom. Nienawidzę przemocy, i to do tego stopnia, że popełniłbym samobójstwo, gdybym nie wiedział, jak wielką sprawiłoby to niektórym ludziom przyjemność. Dlatego będę wykorzystywał to społeczeństwo oparte na przemocy, ale tylko i wyłącznie na swój własny sposób. Owszem, istnieją pewne wybory życiowe, których nie rozumiem, lecz je szanuję. Nigdzie jednak w tym społeczeństwie nie widzę dla siebie miejsca. Forsa, życie, jest mi to obojętne. Nie występuję w obronie jakichkolwiek wyższych racji, to tylko górnolotne i puste frazesy, i tak zawsze wygrywa najsilniejszy. A skoro nie potrafię się taki stać, będę żył tak, jak pragnę.

Dnia 5 lipca 1980 roku, po jedenastu dniach na wolności, napada razem z Jeanem-Pierre'em na supermarket w Granges-lès-Valence w departamencie Ardèche. Wszystko odbywa się właściwie bez większych problemów (choć wychudzony i wciąż zdenerwowany Jean-Pierre w odczuciu Bruna nie jest zbyt pewnym partnerem), wychodzą z łupem w wysokości dwustu trzydziestu tysięcy franków. Bruno potrzebuje teraz dużo pieniędzy, żeby skutecznie się dalej ukrywać, wciąż zmienia hotele i samochody, przez jakiś czas zatrzymuje się w okolicach Awinionu, niedaleko od rodziny, ale też nie za blisko, żeby nie ściągnąć na nich kłopotów, zdaje sobie sprawę, że jest jeszcze za wcześnie, by się z nimi zobaczyć (od czasu do czasu dzwoni do matki i do Patricii, aby dowiedzieć się o Amélie), ale z pewnością będzie musiał stać się nieuchwytny, gdyż Awinion nie jest zbyt dużym miastem. Zdobywa nowe papiery na nazwisko Christophe Desbourges i przechadza się zawsze z aparatem fotograficznym na szyi; Christophe Desbourges jest bowiem z zawodu fotografem. Zmienia też uczesanie. Z nikim nie nawiązuje bliższych kontaktów. Wtapia się w społeczeństwo. *Aby ukrywać się przed policją, napisze później, trzeba nauczyć się żyć jak kot, który pożywia się*

tam, gdzie znajdzie coś do jedzenia.

To dopiero początek lat osiemdziesiątych. I chociaż, rzecz jasna, nikt o tym jeszcze nie wie (Bernard Tapie pojawi się w telewizji po raz pierwszy dopiero 21 lipca w wiadomościach telewizyjnych Antenne 2, aby opowiedzieć o swoim projekcie wykupienia Manufrance), zaczyna się „czas grubej kasy” – *années fric* – skądinąd zabawne jest to, że w ten sposób określano lata osiemdziesiąte, tak jakby lata dziewięćdziesiąte można było nazwać „czasem ping-ponga”, a pierwszą dekadę kolejnego stulecia „czasem tarty z jabłkami”. Pieniądze panoszą się niemal wszędzie niczym tandetne świecidełka na targowisku, wszystko błyszczy, kusi, demoralizuje, wszędzie tylko rządzi kłamstwo, przekręty, blichtr. Otwiera się nowy rozdział. Bruno Sulak wniknie w ten świat i nie krępując się, będzie brać forszę wszędzie tam, gdzie ona leży. Wślizgnie się w świat hipermarketów, które wyrastają jak grzyby po deszczu. Bruno należy do tej epoki, lecz jednocześnie jest poza nią. Jak kot-złodziej, bez kłamstwa, przekrętu i blichtru.

W Orange spotyka się z Dragiem, któremu jeszcze w czasach Legii Cudzoziemskiej zostawił numer telefonu do swoich rodziców. Nie widzieli się od ponad dwóch lat, teraz padają sobie w ramiona.

Talia pracuje w barze Winston w Camaret i całkiem dobrze się bawi, jest doceniana w pracy, wszyscy ją lubią, wciąż ją ktoś podrywa, a zwłaszcza ten potężny Jugol, którego ona zresztą bardzo lubi, ten legionista, który często przesiaduje w barze i czasami nawet pomoże nieco ostudzić mniej odpornych na alkohol, którym najpierw uderzyła do głowy wódka z sokiem pomarańczowym, a potem odgrywają nieustępliwych twardzieli (w rodzaju: „Ja ci zaraz pokażę!”) w obecności piszczących panienek. Drago szybko zrozumiał, że Talia to nie jego liga, ale mimo to ciągnie tę uwodzicielską grę, ot tak, dla samej zasady, taki ma po prostu charakter – jest największym podrywaczem, jakiego Talia kiedykolwiek spotkała (no, ale nie znała wtedy jeszcze Georges’a Moréasa). Widzi w nim raczej starszego brata i ma do niego pełne zaufanie.

W czwartkowy wieczór, 24 lipca, na parkiecie nie ma ani jednego klienta, Talia tańczy sama przy dźwiękach *San Salvador* Bernarda Lavilliersa, Drago podchodzi do niej i mówi, że chciałby jej kogoś przedstawić. Talia idzie za nim. Tuż przy wejściu, na kanapie, czeka na nią jakiś ciemnowłosy chłopak. Jest przystojny. Podnosi się na jej widok, a wtedy Drago obwieszcza z jugosłowiańskim akcentem:

– Talia, Christophe. Christophe, Talia.

Chłopak ma jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, ma na sobie białe podkoszulek i jeansy, wygląda bardzo schludnie, może, jak dla niej, nawet aż za bardzo. Pewien szczegół przyciąga jednak jej uwagę, mała literka B wytatuowana na serdecznym palcu prawej dłoni. Ma też dwa pieprzyki, jeden na lewym policzku i drugi nad ustami, po tej samej stronie.

Siadają obok siebie na niewielkiej zamszowej kanapie. Bruno długo wpatruje się w niebieskie oczy przejętej i lekko speszonej Talii. On wydaje się pewny siebie. Kiedy zaczyna do niej mówić, jest trochę zdziwiona jego ledwie zauważalnym jękaniem się. Nie mówi zresztą długo, czuje bowiem, że dziewczyna świetnie się nadaje, ma całkowite zaufanie do Draga. Tłumaczy, że będzie jej potrzebował przez jeden dzień, że chodzi „wyłącznie o pracę”, i pyta, czy zgodziłaby się pojechać z nim do Lyonu. Chodzi po prostu o zobaczenie razem z nim kilku mieszkań do wynajęcia.

– Jedziemy tylko do Lyonu i wracamy.

Talia nie jest zbyt ciekawa, a w każdym razie nie chce być niedyskretna, nie chce mu się naprzykrzać, nie stawia żadnych pytań. Wydaje się, że Dragowi zależy na tym, żeby oddała tę przysługę jego przyjacielowi. Talia ma dwadzieścia cztery lata, jest trochę nierozważna i gotowa podjąć ryzyko, ciężko jej usiedzieć w jednym miejscu, a do tego ufa całkowicie Dragowi: zgadza się więc. Uśmiechając się, chce jednak, żeby wszystko było jasne:

– Ale chodzi tylko o pracę!

Christophe wyznacza jej miejsce spotkania w najbliższy poniedziałek o godzinie 7.00 rano przed kafejką przy dworcu kolejowym w wiosce, w której mieszkają jej rodzice, w Bédarrides, gdzie spędza letnie wakacje. W Winstonie był zaledwie dziesięć minut, po czym się ulotnił.

W poniedziałek punktualnie o godzinie 7.00 Bruno zatrzymuje się przy avenue de la Gare w Bédarrides przy niewielkim placu służącym za parking przed kawiarnią. Pod jednym z czterech platanów czeka na niego Talia. Jest ubrana w krótką niebieską sukienkę. Nie jest ona dokładnie w jej stylu, ale Christophe ją o to prosił: mają wyglądać jak para. Uśmiechając się, wsiada bez słowa do pięknego bmw 323i, które kupił okazjnie tydzień wcześniej. Jest elegancko ubrany, wygląda jak młody, ale wyluzowany i starannie uczesany przedstawiciel kadry zarządzającej, ma schludne, wypielęgnowane paznokcie. Srebrny sygnet zakrywa malutki tatuaż na serdecznym palcu prawej ręki. Talia nie wie, że był w Legii Cudzoziemskiej ani że siedział w więzieniu, i nie byłaby w stanie się tego domyślić, choćby nawet jej matka i wszyscy jej antenaci mieli w przeszłości kontakt z zaświatami. A jednak ten chłopak bardzo ją intryguje.

Jadąc autostradą do Lyonu, niewiele z sobą rozmawiają. Talia nie zadaje żadnych pytań, czując, że tak będzie lepiej. Christophe puszcza na okrągło kasetę *Répression*, album zespołu Trust, który ukazał się w czerwcu. *Antisocial*, *Le mitard*, *Sors tes griffes*, no, właśnie te kawałki. Słucha z oczami utkwionymi w szosę. Talia podejrzewa jednak, że coś tu nie gra.

Kiedy dojeżdżają do Lyonu, on jedzie przez miasto, nie zastanawiając się w ogóle nad trasą, tak jakby spędził tam całe dzieciństwo (Talia myśli zresztą, że tak właśnie jest, chociaż potem zawsze już będzie miała dziwne wrażenie, że on doskonale zna wszystkie te miejsca, przez które przejeżdża, nawet jeśli nie był tam nigdy przedtem). Idą zobaczyć mieszkanie, którym zainteresował się wcześniej (łapie Talię nieśmiało za rękę w obecności właścicielki na zaledwie kilka sekund, a ona, naturalnie, wcale nie protestuje), ale mieszkanie mu nie odpowiada, ona nie za bardzo rozumie dlaczego – właściwie, powie jej później, że nie „czuje” tego miejsca. Nie wydaje się przy tym zmartwiony i proponuje Talii, by zjedli razem obiad w dzielnicy Saint-Jean.

Przy stole atmosfera staje się znacznie swobodniejsza niż przedtem w samochodzie. Rozmawiają, przyglądają się sąsiadom, żartują i poznają się lepiej. Talia jest wesółą, swobodną, zwraca się do niego „Chris”, lecz zachowuje się bardziej nieśmiało niż zwykle, gdyż on robi na niej duże wrażenie. Jest zaskakująco wykształcony jak na chłopaka w jego wieku, pewny swojej wiedzy, i to, jak się wydaje, w wielu dziedzinach, no i sprawia wrażenie wyluzowanego – z wyjątkiem krótkich chwil, gdy nagle zaczyna się trochę jąkać. Naprawdę jej się podoba.

Po obiedzie idą obejrzeć dwa inne mieszkania, które również nie wzbudzają w nim euforii. Wsiadając do beemki, Chris mówi Talii, że musi pojechać zobaczyć się z przyjaciółmi w Paryżu. Albo zatem odwiezie ją najpierw na południe, to dla

niego żaden problem, albo ona pojedzie z nim do Paryża. Nie zastanawia się nad tym dłużej, niż gdyby proponował jej pójście do kina.

Już na pierwszych kilometrach autostrady A6 Talia zasypia – poprzedniej nocy spała tylko trzy godziny, podekscytowana czekającą ją podróżą i do tego niezbyt przyzwyczajona do tak wczesnej pobudki. Zagłębia się w fotelu obok kierowcy, jej krótka sukienka podnosi się, ukazując opalone uda do wysokości zaledwie centymetra lub dwóch od majtek. Bruno nie potrafi się powstrzymać, by nie zerknąć na nią od czasu do czasu, patrzy na nią coraz dłużej, aż wreszcie już tylko od czasu do czasu zerka na drogę. Zaczyna się robić niebezpiecznie. Na całe szczęście zapala się wskaźnik temperatury oleju. Zatrzymują się na stacji benzynowej w Lochères, mniej więcej w połowie drogi między Lyonem i Paryżem.

Z głową pochyloną nad silnikiem samochodu mechanik sprawdza poziom oleju albo coś w tym rodzaju – a może jednak stało się coś poważniejszego, skoro będą musieli czekać przez prawie godzinę. Stoją obok siebie w odległości kilku metrów od bmw. Jest piękna pogoda, chociaż mocno wieje. Włosy wpadają jej do oczu. Bruno robi krok w jej kierunku i całuje ją.

Kiedy znowu ruszają w drogę, Talia siada za kierownicą, Chris jest zmęczony. Ale jego ręka nieco mniej, ponieważ spędza sporo czasu na jej udach i pod sukienką. Kątem oka dziewczyna dostrzega, że on na nią patrzy i nie spuszcza z niej wzroku. Mówi jej, że dobrze prowadzi, a ona jest zaskoczona, że czuje się z tego powodu dumna.

Do Paryża docierają wieczorem, Chris pilotuje ją przez miasto, aż do boulevard Brune, i pokazuje jej wolne miejsce tuż przy hotelu Orléans Palace, może nieco staromodnym, ale eleganckim, powiedzmy, że w stylu retro (dzisiaj nosi nazwę Paris Orléans i można by się zastanawiać, dlaczego czasami coś się zmienia tylko dla samej zmiany). W recepcji, nie konsultując się z nią, bierze dla nich jeden pokój, a ona nawet nie myśli o tym, żeby protestować. Wchodzą na górę, żeby po podróży umyć ręce i twarz, bo Bruno jest już spóźniony na spotkanie: ma się zobaczyć z przyjacielem z Marsylii (powiedzmy, że na imię mu Claude, nikomu to na pewno nie zaszkodzi) w pobliskim barze la Bouffarde, gdyż jego przyjaciel ma mu kogoś przedstawić. Proponuje Talii, aby mu towarzyszyła, ona nie widzi żadnego powodu, by odmówić, choć zaczyna przeczuwać, że Chris nie jest akwizytorem sprzedającym szybkowary. Jednakże, kiedy już siada obok nich, żałuje, że nie została w hotelu, czuje się nie na swoim miejscu, próbuje więc nieco usunąć się w cień (co nie jest łatwe przy stole dla czterech osób), ale zdaje sobie doskonale sprawę, iż obaj mężczyźni nie czują się swobodnie w jej obecności. Przyjaciel Claude'a ma na imię, dajmy na to, Alain, najwyraźniej żaden z nich nie chce powiedzieć za dużo, zwracają się do Chrisa, stosując peryfrazy i ostrożne aluzje: „Alain ma parę niezłych pomysłów”, „Trzeba będzie znowu porozmawiać o Magencie”, i nie przestają obserwować kątem oka pięknej intruzki.

Ponieważ Bruno widzi, że nie będą w stanie się rozluźnić, a poza tym zjawił się tu jedynie po to, by wyrobić sobie ogólną opinię na temat Alaina, pół godziny później wstaje od stołu i obiecuje skontaktować się z nimi niebawem.

*

Talia wychodzi z łazienki w samym tylko ręczniku na głowie. Dołącza do leżącego w łóżku Chrisa, kochają się długo, robią to kilka razy. Dostrzega niewielką bliznę na jego brzuchu. I tatuaż po zewnętrznej stronie nadgarstka: „B.B.”. (Wyjaśnia jej, że to pamiątka z czasów, gdy miał siedemnaście lat, kiedy związał się ze starszą od siebie kobietą, w której był szaleńczo, chociaż krótko, zakochany. Brigitte.) I jeszcze jeden tatuaż na prawej nodze tuż nad kolaniem: „MASZERUJ ALBO”. Talia zastanawia się, czy nie miał czasu, żeby go dokończyć, czy też tak właśnie miało być. Ale nie zadaje mu tego pytania.

Następnego dnia rano, kiedy Talia otwiera oczy, jest w łóżku sama. Jest sama w pokoju. (Bruno zawsze wcześniej wstaje: legia, więzienie, to pozostawia solidne nawyki). Wraca kwadrans później, świeży i uśmiechnięty, z torbami w rękach: wyszedł, żeby kupić jej podkoszulki, bluzkę, spodnie, majtki i staniki (wszystko jest w odpowiednim rozmiarze, pasuje jak ulał), szczoteczkę do zębów, szczotkę do włosów i kilka kosmetyków. Jest zachwycona i wzruszona, bardziej chyba wzruszona – myśli sobie – niż powinna.

Całe przedpołudnie spędzają w łóżku, idą zjeść obiad niedaleko stacji metra Alésia, a potem spacerują po okolicy, Chris namawia Talię, żeby wchodziła do sklepów i wybierała sobie to, na co ma ochotę. Wracają po południu do Orléans Palace, łóżko jest zaścielone, więc je skutecznie rozścielają. Wieczorem, gdy leżą obok siebie, Chris na prawym boku, Talia na boku lewym, on patrzy jej głęboko w oczy i wreszcie się decyduje:

– Muszę z tobą porozmawiać. Powiem ci coś, a potem zrobisz, co będziesz chciała.

Wyjaśnia jej, że nie nazywa się Christophe Desbourges, lecz Bruno Sulak, zdezerterował z Legii Cudzoziemskiej trochę wbrew sobie, został zatrzymany po napadzie na supermarket niedaleko Montpellier i odsiedział prawie półtora roku więzienia, zanim miesiąc temu udało mu się stamtąd uciec. Tak więc teraz się ukrywa. Domyślała się wprawdzie, że Chris, a raczej Bruno nie jest sprzedawcą garnków, ale mimo wszystko to wyznanie sprawia, że nagle czuje się dezorientowana. A jednak nie jest ani zszokowana, ani przerażona i właściwie nie do końca zdaje sobie sprawę z wagi i z konsekwencji tego wyznania. Nie jest jeszcze znany w mediach, nie słyszała dotąd o Brunie Sulaku, dla niej jest to przede wszystkim chłopak, który ją onieśmiela i pociąga zarazem i z którym kilka razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin uprawiała seks. Dezerter, złodziej, zbieg, którego ściga policja. Czuje się jak w filmie, jakby to nie działa się naprawdę.

Przez cztery dni mieszkają w hotelu, większość czasu spędzają w łóżku, wychodzą tylko po to, żeby coś zjeść, odwiedzają dobre restauracje (Bruno nie dysponuje jakąś niebotyczną forszą, gdyż od ucieczki z więzienia zrobił tylko jeden skok – bardzo rozsądnie! – nie ma też zmysłu oszczędzania, sporo pieniędzy rozdaje na prawo i lewo – później Talia niejednokrotnie będzie świadkiem, jak wręcza pliki banknotów przyjaciółom w potrzebie, tak jak inni częstują papierosami – ale nadal zostało mu w kieszeniach tyle, ile trzeba, żeby wygodnie żyć), piją coca-colę w kawiarnianych ogródkach, idą obejrzeć jakiś film w Gaumont Sud (dzisiaj to kino nazywa się Gaumont Alésia, a niegdyś Montrouge Palace) albo też kupują sukienki dla Talii, która ich nie potrzebuje, lecz daremnie

próbuję odmawiać.

To wszystko nie zgadza się z wyobrażeniem Talii na temat ukrywania się przed policją. Bruno (do którego zwraca się jeszcze przez dwa dni „Chris”) sprawia wrażenie niezwykle spokojnego, wcale nie kryje się bardziej niż kamienny lew przy place Denfert, na ulicy mijają policjantów, nie odwracając nawet głowy. Mają na pewno inne, o wiele groźniejsze dzikie koty do wytropienia. Bruno bez wahania pyta policjantów o drogę, sprawia mu to niezłą frajdę.

Pewnego wieczoru, kiedy są w pokoju w Orléans Palace, dzwoni do swojej matki Marcelle, żeby powiedzieć jej o Talii, która rozbawiona i nieco speszona słucha go, leżąc na łóżku. Bruno opisuje ją matce, mówi, że jest wysoką, piękną brunetką o niebieskich oczach, mówi jej też, że dobrze się z nią czuje, że nigdy dotąd czegoś podobnego nie odczuwał, takiego poczucia harmonii, więzi, i że śmieją się i bez przerwy rozmawiają, mówi jej nawet i o tym, jak dobrze jest im w łóżku, jak dobrze jest im razem. Kiedy odkłada słuchawkę, Talia milczy przez dłuższy czas. Następnego dnia rano zawiadamia ją, że odwiezie ją na południe do jej rodziców. Jest trochę rozczarowana, ale stara się tego nie okazywać.

*

Kiedy podjeżdżają pod dom w Bédarrides, zmęczeni długą drogą, proponuje mu, żeby wszedł, bo chce mu przedstawić rodziców, on nie waha się ani przez chwilę, co w głębi duszy bardzo ją cieszy. W domu jest tylko matka, może to i lepiej. Poznaje Christophe’a, fotografa, szczęśliwa, że jej córka jest w towarzystwie tak sympatycznego, uprzejmego i tak dobrze wychowanego mężczyzny (jakaś miła odmiana po tych wszystkich kudłatych koleśkach), jest pod wrażeniem jego wykształcenia i uprzejmości.

– Robi naprawdę wspaniałe zdjęcia – mówi Talia – ale potrafi też robić całą masę innych rzeczy. Jest niesamowicie uzdolniony, czasami to aż drażni.

Bruno zostaje tam tylko pół godziny, tyle czasu, ile trzeba, aby wypić herbatę i zjeść trzy kruszki ciasteczka, potem całuje Talię i wsiada do swojego bmw, mówiąc do niej:

– Będziemy w kontakcie.

Zaraz po tym, jak pożegnał się z Talią, Bruno rusza w kierunku Boulazac. Krąży trochę po okolicy, a zanim wreszcie zaparkuje, dwa razy przejedzie przez rue Raymonde. Wchodzi do domu, całuje Patricię i Amélie, zostaje z nimi przez pół godziny i znowu wyrusza w drogę. Z córką. Przez cztery dni okrążą cały region, będą się zatrzymywać w hotelach, zwiedzą różne miasteczka i wioski, lasy i rzeki Périord.

Amélie ma szesnaście miesięcy i dzisiaj nie może tego pamiętać (w każdym razie świadomie, bo tkwi to gdzieś głęboko w jej niemowlęcych wspomnieniach), ale to najdłuższy czas, jaki spędzi na tym świecie ze swoim ojcem: całe cztery dni.

Po odwiezieniu małej do matki Bruno organizuje duży skok, a nawet bardzo duży, i przygotowuje się do niego tak starannie, jak nigdy dotąd.

Jeżeli zaś chodzi o mnie, po raz pierwszy wyjeżdżam na wakacje bez rodziców, jedziemy z przyjaciółmi Jo, Bubem i Gwenem do Bretanii. Rozbijamy namiot na kempingu Primel-Trégastel niedaleko Plougasnou.

W tym samym czasie Talia mieszka w domu rodziców. Niechętnie wraca do pracy w Winstonie, zjawia się tam tylko raz, by zobaczyć się z Dragiem i powiedzieć mu, że z Christophe'em wszystko dobrze poszło. Nudzi się, wciąż o nim myśli, chciałaby bardzo, żeby do niej zadzwonił. Sądzi jednak, że nie należy on do mężczyzn, którzy mają ochotę się ustatkować, ma na pewno inne zajęcia niż myślenie o przelotnej znajomości, a jego życie będące ciągłą ucieczką nie pozwoli mu się z nią związać na stałe. Aby oderwać się od tych myśli, wyjeżdża ze znajomymi na kilka dni na Lazurowe Wybrzeże. Tam poznaje przystojnego i sympatycznego Holendra, jest zabawny, rozśmiesza ją, lecz musi niebawem jechać z powrotem w swoje strony. Kiedy ona wraca do domu w Bédarrides, czekają już na nią dwa listy wysłane z Holandii. Pisują do siebie prawie codziennie, Holender szybko się rozpala (tyle że Talia wznieciłaby miłosny płomień pewnie i w zimnym Lapończyku), proponuje jej, żeby przyjechała do Rotterdamu i spędziła z nim koniec lata. Talia się waha.

Dnia 20 sierpnia, trzy tygodnie po antrakcie w Orléans Palace, dostaje od Bruna paczkę. W środku znajduje drobne upominki, zapalniczkę, ray-bany i kartkę z notką: *Przyjadę niebawem. Bruno.* Następnego dnia pojawia się przed jej drzwiami.

W salonie Talia opowiada mu o wakacjach nad morzem (on przemilcza to, czym zajmował się od początku miesiąca), nie ma ochoty go okłamywać i wspomina o zakochanym Holendrze, który nakłania ją do wyjazdu do Rotterdamu – nie jest to może szczerłość w stylu kamikaze, nie wymaga to bowiem jakiejś nadzwyczajnej odwagi, bo młodzi ludzie w tym czasie sypiają z kimkolwiek na lewo i prawo i nikt nie robi z tego afery. Poza tym Talia wie, że Bruno ma żonę

i małą córeczkę.

– Pisze do ciebie?

– Tak, często.

– I odpowiadasz na jego listy?

– No... tak.

– Nie chcesz, żebyśmy byli dalej razem?

– Owszem, chcę, ale nie możesz mnie tak zostawiać na trzy tygodnie bez żadnej wiadomości.

– Obiecuję, że więcej tego nie zrobię. Od tej pory będziemy razem.

– Chce, żebym przyjechała do Rotterdamu.

– Wcale się nie dziwię. Napiszesz do tego chłopca, że to koniec.

– Zgoda, zrobię to, obiecuję.

– Nie, zrobisz to od razu.

– Co takiego?

– Napiszesz do niego już teraz.

(Godzinę później sam pójdzie na pocztę, żeby wysłać ten list).

Za plecami Bruna, przez uchylone drzwi Talia widzi swoją matkę (także tym razem ojca nie ma w domu, jest w pracy), która przeciera oczy i macha ręką, tak jakby chciała powiedzieć: „Ojej, ale się w niej zabujał!”. Jest zachwycona.

Dwa dni później, 23 sierpnia, Bruno przyjeżdża po Talię na motorze. Wydaje się poważniejszy niż zazwyczaj, niewiele mówi. Podaje jej kask, ona siada za nim. Jadą do Awinionu i zatrzymują się na małej uliczce w centrum miasta, nieopodal renault 30, które Christophe Desbournes wynajął dzień wcześniej. Talia wie, że nie zabrał jej na zwiedzanie okolicy. Dwa dni temu, kiedy jej matka wyszła z salonu, Bruno wyjaśnił jej, że jeśli mają być razem, to wszystko będą robić razem, a ona w mig zrozumiała, że nie chodzi o majsterkowanie ani grę w scrabble – Bruno przysięgał sobie wprawdzie, że nie wciągnie żadnej dziewczyny w swoje bandyckie historie, ale Talia nie jest dziewczyną taką jak inne (a poza tym ileż to człowiek sobie rzeczy naobiecuje), nieważne zresztą, poszłaby za nim, nawet gdyby zabrał ją do Pałacu Elizejskiego, żeby ukraść akordeon Giscardowi, kiedy ten będzie spał. Mówi jej o wielkim skoku, jaki przygotowuje od trzech tygodni:

– Kiedy siedziałem w więzieniu w Montpellier, obiecałem przyjacielowi, że wyciągnę go stamtąd, jeśli uda mi się uciec. Zresztą, to nawet nie jest jeszcze mój przyjaciel, po prostu porządny gość, którego tam poznałem. Dzisiaj chcę dotrzymać obietnicy. No i wyciągnę też stamtąd szwagra.

Talia nie ma odwagi zapytać, jak zamierza tego dokonać, woli nawet o tym nie myśleć. Kiwa głową, nie ma problemu. Jadą autostradą A9 do Montpellier, on na przedzie motocyklem, ona za nim samochodem. Półtorej godziny później zatrzymują się przed dużą kawiarnią. Zbliżając się do wystawionych na zewnątrz stolików, Talia otwiera szeroko usta i już ich nie zamyka: czeka tam na nich Drago,

siedzi spokojny i uśmiechnięty z butelką fanty w dłoni.

Każdy z nich ukrył w bluzie kominiarkę i dwa rewolwery – Bruno po raz pierwszy użyje .357 magnum, broni, z którą się już nie rozstanie. W przeciwieństwie do Draga, który zdaje się gotowy do wykonania roboty, a na jego żołnierskiej twarzy malują się spokój, powaga i determinacja, Bruno jest bledszy, znacznie bardziej skoncentrowany niż zwykle, Talia nigdy dotąd go takim nie widziała. Robi to na niej spore wrażenie, ale się nie boi, przecież on wie, do czego zmierza, nic złego nie może im się stać. Bruno wyjaśnia, na czym będzie polegała jej rola:

– Zaparkujesz samochód trzysta metrów od bramy więzienia, pokażę ci dokładnie gdzie. Będziesz patrzeć w lusterko wsteczne i czekać na nas. Jeśli nie zjawimy się po kwadransie, odjedziesz. Spotykamy się w Mende, na placu przed merostwem. Pojedziesz w kierunku Lodève i Millau, dotrzesz tamtędy aż do Mende, zresztą w schowku w samochodzie jest mapa, zajmiemy się tym później. Jeśli nas tam nie będzie o godzinie 19.00, wracasz do domu i zostawiasz samochód byle gdzie.

Godzinę później, jadąc wzdłuż chodnika, z zapamiętaną jako tako długą drogą do Mende, Talia próbuje rozprostować ręce na kierownicy, rozluźnić nogi, chciałaby telepatycznie przejąć trochę pewności siebie od Bruna: to, co zamierza zrobić, jest czystym szaleństwem, ale on wcale nie wygląda na zaniepokojonego. Wyruszył razem z Dragiem w stronę więzienia, już niebawem nadejdzie godzina odwiedzin. Talia nie zastanawia się, co tutaj właściwie robi, nie chciałaby być zresztą gdziekolwiek indziej, tylko czuje, że serce w każdej chwili może wyskoczyć jej z klatki piersiowej. I jak na złość, chce jej się sikać.

Motocykl zatrzymał się niedaleko bramy, Bruno i Drago idą kilka metrów i dołączają do rodzin, które przychodzą odwiedzić swoich bliskich. Na przedzie kolejki stoi żona Jeana-Louisa S., i Brigitte, żona Yves'a. Kiedy już tylko jedna osoba dzieli ich od strażnika zapisującego nazwiska wchodzących do środka osób i odbierającego od nich dokumenty, Bruno błyskawicznie wkłada na głowę kominiarkę (powodowany jakimś fatalnym impulsem Drago nie robi tego) i wyciąga dwa rewolwery. Na co dzień jest miłym chłopcem, ale tutaj, żeby ich operacja się powiodła, musi wyglądać groźnie i sprawiać wrażenie gotowego na wszystko – i rzeczywiście jest gotowy na wszystko. Mierzy w stronę dwóch klawiszy, trzymając lufę w odległości pięćdziesięciu centymetrów od ich czoł, rozkazuje im oddać klucze od pierwszej kraty, gdy w tym samym czasie Drago doskakuje do klawisza przy wejściu i przykłada mu rewolwer do skroni. (Wywierają obaj tak silne wrażenie, że w następnych dniach w gazetach można będzie przeczytać, że napastników było trzech; nie wiem, czy przerażeni strażnicy mieli mroczyki przed oczami – „zaatakowało nas chyba trzydziestu dzikusów!” – czy może dyrekcji więzienia było trochę niezręcznie przyznać się, że dwóm

ludziom udało się skutecznie zneutralizować potężny zakład penitencjarny, ale jedna rzecz jest pewna: nie było ich trzech). Bruno rozsuwa kratę i wchodzi na pierwsze piętro, celując we wszystko, co pojawia się w jego polu widzenia, gdy tymczasem Drago czeka na dole z zakładnikiem. Kiedy Bruno staje przed drzwiami, przystawia swojego gnata pod nos klawiszowi pilnującemu drugiej kraty, w dwóch słowach każe mu ją otworzyć, i pędzi szerokim korytarzem prowadzącym do rozmównicy, najwyraźniej gotowy strzelać przy próbie najmniejszego oporu (nikt oczywiście nie wie, że wcale tak nie jest i że to nie wchodzi w grę). Gdy Jean-Louis S. go dostrzega, rzuca się w jego kierunku (zabrano go właśnie z celi numer 26, w której kiedyś przetrzymywano skazanych na śmierć, i wciąż jeszcze zamontowane są tam na ścianie żelazne obręcze). Bruno nie widzi Yves'a wśród obecnych w rozmównicy więźniów.

– Gdzie jest Yves?

– W karcerze.

– Cholerny świat!

Właśnie zadane przez Bruna pytanie pozwoli jeszcze tego wieczoru zidentyfikować go jako sprawcę ucieczki więźnia, a w konsekwencji powiązać go z osobą Draga.

W swojej celi Yves oswoił, na tyle, na ile to było możliwe, mysz. Karmił ją, mówił do niej – w końcu rozmawia się, z kim się da. Nawet dawała się pogłaskać. Poprzedniego dnia wieczorem wyjątkowo perfidny i złośliwy klawisz rozdeptał ją buciorem, małe flaczki wytrysnęły na zewnątrz. Klawisz przeprosił, rzecz jasna, z uśmiechem na ustach:

– Przepraszam, nie zrobiłem tego umyślnie, straszna ze mnie niezgara.

Yves nie był jednak w stanie się pohamować, rzucił się na niego i zrozumiał, że popełnia straszną głupotę, dopiero w chwili, gdy rozwałił mu pięścią nochal. Po kilku uderzeniach pałką klawisz zaciągnął go do karceru. Tak więc ucieczkę trzeba będzie odłożyć na inną okazję. Kiedy przeznaczenie coś sobie już ubzdura, to nic się na to nie poradzi. Trzy pompki więcej i mysz: tyle jest warte ludzkie życie.

Owszem, Bruno jest zuchwały, ale na pewno nie bezmyślny: dobrze wie, że byłoby zbyt niebezpieczne, by nie powiedzieć niemożliwe, próbować wyciągnąć Yves'a z lochu. Musi pogodzić się z tym, że po raz drugi zostawi szwagra za kratami. Jakby chcąc to sobie jakoś zrekompensować, proponuje znajdującym się w rozmównicy więźniom, żeby skorzystali z dnia otwartych drzwi i uciekli, ale żaden na to nie idzie – bo ucieczkę trzeba najpierw starannie przygotować i przemyśleć to znacznie wcześniej. Trzy sekundy nie wystarczą, by zastanowić się nad konsekwencjami, to za mało dla mózgu zwykłego człowieka, odpuszczają. Bruno schodzi więc tylko razem z S., na parterze dołącza do Draga, który wciąż trzyma nieszczęsnego klawisza w stanie chwiejnej równowagi psychicznej, jakby ten znalazł się na krawędzi śmierci. Bruno tłumaczy trupio bladym klawiszom, że

Drago będzie przez trzydzieści sekund czekał za bramą, żeby osłonić ich ucieczkę, więc ich własny interes wymaga, by zachowywali się grzecznie co najmniej przez trzydzieści jeden sekund, bo jego kolega nie należy do rozsądnych i nie zawaha się pociągnąć za spust. Wychodzą, zamykając za sobą bramę.

Ten rodzaj ucieczki – a więc wchodzimy przez bramę do więzienia, idziemy po kumpla, a na koniec opuszczamy je tą samą drogą bez jednego wystrzału czy ciosu pięścią – miał miejsce we Francji pierwszy i ostatni raz. (Wczoraj rano z radia dowiedziałem się, że Redoine Faïd wydostał się z więzienia w podobnym stylu – tyle że nikt po niego nie przyszedł i że nie obyło się przy tej okazji bez kilku wybuchów).

Na ulicy Drago spokojnie oddala się pieszo (odtąd zawsze będzie tak robił, nawet po napadach na supermarkety czy na sklepy jubilerskie, przy czym nikt tak do końca nie wie, dlaczego tak bardzo starał się zachować tę marszową tradycję, może chodziło o jakiś przesąd, może nie chciało mu się biegać, a może lubił po prostu rekreacyjne spacerować: „Drago, 26 lat, lubi nocne życie, filmy akcji i spacerować po mieście”), podczas gdy Bruno i S. wskakują na motocykl.

Talia zapomina, że chciało jej się sikać, gdy widzi w lusterku wstecznym, jak nadjeżdżają motorem na pełnym gazie. Znalazłszy się na jej wysokości, Bruno daje ręką znak, który oznacza, że ma jechać za nimi, a w każdym razie że ma ruszyć i zapewne udać się do Mende. Dlaczego jest ich tylko dwóch? Próbuje zachować spokój, co nie jest zbyt łatwe, sprawdza, czy z tyłu nie nadjeżdża Drago albo ten drugi uciekinier (nie wie, kim jest pasażer na motorze), chwila na trzy głębokie wdychy i wrzuca jedynekę.

W tamtym czasie autostrada A75, która biegnie dzisiaj w kierunku Millau, jeszcze nie istniała. Talia rozumie, dlaczego Bruno wybrał ten kierunek i wyznaczył miasteczko Mende jako miejsce spotkania: jeśli policjanci ustawią błyskawicznie blokady, na pewno zrobią to na najważniejszych drogach, na wschodzie, w stronę Nîmes, albo na zachodzie, w kierunku Béziers i granicy hiszpańskiej, ale nie na tych wąskich i krętych drózkach biegnących na północ, nie bardzo zresztą wiadomo dokąd. Mocno spięta Talia usiłuje myśleć tylko o jeździe mimo tego wszystkiego, co kłębi się jej w głowie, boi się jednocześnie, że zabłądzi, przyjedzie za późno albo wyląduje w rowie, przeklina swój pęcherz moczowy zupełnie niepasujący do gangsterskiego życia (wolałaby się raczej posikać, niż zatrzymać na poboczu, żeby kucnąć gdzieś w krzakach, gdy w tym samym czasie Bruno i S. mieliby na nią czekać przed merostwem wystawieni na widok publiczny). Lekko ogłupiała od niekończących się zakrętów i przekonana, że nie zaliczyła ich w takiej liczbie przez całe dotychczasowe życie, potrzebuje niemal czterech godzin, żeby dojechać do Mende. Tam widzi dwóch dyskutujących spokojnie mężczyzn, którzy stoją obok motocykla zaparkowanego pod cedrem na placu przed merostwem. Talia oddycha z ogromną ulgą, jest bardzo zaskoczona,

ale nie zdradza tego, prawie się nie odzywa, zadaje jedno, może dwa pytania na temat Yves'a i Draga, nie chce być dla nich ciężarem i wprowadzać zamętu: zrobiła to, co do niej należało, i tak jest dobrze. Wykonała z powodzeniem swoją pierwszą kryminalną misję, przeszła zatem na drugą stronę barykady. Nie żałuje, odpowiada jej to, bo jest przecież z Brunem.

– Brawo, la Grande!

Bruno wyjął z bagażnika renault 30 cywilne ubrania, które przywiózł dla S., zatrzymują się na chwilę w ogródku Café de la Paix, zamawiają zimne piwo dla S., po czym cała trójka wsiada do samochodu i pozostawiając motocykl na chodniku, wyrusza do Marsylii, wybierając drogę przez Sewenny. Począwszy od tego właśnie dnia, Bruno nazywać będzie Talię la Grande. Jest jego miłością. Niebawem spotka przyjaciela, którego jeszcze nie zna, swoje alter ego, sprzymierzeńca na dobre i na złe, a mianowicie Steve'a, którego w Paryżu od pewnego już czasu wszyscy nazywają le Grand.

Po ucieczce Jeana-Louisa S. z „zamku” w Montpellier wszystkie zakłady karne we Francji będą stopniowo wyposażane w dodatkowe punkty kontrolne, w zdalnie otwierane drzwi, a decyzja o ich otwarciu lub zamknięciu będzie podejmowana w centralnym biurze więzienia.

Yves nie pojawi się już na wspólnej drodze Talii i Bruna. Kilka miesięcy później podejmie jeszcze po raz ostatni próbę ucieczki. W tym czasie Bruno będzie już zbyt znanym przestępcą poszukiwanym przez policję całego kraju, żeby samemu przeprowadzić tę akcję, ale za to opracuje plan i zapewni całą logistykę. Talia kupi niezbędny sprzęt w Awinionie i przekaze go młodszemu, zaledwie dwudziestoletniemu bratu Yves'a, który ma wykonać operację wspólnie ze swoim przyjacielem (obaj wyszli z więzienia po odsiedzeniu dwóch lat z trzyletniego wyroku pozbawienia wolności za napad na niewielki oddział pocztowy). Obaj chłopcy zatrzymają się na trzy dni tuż obok „zamku”, w hotelu Henri-IV (który dzisiaj już nie istnieje), a z jego tarasu, choć może się to wydać dziwne, doskonale widać w owym czasie dziedziniec więzienia. Kiedy już odnotują godziny spaceru Yves'a, zawsze te same, na krótko przed ustaloną porą wychodzą na taras wyposażeni w dostarczoną przez Bruna broń oraz zakupione przez Talię kominiarki i sznurowe drabinki, gotowi do rozpoczęcia akcji (to znaczy do przedostania się na drugą stronę otaczającego więzienie muru, pokonania dwudziestu metrów, unieszkodliwienia dwóch klawiszy z wieży strażniczej i przrzucenia sznurowej drabinki Yves'owi, trzymając jednocześnie na dystans funkcjonariusza, który go pilnuje). Jednakże co najmniej dzień wcześniej właściciel hotelu zwróci uwagę na mocno podejrzany wygląd tych gości (pomoże mu w tym hotelowa sprzątaczką, która zdziwi się na widok leżących w pokoju sznurów – kiedy zauważy się coś takiego parę kroków od więzienia, daje to do myślenia) i nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności dostrzeże, jak przygotowują swój sprzęt na

tarasie, pobiegnie, aby czym prędzej zamknąć za nimi drzwi balkonowe, odcinając im w ten sposób drogę powrotną, a następnie pomknie z prędkością światła wezwać policję. Młodszy brat Yves'a wybije szybę kolbą rewolweru, rozcinając sobie przy okazji nadgarstek, po czym dwaj młodzi mężczyźni wpadną do środka i zbiegną błyskawicznie schodami, uciekając na łeb na szyję i zostawiając wszystkie szpeje na tarasie i w pokoju, dzięki czemu łatwo będą mogli zostać namierzeni przez nawet najmniej rozgarniętych uczniów szkoły policyjnej czy choćby policyjnego przedszkola. Już wkrótce zostaną zatrzymani i dostaną po osiemnaście miesięcy odsiadki. Po tym kolejnym niepowodzeniu Yves zostanie przeniesiony do zakładu o wzmocnionym rygorze w Mende (usytuowanym w odległości sześciuset metrów od placu przed merostwem – można by naprawdę pomyśleć, iż najwyższa istota, decydująca o technicznych aspektach wszystkich spraw na ziemskim padole nudzi się albo że nie brakuje jej poczucia humoru), a następnie skierowany do więzienia w Tulle, potem w Tarbes i wreszcie w Tuluzie. Na przestrzeni lat, które spędzi w mrocznej celi, będzie sądzony, sam jeden, za wszystkie napady przypisywane obu szwagrom. Wszystkie sprawy zostaną jednak umorzone, z wyjątkiem napadu na supermarket Montlaur w Lattes, a za współudział w nim otrzyma wyrok sześciu lat więzienia. Bruno z kolei zostanie zaocznie skazany na dożywocie. (Wydaje się to dosyć sporo za zwykły napad, ale tak właśnie się dzieje w przypadku wyroków wydawanych zaocznie, chodzi bowiem po prostu o uniknięcie przedawnienia. Jeśli oskarżony zostanie zatrzymany, wtedy jest sądzony ponownie).

Yves spotka się z Brunem raz jeszcze, cztery lata po śmierci małej myszki, podczas procesu o napad na sklep Mammouth w Albi. Siedząc na ławie oskarżonych, Yves będzie bardzo spięty, milczący i niespokojny. Bruno zaś wyglądać będzie na całkowicie rozbitego, zniszczonego psychicznie i martwego.

Rok później Yves spotka się na zaledwie kilka minut z Talią. Będą rozmawiali o Brunie. Pożegnają się i na tym koniec. Tak było przez dwadzieścia siedem lat, ale w zeszłym miesiącu skontaktowałem ich z sobą i wiem, że do siebie dzwonili.

Jeszcze przed ucieczką Bruno wynajął dom w La Ciotat. Wieczorem 23 sierpnia wprowadzają się tam razem z Talią i S., który, rzecz jasna, przez dłuższy czas nie może widywać się ze swoją żoną i córką. Dwa dni później para wraca samochodem do Mende, jest to nieco ryzykowne, ale Bruno polubił swój motocykl. Pojazd wciąż stoi w tym samym miejscu, na chodniku niedaleko cedrów. Oczekują kilka minut w samochodzie, po czym Bruno wysiada bez pośpiechu, zakłada na głowę kask i wraca do La Ciotat.

Przez dziesięć dni odpoczywają w bezpiecznej kryjówce, nie ruszają się z domu, słuchają dużo muzyki rockowej, grupy Trust, Lavilliersa, Thiéfaine'a, ostatniego longplaya Pink Floyd, *The Wall* (a najczęściej *Hey You*, którego Bruno może słuchać na okrągło, mimo że stanowi jakby rodzaj mrocznego przerywnika w czasie tych spokojnych dni i wydaje się go pogrążyć w swoistej melancholii – *Hey you, out there in the cold / Getting lonely, getting old*), a także albumu *Secrets* Roberta Palmera, który odkrywają dzięki S. Talia i Bruno kochają się po kilka razy dziennie, a z domu wychodzą tylko po to, żeby popływać. Któregoś dnia po południu Bruno zrywa się na plaży na równe nogi, jakby coś go ukłuło, i mówi do Talii:

– Przedstawię ci mojego ojca.

Rodzina Sulaków wciąż mieszka w Marsylii, chociaż Stanislas powierzył teraz żonie zajmowanie się w tygodniu hotelem, a sam odnawia dom, który kupili w Jouques, niedaleko Pertuis, gdzie zamieszkają, jak tylko będzie to możliwe. Bruno chce tam od razu zabrać Talię. Ona czuje się trochę skrępowana, ma na sobie tylko kostium kąpielowy i koszulę, ale on ją zapewnia, że nie ma to absolutnie żadnego znaczenia, bo jego ojciec nie należy do ludzi przywiązujących nadmierną wagę do etykiety, a poza tym widok pięknych nóg jeszcze nikomu nie zaszkodził. Talia daje się przekonać i jadą w kierunku Pertuis okazyjnym audi, kupionym po odzyskaniu motocykla w Mende. Gdy stamtąd wracali, Bruno poprosił Talię o pozostawienie renault 30 na jednej z ulic Marsylii, a potem odwiózł ją motorem do La Ciotat. Chciał mieć pewność, że nikt nie powiąże go z wynajmowanym samochodem i choć nie było żadnego powodu, aby policja skojarzyła w jakiś sposób samochód z ucieczką z więzienia, załatwił sobie nowe fałszywe dokumenty na nazwisko Christophe Delagrangé. Tym razem kupił czyste blankiety, autentyczne aż do bólu (w przeciwieństwie do tych pierwszych podrobionych dokumentów na nazwisko Bruno Dibon), od urzędnika administracji, który najwyraźniej potrzebował pieniędzy na wakacje.

Stanislas słyszał już wcześniej o Tali, którą Bruno tak dokładnie opisał swojej matce przez telefon. Wita ją serdecznie, obejmuje mocno na progu domu, jest uprzejmy, uważny i miły przez tę godzinę, którą spędzają razem. W żadnym

momencie nie wspominają nawet słowem o ucieczce Bruna. A jednak Stanislas, podobnie jak jego żona, niepokoi się o syna, nie pochwała życia, które sobie wybrał, chociaż ma do niego zaufanie i nie prawi mu morałów. Talia dostrzega nawet w jego spojrzeniu coś w rodzaju podziwu, nie ze względu na jego „bandyckie wyczyny”, ale bardziej może z powodu jego determinacji.

Po powrocie do La Ciotat, gdzie S. zaczyna się coraz bardziej nudzić, Bruno wyznaje Talii, że skończyły się już pieniądze. Miło jest spędzać czas na rozmowach, zabawie, kąpaniu się w morzu, słuchaniu muzyki i kochaniu się, ale nie w ten sposób zarabia się na życie.

– Muszę się zabrać do roboty.

Proponuje jej, żeby zaliczyli razem następny supermarket, tylko we dwójkę. Talia ma tremę, ale nie odmawia – byłoby to równoznaczne z rozstaniem. Po objechaniu okolicy w poszukiwaniu supermarketu na ludzką miarę, idealnego dla debutantów i położonego wystarczająco daleko od komisariatu policji albo miejscowego posterunku żandarmerii (przejeżdżają trasę samochodem, żeby obliczyć, ile czasu ewentualnie potrzebować będzie policja, by zjawić się na miejscu), ich wybór w końcu pada na supermarket Casino w Orange – Talia będzie się tam czuła jak w domu, bo przecież uczyła się w gimnazjum prowadzonym przez siostry zakonne całkiem blisko od tego miejsca. Bruno będzie musiał działać w środku sklepu sam, nie jest to zbyt bezpieczne, ale nie chce narażać na ryzyko Draga (koszary, w których stacjonuje jego jednostka, są zresztą niedaleko), wciągając go z osobistych i całkowicie prywatnych powodów w niewystarczająco pewny skok, gdzie wielu rzeczy nie da się przewidzieć; myśli zresztą szczerze, iż la Grande stanie na wysokości zadania, ale nie może też być tego całkiem pewien, bo to pierwszy raz, czy w najważniejszym momencie ona nie spanikuje.

Przeprowadzają pierwszy rekonesans wewnątrz sklepu: gdy Talia zdejmuje z półek kilka produktów (o, na przykład jogurty Danette dla S.), Bruno uważnie przygląda się wszystkiemu, sprawdza, ile jest kas, ocenia pracowników, dyskretnie bada, jak wygląda główna kasa. Talia spogląda na niego ukradkiem: jest spokojny, precyzyjny i skuteczny. Resztę dnia spędzają na parkingu w samochodzie, żeby zanotować godzinę przyjazdu furgonetki. Furgonetka jednak się nie zjawia. Wracają więc następnego dnia. Konwojenci wchodzą do supermarketu Casino o godzinie 10.15. Wychodzą już po dwóch minutach z torbami, które musiały zostać przygotowane wcześniej. Nie powinno być większych kłopotów, wszystko na pewno dobrze pójdzie. Wyjeżdżając z parkingu na biegu wstecznym, Bruno nagle uderza w renault 5, które gwałtownie przyspieszyło – wina leży jednak po jego stronie. Z samochodu wysiada drżąca niewysoka blondynka, jej samochód ma lekko uszkodzony lewy błotnik, audi ma rozbite tylne światło i wgnieciony zderzak. Dziewczyna jest bardziej przybita niż zła. Spisywanie oświadczenia nie byłoby chyba teraz najszcześliwszym rozwiązaniem, więc Bruno proponuje jej

polubowne załatwienie sprawy. Tyle że ona nie ma najmniejszego pojęcia, ile będzie ją kosztowała naprawa, i nie chce na nic się zgodzić bez konsultacji z mężem. Nie ma problemu. Zapisuje numer rejestracyjny samochodu Bruna i daje mu swój numer telefonu. On obiecuje, że do niej zadzwoni – ona wierzy mu na słowo, nie prosząc go nawet o numer telefonu, co jest zabawne, ale wcale niezaskakujące, jeśli weźmie się pod uwagę aurę, jaka otacza złodzieja. Jeszcze tego samego wieczoru Talia i Bruno piją aperitif w salonie tej młodej pary, podjadają orzeszki ziemne i precelki. Bruno tłumaczy im, że jest żonaty, Talia jest jego kochanką, a gdyby żona się dowiedziała, zniszczyłaby ją, więc oświadczenie nie za bardzo jest mu na rękę: wręcza im dwa tysiące franków i żegnają się, ściskając sobie serdecznie dłonie.

Wynajmują pokój w hotelu w Orange, po drugiej stronie miasta w stosunku do Casino. W nocy ze środy na czwartek Bruno idzie ukraść simcę. Wczesnie rano wkłada kombinezon motocyklowy, który zresztą bardzo lubi, gdyż w irracjonalny sposób ubiór ten budzi niepokój i stawia rozmówcę w pozycji kogoś słabszego, prosi Talię, aby nastawiła swój zegarek dokładnie na tę samą godzinę, jaką on ma na swoim (zupełnie jak w jakimś filmie – Talia uśmiecha się, chociaż napięcie wciąż rośnie), i aby punktualnie o 9.55 czekała w audi w miejscu, które ustalili poprzedniego dnia, w odległości niecałego kilometra od Casino, ustawivszy wcześniej samochód w kierunku centrum miasta. Jeśli nie będzie go o godzinie 10.05, będzie musiała odjechać.

Bruno parkuje simcę na parkingu (tym razem tak, aby wyjechać przodem, bo jazda na wstecznym jakoś mu nie wychodzi), tuż przy wejściu, wchodzi do supermarketu jak motocyklista, który przyszedł kupić sobie na śniadanie granolę, zadowala się krótką rutynową rundką między półkami i wchodzi do głównej kasy z magnum .357 w ręce i czterema kompletami kajdanek w kieszeni, nie zadając sobie nawet trudu, aby założyć kominiarkę – w końcu trzeba ponosić odpowiedzialność za swoje czyny.

Talia siedzi w samochodzie jeszcze bardziej zdenerwowana niż wtedy, gdy czekała niedaleko więzienia w Montpellier: tym razem ma zabrać Bruna, szybko ruszyć z miejsca i przede wszystkim nie popełnić żadnego błędu, prowadząc samochód, aż do chwili, gdy będą już daleko. Tym razem to już nie jest kino. Wysikała się w hotelu tuż przed wyjazdem, ale co z tego. Spuszcza wzrok z tylnego lusterka tylko po to, żeby spojrzeć na zegarek i wciąż (niczym wstęga Möbiusa) powraca to samo pytanie: czy jeśli nie będzie go tutaj o 10.06, naprawdę powinna odjechać?

Bruno wypada z Casino z dwiema torbami w jednej ręce, a rewolwerem w drugiej i biegnie do simki. Obiektywnie rzecz ujmując, nawet w pojedynkę nie było to bardziej skomplikowane niż odebranie paczki z poczty – w każdym razie na pewno trwało krócej. Bruno ma jednak świadomość, że sprzyjało mu szczęście,

trzy znajdujące się w biurze osoby założyły bez słowa kajdanki, nie stawiając najmniejszego oporu: jeśli tylko z Talią wszystko pójdzie dobrze, nie będzie już nigdy więcej kusił diabła (a w tym przypadku może Pana Boga, sam już nie wiem za bardzo, jak to z tym jest) i zawsze będzie prosił Draga, aby im towarzyszył – doskonale wie, że nie wolno nigdy zdawać się na łut szczęścia. Odjeżdżając, rzuca jeszcze okiem w lusterko wsteczne i widzi dwóch wybiegających z supermarketu mężczyzn. Nie wpada w popłoch, w końcu nie mają przecież w nogach silnika.

Kiedy o godzinie 10.01 Talia widzi nadjeżdżającą simcę, przekręca klucz w stacyjce i wrzuca jedynekę, starając się normalnie oddychać. Ma ręce mokre od potu, to niedobrze. Żeby tylko nie puścić zbyt gwałtownie sprzęgła. I w nic nie uderzyć. Bruno parkuje simcę z tyłu za audi i wysiada z niej z dwiema torbami w ręku tak beztrudnie, jakby przynosił pościel do pralni. Siada na fotelu obok Talii, wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie. A może tylko ona ma takie wrażenie?

– Jedź normalnie, nie przejmuj się.

Nie odczuwała czegoś podobnego od dnia, w którym zdawała egzamin na prawo jazdy. Włącza nawet kierunkowskaz. A pamięta przecież, że kiedyś temu, który ją dziś egzaminuje, bardzo podobał się jej sposób prowadzenia samochodu po autostradzie w kierunku Paryża, był wręcz zachwycony, to ją uspokaja, ale jest z tym tak, jak mówią próżni piosenkarze: „Przy każdej nowej płycie mam wrażenie, że zaczynam od nowa”.

Bruno ściąga błyskawicznie kombinezon motocyklowy i wciska go razem z magnum .357 do jednej z dwóch skórzanych toreb leżących na tylnym siedzeniu. Kilkaset metrów dalej mijają ich dwa pędzące samochody policyjne z wyjącą syreną. Bruno nie potrafi się powstrzymać i pozdrawia ich dyskretnym machnięciem dłoni na wysokości schowka pod deską rozdzielczą:

– Cześć, chłopaki.

Przejeżdżają spokojnie przez centrum Orange; logicznie rozumując, policjanci powinni zakładać, że pojechali w przeciwną stronę, Bruno wskazuje Talii drogę do niewielkiego lasu położonego na północ od miasta. Tam długo się całują, jest trochę pieszczot, ale nie za dużo, bo to nie najlepszy moment na tę sprawę, potem wyciągają pliki banknotów, wkładają je do drugiej skórzanej torby i wyruszają z powrotem do hotelu. Po drodze zatrzymują się jeszcze obok kubła na śmieci i radośnie pozbywają się czeków, tym razem drąc je wcześniej na kawałki, oraz dwóch toreb z banku.

W pokoju hotelowym na łóżku liczą swój łup: sto tysięcy franków. Tylko tyle. Bruno jest rozczarowany, ale nie chce psuć radości Talii, która odczuwa teraz ogromną ulgę:

– Nic nie szkodzi, to przecież twój pierwszy skok.

Kochają się na rozrzuconych na łóżku banknotach, bardziej po to, żeby

zakpić sobie z tego rodzaju filmowych scen niż z niezdrowej miłości do pieniędzy, wychodzą na dwie godziny, żeby coś zjeść w dobrej restauracji, zasypiają późno w nocy. Dopiero następnego dnia po południu wyjadą do La Ciotat.

Bruno czuje, że już czas się ruszyć, nie lubi pozostawać zbyt długo w tym samym miejscu. Znajduje większy dom w Miramas, nieopodal Salon-de-Provence, i zamieszkuje tam z Talią, ale tym razem już bez Jeana-Louisa S., który ma dość życia w ukryciu wraz z dwójką zakochanych, brakuje mu żony i córki: postanawia, że nie będzie im dłużej towarzyszył. Bruno ostrzega go, że jeśli wróci w swoje okolice, to z całą pewnością nie będzie na starość wygrzewał kości na słońcu, ale S. nie jest żółtodziobem oblatywaczem, ma dziesięć lat więcej od Bruna i sporo już wylatanych godzin na swoim koncie, więc nie da się tak łatwo złapać.

W domu w Miramas, gdzie mieszkają, dołącza do nich trzech przyjaciół: Jean-Pierre i dwóch innych marsylczyków, w tym także ten z Montlaur. Od czasu do czasu odwiedza ich Drago, chociaż nie może za bardzo oddalać się od swojego regimentu w Orange, dlatego nie zostaje nigdy dłużej niż na jeden wieczór. Bruno czuje, że mieszkanie w kilka osób nie jest zbyt dobrym pomysłem, kiedy trzeba ukrywać się przed policją, ponieważ każdy z domowników stanowi magnes przyciągający gliniarzy (a zwłaszcza Jean-Pierre, którego Sulak kilkakrotnie przyłapuje, jak daje sobie w żyłę, zatem nie ulega wątpliwości, że współnik musi się gdzieś zaopatrywać, a w okolicy owego „gdzieś” łatwo może się przyczaić paru gliniarzy), ale Bruno jest zbyt dobry, żeby wyprosić z domu przyjaciół, na razie jest jeszcze miejskim, a nie dzikim kotem.

Na cześć uwięzionego Yves'a, ale także by osobiście złożyć ukłony policji i wymiarowi sprawiedliwości, Bruno postanawia powtórzyć numer z Mammouthem w Albi, co do którego szwagrowie zaprzeczają, aby był on celem ich pierwszego napadu, dwa lata wcześniej. Teraz Bruno ulepsza strategię, stwierdziwszy, że może sobie poradzić sam w głównym biurze supermarketu: w czasie gdy Talia czeka w samochodzie kilkaset metrów dalej, Drago staje przy wejściu, wprawdzie w środku, ale tuż przed drzwiami, zarówno po to, by upewnić się, że nikt nie wychodzi ze sklepu, tłumaczyć zaniepokojonym, że nikomu nie stanie się krzywda, i by sprowadzić na ziemię superherosów, którzy mieliby zamiar podejść trochę za blisko do głównej kasy. Tego jednak dnia, gdy Bruno przygotowuje się, by wejść do sklepu (znowu bez kominiarki, pragnie bowiem wystąpić z odsłoniętą przyłbicą), a Drago gotów jest zająć stanowisko i wyciągnąć spluwę, Sulak raptem dostrzega dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, stojących tuż przy drzwiach. Przechadza się więc, przeczekuje, zwleka, napotyka wzrok Draga, który marszczy brwi i patrzy na niego pytająco, Bruno nadal się zastanawia, dzieciaki są naprawdę bardzo blisko centralnej kasy, aż wreszcie po pięciu minutach, rozumiejąc, że czekają na swoją matkę, która robi zakupy albo stoi teraz przy kasie i może to potrwać, a także obawiając się, że zostanie zaskoczony przez ochroniarzy przewożących pieniądze, gdyby zjawili się trochę przed czasem,

kieruje się w stronę wyjścia i daje głową dyskretnie znak Dragowi, że operacja została odwołana. Kiedy już na parkingu Drago się go czepia, Bruno odpowiada:

– To mogłaby być Amélie. Przyjmijmy, że masz córkę w tym wieku, czy możesz sobie wyobrazić, co byś czuł, gdyby jakiś facet wyciągnął jej pod nosem rewolwer?

Wracają więc dwa dni później i tym razem wszystko idzie jak po maśle, dobry Bóg, opiekun dzieci, potrafi odwdzińczyć się ludziom życzliwym – zgarniają trzysta tysięcy franków. Bruno po raz pierwszy wykorzystuje kajdanki na kciuki zamiast tradycyjnych, aby uniemożliwić ludziom w głównej kasie zrobienie czegoś głupiego. Ten nowy pomysł podsunął mu pewien policjant, kiedy przewożono go furgonetką więzienną z Montpellier do Albi: kajdanki na kciuki unieruchamiają tak samo, jeśli nie lepiej niż tradycyjne kajdanki, a że są znacznie mniejsze, łatwiej je przy sobie nosić. Dzięki ci Gérardzie, a może Danielu?

Bruno i Talia wszędzie chodzą z kieszeniami pełnymi forsy. Jemu zależy na tym, by po każdym napadzie dostawała swoją działkę, chociaż jej to jest obojętne, bo nie robi tego dla pieniędzy (trochę to wprawdzie porąbane, ale taka jest prawda) i wzdraga się przed ich braniem, prawie nic nie zostawiają w domu. Nie z braku zaufania do współlokatorów (choć na okrucieństwo zakrawałoby pozostawienie zbyt dużej forsy pod nosem Jeana-Pierre'a, który wciąż stara się ją zdobyć, raczej z przymusu zresztą niż dla przyjemności), po prostu zdają sobie sprawę, iż w każdej chwili mogą być zmuszeni błyskawicznie się zmyć i nie chcą pogodzić się z myślą, że mieliby pozostawić swoją zdobycz policji i – aby poczuć się pewniej – szybko obrobić następny supermarket, bez przygotowania, co wcale nie jest dobre, bo wiadomo: „gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy”.

Kiedy jednak pieniądze nosi się w kieszeni i ma się je wciąż pod ręką, to nie trzymają się zbyt długo właściciela i błyskawicznie się rozchodzą, Bruno rozdaje je zresztą na prawo i lewo. Trzeba więc znowu zatankować do pełna. Dnia 20 września urządzą napad na supermarket w Montélimar. Niestety, Drago wycofał się poprzedniego wieczoru, gdyż w ostatniej chwili zatrzymały go w legii jakieś obowiązki. Ponieważ wszystko było już przygotowane, Bruno zgodził się, by Draga zastąpił Jean-Pierre, który często go prosi o pieniądze, mimo że wstyd mu zebrać – to z natury lojalny i pełen godności chłopak – nalega więc, żeby włączyć go do akcji, ba, wręcz błaga, żeby mógł sam zarobić na swoje dragi. Bruno zabiera go wbrew sobie – albo może inaczej, nie tyle wbrew sobie, co wbrew rozsądkowi: Jean-Pierre zaczyna tracić grunt pod nogami, za ostro odlatuje, czasami, słuchając rad Bruna i Talii, próbuje trochę przystopować, ale mimo wszystko ładuje dziennie cztery opakowania néo-codionu, osiemdziesiąt tabletek, i wypala trzy paczki papierosów.

W chwili gdy Bruno łapie mocno za łokieć szefową kasjerek, która właśnie zamierza wejść do pomieszczenia, gdzie znajduje się sejf (ma ona na imię

Jeannine), Jean-Pierre stojący przy szklanych drzwiach supermarketu wyciąga broń i mierzy z niej do klientów, z wrzaskiem grożąc im, że strzeli, jeżeli ktokolwiek się poruszy. Od razu wywołuje panikę.

Bruno uspokaja Jeannine:

– Proszę się nie bać, nie chcemy wam zrobić żadnej krzywdy.

Jeannine powie później, że miał wzrok pełen determinacji, ale nie chłodu, w jego oczach dało się dostrzec wiele, ale nie złośliwość. Dała mu klucze do pomieszczenia i do sejfu. Lecz stojący dwadzieścia metrów dalej Jean-Pierre czuje się jak w forcie Alamo, wyobraża sobie pewnie, że wszyscy klienci ukrywają pod płaszczami karabiny maszynowe, i sprawia wrażenie, jakby był gotowy ich wystrzelać – Bruno doskonale wie, że nigdy by tego nie zrobił (powtarza to Jeannine: „Nie zrobimy wam nic złego”, ona bardzo chce mu wierzyć, chociaż wymaga to z jej strony odrobiny wysiłku), ale klienci, którzy nie znają przecież miłego Jeana-Pierre’a, mają prawo do uzasadnionych obaw. Kasjerka, która szła za Jeannine do pomieszczenia z sejfem, traci zimną krew, nie można mieć do niej o to pretensji, zaczyna biec, rozgorączkowany Jean-Pierre celuje w jej kierunku, krzycząc, żeby się nie ruszała, ona dostaje ataku hysterii i pada na posadzkę wstrząsana drgawkami. Bruno zastanawia się, czy sprawy nie zaczynają toczyć się w niewłaściwym kierunku. Nie wolno doprowadzać ludzi do takiego stanu. I chociaż jest o trzy kroki od kilkuset tysięcy franków, oddaje klucze Jeannine (która skomentuje to tak: „Wyglądał jak ktoś, komu jest przykro”), idzie w kierunku Jeana-Pierre’a, piorunując go wzrokiem, i tuż przed wyjściem daje potężnego kopa w automat do sprzedaży cukierków.

W tamtym, 1980, roku kasjerki i klienci panicznie się boją. Także i dzisiaj rzadko widzi się osoby, które pogwizdują *Papayou Lélé*, gdy ktoś mierzy do nich z broni, bo nigdy nie jest to relaksujące doświadczenie. Wiem, o czym mówię, bo miałem pod brodą lufę pistoletu P38, którą przystawił mi morderca mierzący dwa metry dziesięć centymetrów (tak mi się przynajmniej wydawało), będę o tym jeszcze opowiadał wnukom, kiedy będę już stary (miało to miejsce w Lasku Bulońskim, ale powiem im raczej, że przed Luvrem). W owym 1980 roku na południu Francji było jeszcze gorzej, dziewięć miesięcy wcześniej, 22 grudnia 1979 roku, trzy młode kasjerki zostały bowiem zabite strzałem w tył głowy w Béziers, w supermarkecie Mammouth, w pomieszczeniu, gdzie oblicza się utarg: zginęły wtedy: Sylvie Maurel, Josette Alcaraz, obie w wieku dwudziestu siedmiu lat, i dwudziestodzieciolatka Renée Chamayou. Joseph-Thomas Recco, zwany Tommy, Korsykanin urodzony w Propriano w 1934 roku, zostanie skazany na dożywocie za to potrójne morderstwo (zawsze wprawdzie powtarzał, że jest „niewinny jak Jezus Chrystus”), które pozwoliło mu, jeśli wymiar sprawiedliwości się nie pomylił, zainkasować sześćset trzydzieści tysięcy franków utargu. Dwa lata przed tą masakrą wyszedł warunkowo z więzienia, gdzie odsiadywał dożywocie, na które po raz pierwszy skazano go w 1962 roku (najpierw dostał karę śmierci, ale generał de Gaulle go ułaskawił) za zamordowanie funkcjonariusza straży przybrzeżnej, Antoine’a Casabianki, który przyłapał go na odławianiu ryb za pomocą dynamitu w Propriano, 28 października 1960 roku. Recco w obawie przed karą grzywny strzelił do strażnika, który na dodatek był jego ojcem chrzestnym, po czym walnął go w głowę kolbą, a potem jeszcze dobił ciężkim kamieniem.

W niecały miesiąc po hekatombie w supermarkecie Mammouth w Béziers, 18 stycznia 1980 roku, zabił w Carqueiranne, w departamencie Var, mężczyznę, Gilles’a Le Goffa, a potem jego jedenastoletnią córkę Sandrine, żeby nie pozostawić świadków, a następnie również ich sąsiada, Jacques’a Coutrixa, który przybiegł im z pomocą. Zostaje zatrzymany już następnego dnia, przyznaje się do zarzucanych mu czynów, ale wycofuje zeznania, kiedy się dowiaduje, że broń, Smith & Wesson kalibru .38, została zidentyfikowana jako ta sama, z której zastrzelono trzy kasjerki w Béziers. Trzydzieści dwa lata później, przebywając w zakładzie karnym w Borgo na Korsyce, po odsiedzeniu większej części kary w więzieniu w Clairvaux, wciąż twierdzi, że jest niewinny jak Chrystus (jego matka, Micheline, zgadzała się z nim aż do śmierci: „Jesteśmy jak Chrystus na krzyżu” i domagała się zwolnienia syna z więzienia ze względu na zły stan zdrowia).

Tommy Recco nie pochodzi z rodziny statecznej ani szczęśliwej. Jeden z jego braci, Ernest-Toussaint, poławiacz koralu, który zachwyił w swoim czasie

kapitana Cousteau (i o którym jego matka mówiła, nie bez pewnej przesady, że przejdzie do historii, „równie słynny, jak Napoleon”), został zamordowany w 1973 roku przez męża siostry, Francine, która z kolei zmarła kilka miesięcy później, spadając w tajemniczy sposób z drabiny. Inny z braci, Pierre, który był razem z Tommym, kiedy ten zatłukł swojego ojca chrzestnego, dał się zabić w 1976 roku dwóm ludziom na plaży w Tizzano, na południe od Propriano. Trzeci z kolei, Paulin, stracił życie w mniej oryginalny sposób, ginąc w wypadku samochodowym. Czwarty z braci umarł jako niemowlę, zaraz po urodzeniu. Druga z jego sióstr spędziła całe życie w szpitalu psychiatrycznym. Wreszcie ostatni z jego braci, wciąż żywy Antoine, został skazany na dożywocie za zamordowanie 26 września 1981 roku dwóch dwudziestojednoletnich dziewczyn, Isabelle Gauchon i Geneviève Clément, wczasowiczek, które zabrał na swoją łódkę (ochrzcił ją na cześć rodziny *L'Ernest-Toussaint*) i próbował bezskutecznie uwieść, po czym udusił je i wrzucił do morza niedaleko Porto-Pollo (matka, niewzruszona, była przeświadczona o jego niewinności, a na dowód powtarzała następujące zdanie: „Kiedyś zabrał na pokład dzieci, które przyjechały na kolonię, i wszystkie przywiózł z powrotem żywe”). Antoine jest także podejrzewany, ale nie ma wystarczających dowodów, żeby postawić go przed sądem, o zabicie w taki sam sposób i z takich samych powodów pewnej Amerykanki i jej narzeczonego z Nicei, jak również młodej kobiety i jej ośmioletniego syna, a także kilku dziewczyn, które uciekły z domu. Został zwolniony z więzienia w maju 2010 roku z przyczyn zdrowotnych.

Ale wszystkie te historie zupełnie nie są w stylu Bruna.

Któregoś ranka w domu w Miramas Bruno budzi się nagle z dziwnym i niepokojącym wrażeniem. Nie dzieje się tak po raz pierwszy, ukrywanie się przed policją sprawia, że żyje w dzień i w nocy w ciągłym napięciu, wie też doskonale, że jego twarz jest już dobrze znana wszystkim służbom policyjnym w regionie, stara się więc stale wsłuchiwać w swoje przeczucia, ale tego ranka są one silniejsze niż zwykle, niemalże je słyszy. Bruno słucha tylko dwóch głosów: swojej matki Marcelle (choć nie zawsze jest u jego boku albo pod telefonem, żeby go ostrzec, przekazać mu swoją opinię co do dokonywanych przez niego wyborów, albo zwrócić mu uwagę na grożące niebezpieczeństwo – zresztą teraz jest już prawie zawsze nieobecna) i tego, co mu podsuwa jego szósty, może nawet siódmy zmysł, chodzi bowiem tu o coś bardziej przejrzystego i intensywnego niż intuicja, coś, co nazywa „gliniarzem”. Czuje, że już od wczesnych godzin porannych „gliniarz” mocno ciągnie go za rękaw. Bruno rozumie, że trzeba czym prędzej opuścić ten dom. Ostrzega Jeana-Pierre’a i dwóch pozostałych marsylczyków, lecz nikt nie traktuje go poważnie, wśród gangsterów nie ma miejsca dla wróżek, może wyluzuj trochę. Jedną tylko Talia go słucha i wyrusza razem z nim. Następnego dnia o świcie zjawia się policja, a trzech lokatorów zostają aresztowani. Brunowi jest przykro z ich powodu, ale robił przecież, co mógł. „Gliniarz” go uratował.

Po wyjeździe z Miramas Talia i Bruno spędzają kilka dni w jednym z hoteli w Marsylii, potem znajdują dom do wynajęcia przy rue Boudouresque, małej i stromej uliczce prowadzącej do morza nieopodal Corniche. Czują się tam bezpiecznie, z dala od niepokojącego zgiełku, pozostaną tam zresztą ponad dwa miesiące, dłużej niż gdziekolwiek indziej. Od czasu do czasu zaliczają supermarket, a to w Dijon, a to w Albertville. Bruno uczy Talię jazdy na motorze, ale ona zda egzamin na prawo jazdy na motocykl znacznie później i samochodem będzie okazjonalnie, niezbyt często, jeździć do rodziców w Bédarrides – tam gdzie żyją w zupełnie innym, spokojnym, stabilnym świecie, który nie ma nic wspólnego z życiem ciągłych uciekinierów. Pewnego dnia, w połowie października, Bruno prosi ją, żeby pojechała zobaczyć się z jego rodziną w hotelu Pharo, aby ich od niego uściskała i przekazała, że wszystko w porządku. Wokół niego zaczyna robić się gorąco, odkąd w Miramas aresztowano marsylczyków, więc on sam nie może tam, rzecz jasna, pojechać. Parkuje samochód w odległości trzystu metrów, Talia idzie w stronę hotelu. Wchodzi do środka. W recepcji widzi całującą się parę piętnastolatków. Jeszcze nie wie, że to jest Stella, młodsza siostra Bruna. Talia mówi, że chce się zobaczyć z właścicielami.

– Nazywam się Talia.

Stella rzuca się jej na szyję, całuje ją, jakby to był sam Bruno, i prowadzi ją do pomieszczenia na zapleczu, gdzie przebywa cała rodzina, Marcelle, Stanislas,

Denis i jego żona, nie ma tylko Pauline – pracuje w Monako w radiu RMC. Ciepło, z miłością witają się z Talią, Stanislas jest zadowolony, że znowu ją widzi, a Marcelle szczęśliwa, że może wreszcie ją poznać, zarzuca ją pytaniami na temat syna, za którym wszyscy tęsknią, Talia będzie z nimi bardzo długo rozmawiać. Od tej pory należy do rodziny Sulaków.

Kiedy wraca do czekającego w samochodzie Bruna, on udaje, że jest mocno zdziwiony:

– Ależ to trwało.

Zasmucony, że nie udało się jej poznać Pauline, i vice versa, następnego dnia postanawia ją zabrać do Monako. Talia pyta, czy to aby na pewno rozważne, ale on nie przejmuje się, potrafi ocenić ryzyko, policja nie może mieć bez przerwy na oku wszystkich członków jego rodziny – w końcu nie jest przecież wrogiem publicznym numer jeden.

Problem polega tylko na tym, że Bruno nie zna adresu Pauline. Muszą więc udać się do siedziby radia RMC, tam okazuje się, że jej nie ma, a pani w recepcji, co oczywiste, nie może podawać prywatnych adresów dziennikarzy i spikerów. Bruno jednak chce koniecznie zobaczyć się ze swoją siostrą, niełatwo go zniechęcić i zbyć byle czym. Talia spogląda na niego wystraszonym wzrokiem, kiedy on pokazuje recepcjonistce swoje prawdziwe dokumenty.

– Nazywam się Bruno Sulak, jestem jej bratem.

Recepcjonistka zgadza się zatelefonować do Pauline, która potwierdza, że można podać jej adres. Mieszka na trzynastym piętrze w pięknym apartamentowcu, gdzie hol wejściowy robi duże wrażenie. Pauline jest w siódmym miesiącu ciąży. Już od progu beszta brata – bo o ile Bruno nie rzuca się prosto w paszczę lwa, o tyle spaceruje w pobliżu jego kłów – ale obejmuje go mocno przez dłuższą chwilę, jest wzruszona, widząc go, i cieszy się, że wreszcie może poznać jego ukochaną, o której opowiadał jej ojciec – a poza tym Bruno wydaje się tak bardzo pewny siebie i wprowadza tak wielki spokój, że jego pozorna bez troska udziela się dwóm młodym kobietom, więc na dwa dni zapominają, że są u boku mężczyzny, którego szuka na południu Francji spora liczba policjantów: chodzą do eleganckich restauracji i pubów, zaglądają do Jimmy'z (który w tamtym czasie nazywa się „Jimmy'z de la Mer”), Bruno robi całą masę zdjęć leicą, którą właśnie kupił, bawią się jak nastolatki, nie przejmując się bardziej, niż gdyby wyglądali się w Dżakarcie czy Valparaíso. W czasie gdy Talia zastanawia się w głębi duszy, czy jego nonszalancja nie zamienia się już w brak rozwagi, czy nie powinna spróbować przebudzić się, zanim założą jej kajdanki, Bruno oświadcza, że czas najwyższy, by wracać do Marsylii. Jego wewnętrzny „gliniarz” nie pozostawia miejsca na żadne wątpliwości: dwa dni to i tak zakrawa na cud.

Po powrocie do domu przy rue Boudouresque prowadzą bardziej stateczny żywot, obrabiają tylko jeden supermarket, tym razem w Bourg-en-Bresse, i często

chodzą do kina. Obejrzą *Różę*, z Bette Midler, *Uwolnienie*, *Taksówkarza*...

Na początku listopada 1980 roku po napadzie na supermarket w Laval, tym razem wspólnie z Dragiem (który w końcu zdezerterował z legii, nie można bowiem wciąż postępować wbrew naturze), Bruno proponuje Talii, żeby spędzili kilka dni w Paryżu. Udają się tam samochodem, wybierają tę samą trasę, którą razem jechali kiedyś po raz pierwszy, zamierzają zatrzymać się na tej samej stacji benzynowej, gdzie całowali się po raz pierwszy, ale ostatecznie rozpoznają ją za późno, żeby zrobić przerwę.

W ogródku przed café de Flore po długim spacerze przez Dzielnicę Łacińską i boulevard Saint-Michel postanawiają spędzić koniec jesieni w Maroku. Przygotowaniami do podróży zajmie się Talia, to ona kupi samochód, zarezerwuje bilety na statek, gdyż Bruno nie ma na to czasu, szykuje bowiem kolejny skok, w który nie chce jej angażować – co więcej, nawet jej o tym nie wspomina, żeby jej nie niepokoić. Kiedy wychodzą z ogródka przed café de Flore, zostawiając za plecami pierwsze piętro, gdzie będą siedział trzydzieści lat później, nie dalej niż dwa kroki od stolika Amélie, przechodzą przez rue Saint-Benoît, mijają Deux Magots, potem podążają rue Bonaparte (widzę jeszcze ich przezroczyście ślady, kiedy tamtędy idę) i zatrzymują się przed starszą kobietą, sprzedającą fiołki, tuż koło miejsca, gdzie dzisiaj stoi kiosk, w którym można kupić naleśniki zza barykady z olbrzymich słoików nutelli. Bruno bierze od kobiety bukiet dla Talii i wręcza jej gruby plik banknotów wyciągnięty z kieszeni.

Dwa dni później, podczas gdy Talia biega po biurach podróży i kupuje duże, solidne szaroniebieskie volvo, Bruno, z pomocą Claude'a i Alaina, których spotkali z Talią w Bouffarde, w trakcie ich pierwszego pobytu w Paryżu, włamuje się do Infomatu, firmy zajmującej się konserwacją sprzętu przy boulevard de Magenta, która jest w posiadaniu kluczy do automatów biletowych na paryskich dworcach. Nie wszystko przebiega jednak zgodnie z planem, Claude i Alain bowiem, wraz z kumplem, którego Bruno nie zna, nie dość precyzyjnie przygotowali skok, gdyż okazało się, że klucze nie znajdowały się tam, gdzie miały się znajdować, i że pasują tylko do automatów na dworcach Gare du Nord i Gare de l'Est (Claude spodziewał się, że dostaną klucze do automatów na wszystkich dworcach kolejowych w Paryżu). Ponieważ opróżnienie automatów w świetle dnia wydaje się zbyt ryzykowne, a powodzenie operacji wątpliwe, Bruno waha się, czy nie zrezygnować, ale w końcu rezygnuje z rezygnowania, żeby nie zostawić trzech kumpli na lodzie. Ostatecznie, na każdego przypadnie czterysta tysięcy franków (zamiast dwóch milionów, na jakie liczył Alain), mimo wszystko całkiem pokaźna sumka, lecz Bruno przyrzeka sobie, że nigdy więcej nie będzie pracował w takich warunkach, zespołowo, a już zwłaszcza z ludźmi, których nie zna wystarczająco dobrze, nie będzie już igrał z losem, jeśli sam starannie wszystkiego nie

zorganizuje.

Dnia 14 listopada 1980 roku volvo Talii i Bruna ląduje w porcie w Tangerze. Na statku podczas rejsu pokłócili się po raz pierwszy, odkąd się poznali, poszło o zupełnie idiotyczną rzecz: Bruno skarżył się, że kanapka nie nadaje się do zjedzenia, a Talię zdenerwował jego zły nastrój i zachowanie, które uznała za zupełnie nie na miejscu. Gdy jednak volvo pokonuje pierwsze metry na marokańskiej ziemi, sprzeczka idzie w niepamięć, złość znika – jako pierwsza przeprasza Talia.

Spędzają trzy dni w Tangerze, potem jadą do Casablanki, gdzie zatrzymają się na tydzień. W małej uliczce jakiś Marokańczyk zaciekawiony słuchawkami od walkmana na głowie Talii, co w owym czasie należało do rzadkości, zatrzymuje ich i pyta, czy może posłuchać. Krąży wokół nich ze słuchawkami na głowie, słuchając Thiéfaine'a, uśmiecha się. Chcąc jej podziękować, zaprasza ich na herbatę do siebie, do rozwalającej się rudery, dwie ulice dalej. Ma na imię Moussa. Proponuje im jointa, Bruno nie pali, ale zgadza się spróbować kilka ciastek z haszyszem, Talia widzi, jak po raz pierwszy traci kontrolę nad sobą, spędzają noc, rozmawiając, śmiejąc się głupkowato (albo i nie). Moussa marzy o tym, by odwiedzić rodzinę, której nie widział od dwudziestu lat, mieszkają w małej wiosce na południe od Ouarzazate, ale nie ma w ogóle pieniędzy i zastanawia się, czy któregoś dnia będzie miał środki i energię, żeby zobaczyć się ze swoją matką i siostrami.

Po trzech godzinach twardego, błogiego snu wsiadają wszyscy troje do potężnego volva i kierują się na południe, jadąc po trudnych, kiepskich, wyboistych, czasami ledwo widocznych drogach, z muzyką włączoną na ful, wystawiają głowy przez okna, wydzierając się ile sił między niebem i pustynną, złaknioną wody ziemią. Jakieś trzydzieści kilometrów od Ouarzazate zatrzymują się przy czymś w rodzaju zajazdu, niewielkim hangarze pokrytym blachą falistą, gdzie w środku odpoczywa pięciu czy sześciu mężczyzn o pięknych rysach, przypominających Tuaregów. Talia, Bruno i Moussa jedzą jajka na twardo, grając z nimi przez godzinę w karty, po czym ruszają znowu w drogę aż do Foum Zguid, gdzie mieszka rodzina Moussy. Właściwie pozostały tam tylko kobiety, dziewczynki, dzieci i jeden starzec. Wszyscy mężczyźni wyjechali z wioski, żeby pracować gdzie indziej, daleko od domu, większość do Francji. Moussa, po wzruszającym i ciepłym powitaniu przed na wpół zawalonym domem z gliny, przedstawia im swoją matkę i dwie siostry, które przygotowują miejsce dla pary w dużym i jasnym pomieszczeniu, ubierają Talię jak Marokankę, malują jej ręce henną. Bruno robi leicą zdjęcia Talii, Moussie, dzieciom, wszystkim chichoczącym kobietom, pozującemu z dumą staremu mężczyźnie i obiecuje, że wyśle im odbitki, gdy tylko wywoła je w Paryżu.

Odpoczywają tutaj przez parę dni. Rano kilkoro dzieci przychodzi ich

podpatrywać, dwa razy zaskoczą ich, gdy się będą kochać, Bruno, śmiejąc się, rzuca w nich poduszkami. Któregoś popołudnia dają trochę pieniędzy właścicielowi hammamu, żeby mogli tylko we trójkę sami skorzystać z arabskiej łaźni, Moussa naciera ich olejkami, masuje, wyciera, a kiedy wychodzą stamtąd dwie godziny później, przed wejściem czeka na nich cała wioska, wszystkie kobiety i dziewczynki, zaciekawione, trochę może zaskoczone, ale też rozbawione, zapraszają ich do swoich domów na herbatę.

W końcu zostawiają Moussę w Foum Zguid i wracają we dwójkę na północ. Przed ich wyjazdem kobiety z wioski podarowały im daktylę, jajka na twardo i dywan. Po drodze zatrzymuje ich patrol policyjny krążący po okolicy, pokazują więc dokumenty, fałszywe w przypadku Bruna, na nazwisko Christophe Delagrang, na szczęście policjanci pozwalają im spokojnie jechać dalej. Na targu w Marrakeszu, po trzech dniach zwiedzania miasta, przychodzi im do głowy dziwny pomysł, żeby kupić małpkę, której dają na imię Mika, oraz półtorametrowego węża. Zabierają zwierzęta do weterynarza, aby upewnić się, że nie są chore, zarażone jakimiś pasożytami, albo umierające, po czym Bruno wkłada węża do kieszeni, Talia zabiera małpkę w klatce, wsiadają do volva i jadą do Agadiru, ostatniego etapu ich pobytu, gdzie Bruno chce koniecznie spędzić kilka nocy w luksusowym hotelu.

Bruno, przekonujący i ujmujący dzięki uśmiechowi, ale i banknotom, które z taką łatwością wyjmuje z kieszeni, bez większych problemów uzyskuje zgodę na zabranie małpki do pokoju – schowany w jego kieszeni wąż na razie się nie rusza. W eleganckim hotelu sprawy jednak szybko przybierają cyrkowy obrót. Wąż znika już pierwszego dnia (zostanie znaleziony nazajutrz za zagłówkiem łóżka przez pokojówkę, która wyda z siebie jeden z najpiękniejszych wrzasków w Afryce Północnej), a małpka, która, co dziwne, boi się Bruna (wciąż spogląda na niego czujnym okiem i kiedy Talia daje jej na przykład orzeszki, małpka patrzy na niego podejrzliwie, zanim zdecyduje się je wziąć), zdenerwowana i dzika, niszczy wszystko w pokoju, ucieka przez okno i wyrывa kwiaty w ogrodzie; wyrzucają ich z hukiem z hotelu, pomimo sowitych napiwków, gdyż pieniądze, wbrew obiegowej opinii, jednak nie załatwią wszystkiego.

Po powrocie do Marsylii w połowie grudnia na rue Boudouresque odstawiają do mechanika zharatane jazdą po Maroku volvo. Przychodzą następnego dnia, żeby zobaczyć, czy udało się przywrócić samochód do stanu, w którym dałoby się nim jeździć po mieście, ale nikt przy nim niczego nie robił, najwyraźniej mechanik w ogóle go nie tykał. Bruno nie lubi leniwych, niesolidnych ludzi:

– I co, czy kiedyś wreszcie się pan do tego zabierze?

– Kiedyś tak. A już na pewno wtedy, gdy pan zabierze węża.

Ponieważ nie mogli go znaleźć po powrocie do domu przy rue Boudouresque, pomyśleli, że musiał uciec im na statku albo podczas jakiegoś

postoiu w trasie. Mechanik, zapewne wrażliwszy niż większość jego gruboskórnych kolegów, nie mógł opanować czkawki na widok ukrytego pod maską zwierza.

Bruno chowa więc znowu węża do kieszeni, odnajdą go martwego w kuchni dwa dni później, zapewne z powodu chłodu marsylskiej zimy, jako że wszystko na tej ziemi jest względne. Kiedy już niemal wszystko w ich mieszkaniu ulegnie kompletnej dewastacji, mała Mika zostanie powierzona państwu Sulakom, zniweczy prawie całkowicie wysiłki podejmowane przez Stanisłasa przy odnawianiu domu na wsi i skończy żywot w jednym z ogrodów zoologicznych w okolicy.

Zaraz po powrocie do Francji, wciąż pozostając pod urokiem uprzejmości i wiedzy Marokańczyków, których spotkali na swojej drodze, Talia i Bruno zaczynają się uczyć arabskiego pod kierunkiem mieszkającego w tej samej dzielnicy studenta, Bruno bowiem zastanawia się, czy któregoś dnia się tam nie przeniesie – pojedzie jeszcze sam do Casablanki dwa lata później, kupi dużą łódź, którą zresztą zostawi w porcie. Po napadzie na supermarket w Clermont-Ferrand spędzają święta Bożego Narodzenia w Bédarrides wspólnie z rodzicami Talii i jej bratem, Bruno wciąż nazywa się Christophe, nadal jest fotografem, ojciec i brat Talii najwyraźniej niczego nie podejrzewają, tylko jej matka sprawia wrażenie bardziej czujnej niż zwykle – wydaje się, że mruży lekko oczy, kiedy mu się przygląda. On jednak jest tak błyskotliwy, tak dużo w nim ciepła, a do tego Talia jest przy nim taka szczęśliwa i zrównoważona, że cała rodzina go ubóstwia, zapomnijmy więc o kłopotliwych pytaniach.

Na początku stycznia brat Talii trafia do szpitala po wypadku samochodowym, musi przejść operację i pozostać przez dwa tygodnie na obserwacji. Już drugiego dnia Talia i Bruno przynoszą mu magnetowid JVC, przedmiot pożądania w tamtym czasie, a do tego kilka filmów na kasetach VHS, w tym jeden erotyczny. Będzie najszczęśliwszym pacjentem w tym szpitalu.

W domu przy rue Boudouresque, o godzinie 6.00 rano, Bruno zrywa się gwałtownie, cały zlany potem, trzęsie się tak, jakby ktoś uderzył go z całej siły w głowę podczas snu. Talia siada obok niego na łóżku, gładzi go po ramieniu, wierzy, że to tylko zły sen, ale jest znacznie gorzej, a może i lepiej: to jego „gliniarz” potrząsnął nim, gdy spał. Wstaje i prosi Talię, żeby natychmiast spakowała swoją walizkę, on wrzuca swoje rzeczy do drugiej walizki. Chociaż dla niej jest to irracjonalne, jednak wierzy w jego instynkt, który go ostrzega, podąża za swoim kotem i godzinę później są już na zewnątrz. Ledwie mają czas wrzucić walizki do bagażnika odpicowanego volva i zamówić czekoladę w kawiarence usytuowanej nieco dalej przy tej samej ulicy, gdy widzą trzy przejeżdżające wozy policyjne, prawdziwych gliniarzy w mundurach, takich, którzy kręcą się w okolicy, wypytują sąsiadów i ewidentnie kogoś poszukują. Bruno robi kilka kroków, aby upewnić się, że się nie pomylił, przygląda się im z daleka: policjanci wchodzą do ich małego domku.

Ucieczka stanie się teraz dla niego trudniejsza, a beztraska pozostanie tam właśnie, przy rue Boudouresque. Po tym nagłym pojawieniu się przeciwnika, po pierwszych odwiedzinach stróżów porządku w Miramas, Bruno zaczyna podejrzewać, że ma nie tylko przyjaciół. Rozpoczęło się polowanie na człowieka, zaczęła się zabawa w chowanego, której stawką jest wolność lub więzienie, chodzi więc o to, żeby być szybszym i sprytniejszym niż prześladowcy. Tyle że ta wielka gra w jakimś sensie nawet mu się podoba. Wyobraża sobie czasem, że równie dobrze mógł zostać policjantem. Za jakiś czas Georges Moréas pomyśli dokładnie to samo: ich role mogły się odwrócić.

Bruno reaguje na ruchy przeciwnika: postanawia ostatecznie opuścić południe Francji i zatrzymać się w Paryżu, łatwiej tam się wtopić w tłum, a znaczna odległość pozwoli mu zerwać raz na zawsze kontakty z marsylskimi przyjaciółmi, którzy są nimi tylko wtedy, gdy im to pasuje. Nie zamierza nawet pytać Talii, czy będzie mu towarzyszyła, gdyż mają taką samą ochotę rozstać się, jak odciąć sobie nogę. Po drodze, na trasie, którą pokonują razem po raz trzeci, zatrzymują się, żeby obrobić supermarket w Beaune, oczywiście we dwójkę.

Bruno znajduje umeblowane mieszkanie w eleganckiej dzielnicy, w pobliżu Passy. Aby dobrze rozpocząć ten nowy etap ucieczki, zmienia papiery. Umie i może już sam podrabiać dokumenty, takie jak: prawa jazdy, paszporty, różnorakie identyfikatory, a wszystko to dzięki nowym, czystym blankietom, które, nazwijmy to, „kupił” od jakiegoś urzędnika, ma również odpowiednie pieczętki i cały niezbędny sprzęt. W przypadku paszportu odrywa stronę, na której jest nazwisko i zdjęcie, pracuje nad nią starannie, następnie pieczołowicie ją wszywa, zamykając się w drugim pokoju, aby lepiej się skoncentrować, niczym prawdziwy artysta tworzący imponujące dzieło – na ten widok Talia kiwa z podziwem głową: jejku, to on i szyć potrafi! Od tej pory nazywa się Bernard Antonini. Sprawia też piękny prezent Talii, coś w rodzaju dyplomu, świadectwa miłości i jednocześnie wizy do równoległego świata: wręcza jej dokumenty na nazwisko Nathalie Bramberger (Nathalie nie jest jej prawdziwym imieniem pomimo tego, co można by sądzić – jej prawdziwe imię pozostanie na zawsze w szkole podstawowej), urodzonej w Écaussinnes-d’Enghien w Belgii (to on wszystko wybrał, nazwisko, imię i miejsce urodzenia, żeby jej zrobić niespodziankę).

Talia zdaje sobie sprawę, jak głęboko Bruno wszedł teraz w inny świat, z którego zapewne nigdy już nie będzie mógł wyjść. Ta oczywistość wzbudza w niej lęk, ale też i podoba jej się to. Razem z nim przeszła na drugą stronę, bardziej jako jego towarzyszka niż współpracowniczka. Jedyna kwestia, jaka ich dzieli, to broń. Bruno to nie Clint Eastwood ani Charles Bronson, broń nie budzi w nim tego rodzaju pasji, jaką na przykład amatorzy tuningu odczuwają w stosunku do samochodów, olewa to, nie bawi go i nigdy nie odgrywa wielkiego bossa: pomimo długiego czasu, jaki spędzili razem, pomimo tego wszystkiego, co razem przeżyli, nigdy nie widziała go z rewolwerem w dłoni. Kiedy pytam ją, gdy siedzimy we włoskiej restauracji przy boulevard de Magenta (Da Mimmo, gorąco polecam), bardzo blisko miejsca, gdzie dawno temu miała siedzibę firma Infomat, czy mogłaby mi potwierdzić, że zawsze najpierw wkładał dwa ślepe naboje do bębena rewolweru (może to mimo wszystko nieprawda, bo sam tak mówił, ale przecież mówił też wiele innych rzeczy, aby zakpić z ludzi), nie potrafi mi odpowiedzieć, nie wie, chociaż mogłaby dokładnie opisać jego palce, wszystkie po kolei, kształt jego łydek, zapach szyi, każdy z jego gestów i nawet jego najskrytsze myśli, które dzisiaj się już gdzieś ulotniły.

Zerwał wszystkie kontakty, zostawił za sobą wszystkich śródziemnomorskich wspólników (z wyjątkiem Draga, rzecz jasna, i Jeana-Pierre’a, lecz nie na długo) i wbrew temu, co później napiszą w gazetach i o czym będzie mówiło wielu policjantów, nie spotyka się z ludźmi z paryskiego, ani tym bardziej z jugosłowiańskiego półświatka. Działa sam, a raczej banda Sulaka,

o której będzie tak głośno, składa się zaledwie z dwóch, trzech osób, z miłego legionisty i dobrze wychowanej, zakochanej w Sulaku dziewczyny.

Po napadzie na hipermarket w Quetigny, niedaleko Dijon, którym powinno się raczej zająć kolegium do spraw wykroczeń, a nie sąd przysięgłych (Bruno chciał oddać przysługę Jeanowi-Pierre'owi, na którym nie do końca może polegać i który odczuwa bezustannie chorobliwy wręcz brak pieniędzy, toteż zabrał go zamiast Draga), po jeszcze jednym skoku w Laon, na północny wschód od Paryża, gdzie poszło jak po maśle, tym razem już z pomocą Draga (ponieważ policja w całej Francji w końcu zestawiała razem wszystkie dane i zorientowała się, że sposób działania jest zawsze ten sam – a zatem *Wanted: Sulak*, Talia poradziła Brunowi, aby zasłaniał twarz, jego rysy przystojnego chłopca, a zwłaszcza pieprzyk na lewym policzku stanowią bowiem zbyt czytelny podpis jego sklepowych działań; podchodząc do głównej kasy w Laon, przyklepił sobie do nosa banknot o nominale pięciuset franków – nigdy więcej tego już nie powtórzy, bo jest to zabawne, ale tylko jeden raz), lecą do Nicei. Coraz częściej zresztą korzystają z tego środka transportu, gdyż pierwszym odruchem przeciwników jest ustawienie blokad na drogach międzyregionalnych, którymi najłatwiej i najszybciej można uciec z miasta. Po raz pierwszy dokonają napadu na supermarket położony w samym centrum.

Bruno kradnie simcę, Talia siada za kierownicą w odległości trzydziestu metrów od wejścia do sklepu, Drago zajmuje miejsce między kasami i głównym wejściem, po czym wyciąga rewolwer kalibru .38 w momencie, gdy jego przyjaciel wchodzi z odsłoniętą twarzą do biura dyrektora. Spokój Draga pozwala uniknąć ogólnej paniki, ale czas mija i napięcie rośnie, Jugol marszczy brwi i coraz częściej rzuca okiem w stronę biura, z którego Bruno wciąż nie wychodzi. Tymczasem dyrektor wyjaśnia mu w środku, że utarg jest gdzie indziej, nie tutaj, ale w pomieszczeniach na trzecim piętrze budynku. Bruno pyta, czy nie robi sobie z niego jaj, nalega, przybiera możliwie jak najbardziej groźną minę legionisty, w końcu jednak daje się przekonać:

– W porządku, nie ma sprawy, w takim razie idziemy po kasę.

Drago, pomimo stoickiej postawy, jaką w sobie wypracował wraz z upływem czasu, po latach brutalności walk i zubożenia na krew przelaną w Legii Cudzoziemskiej, po wielu latach niepowodzeń i strachu, gdy błąkał się po Paryżu jako zagubiony i pozostawiony sam sobie mały łobuz, po latach trosk, braku stabilizacji i doznanej w dzieciństwie traumie (jako nastolatek widział, albo prawie widział, jak jego ojciec zabija matkę, a coś takiego jest jak chrzest bojowy), zaciska mocno szczęki, kiedy widzi Bruna i dyrektora, jak wychodzą z biura i wsiadają do windy.

Przez kilka minut, z których każda liczy co najmniej sto pięćdziesiąt sekund, jest sam, mając przed sobą przerażonych i niespokojnych klientów, w rękę trzymając

rewolwer, a za plecami ma ulicę. Jakiś mężczyzna krzyczy: „Wypuście nas!”, kasjerka, lekko zmęczona już życiem, rozplakała się, jakaś młoda kobieta drapie się nerwowo po ramieniu i wygląda na to, że za chwilę zemdleje, jakaś para wchodzi przez szklane, rozsuwane drzwi i natychmiast zawraca, widząc duży kaliber broni („Ależ ja jestem głupia, przecież mamy jeszcze w domu nutellę!”), Drago usiłuje zachować zimną krew i z trudem mu się to udaje. Dobrze by było jednak, żeby czas zaczął wreszcie normalnie płynąć.

Bruno w końcu wychodzi z windy z wielką torbą w jednej ręce i z magnum .357 w drugiej, dyrektor idzie przed nim (trochę blady, ale nic ponadto). Sulak, jak zwykle uprzejmy, rzuca w stronę zebranych (wcześniej, na górze, zapewne już zdążył podziękować panu dyrektorowi):

– Dzięki i do widzenia! Przepraszamy za kłopot!

Wychodzi razem z Dragiem, niby to wolnym krokiem, po czym każdy udaje się w swoją stronę: Drago na lewo, w kierunku najbliższego rogu ulicy, aby zniknąć, jak zawsze, pieszo (gdyby jakiś klient z supermarketu albo przechodzień go ścigał, po prostu powali go na ziemię i tyle), Bruno na prawo, w kierunku simki i Talii. Jeszcze nie zdążył zamknąć drzwi samochodu, gdy słychać nadjeżdżającą na sygnale policję. Talia rusza spokojnie, normalnie, tak jak się nauczyła, mijają dwa czarno-białe jak sroki wozy policyjne nadciągające z naprzeciwka, Talia skręca w najbliższą ulicę, jeszcze jeden samochód policyjny zbliża się błyskawicznie z migocącymi niebieskim światłem kogutami, w całej dzielnicy słychać wycie syren, jak przed bombardowaniem.

Bruno wydaje się odporny na lęk, lecz Talia nigdy jeszcze nie widziała go tak spiętego. Jeśli policja zablokuje ulicę, to koniec. Prosi ją, żeby wysiadła z samochodu, jeśli będzie szła na piechotę, nic jej nie grozi, on siądzie za kierownicą i jakoś sobie poradzi (gdyby to on szedł pieszo, z twarzą, która zaczyna już być znana, do tego z wielką torbą w ręce, coś od razu zatrybiłoby pod policyjnymi kepi – nawet gdyby przykleił sobie pięćsetfrankowy banknot na nosie). Ona odmawia, on nalega, ona znowu odmawia. Razem z nim podejmuje ryzyko. Bruno nie może jej tego zabronić, podziwia tylko jej spokój, świetna z niej współpracowniczka.

W końcu udaje im się zygzakiem ominąć oko cyklonu, zatrzymują się na parkingu. Bruno wrzuca broń i utarg z supermarketu do torby podróźnej, zostawiają simcę i rozluźnieni wsiadają do taksówki, żeby dostać się na lotnisko.

Za plecami kierowcy, który pewnie przyjechał z Algierii i bezustannie gada („Wszędzie pełno policji”), całują się. Nie wiedzą jednak, że ukradli pieniądze na terytorium Georges’a Moréasa.

Po zarejestrowaniu kompromitującego bagażu (w owym czasie nikt na lotnisku jeszcze nie zawraca sobie za bardzo głowy kontrolą bagażu, nie muszą się więc obawiać promieni Roentgena) stają w kolejce, żeby dopełnić ostatnich

formalności przed wejściem na pokład samolotu. Między Talią i Brunem stoi pięć czy sześć osób, nigdy nie wiadomo, może ktoś go widział, jak wsiada do samochodu, kiedy z torbą wychodził z supermarketu, może ktoś przekazał ich rysopis policjantom, którzy popędzili na miejsce przestępstwa, dwoje młodych ludzi, ciemne włosy, ładni, lepiej więc nie podsuwać glinom na lotnisku czegoś, co sprawiłoby, że zaczęły się drapać po czubku głowy, przyglądając się im i licząc na awans.

Dwaj mężczyźni idą wzdłuż kolejki, mijając wszystkich pasażerów. Pierwszy z nich jest niziutki, to napakowany mięśniak w garniturze, a drugi, kędzierzawy, ma na sobie białe szorty i bladoniebieską koszulkę polo od Lacoste'a. Wśród pasażerów robi się szum. Talia uśmiecha się, bo rozpoznaje przechodzącego obok niej Enrica Maciasa. Kiedy jednak dwaj wpychający się przed nich bezceremonialnie panowie są na jego wysokości, Bruno wysuwa prawą ręką i dotyka palcem pępka Enrica:

– Hola, hola.

Kurdupel podskakuje jak oparzony, wyciąga zgięte lewe ramię, aby bronić swego pana, prawą rękę wysuwa w stronę Bruna, gotowy w ten sposób uzasadnić pobierane wynagrodzenie i swoją reputację osoby gotowej do rękoczynów, który niczym niepokonany mur broni swojego pracodawcy.

– Tak? – odzywa się z uśmiechem Enrico Macias.

– Kolejka jest tam, z tamtej strony...

Ludzie stojący wokół Bruna są oburzeni:

– Przecież to Enrico Macias, no jak pan może!

– Wiem, że to Enrico Macias, i bardzo go szanuję, ale koniec kolejki jest tam.

– No, coś takiego! Jak panu nie wstyd...

– A ten to za kogo się uważa?! – wydziera się jakiś gruby kaszalot o tępym i gamoniowatym wyrazie twarzy (jak zwykły mawiać mój ojciec).

– Proszę pana – gdera kurdupel. – Przecież nie każe pan stać panu Maciasowi w kolejce?

– A niby dlaczego nie? – odpowiada flegmatycznie Bruno, wciąż trzymając palec na brzuchu Enrica, który nie wygląda wcale na obrażonego.

Kiedy kurdupel chwyta Bruna za nadgarstek, żeby odciągnąć jego rękę od pępka swojego pana, Talia, stojąca trzy metry za nim, czuje, jak jej kolana stają się miękkie. Co on robi najlepszego? Owszem, zgadza się ze swoim ukochanym, on ma rację, walczy z niesprawiedliwością, jest wspaniały, ale może trochę za bardzo odjechał. Przecież przy najmniejszej sprzeczce od razu pojawia się policja, celnicy albo jacyś goście od bezpieczeństwa, natychmiast żądają okazania dokumentów, torba jeszcze nie jest w luku bagażowym, jak nic wlepią pięć lat odsiadki, a nawet osiem albo dziesięć, jeśli doliczą inne napady. Dwa lata temu

widziała z koleżankami w Awinionie *Midnight Express*, czuje się jak Billy Hayes na lotnisku w Stambule, nie ma wprawdzie półotwartych ust, grube krople potu nie spływają po jej czole, ale z nim się właśnie utożsamia. Po co on to robi?

– Tylko nie róbmy skandalu – zgrzyta kurdupel.

Teraz z kolei Bruno delikatnie, z uśmiechem chwyta nadgarstek małego człowieczka trzymającego go za rękę (przypominają braci Ramos na cyrkowej arenie, jakby Bruno przymierzał się, by wskoczyć na plecy Miguela):

– Pan Macias jest wielkim artystą, ale to jeszcze nie powód, żeby nie obowiązywała go kolejka.

– Ma rację – mówi Enrico, rozbawiony, w swojej bladoniebieskiej koszulce polo od Lacoste’a. – Daj spokój, Lionel, samolot i tak przez to wcześniej nie odleci. Przepraszam, młody człowieku.

Kurdupel najpierw spogląda na Bruna z obietnicą mordy w oczach, ten rzuca mu w odpowiedzi pełne czułości spojrzenie, ale ostatecznie ochroniarz idzie za Enrikiem Maciasem na koniec kolejki. Talia wreszcie oddycha z ulgą. Pasażerowie linii Air Inter stojący w pobliżu Bruna są zmieszani, szepczą coś między sobą, gapią się w sufit. Tak bardzo chcieliby się usunąć w cień przed Enrikiem Maciasem.

Po powrocie do Paryża w sklepiku z płytami przy Montparnasse kupuje na pamiątkę ostatniego singla starego, dobrego Maciasa, *Le Mendiant de l’amour*. Słucha płyty od czasu do czasu razem z Talią, śmieją się, ale nie tylko.

Sprawia mi to ogromną przyjemność, chociaż nie bardzo potrafię wytłumaczyć dlaczego (może dlatego, że ta historia jest jak most przerzucony przez lata minionego czasu, świadka, który pozostał), kiedy myślę o tym, że Bruno Sulak dotknął brzucha Enrica Maciasa, że pewnego dnia, na lotnisku w Nicei, godzinę po napadzie na supermarket w centrum miasta, Enrico Macias spotkał na swej drodze Bruna Sulaka.

Staje się to zbyt łatwe, a więc zbyt ryzykowne. W Nicei, przez dezynwolturę Bruna, kiedy poszedł na trzecie piętro wziąć pieniądze ot, tak po prostu, jak się idzie wyjąć plasterek szynki z lodówki, o mało nie stracili wolności. Nie ma wystarczającego poczucia zagrożenia, aby zachować niezbędną czujność, obwieszcza więc Talii, że kończy z napadami na supermarkety. Zresztą coraz powszechniejsze korzystanie z kart płatniczych sprawia, że w kasach jest coraz mniej gotówki, i już niebawem przestanie się to opłacać. Aby zdobyć jakieś rezerwy finansowe i nie musieć rzucać się na pierwszą lepszą okazję, mimo wszystko decydują się na ostatni napad na supermarket: Bruno, skłonny do żartów, a zarazem przywiązany do symboli, wybiera za cel hipermarket Cora w Houdemont, w departamencie Meurthe-et-Moselle, niedaleko Toul i Pont-à-Mousson, w regionie, gdzie jego polski dziadek, niegdyś policjant i skrzypek, zaharował się na śmierć za marne grosze, w regionie, z którego wyjechał jego ojciec. Wracają z workiem pieniędzy w bagażniku, przejeżdżają przez Toul, gdzie zewsząd wyzierają ponure domy. Bruno jest przygnębiony.

Wkrótce po powrocie do XVI dzielnicy Talia wyjeżdża sama, żeby spędzić tydzień u rodziców w departamencie Vaucluse. Oderwanie się na chwilę od konieczności ciągłego ukrywania się, od napadów, od życia w bezustannym napięciu na pewno dobrze jej zrobi. W Bédarrides wszystko jest stabilne i bezpieczne. Ale już następnego dnia po przyjeździe dzwoni do niej Bruno. Mówi, że zeszłej nocy poznał pewną dziewczynę w nowo otwartym nocnym klubie Apocalypse przy rue du Colisée (gdzie Valérie Subra zjawi się trzy lata później, żeby znaleźć tam jedną ze swoich ofiar, którą potem rzuci na pożarcie dwóm psychopatycznym współnikom), ma na imię Nadège i jest z nim teraz w mieszkaniu, chciałby, żeby Talia wróciła do Paryża i spotkała się z nią.

– Naprawdę jest fajna, miła i zabawna, ale wołałabym, żebyś była tu ze mną.

Talia odmawia. Nie jest zazdrosna, smutna ani wściekła, ludzie w ich wieku i w tym czasie, pod koniec lat siedemdziesiątych, są dalecy od zaborczej miłości, tyle że ona dopiero rozpakowała się w swoim dawnym pokoju i nie ma ochoty natychmiast wracać. On jednak nalega, Talia wreszcie się zgadza. Wraca tą samą drogą zaledwie w dwadzieścia cztery godziny po przyjeździe, udaje jej się znaleźć tę stację benzynową, gdzie się całowali, zatrzymuje się tam, żeby wypić czekoladę w białym, plastikowym kubku. Kiedy przyjeżdża do Paryża późnym wieczorem, kolacja jest już przygotowana, Bruno zajął się przystawkami, a Nadège głównym daniem. Jedzą, rozmawiają, bawią się, mija noc, Nadège pożegna się z nimi następnego dnia rano, nie dowiedziawszy się, czym tych dwoje zajmuje się w życiu, nigdy więcej jej nie spotkają.

Na początku lutego Bruno podejmuje pierwszą próbę zmiany specjalizacji.

Kiedy leczył rany w Genewie po postrzale w brzuch, skorzystał z okazji, żeby zwiedzić miasto, przyjrzeć się temu i owemu i wtedy właśnie natknął się na malutki oddział międzynarodowej instytucji finansowej, pełen różnych walut i do tego wyposażony w system zabezpieczeń, taki jakim dysponuje przeciętna piekarnia. Wynajmuje bmw w ekskluzywnej agencji przy avenue Marceau, prosi Talię, żeby ubrała się elegancko, ale bez przesady, on robi to samo, po czym oboje jadą do Szwajcarii, słuchając zespołu Trust.

Talia czeka na niego w bmw za rogiem ulicy, podczas gdy Bruno wchodzi do oddziału z torbą podróżną w ręce – pamiętając o konieczności przekroczenia granicy w drodze powrotnej i spodziewając się, że szybko zostanie wszczęty alarm, zmienił wygląd: ma teraz na sobie czarny kaszmirowy płaszcz, czerwony kaszmirowy szalik, przylepił sobie wąsy i założył rogowe okulary. Wygląda dosyć groteskowo, ale nikt przecież nie skoczy do gardła klientowi tylko dlatego, że jego widok wzbudza śmiech. Wyciąga magnum .357 tak, jak wyjmuje się portfel, rzuca dwóm obecnym w oddziale pracownikom kieszonkowe kajdanki, odbiera od nich klucze do kasy i sam się obsługuje.

Kiedy wraca do czekającej w samochodzie Talii, ma w torbie osiemset tysięcy franków w banknotach z różnych krajów oraz dwieście trzydzieści tysięcy w czekach podróжных (zaraz po powrocie do Passy sporządzi kilka nowych paszportów i uda mu się nazajutrz wymienić чеки na gotówkę). Na granicy (Bruno zdjął okulary, odkleił wąsy i włożył zwykłe ubranie), mimo pewnego napięcia, które można uznać za całkowicie zrozumiałe (tej samej zimy kradnę w Carrefourze w Sainte-Geneviève-des-Bois kilka singli AC/DC, Police, Sugarhill Gang i kiedy podchodzę do kasy z dwoma czy trzema płytami ukrytymi w spodniach pod paskiem, mam wrażenie, że przemycam dziesięć kilogramów parówek między dwoma rzędami dobermanów), pomimo broni oraz pieniędzy, które wydają się emitować z bagażnika promieniowanie jądrowe, przejeżdżają bez żadnych problemów. Bruno, trzymając rękę na udzie prowadzącej samochód Talii, sprawia wrażenie rozluźnionego, chociaż dziewczyna wie doskonale, że wszystkie jego komórki są w stanie najwyższego napięcia. Ona zaś radzi sobie, jak umie, by nie zemdleć, i wmawia sobie, że to, co teraz robią, nie różni się aż tak bardzo od przemytu alkoholu, który przewoziła przez hiszpańską granicę, ale po chwili refleksji uznaje, że jednak różnica jest kolosalna.

Przez następne tygodnie po tych pięknych żniwach (jak na razie jest to rekordowy wynik Bruna) żyją sobie spokojnie, nie podejmując ryzyka. Przeprowadzili się do umeblowanego mieszkania przy rue Weber, tuż obok porte Maillot, na parterze, do luksusowego apartamentu z wielkim salonem i piękną sypialnią, gdzie chowają wszystkie pieniądze. Grają w karty, Bruno studiuje rozgrywki szachowe wielkich mistrzów, zapisał się do klubu tenisowego przy porte de Champerret, dużo czyta, zwłaszcza książki z gatunku science fiction (dzięki

temu czuje bliskość ze swoją siostrą Pauline, która uwielbia w tym czasie tego rodzaju literaturę i której nie może widywać tak często, jak by chciał), wychodzą wieczorami do klubu bilardowego przy place de Clichy, gdzie zdarzy im się spotkać Darry'ego Cowla, do teatru, do kina, do nocnych klubów, poznają aktorów, przyciągają uwagę innych, są bowiem ujmujący, atrakcyjni i tajemniczy zarazem, nikt nie wie, czym się zajmują, nikogo nie zapraszają do siebie do domu.

Któregoś popołudnia na korcie tenisowym Bruno, podnosząc głowę z powodu hałasu, znajduje dla siebie kolejny cel: chce zdobyć licencję pilota helikoptera. Widząc szeroko otwarte oczy Talii, tłumaczy jej, że ma na to wielką ochotę, powietrze jest jego ulubionym żywiołem i nie ma w tym momencie nic lepszego do roboty, a przede wszystkim:

– Nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

Zapisuje się na kurs do Héli-France w Issy-les-Moulineaux pod nazwiskiem Bernard Antonini i oddaje się tej pasji bez reszty: bierze lekcje niemal każdego dnia, najpierw teorii, a potem lotów na Écureuil, wieczorami przegląda podręczniki i recytuje Talii najważniejsze rozdziały, których uczy się na pamięć. Nie wie jeszcze dokładnie, do czego mu to będzie potrzebne. W każdym razie sprawia mu to ogromną frajdę. Być może będzie pierwszym we Francji człowiekiem, który ucieknie z więzienia helikopterem, kto wie.

A jednak nie. W piątek, 27 lutego 1981 roku, dwa tygodnie po rozpoczęciu kursu pilotażu, dowiaduje się z telewizji, że francuska premiera właśnie się odbyła. W więzieniu Fleury-Mérogis.

– Ale to przecież ja pierwszy wpadłem na ten pomysł – wyżala się przed Talią, udając zmartwionego, lecz rzeczywiście jest nieco rozczarowany, bo odtąd taka ucieczka będzie, rzecz jasna, znacznie trudniejsza.

O godzinie 9.00 rano w Issy-les-Moulineaux zjawia się dwóch mężczyzn. Bernard Garnier, który naprawdę nazywa się Serge Coutel i podaje się za biznesmena, ściska dłoń pilota Claude'a Fourcade'a, spokojnego i wyważonego pięćdziesięciolatka. Poznali się już wcześniej, Garnier-Coutel korzystał bowiem z usług Fourcade'a na początku miesiąca, żeby polecieć do Orleanu w towarzystwie rzekomej sekretarki, drobnej i okrągłutkiej blondynki – zapłacił wtedy gotówką, zapowiadając przy okazji, że będzie regularnie wykonywał takie loty. Tym razem towarzyszył mu, jak twierdził, jego wspólnik, André Prébet. I znowu mają się udać do Orleanu. Idąc po płycie lotniska w stronę maszyny, może nawet minęli po drodze Bruna, który był tam tego samego dnia.

Kilka minut po tym, jak kierując się na południe, przelecieli nad lotniskiem Villacoublay, Coutel, który zajmował miejsce obok pilota, poprosił siedzącego z tyłu Prébeta, żeby podał mu duży neseser. Położył go sobie na kolanach, otworzył, były w nim dwa pistolety, karabin maszynowy i granat. Przez dwie, może trzy sekundy całkowicie zaskoczony Claude Fourcade myślał, że ci dwaj

mężczyźni zajmują się sprzedażą zabawek (ludzki umysł jest zdolny do skrajnego optymizmu, gdy chodzi o wzniesienie bariery ochronnej przed zagrażającym mu światem zewnętrznym). Zrozumiał jednak dość szybko swoją pomyłkę, kiedy Coutel przyłożył mu lufę jednego z pistoletów do skroni, a w tym samym czasie siedzący za nim Prébet zdjął mu słuchawki, które miał na uszach:

– Zrobisz to, co ci powiemy, wzięliśmy jako zakładniczki twoją żonę i córkę.

Fourcade nie był wariatem, więc zrobił, co mu kazali: słuchając poleceń tych podstępnych pasażerów, próbując nie zastanawiać się za bardzo, o jaki napad im chodzi, skręcił łagodnym łukiem na południowy wschód, w stronę autostrady A6, wzdłuż której leciał na południe na wysokości zaledwie stu metrów nad jadącymi samochodami. Trzy kilometry za zjazdem z autostrady w Sainte-Geneviève-des-Bois (gdzie chodziłem do liceum im. Alberta Einsteina, byłem w klasie pierwszej C, może były właśnie zajęcia z matematyki i pewnie stawałem właśnie krzyżyk na marzeniu z dzieciństwa o tym, że zostanę pilotem, gdyż rozumiałem wtedy, że wymaga to za dużo powagi z mojej strony) rozkazują mu lecieć nad zjazdem w kierunku Fleury-Mérogis, jego duch opiekuńczy nie mógł dla niego nic więcej zrobić: Fleury-Mérogis nie słynie z biżuterii ani nie jest siedzibą banku centralnego.

Gdy oddalili się od autostrady, Coutel rozkazał Fourcade'owi, aby leciał jeszcze niżej, niemalże nad samą ziemią, żeby strażnicy więzienni nie zobaczyli, jak nadlatują. Obwieścił mu też, że będzie musiał wylądować na spacerniku.

– To masakra – odparł pilot (czując w żołądku coraz mocniej zaciskające się supły). – Będą do nas strzelać.

– Nie są uzbrojeni – odpowiedział mu Coutel.

Czując, że mogą to być jego ostatnie chwile w życiu, Claude Fourcade schodzi na pułap dwudziestu metrów nad ziemią, zbliża się do muru więzienia, przelatuje nad nim o 10.40 i ląduje na samym środku dziedzińca przed budynkiem D, wśród grających w piłkę więźniów. Prébet natychmiast otwiera drzwi śmigłowca i strzela w powietrze, żeby wszystkich uspokoić (wcale nie było to zbędne). Dwóch gości o niezbyt sympatycznym wyglądzie podbiega i wskazuje obok niego na tylne siedzenia: są to Gérard Dupré, lat trzydzieści trzy, o dziwnej ksywie „Julie”, zatrzymany w grudniu za napad z bronią w ręku, oraz Daniel Beaumont, lat czterdzieści jeden, przebywający w więzieniu od sześciu już lat i skazany za takie samo przestępstwo.

Helikopter wznosi się przy oklaskach pozostałych więźniów i milczeniu zaskoczonych klawiszy. Coutel nakazuje Fourcade'owi lecieć jak najszybciej prosto w kierunku porte d'Orléans, ten zaś tłumaczy, że mogą w ten sposób znaleźć się na ścieżce podejścia samolotów, które lądują na Orly (oj, dopiero by się działo: boeing, który ląduje się prosto w najbardziej napakowanego bandytę z zakazaną mordą – a ten, zanim zdąży powiedzieć: *Eh, merde*, zmienia się w najbardziej

rozbryzganego bandytę z przetrąconą mordą), sugeruje, aby polecieć okreśną drogą od zachodu, przez Villacoublay, tak jak w tamtą stronę, a powietrzni piraci muszą mu zaufać, zadowolając się jedynie, na wszelki wypadek, przyłożeniem mu do karku lufy pistoletu automatycznego, i wreszcie helikopter Écureuil ląduje na stadionie, kilkaset metrów od porte d'Orléans. Wsiadając, czterej francuscy rekordziści poprosili zakładnika, żeby wyłączył silnik i zaczekał dziesięć minut, nie ruszając się nawet o krok, następnie skierowali się w stronę zielonego renault 16, które czekało na nich w pobliskiej uliczce, z ostatnim ze współników za kierownicą, ale wcześniej jeszcze wyjaśnili dzieciom grającym w piłkę, tak jak więźniowie z Fleury, że wykonują właśnie misję dla GIGN.

Po tej premierze więzienia zostały wyposażone w siatki „antyucieczkowe”, które rozciągnięto nad spacerniakami. Bruno, który się tego domyślił, kręci głową przed telewizorem. A to pech! Ale jest zadowolony, że jego nieznanym współbraciem się powiodło, i gratuluje im w myślach, siedząc w klubowym fotelu przy rue Weber.

Jednak nie ma racji, bo wszystko poszło na marne, wszystko popsuli po tej wielkiej francuskiej premierze: zaledwie tydzień później Gérard Dupré zostaje aresztowany razem z André Prébetem przez niesamowitego komisarza Roberta Poil Autour Broussarda, po krótkiej strzelaninie przed bramą cmentarza Père-Lachaise, z powodu zbyt pilącej go potrzeby ujrzenia swojej laleczki, pięknej Ginette, marsylskiej prostytutki stojącej pod latarnią przy avenue Foch (tej samej urokliwej blondyneczki, która robiła za sekretarkę podczas pierwszej podróży helikopterem), a Daniel Beaumont, który nie daje się tak szybko złapać, ale mimo wszystko budzi politowanie, zostanie zatrzymany w lipcu w Hiszpanii razem z Serge'em Coutelem po czterech miesiącach życia na wysokiej stopie – dostanie kulkę prosto w kręgosłup i do końca swoich dni będzie miał sparaliżowane obie nogi, a z tego właśnie powodu przez długi jeszcze czas w więzieniu będzie nosił przydomek Roulette.

Georges Moréas wraca do Paryża. Gdy udało mu się zorganizować pracę BRI w Nicei, skierowano go do OCRB jako zastępcę głównego komisarza Charles'a Pellegriniego, który dopiero co został mianowany szefem tej struktury (Lucien Aimé-Blanc, który odegrał ważniejszą rolę podczas aresztowania Mesrine'a, niż sugerował Broussard, i dotąd kierował tym biurem, został awansowany na szefa 4. wydziału Centralnej Dyrekcji Policji Kryminalnej, której z kolei podlegają OCRB oraz Centralne Biuro do spraw Walki z Handlem Ludźmi – nazywane przez policjantów „Centralnym Biurem do spraw Kurewek” – ale awanse szybko się skończą: Poil Autour nie lubi, kiedy inny policjant jest skuteczniejszy od niego). A Moréas lubi grać pierwsze skrzypce. Nie tyle nawet z powodu pychy czy żądzy władzy, ale raczej dlatego, że lubi pracować i prowadzić śledztwo na swój sposób, słuchając swojego instynktu i stosując własne metody, bez konieczności podporządkowywania się innym, krytykując czasami czyjeś bardziej lub mniej trafne teorie. Te rzeczy go bowiem ograniczają i frustrują, więc chociaż wmawia sobie, że hierarchia jest czymś nieodzownym w policji, jednak nie potrafi się do niej przekonać, bo to wbrew jego naturze. „Kiedy ma się krzywy nos – jak zwykł mawiać (a wie o czym mówi) – można oczywiście przechylać głowę tak, aby wszyscy myśleli, że nos jest prosty, ale bardzo szybko ma się tego dość”.

Zamieszkał w dużym mieszkaniu na Montparnasse, gdzie czynsz jest zbyt wysoki jak na jego pensję, wspólnie z ładną, dwudziestoczteroletnią brunetką o czarnych migdałowych oczach i nieskazitelnej, bladej skórze, którą nazywa May Be, ponieważ gdy spotkali się po raz pierwszy i spytał ją, czy jeszcze się zobaczą, odpowiadała ciągle: „Być może”. Poznali się w trakcie jakiegoś śledztwa. Ona jest córką bogatego alzackiego biznesmena (ten Moréas ma dobry gust, bo Alzacki są najlepsze), przyrodnią siostrą kobiety, której mąż, Guy Pitoun, potentat na rynku meblowym, został porwany w Valbonne, niedaleko Nicei, rok wcześniej, a więc w czasie, gdy Moréas kierował jeszcze lokalnym BRI. Ostatecznie został odnaleziony w dosyć niejasnych okolicznościach, lecz tymczasem młody, dwudziestopięcioletni policjant z komisariatu w Antibes, Philippe Maziz, który obserwował z ukrycia niewielki dom w Vallauris, gdzie, jak podejrzewano, porywacze przetrzymują Pitouna, został zabity dwoma strzałami przez swoich kolegów z Nicei, ludzi Moréasa, z powodu złej komunikacji, żeby ładnie to ująć (zapewne chodziło raczej, jak często się zdarza, o wewnętrzne tarcia między wydziałami): on wziął swoich kolegów za porywaczy i vice versa. Moréas jest wściekły i przygnębiony, ale na tym nie koniec. Kilka dni później młoda małżonka Philippe'a Maziza, która pomieszkuje tymczasowo z ich synem i psem u kolegi męża, wykrada mu rewolwer Magnum .357 i zabija psa. Potem zabija swojego

czteroletniego syna, a na koniec popełnia samobójstwo, strzelając sobie w głowę.

Pierwsze miesiące są dla Georges'a Moréasa niezwykle trudne. Przy rue des Saussaies, gdzie relegowano go do paskudnej malutkiej kanciapy, której okna wychodzą na Faubourg-Saint-Honoré, musi zajmować się dochodzeniami, których nie może prowadzić tak, jak by chciał, czuje się źle, jest zdołowany, osamotniony i trochę w tym wszystkim zagubiony. Pewien przypadek wzbudził jednak jego zainteresowanie. Chodzi o młodego mężczyznę, którego rozpoznano w Nicei jako sprawcę napadu na supermarket w centrum miasta. Zaczął się zajmować tą sprawą, kiedy jeszcze pracował na południu, i możliwe, że ten sam człowiek dokonał napadów na supermarkety w Laval, Quetigny, a ostatnio w Houdemont, i że to właśnie jemu udało się doprowadzić do ucieczki jednego z więźniów z zakładu karnego w Montpellier. Człowiekiem tym może być dezertor z Legii Cudzoziemskiej, Bruno Sulak. Bez większych przeszkód (w jego otoczeniu najwidoczniej toczą się postępowania w znacznie ważniejszych sprawach) udało mu się uzyskać zgodę na założenie podsłuchu u niektórych jego znajomych oraz kilku członków rodziny. Ostatni telefon do rodziców, krótki i o błażej zupełnie treści, wykonano z Paryża. Moréas czuje, że budzi się w nim coraz większe zawodowe zainteresowanie tą sprawą: „Już ja go dopadnę”.

Ponieważ ostatecznie ich volvo nie przeżyło ciężkiej próby, jaką była marokańska eskapada, Bruno kupił mercedesa od kolegi Alaina, przyjaciela Claude'a, który chciał przesiąść się na bardziej sportowy model. Samochód jest w dobrym stanie, ale ponieważ zamierza w niedługim czasie pojechać nim do Cannes, więc udaje się najpierw do mechanika (nie do tego samego, który znalazł węża pod maską – kiedy bowiem ktoś się ukrywa przed policją, musi unikać wszelkich nawyków, bo gliniarze najczęściej wślizgują się właśnie w tryby rutyny), żeby zrobić szybki przegląd i wymienić olej. W chwili gdy rzeczony mechanik podnosi maskę w obecności Bruna, zjawia się dwóch jego starych kumpli i rozmawiają o ewentualnym udziale w rajdzie samochodowym dla amatorów. Nagle jeden z nich marszczy brwi i pochyla się nad silnikiem. Zauważa, że ktoś starał się zatrzeć numer seryjny. Bruno jest oburzony, przeklina w duchu oszusta, który sprzedał mu auto (nie musi zresztą wcale się przesadnie wysilać, żeby odegrać tę scenę, gdyż jest naprawdę wściekły na przyjaciela kolegi Claude'a, drobnego sklepowego złodziejaszka, który naraził go na niepotrzebne ryzyko, poza tym ma pretensje do siebie, że był na tyle naiwny, by uwierzyć, że ten palant w podkoszulku może być właścicielem mercedesa i szukać bardziej sportowego modelu). Stara się jednak zachowywać jeszcze bardziej naturalnie i okazać więcej złości, jak przystało na człowieka, którego zrobiono na szaro, kiedy dwaj kumple mechanika obwieszczają mu, że są gliniarzami w cywilu. Talia stojąca w jakimś kącie warsztatu pociera nerwowo ręce.

Policjanci proponują Brunowi, że pomogą mu w znalezieniu gościa, który go

oszukał, on uprzejmie dziękuje, nie będzie im przecież z takiego powodu zawracał głowy, trudno, tym gorzej dla niego, będzie miał nauczkę na przyszłość. Nagle udaje, że właśnie dotarło do niego, iż wszystkie okoliczności przemawiają przeciwko niemu, że można go podejrzewać (musi zblednąć, co wymaga pewnego talentu):

– Ja... Ja wam nie opowiadam żadnych bzdur, kupiłem go naprawdę w dobrej wierze, zapewniam was. Mam wszystkie dokumenty, mogę wam je pokazać.

Policjanci są całkiem mili, śmieją się, nie trzeba, wierzą mu, nie musi się niepokoić, oni również nie będą mu zawracać głowy (cała rozmowa przebiega w niemal serdecznej atmosferze); w końcu teraz nie są na służbie. Jeśli Bruno woli, do niczego nie będą się mieszać i w ogóle nie ma o czym mówić.

Następnego dnia Bruno odnajduje młodego cwaniaczka. Słusznie poirowany, czując się jak okradziony złodziej (nie ma nic gorszego), przybiera taki sam wyraz twarzy jak przy napadach na supermarkety i jest, jak by to powiedzieć, wystarczająco przekonujący, aby oszust oddał mu połowę kasy. Kradziony samochód nie jest zbyt wiele wart.

Któręś wieczoru, kiedy jedzą wspólnie z Dragiem kolację w Privilège w podziemiach le Palace, ten informuje Bruna, że nie może dalej mu pomagać: spotkał dziewczynę, Marikę, i tym razem zakochał się, nie chodzi tylko o jej piękne oczy i różne szczegóły anatomiczne, które idą z nimi w parze, chce z nią zamieszkać i dlatego chciałby teraz wieść mniej niebezpieczne i intensywne życie, ona pragnie mieć dziecko, a ciągłe uciekanie przed policją nie jest idealnym sposobem na jego wychowywanie – mówi o tym, rzecz jasna, nie po to, by mu dowalić, ale Bruno coś o tym przecież wie, gdyż Amélie dorasta bez niego.

Drago nie zostawi jednak przyjaciela na lodzie. Na swoje miejsce proponuje mu kogoś bardzo do niego podobnego, Steve'a, ksywa le Grand, który według niego jest najlepszym gościem w Paryżu do takiej roboty, a w dodatku jest przekonany, że dobrze się będzie rozumiał z Brunem i że będzie mu odpowiadał lepiej niż ktokolwiek inny. Nawet nie wie, jak bardzo ma rację.

W połowie maja, tydzień po zwycięstwie Mitterranda w wyborach prezydenckich (Talia i Bruno śledzili, tak jak wszyscy, ogłoszenie wyników w telewizji, siedząc w salonie przy rue Weber i nie turlając się być może z radości po podłodze, gdyż Bruno nie ma zbyt wielu złudzeń co do społeczeństwa i tego, co z nim będzie w przyszłości, otwarli butelkę szampana, to jedyny alkohol, jaki od czasu do czasu pija Bruno), Drago zorganizował spotkanie w restauracji Centre Ville przy rue Montorgueil. Talia nie bierze w nim udziału, Bruno nie wątpi ani przez chwilę w Draga, ale nie wie też dokładnie, czego się spodziewać, facet może być przecież nieufny. Zamawia butelkę szampana, Steve pojawia się o wyznaczonej godzinie. Jest wysoki, dobrze zbudowany, elegancki, ubrany z klasą

i wycuciem. Ma surowe, ale nieodpychające rysy twarzy. Wydaje się wycofany, spokojny i ostrożny, a nawet może rzeczywiście trochę nieufny (on również dobrze zna Draga i wie, że przyjaciel nie wpuściłby go w jakąś parszywą historię, ale nauczył się być ostrożnym, i to w stosunku do wszystkich), rozgląda się wokoło, nie jest wylewny, a jednak Bruno wyczuwa natychmiast, że ma przed sobą człowieka prawego i wiarygodnego. Już od pierwszych minut wzbudza zaufanie (kiedy wznoszą toast, nawet stąd słyszę delikatny odgłos uderzających lekko o siebie kieliszków w sali Centre Ville przy rue Montorgueil w Paryżu, jakby dzwonek oznaczający początek bliskiej, mocnej, ostatecznej i niezniszczalnej przyjaźni) i robi coś, co od czasu, gdy się ukrywa, nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło wobec kogokolwiek, nie licząc Talii: opowiada mu wszystko, o tym, jak zdezerterował z Legii Cudzoziemskiej, o ucieczce Jeana-Louisa S., o supermarketach i całej reszcie. Mówi, że chciałby zająć się teraz czymś innym, że pracuje najczęściej sam, że nie utrzymuje kontaktów z półświatkiem i że sam wszystko organizuje. Jeśli więc Steve chce do niego dołączyć, ponieważ Drago zamierza się ustatkować, to w porządku. Jeśli nie, też nie ma problemu, uściskną sobie dłonie na pożegnanie i każdy pójdzie swoją drogą.

Steve opowiada mu krótko o swoim życiu, niewiele pada słów, ale za to są one szczerze. Mówi o dzieciństwie spędzonym u dziadków, o przyjeździe do Paryża, o problemach z dominującym, zachowującym się jak samiec alfa ojcem. Mówi mu również, że nie nazywa się Steve ani nawet Radiša Jovanović, ale Novica, Novica Živković. Jest znany i poważany w społeczności mieszkających w Paryżu Jugosłowian. Od czasu do czasu bywa ochroniarzem Belmonda albo jego przyjaciół, ma sporo znajomości, także w wyższych sferach – Bruno stwierdza przy tym z rozbawieniem, że Steve lubi się odrobinę chwalić, ale rozumie też, że głównie dlatego, żeby wypełnić pewne braki, odbić sobie czasem w nieco naiwny sposób trudne dzieciństwo. Brał udział w sporej liczbie numerów, bardziej lub mniej ciekawych. Zatrzymano go parę razy, ale wychodził z tego najczęściej bez szwanku, odgrywając czubka (na przykład głośno się wydzierając i wzywając na pomoc babcię):

– Jestem niezłym aktorem.

Po mniej więcej dwugodzinnej rozmowie w głębi Centre Ville żegnają się, ale Steve nie daje mu ostatecznej odpowiedzi. Przyniesie mu ją Drago następnego dnia: Steve zgadza się z nim pracować. Powtarza mu to, co powiedział le Grand: „Zanim zatrzymają tego gościa, najpierw będą musieli zatrzymać mnie”.

Bruno jest zaskoczony, w jakim stopniu ta zgoda, na którą liczył, sprawiła mu radość. I od razu, bardzo szybko, rodzi się między nimi coś więcej niż przyjaźń, bo przypomina to miłość. Gdy ktoś próbuje oczarować dziewczynę, którą kocha skrycie, ale myśli, że jest beznadziejny, więc nie bardzo wierzy, że może się udać, to kiedy nagle zda sobie sprawę, że ma u niej szansę, bo ona jasno daje mu do

zrozumienia, patrząc przeciągle, dzwoniąc albo zgadzając się z nim spotkać, że jego pragnienie zostało odwzajemnione, wówczas ktoś taki odczuwa mniej więcej to, co Bruno, gdy dowiaduje się od Draga, że Steve również obdarzył go sympatią tego wieczoru w restauracji Centre Ville.

Ich spółka nie może jednak skonkretyzować się natychmiast, gdyż Steve, dzięki Jeanowi-Paulowi Belmondowi, który lubi i szanuje tego kolosa bardziej nieśmiałego, niż się wydaje, dostanie niewielką rolę w filmie *Zawodowiec*, Georges'a Lautnera, do którego zdjęcia rozpoczynają się 5 maja. Steve gra rolę policjanta (jest tym zachwycony – już wtedy bowiem poszukuje go paryska policja za kilka napadów, wymuszeń i przemyt biżuterii), inspektora kierującego grupą, która ma za zadanie zatrzymać Jossa Beaumonta, alias Bébela. W scenie rozgrywającej się w biurze pułkownika Martina, gdzie odbywa się narada w sprawie planowanej obławy (nieźle się zresztą uśmieje razem z Brunem, kiedy film wejdzie już na ekrany), siedząc naprzeciwko Roberta Hosseina w roli komisarza Rosena, dla żartu nie zdjął swojego wielkiego złotego rolexa – wyglądał z nim na rękę tak jak większość zwykłych gliniarzy, nieprawdaż? (Poza tym jednym osobistym rekwizytem cała biżuteria do tego filmu została wypożyczona od Cartiera, który już wkrótce straci serce do tego statysty i jego współnika, swoich zaprzysięgłych wrogów). W ostatniej scenie filmu kręconej w parku przy pałacu w Maintenon, w departamencie Eure-et-Loir, Lautner pokazuje go w zbliżeniu, tuż za aktorem Michelelem Beaune'em, innym przyjacielem Belmonda, który gra kapitana Valerasa. Ma pistolet sporego kalibru wciśnięty za pasek spodni i rozchyła kurtkę, żeby było go lepiej widać. (Dwa lata później, kiedy cała francuska policja będzie ścigać „Radię Jovanovicia, jugosłowiańską prawą rękę Bruna Sulaka”, i gdy dzielny informator wskaże im palcem ten kadr z filmu, zacisną pięści aż do bólu – to ujęcie, opublikowane we wszystkich gazetach w 1983 roku, jest jedynym publicznym zdjęciem, jakie pozostało dzisiaj po Novicy Živkoviću). Przy dźwiękach słynnego *Chi Mai* Ennia Morriconego, jego wzrok podąża za Jossem Bébelem Beaumontem, który oddała się, idąc w kierunku stojącego na trawniku helikoptera. Dwa metry od maszyny bohater ginie od kuli w plecy wystrzelonej przez inspektora Fargesa (Bernarda-Pierre'a Donnadiou), który trzymał go na muszce ukryty w oknie pałacu i wykonał posłusznie rozkaz ministra spraw wewnętrznych.

Podczas gdy jego nowy współnik występuje w filmie, Bruno zabiera Talię na festiwal filmowy w Cannes. Nie oglądają jednak filmów, wystarczająco często chodzą bowiem do kina w Paryżu, spacerują po obrzeżach miasta albo po la Croisette, mieszają się ze snobistyczno-szpanerskim tłumem, z blondynkami, których jedynym atutem, szansą na odniesienie sukcesu w życiu jest wydatny biust (zawsze to coś), z wyperfumowanymi kwokami, starymi damami o przebrzmiałej urodzie i nieświeżym oddechu, korzystają ze słońca i plaży. Któregoś popołudnia

Bruno opuszcza sklep ze strojami kąpielowymi z dopiero co zakupionymi stringami, które wręcza Talii, prosząc ją, żeby je włożyła. W 1981 roku noszą je właściwie wyłącznie striptizerki, najodważniejsze gwiazdki filmowe oraz partnerki legendarnego Albana Ceraya w filmie *Chaleurs intimes* albo *Qui m'aime me suce*. Talia zatem odmawia. On jednak nalega, a dziewczyna w końcu się zgadza. Jednakże, ponieważ jest wstydliwa i skromna, leży na plaży z pupą na piasku i oczami utkwionymi w morzu. Jest jednak dosyć ciepło jak na maj, spogląda więc tęsknie na fale. Bruno wstaje, pogwizdując, idzie dwadzieścia metrów i wchodzi do Morza Śródziemnego, jakby był sam jeden na ziemi, pływa przez pięć minut, udając, że zapomniał o bożym świecie (też jest dobrym aktorem, podobnie jak Steve), następnie wraca do Talii, parska, potrząsając energicznie głową.

– Ale jest fajnie, naprawdę przyjemnie.

Wyciąga się obok niej na pomarańczowym ręczniku i zamyka oczy. Talia walczy z sobą dwadzieścia pięć sekund, po czym odważnie wstaje, no bo przecież nie zniknie z powierzchni ziemi ani jej życie nie straci sensu, jeśli dwie lub trzy osoby zobaczą jej pośladki, trudno. Jednak zdążyła przejść zaledwie cztery kroki po gorącym piasku, gdy jakiś czujny fotograf dostrzeża ją i podąża w jej stronę drobnymi kroczkami, a za nim pędzi drugi, a potem jeszcze trzech, więc kiedy Talia wchodzi do wody, nie wyobrażając sobie nawet, co się za nią dzieje, na brzegu stoi już spory tłumek przyklejonych do wilgotnego piasku paparazzich, którzy wołają do niej:

– Eee, księżniczko!

– Miss!

– Wyjdź no na minutkę!

– *Come on, baby!* – wydziera się jakiś opasły marsylczyk w okrągłej czapeczce z Conforamy.

Przez ponad dwadzieścia minut unosi się na falach, a Bruno w tym czasie skręca się ze śmiechu na ręczniku, zanim najbardziej wytrwali myśliwi polujący na piękną Talię wreszcie odpuszczają, potrząsając tylko głowami i zrzędząc, że jeśli ona sobie wyobraża, że będą na nią czekać dwie godziny, to się grubo myli...

Wieczorem, w małej knajpce na starym mieście, Bruno wciąż się z tego śmieje. Gdy tymczasem w Paryżu Moréas postanawia zintensyfikować poszukiwania, uruchamia swoich ludzi, pogania informatorów i coraz bardziej zbliża się do rue Weber, Bruno spędza w Trets być może najspokojniejsze i najbardziej radosne godziny od czasów dzieciństwa. Jest z Talią nad morzem.

W piątym dniu festiwalu, 18 maja, Jean-Charles Fossecave, zwany dziwacznie Nanou, zostaje zabity o 3.45 rano w holu budynku, w którym mieszka, przy rue du Général-Morand w Périgueux, pociskiem wypełnionym loftkami, który trafia go w gardło, robiąc dziurę o średnicy czterech centymetrów. Porządny był z niego chłop, tyle że nie zawsze wystarczająco subtelny i dyskretny, dał się zatłuc

pewnie za byle co, może powiedział o jedno słowo za dużo, a może poszło o jeszcze jeden dług? Śledztwo nie doprowadzi do nikogo ani do niczego. Ale rok później w kilku krajowych i regionalnych gazetach będą pisać, że Bruno był w tę sprawę bezpośrednio zamieszany. Bruno rzeczywiście go znał, to właśnie Fossecave wydał Yves'a po napadzie na Montlaur w Lattes (choć szybko się z tego wycofał), być może zrobili razem skok, który źle się skończył. To na pewno on! A jednak nie. Nanou „pracował” z ludźmi, którzy, owszem, znali Bruna i Yves'a, ale nigdy nie pracował razem z nimi. Poza tym już sobie wyobrażam Sulaka ze strzelbą myśliwską w dłoni, to tak samo prawdopodobne, jak Margueritte Duras z młotem pneumatycznym. Tak czy inaczej, 18 maja o godzinie 3.45 rano spał przytulony do Talii w pokoju hotelowym w Cannes, oddalonym w linii prostej o pięćset trzydzieści kilometrów od Périgueux.

Przed końcem festiwalu Talia i Bruno mają już dość wakacji i wracają do Paryża. Tam Talia czuje, że Bruno się zmienia, zachowuje się inaczej, zwłaszcza gdy są na ulicy: chodzą nadal razem, obok siebie (niespokojny Bruno poprosi ją już wkrótce, aby szła albo przed albo za nim, w odległości kilku metrów), ale zaczyna się coraz częściej rozglądać wokół.

Niemniej jednak nie traci dobrego nastroju. Pewnego wieczoru wraca na rue Weber z torbą, znika na kilka minut w pokoju i wychodzi stamtąd w stroju ochroniarza, Talia patrzy na niego oniemiała. Właśnie zatrudnił się w charakterze strażnika w jednym z banków przy boulevard de Montparnasse pod nazwiskiem Éric Lambert. (Pierwszy raz przejął tożsamość, datę i miejsce urodzenia kogoś, kogo zna, prawdziwego Érica Lamberta, osoby poważanej i statecznej od dnia narodzin, a zrobił to po to, żeby mieć pewność, iż szefowie firmy ochroniarskiej nie dostaną zawału, gdy wpadną na pomysł, jak najbardziej uzasadniony, żeby zweryfikować opinię o pracowniku w jego miejscu zamieszkania. Odgrywając prostaka, udało mu się bez większego trudu dostać tę pracę).

Talia pyta Bruna, czy przekwalifikowanie się na przestępcę napadającego na banki to właściwy krok w jego karierze, niewiele jest bowiem na ziemi miejsc, które byłyby lepiej strzeżone, ale nie o to chodzi. Teraz najbardziej kuszą go sklepy jubilerskie. Chce, aby kradzież miała większą klasę. Ostatnio udało mu się znaleźć niewielki sklepik jubilerski dokładnie naprzeciwko oddziału banku. A jakież może być lepszy sposób na to, aby obserwować, notować, jak często wchodzi klienci i jakie są zwyczaje jubilera, jeśli nie stanie naprzeciwko przez osiem godzin dziennie i niepuszczanie zeń wzroku?

Prosi Talię, aby oparła się pragnieniu oglądania go w godzinach pracy. To nie takie proste, bo każdy lubi się od czasu do czasu pośmiać, ale Talia jakoś się z tym godzi. Nie musi zresztą panować nad sobą zbyt długo, ponieważ Bruno pracuje tylko przez dwa dni: stwierdza, aczkolwiek trzeba przecież było spróbować, że niewiele można się dowiedzieć, obserwując sklep jubilerski

z drugiej strony bulwaru, trzeba więc będzie wymyślić coś innego. Zwalnia się pod pretekstem, że udało mu się znaleźć lepiej płatną pracę. Tydzień później dostaje czek na adres, który podał, gdy się zatrudniał (wynajął malutką kawalerkę przy rue Jouffroy, przemianowanej w 1994 roku na rue Jouffroy-d'Abbans, co brzmi o wiele bardziej elegancko, blisko stacji metra Wagram, żeby mieć adres pocztowy – pocztę odbiera rzadko, zawsze sam i w nocy – i telefon: zainstalował tam automatyczną sekretarkę, którą można odsłuchiwać na odległość, w owym czasie to istny cud techniki!): księgowy pomylił się, zamiast zapłacić mu za dwa dni, wysłano mu pensję za cały miesiąc. Bruno nie zwraca czeku, to oczywiste, ale otwiera z tej okazji butelkę szampana, którego wypijają razem z Talią. Zaczne pobory! A więc nawet kiedy pracuje, kradnie pieniądze.

Szkoda, że turyści interesują się pięknymi budynkami, ślicznymi przechodzącymi paniami, malowniczymi kawiarenkami, a nigdy wystającymi godzinami na chodniku ochroniarzami. Po tych dwóch dniach pracy nie pozostały żadne widoczne ślady. Tymczasem bandyta, którego OCRB stara się namierzyć, poszukując go wszędzie w Paryżu, stojący sobie w mundurze przed bankiem przy boulevard de Montparnasse, naprawdę zasługiwał na jedno przynajmniej zdjęcie.

Rano, czytając gazetę w ogródku kawiarni niedaleko porte Maillot, gdzie razem z Talią jedzą każdego dnia śniadanie, Bruno dowiaduje się, że tak jak należało się obawiać, Jean-Louis S. został zatrzymany w Lyonie. Znowu znalazł się w więzieniu, tym razem w zakładzie karnym w la Talaudière, niedaleko Saint-Étienne. Nie podoba mu się to, że podjął ogromne ryzyko dla tak marnego wyniku: kumpel cieszył się wolnością niecały rok. Bruno musi to naprawić.

Praca Steve'a przy zdjęciach do *Zawodowca* dobiegła końca. Dwaj nowi przyjaciele będą mogli wreszcie na poważnie zająć się planami na przyszłość, nie ma bowiem mowy o tym, żeby działać byle jak, na łapu-capu, kiedy się myśli o napadach na sklepy jubilerskie, które są wyposażone w najprzeróżniejsze systemy zabezpieczające i raczej rzadko kiedy są zlokalizowane w odległych od zatłoczonego centrum strefach przemysłowych. Obaj przemierzają Paryż wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu idealnego sklepu, aby od czegoś zacząć wreszcie przygodę z biżuterią (choć Steve nie jest tak naprawdę złotodziobem w tej materii), często spotykają się u le Granda i jego narzeczonej Nadine, młodej i pewnej siebie prowincjuszki, aby rozmawiać o skoku. (Bruno zawsze przynosi ciasteczka do herbaty, często zjawia się z tartą cytrynową, choć nie dorasta ona do pięt, o ile, rzecz jasna, tarta może dorastać do pięt, tarcie jego mamy).

Któręś popołudnia zaprasza Steve'a do nich do domu przy rue Weber. Do tej pory nikt jeszcze ich tutaj nie odwiedzał, z wyjątkiem Draga, który regularnie spędza długie godziny w salonie, grając w szachy z Brunem. Steve nigdy nie spotkał się wcześniej z Talia. Przez pierwszą godzinę przygląda się jej podejrzliwie, początkowo nie ma do niej zaufania, ona wyczuwa z jego strony coś więcej niż rezerwę, coś jakby niechęć: zwraca się ścisłym głosem do Bruna, tak jakby nie chciał, by go słyszała. Nie sądzi, aby kobieta w takiej ekipie była najlepszym pomysłem (nie przyszłoby mu w ogóle na myśl, aby na przykład wciągnąć do takiej roboty Nadine, nie jest jej do końca pewien, narzeczonej zawsze wychodzi „na miasto”, kiedy mężczyźni rozmawiają o interesach, jedząc tartę cytrynową). Talia nagle czuje się nieswojo. Bruno jednak rozluźnia atmosferę, uspokaja ich oboje, to on jest najlepszym możliwym łącznikiem, wątpliwości Steve'a ulatują, ale mimo wszystko Talia woli się schować w swoim pokoju – nie chce za żadne skarby stać się dla nich ciężarem. Poczucie lekkiego dyskomfortu trwać będzie tylko przez to jedno popołudnie, gdyż już wkrótce Steve zaakceptuje ją niczym siostrę, a w każdym razie niczym nierozłączną połowę Bruna, którego uważa za swojego brata. I chociaż Talia nie może mieć z nim takich samych relacji jak z Dragiem, gdyż jest bardziej tajemniczy, owszem, serdeczny, ale gdzieś w głębi ducha wydaje się jej niedostępny, jednak od tej pory nosić go będzie w swoim sercu jako alter ego jej ukochanego. Pewnego wieczoru, kiedy Bruno jest akurat w kuchni i przygotowuje awokado z krewetkami, Steve mówi do Talii:

– Jeśli będzie trzeba, dam się za niego zabić. Nigdy mu się nic nie stanie, zawsze będę przy nim.

*

W środę, 3 czerwca 1981 roku Talia, Bruno, Steve, Drago i Jean-Pierre

(który został „dopuszczony” po raz ostatni, gdyż Bruno wciąż nie jest w stanie odmówić mu pomocy) jedzą razem kolację w Privilège, żeby ustalić ostatnie szczegóły napadu na wybrany sklep jubilerski, co nastąpi już nazajutrz. Skoro mają dokonać rzeczy wielkich, skoro już postanowili zgarnąć złoto i brylanty z witryny na oczach przechodniów, trzeba to zrobić z entuzjazmem i maestrią, najlepiej na oczach setek przechodniów: tak więc zdecydowali się opróżnić sklep jubilerski Clerc przy place de l’Opéra, jeden z najsłynniejszych sklepów z biżuterią w Paryżu (dzisiaj przemianowany na Maty – aż drzę o nich, kiedy tamtędy przechodzę). Drago oświadczył, że nie zostawi teraz Bruna samego, w przeddzień jakże ważnego życiowego zakrętu, ale będzie to jego ostatni skok.

Bruno po raz pierwszy wchodzi do sklepu jubilerskiego Clerc tydzień wcześniej, najpierw sam, po czym wraca z Talią w przeddzień planowanego skoku, tym razem udają zakochaną parę, która szuka ładnego pierścionka. Podczas gdy Talia przymierza jeden pierścionek za drugim, Bruno obserwuje i jednocześnie wszystko rejestruje w głowie, personel (pięćdziesięcioletni mężczyzna, zapewne szef, i dwie sprzedawczynie), miejsca, gdzie znajduje się najdroższa biżuteria, system otwierania witryn, lokalizacja jedynej kamery bezpieczeństwa... Nie udało im się nic wybrać, tak dużo tu pięknych rzeczy, obiecują, że wrócą za dzień lub dwa.

Sklep jubilerski Clerc okradziono pośpiesznie jedynie dwukrotnie od dnia założenia firmy w 1898 roku przez Charles’a Clerca: w 1907 i 1912. Za drugim razem chodziło właściwie o zwykłą drobną kradzież, dyskretnie, w środku dnia, kilka klejnotów wrzuconych do kieszeni; ale za to za pierwszym razem, według relacji ówczesnej gazety, odbyło się to w sposób spektakularny: *Kradzież popełniono w warunkach, które wymagały wręcz niespotykanej brawury, a sprawca pozostał nieznanym*. Ale i wtedy nie była to jakaś grubsza sprawa, niewielki łup zdobyty z samego ranka, kiedy jeden z subiektów podnosił żelazną kratę, przez *mężczyznę o blond włosach, który był bardzo elegancko ubrany*. Sklep jubilerski Clerc powinien jednak być znany przede wszystkim dlatego, że przyznał jedną z pierwszych nagród literackich Patrickowi Modiano: z okazji ukazania się w 1969 roku jego drugiej powieści, zatytułowanej *Nawroty nocy*, w sklepie przy place de l’Opéra wręczono mu Prix de la Plume de Diamant, w postaci „wiecznego pióra ze zbiorniczkiem na atrament”. Jego matka wyłudziła od niego to pióro, gdy tylko wrócił do domu, a wkrótce potem poszła zastawić je w lombardzie, ale nie dali jej za nie nawet jednego franka: złoto okazało się tombakiem. Gdyby Bruno znał tę historię, na pewno mógłby z niej wyciągnąć kilka użytecznych wniosków.

Kiedy trzykrotnie powtórzyli sobie wszystkie polecenia i precyzyjnie określili poszczególne role każdego z nich, proszą o rachunek. Jeszcze nie ma północy, gdy malutki człowieczek wyglądający jak zaszczute zwierzątko, ubrany w długi kobiecy płaszcz, w towarzystwie podenerwowanych typów przechodzi

szybkim krokiem przez restaurację i kieruje się w stronę kuchni. Nikt z biesiadników przy stole Bruna nie zwraca na niego zbyt dużej uwagi, nikt go nie zna. Zresztą nikt z całej sali go nie zna. A jest to Prince. Dzieciak z Minneapolis. Jest po raz pierwszy we Francji, miał wystąpić w Palace ze swoim pierwszym koncertem o godzinie 21.00, ale samolot, którym przyleciał z Londynu, gdzie poprzedniego dnia zaśpiewał kilka utworów, miał trzy godziny opóźnienia. Wczesnym wieczorem czekało na niego tysiąc pięćset osób, została może setka tych, którzy i tak nigdzie się nie spieszą. Wystąpi przed nimi tej właśnie nocy, przed garstką cierpliwych nocnych marków, ubrany tylko w slipy i czarne pończochy. Talia, Bruno i pozostali nie obejrzą koncertu, nie mogą położyć się za późno spać, następnego dnia muszą być w dobrej formie.

Jest godzina 16.00. Talia zaparkowała przy rue de Choiseul, trzysta metrów od place de l'Opéra. Z trudem wcisnęła się w lukę między dwoma samochodami, i już zdążyła wykonać cztery razy naprawdę, a szesnaście razy w myślach manewr wyjeżdżania, teraz dzieli ją ponad siedemdziesiąt centymetrów od zaparkowanego przed nią talbota, więc jeden mocny skręt wystarczy, chyba że talbot odjedzie i jakieś inne, większe auto zajmie jego miejsc. Ale przynajmniej nie chce jej się sikać. Od chwili gdy się obudziła, była w ubikacji osiemnaście razy, no, może trochę mniej, i nie wypięła ani kropli wody w ciągu czterech ostatnich godzin.

Bruno parkuje motocykl na chodniku i jako pierwszy wchodzi do sklepu jubilerskiego Clerc, patrzy nieobecny wzrokiem, tak jakby myślał o wszystkim (znowu ten talent aktorski...), tylko nie o błyszczących brylantach. Żeby tylko nie zapomniał wpaść dzisiaj wieczorem do księgowego. Ma mi dać... No dobra. Gdy wyjmuje magnum .357, do środka wchodzi Steve i Jean-Pierre, a Drago staje przed drzwiami, nieco z boku, plecami do witryny. Mijają go zaaferowani zwiedzaniem turyści i pracownicy biurowi zajęci rozmową, w tym samym czasie mrowie ludzkie wylewa się z metra po drugiej stronie ulicy, przed Café de la Paix i na schodach Opery przesiadują młode pary i rodziny, które korzystają z wiosennego słońca.

W sklepie wszystko odbywa się najpierw dosyć spokojnie, według planu, szef i sprzedawczynie na początku w ogóle się nie stawiają, ale Jean-Pierre jest zbyt spięty, mówi za głośno, popycha ich w trakcie zakładania kajdanek, brutalnie grozi właścicielowi, a kiedy ten protestuje, jedna z kobiet rzuca się do drzwi i dopiero w ostatniej chwili, za to niemal czule, udaje się ją zatrzymać wielkiemu Steve'owi. Twarde spojrzenie rzucone przez Bruna rozbraja wreszcie Jeana-Pierre'a, ciąg dalszy przebiega już bez problemów i strachu, szef i jego personel rozumieją, że jedyne, czego mogą się obawiać, to upierdliwego ubezpieczyciela. Bruno i Steve oczyszczają metodycznie najbardziej interesujące witryny, wystarczają dwie minuty, Bruno tymczasem idzie na zaplecze sklepu po kasetę z kamery (nawet nie chodzi mu o to, by pozostać nierozpoznany, ale żeby spokojnie przestudiować w domu wideo z napadu i zanotować, co należałoby zmienić), po czym wychodzą, przepaszając w kilku słowach. Drago i Jean-Pierre przechodzą na drugą stronę ulicy i znikają w wejściu do metra, Bruno wsiada na motocykl, a Steve zajmuje miejsce za nim, jeszcze rzut oka, zanim włączy się do ruchu na boulevard des Capucines, przy Operze, której fasada nie jest tak lśniąca, jak dzisiaj (wewnątrz znajduje się plafon autorstwa Chagalla z 1964 – to rok, w którym się urodziłem, ale co to w ogóle zmienia dla amatorów opery – malowidło przedstawia Romea, Julię, Tristana i Izoldę, którzy obejmują się przy Łuku Triumfalnym – mówię o tym, ale nie myślcie sobie, że całkiem mi się

pomieszało w główce, bo Marc Chagall i Bruno Sulak spotkają się jeszcze raz gdzie indziej niż na tym wielkim słonecznym placu), wreszcie skręca w rue de Choiseul. Zostawia motocykl na chodniku, wsiada z przodu koło Talii, Steve z tyłu, ona rusza, zaparkowany przed ich samochodem „na wcisk” talbot jak stał, tak stoi, dziewczynie udaje się go wyminąć dosłownie o milimetry, Talia jedzie trochę za szybko jak na gust Bruna, zwalnia więc, a zresztą po chwili zatrzymuje się na czerwonym świetle, później i tak utknie w niewielkim korku na rue du Quatre-Septembre. Bruno i Steve przebrali się od stóp do głów. Obaj są wściekli na Jeana-Pierre’a, którego nerwowość o mało wszystkiego nie zepsuła. Bruno zgadza się ze Steve’em, nie wolno im podejmować tego rodzaju ryzyka tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność, nie będzie z nim już nigdy więcej pracował, to ostateczna decyzja. Nie lubi zostawiać przyjaciół na lodzie, ale w końcu przekonuje się, że pieniądze, które Jean-Pierre z tego wyciągnie, i tak posłużą mu do wstrzyknięcia sobie do krwiobiegu jeszcze więcej świństw, a byłby już czas, by wykonać dwa kroki wstecz, jeśli to jeszcze możliwe, bo facet jest, i nie można dalej udawać, że się tego nie widzi, w przerażającym stanie. (Jean-Pierre zostanie znaleziony martwy rok później z powodu przedawkowania w nędznym pokoju hotelowym w Marsylii).

Talia stara się nie wpadać w panikę, gdy tak stoją w korku, Bruno ją uspokaja, wszystko w porządku, już są na rue de Rivoli, już mijają place de la Concorde, Champs Élysées, Łuk Triumfalny.

Jeśli chodzi o policję, między innymi o Georges’a Moréasa, nikt nie spodziewa się na razie, że Bruno Sulak zrezygnuje z utargów w supermarketach na rzecz pierścionków i kolii. Z tego powodu, gdy „na tapecie” pojawia się sprawa napadu przy place de l’Opéra, nikomu nie przychodzi do głowy, żeby pokazać jego zdjęcie właścicielowi okradzonego sklepu jubilerskiego. Zresztą także i znacznie później nikt nie będzie wiązał tego skoku z osobą Sulaka i jego małej ekipy. To jego pierwszy sklep jubilerski (a to się liczy w życiu mężczyzny) i jedyny napad, o który nikt nie będzie go oskarżał.

Później takich napadów będzie jeszcze sporo. Ta „metoda”, jeśli tak można by to ująć, łącząca brak przemocy (niemalże uprzejmość, może jednak nie przesadzajmy, raczej szorstką uprzejmość, zgoda) z precyzją, oraz staranne przygotowanie połączone z szybkością przeprowadzenia operacji znajdą wielu naśladowców. Dla młodych Serbów Steve stanie się niebawem bohaterem, podobnie jak Tony Montana dla marsylczyków, z tą różnicą, że chodzi o człowieka istniejącego naprawdę (Tony Montana będzie jedynie zdeformowaną kopią Tony’ego Camonte z filmu Howarda Hawksa, a ten z kolei bardziej lub mniej wierną repliką Ala Capone – daleko w czasie się cofamy i wywód staje się coraz bardziej mętny), który nie miał poza tym nic wspólnego z dragami i zabijaniem. Tak więc Jugole przejmą tę metodę kilka lat później i stworzą Pink Panthers

(Różowe Pantery), najsłynniejszy i największy na świecie gang zajmujący się napadami na sklepy jubilerskie (który liczy według Interpolu od trzystu do pięciuset członków, „aktywnych” albo siedzących w więzieniach. Pierwszym z „admiratorów” Steve’a był, rzecz jasna, jego brat Miki, młodszy od niego o trzynaście lat. Dzisiaj rano, zanim zacząłem pisać, przeczytałem list, który dostałem od niego z Fresnes, gdzie wciąż jeszcze odbywa karę więzienia. *Mój proces potoczył się bardzo dobrze. Wbrew wszelkim oczekiwaniom. Postawiłem na szczerść i...* Wiedziałem o tym już wcześniej, bo czytałem o tym przedwczoraj w „Le Parisien”. Po napadach na sklepy jubilerskie w różnych zakątkach świata, naruszeniu wymogów zwolnienia warunkowego i ucieczce z więzienia jego adwokaci obawiali się wyroku od ośmiu do dziesięciu lat, a on dostał tymczasem trzy lata. Główną przyczyną tej względnej łaskawości sędziego jest stan zdrowia Mikiego, który cierpi na stwardnienie rozsiane. Interpol i francuski wymiar sprawiedliwości podejrzewają, że należy do Pink Panthers, ale nie można było mu tego udowodnić.

Po przybyciu do wielkiego salonu w mieszkaniu przy rue Weber Talia, Bruno i Steve skaczą z radości. Odkorkowują butelkę szampana, stukają się kieliszkami, przechodzą do sypialni i wysypują na łóżko cały stos biżuterii, zanurzają w klejnotach dłonie, tak jak zrobiłby Wujek Sknerus McKwacz, a potem zaczynają je oglądać i segregować pod względem wielkości, wagi i jakości. W ciągu ostatnich tygodni Bruno porządnie się do tego przygotował, przeczytał kilka specjalistycznych książek na temat brylantów (uwielbia te kamienie szlachetne, a zwłaszcza piękno ich surowej czystości, chociaż sam nigdy ich nie nosi) i zdobył gdzieś cały niezbędny sprzęt, lupy, wagi i narzędzia do wycinania drogich kamieni z oprawy, kupił nawet specjalny papier do pakowania. Siedząc we trójkę na łóżku, potrzebują jednak sporo czasu, żeby wyciągnąć wszystkie kamienie z oprawy, bo nie jest to takie proste, kiedy robi się to po raz pierwszy (niektóre kamienie są całkiem malutkie, spadają z łóżka, toczą się po podłodze, wpadają w dziury między klepkami albo pod szafę, troje złodziei nie zadaje sobie nawet trudu, żeby je wszystkie odnaleźć – następni lokatorzy musieli przeżyć kilka naprawdę miłych niespodzianek: „Misiu, uszczypnij mnie, ja chyba śnię!” – albo je wyrzucić, gderając i skarżąc się na poprzednich lokatorów, których córka zniszczyła naszyjnik Barbie, a matka odkurzała raz na trzy lata, no jasne), a potem dzielą je na trzy kupki, w zależności od szacowanej wartości. Radość Bruna nieco opadła, bo brylanty nie są dość czyste – co to w ogóle ma znaczyć?! To jest ten słynny Clerc, z takim badziwnym towarem?! (Mamusia Patrycka Modiano musiała powiedzieć dokładnie to samo). Następnym razem trzeba będzie wybrać jubilera z asortymentem z wyższej półki.

Mimo wszystko zdobycz robi jednak duże wrażenie. Tym razem to Steve zajmie się jej upłynnieniem. Zna wielu paserów, więc Bruno powierza mu

wszystko (nalegał najpierw, żeby podarować kilka pierścionków i bransoletek Talii, ta jednak odmawia, to jej nie interesuje – on nalega, ona nadal odmawia). Powoli także i Bruno się w to wciągnie, z czasem stworzy swoją własną sieć dystrybucji, wybierze sobie pośredników i znajdzie w końcu najlepszą metodę na upłynnianie olśniewającego towaru z jak najmniejszą stratą, czyli stukając do drzwi ubezpieczycieli.

Całują się, wpadają sobie w ramiona, ale nie ma tym razem nadzwyczajnego świętowania: wieczorem idą całą piątką na kolację do restauracji przy porte Maillot, potem spędzają jeszcze dwie godziny w Élysée-Matignon, gdzie akurat przesiadują zupełnie narąbani Gainsbourg i Bambou, po czym wracają do domu, żeby położyć się spać. W końcu trzeba się przecież zachowywać poważnie.

Bruno w tym czasie nie wie jeszcze, kim jest Georges Moréas, który coraz mocniej zaciska sznurki zarzuconej sieci, siedząc w swym ponurym biurze przy rue des Saussaies, ale Sulak zdaje się całkowicie na „swojego gliniarza”, który ostrzega go, dając mu coraz mocniejsze kuksańce: już czas, mój drogi, wynieść się z mieszkania przy rue Weber. I nie jest to wcale zły pomysł.

Często chodzą na kolację do przyjaciół Talii, którzy mieszkają pod numerem 45 przy rue Barrault, w XIII dzielnicy (to bardzo dobry adres). Dla nich Bruno jest dziennikarzem i od czasu do czasu także fotografem. W chwili gdy jego „gliniarz”, Talia i on sam postanawiają się wyprowadzić, para znajomych zamierza wyjechać na letnie wakacje i proponuje im, aby jeśli mają ochotę, zamieszkali u nich przez tydzień lub dwa. Bruno i Talia przyjmują propozycję, dobrze się składa, pakują walizki na rue Weber i przewożą je na rue Barrault, pełno w nich ubrań, ślicznych sukienek, pieniędzy, biżuterii, urzędowych pieczętek, sprzętu jubilerskiego i broni krótkiej. Niestety, już drugiego wieczoru do drzwi dzwoni jakaś dziewczyna, najwyraźniej niezadowolona z ich obecności, w dodatku agresywna i niemiła, i twierdzi, że to jej obiecano, że będzie mogła zająć mieszkanie do końca lipca, a więc muszą je opuścić. Są zdziwieni, tłumaczą jej, że przecież znajomi nie zostawili im kluczy przypadkowo, że jeśli chce, mogą tu mieszkać tylko przez tydzień, ale woleliby mimo wszystko na razie mieszkać sami. W końcu jednak, ponieważ wygląda na to, że jędrza nie zamierza się ruszyć spod drzwi, a oni nie chcą, żeby poszła zrobić aferę nie wiadomo gdzie, ostatecznie pozwalają jej wejść do środka. Bruno w każdym razie jest bardzo niezadowolony, ma już taką infantylną cechę, więc wieczorem przygotowuje kolację tylko dla dwojga. Nie znosi, gdy ktoś mu się narzuca, nie lubi, gdy ktoś się niesłusznie czegoś domaga, i wydaje mu się, że wszystko mu wolno. Bruno to chłopak z zasadami, pan Enrico Macias mógłby to potwierdzić.

Na całe szczęście, zanim upłyną trzy dni tego pełnego napięć i przytłaczającego „życia razem”, nadarza się nowa okazja (w tym czasie jakoś wszystko dobrze się składa), przeprowadzają się z rue Barrault (dziesięć lat później będę co tydzień chodził tą ulicą, tym samym chodnikiem, którym szli z walizkami Talia i Bruno, będę zmierzał do villi Daviel, na szalone imprezy do moich przyjaciół Aptekmanów, czyli rodziny Zoptek z mojej pierwszej powieści) na piąte piętro domu pod numerem 153 przy avenue de Suffren, tuż obok stacji metra Sèvres-Lecourbe, do mieszkania, które wynajmował wspólnie z żoną kuzyn Sulaka, a ponieważ zamierzają wrócić w swoje rodzinne strony, Brunowi i Talii udało się przejąć to mieszkanie za zgodą właściciela. Skok na sklep jubilerski Clerc przyniósł mniejszy zarobek, niż się spodziewali, ale jest to mimo wszystko na tyle pokaźna kwota, że pozwoli im na dłuższą przerwę i kilka miesięcy słodkiego nieróbstwa (nie ma niczego lepszego). Kupują zestaw hi-fi, najnowszy model telewizora oraz magnetowid. Pierwszy film na kasecie VHS, jaki kupią, to *Bonnie*

i Clyde. Na okładce można przeczytać: „Są młodzi, kochają się, uwielbiają ryzyko”. (W wersji oryginalnej: *They're young, they're in love... and they kill people*). Nie są kretynami, więc nie umyka im podobieństwo życia bohaterów filmu do ich własnego, gdy siedzą na kanapie i oglądają na ekranie Bonnie Parker i Clyde'a Barrowa, ale mimo wszystko obejrzą ten film kilkakrotnie, może sześć, a nawet siedem razy. Bruno wie, że gangsterzy zazwyczaj kończą źle, stara się jednak o tym nie myśleć, tak samo jak Talia, żartują więc sobie z tego.

Któregoś popołudnia w butik w szpanerskim wtedy Forum des Halles, które otwarto zaledwie dwa lata wcześniej, Bruno chce kupić Talii sukienki, ona przymierza ich całą masę, on sugeruje jej odłożenie na bok tych wszystkich, które jej się podobają, żeby potem móc wybrać, a kiedy już ostatecznie Talia decyduje się na dwie z nich, jedną krótką i kolorową oraz drugą, dłuższą i bardziej stonowaną, Bruno i tak bierze wszystkie dwanaście sukienek i zanosí je do kasy. Talia zagradza mu drogę, nie chce ich, on jej nie słucha, odsuwa ją z uśmiechem na bok, kupuje wszystko. Talia denerwuje się. Wychodzą ze sklepu z wielkimi torbami pełnymi zakupów i idąc alejkami Forum, kłócą się po raz drugi i ostatni w ich wspólnym życiu, z powodu równie istotnego i zasadniczego, jak rozmiękły sandwich w czasie rejsu do Maroka.

Bruno lubi jej dawać prezenty i nie robi tego po to, żeby popisywać się kasą. Jakieś dziwaczne letnie pantofelki, na które wszyscy zwracają uwagę, mijając ją na ulicy, zapinany na agrafki gorset, skórzany kombinezon kupiony w sklepie przy rue du Four. Kiedy wychodzi na miasto sam, często wraca do domu z damską bielizną albo z tamponami, gdy wie, że będzie ich potrzebowała. Któregoś dnia zjawia się z miniaturowym pudelkiem, któremu Talia nada imię Charly.

Mają dużo pieniędzy, ale Talia olewa to, nie zależy jej na życiu w luksusie. Na jakiejś wyprzedaży ubrań, tuż za avenue de Suffren, kupuje sweter za pięć franków, który się jej podoba.

Choć Bruno także olewa pieniądze i nie oszczędza, wydaje wszystko dla przyjemności, obojętne jakiej, uwielbia piękne przedmioty, biżuterię, koronki, luksusowe samochody i eleganckie hotele. Któregoś wieczoru wraca na avenue de Suffren, pokazując Talii z radością to, co ma na nadgarstku:

– Popatrz, zrobiłem sobie prezent.

Ma na ręku platynowy zegarek marki Piaget, który kupił przy rue de la Paix. Wcześniej w urobku od Clerca była ich cała masa, bardziej lub mniej cennych, i z pewnością wie również, że już wkrótce będzie miał okazję ukraść niektóre spośród najpiękniejszych na świecie arcydzieł sztuki zegarmistrzowskiej, ale teraz wołał kupić sobie akurat ten.

*

Pewnego wieczoru w połowie lipca wychodzi z domu przy avenue de

Suffren, żeby spędzić najbliższą noc w pobliskim hotelu. Następnego dnia ma zdawać egzamin na licencję pilota helikoptera, chce więc w pełni wykorzystać ostatnie godziny, jakie mu zostały, i nie ma mowy, żeby się rozpraszać i zachwycać tylęczkiem Talii. Nazajutrz w Issy-les-Moulineaux Bernard Antonini błyskotliwie zdaje egzamin i otrzymuje licencję pilota helikoptera.

Wraca do domu, szaleje z radości, bardziej niż po najbardziej udanym napadzie, jak licealista, któremu wreszcie udało się znaleźć swoje nazwisko na liście uczniów, którzy zdali maturę. Talia, która ani przez chwilę nie wątpiła w swojego mężczyznę, poświęciła całe popołudnie na przygotowanie uczyty na cześć zwycięzcy, udekorowała salon, pięknie nakryła stół, kupiła różowego szampana, przyrządziła kilka małych przystawek, awokado z krabami, *foie gras* z kandyzowanymi cebulkami, pomidory z mozzarellą, no, w tym właśnie stylu. A ponieważ dała z siebie wszystko, przygotowując przystawki, na danie główne muszą się zadowolić jajkami sadzonymi, co rozśmiesza, rzecz jasna, Bruna – i to jest najważniejsze.

W następną sobotę organizuje imprezę w Issy, na stół wjeżdżają szampan Dom Pérignon, ptifurki i ciasteczka, a uczestniczy w niej większość kadry szkoleniowej z lotniska, jego nauczyciel teorii, trener pilotażu, kilku policjantów pracujących na lądowisku dla helikopterów i czterech kapitanów żandarmerii. Poklepują go serdecznie po plecach, brawo, Bernardzie!

Na początku sierpnia Drago jedzie pociągiem do Montpellier i tam zgłasza się na komisariat policji. Bruno jest w stanie zrozumieć tę decyzję (dla niego jednak jest już za późno, gdyż cena, jaką musiałby zapłacić za powrót do normalnego życia, byłaby zbyt wysoka). Od zawsze zbuntowany i do końca nieposkromiony Steve nie akceptuje postawy przyjaciela. Drago nie znosi więzienia, sama myśl o nim doprowadza go do szału, lecz nie ma wyboru, jeśli chce coś zbudować wspólnie z Marią. Wie, że jest poszukiwany w związku z ucieczką Jeana-Louisa S., nie włożył wtedy kominiarki, a śledztwo pozwoliło zidentyfikować Bruna dzięki pytaniu o szwagra, jakie zadał w rozmównicy. Wiadomo, że się znają, podejrzewa się zresztą, że wykonali razem kilka skoków. Klawisze zidentyfikowali Draga na zdjęciu. Niełatwo byłoby go wprawdzie odnaleźć, ale przez całe lata musiałby się ukrywać.

– Oddajesz się w ręce policji – powiedziała do niego Marika – pobieramy się, robimy sobie dziecko. Inaczej nigdy nie będziemy mogli normalnie żyć.

Policjantowi, który przyjmuje go na komisariacie, przyznaje się do uczestnictwa w ucieczce z więzienia. Zostaje zatrzymany, a gdy funkcjonariusze prowadzący śledztwo przesłuchują go kilka godzin później, stara się odciążyć Bruna, wyjaśniając, że działał na prośbę przyjaciela S., niejakiego Schulera, który tymczasem umarł, ale przedtem zaproponował mu za tę robotę trzydzieści tysięcy franków i motocykl. Czuje, że policjanci nie przełkną tego z łatwością.

Dostanie trzy lata paki, trochę się to jeszcze wydłuży z powodu kilku bójek w więzieniu, wyjdzie w kwietniu 1985 roku, zniszczony i wściekły. Marika była przy nim przez cały ten czas, kiedy odsiadywał karę, odwiedzała go tak często, jak mogła, próbując go wspierać, ale gdy Drago wychodzi z więzienia, jej już nie będzie. Nie było w tym okrucieństwa ani zdrady, ona po prostu boi się mieć dziecko z bandytą, nawet jeśli obiecał, że nigdy już nie zejdzie na złą drogę. Wiadomo, jak to jest z ludźmi tego pokroju. Trudno im zaufać. Drago nie podniesie się po tym rozstaniu i jeszcze wielu innych przykrych zdarzeniach, będzie tracił stopniowo kolejne punkty oparcia i w końcu znajdą go martwego rok później na plaży w Brazylii. Nikt się nie dowie, jak to się stało i dlaczego. Tam go pochowano.

W trakcie następnych miesięcy (na razie Bruno interesuje się sklepami jubilerskimi tylko po to, by żyć dostatnio i bezproblemowo, nie chodzi jeszcze o jakąś grę czy o bunt, a dzięki tej pierwszej akcji mają wystarczająco dużo kasy, aby spażować do końca roku – poza tym Steve, który i tak nie zdołał jeszcze wszystkiego upłynnić, ma kilka spraw do uregulowania w jugosłowiańskim półświatku) Talia i Bruno zachowują się jak typowa para młodych ludzi mieszkających w Paryżu, no, prawie – może tylko nieco częściej oglądają się za siebie. Wszystkie wieczory spędzają poza domem, bywają w Palace, w Élysée-Matignon albo odwiedzają przyjaciół Talii, przy czym nikt oczywiście nie wie, czym naprawdę zajmuje się Bruno; w ciągu dnia chodzą do kina albo siedzą w domu przy avenue de Suffren, oglądając filmy na kasetach VHS (*We rob banks!*), Talia zapisała się do fitness klubu, żeby utrzymać ciało w dobrej formie (a ciało ma jak marzenie), Bruno często udaje się na plac przed wieżą Montparnasse, żeby pojeździć na deskorolce, wszyscy mu się przyglądają, podchodzą bliżej, kiedy wykonuje jakieś figury albo zjeżdża po schodach, co to w ogóle za cudaczne wrotki? (Naprawdę by mnie ucieszyło – nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć – gdyby jakiś sześćdziesięcioletni czytelnik o fenomenalnej pamięci powiedział w tym miejscu: „Jak to? Więc ten facet na deskorolce to był Bruno Sulak? A z kim to ja wtedy byłem na Montparnasse? Z Zoé? A może z Antoinette...?”).

Talia jest zarazem pełna podziwu, ale i czuje się zazdrosna i trochę ją irytuje ten superzdolny gość, bez przerwy czymś zajęty. Czy jest coś, czego on nie potrafi? Gra równie dobrze w tenisa, jak w szachy, wie chyba wszystko o brylantach i sztuczkach magicznych, pilotuje helikopter, jak nikt inny tańczy rock and rolla, umie też szyć i skacze na spadochronie, no a teraz zjeżdża tyłem po schodach na deskorolce. Przez zwykłą skromność wyjaśnia jej, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, radzi sobie na desce, bo kiedyś sporo grał w hokeja. Za to Talia regularnie wygrywa z nim w scrabble. Bruno bardzo tego nie lubi, oj, nie lubi przegrywać. Od razu robi kwaśną minę i kończy się to zawsze gwałtownym zrzućciem wszystkich liter z planszy. Właściwie doskonale go rozumiem. Otóż

wkrótce po tym, jak poznałem Anne-Catherine (to znaczy osiemnaście lat po tym, jak Talia i Bruno spotkali się po raz pierwszy), zapytałem ją, czy nie zechciałaby zamknąć się ze mną na trzy miesiące z dala od ludzi w domku Veules-les-Roses, gdzie zamierzałem napisać swoją drugą powieść. A że nie mieliśmy nic lepszego do roboty poza pisaniem książki i kochaniem się (co jednak pozwala wygospodarować trochę wolnego czasu w ciągu dnia), graliśmy, aby jakoś mijały szare godziny, w jedyną grę towarzyską, jaką znaleźliśmy w szafie: w scrabble. Przekłęte scrabble. Niszczyła mnie przy każdej partii. Mnie, pisarza, rzecz nie do pomyślenia, mnie, człowieka pióra, wirtuoza słowa! Oczywiście, obrażałem się i zabawa kończyła się (nigdy się do tego nikomu nie przyznałem, Anne-Catherine jakby mniej dochowała tajemnicy, ale mi jakoś lżej) zmieceniem na podłogę wszystkich liter leżących na planszy. Dokładnie tak samo, jak w przypadku Bruna Sulaka.

W studiu Chez Bruno le tatoueur (to najstarszy zakład tatuażu w Paryżu, działający także i dziś, prowadzony przez monsieur Bruna od pięćdziesięciu dwóch lat, chociaż sam właściciel już teraz się nie udziela), przy rue Germain-Pilon, niedaleko place des Abbesses, Talia robi sobie na prawej łydce tatuaż przedstawiający małego skorpiona, znak zodiakalny Bruna, jej Bruna oczywiście. (Kiedy ją kłują, on chodzi po zakładzie i zatrzymuje się na dłużej z dosyć dziwną miną przed wiszącym na ścianie czerwono-zielonym proporcem Legii Cudzoziemskiej. Tamten Bruno tłumaczy mu, że to prezent od klientów i przyjaciół). W tym samym tygodniu, żeby jakoś podkreślić ciągłe postępy Talii w jeździe na motocyklu (zrobi prawo jazdy dopiero kilka lat później), Bruno kupuje jej potężnego harleya davidsona street – od tej pory zmieniać będą motocykle i samochody częściej niż buty, żeby ich kontakty z oficjalnym światem były jak najrzadsze.

Któregoś wieczoru w rosyjskiej restauracji przy rue Daru jedzą kolację razem z przyjaciółmi przyjaciół Talii, których poznali podczas weekendu nad morzem w Normandii. Mężczyzna, którego nazwiska będę się starał nie wymieniać (właśnie mi się udało), jest reżyserem. Potrzebuje pieniędzy, żeby zamknąć budżet filmu, który chce nakręcić. Przy deserze Bruno, który lubi kino, wręcza mu aktówkę pełną banknotów. Film zostanie zrealizowany.

W odległości tysiąca pięciuset metrów od tego miejsca, przy rue des Saussaies, Moréas wpadł na trop, który wydaje się wiarygodny. Dzięki ciągłej obserwacji rodziny, kontaktów Bruna i kontaktów jego kontaktów, aby spróbować to wszystko jakoś połączyć w całość, pojawia się wreszcie drobny sygnał, tak jak wtedy, gdy przechodzimy przez bramkę do wykrywania metalu. Młoda i ładna dziewczyna, urodzona w Jurze, którą przesłuchiowano właściwie całkiem przypadkowo, wyznała aksamitnym głosem, że niebawem będzie mogła mu opowiedzieć bardzo interesujące rzeczy. Potrzebuje jeszcze trochę czasu, ale

widziała Bruna w klubie nocnym w towarzystwie ładnej, wysokiej brunetki, prawdopodobnie jakiejś modelki. Już niedługo będzie mogła dorzucić coś więcej do tego zeznania.

Marcelle i Stanislas nie mają już sił, żeby dalej dniem i nocą harować w hotelu Pharo. Starzeją się, dzieci dorosły, odpowiedzialność za nie jest mniejsza, oni sami nie potrzebują dużo pieniędzy, opuszczają więc Marsylię, aby wreszcie móc odpocząć w domu w Jouques, który tak mozolnie remontowali. Bruno cieszy się z ich decyzji, zasłużyli na to, ba, nawet bardziej niż zasłużyli, wreszcie nadszedł czas, aby trochę odpoczęli. Jesienią, pomimo ryzyka, z którego zdaje sobie sprawę, postanawia się z nimi zobaczyć, wpaść na moment i uściskać wolnych wreszcie rodziców. Talia oczywiście mu towarzyszy.

Jest październikowa noc, okropny ziąb na autostradzie A6, ogrzewanie w samochodzie włączone na maksa, Bruno śpi, prowadzi Talia. Nie trwa to jednak długo. Ze zmęczenia oczy się jej zamykają, otwierają, znowu zamykają, aż uderza w tył ciężarówki, skręca kierownicą za późno, budząc się, samochód obraca się gwałtownie tyłem do przodu, Bruno uderza głową w szybę, Talia krzyczy, samochód nadal się kręci w sposób niekontrolowany wokół własnej osi, aż wreszcie uderza z hukiem w barierkę bezpieczeństwa. Przez trzy sekundy milczą, nie ruszają się, patrzą na siebie, nic im się nie stało, tylko Bruno nabił sobie guza. Ale za to bmw nie nadaje się już do niczego. Ciężarówka zatrzymała się dwieście metrów przed nimi. Bruno całuje Talię, głaszcze ją po włosach:

– Nie mogę tu zostać. W porządku? Dasz sobie radę? Poradzisz sobie beze mnie?

Wie bowiem doskonale, że to już nie to samo co w czasach napadu na supermarket Montlaur w Lattes, kiedy dostał mandat za przekroczenie prędkości i przyjął go tak, jakby wręczono mu bukiet kwiatów. Jego zdjęcie wisi teraz prawdopodobnie we wszystkich komisariatach: jeśli teraz złapałaby go kontrola drogowa, musiałby chyba trafić na patrol złożony z samych ślepców, co raczej rzadkie na autostradzie, by mieć chociaż minimalną szansę, że nie wyląduje w ciągu najbliższej godziny w areszcie.

– Nie ma sprawy, uciekaj. Wezwę lawetę z telefonu przy autostradzie. Pospiesz się.

Bruno zabiera z tylnego siedzenia ich torbę podróżną, wysiada z samochodu i przeskakuje przez barierkę, wyrusza gdzieś przed siebie (zupełnie nic nie widać). Talia patrzy, jak znika w głębokich ciemnościach, zastanawia się tylko, czy uda mu się przed świtem znaleźć jakieś miasteczko lub wioskę, ale nie ma czasu się o niego niepokoić, bo on nagle zatrzymuje się, robi w tył zwrot i wraca do niej.

– Co ty robisz?

– Zostaję z tobą.

– No nie, daj spokój, chyba zwariowałeś, złapią cię.

– Zostaję z tobą. Będzie dobrze.

Pomoc drogowa i wóz policyjny nadjeżdżają pół godziny później, Bruno zdążył już wypełnić formularz oświadczenia o zdarzeniu drogowym i wściekły pokazuje teraz gliniarzom papiery, Bernard Antonini, zgadza się, trzeba trochę bardziej uważać, kiedy pan jedzie w nocy, bo następnym razem może pan nie mieć tyle szczęścia. Ich bmw zostaje załadowane na lawetę, sympatyczny mechanik podwozi ich do Valence, gdzie znajdują hotel na resztę nocy, nazajutrz rano wynajmują nowy samochód, żeby kontynuować podróż do Jouques. Bruno bierze sobie do serca ostrzeżenia swojego „gliniarza”, ale nie wierzy w przepowiednie szarlatana, jakim jest przypadek. Jadą zobaczyć się z Marcelle i Stanislasem. Być może kolejna okazja nie nadarzy się nigdy więcej. Spędzają u nich kilka godzin, po czym wyjeżdżają.

Pauline odeszła z radia RMC i zamieszkała w Paryżu przy rue du Ruisseau z mężem i córeczką Julie, która urodziła się rok wcześniej w grudniu. Chciałaby spotkać się ze swoim bratem, ale nie ma zbyt wielu złudzeń, gdyż wie, jak bardzo byłoby to skomplikowane. Ludzie Moréasa nie mogą być przecież zbyt daleko od jej domu.

Pod koniec tego samego 1981 roku Bruno i Talia korzystają z życia i mają rację. Któregoś ranka wyruszają helikopterem, sami, we dwoje w przestworzach, Talia nie wie, dokąd lecą, Bruno zabiera ją na obiad na lotnisko w la Ferté-Alais, do restauracji klubu lotniczego, dwie godziny wyjęte z lat osiemdziesiątych, pas startowy, awionetki, bywalcy klubu, scenografia jak dla Modiano, a potem powrót do Issy-les-Moulineaux.

Rodzice Talii przyjeżdżają, aby spędzić z nimi kilka dni w Paryżu (ona wynajmuje im pokój w hotelu, tłumacząc, że u nich jest za mało miejsca, chcieliby jednak zobaczyć, jak mieszkają, ale nie, straszny bałagan, nie da się, bardzo jej przykro), są pod wrażeniem Bruna, który jest tak inteligentny, obyty, uprzejmy, zabawny, wysportowany i do tego tak świetnie zna Paryż, zupełnie jakby się tutaj urodził. A miasto przecież takie ogromne. Jednak w absolutny zachwyt wpadają w Issy, kiedy zaprasza ich na pokład helikoptera Écureuil, Talia siada obok niego, zachwyceni rodzice zajmują miejsca z tyłu, a on proponuje im rundkę nad stolicą – no, prawie, bo jest to zakazane, ale on nie potrafi się powstrzymać – chociaż jest to dokładnie to, czego nie powinno się robić w jego sytuacji (zwierzyny łownej) – by nie ukraść odrobiny przestrzeni powietrznej, przywłaszczyć sobie tego, czego nie ma prawa wziąć, choć jest to niewidoczne: narusza (wariat) przestrzeń powietrzną centrum miasta. (Czuję dużą sympatię do Georges’a Moréasa, ale jakże wesoło wyobrazić sobie jego samego i jego ludzi, jak w pochmurne październikowe popołudnie szukają Bruna Sulaka, biegając po zatłoczonych ulicach, gdy tymczasem wystarczyło podnieść głowę).

Zawodowiec wchodzi na ekrany kin 21 października. Talia, Bruno i Steve są na pierwszym pokazie na Champs Élysées. Para jest dumna z przyjaciela, może nie

widać go zbyt długo na ekranie, ale jest świetny jako gliniarz, potężny, gorliwy i nad wyraz poważny, jakby szedł do pierwszej komunii – nawet jeśli wiedzą, że nieźle się bawi pod maską wzorcowego statysty z tym swoim rolexem na ręce. Może nie ma ich na tej sali, mam na myśli policjantów, ale w innych za to na pewno są. I wstrzymują oddech w trakcie końcowej sceny, przerażeni ekranową fikcją, przytłoczeni twardym, wyzywającym spojrzeniem Novicy Živkovicia.

Steve jest zakochany w młodej, wyniosłej Nadine, i to nie trochę, ale bardzo, przy czym nie przeszkadza mu to uganiać się za innymi dziewczynami (nie musi zresztą biegać jakoś szczególnie szybko, bo one niezbyt przed nim uciekają). Podobnie jak jego przyjaciel Drago i wielu innych Serbów (ale mówię to z sympatią, moi mili), dziewczyny nosi w swojej duszy, jest niezaspokojonym uwodzicielem, kocha je tak, jak mała kocha orzeszki ziemne. (Zresztą tak samo jest z Moréasem. Co oznacza, że w pewnych kwestiach można się jednak dogadać). Miki, który nie ma jeszcze szesnastu lat, już ucieka spod żelaznej ręki ojca, coraz częściej włóczy się ze swoim starszym bratem po mieście i służy mu za „sekretarza od dup”, jak wyraża się bez przesadnego romantyzmu Steve (ale jeśli pominiemy mój mało wyszukany wstęp, to chyba jest to raczej swoisty hołd dla Nadine, nieprawdaż?): zawiaduje więc jego sprawami uczuciowymi (pożądanie jest uczuciem, jak mi się wydaje – być może to popęd, ale wypływa on z uczucia braku, a jakże!), wszystko organizuje, jest pośrednikiem w kontaktach między Steve’em i jego kochankami, stara się, by się nie dowiedziały, jak się z nim skontaktować bezpośrednio, to taka drobna robótka, którą lubi i która pozwala mu być blisko swojego bohatera. Później także i on, jako prawdziwy Serb (a może jednak postawię wam jednego, co?), chociaż urodzony we Francji, uganiać się będzie za spódniczkami – w 1987 roku spędzi na przykład kilka namiętych nocy z kandydatką na Miss Alaska 1986, mieszkając w tym czasie na ranczo przyjaciela (brata owej Miss) i zajmując się jego końmi w Big Lake, niedaleko Anchorage (Miss Alaska, ranczo w Big Lake: tym razem Modiano nie wyciągnąłby chyba z tego zbyt wiele – dlaczego bez przerwy mówię o Modiano? – ale już taki Djian na przykład, na pewno stworzyłby arcydzieło).

Większość z tych „przejściowych” kochanek zgadza się na potrójne życie Steve’a (jego pożycie z Nadine, tajemniczy żywot na obrzeżach społeczeństwa, od którego stara się je trzymać najdalej, jak się da, i wreszcie współżycie od czasu do czasu w ich łózkach), nie wszystkim jednak to pasuje. Zwłaszcza pewnej młodej panience rodem z Jury nie spodobało się, że podziękował jej po trzech wspólnie spędzonych nocach, choć wręczył jej przy tej okazji pierścionek z brylantem od Clerca w charakterze prezentu pożegnalnego. Próbowwała się go ucześcić, zauroczyć aksamitnym głosem, ale bezskutecznie. Złość jej nie opuszcza. Nie chce go stracić, wałęsa się w okolicy miejsc, gdzie bywali razem. Poznali się pewnej wrześnie nocy w l’Aventure, klubie należącym do piosenkarki Dani (niegdyś była to

własność krwawych braci Zemmour), był wtedy z Brunem i Talią, a ci dwoje mocno się obejmowali. Może nie ma zbyt wielu atrakcji, kiedy się jest dzieckiem i mieszka w Jurze, dużo się myśli w samotności, patrzy się na owce, każda owca jest inna, jak sądzę, ćwiczy się pamięć, no nie wiem. W każdym razie ani przez chwilę się nie waha, kiedy Moréas pokazuje jej zdjęcia Bruna:

– Tak, to on – mówi niskim głosem. – A dziewczyna nazywa się Talia.

Talia i Bruno zostali zaproszeni na sylwestra przez małżeństwo, które mieszka przy rue Barrault, oboje bardzo lubią tych ludzi. Po południu, 31 grudnia, idą do sklepu Fauchona przy Madeleine, aby zakupić produkty, które pozwolą im godnie uczestniczyć w imprezie. W sklepie jest masa ludzi. Stają w kolejce, a kiedy przed nimi są już tylko dwie osoby, żeby inni nie niecierpliwili się, gdy przyjdzie już ich kolej, podchodzą do witryny, aby wybrać to, co będą chcieli kupić, i naturalnie mają zamiar za chwilę wrócić na swoje miejsce. Młoda kobieta, którą minęli, nie mówi nic, zrozumiała bowiem, o co im chodzi, ale z tyłu, opierścionkowany, stary, wypudrowany babsztyl w futrze odzywa się gardłowym głosem:

– Co za chamstwo, żeby tak wpychać się poza kolejką!

– Nie wpychamy się, proszę pani, tylko oglądamy – tłumaczy spokojnie

Talia.

– No jasne, myślałby kto! Nie jesteście w Monoprix.

– Dobrze, już dobrze...

Bruno jest jednak nastawiony znacznie mniej koncyliacyjnie. Z jednej strony nie lubi tych, którzy wpychają się do kolejki (patrz: Enrico Macias), i w związku z tym nie podoba mu się, gdy ktoś go o to niesłusznie posądza, z drugiej zaś strony nie podoba mu się ten wątek z Monoprix: nie dość, że ta paskudna ofutrzona i opierścionkowana ruina sądzi, że nie ma niczego bardziej wstrętnego niż Monoprix w kategorii najpodlejszych miejsc dla zwykłych zjadaczy chleba, co pozwala domyślać się, jakie są punkty odniesienia tej pani, jeśli chodzi o społeczeństwo, ale do tego wszystkiego, no co, to znaczy, że można się zachowywać jak świnia w Monoprix, wpychać się przed innych biedaków, ale nie wolno wpychać się przed bogatych u Fauchona? (Przecież nawet podczas napadu na Montlaur czy na Mammoutha Bruno był zawsze uprzejmy). Odwraca się więc w jej kierunku, patrząc wzrokiem najbardziej lodowatym z możliwych, oczami kalibru .357, i mówi beznamiętnym tonem:

– Zachowujesz się jak stara przekupa i masz jęzor jak oślizgła żmija. Zamknij się łaskawie, bo nic się nie dzieje.

Starucha złana wodą Lancôme robi się blada jak ściana, kłapie nerwowo sztuczną szczęką, nie jest w stanie przełknąć śliny, jeszcze chwila i wyrzyga zjedzone na podwieczorek ciastko. (Że niby jaki mam język?). Nie odzywa się już ani słowem, zamyka się w sobie jak szczeżuja. Talia patrzy na Bruna. Nigdy

wcześniej nie widziała go w takim stanie, takiego rozzłoszczonego.

Wieczorem jednak na przyjęciu przy rue Barrault jest znacznie milej, przynieśli ptifurki, *foie gras*, łososia, pastę z przegrzebków, risotto z truflami, ciasto z migdałami, szampana, atmosfera jest przyjemna i wesoła (jest ich sześcioro, dołączyła do nich jeszcze para znajomych Talii z południa Francji), a o północy Bruno przemieni się znowu na chwilę w Lorda Johna i wykona kilka magicznych sztuczek, wszyscy są zachwyceni, on, rzecz jasna, nie chce ujawnić, na czym te sztuczki polegają – stowarzyszenie Amicale Robert-Houdin nie darowałoby mu tego. Potem tańczą przy piosenkach z lat sześćdziesiątych, Bruno przypomina sobie, jak tańczył rock and rolla z Pauline, kiedy byli nastolatkami, trochę się wzrusza, szaleje z Talią na parkiecie, pije szampana. Potem dzwoni do rodziców, nie mówiąc im, gdzie jest, to jasne, przez ponad pół godziny rozmawia ze swoją matką (w końcu jest sylwester, policjanci na pewno sobie dzisiaj odpuścili). Bruno znowu nalewa sobie szampana, nie jest przyzwyczajony do picia, alkohol trochę uderzył mu do głowy, nie jest źle.

– Właściwie – oświadcza, wznosząc kieliszek, w którym widać piękne złote bąbelki – jednak nie, wydaje mi się, że nigdy nie mógłbym zostać gliniarzem. Wino musujące to nie dla mnie!

Wracają o świcie na avenue de Suffren, niech żyje rok 1982!

*

Przez pierwszy tydzień nowego roku pokazują Paryż znajomym Talii, co wieczór wychodzą i w ciągu ośmiu dni oglądają cztery spektakle: *Les 3 Jeanne*, *Ryszarda III*, *Mieszczanina szlachcicem*, a w niedzielę *West Side Story* w teatrze Châtelet – Leonard Bernstein i George Chakiris są na sali i dostają długie oklaski. Być może to „gliniarz” Bruna, tocząc z góry przegrany pojedynek z Moréasem, sugeruje mu, by cieszył się paryskim życiem tak długo, jak to jeszcze możliwe.

Ten rok zaczyna się dobrze również dla Georges'a Moréasa. Wyłazi z zatęchłej nory, oddycha pełną piersią, wreszcie odzyskuje swobodę ruchów: na skutek reakcji łańcuchowej przypominającej domino zostaje szefem OCRB, a to wręcz wymarzone dla niego stanowisko. Piękna historia wzajemnego podkopywania pozycji zawodowej kolegów (niektórzy policjanci nie mają ani klasy, ani zasad właściwych wielkim złodziejom). Najpierw wywalono Luciena Aimé-Blanca, który dopiero co został szefem 4. wydziału Centralnej Dyrekcji Policji Kryminalnej. Metoda pracy Aimé-Blanca polegała na trzymaniu się blisko bandytów, prowadzeniu śledztwa w terenie, niemal w sercu wszystkich zagmatwanych i poplątanych spraw, zakasaniu rękawów i wejściu po pachy w ten paskudny półświatek. Ten gatunek ludzi praktycznie dzisiaj nie istnieje (ostało się jeszcze może kilku kombatantów, takich jak moi przyjaciele, na przykład Onésiphore, nie wiedzieć czemu nazywany Pupuce, o którym napisałem co nieco w poprzedniej książce, i jego kumple, Albérick i Philémon – no dobrze, nie wygląda to na nazwiska gliniarzy z tego stulecia, ale przecież nie ujawnię ich prawdziwych danych osobowych – którzy spotykają się nie tylko z informatykami i komornikami, ale często przesiadują też w barach, to moi knajpiani koledzy), a już wtedy zaczęto ich odstawiać na boczne tory. Zwłaszcza gdy chodziło o wyrównywanie starych rachunków.

Aimé-Blanc korzysta z usług i jednocześnie chroni między innymi Jeana-Pierre'a Maïone'a-Libaude'a, byłego członka komanda OAS, który później będzie podejrzewany o udział w zamordowaniu Pierre'a Goldmana i antykolonialnego bojownika Henriego Curiela. Maïone-Libaude, zwany le Petit, i słusznie, bo to płotka, jest po prostu poszukiwany przez policję, bardziej lub mniej intensywnie, raczej chyba mniej dzięki Aimé-Blancowi, w związku z banalną sprawą posiadania broni. (Moréas przygląda mu się trochę bliżej przez jakiś czas, ale ostatecznie daje mu w końcu spokój: gatunek chroniony). A jednak któregoś ranka dopada go oddział specjalny do walki z gangami, zatrzymują go, przeszukują jego mieszkanie, wreszcie przekazują cały ten pasztet brygadzie kryminalnej (przez pewien czas Maïone-Libaude przebywa w więzieniu, gdyż trzeba jakoś uzasadnić tę przesadną gorliwość policji, a na koniec dostanie dwie kulki w łeb po wyjściu z więzienia, wyrok ten, według co poniektórych, został wykonany przez rozwścieczonych braci Zemmour). A całą tę policyjną historię wywołał jakiś bzdet, po prostu dwa lata wcześniej znaleziono u Maïone'a-Libaude'a kilka sztuk broni, a on nie stawił się przed sądem, żeby za to odpowiedzieć. Drobiazg, ale nie z punktu widzenia wymiaru sprawiedliwości. Bo brygada do walki z gangami to przecież Broussard, pamiętliwy Poil Autour. A w notesiku le Petita dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się numer telefonu

Luciena Aimé-Blanca. Wystarczyła krótka akcja medialna (dziennik „Libération” publikuje zdjęcie, które spadło jak z nieba, pewnie z rąk aniołów stróżów porządku publicznego, gdzie widać obu panów pijących coś w kawiarnianym ogródku), a już Aimé-Blanc, któremu przecież udało się rozwikłać z pomocą informatora sporo mocno zagmatwanych spraw, zostaje dyskretnie zesłany, jako parszywa owca, do dyrekcji SRPJ w Lille (a potem zostanie nadinspektorem gdzieś w Afryce). Jego miejsce zatem się zwalnia, wszyscy awansują o jedno oczko, a Moréas (który o nic nie prosił i mimo woli stał się szczęśliwym beneficjentem zmian) zajmuje miejsce Charles’a Pellegriniego na czele OCRB. Wreszcie Georges ma więcej swobody. Bruno zaś, który wszystko wie, chociaż nie ma matury, powinien zawsze pamiętać o zasadzie naczyń połączonych.

A jednak Bruno wydaje się niczego nie obawiać. W połowie stycznia podejmuje niesamowite ryzyko (musi ślepo wierzyć swojemu „gliniarzowi”, żeby nie zastanowić się nad tym wcześniej co najmniej piętnaście razy): idzie na obiad do Pauline, przy rue du Ruisseau. Pytał o nią matkę w wigilijny wieczór, a ona dała mu jej adres w Paryżu, puka więc do jej drzwi w sobotę w południe, przyjrząwszy się uprzednio dokładnie wszystkim zaparkowanym na ulicy samochodom. Rzecz jasna, ekipa Moréasa wie doskonale, że Pauline tam teraz mieszka, ale nie mogą bez przerwy pilnować jej domu, bo szanse na to, że Sulak się tam pojawi, są niewielkie. Dwaj policjanci stali na czatach przez pierwszy tydzień stycznia, po sylwestrowym telefonie Bruna do rodziców, lecz teraz obserwują budynek jedynie od czasu do czasu.

Bruno przyszedł na obiad sam, wie doskonale, że to jak gra w ruletkę (jeśli nie rosyjską, to przynajmniej polską), i nie chce zdekspirować Talii i wystawić jej na cel policji. Sam jednak uważa, że radość z ujrzenia siostry i siostrzenicy warta jest ryzyka. Pauline wpada w euforię – odwiedził ją brat! – jedzą i dyskutują przez półtorej godziny, on o wszystkim jej opowiada, ona się boi, przecież go kocha, po czym nagle Bruno wstaje raptownie od stołu i oznajmia, że musi natychmiast wyjść (jeśli dobrze się rozejrzeć, można dostrzec, że zostawił na stole receptę, którą pokazywał wcześniej siostrze, żeby poznać jej opinię – uważa, że lekarz, u którego był poprzedniego dnia z powodu powtarzających się silnych bólów głowy, zastosował w jego przypadku istic końską kurację). Pauline prosi, żeby został jeszcze przez chwilę, w końcu dwie minuty go nie zbawią, tak rzadko przecież go widuje, Bruno opiera się, mimo że chętnie by został, i wychodzi trzydzieści sekund po tym, jak wstał od stołu. Oczywiście nie mogą tego wiedzieć, ale założyłbym się o sporą kwotę, że policja zjawiała się na rue du Ruisseau w trzy minuty po jego wyjściu.

Dnia 21 stycznia 1982 roku późnym wieczorem Steve odwozi Talię pod numer 153 przy avenue de Suffren. Bruno został jeszcze w Élysée-Matignon, gdzie rozmawia z reżyserem, któremu kiedyś przekazał pękaty nesaser. Talia była

zmęczona. Macha na pożegnanie do Steve'a, który wraca do przyjaciela, ona tymczasem wchodzi do budynku. Siedząca trzydzieści metrów dalej za kierownicą czarnego mini coopera zaparkowanego na drugim pasie młoda kobieta widzi, jak powoli zamyka się za nią ciężka brama, po czym włącza światła w samochodzie. Być może uśmiecha się, jej uroda jest prosta i jasna, wygląda trochę tak, jakby urodziła się w Jurze.

Gdy ktoś się ukrywa, Bruno powtarza to każdego dnia, powinien unikać przyzwyczajień. Talia jednak jest tym z jego nawyków, którego za nic w świecie by się nie wyzbył, nie bardziej niż wspomnień albo lewej nogi. To nierozzerwalnie z nim związane przyzwyczajenie.

W piątek, 22 stycznia, wczesnym popołudniem Talia i Bruno wrzucają torbę podróżną z ubraniami i dużą ilością pieniędzy do bagażnika nowego audi quattro, pudel Charly zajmuje miejsce na tylnym siedzeniu i jadą po znajomych Talii na rue Barrault: wszyscy czworo wybierają się do Deauville. Bruno, opowiadając o nieoczekiwanym spadku, który rzekomo właśnie otrzymał, zaprasza towarzyszącą im parę na weekend do ekskluzywnego hotelu Normandy. Tam spacerują po wyłożonej deskami promenadzie, upajają się świeżym, a nawet rześkim powietrzem, potem znajdują schronienie w kasynie. Przy ruletce Bruno stawia stopy żetonów na czarne lub czerwone, ale szybko się nudzi, bo, całkiem logicznie, wszystko się po jakimś czasie równoważy i przestaje być zabawne, woli już raczej blackjacka. Mógłby oszukiwać – kiedy był jeszcze mały, rodzice zauważyli, że zapamiętuje wszystko, co zobaczy, mógłby więc liczyć i zapamiętywać karty wysuwające się z pudełka (tak jak po raz pierwszy zrobił to cztery lata wcześniej wielki i żaloszny geniusz kart Stu Ungar) – ale powstrzymuje się, bo w przeciwnym razie i to również przestanie być śmieszne (no i nie byłaby to fair play). Wygrywa kilka tysięcy franków (w niedzielne popołudnie trafia nawet trójkę, wprawdzie nie w kolejności, ale i tak to jego szczęśliwy weekend), para z rue Barrault, która postawiła pięćdziesiąt franków, wygrywa ich kilkaset, wszyscy doskonale się bawią, w niedzielny wieczór idą na królewską kolację z szampanem, wracają do Paryża późną nocą z głowami pełnymi szampańskich bąbelków i wielobarwnych żetonów.

Następnego dnia, w poniedziałek, 25 stycznia 1982 roku, Talia i Bruno, którzy kochali się po błądy świt jak księżna ze swoim księciem – jeśli chcemy pozostać w tej poetyce – wstają dosyć późno. Tuż przed południem Bruno ubiera się, całuje leżącą jeszcze w łóżku Talię i mówi jej, że jedzie do Boulazac, bo nagle zapragnął zobaczyć się z córką. (Jego „gliniarz” musiał się leciutko upić szampanem poprzedniego dnia, to zupełnie co innego niż musujące wino). Wrzuca kilka czystych ubrań do torby, którą wcześniej zabrał do Deauville, i schodzi z piątego piętra na dół.

Niecałe pięć minut później rozlega się głośne stukanie. Talia szybko wkłada

podkoszulek i szorty, podchodzi do drzwi, znowu słysząc bardzo głośne stukanie.

– Otwórz – mówi do niej spokojnym głosem Bruno.

Otwiera więc drzwi. Bruno stoi przed nią w otoczeniu pięciu czy sześciu policjantów ubranych po cywilnemu. Ludzie Moréasa, których powiadomiła wredna panienska rodem z Jury (dorwać Bruna to zadać ból Steve'owi), od trzech dni obserwowali budynek. Widząc, że gdzieś się wybiera, natychmiast skontaktowali się przez radio z szefem, żeby dowiedzieć się, czy mają go zatrzymać od razu, czy śledzić go dalej, w nadziei, że doprowadzi ich do ewentualnych współników. Przez dwie i pół sekundy Moréas się waha: wolałby dalej go śledzić, bo wie, że Bruno nie pracuje sam, ale też nie jest to zwykła płotka, a prokuratorzy z całej Francji byłiby szczęśliwi, gdyby mogli mu zadać parę pytań, Moréas zajmuje się tą sprawą od kilku miesięcy, jego ludzie, jak słyszy przez radio, wydają się nerwowi i niespokojni, gdyż ryzykowne byłoby pozwolić mu wałęsać się po Paryżu: zgarniają go więc (no, powiedzmy, że czas na decyzję zajął mu cztery i pół sekundy). Kiedy Bruno zobaczył, jak zbliżają się do niego idący ramię w ramię chodnikiem dwaj niemal identyczni goście, spięci i równie podobni do spacerujących piekarzy albo dentystów, co pletwonurkowie do tancerek z Moulin-Rouge, odwrócił się błyskawicznie i ujrzał naprzeciw siebie dwóch kolejnych skoncentrowanych przechodniów, zdążył jeszcze przeskoczyć nad maską samochodu, ale na środku avenue de Suffren powaliło go na ziemię, łapiąc wpół, dwóch ostatnich myśliwych. Nie szamotał się zanadto, dał sobie założyć kajdanki, kiwając głową. Nic wielkiego się przecież nie stało.

Talia cofa się, policjanci popychają Bruna do wnętrza mieszkania, każą mu bez zbędnych ceregieli usiąść na krześle, a Talii wskazują miejsce na kanapie (zrezygnowani, bo jakże mogłoby być inaczej, Bruno i Talia nie odzywają się, nawet Charly nie szczeka, siedząc w kącie, z filozoficznym spokojem obserwuje inwazję) i zaczynają przeszukiwać całe mieszkanie, zupełnie jak w jakimś teleturnieju. Zresztą gra nie jest bardzo skomplikowana, bo główną nagrodę może zdobyć pierwszy lepszy kandydat: znajdują rewolwer .357 Magnum, dwie sztuki Smith & Wesson, kombinezon motocyklowy, dwa kaski, fałszywe dokumenty na nazwisko Christophe Desbourges, Christophe Delagrange, Bernard Antonini (brakuje tylko papierów na nazwisko Éric Lambert, które Bruno zostawił u Steve'a) i Nathalie Bramberger, cały sprzęt niezbędny do ich spreparowania, prawdziwe dokumenty Bruna i Talii, pliki banknotów, wagę do ważenia brylantów, lupę do oceniania ich wartości i wreszcie aktówkę do ich przewożenia. Straszna łatwizna. Oj, poleje się dziś ostro musujące wino. (No może jednak szampan, w końcu Moréas nie jest gliniarzem takim jak inni).

Blondyn o twarzy chorego buldoga dotyka ramienia Talii, popychając ją lekko:

– Idź się ubrać, pójdiesz z nami.

Dziewczyna bez słowa udaje się do sypialni, widzi jednak, że buldog chce wejść razem z nią, odwraca się w jego stronę i piorunuje go wzrokiem:

– Nie no, bez przesady...

Policjant zostaje w korytarzu. Talia wkłada jeansy i sweter za pięć franków, który kupiła na wyprzedaży w sklepie niedaleko domu, bierze na ręce Charly'ego (wymizerowany buldog już się przymierza, żeby jej założyć kajdanki, ale zmienia zdanie), po czym wszyscy wychodzą, a syreny policyjne wyją aż do quai des Orfèvres.

Siedząc naprzeciw Georges'a Moréasa w jego biurze, Bruno przygląda się bez wrogości temu, który pozbawił go wolności:

- *Chapeau bas*, nie sądziłem, że mnie znajdziecie. Masz niezłych ludzi.
- Dzięki.

Niemal natychmiast, gdy tylko usiedli naprzeciwko siebie, rodzi się między nimi coś w rodzaju sympatii. Oczywiście, nie ma co przesadzać, bo króliki raczej nie tańczą walczyka z lisami (nawet jeśli niektóre króliki potrafią zająć za skórę rudym rywalom, czego Jimmy Carter doświadczył boleśnie na własnej skórze), ale jest to bardziej uprzejmość dżentelmenów (jakimi są), darzą się nawzajem szacunkiem, widzą w tym drugim inną wersję siebie samego, ich relacje są proste i szczerze, co więcej, staną się one niemal przyjacielskie. Jakże daleko jesteśmy od Świętego Georges'a-Jerzego walczącego ze smokiem-Sulakiem. W powietrzu czuje się wręcz lekkość i fantazję. „Ten Bruno Sulak to naprawdę zebra z klasą” – powie później Moréas (króliki, lisy, smoki, zebry – prawdziwa dżungla). Zresztą nie wiadomo, czy Moréas wydał jakieś specjalne zalecenia, ale ta dżungla jest całkiem znośna, ba, wręcz życzliwa: wszyscy policjanci z biura, nawet podczas przesłuchań, których wynik będzie decydujący dla stwierdzenia, czy ich zdobycz jest rzeczywiście cenna, zachowują się jak najbardziej przyzwoicie wobec Bonnie i Clyde'a, którzy nie używają przemocy. Z wyjątkiem czterdziestoletniej policjantki, która ma umieścić w celi Talię po jej przywiezieniu i nie potrafi oprzeć się chęci poniżenia jej podczas rewizji – brunetka o krótkich włosach i cerze świadczącej o permanentnych kłopotach gastrycznych, zapewne nie dość dobrze wychędożona przez pracownika poczty, amatora modelarstwa.

– A to, no jasne, kiedy się jest kobietą takiego drania, wiadomo, że nosi się niezłe ciuchy! – mówi poirytowana, biorąc do ręki sweter Talii, który kosztował pięć franków, po czym rzuca go na podłogę.

- On kosztował tylko pi...
- Zamknij się! Ściągaj spodnie!
- W porządku, nikogo nie zabiłam, więc może nie trzeba się tak do mnie zwracać.
- Zamknij się! Teraz majtki.

Po przeprowadzeniu rewizji, popychając Talię mocno w plecy, policjantka ładuje ją do cuchnącej celi razem z Charlym, tak jakby to były dwa bezdomne kundły, wrzucane do brudnej klatki.

- Już dobrze, spokojnie...
- Dla takich kobiet jak ty nie ma litości.

Do północy Talia siedzi zamknięta w celi razem ze spanikowanym i podekscytowanym Charlym, piesek wszystko dokładnie obsikuje (nawet dobrze

się składa, sama chciałaby to zrobić, żeby jakoś okazać sprzeciw wobec tej sfrustrowanej jędzy, ale sama nie ma odwagi, dobry piesek!), dostała chudą kanapkę za całodniowe pożywienie, zanim wreszcie zaczęli ją przesłuchiwać. Czterech policjantów zmienia się bez przerwy, żeby coś z niej wyciągnąć, wszyscy są spokojni, a nawet uprzejmi („Ach, z regionu Vaucluse? To z jakiej wioski pani pochodzi?”), ona jednak niczego nie zdradza. Jak dawno temu ustalili i wielokrotnie powtarzali z Brunem, tłumaczy im, że nie zna go za dobrze, że widują się tylko od czasu do czasu w nocy, ze względów, jak by to powiedzieć, fizycznych, że nie wie, czym on się zajmuje, owszem, widziała, że ma pieniądze, ale się nad tym specjalnie nie zastanawiała, a żadnej broni w ogóle nie widziała, bo nigdy nie przyszło jej do głowy, by popatrzeć, co leży w pokoju na szafie, tam, gdzie ją ukrył. A fałszywe dokumenty? Nathalie Bramberger? Chodziło tylko o kasyna, powiedział jej bowiem, że ma zakaz wejścia, bo coś tam podobno oszukiwał przy blackjacku i nie chciał jej w to wplątać, gdyby były jakieś problemy.

– Nie opowiadaj nam tu takich pierdół, dobrze? Bo grozi ci mimo wszystko pięć lat.

– Nie, zapewniam pana. Przecież nie mogę wam powiedzieć czegoś, czego nie wiem.

– A supermarkety? Nigdy niczego nie słyszałaś o supermarketach?

– Ależ nie, nigdy, niech mi pan wierzy.

Zwiedzeni jej wyglądem ślicznej laleczki, którą w zasadzie każdy młody człowiek o dobrym zdrowiu miałby ochotę przy okazji poznać nieco bliżej, w końcu zrobili to, czego się od nich domagała: uwierzyli jej. Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, zanim wróciła do celi, zapytali ją nawet, czy wszystko w porządku i czy nie obeszlili się z nią zanadto obcesowo albo brutalnie.

– My tylko wykonujemy naszą pracę, wie pani.

– Nie, w porządku, nie ma sprawy.

Cały ten czas Bruno spędza z Moréasem. Wszystko przebiega równie bezboleśnie, jak z Talią, tyle że, co oczywiste, choćby Bruno był jednocześnie Patrickiem Dewaere'em i Sarah Bernhardt, jego rozmówca nie uwierzyłby, gdyby powiedział mu, że nie ma nic wspólnego z jakimikolwiek supermarketami, a te spluwy na szafie na pewno zostawił w mieszkaniu Talii poprzedni lokator.

– Tak czy inaczej, zrobiliśmy cię na szaro, stary. Lepiej więc będzie, żebyś opowiedział o swoich wyczynach.

– OK. W zamian chciałbym cię prosić, abys mi oddał dwie niewielkie przysługi. Nie dręcz za bardzo Talii, ona nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. I druga rzecz, pozwól mi zatrzymać zegarek.

– Widzę, że to nie tandeta, jest wart co najmniej ze dwa albo trzy tysiąki. Gdzieżeś to zwinął?

– Kupiłem go na rue de la Paix.

Moréas myśli, a właściwie jest tego pewien, że Bruno kłamie i chce zatrzymać zegarek pewnie po to, by mieć za co przekupić strażników i uzyskać pewne korzyści, których konsekwencje mogłyby być szalenie przykre dla francuskiego wymiaru sprawiedliwości, a jednak zgadza się podjąć ryzyko. (Kiedy trzydzieści lat później potwierdzą, że Bruno naprawdę kupił tego piageta, Moréas ucieszy się, że wtedy mu zaufała, i być może pomyśli o nim ciepło).

– Ostrzegam cię tylko, jeśli się dowiem, że opchnąłeś go jakiemuś strażnikowi albo innemu więźniowi, by pomogli ci w ucieczce, to na pewno przestaniemy się kolegować.

– Nie bój się, przysięgam, że się go nie pozbędę. Zresztą wcale tego nie potrzebuję, żeby uciec.

– No pewnie...

– Założymy się?

– Ha, ha! Powodzenia.

– A tak swoją drogą, jak mnie znalazłeś?

– Tajemnica, sekret i hokus-pokus.

– Nie no, powiedz...

– Dobry policjant nigdy nie ujawnia swoich sztuczek.

– Rozumiem to. Z magikami jest podobnie. Ale jednak, mimo wszystko, chciałbym wiedzieć.

Trzydzieści lat później odpowiem Talii na to pytanie (mimo że wyglądam na kompletnie zielonego gościa, który nie ma bladego pojęcia o całej tej historii i zupełnie się nie zna na bandytyzmie ani na śledztwach policyjnych, jakoś sobie jednak radzę, rozwiązuję różne zagadki, jestem debeściak i zdolniacha), a ona z ulgą dowie się, że ten cios w plecy nie został zadany przez kogoś z ich otoczenia, choć nigdy nie chciało jej się wierzyć, żeby ktoś spośród ich bliskich mógł coś podobnego zrobić.

Z zegarkiem na ręce, uspokojony co do losów Talii, Bruno dotrzymuje umowy, no, w każdym razie z grubsza: przyznaje się do trzynastu napadów na supermarkety (na ogólną liczbę dwudziestu czterech czy dwudziestu pięciu, a więc do ponad połowy, to i tak jest fair play), poczynając od napadu w Albi w 1978 roku, za który bierze pełną odpowiedzialność, aby jak najmniejsza część winy spadła na Yves'a, który wciąż odsiadyuje karę. Przyznaje się do zgarnięcia trzech milionów franków w wyniku trzynastu napadów, podaje wszystkie szczegóły, których domaga się Moréas, i podpisuje zeznania dwiema rękami (ach te kajdanki...), ale odmawia podania nazwisk współników oraz jakichkolwiek informacji na ich temat, o tym nie może być mowy:

– Dotrzymałem słowa, przyznałem się do wszystkiego, tak jak chciałeś, ale jeśli o to chodzi, nie licz na mnie. To twoje zmartwienie.

Następnego dnia rano Talia dowiaduje się, że może opuścić areszt, czeka ją proces za współudział w nielegalnym posiadaniu broni, więc to pryszcz, a do tego czasu pozostanie na wolności. (Kiedy Moréas dowie się ode mnie, mistrza w zdobywaniu informacji albo żalosego, spóźnionego informatora, też trzydzieści lat później – ja w ogóle wszystko robię z trzydziestoletnim opóźnieniem, bo nie jestem z tych, co to działają na chybicka – że Talia mieszkała z Brunem i uczestniczyła we wszystkich napadach, użyje, jako uczciwy gracz, tego samego słowa, jakiego użył w stosunku do Bruna, kiedy spotkali się po raz pierwszy: „Ha, zrobili nas na szaro. I to nas, supergliny... Nieźle!"). Poprosi mnie o jej adres i pójdą razem na obiad, po trzydziestu latach, jak wyluzowani i bez żalu do siebie kombatanci). Zanim Talia opuści quai des Orfèvres, Bruno poprosi szefa OCRB o jeszcze jedną przysługę: przyznaje się do dwóch kolejnych napadów w zamian za kwadrans sam na sam z Talią. Nie ma sprawy.

Obejmują się mocno w ponurym pokoju, ale przynajmniej bez policjantów, wiedzą, że nieprędko znowu się zobaczą. Talii serce o mało nie pęknie, nie może uwierzyć, że zaraz zostawi go tutaj samego, wewnątrz tej potężnej maszyny, pośród trybów, śrub, tłoków, kół zębatach i zaworów policji, wymiaru sprawiedliwości i zakładów karnych. Jednak Bruno, przynajmniej na zewnątrz, wydaje się twardy, zdeterminowany i niepokonany. To on jest szefem. I zawsze nim był, na ulicach Marsylii, w Legii Cudzoziemskiej, a nawet z takimi twardzielami jak Drago i Steve. Także i tu, wewnątrz tej maszyny, to on pozostanie szefem.

- Idź już, pozwól mi działać, wszystkim się zajmę.
- Chcę ci jakoś pomóc.
- Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze.

Całuje go długo i wychodzi z pokoju całkiem rozbita. Odbiera Charly'ego i torebkę, Georges Moréas wychodzi, żeby się z nią pożegnać, Talia schodzi na dół. Na chodniku, pod numerem 36, czeka na nią jakaś mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna. Wieści rozchodzą się szybko – zwłaszcza w tych kręgach, mają po prostu krótszą drogę do pokonania. To Sabrina Mesrine, córka Jacques'a, którego Bruno nie darzył przecież jakimś nadzwyczajnym podziwem. (Talia mogła wykonać jeden telefon, więc zadzwoniła do Nadine, narzeczonej Steve'a, i rozmawiała z nią jak ze starą znajomą, jak gdyby nigdy nic. Młoda kobieta była w tym czasie akurat w towarzystwie Sabriny). Z poczucia solidarności proponuje Talii, że pomoże jej przejść przez ten trudny etap, a w każdym razie przez najtrudniejsze pierwsze chwile, pyta ją, czy nie potrzebuje pieniędzy, czy ma gdzie mieszkać. Wzruszona Talia dziękuje i prosi tylko, żeby była tak miła i zawiozła ją na avenue de Suffren. W samochodzie dziewczyna i córka wyjętych spod prawa rozmawiają, w niezbyt radosnych nastrojach, a potem Sabrina zostawia Talię pod numerem 153.

Zaraz po wejściu do mieszkania Talia dzwoni do swojej przyjaciółki z rue

Barrault, żeby zapytać, czy może po nią przyjechać i pomóc jej w przewiezieniu paru rzeczy, nie chce tu zostać, spędzi z nimi kilka dni, tak powiedziała policjantom, zanim wróci do rodziców, do Vaucluse – nie wolno jej opuszczać departamentu i będzie musiała zgłaszać się regularnie w komisariacie w Awinionie. Ledwie odłożyła słuchawkę, znowu rozlega się dzwonek. To Steve. Ten kamikaze powiadomiony przez Nadine wskoczył do samochodu, już jest tuż obok, całkiem blisko, zaparkował pod numerem 151, czeka, nieważne, że ryzykuje. Przysięgał, że najpierw jego trzeba będzie wykończyć, by dostać się do Bruna, jest wściekły (nie wie, że to sprawka jednej z jego byłych kochanek, chociaż on sam, rzecz jasna, nic tu nie zawinił). Talia schodzi na dół, obserwuje przez osiem czy dziesięć minut okolice budynku, drży cała jak linia wysokiego napięcia, po czym wsiada do jego samochodu. Jeżdżą w kółko po najbliższej okolicy, ona w tym czasie opowiada, co się wydarzyło od poprzedniego dnia. Steve zostawia ją na rogu ulicy i odjeżdża. Machina będzie miała z nim do czynienia.

*

Na szczęście Bruno zachował jeszcze w zanadrzu kilka napadów, bo przecież musi mieć co sprzedać, żeby dostać coś w zamian. Sprzedaje więc informację o dwóch innych supermarketach, dzięki czemu Moréas zdobywa punkty, a w nagrodę Bruno dostaje dwa nowe bonusy: po pierwsze, Moréas pali na jego oczach fałszywe dokumenty Talii wystawione na nazwisko Nathalie Bramberger urodzonej w Écaussinnes-d'Enghien, aby mieć pewność, że będzie sądzona wyłącznie za współudział w nielegalnym przechowywaniu broni; a po drugie, co zakrawa na żart, jeden z ludzi komisarza przekazuje Talii kupon z wygraną za trójkę na wyścigach konnych, zakupiony w niedzielę rano w malutkiej kolekturze PMU¹⁴ w Deauville, o którym zapomniał. Ściska rękę Moréasowi, kiedy ten się zgadza, i myśli wtedy, że nigdy tego faceta nie zapomni.

Do Paryża zbliża się mnóstwo policjantów i żandarmów przybyłych z różnych zakątków Francji. Wszyscy chcą zobaczyć Bruna, dopóki siedzi w areszcie. Prokuratorzy później zajmą się szczegółami w każdym z miast. Bruno będzie wszędzie bardzo oczekiwany i zaczną go wozić z miejsca na miejsce.

Policjanci przeprowadzają rewizje, gdzie tylko się da. Najpierw zjawiają się pod numerem 45 przy rue Barrault, tak jakby mieszkanie, w którym Talia zatrzymała się w Paryżu, podając jego adres policji, miało być wypełnione po brzegi bronią i brylantami. Jej znajomi są oszołomieni i zaskoczeni, Talia nie odpowiada zbyt obszernie na ich pytania, ale nie chce też przed nimi ukrywać prawdy, i tak przecież szybko dowiedzą się o wszystkim z gazet. Rewizja nic, rzecz jasna, nie daje, ale pozwala przynajmniej jednemu z ludzi Moréasa dotrzymać obietnicy złożonej przez szefa i przekazać Talii kupon z wyścigów konnych. Nigdy nie odbierze zresztą tych pieniędzy. Nazajutrz wraca do Bédarrides, miejsca, z którego wyruszyła.

Potem policja ląduje u Pauline na rue du Ruisseau. Zjawia się tam czwórka policjantów, w tym ta okropna jędra. Przewracają mieszkanie do góry nogami, nie mówiąc jej nawet, że Bruno został zatrzymany, a jedynie, że chodzi o coś, co ma związek z jego osobą. Pauline nic z tego nie rozumie, pozwala im przeszukać mieszkanie, na oczach małej Julie zaglądają do szuflad, otwierają szafy, przeglądają jej papiery, wczytują się w różne dokumenty osobiste, materiały z pracy, wreszcie znajdują receptę na nazwisko Bernard Antonini. Podnieca ich to jak niedźwiadki, które zwietrzyły miód. Kiedy jednak zaczynają grzebać w paczuszce listów, które zachowała, w tym listów od Bruna z czasów gdy był w Legii Cudzoziemskiej, ale także listów miłosnych od przeróżnych adoratorów, Pauline w końcu się denerwuje:

– Może już wystarczy, nie musicie chyba wszystkiego czytać...

– Kiedy się ma takiego braciszka, to lepiej siedzieć cicho! – szcęknęła frustratka, która najwyraźniej ma jakiś osobisty problem z Brunem albo z samym faktem istnienia takich facetów jak on. – Tak czy inaczej, przyznał się, że dzwonił do ciebie, widział się z tobą, więc pozwól nam wykonywać naszą pracę, nikt cię nie pyta o zdanie. – Pauline nie wierzy w ani jedno jej słowo, ale rozumie, że ma do czynienia z tępą babą w barchanowych gaciach, zatem woli się więcej nie odzywać. Biorąc jej milczenie za obawę albo uległość, ta wredna kłępa jeszcze bardziej podnosi głos: – A wiesz, co będzie, jak nie będziesz z nami współpracować? Wiesz, co się stanie? Zatrzymamy również twojego męża, a mała wyląduje w domu dziecka. Tego chcesz? Wysłać tę małą do domu dziecka?

Moréas nie aprobowałby takich chamskich zachowań, to pewne. Tyle że jest szefem wydziału, a nie tej grupy. Nie pochwaliby również pokazywania jej, gdy zatrzymano ją na dwadzieścia cztery godziny (Julie i jej ojcu policja pozwoliła zostać w mieszkaniu), fałszywego zeznania Bruna (szef nie odrzuca tej metody, bo nie jest pluszowym misiaczkiem, ale użycie jej wobec bliskich Sulaka, uczciwego bandyty, przeszkadza mu). I tak jak w filmie ma naprzeciw siebie dwóch

śledczych, z których jeden jest dobry, a drugi zły (podobnie jednak jak w przypadku Talii, będą uparci i oschli, bo na tym polega ich praca, ale przy tym są spokojni i powściągliwi, nie przekraczają dopuszczalnych granic). Pokazują jej zeznanie rzekomo podpisane przez jej brata, w którym przyznaje się, że podczas ucieczki pojechał zobaczyć się z nią w Monako – policjanci wiedzą o tym dzięki podsłuchom, bo Bruno, rzecz jasna, nic im nie powiedział. (W czasie gdy ona czyta zeznania, on siedzi sam w sąsiednim pokoju, przykuty kajdankami do grzejnika, też zupełnie jak w kinie, a dwaj gliniarze z prowincji, którzy go przesłuchiwali, zeszli na dół zjeść po kanapce). Pauline doskonale wie, że nigdy by się do tego nie przyznał, zresztą ostrzegła ją, kiedy wpadł do niej na obiad: „Nie wierz w ani jedno ich słowo, są gotowi zrobić dosłownie wszystko. I nawet jeśli jesteś pewna, że rozpoznasz mój podpis, nie wierz w ogóle w to, co ci pokazują”. Prosił ją tak samo jak Talię, że jeśli go zatrzymają, ma wszystkiemu kategorycznie zaprzeczać, a on już zajmie się resztą: nie chciałby, żeby rodzina musiała znosić konsekwencje tego, że on sam wykluczył się ze społeczeństwa. Pauline tego właśnie się trzyma:

– Przecież mówię, że nie widziałam go od czasu jego ucieczki z Albi. Chce pan, żebym zmyślała?

– Nie, chcę tylko, żebyś powiedziała nam prawdę. No bo co to zmieni? Przecież wiesz, że nie wsadzimy cię z tego powodu do więzienia.

– No właśnie, a skoro to nieważne, to dlaczego za wszelką cenę chcecie mnie zmusić, żebym to powiedziała? Przyznał się do wszystkich napadów, o które wam chodziło, więc co to zmieni, czy go widziałam, czy nie?

– Spokojnie. Pozwól, że to my zdecydujemy, czy to jest dla nas ważne, czy nie.

– Jak pan chce, ale ja go nie widziałam, i tyle.

– Przeczytałaś chyba jego zeznanie, co? Dlaczego miałyby nam opowiadać takie głupoty, jeśli to nie jest prawda?

– Nie mam zielonego pojęcia. Mówi pan, że to złodziej, więc może jest też kłamcą?

*

Pauline nie da się złamać i następnego dnia wyjdzie z quai des Orfèvres. Po tej krótkiej wizycie w komisariacie policji czekają ją ciężkie czasy. Poważny kryzys małżeński. Podłość ludzka. W końcu rozstanie się z ojcem jej córki, zrobi to zresztą z ulgą, wyjedzie z Paryża, aby zamieszkać razem z Julie w Tuluzie, gdzie Sud Radio zaproponuje jej pracę.

Bruno z kolei rozpocznie wędrówkę przez Francję, z jednego aresztu do drugiego, od jednego sądziego do drugiego, z jednego pociągu do drugiego. Najpierw więc odstawiają go do Clermont-Ferrand, potem do Lyonu (wchodząc do celi, uśmiecha się: wreszcie znalazł mieszkanie, którego szukali w Lyonie z Talią,

kiedy spędzali z sobą pierwszy dzień, a do tego darmowe), a później jeszcze zawożą go do Montpellier. Wszędzie piszą o nim w regionalnych gazetach (w krajowych jeszcze nie za dużo, na razie to za mały przestępca): *Aresztowanie w Paryżu niebezpiecznego gangstera pozwoli być może wyjaśnić kilka innych przestępstw popełnionych w Périgord; Były żołnierz Legii Cudzoziemskiej zatrzymany w Paryżu: ukrywał się przez dwadzieścia miesięcy, zgromadził łup w wysokości trzech milionów franków; Czy zatrzymano mordercę Nanou?* Nie, w tamtym czasie niebezpieczny legionista patrzył na pupę swojej ukochanej na plaży w Cannes. Było to dawno temu.

(Idę do kuchni zrobić sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy Nescafé. Włączam France Info, woda się gotuje, słyszę, że żołnierzy Legii Cudzoziemskiej zrzucono w Timbaktu. Stało się to nocą, dwustu spadochroniarzy 2. REP z Calvi, a więc z pułku Bruna. Być może wczoraj któryś z nich przeskoczył przez mur, żeby zobaczyć się ze swoją żoną, z siostrą albo z kumplami na kontynencie. A teraz pewnie pyta sam siebie, co się z nim stanie).

Talia wraca do rodziców, ma ze sobą Charly'ego (którego im później ostatecznie zostawi, kiedy znowu wyjedzie – mają więcej szczęścia, gdy idzie o prezenty, niż Marcelle i Stanislas z małpką Miką). Nie pytają jej o Bruna, ale wydają się bardzo przybici. Po pierwsze dlatego, że bardzo lubią tego młodego człowieka, a po drugie, niepokoją się o córkę. Stara się robić dobrą minę do złej gry, żeby ich uspokoić, ale to nie takie proste. Udało jej się uzyskać przynajmniej tyle od młodego i przystojnego policjanta, którego zna, ponieważ zachodził czasami do Winstona, gdzie pracowała, i trochę ją podrywał, żeby przekonał swojego przełożonego, by ich nie przesłuchiwał, ponieważ nie mają z tym zupełnie nic wspólnego (nikt przecież nie wie, że latali nad Paryżem z gangsterem). Jednak z komisarzem z Awinionu sprawa przedstawia się znacznie gorzej. Nie lubi go, to brutalny i cyniczny facet, który do tego robi jej ten sam numer, na jaki jego paryscy kumple próbowali złapać Pauline: pokazuje jej fałszywe zeznanie podpisane rzekomo przez Bruna (równie dobrze mógłby twierdzić, że podpisał je papież), w którym przyznaje się do napadu na supermarket Casino w Orange we wrześniu 1980 roku. Miejscowym policjantom udało się ustalić, że spotykała się z Brunem tego lata, a jacyś mało wiarygodni świadkowie utrzymują, że widzieli ją w jego towarzystwie (Sulak miał rację, że zerwał z niektórymi ze swych marsylskich przyjaciół), jest nawet podejrzewana, i nie chodzi wyłącznie o intuicję policjantów, że pomogła w taki czy inny sposób w ucieczce S., z tego powodu będzie sądzona razem z Brunem i Dragiem. W spreparowanym zeznaniu Bruno, rzecz jasna, nie wspomina o jej obecności, jednak Talię mimo wszystko dziwi, że przyznał się do napadu na ten właśnie supermarket, to był ich pierwszy wspólny skok, we dwójkę, ale jest jeszcze zbyt naiwna, żeby spodziewać się tego rodzaju podstępów, a poza tym znajduje się w nienajlepszej formie, martwi się o Bruna i ogarnia ją przygnębienie, nie wie nawet, czy nie upłyną całe lata, zanim znowu będzie mogła zobaczyć się z mężczyzną, którego kocha, traci więc czujność i mówi, że tak, wiedziała o tym. Ale dodaje też, że nie wie o niczym więcej, bo sądziła, iż skończył z tym od tamtego czasu, i że owszem, coś jej o tym supermarkecie wspominał, ale nie podawał żadnych szczegółów. Komisarz podsuwa jej czym prędzej do podpisania to pozornie nieistotne zeznanie, następnie triumfalnie obwieszcza jej z miną obleśnego wieprza, że to był podstęp. Później, przed sędzią śledczym, Talia wycofa zeznania i zaprotestuje przeciwko tym odrażającym metodom („Oszukiwali mnie, okłamywali!”), lecz niewiele to zmienia.

Dzięki dwójce ludzi w średnim wieku, których poznała w czasach, gdy pracowała w Winstonie, a oni bardzo ją polubili i pragną jej pomóc, Talia znajduje pracę (są właścicielami kilku nocnych klubów w okolicy i powierzają jej prowadzenie baru z dyskoteką), ale też na nowo zaczyna chwilami cieszyć się

życiem: są właścicielami statku zacumowanego w Marsylii i zabierają ją często w niedzielę na krótkie morskie przejażdżki. Taka rozrywka dobrze jej robi, praca również, ale dni są długie i to nie wystarcza, aby stłumić żal, rozpacz i sprawić, by przestała myśleć dzień i noc o Brunie. Jedyna nadzieja w tym, że uda mu się uciec. Nadziei tej jednak towarzyszy porażający strach.

W kwietniu dzwoni do domu jej rodziców z Montpellier, gdzie znalazł się ponownie po dwóch latach, jakie upłynęły od zawodów w robieniu pompek z Yves'em, i gdzie niebawem odbędzie się proces w sprawie ucieczki S. – który ma być początkiem długiej serii procesów. Ona opowiada mu o swojej wpadce, czyli o zeznaniach w sprawie Casino w Orange, ma do siebie pretensje, jest jej przykro, on ją pociesza i uspokaja, mówi, że jakoś sobie poradzi, nie dadzą się przecież sponiewierać przy użyciu tak obrzydliwych metod. Będzie dobrze. Siedemnaście czy osiemnaście supermarketów, cóż to właściwie zmienia? To taka sama różnica jak siedemnaście czy osiemnaście ciosów w głowę. Mówi jej, że ją kocha, że musi być cierpliwa, prosi, żeby o nim nie zapomniała (to mu nie grozi), ale, rzecz jasna, nie wspomina ani słowem o ewentualnej ucieczce, wie przecież, że telefon jest na podsłuchu.

Na początku maja do starego więzienia przylegającego do Pałacu Sprawiedliwości w Montpellier wkracza wysoki i postawny adwokat w todze. Ma surowe rysy, kwadratową szczękę, patrzy ponurym wzrokiem. Sędziowie pewnie mu nie podskakują, a klienci nie żałują, że wybrali właśnie jego. Przypomina trochę tego gościa z filmu *Zawodowiec*, jak on się właściwie nazywa? Steve. Wchodzi po schodach. Pod togą ukrył dwa duże rewolwery i granat. Bruno, którego wszyscy tutaj bardzo lubią i nie brak mu spontanicznych sprzymierzeńców, przekazał mu daty i godziny spotkań z sędzią śledczym. Steve w czarnej todze zbliża się do biura, w którym odbywa się rozmowa.

Na korytarzu kręci się jednak sporo ludzi. Po pierwsze, dwaj uzbrojeni policjanci przed drzwiami wyglądają mało sympatycznie. Będzie musiał wyciągnąć obie spluwy już teraz, a nie wiadomo, z jaką spotka się reakcją, bo przecież pod każdym mundurem może kryć się niedzielny Pat Garrett. Odważny, ale i rozsądny Steve nie zamierza ryzykować życia (nie jest idiotą), a strzelanina to nie zabawa, nie będzie wyciągał broni, kiedy ma naprzeciwko dwóch skorych do strzelania gliniarzy. Zawraca więc, wiedząc, że zostawia za drzwiami przyjaciela, ale nie ma wyboru. Trzeba będzie poczekać na bardziej sprzyjającą okazję.

W dniu 14 maja Joëlle Mogensen zjawia się w biurze France Inter w Maison de la Radio. Dochodzi 12.00 w południe, jest już spóźniona, program, w którym ma uczestniczyć, pod tytułem *La fortune du pot*, prowadzony przez Pierre'a Douglasa, rozpoczął się o 11.30. Producent objeżdża ją z góry na dół. Wcześniej była piosenkarką, liderką zespołu *Il était une fois* (a także moją młodzieńczą miłością, o czym mało kto wie), ale od czasu, gdy grupa się rozpadła, wszystko się posypało. Przestali dla niej pisać słowa i muzykę tacy słynni goście jak Serge Koolenn czy Richard Dewitte (mam nawet jego autograf, przylepiłem go taśmą na ścianie tuż za moimi plecami – to jedyny autograf, o jaki kiedykolwiek kogokolwiek poprosiłem – bo grał w zeszłym roku w filmie krótkometrażowym Anthony'ego Normanda razem z moją żoną, Anne-Catherine, która grała rolę Joëlle, a kręcono go, co ciekawe, przy avenue de Suffren), śpiewa więc teraz wyłącznie jakieś proste, głupawe kawałki, sukces, jaki odniosła z *Il était une fois*, uderzył jej do głowy, stała się kapryśna, zbyt pewna siebie (przynajmniej pozornie), a jej spotkanie w lutym 1977 roku w paryskiej Olympii z muzykami Joego Dassina (jego zespół występował w pierwszej części programu), którzy ostro imprezowali i dawali w żyłę, nie wyszło jej na zdrowie. Od tamtego czasu pozostawiona na pastwę losu, zniszczona życiem i cierpiąca na depresję, ma już niewiele wspólnego z uroczą blondyneczką, która przyciągała światła reflektorów, pozowała przed stacją benzynową na okładce płyty niczym stokrotka przed oczyszczalnią ścieków i dostała apaszkę w prezencie od Micka Jaggera (w tamtym okresie zaśpiewała raz nawet w duecie z Enrikiem Maciasem, co świadczy o tym, że naprawdę świetnie jej szło), ładna, odważna, spontaniczna dziewczyna, która skoczyła na spadochronie w Courchevel, krzycząc ze szczęścia, gdy chłopcy z jej zespołu nie odważyli się wysunąć głowy z samolotu, śliczna, zawsze punktualna i radosna, tym razem pojawia się z półgodzinnym spóźnieniem w stacji radiowej France Inter, ponura i wycieńczona. Z niechęcią odwała cztery piosenki, w tym *Aime-moi*, płyciutką piosenczkę, która cztery dni później ukaże się jako singiel. Kiedy wykonuje piosenkę na żywo, trzykrotnie dopada ją atak kaszlu. Wychodzi z Maison de la Radio w złym humorze, nie mówiąc nikomu do widzenia, i jedzie spotkać się ze swoimi dwiema młodszymi siostrami, Katją i Natasią w Neuilly-sur-Seine. Spędza z nimi całe popołudnie, opowiada o swoich rozterkach życiowych i nieistotnych sprawach, rozstaje się z nimi około 18.00, mówiąc, że idzie na kolację z przyjaciółmi i że zostanie u nich na noc. Wpada na chwilę do domu i o godzinie 21.00 zjawia się u niedawno poznanych przyjaciół, których towarzystwa nie należałoby jednak polecać zagubionym piosenkarkom. U nich Joëlle trochę się zbiera w garść, włączają na pełny regulator płyty, w tym *Aime-moi*, którą im przyniosła, w stanie patologicznej euforii tańczy jak opętana przy pełni księżyca

(widziałem moją żonę, która tak tańczyła pod wpływem nie wiem już jakich psychotropów – trzy dni po tym, jak się poznaliśmy, gdy grała orkiestra cygańska – aż nogi odmówiły jej posłuszeństwa) i nagle musi przestać z powodu potwornego ataku kaszlu, który powala ją na ziemię. Całe towarzystwo czeka, aż odzyska siły, po czym zabierają ją na kolację do restauracji przy porte de Vincennes. Po kolacji wracają do domu zabawowych przyjaciół i o świcie wszyscy kładą się spać, padając, gdzie popadnie. Joëlle już nie obudzi się następnego dnia, przyjaciele znajdują ją martwą o godzinie 18.00 (w wyniku sekcji zwłok wykluczono przedawkowanie, a jako przyczynę zgonu wskazano obrzęk płuc powstały z nieznanых przyczyn – zapewne z powodu ogólnego wycieńczenia organizmu). Odeszła z tego świata w wieku dwudziestu dziewięciu lat.

Bruno patrzy na ściany swojej celi w więzieniu w Lyonie.

Dnia 25 maja obchodzę z przyjaciółmi osiemnaste urodziny (wreszcie jestem wolny, otwiera się teraz przede mną prawdziwe życie!) w Mèlèzes, restauracji sabaudzkich pijaczków naprzeciwko dworca w Sainte-Geneviève-des-Bois. Śmierć Joëlle nie popsowała nam mocno zakrapianego wieczoru, pewnie ledwo wzruszyłem ramionami, dowiadując się o tym tydzień wcześniej, od dawna nie myślę już o tej kiepskiej piosenkarce (którą kocham).

Bruno patrzy na ściany swojej celi w więzieniu w Clermont-Ferrand.

Rankiem 29 maja znaleziono martwą Romy Schneider w jej mieszkaniu pod numerem 11 przy rue Barbet-de-Jouy w Paryżu.

Bruno patrzy na ściany swojej celi w więzieniu w Montpellier.

Zdałem maturę! (Maturę o profilu C, a znam takiego jednego, który nie może tego o sobie powiedzieć – który nie może uczciwie tego o sobie powiedzieć). Matka przychodzi mi to obwieścić i pogratulować w Euromarché w Saint-Michel-sur-Orge, gdzie pracuję – każdy ma prawo robić to, co lubi – w dziale czekoladek i krakersów (ciasteczka z ementalerem, triangolini, monaco, minizza *e tutti quanti*), ubrany jestem w niebiesko-pomarańczową bluzę, która dyskretnie podkreśla moją naturalną elegancję, a wszystko po to, żeby zarobić trzy tysiące franków, które pozwolą mi spędzić wymarzone wakacje na północy Bretanii – no dobrze, pewnie są i tacy, którzy nie mogą się czymś takim pochwalić.

W piątek, 16 lipca, na końcu impasse du Moulin-Vert, w XIV dzielnicy, w odległości pięciuset metrów od Orléans Palace, Patrick Dewaere popełnia samobójstwo przed lustrem przy użyciu karabinku .22 long rifle, który podarował mu jego przyjaciel Coluche. Matka Patricka, Mado Maurin, stwierdzi, że zrobił to, ponieważ godzinę wcześniej, kiedy był sam w mieszkaniu, zadzwoniła jego żona Elsa, aby mu oznajmić, że już nigdy więcej nie zobaczy ich córki Loli. Przyjęto z grubsza tę wersję wydarzeń, nie pomyślawszy nawet o tym, iż nie da się ustalić, skąd starsza pani Maurin mogła o tym wiedzieć, skoro nie było żadnego dowodu, świadectwa, absolutnie niczego, co potwierdzałoby to poważne oskarżenie. Elsa

bowiem zawsze i kategorycznie zaprzeczała, jakoby miała wypowiedzieć te słowa, a Lola jej wierzy. Inne wyjaśnienia (nawet jeśli spontaniczny gest pozostaje spontanicznym gestem, a jedynie w cierpieniach z dzieciństwa należałoby szukać jego prawdziwej przyczyny) podawane przez bardziej obiektywnych bliskich Patricka Dewaere'a wydają się bardziej prawdopodobne. Otóż ktoś, kim kierowały szczególne intencje, podobno zadzwonił do niego, aby powiedzieć mu, że Elsa go zdradza. Zatelefonował więc do niej na Gwadelupę, prosząc, by wróciła, a ona odpowiedziała mu, że nie jest jeszcze gotowa. Kompletnie tym zdołowany próbował skontaktować się ze swoim dealerem (pewnie z góry tego żałując, gdyż odstawił definitywnie heroinę w dniu, w którym obiecał to Claude'owi Lelouchowi przed rozpoczęciem zdjęć do filmu *Édith i Marcel*, i udało mu się to – w przeciwieństwie do Joëlle), próbował więc kilkakrotnie złapać swojego dealera, daremnie jednak. Zdołowany, osaczony strzelił sobie w usta.

*

Pięć dni później w Montpellier rozpoczyna się proces w sprawie ucieczki Jeana-Louisa S. Talia będzie odpowiadać z wolnej stopy, ale, rzecz jasna, nie jest wcale pewne, czy nie zostanie skazana. Para, która czuwa nad nią od czasu aresztowania Bruna, znalazła dla niej dobrego adwokata, który spróbuje ją uchronić przed karą więzienia. Ma z nim wyznaczone spotkanie w kawiarni przed Pałacem Sprawiedliwości o godzinie 14.00, w środę, 21 lipca, w dniu rozprawy. Talia zjawia się tam ze swoją matką.

Wszyscy troje siedzą w kawiarnianym ogródku, Talia po raz ostatni powtarza, co ma powiedzieć sędziemu, gdy nagle tuż obok ich stolika powoli przechodzi jakiś potężny mężczyzna w garniturze, zmierzając do wnętrza kawiarni. Talia podnosi bezwiednie wzrok i rozpoznaje Steve'a. On zaś ruchem głowy daje jej znak, żeby poszła za nim. Talia przeprosza matkę i adwokata, mówi, że na chwilę musi ich zostawić, tłumacząc się pilną potrzebą.

Steve czeka już na nią w toalecie przy umywalkach. Całuje ją na powitanie, jej nie jest do śmiechu, gdy widzi go w tak eleganckim ubraniu, wydaje się spokojny, ale to raczej nieprzenikniony spokój zapowiadający burzę albo wybuch, tak jak przed walką, nie traci też czasu: cichym głosem wyjaśnia jej, że uwolni Bruna po procesie, a w każdym razie spróbuje, jeśli Bruna zabiorą z Montpellier pociągiem, a nie helikopterem, ale tego jeszcze nie wie, Bruno da mu znać podczas rozprawy (i znowu dzięki sympatii, żeby nie powiedzieć – chęci współpracy, którą zawsze wzbudza w swoim otoczeniu, udaje mu się przekazać wiadomość przyjacielowi). Rozmowa w toalecie trwa niecałą minutę. Oczywiście Talia nie widziała Steve'a, bo przecież w ogóle go tam nie było.

Kiedy wraca do stolika, zmieniła się na twarzy, ale nikt tego nie zauważa.

Rozpoczyna się rozprawa przed sądem, Bruno i Drago zasiadają na ławie

oskarżonych, zmieniają się kolejni świadkowie, klawisze z więzienia w Montpellier, właściciel kawiarni przy placu przed merostwem w Mende, który widział dwóch mężczyzn czekających przy motocyklu zostawionym w tym miejscu na dwa lub trzy dni (zapisał numer rejestracyjny), gdy jakaś kobieta zabrała ich stamtąd samochodem, potem zeznaje jedyny członek rodziny, któremu Bruno pozwolił się oglądać na ławie oskarżonych w otoczeniu żandarmów. Za barierką staje Stanislas Sulak, aby przedstawić zupełnie inny obraz syna aniżeli „niebezpiecznego człowieka o makiawelicznym charakterze”, jak go określi zastępca prokuratora. Wreszcie nadchodzi kolej na Talię, która przyznaje, że poznała Bruna mniej więcej w tamtym okresie, twierdzi jednak, że o niczym nie wiedziała, nawet o tej historii z supermarketem Casino w Orange, komisarz w Awinionie okłamał ją, wciągnął w pułapkę, i wymusił na niej zeznania, a ona była w tym czasie zbyt zrozpaczona i oszołomiona, żeby właściwie zareagować na to, co kazał jej zeznać, i jest przekonana, że Bruno nie brał udziału w tej ucieczce, bo wtedy, to jest na początku sierpnia 1980 roku, spędzali razem niemal każdy dzień.

Talia siedząca w pierwszym rzędzie po złożeniu zeznań (do barierki wezwano teraz jej matkę, chociaż biedaczka się tego nie spodziewała, czuje się niezręcznie, jest wyraźnie przestraszona, boi się powiedzieć jakieś głupstwo, płacze się w zeznaniach) uświadamia sobie, że Steve jest na sali sądowej, siedzi gdzieś za nią z tyłu, czuje to, ale za nic nie wolno jej się odwrócić. Tak długo jak go nie widzi, nie ma go tutaj. Jeśli wszystko miałyby się przez nią posypać, podcięłaby sobie chyba żyły. Nie spuszcza wzroku z Bruna. Nie widziała od miesięcy tej ukochanej twarzy. On patrzy w jej stronę, uśmiecha się do niej. Kilkakrotnie pociera prawą skroń, nie widziała u niego nigdy wcześniej tego gestu.

Drago podtrzymuje wersję o nieżyjącym już facecie o nazwisku Schuler, który zaoferował mu trzydzieści tysięcy franków i motocykl za uwolnienie jego przyjaciela S. Bruno Sulak nie brał w tym udziału. Ale nikogo właściwie nie przekonuje. Jego adwokat jest wyjątkowo żalony, mówi cichutko, nic z tego nie można zrozumieć, zasypia nawet dwa lub trzy razy podczas rozprawy.

Za to obrońca Bruna jest znacznie bardziej wojowniczy, ale ma trudne zadanie. Próbuje w każdym razie przekonać wszystkich, że jego klient, który lekko się jąka, gdy jest zdenerwowany, nigdy nie podjąłby ryzyka, żeby w czasie napadu zapytać, gdzie jest jego szwagier: rozpoznano by jego głos. No cóż... Przypomina, że S., którego po ucieczce ujęto, przyznał się do przekazania planu więzienia ludziom, którzy mieli umożliwić mu ucieczkę: na co byłby on potrzebny Sulakowi? Dobrze znał to miejsce, bo spędził tam przecież ponad rok. Zgoda. Teraz Bruno zabiera głos, wie, że trudno go uznać za aniołka, bo wlecze się za nim kilka śmierdzących spraw: pierwsza ucieczka z aresztu w Albi i blisko dwadzieścia napadów z bronią w rękę, nie sposób, by nie zwrócono na to uwagi. Wypiera się

wszystkiego, gdy chodzi o S., ale przyznaje się do reszty, mówiąc z pokorą:

– Być może nie wybrałem najwłaściwszej drogi. Powinienem był raczej malować albo pisać. Wegetowałbym na marginesie społeczeństwa, ale by mnie jednak tolerowano.

Ten żal, zatracone gdzieś po drodze zamiłowanie do sztuki, proste pragnienie bycia „tolerowanym” nie za bardzo wzruszają sąd (nie zebrano się tutaj po to, żeby oddać hołd Wiktorowi Hugo). Bruno i Drago dostają taki sam wyrok: trzy lata pozbawienia wolności. Talia dostaje osiemnaście miesięcy w zawieszeniu. Do tej pory nie była karana, cieszy się dobrą opinią (nie jest do końca pewne, czy akurat to ją cieszy najbardziej) i pochodzi z szanowanej rodziny (A Bruno może nie?), po prostu „padła ofiarą uczucia do Sulaka”. Dziennikarz z „Midi Libre” relacjonujący przebieg procesu konkluduje: *Sędziowie z pewnością uwzględnili jej nienaganną przeszłość oraz reputację. A być może również urodę?*

Po zakończeniu rozprawy Talia stara się podejść do Bruna, żeby z nim porozmawiać, dotknąć go, ale zostaje odepchnięta. Widzi, jak wyprowadzają go z sali w kajdankach. Wraca sama do domu rodziców, rozbita wewnętrznie i z sercem jak kostka Rubika, mogąc jedynie liczyć, że prawa skroń oznacza pociąg, stara się jednak nie myśleć za dużo o tym, co może się wydarzyć w pociągu. Powtarza sobie, że cokolwiek by się stało, nic nie będzie już tak jak dawniej i nigdy nie będzie się już swobodnie spotykać z Brunem, ot, tak po prostu, w dzień czy w nocy, na ulicach Paryża, jak beztroska, zakochana dziewczyna.

W pociągu Corail, który ma ich zawieźć do Lyonu (czeka ich kilka procesów w tym regionie), Bruno i Drago, skuci w kajdanki, zasiedli w przedziale drugiej klasy w solidnej eskorcie pięciu lyońskich żandarmów. Jest godzina 19.35, wyruszyli zaledwie przed pięcioma minutami, minęli właśnie Saint-Aunès i Mauguio, malutkie i malownicze wioski, gdzie nikt niczego nie podejrzewa – przed jednym z domów w wiosce Valergues, siedem kilometrów na północny wschód od Mauguio, Alain Rousset rozmawia ze swoim przyjacielem Jeanem-Michelem Raboutotem, stojąc obok jego Citroëna DS, chyba będzie ładna pogoda w ten weekend, zobaczysz się z Pascalem? Jeden z żandarmów wyszedł, żeby zerknąć na korytarz i sprawdzić, czy wszędzie jest spokojnie i bezpiecznie, wraca z nieco strapioną miną, w przedziale obok siedzi jakiś typ, wysoki i szczupły, blondyn z jasnoniebieskimi oczami, w typie słowiańskim, jakiś taki niewyraźny, odstrojony jak na Champs Élysées, wygląda podejrzanie. No dobrze, ale jest sam. (To Walter, młody, gotowy na wszystko Macedończyk. Steve siedzi w następnym przedziale na wprost jakiejś babci, on z kolei nie wzbudził w żandarmach żadnego niepokoju: jest przebrany za hippisa, ma na głowie perukę, koszulę w kwiaty, małe okrągłe okulary i słuchawki od walkmana na uszach. (W Paryżu skręcali się ze śmiechu z Nadine, kiedy przymierzał ten strój). Zanim wsiedli do pociągu, jeszcze na peronie, pozwolił sobie nawet, ufając swojemu

przebraniu, leciutko pchnąć ramieniem żandarma, gdy przechodził obok, aby Bruno go zauważył. „Sorki, man”). Nie ma powodów do szczególnego niepokoju, myśli sobie uczestniczący w wycieczce żandarm, trzeba jednak zachować czujność, pozostali zgadzają się z nim roztargnieni, Bruno zaczyna im bowiem opowiadać jakieś pieprzne historie o panienkach, które rzekomo przydarzyły się jednemu z jego znajomych z Élysée-Matignon, niesamowite numery wyczyniane przez bezpruderyjne panny, podejrzliwy żandarm też się śmieje, patrzy oblesnym, żalonym wzrokiem, jemu nigdy coś takiego się nie przydarzy, i cała piątka podskakuje wysoko na fotelach ze skaju, gdy drzwi się gwałtownie otwierają, a jakiś hippis strzela w sufit, żeby dać wyraźnie do zrozumienia, że nie przyszedł sprawdzać biletów.

Żandarmi, którym podetknięto pod nos cztery pistolety dużego kalibru, dwa w rękach hippisa, a dwa w rękach playboya, nie mają czasu, żeby hardo się postawić, chociaż jest ich piątka. Podekscytowany Bruno zakłada im ich własne kajdanki (wciąż ma swoje na rękach), Walter odbiera im pięć pistoletów MAC 50, parę dodatkowych kajdanek, wrzuca wszystko do sportowej torby na ramieniu, wreszcie Steve pociąga za hamulec bezpieczeństwa (robi to Steve, a nie dzielny kontroler biletów z SNCF¹⁵ w przyпыlywie obywatelskiego heroizmu, jak donosiły następnego dnia gazety). Stojąc, Bruno patrzy na Draga, który siedzi i kręci przecząco głową.

– Na pewno?

– Tak.

Życie z Mariką, z jednym lub dwojgiem dzieci, warte jest trzech lat więzienia.

Walter otworzył okno w przedziale pociągu (długi, wąski korytarz nie jest najlepszą drogą ucieczki, jeśli nie lubi się zabijać konduktorów) i wszyscy trzej wyskakują na tory. Są w szczerym polu, cztery albo pięć kilometrów od Lunel, widać najbliżej położone domy w Valergues, biegną więc w ich kierunku jak króliki w dniu otwarcia sezonu łowieckiego, zostawiają za sobą pociąg z ich przyjacielem Dragiem, który został w środku. Dwie pierwsze osoby, które spotykają na swojej drodze przed jakąś willą, rozmawiają obok citroena DS. Ostatecznie Alain Rousset i Jean-Michel Raboutot zdecydowali się pojechać do Pascala w najbliższą niedzielę, lecz ta przyjemna perspektywa zejdzie bardzo szybko na dalszy plan ich rozważań i zajęć. Ci nieszczęśni, którzy nic nie zrobili ani o nic nie prosili, widzą, jak podbiegają do nich trzej wysportowani goście, w tym jeden hippis, i przystawiają im do głów czarne lufy rewolwerów.

– Kluczyki od samochodu! – rozkazuje Steve.

Alain Rousset nie rusza się, to nie jego samochód (zresztą w ogóle nie ma jakoś ochoty się ruszać). Podobnie Jean-Michel Raboutot, który także się nie rusza – niesłusznie, bo Alain Rousset jednak odrobinę się poruszył, odruchowo, odwrócił

głowę w jego kierunku. Bruno, wciąż w kajdankach, rozumiejąc, że DS należy do Raboutota, powtarza rozkaz hippisa tonem, który nie pozwala przypuszczać, że to początek pięknej przyjaźni. Jednak Jean-Michel Raboutot oświadcza, zbijając ich nieco z tropu, że nie, nie odda im samochodu. Walter podchodzi do niego i zadaje mu silny cios kolbą w potylicę. (Nie bardzo to ładnie z jego strony, ale zdarzają się takie okoliczności w życiu, kiedy powinno się wyeliminować ze swojego słownika słowo „nie”.) Jean-Michel podaje kluczyki, co logiczne, po czym Bruno odwraca się w stronę Alaina Rousseta:

– A ty jedziesz z nami.

Zła nowina co się zowie. Ale nie ma wyboru. Alain siada z tyłu, Walter obok niego, zakrywa mu głowę jego własnym płaszczem i przystawia do boku rewolwer Smith & Wesson. Alain widzi się już martwym, myśli o córce i o żonie. Steve siada za kierownicą, zdejmuje perukę i okulary, Bruno zajmuje miejsce z przodu. Po mniej więcej dwudziestu minutach kręcenia się w kółko po małych drózkach, raz to gwałtownie hamując, raz zawracając, Steve, który nie zna okolicy i nie miał czasu, żeby opracować jakąś w miarę pewną trasę ucieczki, gdyż wszystko zdecydowało się w ciągu ostatnich kilku godzin, zauważa, że w baku DS-ki nie ma już prawie benzyny. Zamiast więc ryzykować, że rozkraczą się z powodu braku paliwa w samym środku Mauguio, gdzie właśnie się znajdują, zajeżdża drogę pierwszemu samochodowi, jaki zbliża się z naprzeciwka, a konkretnie fordowi, którym kieruje portugalski murarz Amaro da Cruz wiozący na tylnym siedzeniu swojego syna. Steve wysiada z DS-ki spokojnie, ale jednocześnie kieruje lufę w stronę przedniej szyby forda, za nim nadchodzą Bruno i Walter. Alain Rousset ma w tym momencie w mózgu ołów i wcale nie chce znaleźć się gdzie indziej: siedzi grzecznie na tylnym siedzeniu z płaszczem na głowie.

Amaro da Cruz również jest bardzo rozsądnym gościem: wysiada z forda, nie odzywając się ani słowem, w końcu chodzi tylko o samochód. Bruno spokojnym głosem prosi jego synka, żeby również wysiadł, co malec czyni, patrząc z widocznym zaciekawieniem na kajdanki. I wszystko odbyłoby się w tej rodzinnej i przyjemnej atmosferze, gdyby akurat nie przechodził tamtędy niejaki Alberto Rodriguez, typ, któremu nie robi się takich rzeczy: rozpoznaje swojego przyjaciela Amara, który chyba ma kłopoty (Alberto jest spostrzegawczy, jego szósty zmysł jest równie ostry, jak turecka brzytwa), i nie należąc do tych, którzy zostawiają przyjaciół na pastwę losu, nawet jeśli los dysponuje bronią dużego kalibru, podchodzi bliżej, chcąc interweniować (niezbadaana jest natura ludzka). Walter odpycha go stanowczo w kierunku Amara, na pobocze drogi, trzymając rewolwer Smith & Wesson w odległości piętnastu centymetrów od jego szóstego zmysłu, gdy tymczasem Steve robi dwa kroki w kierunku DS-ki i strzela w oponę, by upewnić się, że nie posłuży Albertowi Mściwemu za narzędzie zemsty. (Nazajutrz „Midi Libre” napisze: *Słyszał strzał. Na szczęście kula przelatuje tuż obok pana*

Rodrigueza). Siedzący z tyłu Alain Rousset jest tym razem przekonany, że jego życie na ziemi dobiega końca. Najwyraźniej nie trafili, nic bowiem nie czuje, ale zdaje sobie sprawę, że co się odwlecze, to nie uciecze, gdy zdejmują mu z głowy płaszcz i widzi przerażającą twarz Waltera, po części zasłoniętą na pierwszym planie przez czarny otwór lufy wycelowanej w niego broni. Jednak Macedończyk przyszedł tylko po sportową torbę z pistoletami żandarmów, której zapomniał.

Steve znowu siada za kierownicą i wyruszają w drogę fordem, tym razem bez zakładnika. Nie wolno im już popełnić żadnego błędu: jeśli natkną się na policję, wywiąże się strzelanina. Bruno, który wie, że w tej chwili rozstawiają już na pewno blokady, a nawet zauważa, daleko za nimi, przez tylną szybę samochodu, lecący w ich stronę niebieski helikopter, wpada na pomysł, który, bez przesady, można nazwać sprytnym: otóż jedynym miejscem, gdzie policjanci nie będą szukać uciekinierów z Montpellier, jest właśnie Montpellier. Pokręciwszy się trochę po wiosce, Steve obiera kierunek przeciwny do tego, w którym jechał pociąg wiozący Bruna. Żeby dopełnić dzieła, chociaż nie było to zapewne konieczne, Bruno każe mu się zatrzymać przy budce telefonicznej, skąd dzwoni na policję: zgłasza, że widział jakichś ludzi, którzy zajęli siłą cudzego forda, nie zapamiętał wprowadzić dokładnie, o jaki model chodzi, ale samochód pojechał na pełnym gazie w kierunku Nîmes.

W porządku, major Gatounès, który kieruje akcją poszukiwawczą, wszystko zrozumiał. Jego służby odebrały też inne zgłoszenie, od niejakiego Amara Cruza, który podał im niezbędne informacje dotyczące niedawno skradzionego mu samochodu: jest to ford granada w kolorze szarym, numer rejestracyjny 7169 RT 34. Ustawiono blokady, dwa helikoptery latają tuż nad ziemią między Lunel i Nîmes, a nawet nieco dalej, złoczyńcy nie uciekną daleko.

Na razie nie przynosi to jednak efektów, ale kilka godzin później, na spotkaniu z przedstawicielami prasy, których ta filmowa i kolejowa zarazem ucieczka mocno poruszyła, major Gatounès jest spokojny, wie, gdzie są zbiegowie, nietrudno się domyślić, że na pewno zaszyli się gdzieś w Marsylii, która jest „prawdziwym labiryntem”. Około dwudziestu śledczych przeczesuje miasto, zmobilizowano wszystkie oddziały żandarmerii na południu Francji. Bojowym głosem Gatounès uspokaja wszystkich zebranych:

– Zaangażowaliśmy wszelkie dostępne środki operacyjne policji!

Tymczasem Bruno zbliża się do Orleanu. Po wprowadzeniu w błąd policji ford zatrzymał się niedaleko Montpellier w warsztacie samochodowym przyjaciela Bruna i Steve’a, który prosił, żeby nie podawać jego nazwiska (nie ma sprawy, Charles). Trzema cięciami szczypców rozcina kajdanki na rękach Bruna. Potem porzucają samochód w jakimś zaułku (zostanie znaleziony następnego dnia) i spotykają się z młodą kobietą, która na pewno z zadowoleniem dowie się, że na potrzeby tej opowieści nadaliśmy jej imię Capucine. To ówczesna bardzo bliska

znajoma Waltera, który jest wielkim podrywaczem, tak jak wszyscy mężczyźni z tamtych stron (w tej dziedzinie Serbowie czy Macedończycy to właściwie jedno i to samo), bardzo zainteresowanym panienkami z dobrych domów, które można sprowadzić na złą drogę; ojciec Capucine jest znanym deputowanym i jednocześnie merem, o którym w tamtym czasie jest dosyć głośno. Tak więc Capucine przyjechała do Montpellier ze swoim niegrzecznym chłopcem, nie wiedząc za bardzo, co też on przygotowuje, i nie mieli zamiaru jej o tym informować, ale nie przewidzieli nagłego zwrotu akcji i przyspieszenia biegu wydarzeń (podejrzliwe spojrzenie żandarma rzucone w pociąg w stronę Waltera zmusiło ich do podjęcia działań w trybie pilnym – sądzili, że dojadą do dworca w Awinionie, gdzie zostawili samochód, wtedy Steve i Bruno wyruszyliby w swoją stronę, a Walter wróciłby do Capucine, uniknęliby w ten sposób wzięcia zakładnika i szybkiego pojawienia się w okolicy oddziałów nieustępliwego Gatounèsa). Jednak dziewczyna nie wzbudza zaufania: to raczej osoba, która sponiewiera się na amen w sobotę wieczorem, a w niedzielę podrepcze spokojnie na poranną mszę. Steve to czuje, jest wściekły, że Walter ją zabrał (i ma całkowitą rację: przerażona, że zostanie uznana za współniczkę, wyda ich wszystkich wkrótce potem), więc postanawia z nią zostać i dobrze jej wytłumaczyć, że ona o niczym nie wie (daremny trud, jak się okazało), podczas gdy Bruno i Walter wsiadają do niewinnie wyglądającego renault 5 grzecznej córce i mkną przez Clermont-Ferrand w kierunku Paryża. W czasie jazdy w samochodzie panuje napięcie.

Wczesnym wieczorem w domu rodziców Talii w Bédarrides dzwoni telefon. W słuchawce słychać głos podstępного komisarza z Awinionu. Pyta Talię, czy już wie. Ale o co chodzi? Jej narzeczony uciekł. Talia nawet się nie stara powstrzymać przed powiedzeniem tego, co ma ochotę powiedzieć:

– Super!

Wyraźnie zdenerwowany, ostrzega ją, że tak łatwo to nie pójdzie, że nie wywinie się tak po prostu, i każe jej poprosić do telefonu ojca. Tłumaczy mu taktownie, że natychmiast założy mu podsłuch, co zupełnie się nie podoba włoskiemu panu domu, który również wyznaje pewne zasady (tak samo jak chłopak zakochany w jego córce): jest u siebie, jego żona i on sam nie mają nic wspólnego z Brunem Sulakiem, to wbrew prawu, on prowadzi prywatne rozmowy, jak każdy, i nie ma mowy, żeby wszyscy policjanci w okolicy ich słuchali. Komisarz zmienia ton na bardziej pojednawczy, obłudny, zniża głos, mówi, że policja nie ma nic do zarzucenia ani jemu, ani jego żonie, interesuje go tylko ich córka, ale nie powinien był mu tego mówić. (Jest podstępny, ale raczej ograniczony).

W swoim biurze w Paryżu Georges Moréas nie potrafi powstrzymać uśmiechu. A może nawet po kryjomu bije brawo. Ten przedziwny facet, Sulak, wygrał zakład. Jako dżentelmen, komisarz, chcąc nie chcąc, musi się z tym jakoś

pogodzić: „Tak długo jak nie ma trupów, nic wielkiego się nie dzieje”.

Przez pierwsze dni pobytu w Paryżu, kiedy Steve jeszcze nie wrócił, a Walter wyruszył załatwiać inne sprawy (ma za zadanie pozbyć się pięciu pistoletów MAC 50 odebranych żandarmom, zostawi sobie jedną sztukę i podaruje ją później, chociaż nigdy nie potwierdzi tego policji, Anthony'emu Delonowi, poznał go przez Steve'a, ten zaś zwykł często odwiedzać nocą Marlène, niebrzydką siostrę niejakiego Marca Mila i była dziewczynę syna Alaina Delona – pewnego więc dnia Steve zabiera Marlène na obiad do swojego ojca i macochy, mając nadzieję, że ojciec zgodzi się obłożyć marmurem łazienkę w mieszkaniu tej pani, bo właśnie robi w marmurze, ale nic z tego nie wychodzi, Krsta i Kata nie zapalali do niej wcale większą sympatią niż do Nadine, no cóż, ich syn zadaje się z naprawdę aroganckimi dziewczynami), Bruno ukrywa się, wszystko się zmieniło, liczba ścigających go policjantów znacznie się zwiększyła, a od czasu dziwnego aresztowania na avenue de Suffren podejrzewa właściwie wszystkich, bo cynk mógł dać każdy. Wie jednak, że może z całą pewnością liczyć na Claude'a, z którym okradał automaty biletowe na dworcach: śpi u niego przez dwie noce. Potem przyjeżdża Steve, Bruno ukrywa się więc u niego przez jakiś czas, później znajduje mieszkanie w eleganckiej dzielnicy w zachodniej części miasta, wybiera kilka całkowicie pewnych kontaktów i pojawia się na mieście jeszcze bardziej prowokujący niż dawniej. Skoro tak wygląda sytuacja, trzeba przynajmniej mieć z tego jakiś ubaw. Moréas będzie się chciał zrewanżować za przegraną partię, to pewne, ale i Bruno nie ma wiele do stracenia, więc postanawia, że narobi dużo zamieszania i jeszcze więcej huk.

Jak można było przewidzieć, po udanej ucieczce z pociągu, mimo że miała miejsce niedaleko Montpellier, Moréas prosi, aby do śledztwa włączone zostało OCRB; jego ludzie znają zarówno przyzwyczajenia, jak i osoby należące do najbliższego kręgu zbiega, a poza tym mogą działać na całym terytorium kraju, co okaże się niezbędnym, ponieważ jest mało prawdopodobne, aby Sulak zdecydował się przejść na emeryturę i spokojnie dożyć swych dni w Mauguio albo w Lunel, myśląc sobie: skoro już tu jestem, to tu zostanę. Jednakże sędzia śledczy, któremu powierzono tę sprawę, ma tak rozległe horyzonty myślowe, jak małż: w porażająco błyskotliwy sposób powierza poszukiwania żandarmom z Montpellier i prosi Moréasa o przekazanie mu wszystkich informacji, jakimi ten dysponuje. Na całe szczęście małż wyjeżdża w sierpniu na wakacje, a Moréas, na podstawie nowego materiału dowodowego (wyznania Capu – *Les Confessions de Capucine*, pozostawiam tytuł bez zmian dla czytelników potrafiących to docenić), przekonuje jego zastępcę, by powierzył mu śledztwo, podobnie jak żandarmów (którzy przewróciwszy wszystko do góry nogami w okolicach Montpellier, na pewno nie będą mu bruździć). Dzięki zeznaniom pobożnej Capu oraz zmuśnionej pracy

w archiwach ludzie Moréasa identyfikują Steve'a, alias Radišę Jovanovicia, jako drugoplanowego aktora występującego w filmie *Zawodowiec*, oraz Waltera (temu panu zostawimy tutaj przydomek, tak chyba będzie lepiej), jako tych dwóch, którzy pomogli Sulakowi ponownie zejść z utartych ścieżek.

W tym samym czasie Bruno włóczy się samotnie (widuje Steve'a najczęściej wieczorem i jeśli się da, to nie na ulicy) po eleganckich dzielnicach Paryża, spaceruje po Champs Élysées, avenue Montaigne, rues Royale i Saint-Honoré... Widzi naprawdę ładne rzeczy na wystawach. Dziki kot przechodzi stopniową metamorfozę. Powoli przeobraża się w pirata.

Któregoś popołudnia, kiedy tak w okolicach Madeleine wędruje sobie niczym esteta od jednego sklepu jubilerskiego do drugiego (sporo tam turystów, a zwłaszcza Japończyków, ale ci nie zwracają na niego w ogóle uwagi, interesują ich raczej Dior i Chanel, Hédiard i Fauchon, stare kamienie i ładne paryżanki), Bruno zatrzymuje się przed sklepem Ruben et Heurgon, pod numerem 15 przy rue Royale, niedaleko Maxima. Podziwiając nadzwyczaj eleganckie zegarki, przychodzi mu do głowy następująca refleksja: „Niezależnie od ceny zegarka, godzina pozostaje wciąż ta sama. Będę kradł więc to, co w zegarku zbędne, a mianowicie złoto i brylanty”.

Wchodzi do sklepu i prosi, aby pokazano mu pierścionki, chce zrobić niespodziankę żonie. Podczas gdy młoda sprzedawczyni szuka czegoś, co mogłoby mu odpowiadać, Bruno rejestruje w pamięci wszystko, co widzi: tylko dwoje pracowników, sklep niewielkich rozmiarów, tylko jedna kamera, witryny z dużą ilością towaru i do tego łatwo je otworzyć, wszystko wygląda znakomicie. A co do pierścionka, to jeszcze nie jest zdecydowany, ale na pewno tutaj wróci. Sprzedawczyni uśmiecha się do niego, jest ładna.

Talia marnieje w oczach w domu rodziców w Bédarrides. Znalazła, i owszem, pracę w kawiarni Les Copains d'Abord, gdzie każdego wieczoru leci muzyka, pracuje tam od czasu do czasu, zwłaszcza gdy za bardzo się nudzi. Myśli często o życiu, jakie prowadziła jeszcze rok temu w Paryżu, restauracje, le Palace i Élysée-Matignon, teatry i weekendy w Normandii. Zastanawia się, co się z nią tutaj stanie, co robi Bruno, kiedy ona ogląda telewizję w salonie albo idzie do kawiarni z koleżankami z dzieciństwa. Czeką na wiadomości od niego, odkąd się obudzi aż do momentu, w którym gasi wieczorem lampkę przy łóżku, wiedząc, że nie bardzo może na to liczyć, bo skończyć się to może tym, że znowu założą mu kajdanki. Czuje, że jest obserwowana, kilka razy już zauważyła w pobliżu domu rodziców (stoi nieco na uboczu, po drugiej stronie autostrady) jakichś facetów, którzy zasadniczo nie mają w tym miejscu nic do roboty. Pod koniec sierpnia wyjechała na kilka dni do Niemiec z przyjaciółką, której brat tam mieszka: już trzy godziny po jej powrocie do domu policjanci stukają do drzwi, żeby zapytać, co dokładnie tam robiła, i poprosić o dane brata koleżanki w Niemczech.

Właściwie straciła już nadzieję, ale niesłusznie: jeszcze w pierwszej połowie sierpnia, tuż przed południem, dzwoni telefon. Odbiera jej matka, mówi „Halo?“, a potem milczy przez kilka sekund, aż wreszcie podaje słuchawkę córce. Rozpoznała głos Bruna, który się nie przedstawił.

- Cześć, la Grande.
- Ach, cześć.
- Co u ciebie?
- Jako tako, owszem, a u ciebie?
- Też jakoś leci. Co robisz dzisiaj po południu?
- Nie wiem jeszcze, chyba nic specjalnego.
- Masz ochotę się czegoś napić?
- Eee, jeśli chcesz, zgoda. Gdzie?
- Hm, tam gdzie zawsze. Za pół godziny, może być?
- OK, tylko że...
- Przyjedziesz samochodem?
- Dobrze, w porządku.
- No to świetnie, całuję cię, to na razie.
- Pa, do zobaczenia.

Kiedy Talia odkłada słuchawkę, czuje, jak trzęsą jej się nogi. Nic nie rozumie. Co znaczy „tam gdzie zawsze?”. Nigdzie przecież razem nie bywali w okolicy. Może chodzi o kawiarnię przy dworcu, przed którą umówił się z nią po raz pierwszy, wtedy o 7.00 rano, przed wyjazdem do Paryża? Bruno Sulak miałby się pokazać przed dworcem w Bédarrides? Chyba do tego stopnia nie zwariował. Jedyne bar, w którym kilka razy spotkali się w okolicy, to ten przy rue Boudouresque w Marsylii, gdzie czasami szli rano na gorącą czekoladę. Ale w tym przypadku nie powiedziałaby „za pół godziny”, wie o tym, wiedzą o tym oboje, że nie zdążyłaby tam dojechać. Mijają kolejne minuty, Talia miota się, nie może nic wymyślić. Zobacz się z Brunem. Już za kwadrans. Jeśli będzie wystarczająco inteligentna, żeby rozwiązać zagadkę. Inaczej nic z tego.

Wychodzi z domu, nie mając jeszcze pomysłu, co zrobić, ale już czas, czuje się trochę głupio, boi się, że nie stanie na wysokości zadania i nie zrobi tego, czego on od niej oczekuje, nie jest w stanie spokojnie myśleć, otwiera bramę, wsiada do samochodu matki i rusza w kierunku centrum miasteczka, w stronę dworca, tak na wszelki wypadek upewniwszy się, że w zasięgu wzroku nie ma żadnego podejrzanego pojazdu (albo wręcz przeciwnie, ostentacyjnie rzucającego się w oczy) w pobliżu domu rodziców. Jest pusto.

Nie wie, dokąd jechać, ale przed przejazdem pod autostradą zauważa w tylnym lusterku coś, co przypomina białą simcę. W myślach zaciska kciuki, a przy okazji także palce stóp, oby to było to: simca mruga do niej dwa razy światłami. Talia zwalnia, daje się wyprzedzić, zza kierownicy uśmiecha się do niej

Bruno, ma jakiś dziwny filcowy beret na głowie.

Zatrzymuje się kilometr dalej na pustej uliczce, gdzie nie ma żadnych sklepów ani kafejek, bo wszyscy w Bédarrides wiedzą, że Talia dostała wyrok osiemnastu miesięcy więzienia w zawieszeniu i że niebezpieczny złoczyńca, którego jest partnerką i współniczką, właśnie uciekł z więzienia. Parkuje tuż za nim, on daje jej znak, żeby wsiadła do simki.

Otwiera drzwi od strony pasażera i pomimo emocji nie może powstrzymać się, żeby nie wybuchnąć śmiechem: jest ubrany jak niedzielny malarz dla turystów, w obszerną bluzę, spodnie z grubego sztruksu i wielki beret w stylu malarzy z Montmartre'u. Wsiada do środka i obejmuje go mocno, ściskają się i całują, nie dotykali się od 26 stycznia, kiedy Moréas zostawił ich samych na kilka chwil w malutkim pokoiku przy quai des Orfèvres, więc chyba nie ma sensu opisywać tego na trzech stronach, żeby zrozumieć, co w tym momencie czują.

Wynajmują pokój w hotelu w Awinionie, niecałe pięćset metrów od biura podstępnego komisarza, który pewnie opracowuje w tym momencie plan, żeby przyskrzynić tę małą dziwkę, spędzają tam popołudnie, wieczór i noc, w ogóle nie śpiąc, kochając się i rozmawiając. Talia zadaje mu dużo pytań, niepokoi się o niego, prosi go, by był ostrożny, chce się dowiedzieć, gdzie i jak mieszka (na razie Steve daje mu pieniądze), co zamierza zrobić – czuje, że jest teraz jeszcze bardziej zdecydowany, by przystąpić do działania, pójść na całość, że buntuje się jeszcze bardziej przeciwko normom społecznym, forsie i hipokryzji, że jest gotowy to wszystko rozwalić. Mówi jej, że zabierze im to wszystko, co się świeci.

Nazajutrz późnym popołudniem zostawia ją przed wjazdem do Bédarrides, być może policjanci obserwują jej samochód, po czym odjeżdża, obiecując, że niedługo pojawi się znowu. Uzgodnili też kilka strategii, żeby się bezpiecznie spotykać.

Dnia 2 sierpnia, odwiedziwszy poprzedniego dnia po raz drugi sklep jubilerski Ruben et Heurgon, gdzie młoda sprzedawczyni go rozpoznała i wcale nie wydawała się niezadowolona, widząc go ponownie (powiedział jej dla żartu, że ostatecznie nie jest pewien, czy podaruje jeden z tych pięknych pierścionków swojej żonie, bo zastanawia się, niestety, czy nadal coś do niej czuje – co, rzecz jasna, nie doprowadza miłej sprzedawczyni do łez), Bruno parkuje motocykl kupiony okazjnie po powrocie z Bédarrides i zostawia go na chodniku przy rue Royale, dwadzieścia metrów od wejścia. Po kilku chwilach dołącza do niego Steve i razem kierują się do jubilera.

Chcąc mieć pewność, że nie dadzą się wyrolować paserom, przekazując im w pośpiechu zaraz po napadzie ukradzione kosztowności, Bruno postarał się tym razem znaleźć zawczasu odpowiednich „klientów”. Dzięki swoim różnym kontaktom w tak zwanych „wyższych sferach” (co zakrawa na cynizm), do których nietrudno się wkręcić w modnych klubach nocnych, gdzie przesiadują przy butelce szampana, ale także poprzez sieć kontaktów Steve’a, nie było z tym większych problemów: zebrał „zamówienia” od ludzi z branży jubilerskiej, od kupców z Francji, Japonii, Libanu, od osób prywatnych (dla których sam fakt zapłaty, wydania pieniędzy, odbiera tej pokątnie zdobytej biżuterii znamiona towaru kradzionego), a nawet od co poniektórych pozbawionych skrupułów kolegów po fachu tego, który zostanie okradziony – Bruno nie przejmuje się właścicielem okradzonego sklepu, bo wreszcie towarzystwa ubezpieczeniowe będą mogły zrobić to, za co tak sownie im się płaci: zwrócić mu pieniądze. Zresztą, aby uprościć sprawę, dotarł też do rzeczonych firm ubezpieczeniowych, na przykład do Lloyd’sa, i ustalił, że byłyby gotowe na wszystko, aby trochę zaoszczędzić, i z miłą chęcią odkupiłyby od niego część towaru. Z tym jest jednak ostrożny, tym razem z tego nie skorzysta, ale może zrobi to następnym razem. Cały ten, pełen hipokryzji, świat finansjery wywołuje w nim mdłości, ale skoro już w tym tkwi, jak wszyscy zresztą, lepiej będzie dostosować się do jego reguł. Można wręcz powiedzieć, że to właśnie dzięki takim ludziom ten świat się kręci, ale on to olewa, i ma rację, w końcu nic strasznego się nie stanie: bo na przykład, jeśli metody stosowane przez banki, dajmy na to oprocentowanie, prowizje bankowe, no, tego typu rzeczy, albo to, co robią na giełdzie różne hieny, wywołuje u co poniektórych mdłości, dlaczego niby mieliby żałować, że ktoś wykorzystuje jedną hienę, żeby zabrać pieniądze drugiej, skoro i tak zostają w ich rękach? Banki, hieny i ich metody istnieją, więc lepiej z tego skorzystać albo od razu zająć się hodowlą kóz gdzieś wysoko w górach. Bruno Sulak w sumie wykorzystuje jedynie chciwość parszywych łobuzów i okrada tylko pazerne towarzystwa ubezpieczeniowe. Na pewno nie jest święty. Ale święci są przecież w niebie.

Steve zatrzymuje się przed wejściem, ma ubezpieczać Bruna, który wchodzi do sklepu ze skórzaną torbą w ręce. Tym razem Sulak jest jak pirat podczas abordażu, na którego czekają nieruchome, migocące okręty.

Śliczna sprzedawczyni podnosi głowę, jej twarz się rozpromienia, chociaż zachowuje powagę, zajmuje się teraz parą klientów, nadzwyczaj eleganckim, siwowłosym panem w szarym garniturze i przepiękną, smukłą, młodą czarnoskórą kobietą, wyższą od niego o głowę, patrzącą z przejęciem na pierścionek z brylantem, który sprzedawczyni właśnie wsunęła jej na palec. W chwili gdy druga ze sprzedawczyń podchodzi do Bruna, ten wyciąga spod bluzy nowe magnum .357 i spokojnie wymierza w nią broń, bez gwałtownych ruchów i niepotrzebnej brutalności. Kobieta otwiera usta, jej koleżanka także zastyga w bezruchu – chociaż wydaje się nie tyle przerażona, co raczej zdziwiona i zaciekawiona. Powoli, jakby chciał je w ten sposób uspokoić, Bruno podaje im dwie pary kajdanek (jest daleko od Marsylii i nie udało mu się jeszcze znaleźć kajdanek na kciuki) i prosi, żeby założyły je sobie nawzajem, po to tylko, aby nie włączyły alarmu i nie próbowały uciec (co zmusiłoby stojącego na zewnątrz Steve'a do tego, by delikatnie nauczyć je ostrożności), ponieważ wie, że nie będą raczej próbowały rzucać się na niego – co do stojącej obok pary, nie ma najmniejszego ryzyka, mężczyzna wydaje się tak samo agresywny jak kubeczek jogurtu, a kobieta wpatruje się w Bruna wzrokiem, który nie ma nic wspólnego z lękiem czy obrzydzeniem. Nie spuszcza z niej wzroku, podchodząc do niej, aby delikatnie ściągnąć jej z palca pierścionek z brylantem, i gdy trzyma ją za rękę, widzi w jej spojrzeniu mieszaninę podniecenia, oczarowania i smutku: za kilka zaledwie sekund miała dostać piękny brylant. Potem prosi o klucze do witryny śliczną sprzedawczynię, która próbuje rzucić mu takie samo erotyczne spojrzenie jak obecna w sklepie klientka, podaje mu klucze, a on metodycznie napełnia torbę, zostawiając na wystawie najmniej wartościowe zegarki i klejnoty. Przed opuszczeniem sklepu idzie jeszcze do pomieszczenia na zapleczu, żeby zabrać kasetę z kamery, co pozwoli mu udoskonalić metodę działania i postawę pewnego siebie złodzieja, ostrzega też przy okazji czwórkę efemerycznych zakładników, żeby nie wybiegali od razu na zewnątrz w celu zaczerpnięcia świeżego powietrza, bo jego kolega przed sklepem jest trochę nieokrzesany. Gdy wraca do nich z zaplecza, przechodzi tuż obok klientki i dyskretnie wsuwa jej do ręki ów pierścionek z brylantem (nikt poza nimi dwojgiem niczego nie zauważył). Spojrzenie, jakie w tym momencie wymieniają, bez problemu mogłoby się znaleźć w najsłynniejszych filmach o miłości – biedna sprzedawczyni musi się czuć nieco opuszczona. Bruno wydobywa się z magnetycznego pola zmysłów, przeprasza za zamieszanie i dołącza do czekającego na zewnątrz Steve'a. W pirackiej torbie ma klejnoty warte dziewięć milionów franków, które sprzeda, rzecz jasna, za znacznie niższą kwotę.

Jeśli ta wysoka i piękna klientka nie pamięta dzisiaj, w roku 2013, tych kilku sekund wzrokowego zbliżenia, dam sobie odciąć nogę.

Mały Miki Živković (mały... nie zrozumcie mnie źle, ma dzisiaj blisko dwa metry wzrostu) obchodzi właśnie szesnaste urodziny. I chociaż na razie trzyma się go z dala od poważniejszych spraw, jednak coraz częściej pojawia się u boku starszego brata, pilnie śledzi kalendarz jego spotkań z najrozmaitszymi kobietami, widać go także w towarzystwie Bruna. Wieczorem w dniu urodzin obaj przyjaciele zapraszają go do Privilège, a Steve w prezencie wręcza mu złoty zegarek wart mniej więcej tyle, ile wynosi dwuletnia pensja robotnika. Od tego dnia Miki darzyć będzie piękne zegarki prawdziwą namiętnością, co zresztą nie przysporzy mu tylko i wyłącznie samych szczęśliwych chwil.

Bruno z kolei wysłał Talii skórzaną bluzę w paczce adresowanej do Copains d'Abord, baru, w którym ona pracuje. W kieszeniach jest cała masa biżuterii.

Kilka dni później jedzie samochodem na południe i zatrzymuje się na pasie bezpieczeństwa na autostradzie A7, w odległości mniej więcej kilometra od Bédarrides. Talia, do której zadzwonił ze stacji benzynowej, żeby zapytać ją, czy ma jakieś wiadomości od cioci Odette, wyszła z domu kwadrans wcześniej, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Poprosiła matkę, żeby jej towarzyszyła, aby w ten sposób rozwiać wątpliwości śledzącego ją być może policjanta, chociaż ostatnimi czasy policja najwyraźniej odpuściła nieco obserwację, bo przecież nic w tej zabitej dechami dziurze i tak nigdy się nie dzieje. Przeszły mniej więcej kilometr drogą biegnącą wzdłuż autostrady, po czym, wiedząc, że przyszły za wcześnie, schowały się, bo przecież nigdy nic nie wiadomo.

– Przez co ja muszę dla ciebie przechodzić...

Kiedy samochód Bruna się zatrzymuje, Talia całuje matkę, przeskakuje przez niewysoką siatkę przy barierce bezpieczeństwa i zajmuje miejsce obok swojego mężczyzny. Tym razem będą z sobą dłużej, trzy dni i trzy noce, w pięknym hotelu w Nîmes. Ostatniego dnia rano, kiedy jedzą śniadanie w łóżku, Bruno obwieszcza Talii, że po raz drugi podejmie próbę wyciągnięcia z więzienia Jeana-Louisa S. Jego dawny towarzysz z celi i partner do szachów przebywa teraz w areszcie śledczym la Talaudière, niedaleko Saint-Étienne, w miejscu, które ani nie jest olbrzymie, ani nie wygląda na fortecę nie do zdobycia. Zdaniem Talii trzeba być chorym, żeby próbować coś podobnego zrobić, już dwa lata wcześniej było to bardzo ryzykowne, do dziś trzęsą jej się nogi, a teraz, gdy wszędzie go szukają, czają się na niego za każdym rogiem, jest to równoznaczne z samobójstwem, ale wie doskonale, że mogłaby mówić przez trzy godziny, tupać nogami albo stawać na głowie, a i tak nie uda się jej go od tego odwieść. To powiedziawszy jednak, stwierdza, że nie można przeginać i oby to był ostatni raz.

Trzy dni po porannych croissantach w łóżku, w piątek, 12 listopada 1982

roku, Bruno, który jest sam, parkuje ciemnoniebieskiego peugeota 504 w uliczce prowadzącej do wschodniego skrzydła zakładu penitencjarnego (przy allée de la Liberté, tak, to nie żart), następnie o ustalonej z S. godzinie, w mgnieniu oka pokonuje ogrodzenie z siatki dzielące go od sześciometrowego muru okalającego budynek, a potem przerzuca na drugą stronę tegoż muru dziesięciometrową drabinkę sznurową, jaką widuje się na statkach (kazał ją wykonać specjalnie na tę okazję), oraz plastikową atrapę pistoletu (aby uniknąć odruchów mogących przynieść nieszczęście). Gdy tylko Jean-Louis S., który jest w tym czasie na dziedzińcu, widzi drabinkę, wspina się na ogrodzenie z siatki po swojej stronie, a w ślad za nim podąża dyżurujący klawisz z wytrzeszczonymi (jak sądzę) oczami, po czym Jean-Louis S. zeskakuje na ziemię tuż przy murze, chwytając plastikowy pistolet i celuje we wczepionego jeszcze w siatkę strażnika (ten zastyga w jednej chwili jak jaszczur), a potem uciekinier wchodzi na górę po drabinie. Kiedy już jest na szczycie muru i siedzi na nim okrakiem, rzuca klawiszowi pistolet, śmiejąc się:

– Mały prezent, żebyś miał na pamiątkę!

Schodzi jeszcze po drabince pozostałe trzy lub cztery metry, razem z Brunem pokonuje zewnętrzną siatkę i obaj biegną do 504-ki. Gdy tylko zostawili za sobą więzienie i wjechali na drogę departamentalną, Bruno wyjął przez okno koguta, wystawił go na dach i wcisnął pedał gazu do dechy. W ten sposób dojadą aż do Paryża (przemkną, nawet nie zwalniając, przez naprędce ustawioną blokadę, krótkim, szybkim gestem salutując stojącym policjantom – wiem, że to się wydaje zbyt piękne, ale niczego nie zmyślam, daję słowo uczciwego człowieka) i zjedzą wieczorem kolację w restauracji przy Champs Élysées, pijąc za zdrowie dyrektora więzienia, tak jak obiecał mu to tydzień wcześniej Jean-Louis, kiedy ten tłumaczył mu w swoim biurze, że z jego więzienia nie ucieknie nikt.

Śledztwem zajmuje się SRPJ z Lyonu, ale w Paryżu Moréas nie ma większych wątpliwości co do tożsamości organizatora tej ucieczki, wie, że Sulak jest wystarczająco odważny, aby spróbować zrobić to samo po raz drugi, po pierwsze dlatego, że jest lojalnym przyjacielem, a po drugie dlatego, że go to bawi. Słyszy, że ponosi go fantazja.

Tydzień później Bruno i Steve ruszają na motorze sprzed małego sklepu jubilerskiego Brecey, pod numerem 269 przy rue Saint-Honoré, mają w torbie złoto i brylanty o wartości ośmiu i pół miliona franków. Jediną sprzedawczynią w sklepie była pięćdziesięcioletnia kobieta, która natychmiast zrozumiała, że nie musi się obawiać tego dobrze wychowanego młodego człowieka, więc rozmawiała z nim, pomagając mu opróżnić półki w witrynie:

– Źle pan postępuje. Nie wstyd panu? Taki młody i taki głupi.

– Wiem, proszę pani, ma pani rację. Wiem, jestem głupi, że to robię.

Dnia 1 grudnia dwuosobowy gang wsiada na pokład samolotu lecącego do Cannes. Przed pierwszą wizytą w sklepie jubilerskim Ferret, w galerii Gray

d'Albion (przy rue des Serbes, zabawna sprawa), Bruno zmienia wygląd i przebiera się, wie bowiem, że jego zdjęcie pojawia się być może częściej na południu Francji niż gdzie indziej: zakłada więc okulary i sztuczne wąsy, klasyka wprawdzie, ale rekwizyty są wiarygodne i zawsze działają. Następnego dnia rano o godzinie 11.30 pada rześisty deszcz, gdy powróciwszy do swojego prawdziwego wyglądu, znowu pojawia się w sklepie i zgarnia dziesięć milionów franków w pierścionkach, bransoletkach, kompletach biżuterii i zegarkach słynnych firm, Steve wciąż stoi na czatach przed wejściem. Po raz pierwszy Bruno nie zabiera z sobą kaset z kamer bezpieczeństwa (jedna jest wewnątrz, druga na zewnątrz): jego technika, czyli „działanie łagodne, ale stanowcze”, jest wystarczająco dopracowana, lecz przede wszystkim trzeba trochę potrząsnąć policją, tak będzie śmieszniej. Skutek przeszedł jego oczekiwania. Nagrania z kamery zabrane bowiem przez SRPJ z Nicei zostaną przekazane nie do OCRB, ale do BRB¹⁶ kierowanej przez komisarza Devosa. A ponieważ, rzecz jasna, poszczególne służby nie porozumiewają się z sobą, robi się z tego niezły bajzel. Jednakże funkcjonariusze BRB na wszelki wypadek pokazują zdjęcia Bruna i Steve'a pracownikom sklepów jubilerskich Ruben et Heurgon oraz Brecy, no i bingo, „To oni!”. Devos dobrze wie, że to ci goście poszukiwani w związku z ucieczką z pociągu w lipcu tego roku i że śledztwo prowadzi OCRB, tyle że w roztargnieniu zapomina przekazać im tę informację. Dzięki temu Georges Moréas, główny tropiciel Sulaka, nie ma zielonego pojęcia o historiach z kradzieżą klejnotów.

Bruno i Steve wiedzą aż za dobrze, że kiedy wprowadzą swój łup na rynek, w najlepszym przypadku uda im się wyciągnąć co najwyżej jedną czwartą jego wartości, dlatego najpierw sami postanawiają trochę z niego skorzystać. W hotelu w Nicei, gdzie czekają dwa dni, zanim z powrotem wsiądą w samolot do Paryża, robią polaroidem całą masę zdjęć: z nagimi torsami obwieszają się klejnotami, na każdy palec zakładają pierścionki, na ręce po kilka bransoletek (a potem śpiewają), sześć złotych i szmaragdowych kolia na szyi, przyjmują pozę wielkich ciot. Kilka takich zdjęć zachowało się do dzisiaj.

Potem robią selekcję. Każdy z nich zachowuje dla najbliższych te rzeczy, które byłoby najtrudniej sprzedać, obaj są tak samo hojni, Steve rozdaje klejnoty bez umiaru na prawo i lewo wśród jugosłowiańskiej społeczności (gdzie, jak już mówiłem, jest poważany i uwielbiany, zawsze ma jakieś prezenty dla żon swoich przyjaciół, dla ich dzieci zresztą też), zwłaszcza duże zegarki, które bardzo wysoko sobie cenią jego ziomkowie o mocnych dłoniach. Dorzuca jeszcze jedną albo i dwie garści towaru, żeby kumple mogli je odsprzedać i zarobić trochę pieniędzy. W ciągu następnych kilku lat, przy okazji różnych aresztowań w sprawach zupełnie niezwiązanych z Sulakiem, pojawiać się będą rozmaite klejnoty i precjoza, dlatego właśnie wielu będzie sobie wyobrażał, że stał on na czele potężnej bandy, której kolejni członkowie są zatrzymywani, a gazety będą go nazywały „szefem bandy

Jugoli”. Co więcej, przypisana mu zostanie narodowość członków jego domniemanej bandy: w dzienniku telewizyjnym stacji Antenne 2 Noël Mamère mówić będzie o „Jugosłowianinie Brunie Sulaku” – jest bardzo poważany w jugosłowiańskiej diasporze ze względu na przyjaźń z Dragiem i Steve’em, ale na tym się to kończy. Pewien dziennikarz z regionalnej gazety na południu Francji napisze z kolei tajemniczo, że *złoczyńcę wychowywała bretońska matka*, ale w tym przypadku nic już nie poradzimy, gdyż Bruno nigdy nie stał na czele żadnego „bretońskiego gangu” i nie miał wśród kumpli żadnego Gwendala ani Goulvena.

Dzielią się po połowie tym, co ich zdaniem najlepiej nadaje się do sprzedania, każdy zajmie się tym na własną rękę. Dnia 13 grudnia na place de l’Opéra, na wprost Café de la Paix, Steve dyskretnie przekazuje torbę stojącemu obok niego serbskiemu koledze. Nagle rzuca się na nich trzech facetów – to policjanci z BSP¹⁷, dawnej *mondaine*¹⁸ (obyczajówki), śledzący kolegę Steve’a w związku z jakąś aferą narkotykową. Steve wyrywa im się niczym prawdziwy tygrys, ale jego kumpel, który znacznie bardziej interesuje policjantów, i do tego trzyma w ręce torbę, daje się związać jak baleron. Spodziewają się znaleźć w środku sporą paczkę dragów, a tymczasem znajdują sporą ilość biżuterii.

Na quai des Orfèvres (gdzie szybko ustalono, że klejnoty pochodzą z trzech obrabowanych sklepów jubilerskich w Paryżu i Cannes) niedający się wyprowadzić z równowagi Jugol trzyma się mocno, za nic na świecie nie wyda Steve’a. Ale już jego partnerka, którą ostro przesłuchiowano, nie jest równie odporna: zanim więc jeszcze bardziej nią potrząsną, oświadczy, że tym drugim mężczyzną był jej zdaniem Steve, że tak naprawdę nazywa się Radiša Jovanović, i wyznaje nawet gorliwie, że widziała go w towarzystwie niejakej Marlène Mil (dla przypomnienia – byłej dziewczyny Anthony’ego Delona). W wydziale BSP znają tę Marlène, która nie prowadzi się podobno jak ascetyczna mniszka. Uwagę koncentrują więc właśnie na niej i przekazują pozostałe informacje do BRB, po raz kolejny omijając szerokim łukiem Moréasa, który, znając całą sprawę na wskroś, byłby w stanie skutecznie poprowadzić poszukiwania.

Chociaż Bruno nie zna oczywiście szczegółów tego rosnącego bałaganu, czuje, że zaczyna się branie, że coś zaczyna się ruszać. Podniesie o jeszcze jeden stopień poziom prowokacji. Jedyny problem w tym, że kiedy zaczyna się branie i równocześnie kilka wydziałów zaczyna się miotać, trzeba również dostosować swój własny system obronny, zachować ostrożność, nie można już do końca robić tego, co się chce. Musi więc na przykład zmienić swoje nocne zwyczaje: w l’Aventure, między innymi, często zauważa atletycznie zbudowanych, trochę za dobrze ubranych młodych ludzi, w których jego „gliniarz” rozpoznaje prawdopodobnie własnych kolegów. Któregoś wieczoru w towarzystwie Steve’a i dwóch ładnych dziewczyn dopiero co zamówił butelkę szampana, gdy zauważa, że jedna z barmanek rozmawia przez telefon. Nie potrafi zapanować nad sobą

i rzuca okiem w stronę współnika. Bruno darzy Moréasa dużym szacunkiem, więc nie dziwi się, że umieścił w tym miejscu kilka wtyczek (w tym samym czasie BRB obserwuje mieszkanie Marlène Mil w Neuilly-sur-Seine – a potem odpuszcza z powodu braku jakichkolwiek efektów). Dotyka ramienia Steve'a, po czym obaj mężczyźni zostawiają dziewczęta na czerwonej kanapie, na pięć minut przed przybyciem ludzi z OCRB.

Spędza teraz znacznie więcej czasu w kinie albo w swoim mieszkaniu, dużo czyta, zwłaszcza gazety, tygodniki z bieżącymi wiadomościami, a codziennie „Libération”. Pasjonuje go wszystko, co dzieje się w kraju i za granicą, ale potrzebuje znacznie bardziej ekscytujących i szalonych rozrywek. Trochę akcji, trochę suspense jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Lont już jest gotowy, teraz trzeba tylko wykrzesać kilka iskier.

Właśnie z „Libération” dowiaduje się, że François Mitterrand podejmie kanclerza Niemiec Helmuta Kohla w Paryżu 21 stycznia 1983 roku. Mają przejechać przez Champs Élysées do Łuku Triumfalnego, by złożyć wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza. Bruno całkiem blisko wypatrzył ładny sklep jubilerski Van Gold, w tamtym czasie usytuowany przy rue Quentin-Bauchart, dosłownie kilka kroków od trasy, którą mają jechać obaj mężowie stanu. Udaje się tam dzień wcześniej, widzi wspaniałą biżuterię, brylanty nieskazitelnej czystości (wiedza książkowa, ale i rozległa praktyka pozwalają mu patrzeć na nie teraz okiem profesjonalisty). Kiedy mówi Steve'owi, że zamierza obrabować sklep w trakcie przejazdu Mitterranda i Kohla, lewa powieka Serba na moment zastyga, chociaż niełatwo na nim zrobić wrażenie, i zaraz mruga nerwowo dwa razy (muszę tchnąć trochę życia w moje postacie, mam przecież do tego prawo):

– Ty chyba zwariowałeś, dwadzieścia metrów dalej będą stały setki gliniarzy.

– Nie dwadzieścia, może pięćdziesiąt?

– Dobrze, i co w związku z tym?

– No właśnie. Kto może sobie wyobrazić, że napadniemy na sklep w promieniu niecałych pięciuset metrów od tej niewiarygodnej masy policji?

Następnego dnia rano, na kilka minut przed przyjazdem na Champs Élysées prezydenta i kanclerza, na których czekają tysiące ludzi, Bruno i Steve muszą niemal przebijać się między oddziałami CRS i policjantami w cywilu, żeby dostać się w pobliże sklepu Van Gold. Jak zawsze Steve zajmuje miejsce przed wejściem. Tym razem wprowadzili jednak pewną innowację: Steve trzyma w ręce wielką krótkofalówkę, żeby być w kontakcie z Brunem, gdy ten znajdzie się w środku. Wielki, kwadratowy koleś w skromnym garniturze z krótkofalówką na ulicy tego akurat dnia; kto mógłby pomyśleć, że nie chodzi o agenta służb specjalnych odpowiedzialnego za zabezpieczenie okolic Champs Élysées? W przyszłości będą powielać tę metodę: wysoki kwadratowy koleś w prostym garniturze stojący przed

sklepem jubilerskim z krótkofalówką w ręce wygląda jednak mniej podejrzanie niż po prostu wielki kwadratowy koleś stojący przed sklepem jubilerskim. Bruno wchodzi do środka, zmusza kierownika i dwójkę pracowników, aby założyli sobie kajdanki na kciuki, każe sobie oddać klucze do witryny i do małego sejfu, nie spiesząc się z nadto, zgarnia wszystko, co jest tego warte (podczas gdy dwadzieścia albo pięćdziesiąt metrów dalej słychać wiwatujący tłum, on opróżnia obie wystawy, specjalnie się z tym nie kryjąc, na ulicy nie ma bowiem ani jednego przechodnia), macha do kamery i wychodzi z lekką duszą, ale bardzo ciężką torbą. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby w tym szczególnym dniu mieć pod ręką jakiś samochód albo motocykl. Steve rusza na piechotę w stronę rue François-I^{er}, Bruno posunie się jeszcze dalej w niewinnej prowokacji, gdyż wtopi się w tłum stojący przy Champs Élysées, przepraszam pana, przepraszam panią, ale mam spory bagaż.

Godzinę później spotykają się znowu, tym razem w mieszkaniu Bruna. Rzucają się sobie w objęcia, to wielka chwila, ich największy jak do tej pory sukces. Aby się odprężyć i rozluźnić, podczas gdy wszyscy policjanci ruszają oszołomieni z Champs Élysées w stronę rue Quentin-Bauchart, Bruno jedzie pograć w tenisa na kortach przy porte d'Auteuil, jak często mu się zdarza po udanym rozboju. (Z tym również będzie musiał dać sobie spokój, za dużo bowiem policjantów grywa w tenisa).

Tym razem echa tego wyczynu docierają do Moréasa: kradzież klejnotów wartych dziewięć milionów w samym środku jednego z największych w ciągu roku skupisk policji musiała zrobić sporo szumu w kręgach policyjnych (wciąż jeszcze nie słychać o tym w prasie, gdyż nazwisko Bruna Sulaka nie pojawiło się w związku z najnowszymi napadami na sklepy jubilerskie). Szef OCRB, który od razu myśli o możliwości powrotu wielkiego artysty Sulaka, zasięga informacji na ten temat, puka do kilkorga drzwi i dowiaduje się ze zdziwieniem, że śledztwo jego kolegi Devosa z BRB od dwóch miesięcy utknęło w miejscu. Nie ma jednak czasu z nadto się tym zamartwiać: niecały tydzień później, 27 stycznia, Bruno i Steve pojawiają się znowu w tej dzielnicy, tym razem sześćset metrów dalej, i pozbawiają sklep jubilerski Cartier przy avenue Montaigne precjozów o wartości dziesięciu milionów franków. To klejnoty najwyższej jakości, co do tego nie ma wątpliwości (Bruno zachowa dla siebie na pamiątkę jedną ze słynnych potrójnych obrączek tej firmy, którą założy na prawy palec serdeczny, aby ukryć malutką, wytatuowaną na nim literkę B), zarówno jeśli chodzi o piękno kamieni szlachetnych, szlif brylantów, jak i wykonanie, wszystko jest tu niezwykle, jedyne w swoim rodzaju.

– Cartier to naprawdę coś wyjątkowego – mówi Bruno do Steve'a. Warto te słowa zapamiętać.

(Wieczorem w wiadomościach telewizyjnych pojawi się informacja o drugim już w tym tygodniu spektakularnym napadzie na jubilera niedaleko

Champs Élysées, chociaż wciąż nikt nie wiąże tych faktów z Brunem Sulakiem. W salonie w domu rodziców w Bédarrides Talia się uśmiecha, lecz jednocześnie niepokoi się, jest przejęta, gdy wyobraża sobie swojego mężczyznę w samym środku tego całego zamętu).

Pół godziny po napadzie, kiedy Steve zamierza pozbyć się samochodu, Bruno wchodzi do budki telefonicznej.

– Zadzwoń do Moréasa, jestem pewien, że ucieszy się, gdy się dowie, co u mnie słychać.

Steve nie zgadza się, ten pomysł nie jest w jego stylu, uważa, że to zupełnie niepotrzebne ryzyko, ale w końcu Bruno przecież i tak robi, co będzie chciał. Jedzie zostawić samochód gdzieś dalej.

– Dzień dobry, panie komisarzu, wszystko w porządku?

Głos, ton, leciutkie jąkanie się, Moréas natychmiast go rozpoznaje.

– No coś takiego, Sulak... Jak miło cię słyszeć.

– Ja też się cieszę, naprawdę. Sklep Cartiera przy avenue Montaigne, słyszałeś już czy jeszcze nie?

– Nie.

– Ach, ta policja... No nic, pewnie niebawem się dowiesz.

– Nie wątpię.

– W każdym razie, mówiąc krótko, nie po to do ciebie dzwonię, chciałem się tylko dowiedzieć, czy mogę podarować ładny zegarek twojej ukochanej.

– No pewnie, jasne, że tak, i do tego Cartier, nie spodziewałem się po tobie niczego innego.

– Gdzie mam ci go wysłać? Do domu czy do biura?

– Nie zawracaj sobie tym głowy, sam się zjawię, żeby go odebrać. Więc jak, umówimy się w jakiejś kawiarni?

– Nie ma problemu. Gdzie ci pasuje? O nie, cholera, chętnie zaczekałbym pół godziny, ale teraz nie mogę, muszę pędzić, bo le Grand już idzie, a nie podoba mu się, że do ciebie dzwonię.

– Steve?

– Sam zgadnij. No dobra, to cześć.

– Cześć. Ale mimo wszystko uważaj, bo nie grasz w bierki i któregoś dnia może się to źle skończyć. Narażasz jednak wielu ludzi przez te swoje głupoty.

Bruno odkłada słuchawkę, nie odpowiadając. Moréas czuje, że zaczyna panować nad sytuacją, brawura Sulaka w końcu go zgubi, to więcej niż pewne. Jeśli prasa zostawi go w spokoju, to znaczy, jeśli nie będzie mu się dostarczać niepotrzebnej rozrywki, nie powinno być tak trudno przyskrzynić go gdzieś w Paryżu, podobnie jak rok temu – dokładnie, niemal co do dnia. Tyle że Georges zapomina o istnieniu jednej rzeczy, a mianowicie przypadku. A nawet dwóch rzeczy: przypadku i natury ludzkiej, zgodnie z którą każdy na tej ziemi próbuje

wysunąć się przed innymi, na każdym poziomie, zarówno w policji, jak i gdzie indziej.

Dwa dni później, 29 stycznia, policjanci z komisariatu w Mureaux, w departamencie Yvelines, zatrzymują wypasione bmw, które wydaje im się podejrzane: dwaj młodzi goście w środku wyglądają bardziej na drobnych bandziorów niż na synków z dobrych rodzin, co to pożyczili sobie bez pytania samochód tatusia. Ale właściwie, są oni trochę jednym i drugim: zakłopotani funkcjonariusze widzą, że chodzi o Anthony'ego Delona, syna znanego tatusia, i jego kumpla Marca Mila. Żeby nie sprawiać wrażenia, że zanadto zginają kark i płaszczą się przed synalkiem wielkiej gwiazdy, chcą tylko sprawdzić, co jest w samochodzie, aby mieć jakikolwiek pretekst, by puścić ich wolno. Tymczasem jednak czeka ich niespodzianka, bo znajdują coś interesującego: pistolet MAC 50, kalibru 9 mm, a do tego po chwili okazuje się, że to kradzione bmw. Kryminalni z SRPJ¹⁹ w Wersalu mają się zająć tą sprawą, ale w tym samym czasie inny oddział policji, dochodzeniowo-śledczy, posługujący się takim samym akronimem – SRPJ (być może dla zmylenia przeciwnika, sprytne!), także w Wersalu, dowiaduje się o tym, że chociaż Walter wycierał, ile sił w rękach, numer seryjny broni, to okazuje się, że jest to jeden z pistoletów odebranych żandarmom, którzy w pociągu Corail eskortowali Sulaka. Każdy chce wyrwać dla siebie swoją porcję śledztwa, ale nikt nie przekazuje innym informacji, które są w jego posiadaniu. Na przykład wydział BRB komisarza Devosa znowu zapomni wspomnieć o związku, jaki poprzez osobę Steve'a istnieje między Sulakiem i siostrą Marca Mila, dlatego mieszkanie Marlène nadal nie zostało objęte obserwacją. Wszyscy coś szepczą po kątach, szukają na własną rękę i zatajają ważne informacje, z wyjątkiem Moréasa, którego powiadamia o znalezisku policjantów z Wersalu dwa dni po fakcie wesołkowaty dziennikarz z RMC²⁰, zwracając się do niego w te oto słowa:

– A może powinien pan, panie komisarzu, sprawdzić numer broni znalezionej w samochodzie młodego Delona?

W ciągu następnych dni oszołomieni pracownicy sklepu jubilerskiego Cartier przy avenue Montaigne widzą, jak defilują przed nimi funkcjonariusze ze wszystkich możliwych wydziałów, zadając im wciąż te same pytania. Dnia 2 lutego żandarmi dopytują się w sklepie o to, o co policja wypytywała wcześniej personel sklepu. Tego już za wiele i zupełnie się to nie podoba w kwaterze głównej. W biurze Pierre'a Touraine'a, dyrektora policji kryminalnej, zostaje zorganizowane spotkanie kryzysowe, żeby jakoś to wszystko razem ogarnąć. Są przecieki, to jasne, prasa pisze o „wojnie w policji” aż tu nagle, zapewne chcąc się usprawiedliwić, dyrekcja żandarmerii wydaje komunikat: potwierdza, że wysłali swoich ludzi do sklepu jubilerskiego, tyle że nastąpiło to w ramach śledztwa w sprawie ucieczki z pociągu Corail w Montpellier, a nie w sprawie napadu na Cartiera, bo to nie ich śledztwo, żandarmeria zaś nie zamierzała wchodzić w kompetencje kolegów

z policji kryminalnej. Zręczne posunięcie. Dziennikarze nie powiązali dotąd napadów na jubilera z gośćmi, którzy uciekli z pociągu, ale teraz sytuacja jest naprawiona. Anthony Delon, Sulak, sklepy jubilerskie, cud-miód, wszystko, co trzeba, żeby prasa z radością się tym zainteresowała. A do tego jest jeszcze przecież piękna Marlène! À propos, w tym całym bałaganie do tej pory nikt nie wpadł na pomysł, żeby przeszukać jej mieszkanie. Kiedy wreszcie policjanci z SRPJ w Wersalu udają się tam w towarzystwie Anthony'ego Delona, znajdują męskie ubrania o wiele za duże zarówno na niego, jak i na Marca, brata Marlène. Steve zapewne zjawił się tutaj na chwilę, podczas gdy różne służby bawiły się z sobą w tym czasie w ciuciubabkę. Teraz natomiast, kiedy Marlène wystawiono jak w witrynie sklepowej na pierwszych stronach gazet (które nie przejmują się wcale rzetelnością informacji i przedstawiają ją jako kochankę Sulaka, bo tak prościej i efekt wydaje się lepszy), Steve zapewne nieprędko wpadnie tam znowu na podwieczorek.

Gazety są zachwycone, dziennikarze rozkręcają się coraz bardziej: Bruno jest zatem bez wątpienia mordercą Jeana-Charles'a Fossecave'a, zwanego Nanou, którego podziurawiono śrutem na grubego zwierza w Périgueux, zamierzał także porwać Jeana-Ederna Halliera, barona Philippe'a de Rothschilda oraz Edgara Faure'a (już widzę oczyma wyobraźni Sulaka związanego Edgara Faure'a jak baleron – to piękny obrazek w stylu naturalistycznym), i nie oskarżono go tylko o zamach na Jana Pawła II na placu Świętego Piotra, ale już teraz staje się „wrogiem publicznym numer 1” dla „France Soir”, „najbardziej poszukiwanym we Francji złoczyńcą” dla nieco rozsądniejszych dzienników (dla „Libération”, gazety mniej nastawionej na sensację, jest na razie tylko „jugosłowiańskim trzydziestoletnim gangsterem” – dziennik ten niezbyt dobrze, jak widać, zna swoich najwierniejszych czytelników), gdzie indziej nazywają go „twardzielem” i „szefem gangu legionistów” (to dopiero coś!).

Bruno jest wściekły, że Anthony Delon, sympatyczny chłopak, który dopiero co skończył osiemnaście lat, został wplątany przez niego, chociaż niebezpośrednio, w całą tę historię, a jednocześnie nie może się nie cieszyć z konsekwencji i niewyobraźnego chaosu, jaki zapanował w policji i w prasie. (Mimo to do sędziego zajmującego się „sprawą Anthony'ego” Bruno pisze list, w którym wyjaśnia, że ów młody człowiek nie ma nic wspólnego ani z nim, ani z dokonanymi przez niego napadami, że w ogóle go nie zna, a chłopak nie jest żadnym gangsterem, że przypadkowo znalazł się w posiadaniu tej broni i byłoby absurdalne obciążać go zarzutami za posiadanie broni, przecież to niepoważne). Ten czas turbulencji jest dobrym momentem, żeby trochę się odprężyć: Bruno jedzie więc na narty do Avoriaz, gdzie poszaleje przez półtora miesiąca.

Kiedy Bruno podziwia pięknie ośnieżone góry z samego szczytu czarnej trasy, w Paryżu sprawy toczą się dalej swoim trybem. Przesłuchiwany przez cztery

godziny przez sędziego śledczego Goudona Anthony, blady i zalekniony, próbuje nie wplątywać w tę historię Waltera i Steve'a, twierdząc, że z „zamiłowania do broni” kupił ten pistolet od jakiegoś nieznanego mu rzeźmieszka w barze przy Pigalle w kwietniu 1982 roku – tyle że traf chciał, że broń skradziono w pociągu Corail w lipcu, a więc trzy miesiące później. Trzeba więc będzie wymyślić coś innego. Wychodząc z biura sędziego, jego adwokat, Georges Kiejman (a nie ten zaśliniony karzełek z podprefektury), oświadcza:

– Nic w zebranych aktach sprawy nie pozwala powiązać w jakikolwiek sposób mojego klienta z ukrywającym się przed policją Brunem Sulakiem.

Dnia 8 lutego policjanci z BRB, którzy śledzą od dłuższego już czasu notorycznego pasera, widzą, jak ten wchodzi do kawiarni w Bagnolet, gdzie siada przy stoliku z dwoma wyglądającymi na Jugosłowian mężczyznami (zawsze to dobry sygnał dla policji). Zgarniają go przy wyjściu razem z torbą wypełnioną biżuterią, po czym zatrzymują dwóch siedzących nadal w środku Jugosłowian, którzy mają z sobą aktówkę z brylantami i szmaragdami. Jeszcze tego samego dnia zostanie ustalone, że precjoza, o wartości szacowanej na trzy miliony franków, pochodzą ze sklepów jubilerskich Van Gold i Cartier. Problem jednak polega na tym, że po raz kolejny BRB nie uznało za stosowne poinformować o tym OCRB (no bo i po co!), chociaż Moréas ma jednego z tych dwóch Jugoli w swoich notatkach i właśnie liczył na niego, że doprowadzi go do Steve'a albo do Waltera. Georges jest wściekły. Uzyskuje tylko tyle, że pozwolą mu od tej pory zająć się rzeczonym Jugolem, który z pewnością ma sporo do powiedzenia.

Dnia 21 lutego o 20.30 Anthony Delon zostaje zwolniony z aresztu w Bois-d'Arcy. Przyjechał go odebrać jego ojciec, osobiście (do uszu Bruna, który być może teraz podśpiewuje sobie *Quand te reverrai-je, pays merveilleux*, siedząc na krzeselku wyciągu, może dochodzą głosy z oddali: Alain Delon jest wściekły na tego klauna, który zdemoralizował i okrył hańbą jego syna, a więc i jego także, wielki aktor unicestwia go na odległość, tego drania, i zaciska ręce na kierownicy). Alain Delon dostał zgodę, aby wjechać swoją lanią do środka, na teren więzienia, i uniknąć przy wyjeździe przepychanek i szturmów dziennikarzy. Gwiazda filmowa i jego syn odjeżdżają razem samochodem, w środku, za przednią szybą, zapewne toczy się bardzo ożywiona dyskusja.

Dnia 22 lutego podczas wspólnej akcji policji holenderskiej i kierowanego przez Moréasa wydziału OCRB Walter zostaje zatrzymany w Amsterdamie, gdzie chciał przeczekać burzę od czasu aresztowania jego kumpli w kawiarni w Bagnolet. Zaprzecza, aby miał jakikolwiek związek z Sulakiem, o którego go pytają, i z ucieczką z pociągu Corail, tyle że we Francji, w Charenton, u jego nowej pani (w podobnym stylu jak jego poprzednia zdobycz, ładna córka jakiegoś bonzy, który wzbudza dreszcze), zostanie znaleziona broń, amunicja, materiały wybuchowe i zapalniki. Nie wygląda to raczej na zainteresowania pracownika

poczty albo szewca. Znaleziono też parę kajdanek z numerem seryjnym, wyposażenie należące do jednego z żandarmów z pociągu, to również jest poważna sprawa. Będzie sądzony w Montpellier, spędzi trochę czasu w celi numer 26, z której Bruno pozwoli wydostać się na wolność Jeanowi-Louisowi S., w tej samej przebywali kiedyś skazani na śmierć, pewnie to przypadek, i dostanie wyrok czterech lat więzienia (karę odsiedzi do samego końca, wyrok nie zostanie skrócony nawet o jeden dzień), chociaż nigdy nie przyznał się do udziału w zorganizowaniu ucieczki z pociągu i nie powiedział ani słowa na temat pistoletu MAC 50 i Anthony'ego Delona (zresztą policjanci i sędziowie nie zadali mu ani jednego pytania w tej kwestii).

Między dwoma szusami po trasach zjazdowych w Avoriaz, gdzie robi sporo zdjęć, Bruno od czasu do czasu odwiedza blisko położoną Szwajcarię, żeby zadzwonić do rodziców. Jego ojciec jest niezadowolony i ma do niego pretensje:

– Daj już sobie z tym spokój, wyjedź gdzieś wreszcie i siedź cicho. Daj nam chwilę wytchnienia, bo tak dalej nie da się żyć.

Bruno może się jedynie z nim zgodzić i do tego jest mu przykro, że cierpi na tym jego rodzina, nie dość, że się bezustannie o niego niepokoją, to jeszcze policja i media wywierają bez przerwy presję na tych, których kocha i którzy nie zrobili nic złego i nie zasłużyli sobie na to. Nie może też jednak dopasowywać swojego życia tylko i wyłącznie do nich:

– Wszystko, o czym mi mówicie, doskonale rozumiem i możecie mi to jeszcze powtarzać sto tysięcy razy, ale co się stało, już się nie odstanie.

Powoli, krok po kroku, Stanislas przyjmuje to do wiadomości. Dzięki inteligencji, szczerości i łagodnej perswazji synowi udaje się przekonać ojca, że to jest jednak jego życie i jego problem. Ostatecznie nie jest to znowu aż tak bardzo odległe, merytorycznie i co do istoty, od tego, co powiedział synowi dziewięć lat temu, kiedy Bruno znalazł w szufladzie w marsylskim mieszkaniu wojenne odznaczenia i Legię Honorową ojca: „To nie twój problem. To dotyczy mnie, nie ciebie.” Stanislas łagodnieje. Ręce jego syna nie są przecież splamione krwią. Bruno w głębi duszy jest człowiekiem prawym. To ktoś, kto dotrzymuje danego słowa i dla kogo poczucie honoru jest wartością nadrzędną. Owszem, sprawia kłopoty rodzicom, bardzo się o niego martwią, ale nigdy się go nie wyprą, znają go tak, jak nikt inny: wiedzą, że jest dobry i hojny.

W liście do swojej matki Marcelle, wysłanym ze Szwajcarii, na wypadek gdyby list miał wpaść w ręce policji, Bruno pisze:

Policjanci mają prawo mnie zabić, to pewne. Jednak ja sam nigdy nie przyznam sobie prawa, żeby do nich strzelać, nie chcę być do nich podobny. Oni robią to, co wydaje się im sprawiedliwe, a ja robię to, co uważam za najbardziej słuszne, widząc tak wiele niesprawiedliwości i wszelkiego rodzaju przekrętów wokół. W sumie życie jest bardzo krótkie, a każdy dzień, który mija, jest dla mnie zwycięstwem odniesionym nad arbitralnymi zasadami, które zawsze służą tylko niewielkiej grupie ludzi.

W Paryżu Steve czeka na niego niecierpliwie, chciałby znowu zabrać się do pracy. Zwierza się jednemu ze swoich ziomków:

– Kiedy każdy z nas będzie miał po dziesięć milionów w gotówce, wtedy powiemy stop.

Dnia 2 marca Georges Moréas ma inny problem na głowie niż dwie sztuki swojej ulubionej zwierzyny łownej: niebezpieczny zboczeniec, niemal pod jego

nosem, właśnie celuje komuś między oczy. Nazywa się Robert Gros. Ze swoim kompanem, takim jak on, Alainem Havotem, są ścigani przez policję już od ponad czterech lat i strzelają do wszystkiego, co się rusza – tandem Gros i Havot są jak Bonnie i Clyde, tyle że w wersji dwuneuronowej, każdy z nich ma po jednej komórce nerwowej. W październiku 1978 roku uciekli razem z aresztu w Agen i od tej pory się nie rozstają. Zaczęli napadać na niewielkie oddziały bankowe na prowincji, nie wahając się strzelać w celu zastraszenia pracowników. Dla policji problem polega na tym, że oni wciąż się gdzieś przemieszczają i nigdy nie zostają dłużej niż kilka godzin w tym samym miejscu: kiedy ich zlokalizują na południu, oni już wyruszyli na zachód, a kiedy policja zamierza ich dopaść w Rennes, oni już są w Roubaix. We wrześniu 1979 roku, w Anneyron, w departamencie Drôme, jakiś kierowca, który uznał, że jadą zbyt wolno, zatrąbił na nich parę razy i wyprzedził ich, zajeżdżając im niegroźnie drogę. Jak to, nie można jechać i podziwiać pejzażu? Przyspieszają więc, wyprzedzają, a gdy znajdują się na jego wysokości, strzelają mu w głowę. W lutym 1980 roku dwukrotnie kontrolują ich żandarmi, najpierw w Haute-Marne, a potem w Lot-et-Garonne, i za każdym razem bandyci strzelają do nich bez wahania, jak na strzelnicy podczas odpustu. W lipcu tego samego roku wzywają do swojego stolika właściciela restauracji, w której nie smakował im gulasz cielęcy, i zabijają szefa. W sierpniu 1982 roku pakują dwie kule w ciało policjanta z oddziału CRS, który ścigał ich na motorze za zbyt szybką jazdę, na szczęście policjant uszedł z życiem z tego spotkania. Nadal jednak napadają na małe oddziały bankowe, raz lub dwa razy w miesiącu. Po bezskutecznych nalotach wykonanych na rodziny i na wszystkich możliwych znajomych, po poddaniu przesłuchaniom i aresztowaniu wielu osób w całej Francji, Moréas decyduje się opublikować ich zdjęcia w gazetach, mając nadzieję, że ktoś ich rozpozna i zgłosi to na policję (pewien konserwatywny sędzia śledczy zadzwoni nawet do niego, żeby wyrazić oburzenie z powodu tych, jak to powiedział, „neofaszystowskich metod donosicielstwa”, Moréas nie może w to uwierzyć, bo ci dwaj faceci mają przecież na koncie blisko pięćdziesiąt rozbojów i prawie w każdym przypadku łała się przy tym krew). Zdziałało. Pod koniec lutego 1983 roku pewien bardzo blady mężczyzna zgłasza się na posterunek żandarmerii w Neuvy-le-Roi, niedaleko Tours, z lokalną gazetą w ręce. Przed chwilą widział ich obu w restauracji w miasteczku, jest tego niemal całkowicie pewien. (Można zrozumieć jego bladość, ponieważ gdyby zakasłał w ich obecności, zapewne byłby już martwy). Czterech żandarmów udaje się na miejsce (tylko dwóch z nich jest uzbrojonych w karabiny maszynowe) i ustawiają się przed restauracją – nie chcą, żeby wewnątrz wywiązała się strzelanina, a poza tym, wiedząc, jak niepewne mogą się okazać czyjeś zeznania, wolą zaczekać na zewnątrz, aby mieć całkowitą pewność, że to Gros i Havot. Kiedy obaj mężczyźni wychodzą, wątpliwości nadal nie zostały rozwiane. Żandarmi podchodzą bliżej, nie

są tak ostrożni, jak powinni, chcą ich wylegitymować. Gros i Havot widzą ich kątem oka, ale zachowują się jak gdyby nigdy nic, idą spokojnie w stronę samochodu, w którym jest broń. (Najbardziej upodobali sobie Citroena CX, korzystają tylko z tego modelu, a kolejne egzemplarze zmieniają co trzy dni, lecz odkąd ten drobny szczegół został ujawniony przez prasę, musieli postawić krzyżyk na swojej pasji i tego dnia zmierzają do Peugeotota 504). Gdy tylko otworzą drzwi samochodu, natychmiast chwytają za karabiny z obciętymi lufami i strzelają niczym rozhisteryzowany Rambo. Padając na ziemię, żandarmi odpowiadają ogniem, ale jest już za późno, Peugeot 504 odjeżdża z piskiem opon, podziurawiony, ale jednak na chodzie. Przed restauracją leżą ciała dwóch zastrzelonych żandarmów i dwunastoletniego chłopca, który tamtędy przechodził.

Niecały tydzień później, 1 marca, do Moréasa dociera wiadomość, że jeden z nich, najprawdopodobniej Robert Gros, został zidentyfikowany w La Ribeyre, niedaleko wioski Assions w departamencie Ardèche. Ma się tam ukrywać z jakąś kobietą. Trzy dni wcześniej fakt ten zgłosił miejscowym żandarmom jeden z sąsiadów, po tym obywatelskim doniesieniu stróżowie prawa obstawili dom, lecz nie mając do końca pewności, woleli zgłosić to prokuratorowi Republiki, a ten postawił natychmiast na nogi oddział do walki z bandytyzmem z Montpellier. Ponieważ jednak toczył się właśnie kolejny etap wojny kompetencyjnej między policją a żandarmerią, zastępca dyrektora do spraw kryminalnych, nomen omen Pierre Richard²¹, prosi Moréasa, aby to właśnie on przejął dowodzenie akcją – miło to się przedstawia.

Wieczorem wsiada do samochodu i kieruje się na południe razem ze swoimi najbardziej zaufanymi ludźmi, Manu i Danym, wyciąga się na tylnym siedzeniu i otwiera oczy dopiero o 5.00 rano na parkingu przed komisariatem w Awinionie. Dużo ludzi wokoło, przebudzenie nie należy do najmiłszych. Policjanci i żandarmi najwyraźniej z grubsza się dogadali i podzielili zadania tak, żeby nikt się przypadkiem nie obraził. Moréas zadowolona się tylko tym, by zaakceptować ustalenia, i nawet go to urządza. Dwie godziny później wszystko jest przygotowane wokół domu w La Ribeyre, siły policyjne liczą siedemdziesięciu ludzi (a więc co najmniej o pięćdziesięciu za dużo według Moréasa), uzbrojonych po zęby, rozstawionych w kilku koncentrycznych półokręgach: najpierw Moréas, jego ludzie i policjanci z GRB, potem grupa żandarmów w strojach bojowych otaczających cały sektor i wreszcie ludzie z SRPJ zaopatrzeni w broń używaną zwykle do tłumienia demonstracji oraz strzelcy wyborowi, którzy właśnie dostali z fabryki nowiutkie karabiny wyposażone w lunety optyczne, dzięki czemu mogą rozwalić każdą głowę z odległości ponad kilometra – Moréas, lekko zaniepokojony tym, że może jeszcze nie do końca potrafią się tą bronią posługiwać, ustawił ich tak daleko, jak to było możliwe, i po raz pierwszy w życiu założył kamizelkę kuloodporną.

O godzinie 9.30 kobieta w nocnej koszuli otwiera okiennice, ziewająca i z

potarganą głową. W najbliższej okolicy, czego z całą pewnością nie podejrzewa, jest bardzo nerwowo, dłonie zaciskają się mocno na rękojeści broni. Moréas chce przede wszystkim uniknąć sytuacji, w której musiałby dać sygnał do szturm i wtargnięcia do środka, aby unieszkodliwić poszukiwanego bandytę. Wszyscy znają Grosa, jatka byłaby murowana. Komisarz przypomina sobie przyjaciela Charles'a Marteau, który zginął podczas znacznie mniej niebezpiecznego szturm. Tamtego dnia jednak na moście nad Vésubie byli zmuszeni zaatakować samochód Ughetta, nie mieli wyboru. Dzisiaj wystarczy zaczekać, aż Gros wyjdzie z domu. Ale byłoby to pewnie zbyt proste: o 10.20 Moréas dowiaduje się przez krótkofalówkę, że pomysłowy Pierre Richard, zastępca dyrektora do spraw kryminalnych, właśnie wydał rozkaz, nad którym się nie dyskutuje, mają ruszyć do szturm i wtargnąć do domu o 10.30. Znakomicie.

Stawiając na efekt zaskoczenia, co oczywiste (i mając przy tym nadzieję, że przeszklone drzwi nie będą stawiały zbyt dużego oporu), Georges Moréas postanawia wdrzeć się do środka jako pierwszy razem z Manu i Danym, tuż przed całą hordą (bo efekt zaskoczenia, gdy do środka wpada siedemdziesięciu uzbrojonych ludzi, jest mocno dyskusyjny). Właśnie informuje wszystkich przez krótkofalówkę – „Zaraz ruszamy, dajcie nam dziesięć sekund i osłaniacie nas” – gdy Gros wychodzi z domu wolnym krokiem i idzie przez ogród, kierując się w stronę bramy. Schyla się, coś grzebie przy ziemi, potem wyprostowuje się, w rękach trzyma zdechłego kota. (Wyciągnął go z pułapki, którą zastawił, żeby wykończyć bydlaka, bo drażnił jego kaczki). Moréas krzyczy do krótkofalówki i pędzi w stronę bramy (zapomina wyciągnąć broń), za nim biegną jego ludzie. Po chwili zdziwienia Gros ciska na bok zdechłego kota i rzuca się w stronę domu, zanurzając rękę w kieszeni bluzy. W połowie drogi odwraca się, nie przestając biec, i strzela w kierunku Moréasa. Temu ostatniemu jednak niebezpieczeństwo grozi zwłaszcza od tyłu, pociski strzelców wyborowych przelatują tuż obok jego uszu. Manu i Dany zatrzymują się, żeby wycelować, Moréas tymczasem biegnie dalej, wołając:

– Gros, zatrzymaj się! Bo zginiesz!

Gros zatrzymuje się. Odwraca się. Celuje prosto w głowę Moréasa, który staje jak wryty trzy metry od niego, całkowicie bezbronny. Pełne nienawiści spojrzenie Grosa nagle gaśnie. Pojawia się mała czerwona plamka na samym środku czoła, Gros przewraca się na plecy. Snajper wykonał swoją robotę.

Wewnątrz domu, poza przerażoną kobietą, znajdują granaty, broń i amunicję, które pozwoliłyby stawić opór całemu garnizonowi, a obok łóżka Grosa leży rewolwer, strzelba powtarzalna i karabin. Gdyby policjanci i żandarmi posłuchali rozkazu, który wydał Pierre Richard, ciekawe, ilu z nich spoczywałoby teraz w ziemi. Gdyby ze swojego okna Gros nie zobaczył kota, który złapał się w pułapkę w ogrodzie, i nie poszedł od razu po niego, aby cieszyć się tym

sukcesem, ilu ludzi zginęłoby z powodu tego kretyńskiego rozkazu? Kiedy coś nie gra w funkcjonowaniu świata, a zwłaszcza w głowach przywódców, kiedy coś się wymyka spod kontroli, wtedy kot poświęca się, żeby wszystko naprawić.

W papierach Grosa znajdują numer telefonu, pod którym można się skontaktować z Havotem. Po krótkich poszukiwaniach przeprowadzonych w komisariacie udaje się zlokalizować mieszkanie w Marsylii, do którego przypisano ten numer. Ale w czasie, gdy organizują i zbierają ekipę, która ma zgarnąć drugą połówkę przestępczego duetu, stacja RTL przerywa swój program, aby nadać specjalny flesz informacyjny: „Żandarmi zabili groźnego przestępcę, Roberta Grosa, który ukrył się w oddalonym od ludzkich skupisk domu w departamencie Ardèche”. Do wiadomości dołączony jest, rzecz jasna, wzniosły komentarz na temat przenikliwości, odwagi i skutecznego działania żandarmów. Nietrudno odgadnąć, że przeciek pochodzi od osoby o niezwykle rzadko spotykanym ilorazie inteligencji. Kiedy ekipa składająca się z połączonych sił SRPJ z Marsylii i OCRB zjawia się przed domem, w którym ukrywa się Havot, wszystkie stacje radiowe zdążyły już przekazać wiadomość, a on czeka za drzwiami z dwa razy większą ilością broni, niż jest w stanie unieść. Na szczęście, po godzinie negocjacji Havot się poddaje. Ale znowu głupota jednego gościa, który chce się pokazać na pierwszej stronie gazet, o mało co nie doprowadziła do tego, że z powierzchni ziemi zniknęłoby kilku ojców, synów, braci lub jedynych w świecie kochanków. Powoli Moréas zaczyna mieć tego dość.

Okolo 15 marca Bruno dzwoni do Steve'a, który prosi go, aby ten wrócił do Paryża tak szybko, jak to możliwe: otrzymał bardzo duże zlecenie. Bruno jednak nie za bardzo lubi zlecenia, już kilkakrotnie odmówił, nieważne, czy pochodzą od bogatego amatora, pasera albo wręcz od jubilera, który chce obrobić swój własny sklep, to się zdarza, albo sklep konkurenta, by wejść w posiadanie rzadko spotykanych klejnotów, których nie jest w stanie zdobyć dla swoich klientów, i sam wskazuje wynajętemu przez siebie złodziejowi, w jaki sposób najkorzystniej pozbyć się towaru; proponowano mu nawet, że ich przewiozą, Steve'a i Bruna, opłacając wszystkie koszty, do Arabii Saudyjskiej albo do ZSRR, żeby tam, na miejscu, dokonali napadu na duży sklep jubilerski. Jeżeli Sulak odrzucał wszystkie te propozycje, to po pierwsze dlatego, że musiałyby w takim przypadku działać na czyjś rachunek, a nie podoba mu się, gdy musi od kogoś zależeć (w ten sposób bowiem pozbawia się dobrowolnie niezależności w decydowaniu o sobie – a to przecież najcenniejsze), a po drugie, taki zleceniodawca to jeszcze jedna osoba, która za dużo o nas wie, której nie znamy wystarczająco dobrze, a zatem stanowi dodatkowe zagrożenie bezpieczeństwa.

Jednakże Steve, może trochę zbyt pospiesznie, zgodził się przyjąć zlecenie, a Bruno nie chce go zostawić na lodzie. Jakiś biały kołnierzyk ze świata biznesu i polityki przekazał mu już połowę bardzo dużej kwoty i teraz czeka niecierpliwie na dostawę. Bruno kilkakrotnie widział się z nim i ma do niego względne zaufanie, więc mówi Steve'owi, że się zgadza – ale robi to tylko jeden jedyny raz, nie chce bowiem więcej pracować dla nikogo i w czyjejkolwiek sprawie.

Dnia 19 marca, po dość pobieżnym zapoznaniu się z miejscem akcji, dokonują napadu na sklep jubilerski O.J. Perrin przy rue Royale, dokładnie naprzeciwko firmy Ruben et Heurgon, gdzie wyczyścili witrynę poprzedniego lata. Po raz pierwszy – czyżby przypadek? – srodze się zawiedli: kwota, którą zgarnęli, okazała się zdecydowanie niższa od szacowanej. A w następstwie tego niewielkiego urobku, chociaż może brzmi to dziwnie, niewiele brakowało, a spowodowałiby poważny wypadek, pędząc motocyklem przez place de la Madeleine, zestresowani tłumem wyległym w sobotę w tej dzielnicy. Nie był to ani właściwy sklep, ani właściwe miejsce, ani odpowiedni dzień. Oklaski dostają tylko od was. Bruno ma do siebie pretensje, zaczyna być niedokładny, nie poznaje sam siebie – kilka tygodni na nartach pewnie zmroziło mu umysł. (A może rozmiękczyło go szwajcarskie *raclette*?). Ale jeszcze bardziej żałuje, że w ogóle zgodził się na tę robotę: gdyby obrobili tego jubilera na swój własny rachunek, wyłącznie dla sportu, wówczas ten marny wynik wywołałby u nich jedynie niewielkie i szybko zapomniane rozczarowanie bez konsekwencji, lecz sponsor przebiera nerwowo nogami, a poczucie honoru Bruna, dane słowo, tak ważne dla

jego ojca, nie pozwalają mu wysłać gościa do diabła albo kazać mu czekać zbyt długo. Postanawia więc uderzyć szybko raz jeszcze i prawie natychmiast. Tym razem, żeby uniknąć problemów wynikających z braku czasu na przygotowania, wybiera za cel sklep jubilerski na prowincji, gdzie z pewnością powinno pójść znacznie łatwiej. Pewien znawca przedmiotu powiedział mu o Kreissie, w Thionville, na północ od Metz, gdzie witryny są podobno bardzo bogate.

Dnia 22 marca Bruno parkuje bmw na rue du Maréchal-Joffre, niedaleko starego centrum Thionville, dwadzieścia metrów od wejścia do sklepu jubilerskiego Kreiss. Trzeba najpierw zadzwonić, Sulak przedstawia się, jest elegancko ubrany, natomiast Steve, który wygląda jak typ spod ciemnej gwiazdy, ubrany w luźną i obszerną bluzę, stoi z boku, tak żeby go nie było widać. Po raz pierwszy weszli do sklepu we dwóch: ponieważ nikt niespodziewany nie może dostać się do środka, nie jest konieczne, aby Steve czekał na zewnątrz, gdyż byłoby to wręcz podejrzane na tak mało ruchliwej ulicy, a tak, we dwóch, powinno im pójść znacznie szybciej. Szeroko uśmiechnięta sprzedawczyni podchodzi, aby mu otworzyć, on przytrzymuje drzwi, na klamce wciąż spoczywa jej ręka, Steve wchodzi do środka, Bruno łagodnie łapie za ramię sprzedawczynię. Wyciągają rewolwery, celują w stronę drugiej kobiety i mężczyzny, no a potem działają już rutynowo, a więc kajdanki (nadal nie dotarła dostawa kajdanek na kciuki), klucze od witryny i napełnianie torby.

Niemal skończyli robotę, kiedy słychać dzwonek u drzwi. Bruno podnosi głowę: dwóch młodych mężczyzn, ubranych jak świadkowie na ślub, czeka na chodniku przed sklepem. Po chwili zastanowienia, czy otwierać, czy nie, prosi Steve'a, żeby poszedł otworzyć, gdyż przystojni chłopcy nie mają, zdaje się, ochoty wrócić, skąd przybyli. System zamykania drzwi jest dosyć specjalny, a bokser o niezgrabnych łapskach nie potrafi sobie z tym poradzić. Stojąc przy ladzie z torbą w ręce, Bruno marszczy brwi, czuje, że jego „wewnętrzny gliniarz” tańczy charlestona: twarze obu potencjalnych klientów są nieprzeniknione, wcale nie wydają się zdziwieni, widząc olbrzyma mocującego się z zamkiem u drzwi w sklepie jubilerskim, gdy tymczasem pozostali pracownicy stoją bez ruchu z rękami na plecach. Podchodzi do Steve'a i po kilku chwilach udaje mu się otworzyć drzwi.

– Bardzo proszę, wejdźcie panowie, czujcie się jak u siebie w domu – mówi, wyciągając magnum .357.

Steve zamyka drzwi, zakłada kajdanki (ostatnie dwie pary, a potem zamykamy zakład) zachowującym stoicki spokój nowo przybyłym, każdy przeszukuje jednego z nich. Udany połów, bo znajdują automatyczne pistolety i odznaki policyjne.

– No i co teraz będzie, panowie policjanci, co wy tutaj robicie?

– A nic specjalnego, akurat przechodziliśmy, to wpadliśmy.

– Tak... Oczywiście, a ja przyszedłem tu na grzyby.

Bruno zrozumiał natychmiast, że jeden z pracowników musiał włączyć alarm połączony bezpośrednio z komisariatem (pewnie system ten stosuje się częściej na prowincji, gdzie jest o wiele mniej banków i sklepów jubilerskich niż w Paryżu – o tym wcześniej nie pomyślał), może zrobili to już w chwili, gdy wchodzili do sklepiku albo kiedy chwycił za rękę sprzedawczynię, kiedy ta otwierała mu drzwi. Ale jedna rzecz mu tutaj nie pasuje: skoro policjanci zostali zaalarmowani, to dlaczego pojawili się tu, trzymając ręce w kieszeniach, i dali się złapać jak durnie?

Podchodzi do przeszklonych drzwi. Kilka samochodów parkuje na ulicy, podekscytowani policjanci wysiadają z bronią gotową do strzału, napięci jak struna, widać, że zaraz wybuchną – nie co dzień przecież dzieje się coś ciekawego w okolicy. (Gdyby Steve został na chodniku, co by się tu teraz działo?). Zupełnie jak w filmie, niektórzy chowają się za maskami samochodów, inni klękają na jedno kolano, zamykają jedno oko i celują w stronę drzwi. Bruno widzi niemal ich zaciskające się na spuście palce. Od bardzo dawna czegoś takiego nie przeżywał, właściwie od czasu debiutanckich występów na ulicach Marsylii: boi się. Policjanci z Thionville mogą nie być zbyt dobrze przygotowani do tego rodzaju sytuacji i może im zabraknąć niezbędnego opanowania. Poza tym nie znają go i nie wiedzą, że nie jest ani Grosem, ani Havotem i że do nikogo nie strzeli. Mogą więc rozwalić wszystko przy najmniejszym ruchu, jaki wykona. No właśnie, trzeba to wykorzystać i zadziałać jak należy. Pokonać lęk poprzez działanie. (No, chłopcze, do dzieła!).

Szybko zbiera się w sobie, zgarnia ostatnie interesujące klejnoty, prosi Steve'a, żeby mu podał granat, który zawsze z sobą nosi w czasie „roboty” (dokładnie na tego typu okazje, gdy trzeba uciekać z bardzo nieprzyjemnego miejsca), i wmawia sobie, że nie ma powodów, by się bać. (Już siebie widzę, jak siedzę zamknięty w pokoju, z którego jedyna droga prowadzi w kierunku dwudziestu albo trzydziestu bardzo nerwowych gości celujących z broni prosto we mnie, wiem, że muszę się wydostać na zewnątrz, przebiec obok nich z granatem w ręce, i próbuję sobie wmówić, że nie ma powodu do strachu: ale jest mi siebie żal i zaczynam płakać). Przecież to tylko uzbrojeni funkcjonariusze policji. Ci, którzy wyjdą zwycięsko z tego starcia, to będą ci, którzy bardziej przestraszą tych drugich.

– Nie wydostaniecie się stąd – odzywa się jeden z gliniarzy. – Cała ulica jest obstawiona przez policję.

– To miło, że się o nas niepokoisz, ale poradzimy sobie, i to bez większego problemu.

– Bardzo jestem ciekaw jak.

– Do usług, zaraz zobaczysz, i to całkiem z bliska, bo pójdziesz z nami.

Bruno i Steve przez chwilę rozmawiają, po czym otwierają drzwi i wychodzą

na ulicę pewni siebie i całkiem spokojni: popychają przed sobą zakutego w kajdanki policjanta, Steve trzyma go jedną ręką, a drugą przyciska mu do szyi rewolwer, Bruno idzie jako trzeci, z torbą w lewej ręce i granatem w prawej. Wszyscy policjanci, którzy zajęli miejsca na wprost nich, zaczynają wibrować. (Wczoraj wieczorem w piekarni stało za mną takich dwóch, nie wiem już nawet z jakiej dokładnie jednostki, ale na pewno jakaś grupa interwencyjna, byli młodzi, ogolone łby, napakowani, silni, obaj bardzo wysocy, wyglądali jak bestie, a każdy z nich miał przy sobie kilka sztuk czarnej broni: nawet w piekarni, kiedy nie ma się nic innego do roboty jak zakup bagietki, taki widok ścina z nóg, bo widzimy przed sobą potencjalną śmierć). Bruno jednak już przestał się bać. Jedyne, co odczuwa, to złość na samego siebie: zakładnik ze spluwą na gardle, możliwość, że sytuacja wymknie się spod kontroli i przeobrazi się w krwawy dramat, jeśli któremuś policjantowi puszczą nerwy (poza faktem, że byłoby to bardzo smutne dla Steve'a i dla niego samego, gdyż najmniejszy wyskok spowodowałby zagrożenie dla wielu ludzi, którzy w przeciwieństwie do nich nie są niczemu winni), i z tego względu nie jest z siebie dumny. Lecz skoro już się tutaj znalazł, skoro wylądował w tej paskudnej dziurze, musi się z niej wydostać, tak jak potrafi, grając tymi kartami, które mu zostały. A że nie ma wielu asów w rękawie, stawia na bluff: podnosi do góry granat i ostentacyjnie wyciąga zawleczkę.

– Nie mamy nic do stracenia i jesteśmy gotowi zginąć. Jeśli któryś z was się ruszy, wysadzimy wszystko w powietrze. Tak więc albo wszyscy z tego wyjdziemy cało, albo wszystkich nas trafi szlag. Jeśli nas wypuścicie, zabierzemy waszego kolegę i niedługo wam go oddamy. Inaczej poleje się krew. Musicie coś zdecydować!

Policjanci są maksymalnie napięci, czekają, strach jest teraz po ich stronie, jeden z nich, całkiem młody, trzyma pistolet w obu dłoniach, przykucnął, wydaje się, że zaraz dostanie ataku epilepsji, ale najwyraźniej nie ma jasno określonego szefa, albo ten szef zapomina o tym, że powinien się wypowiedzieć, więc powoli, plecami dotykając ściany, zaczynają się przesuwac w stronę bmw. Steve i zakładnik siadają z tyłu, Bruno zajmuje miejsce za kierownicą. Włącza silnik, rusza z miejsca i wysuwa rękę z granatem przez otwarte okno, spokojnie przejeżdża między nabuzowanymi policjantami jak flakonik z nitrogliceryną między dwudziestoma wirującymi automatycznymi suszarkami do pościeli. Po chwili odrobinę przyspiesza i kieruje się w stronę autostrady (nie ma wcale zamiaru na nią wjechać, bo to najlepszy sposób, żeby go śledzić, a do tego policja na pewno zapisała numer rejestracyjny ich bmw). Blokady pewnie już zostały poustawiane, ale Bruno miał trochę czasu i oddalił się na tyle, żeby zwiększyła się liczba potencjalnych dróg ucieczki, tak samo jak coraz większa liczba dróg, które trzeba będzie zablokować. Ostrożnie podaje granat Steve'owi, który jednak nie potrafi ponownie go zabezpieczyć.

Wybierając drogę w sposób logiczny najmniej prawdopodobną, Bruno oddala się od Thionville na północny zachód – uważa jednak, żeby nie zbliżyć się zanadto do granicy z Luksemburgiem i Belgią, gdzie z pewnością już na niego czekają. Na tylnym siedzeniu tkwi mocno wystraszony policjant, widok odbezpieczonego granatu w grubych łapskach Steve'a może go odrobinę niepokoić, ale też nie wygląda na to, żeby miał za chwilę zemdleć, rozumiał bowiem, jak się wydaje, że nie ma do czynienia z nieprzewidywalnymi i krwiożerczymi zwyrodnialcami. Bruno pozwala mu wysiąść z samochodu w lesie, kilka kilometrów od wioski Pierrepont:

– Przepraszam, ale nie możemy cię podwieźć dalej.

Dziesięć minut później ich bmw zatrzymuje się na skraju pola, gdzie Steve wyrzuca granat. Następnego dnia rolnik musiał chyba długo się drapać po głowie.

W Verdun Bruno zostawia Steve'a, który do Paryża ma dojechać pociągiem: w Thionville pewnie jeszcze nikt nie powiązał z sobą dwóch poszukiwanych wszędzie bandytów z Sulakiem i facetem z *Zawodowca*, ale trzymanie się razem nie jest jednak najlepszym pomysłem. Bruno zatrzymuje torbę z bronią i biżuterią. Bmw ma paryskie numery rejestracyjne, możliwe, że pociągi do Paryża są pod obserwacją. Natomiast nie musi zmieniać samochodu, bo policjanci z Thionville nie mieli fizycznie możliwości powiadomienia wszystkich swoich kolegów na wschodzie Francji (dzisiaj sprawa wyglądałaby całkiem inaczej).

Omijając główne drogi, Bruno zmierza na północny zachód, żeby dojechać do Paryża od innej strony niż ta, z której się go spodziewają, ma czas, a nawet im później przyjedzie, tym lepiej dla niego, zawsze bowiem należy zachowywać się zupełnie inaczej, niż się tego spodziewa przeciwnik.

Jest piętnaście kilometrów od boulevard Périphérique, zapada wieczór, gdy nagle uderza z dużą prędkością w samochód, który wyjechał z lewej strony z podporządkowanej drogi. Zwolnił przed skrzyżowaniem, ale uderza jednak mocno czołem w przednią szybę. Gdy już trochę ochłonął, waha się, czuje, że rośnie mu potężny guz, zastanawia się, czy uciekać na piechotę, ale nigdy nie wiadomo, bo ten facet z fuego jest być może mistrzem regionu Île-de-France w biegu na sto metrów, inne samochody się zatrzymują, coraz bardziej boli go głowa. Wysiada z samochodu i pyta tego mistrza, czy wszystko w porządku i czy chce spisać oświadczenie.

– Czy ja chcę spisać oświadczenie? A widział pan swoje autko? Jest do niczego.

– Ale to pana wina.

– No i co? Właśnie. Za kogo mnie pan bierze? Pewnie, że spisujemy oświadczenie, przecież nie jestem oszustem.

– Już dobrze, w porządku, przepraszam, trochę mi szumi w uszach. Muszę tylko szybko zadzwonić, to ważne.

Na całe szczęście kabina telefoniczna jest dosłownie o kilka kroków dalej, a Steve dotarł już do domu. (W chwili gdy podnosi słuchawkę, Bruno widzi, że zatrzymały się już trzy albo cztery kolejne samochody, kierowcy wysiedli i patrzą w jego stronę. Pełna skarbów torba nadal tkwi w bagażniku bmw.) Wyjaśnia mu szybko i na tyle precyzyjnie, na ile może, gdzie się teraz znajduje.

– Przyjeżdżaj szybko, bo wpadłem w niezłe gówno. Za dużo tu ludzi, nie mogę się stąd zmyć, samochód skasowany, zadzwonią zaraz po gliniarzy, to pewne, nie mam jak się stąd wydostać. Pospiesz się!

Kiedy wróci na miejsce wypadku, stara się grać trochę na czas, skarży się na ból głowy, ale też nie za bardzo, nie ma sensu wzywać karetki, wystarczy, że na chwilę usiądzie, potem ociąga się ze spisywaniem oświadczenia, po raz pierwszy w życiu zdarzył mu się wypadek, jak się w ogóle sporządza opis zdarzenia? Wie, że Steve nie straci ani sekundy. Jednak, co było nieuniknione, jeden z otaczających ich obywateli proponuje, że pójdzie do budki telefonicznej i wezwie policję.

– Ale po co policja? Zgadzą się spisać oświadczenie, nie ma problemu.

– A te wasze samochody to długo będą tak stać i blokować drogę?

– Ojej, rzeczywiście, przepraszam, ale jestem kompletnie rozbity. Tak jak mój samochód! Ha, ha, ha!

No i zaczęło się, wyścig między Steve'em i policją rozpoczął się. Od jego wyniku zależy prawdopodobnie dalsze życie Bruna, czy będzie toczyć się w słońcu, czy pograży się w cieniu. Ale on wolałby sobie odciąć rękę, niż wrócić za kratki. Nie zależy to jednak wyłącznie od niego, może jedynie czekać, aż inni zdecydują o jego losie, jest teraz całkowicie bezbronny (więc nawet odcięcie ręki w niczym by mu nie pomogło). Otwiera niedbale bagażnik zdezelowanego bmw, wyciąga torbę, sprawiając wrażenie, jakby myślał o czymś innym, tak jakby samochód był już wrakiem, który zostawia się za sobą jak młodość, trudno. Otacza go teraz siedem albo osiem osób. Serce bije mu tak mocno, że aż drżą od tego wszystkie nity na wieży Eiffla.

Steve oświadczył kiedyś, że trzeba będzie wpierw go wykończyć, zanim zatrzymają Bruna, więc te piętnaście kilometrów na pełnym gazie nie wywołują u niego skurczów żołądka. Steve wygrywa te zawody. Bruno oddycha wreszcie pełną piersią jak na pokrytej stokrotkami łące i podchodzi do niego jak gość, który przypadkowo spotyka na ulicy szwagra. Potem bardzo szybko wsiada do samochodu, zajmując miejsce obok Steve'a, i odjeżdżają z rykiem silnika pod osłupiałym wzrokiem sprawcy wypadku oraz altruistycznie nastawionych innych kierowców.

Zaledwie trzysta metrów dalej Steve i Bruno mijają radiowóz żandarmerii jadący na miejsce kolizji. Dopiero gdy przyjadą do Steve'a, Bruno uświadomi sobie do końca to, co wydarzyło się w ciągu tego dnia, i to, co mogło im się stać. Musi usiąść na łóżku, przez chwilę siedzi nieruchomo, nawet nie myśli o tym, by

otworzyć torbę z klejnotami.

- Witam, panie komisarzu.
- Ach, to ty, zaczynałem się już niepokoić!
- Tak bardzo za mną tęsknisz?
- Powiedzmy raczej, że chętnie bym się z tobą znowu zobaczył...
- Na razie nie licz na to, nie ma takiego niebezpieczeństwa. Chociaż zaraz, jednak tak, chyba widziałem cię niedawno, w szarym renault. Jesteś jakby trochę bardziej kudłaty niż w zeszłym roku, nie?
- Myślę, że chyba raczej widziałeś moje zdjęcie w gazecie...
- No nie, ale tak na poważnie, myślę, że to jednak byłeś ty. W każdym razie dzwonię nie po to, żeby gadać o twojej nowej fryzurze. Wiesz co, zastanawiałem się nad tym, co mi poprzednio powiedziałeś, i myślę, że masz rację, przeze mnie ludzie mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie, stwarzam zagrożenie dla społeczeństwa.
- Jakże słuszna refleksja, gratuluję. Pozostaje ci już tylko się poddać.
- Ale tak bez żartów, byłem o krok od katastrofy.
- W Thionville?
- No.
- Byłem prawie pewien, że to twoja sprawka. Podobno prowadziłeś samochód jedną ręką...
- Tak, ten granat, wiem, to nie było zbyt mądre. A jednocześnie nie mogłem za bardzo zrobić cokolwiek innego. I tak miałem szczęście, że trafiłem na niezbyt rozbawionych gości, bo jakby to byli twoi ludzie, byłoby już po mnie.
- Jasne, nigdy nie pozwoliłbym ci zwiać.
- Wiem o tym. Więc skończę z tym, tak myślę.
- Jak to skończysz? Ze wszystkim?
- No, tak, ze wszystkim. To było poważne ostrzeżenie. Tyle że nie byłem za dobrze przygotowany, to moja wina, bo trochę mi odbija.
- Zaraz, zaraz, ale jeśli z tym skończysz, to co mam zrobić, żeby cię złapać?
- Ano tak, to prawda. Ale nawet jeśli będę to robił dalej, i tak mnie nie złapiesz.
- Ty tak twierdzisz. Jeśli chodzi o mnie, zrobię wszystko, żeby cię złapać, a jeśli to mi się nie uda, odejdę z policji.
- O nie, byłoby szkoda. Ale jeśli chcesz mnie dopaść, musisz być bardzo, ale to bardzo dyskretny, bo ja gliniarzy wyczuwam instynktownie na odległość. I do tego szybko biegam!
- Zrobię, co się da. To, co by mi naprawdę przeszkadzało, to gdybyś wyjął rewolwer.
- Co do tego nie ma żadnego ryzyka. Nigdy nie wychodzę z bronią, nigdy.

No, chyba że pracuję. I powiedz to swoim ludziom, proszę, nie chcę, żeby do mnie strzelali jak do królika.

– Nie ma problemu, masz moje słowo. To gdzie cię mogę znaleźć?

– Och, no jestem teraz w Paryżu...

– I co robisz?

– Nic specjalnego, sport, zakupy, kino, jakieś nocne kluby. Apocalypse, Élysée-Matignon, Aventure...

– Przestań, wiem, że ostatnio nie zachodzisz za często do tych miejsc...

– Jesteś dobrze zorientowany, jak widzę. To prawda, nie jest tam już tak fajnie, jak dawniej bywało, strasznie dużo teraz wszędzie wpuszczają gliniarzy.

– Masz jakieś wieści od Talii?

– Nie, zupełnie nic, spaliłem za sobą mosty, nie chcę jej narobić kłopotów.

Zresztą ze wszystkimi urwały mi się kontakty. Dlatego do ciebie dzwonię. Jak dobrze pogadać sobie ze starym znajomym.

– Jeśli tylko mogę ci się na coś przydać... A teraz, gdzie jesteś?

– W budce telefonicznej. Próbujesz mnie namierzyć?

– Stąd, gdzie jestem, nie mogę.

– Szkoda, bo pięć metrów ode mnie na chodniku stoi trzech policjantów. Ale nie bardzo się mną interesują, tak mi się wydaje.

– Gdyby tylko wiedzieli, co z sobą masz...

– Nie mam kompletnie nic, tylko kilka banknotów.

– A gdzie jest biżuteria?

– Co do biżuterii, nie chcę, żebyś sobie robił jakieś nadzieje, nic nie zostało, pozbywam się wszystkiego tak szybko, jak się da.

– No to w ten sposób masz sporo gotówki...

– Jest w porządku, dzięki. Tylko nie myśl, że położysz na tym łapę. Ale jeśli chcesz, mogę ci coś pożyczyć. Bez oprocentowania. Nie żartuję.

– Byłoby to nawet całkiem niezłe, tyle że trochę wbrew etyce zawodowej. Ale jeśli masz ochotę, możesz przekazać policji darowiznę, nie odmówimy.

– Potrzebujecie lepszego sprzętu, żeby mnie namierzyć?

– Dokładnie tak.

– Hm, no nie wiem, muszę się nad tym zastanowić. No, ale już czas na mnie, pożegnam się.

– Nie wahaj się zadzwonić, żeby powiedzieć, co u ciebie słyhać, zadzwoń znowu albo wyślij kartkę, ot, tak, żebym wiedział, gdzie jesteś, zawsze będzie mi miło.

– Możesz na mnie liczyć.

– Ale z drugiej strony, jeśli chcesz dzwonić tylko po to, żeby udawać tajemniczego i nic mi nie powiedzieć, to właściwie nie warto.

– Spróbuj mnie zrozumieć. Wiesz, co byłoby fajne? Żebym był na wolności

wtedy, gdy ty będziesz przechodził na emeryturę.

– Napisalibyśmy razem książkę?

– No, na przykład. Poszlibyśmy się napić do jakiejś knajpki od czasu do czasu, tylko we dwóch, jak starzy kumple.

– Słuchaj, życzę ci tego. Życzę ci tego, ale jako ja, nie jako gliniarz. Bo gliniarz ci nie odpuści.

– Dziękuję, panie komisarzu. Cześć!

Talia wsiada do samochodu swojej matki i jedzie w kierunku Sorgues, gdzie jej kolega Chris, który właśnie do niej dzwonił, zaproponował jej, żeby się zobaczyli. Mają się spotkać trzy kilometry od Bédarrides. Jedzie za nią niebieska łada z napędem 4×4, za kierownicą siedzi jakiś przystojny chłopak, który najwyraźniej pracuje jako mechanik. Albo stolarz. Ponieważ nie wie, na ile czasu ją porwie, a matka zapowiedziała jej, zanim wyszła z domu, że na wieczór będzie potrzebowała samochodu, Talia zatrzymuje się przy chodniku w Sorgues i zostawia kluczyki do samochodu w skrytce pod deską rozdzielczą. Nikt go nie ukradnie do czasu, kiedy jej matka przyjedzie po samochód, zaparkowała bowiem dokładnie naprzeciwko posterunku żandarmerii.

Bruno schyla się na fotelu, żeby otworzyć drzwi łady od strony pasażera, niebieski kombinezon roboczy pasuje mu jak ulał. (A że logika wcale nie rządzi tym światem, jestem pewien, że w garniturze w stylu Arsène'a Lupina wyglądałby znacznie gorzej). Pyta Talię, czy miałaby ochotę spędzić z nim trzy albo cztery dni w Paryżu, ona wie, że to niezbyt rozsądne, ale nie może się oprzeć dosyć gorzkiemu przecież pragnieniu, by przeżyć raz jeszcze kilka dawnych chwil z przeszłości.

Po drodze zatrzymują się na parkingu przy autostradzie, on wygłupia się, odstawia legionistę, skacze z niewielkiego mostku z wysokości sześciu metrów i ląduje na trawie jak kot na zawodach, nadal jest wygimnastykowany, potrafi упаść z dużej wysokości, jego instruktorzy z 2. REP byliby z niego dumni.

W Paryżu spacerują po tonących w słońcu bulwarach, odpoczywają nad brzegiem Sekwany, ale jest jednak inaczej niż dawniej: jeśli siadają gdzieś, to tylko na kilka minut, a na zalanych słońcem bulwarach on idzie dwa metry przed nią. Rzadko zagląдают do restauracji i kafejek, *room service* w eleganckich hotelach jest mniej niebezpieczny, jedzą w swoim pokoju udka kurczaka, a potem kochają się. Bruno nie ukrywa przed Talią nocy spędzonych z innymi kobietami, zresztą ona się tego domyśla, a on nie chce jej okłamywać. Wolałaby, rzecz jasna, żeby nie było innych kobiet w jego życiu, lecz to nie jest możliwe i nie jest to aż tak poważna sprawa, nie ma o to do niego pretensji, musi przecież w miarę normalnie korzystać z życia, wie, że w każdej chwili mogą go aresztować. W sobotę wieczorem postanawiają spędzić noc w Orléans Palace, pierwszym hotelu, w jakim się zatrzymali razem, trochę więc jakby puścili oko do przeszłości, ale nie jest tam niestety tak wesoło, jak tego oczekiwali.

W środku nocy Bruno budzi się z krzykiem – kiedy Talia otwiera oczy, on siedzi na łóżku, z trudem łapiąc oddech, śniło mu się, że go łapali. Rozumie, że chociaż w dzień jej mężczyzna wydaje się spokojny i rozluźniony, sprawia wrażenie nieuchwytnego kota, to jednak bardzo się niepokoi.

Kochają się, niełatwo im obejść się bez siebie. Żadne z nich nie mieszka na końcu świata, żadne z nich nie siedzi w więzieniu ani żadne z nich nie umarło, nie zostało dotknięte jakąś tragedią, a jednak to, co przeżywają albo czego razem nie przeżywają, bardzo to przypomina. Kochają się, lecz nie mogą się widywać. Spotykają się bardzo, bardzo rzadko.

W niedzielę, 24 lipca, Paryż pęka w szwach, Champs Élysées i przyległe ulice są zablokowane, dziesiątki, setki tysięcy ludzi tłoczą się przy barierkach: Laurent Fignon jest na najlepszej drodze, żeby wygrać swój pierwszy Tour de France.

Po tym, jak odwiózł Talię do Bédarrides, Bruno wyrusza do Tuluzy. Chce się zobaczyć ze swoimi siostrami. W recepcji stacji radiowej Sud Radio, gdzie pracuje Pauline, hostessa, która najwyraźniej go rozpoznaje, mówi mu, że siostra poszła na obiad do pobliskiej włoskiej knajpki. Idzie tam, nie zachowując zbyt dużej ostrożności. Ale nie przejmuje się tym, nie czuje się dobrze, musi się z nią koniecznie zobaczyć.

Zaledwie wszedł do sali restauracyjnej, gdy Stella, młodsza siostra, którą zawsze nosi w sercu, wstaje od stołu, biegnie w jego stronę i rzuca mu się na szyję. W marcu obchodziła osiemnaste urodziny. Pauline stoi tuż obok, wita się z nim, ale od razu widzi, że coś nie gra, Bruno wydaje się smutny, przybity, mimo radości ze spotkania z rodziną. Wiedzą, że nie mogą tu zostać, siostry przepraszają znajomych, z którymi przyszły na obiad, a potem wszyscy troje jadą samochodem Bruna do mieszkania Pauline.

Zostaje z nimi niecałe pół godziny, to nawet dłużej, niż może sobie pozwolić, ale to wystarczy, aby Pauline i Stella spostrzegły, że ich brat jest poirytowany i smutny jak nigdy dotąd, jest wręcz ponury, czego nawet nie stara się tuszować. Kilkanaście miesięcy ukrywania się wykończyło go psychicznie, a ludzie ze świata biznesu i polityki, z którymi najwyraźniej widuje się częściej, niż sądziły, chociaż on sam nie chce opowiadać o tym w szczegółach (zresztą z nikim o tym nie będzie rozmawiał, często bowiem podkreślał, że nie jest obrońcą jakiejś sprawy, nie prowadzi walki ideologicznej – co przecież nie oznacza, że nie odczuwa wewnętrznej złości), wzbudzają w nim głęboką odrazę.

– Cały ten świątek jest naprawdę paskudny. Nawet gdybym teraz z tym wszystkim skończył, nie mógłbym już być szczęśliwy.

Wręcza Stelli dowód rejestracyjny i kluczyki do niebieskiej łady z napędem 4×4, dowiedział się bowiem chwilę wcześniej, że właśnie zdała egzamin na prawo jazdy. Nie jest to może prezent aż tak rewelacyjny, że „klękajcie narody”, ale nic innego nie ma teraz pod ręką, a poza tym czy jest coś lepszego dla młodej dziewczyny ze świeżym „prawkiem” w ręku niż właśnie samochód? Niebieska terenowa łada, miły drobiazg.

W chwili gdy zamierza się już z nimi rozstać, malutka Julie, jego dwuletnia

siostrzenica, której prawie nie zna, drepcze w jego stronę i ściska go za kolano:

– Kocham cię, wujku Bruno!

Cały ten „paskudny światek” znika w jednej chwili.

Wychodząc z mieszkania siostry, Bruno czuje się trochę lepiej między domami z różowych kamieni w lipcowym słońcu Tuluzy. Wraca do Paryża pociągiem, kupuje potem okazjnie bmw od faceta, który wygląda poważnie (facet nie nosi serdaczka).

Dwa dni później Pauline zgadza się udzielić wywiadu na temat brata dziennikarce z „La Dépêche du Midi”. Wychodzi z tego artykuł na całą stronę, a tytuł brzmi: *Siostra występuje w obronie wroga publicznego numer 1*. Oczywiście nie widziała go od czasu jego ostatniego pobytu w więzieniu, lecz jest pewna, że nadal, w głębi duszy, pozostaje dobrym człowiekiem, pomimo tego, co zrobił w ciągu ostatnich miesięcy. *Mój brat nie jest Mesrine’em*. Przypomina, że *nigdy nie przelał ani jednej kropli cudzej krwi, ale że po prostu nie zgadza się, aby ktokolwiek miał prawo mu rozkazywać, osądzać go i zmuszać do czegokolwiek*. Ukazuje więc zupełnie inny jego obraz od tego, który proponują niektóre gazety, a mianowicie obraz nie liczącego się z nikim i z niczym przestępca: *Jest bardzo inteligentny, nie ma w sobie nic z brutalnego chama, który tylko myśli o tym, żeby wyciągnąć spluwę. Ma też duże poczucie humoru*. Pauline zresztą też umie być dowcipna: *Aby zarobić na swoje utrzymanie, po pierwszej ucieczce zatrudnił się jako ochroniarz*. Na koniec wywiadu, zadaje sama sobie pytanie: *Kiedy to wszystko się skończy?*

Wkrótce potem kontaktuje się z nią kolega ze stacji radiowej Europe 1, Philippe Berti, który chciałby przeprowadzić wywiad z samym Brunem, w perspektywie byłby to „gorący materiał”. Ona niczego nie obiecuje poza tym, że kiedy będzie to możliwe, przekaże mu tę propozycję. Niełatwo się z nim, rzecz jasna, skontaktować, ale udaje się jej to podczas pobytu z córką w Paryżu, gdy rozmawia z szefem kawiarni, z którym Bruno polecił jej kontaktować się w nagłych przypadkach. To przyjaciel Steve’a, któremu Pauline tłumaczy w paru słowach, że chodzi o przeprowadzenie wywiadu dla stacji radiowej. Szef knajpy notuje informację i prosi ją, aby zjawiła się następnego dnia o 16.30 w le Fouquet’s. Idzie tam, zamawia butelkę wody Perrier, ma nadzieję, że zobaczy się z bratem, lecz o wyznaczonej porze barman powiadamia ją, że „pani Pauline” jest proszona do telefonu. Idzie w stronę telefonu, trochę zdezorientowana, ale i spokojniejsza, że podjął daleko idące środki ostrożności. Bruno, który od poprzedniego dnia zasięgnął języka tu i tam, odmawia udzielenia wywiadu: z jednej strony, tak naprawdę nie za bardzo go to interesuje, a z drugiej strony i przede wszystkim, Philippe Berti, w którego lojalność nie ma powodów wątpić, pracuje w stacji Europe 1 pod kierunkiem znanego dziennikarza, którego podejrzewa się, mówiąc oględnie, że współpracuje blisko ze służbami specjalnymi.

(A mówiąc mniej oględnie, w ustach Bruna mogłoby to brzmieć: „To zasadzka”).

W nocy z czwartku, 4 sierpnia, na piątek, 5 sierpnia 1983 roku (Anne-Catherine, moja żona, będzie miała o świcie dziewięć lat), o godzinie 3.25 klientka dopija koktajl w barze hotelu Sofitel la Balance (a jakże) w Awinionie, nieopodal place de l'Horloge. Jest jedną z osób odpowiedzialnych za organizację festiwalu, który zakończy się za dwa dni, nazywa się Agnès Buis i ma trzydzieści lat. Barman, Pierre Ansinelli, wyciera ostatnie szklanki. Ma dwadzieścia pięć lat, jest znajomym Talii, chciałby jak najszybciej położyć się spać. Pianista też jest kolegą Talii, poznała go w kawiarni artystycznej, gdzie od czasu do czasu sobie dorabiała: Jean Ahronian, zwany Nano, obchodził właśnie trzydzieste pierwsze urodziny, jego narzeczona jest w czwartym miesiącu ciąży – mają problemy finansowe, cieszy się, że dzięki pracującemu za barem kumpłowi udało mu się zdobyć tę kilkudniową fuchę w Sofitelu, w zastępstwie stałego pianisty, który wyjechał na wakacje. Gra spokojne kawałki w stylu barowo-hotelowym dla ostatniej klientki i dla siebie samego, nawet lubi tę atmosferę.

W recepcji Sofitelu nie ma nikogo: recepcjonistka i nocny portier, Nicole Van Buren i René Pool, dwoje Holendrów w wieku dwudziestu trzech i dwudziestu ośmiu lat, którzy są na stażu w eleganckim francuskim hotelu, jedzą właśnie kolację w niewielkim biurze na tyłach recepcji. Nagle słychać dzwonek.

Jakiś nocny klient chce wynająć pokój, Nicole proponuje mu numer 214 i podaje klucz portierowi René. Klient wychodzi na chwilę, mówiąc, że idzie po bagaże, po czym wraca z torbą i dwoma nieciekawie wyglądającymi typami: Jeanem Rousselem (dziewięć lat w więzieniu w Clairvaux, z czego kilka w QHS²², otrzymał dziesięć dni temu zgodę na warunkowe opuszczenie zakładu, aby zobaczyć się z chorą matką, i od tej pory słuch po nim zaginął) oraz Jackym Gouttenoire'em²³ (sutener, już samo nazwisko wystarcza, aby domyślać się, co robił w przeszłości i jaki ma charakter). Wszyscy trzej wyjmują broń i żądają kluczy do hotelowego sejfu, który znajduje się w biurze, gdzie jedzą kolację Nicole i René. Holenderscy pracownicy nie mają kluczy, a ich przerażenie świadczy niezbicie o tym, że mówią prawdę. Klucze nosi zawsze przy sobie dyrektor hotelu. Jeden z napastników o wątlym umyśle próbuje naiwnie (chcemy być dla niego wyrozumiali) otworzyć sejf dłutem i młotkiem, a potem jeszcze próbuje łomem. Zaalarmowany hałasem zupełnie jak z placu budowy barman Pierre idzie zobaczyć, co się dzieje, i po chwili nadzieja się na strzelbę myśliwską z obciętą lufą trzymaną przez Gouttenoire'a, który popycha go brutalnie w stronę obojga Holendrów. Roussel, drugi z bandytów, idzie do baru i wraca stamtąd z Agnès Buis i Nano, których prowadzi przed sobą, celując w nich ze swojego lugera P08. Ten, który jest szefem, mężczyzna bez nazwiska, pyta, gdzie teraz przebywa dyrektor. Odpowiadają mu, że w swoim pokoju, w 202. Trzech napastników i piątka

zakładników wchodzi razem na drugie piętro. Od tego momentu nie wiadomo dokładnie, co się wydarzyło (Jean Roussel, który opowiedział o tym, co stało się na początku, nigdy nie powie o tym, jak to się skończyło), ale według tego, co zastali policjanci po przybyciu na miejsce, można się domyślać.

Przed drzwiami do pokoju numer 202 jeden z pracowników hotelu prawdopodobnie usiłował uciec albo rozbroić jednego z bandytów. Być może był to Pierre Ansinelli, barman, ponieważ znaleziono go samego w łazience pokoju numer 201, z pociskiem wystrzelonym ze strzelby myśliwskiej i z poderżniętym gardłem. W tym samym czasie hałas, strzały albo głośne krzyki sprawiły, że ze swojego pokoju, numer 209, wyrzwał Lucien André, pięćdziesięcioletni konsul Republiki Francuskiej w Saarbrücken, w Niemczech, który zatrzymał się w Awinionie razem z żoną i dziećmi w drodze na wakacje na Korsykę. Dzieci śpią w sąsiednim pokoju. Jest prawdopodobne, że to w tym właśnie momencie portier René zaczął uciekać w stronę pokoju numer 214, do którego w ręce trzyma klucz. Rzuca się na stojący obok łóżka telefon i próbuje wezwać na pomoc policję. On także zostanie trafiony w głowę pociskiem ze strzelby myśliwskiej i zostanie dorżnięty nożem, najprawdopodobniej przez Gouttenoire'a. W pokoju numer 209 zostaną znaleźni klientka hotelu Agnès, recepcjonistka Nicole oraz Geneviève Dupont, żona konsula, wszystkie trzy zamordowane obok łóżka strzałem w potylicę, egzekucji dokonano lugerem należącym do Roussela; w łazience, na podłodze, w wielkiej kałuży krwi leżą konsul i pianista Nano, kolega Talii, zabici kilkoma pociskami 9 mm wystrzelonymi z lugera.

Kiedy pięć wozów policyjnych podjeżdża w tym samym czasie pod Sofitel, dwaj mężczyźni wyskakują z okna na drugim piętrze, z pokoju numer 209, i lądują na dachu zaparkowanego tam volkswagena. (Trzeci z bandytów, który nigdy nie zostanie schwytany, musiał uciec wcześniej przez drzwi, zanim zaczęła się rzeź. Wiadomo, że było ich trzech, ponieważ na blacie w recepcji znaleziono trzy pary rękawiczek). Rozpoczyna się pościg, zbiegowie zostaną złapani trzysta metrów od hotelu. Jacky Gouttenoire, mimo nogi skręconej w kostce po skoku z okna, wymyka się w ostatniej chwili (zapewne cieszy się, chociaż nie powinien, że udało mu się ująć z życiem), ale Jean Roussel odwraca się, żeby zastrzelić zbliżającego się do niego policjanta: magazynek jego lugera jest pusty, ma tylko czas, żeby mruknąć: „Szkoda!”, i zostaje pojmany.

Nazajutrz, 6 sierpnia, przekłęty Gouttenoire zostaje znaleziony całkiem nagi w kanale niedaleko Arles z dwiema kulami w głowie i czterema w klatce piersiowej. Trzeciemu z bandytów zapewne nie spodobało się, że Gouttenoire zachował się jak kompletny świr ze swoim myśliwskim obrzynem albo po prostu wolał pozbyć się ostatniego świadka tej rzezi i żalosnej porażki zdegenerowanych bandziorów. (Co do porażki, to nie jest ona wcale tak do końca pewna: śledztwo, które zostało wszczęte, pozwoliło ustalić, że być może nie był to nieudany napad,

tylko porachunki albo raczej bezlitosne ostrzeżenie po nieudanej próbie wymuszenia). Dwa lata po tym, jak został aresztowany, Jean Roussel umiera na zawał w furgonetce wiozącej go do biura sędziego śledczego. Niczego więc się od niego nie dowiedziano.

Trzy dni później Bruno zjawia się, żeby zabrać z sobą Talię. Może zostać tylko przez jedną noc, Steve czeka na niego w Cannes, zarezerwował więc pokój w hotelu niedaleko od jej domu w Awinionie. Talia pyta go, czy zupełnie stracił głowę, przecież w mieście jest pełno policji po siedmiokrotnym zabójstwie w Sofitelu, po ulicach krążą dziennikarze przybyli z całej Francji. Odpowiada jej, że nie przejmuje się tym, musiał ją zobaczyć, po prostu nie mógł wytrzymać bez niej – noc jednak mija zbyt szybko, jest wściekły i przerażony tym, co zrobili jego parszywi pseudokoledzy po fachu, Talia jest smutna. Bruno obiecuje, że niedługo znów się pojawi, zabierze ją gdzieś na dłużej i że będzie weselej. Ona prosi go jednak, by mimo wszystko bardziej uważał na siebie, nie może też przysiąc, że całkowicie przestali obserwować jej dom. Ale tydzień później, kiedy Talia wsiada do samochodu niemal w biegu na autostradzie, wszystko odbywa się bez żadnych kłopotów. Jadą do Saint-Tropez, mieszają się z tłumem, w mieście jest mnóstwo ludzi, jak zwykle pod koniec sierpnia, radują wzrok tym, co widzą w kilku witrynach u jubilerów, tańczą w Caves du Roy i kochają się w Byblos, śpią niemal do południa i wyruszają do Cannes, gdzie Bruno chce coś pokazać Talii. Wynajmują pokój w Gray d'Albion, w którym Bruno zwiedził galerię sklepów osiem miesięcy wcześniej. Następnego dnia, 18 sierpnia, wychodzą z hotelu i spacerują po la Croisette – także i z tym miejscem wiążą się mocne i przyjemne wspomnienia, Talia w stringach, roześmiany Bruno. Pięćset metrów dalej zatrzymują się przed sklepem jubilerskim Cartier, pod numerem 57, tuż przed Carltonem. Jest to w owym czasie jeden z największych i najbogatszych sklepów jubilerskich w Europie. Stojąc przed sześcioma mieniącymi się olśniewającym blaskiem witrynami, Bruno opowiada Talii o klejnotach najwyższej jakości z avenue Montaigne, o tym, jak bardzo podoba mu się biżuteria Cartiera, ale chce jej przede wszystkim pokazać jedną rzecz, a mianowicie panterę. Panterę o szmaragdowych oczach. Jest to zapalniczka w kształcie pantery wykonana z platyny, wysadzana brylantami, onyksami i szmaragdami. Na świecie istnieją tylko cztery egzemplarze, nieznacznie różniące się między sobą, każda z nich jest więc unikatowa, a jej wartość trudna do oszacowania. Bruno zakochał się w niej, że tak obrazowo określe jego słabość do tego pięknego przedmiotu. Przez dłuższą chwilę stoi nieruchomo przed witryną, nie może od niej oderwać wzroku. Talia wie oczywiście, co mu chodzi po głowie (kiedy widzimy kota wpatrującego się w przyczajoną w odległości trzydziestu centymetrów od niego przerażoną myszkę, nie trzeba być specjalistą od zwierzęcej telepatii, aby zgadnąć, co też drapieżnik sobie myśli), ale nie chce za długo zatrzymywać się na obrazach, które przychodzą jej do głowy – to duży sklep jubilerski, widać w środku co najmniej pięciu albo sześciu pracowników, może nawet więcej, znajduje się w najbardziej widocznym

miejscu w Cannes, nad morzem, dziesięć metrów od Carltona, na la Croisette pełnej turystów o tej porze roku. Cała armia policjantów może tu się stawić w niecałą minutę.

Obiad jedzą razem ze Steve'em, Talia cieszy się, że znowu go widzi, lecz jego obecność nie uspokaja jej, jeśli chodzi o zamiary Bruna, który potem zawozi ją po południu do Bédarrides. Zatrzymują się kilkaset metrów od domu jej rodziców, Bruno całuje ją i mówi do niej z uśmiechem:

– Obejrzyj jutro wiadomości w telewizji, powinni chyba coś wspomnieć o twoim facecie.

Nie odzywa się ani słowem, przytula się tylko do niego mocno, zanim otworzy drzwi. Gdyby można było cofnąć czas (ale wiedzielibyśmy o tym), zostałyby jeszcze chwilę w samochodzie, uściskałyby go jeszcze mocniej i objęła go jeszcze dłużej. Kiedy trzaska drzwiami i nachyla się, dając mu znak przez opuszczoną szybę, jeszcze nie wie, że widzi go po raz ostatni.

(Umówiłem się z nią dzisiaj po południu, wypijemy piwo albo nawet dwa w moim ulubionym barze, niedaleko mojego domu, w Bistrot Lafayette. Uściskam ją mocno, ale to nie będzie to samo, na pewno nie).

„To ile za tę panterę w witrynie? Nic!”.

Bruno nie jest nienormalny i zdaje sobie sprawę, tak jak Talia, że to, co zamierza zrobić, jest naprawdę szalone. Jednak wie również, że być może uda mu się zrobić największy skok w swojej złodziejskiej karierze. Niech więc to będzie wykonane z poczuciem humoru, wdziękiem i gracją. Rankiem 19 sierpnia 1983 roku wkłada strój do tenisa: buty Diadora (takie same nosi Björn Borg), białe skarpetki, koszulka polo marki Fila, realizm posunięty jest do tego stopnia, że zaopatrzył się w ulubioną raketę Borga, wystającą z pokrowca, a pragnąc uczynić swój zestaw doskonałym i wznieść uprzejmość do rangi sztuki życia, zakłada sobie na nos, zamiast hołdu, okulary przeciwsłoneczne firmy Cartier. Do torby Adidasa wkłada dwa załadowane rewolwery kalibru .357 oraz kilka par kajdanek.

Opalony i rozluźniony wchodzi do sklepu jubilerskiego o godzinie 12.15, wprowadzie nie podśpiewując pod nosem, ale można odnieść takie wrażenie. Sprzedawczyni, która podchodzi do niego i którą prosi, by pokazała mu pierścionki z brylantami, wyczuwa, że ma do czynienia z bogatym klientem: ktoś, kto przychodzi kupić brylanty w stroju tenisowym, to naprawdę musi być gruba ryba. Zauważa na jego prawym ręku trzy zachodzące na siebie obrączki, które ukradł na avenue Montaigne: a więc nasz stały klient, myśli sobie, tym lepiej, wszystko pójdzie jak z płatka. Podczas gdy Bruno zaczyna oglądać to, co mu podsuwa sprzedawczyni, zjawia się inny klient, bardziej klasyczny, masywny i poważniejszy zarazem, to Steve – także i dziś nie zostanie na zewnątrz, w sklepie jest zbyt wielu pracowników, żeby Bruno mógł sobie sam jeden z nimi poradzić. Dyrektor oddziału we własnej osobie zajmuje się Steve’em, który chce obejrzeć zegarki. (Następnego dnia w zaprezentowanym w telewizji reportażu ów dyrektor, który być może nie za bardzo zapoznał się z miejscową ludnością podczas swych różnych i bez wątpienia licznych podróży, zwierzy się dziennikarzowi, że ten mężczyzna, wysoki i mroczny, był „w typie południowoamerykańskim”. Niewątpliwie świadczy to o tym, że Steve musiał wyglądać bardzo tajemniczo).

Kiedy już się upewnili, że mają w polu widzenia cały personel, Bruno i Steve wyciągają rewolwery i sprawiają, że czas się zatrzymuje. Wszyscy siedmioro, całkowicie zaskoczeni, dają się spokojnie zaprowadzić na zaplecze sklepu. Bruno skuwa ich kajdankami parami, to jest pięcioro pracowników i dyrektora (który opowie dziennikarzowi, że Bruno był „niezwykle zdenerwowany i gotowy strzelać w każdym momencie” – oj, nieładnie jest tak kłamać), i zabiera z sobą siódmą osobę, która zajmuje się salą sejfów. Każe jej otworzyć skrytki, w których są przechowywane najpiękniejsze klejnoty, kilkoma szybkimi ruchami zgarnia do torby wszystko, co tam jest, z pomocą Steve’a, zakuwa ją w kajdanki razem z pozostałą szóstką, po czym obaj przyjaciele zabierają wszystko, co jest

wystawione na ladzie, opróżniają szuflady i oczyszczają witryny – ogołocą w ten sposób całkowicie trzy z nich i zadowolą się pobieżną selekcją trzech pozostałych, których zawartość wzbudziła w nich znacznie mniejszy entuzjazm. Bruno głaszcze panterę, a następnie wsuwa ją sobie do kieszeni. Pantera należy więc teraz do niego. Wychodzą ze sklepu po upływie niecałych dziesięciu minut od przybycia z czterdziestoma milionami franków w najprzeróżniejszych klejnotach (to ich rekord, ale także, według prasy, największy łup zdobyty kiedykolwiek w sklepie jubilerskim we Francji), oddalają się spokojnym krokiem (la Croisette w sierpniu z pewnością nie jest miejscem, w którym dyrektor sklepu jubilerskiego Cartier, nawet jeśli uda mu się oswobodzić i wydostać na zewnątrz, zacznie wydzierać się na całe gardło jak sprzedawca ryb), idą do samochodu, który zostawili przy rue François-Einesy, biegnącej równoległe do hotelu Carlton. Bruno napisze jakiś czas później: *Wszedłem do sklepu jako niedzielny tenisista, a wyszedłem z fortuną Björna Borga.*

Policjanci i żandarmi z całego regionu podejmują działania tak szybko, jak to możliwe, ale w czasie gdy w ogólnej panice są organizowane poszukiwania, zdecydowana większość sił gromadzona jest w pobliżu granicy z Włochami (która znajduje się w odległości niecałych pięćdziesięciu kilometrów od Cannes i wydaje się idealną trasą ucieczki), Steve, który zajął miejsce za kierownicą, żeby Bruno mógł się przebrać, nie spiesząc się, parkuje ich renault, wynajęte wcześniej w Paryżu, na prywatnym lotnisku w Cannes-Mandelieu, dziesięć minut drogi od obrabowanego sklepu. Tydzień wcześniej zarezerwowali prywatny odrzutowiec i lecą sobie wygodnie do Paryża, gdy w tym samym czasie następuje zmasowany szturm na francusko-włoską granicę.

Wieczorem Talia jest u swoich znajomych w Awinionie. O godzinie 20.00 prosi gospodarzy, aby włączyli telewizję, nikt się nie dziwi, w końcu to normalna rzecz. Trochę jednak zaczynają się zastanawiać, kiedy widzą, że Talia nie spuszcza wzroku z Christine Ockrent: zawieszenie broni w Czadzie, Lech Wałęsa, narodziny sześcioraczków w Belgii, no przecież na serio nikt się takimi newsami nie podnieca. Po czym: „Spektakularny napad na sklep jubilerski Cartier w Cannes... Dwaj uzbrojeni mężczyźni dokonali napadu, nie zasłaniając twarzy, po czym spokojnie wyszli na ulicę...”. Nazwisko Bruna Sulaka nie zostało wymienione (choć został formalnie rozpoznany przez pracowników Cartiera), ale Talia, która mimowolnie zaciska mocno pięści, czuje, że wszystkie spojrzenia spoczęły teraz na niej.

Nazwisko Bruna Sulaka pojawi się następnego dnia rano, i to od razu w sporej dawce. Kolejny raz bowiem, pomimo tego, że Georges Moréas (do którego Bruno dzwonił wcześniej rano) prosił, aby śledztwo było prowadzone możliwie jak najbardziej dyskretnie, żeby Sulak nie ukrył się gdzieś na końcu świata, to jednak ogromna liczba zaangażowanych służb sprawia, że przecieki stają się nieuniknione. Jego zdjęcie pojawia się w dzienniku telewizyjnym Noëla Mamère'a w Antenne 2, gdzie również podane zostanie nazwisko Radišy Jovanovicia, współnika Bruna. W tym momencie Moréas wpada we wściekłość: skoro już są przecieki, to niech będą w jak największej liczbie i odpowiednio z sobą skoordynowane. Chcąc ustalić, skąd pochodzą, rozpowszechnia na prawo i lewo, w różnych wydziałach i służbach, prawdziwe i fałszywe informacje, przekazując je pięciu albo sześciu różnym osobom, zapisując sobie, co dokładnie komu powiedział, aby później, śledząc to, co pojawia się w mediach, zorientować się, kto nie potrafi trzymać języka za zębami. Rezultat jest tak samo spektakularny jak same napady: na przestrzeni zaledwie kilku dni Bruno staje się gwiazdą w wymiarze ogólnonarodowym, mówi się o nim wszędzie: „Gwiazda wśród gangsterów”, „Dżentelmen włamywacz”, „Król ucieczek”, a jeden z dzienników

zatytułuje nawet tekst o nim: *Wróg publiczny i supergwiazda*.

Moréas zrezygnowany uzna, że w sumie nawet dobrze się stało: z jednej strony, Sulak, którego teraz każdy może rozpoznać na ulicy, musi czuć się coraz mniej pewnie, a jego ucieczka będzie coraz trudniejsza; z drugiej zaś strony, im bardziej złoczyńca jest znany, tym bardziej pragnie go złapać policja. „Pościg za nieznanym bandytą to zwykła, codzienna robota, ale pościg za gwiazdą to już sama przyjemność” – myśli sobie. Wszystkie wydziały są maksymalnie zmobilizowane. Od czasów Mesrine’a w poszukiwaniu jednej osoby nigdy nie było zaangażowanych tak wielu ludzi.

W tym czasie Bruno podrywa śliczną sprzedawczynię w sklepie z ciuchami przy boulevard Saint-Germain. Zapuścił długie włosy i nosi teraz wąsy. Wraca w to samo miejsce każdego popołudnia, kupuje jakieś rzeczy, cokolwiek, koszule, spodnie, skarpetki, swetry, aż wreszcie udaje mu się dowiedzieć, że dziewczyna nazywa się Christine, i ma godzinę, żeby pójść z nią do kawiarni. Myśli o Talii, ale nie potrafi żyć przez cały czas bez miłości. Po drugim spotkaniu zostaje u niej na noc, Christine mieszka przy rue Olivier-Métra, w XX dzielnicy. Bardzo szybko wyczuwa, że może jej zaufać, „jego gliniarz” pogwizduje przy niej piosenki Brassensa: wyznaje jej, że nie nazywa się Éric Lambert i nie jest fotografem.

– Nazywam się Bruno Sulak.

– W porządku, zarejestrowałam. No i co dalej?

Bruno wybucha śmiechem z niedowierzania: ona o nim nie słyszała! W jednej chwili uświadamia sobie, jak bardzo jest próżny, dziwiąc się temu. Może już czas wrócić na ziemię. Przeprasza ją i opowiada o Cartierze w Cannes.

– Tak, faktycznie, wydaje mi się, że coś o tym słyszałam. Brawo, niezły numer.

Ale nie przejęła się za bardzo tym wszystkim, co w sumie spodobało się Brunowi: czuje się prawie całkiem normalnym człowiekiem. Wieczorami często wychodzą na miasto albo jedzą u niej kolację, to on przygotowuje jedzenie, po południu trochę sprząta w mieszkaniu, kiedy ona jest w pracy. Jedzie z nią na dwa dni do Deauville. Jest prawie tak samo, jak kiedyś z Talią, życie wraca do normy, toczy się dalej, lecz to tylko złudzenie. W rzeczywistości fizycznie wszędzie odczuwa presję wokół siebie, a kiedy wsłuchuje się uczciwie w swoje wnętrze, zdaje sobie sprawę, że nie może zaznać ani chwili spokoju, że nigdy ten spokój nie trwa dłużej niż dwie sekundy, lekkość bytu jest dla niego już tylko fantazją, jasną polaną na jakiejś innej planecie. Sam tego chciał i dobrze o tym wie. Niespokojny, poirytowany, szuka wsparcia u swojego adwokata, Denisa Girauda. Ten jednak nie może mu pomóc, co najwyżej stara się jak najlepiej odegrać rolę adwokata i przyjaciela:

– To już koniec, jesteś spalony, nie możesz dłużej zostać we Francji, bo inaczej spędzisz tutaj bardzo wiele lat w więzieniu.

Bruno z trudem przyjmuje to do wiadomości i ciężko mu wyobrazić sobie siebie prowadzącego ustatkowany i spokojny tryb życia:

– To niemożliwe, bo kiedy się wybrało takie życie, nie można się już zatrzymać, trzeba iść na całość aż do końca. Za bardzo mam pochrzanione w głowie, żebym teraz zachowywał się spokojnie, żebym zapomniał to, co widziałem w więzieniu i poza nim.

A jednak mimo wszystko będzie trzeba rozstać się z wieloma rzeczami, o ile wręcz nie zapomnieć. Moréas wciąż jeszcze go nie złapał, ale świetnie to wszystko rozegrał, Bruno znalazł się w potrzasku. Prasa go dorwała, społeczeństwo rozciąga nad nim sieć, na tym właśnie polega ta gra. Nawet wielki szef firmy Cartier, Alain Dominique Perrin, który był świadkiem, jak dwa z jego największych oddziałów przekształciły się w puste pomieszczenia magazynowe, mówi o nim w mediach. Bez nadmiernej wrogości zresztą: „Wizualne utrwalenie w pamięci nazwy Cartier to coś, czego nie bylibyśmy w stanie osiągnąć przy najlepszej nawet kampanii reklamowej”. Dodaje też, że doradzałby swoim pracownikom, aby nie odgrywali nigdy bohaterów, co tłumaczy w następujący sposób: „Straty poniesione przez Cartiera są w całości pokrywane przez towarzystwa ubezpieczeniowe, które z kolei odzyskują te pieniądze w oparciu o premie. Dzięki naszym stu dziesięciu sklepom rozszanym po całym świecie oraz dzięki zapasom, premie ubezpieczeniowe, które musieliśmy zapłacić do tej pory, są wielokrotnie wyższe od kwot, które zostaną nam zwrócone”. Jeśli do tego momentu Bruno miał jakieś problemy z sumieniem (co nie miało miejsca), to od teraz wszystko jest już jasne. Można by się wręcz zastanawiać, czy Perrin nie nakłania go do tego, by dalej prowadził tę grę.

Co do ubezpieczeń, należałoby pomyśleć o tym, jak zamienić cudeńka od Cartiera na grube pliki banknotów: jeśli czas już wycofać się z branży, to wiadomo, że linie lotnicze nie zgodzą się, po poklepaniu ich dobrotliwie w plecy, przyjąć kolia i zegarków jako formy zapłaty za bilety lotnicze. Dlatego też, rozdawszy kilka prezentów wśród znajomych i po wysłaniu paru upominków drogą pocztową, umieścił panterę w bezpiecznym miejscu (tak bezpiecznym, że do dzisiaj nikt nie wie, gdzie się ona znajduje). Domyślam się, że i tak nie pokazano by mi jej z uwagi na moją uczciwość albo żeby zadowolić moje zamiłowanie do drogich kamieni, ale sądzę (wprawdzie nie mam takiego wewnętrznego „gliniarza”, jakiego miał w sobie Bruno, ale za to jestem jak maszyna do wykrywania kłamstw), że w chwili, w której czytacie te słowa, pantera o szmaragdowych oczach jest gdzieś zakopana. Po starannej selekcji i oszacowaniu wartości klejnotów Bruno dzwoni do firmy ubezpieczeniowej Tyler and Co., z którą nigdy wcześniej nie pertraktował, aby zaproponować zawarcie transakcji z sympatycznym panem Perrinem. W zamian za zagarnięte czterdzieści milionów urobku albo za, uściślijmy trzydzieści dziewięć milionów, jakie z tego pozostały, żąda dwunastu milionów franków, to chyba uczciwa transakcja? Odpowiadają mu, że zastanowią się, zgoda, powinno się udać,

proszę zadzwonić za kilka dni.

Są na świecie uczciwi ubezpieczyciele. Albo ubezpieczyciele wazeliniarze. W każdym razie firma Tyler and Co. natychmiast kontaktuje się z policją, a konkretnie z komisarzem Serge'em Devosem. Ten sądzi, że uda mu się wykonać mistrzowskie zarzucenie sieci (nie trzeba być w tym celu tresowaną w poszukiwaniu trufli świnia) i nie waha się ani przez chwilę: prosi ubezpieczyciela, żeby kontaktował się tylko z nim i przekazał wszystkim pozostałym wydziałom, poza BRB, że tylko on będzie jego rozmówcą. Jednak policjanci, jak się okazuje, to okropne gaduły, i tym razem na tych przeciekach skorzysta Moréas: kiedy się dowie, że próbują przemycić Sulaka pod nosem jego OCRB, w biurach podnosi się wrzawa. Po zebraniu w centralnej dyrekcji, spotkaniu w stylu przełomowych momentów wojny w Wietnamie i zrzucenia bomby na Hiroszimę razem wziętych, zostaje mu powierzone dalsze prowadzenie śledztwa, dosłownie na parę chwil przed drugim telefonem od Bruna, który wyznacza spotkanie przedstawicielowi Tyler and Co. trzy dni później, o godzinie 16.30 na Champs Élysées.

Bruno jest bliski zawieszenia na kołku swojego magnum. Nie czuje, żeby był bardziej wolny niż na spacerniku, wszędzie pełno policjantów i barierek, drzwi skrzypią i trzaskają, z trudem oddycha. Skończy z tym, wycofa się, ucieknie stąd. Zresztą emocje też gdzieś się wypaliły. Po wykonanym w Cannes numerze ze sklepem jubilerskim Cartier, co może być „lepszego”, bardziej spektakularnego? Nic. Chociaż... Może jednak znalazłoby się jeszcze coś zabawnego do zrobienia.

W dniu 17 października o godzinie 16.15 urzędnik z Tyler and Co. z wielką czarną torbą na ramieniu zbliża się do wyznaczonego na Champs Élysées miejsca, niedaleko kina George-V. Pracuje w firmie Tyler and Co. tak samo, jak ja pracuję dla Williama Saurina: to oczywiście gliniarz. W promieniu stu metrów ukryło się lepiej lub gorzej co najmniej trzydziestu mocno napakowanych gości z OCRB, gotowych rzucić się jak doberman na najbardziej poszukiwanego we Francji człowieka. Ich szef wydał im formalny zakaz strzelania – z wyjątkiem, rzecz jasna, sytuacji, w zasadzie mało prawdopodobnej, obrony koniecznej. Być może zresztą to nie on sam się zjawi, Sulak nie jest głupkiem, Moréas też nie: jeśli zleci tę fuchę współpracownikowi, chłopcy od Moréasa będą musieli zagryźć pięści i pohamować się, a jelenia złapie się, podążając tropem sarenki.

Bruno jest niedaleko. W odległości może dwustu metrów? Jest w swoim bmw razem ze Steve'em, robią kolejną rundę wokół Łuku Triumfalnego. Zamiast jednak zjechać na Champs Élysées w stronę kina George-V, ruszają w przeciwnym kierunku, w avenue de la Grande-Armée.

Kiedy rozmawiał przez telefon z tym sympatycznym jegomościem z Tyler and Co. – dosyć krótko za pierwszym razem i znacznie dłużej, gdy rozmawiali po raz drugi, jego „gliniarz” miotał się na wszystkie strony, jak małpa w klatce. Bruno uspokajał go, uciszał, nie potrzebował tego ostrzeżenia: jego rozmówca był za bardzo uprzejmy, na pewno nie chodził w młodości na zajęcia teatralne w ramach cours Florent, sprawiał wrażenie osoby tak spokojnej i szczerzej, jak ten tępy smarkacz z komiksu, który twierdził, że nie uderzył małego Corentina. Łatwiej byłoby od razu samemu pojechać na komisariat przy quai des Orfèvres niż na umówione spotkanie na Champs Élysées. Jednak dopiero w chwili gdy odłożył słuchawkę, przyszedł mu do głowy pomysł na ostatni zabawny numer.

Punktualnie o godzinie 16.30, gdy napięcie elektryczne w powietrzu podnosi się trzykrotnie w okolicach kina UGC George-V, Bruno razem ze Steve'em wkraczają do galerii handlowej w Palais des Congrès przy porte Maillot. Bruno wchodzi do sklepu jubilerskiego Aldebert, Steve zostaje przed drzwiami. Tego dnia postanowili sprawdzić raz jeszcze skuteczność starej dobrej metody polegającej na podziale zadań: Bruno jest wewnątrz od niecałych pięciu minut, gdy Steve widzi szefa małego butiku z ubraniami dla mężczyzn, który znajduje się dokładnie

naprzeciwko, jak wychodzi ze swojego sklepu, potwornie blady, patrzy na niego, jakby nie potrafił zapanować nad rozbieganym wzrokiem, i oddala się alejką w galerii, poruszając się z taką pewnością siebie i dyskrecją, jakby do pleców miał przyczepioną planszę reklamową z napisem: „Wiem, że ryzykuję życie, ale uratuję mojego bratniego sprzedawcę, nie damy się tym parszywym draniom, już moi koledzy Robert i Jojo nauczą ich, jak trzymać się uczciwej drogi. Podpisano: monsieur Lacravate”. Steve wyciąga spluwę i dopada go w trzech susach, ale bohaterski Lacravate nie wymięka i próbuje mu się wymknąć, pomimo szalenie dużej bliskości kuli, która mogłaby go wysłać w zaświaty w ułamku sekundy.

Steve, rzecz jasna, nie posłuży się swoim rewolwerem kalibru .357, nie zabija się przecież skromnych rycerzy dnia codziennego, no, ale mimo wszystko trzeba przejść do działania: wali go więc z całej siły prosto w dziób, uzyskując skutek, jakby zadał cios średniowieczną maczugą. Księżę krawata i szelek nigdy wcześniej nie miał do czynienia z bokserem, więc nic dziwnego, że biedaczysko osuwa się na posadzkę jak garnitur bez cielesnej zawartości w środku.

Bruno dołącza do Steve'a, wypełnił torbę zalewie w połowie, ale nie jest to czas, żeby grymasić, a poza tym ten napad akurat jest wykonywany przede wszystkim dla zasady. Pozostawiwszy leżącego na posadzce bohatera, opuszczają Palais des Congrès mimo wszystko z czterema albo nawet pięcioma milionami franków w klejnotach. Szczęście wciąż im sprzyja, i to nawet bardzo: w Thionville dramat nastąpiłby, gdyby Steve czekał na zewnątrz, a w Palais des Congrès, gdyby wszedł do środka.

Osiem miesięcy później, z początkiem lata 1984, trzech amatorów dokonuje napadu na ten sam sklep jubilerski Aldebert. Napastnicy nawet nie pomyśleli o tym, żeby zapewnić sobie „zewnątrzną obstawę”, jakże cenioną przez Bruna i Steve'a, i wszyscy trzej wchodzi do sklepu. Wyszliby na tym lepiej, gdyby inspiracją dla nich byli mistrzowie gatunku, a tak odejdą stamtąd bez najmniejszego choćby kamyczka. Stało się tak, albowiem niesamowity Lacravate, którego nic nie jest w stanie zniechęcić, nawet potężny cios w głowę, może wreszcie wypełnić misję zbawiciela drobnego handlu i zaalarmować stróżów porządku. Rezultat heroicznej obywatelskiej interwencji: czterech nafaszerowanych ołowiem ludzi w szpitalu – jeden z napastników, policjant, ochroniarz (Robert? Jojo?) i biedny przechodzień, który powinien był sobie raczej złamać nogę, zamiast iść tego dnia na zakupy. Lacravate mimo to zostanie obwołany na kilka najbliższych miesięcy gwiazdą całej galerii handlowej.

W bmv, na boulevard Périphérique, Steve ma do siebie pretensje i wciąż powtarza:

– Za mocno mu przywaliłem, ostro go trafiłem, nie powinienem był aż tak mocno.

– No dobrze, ale przecież nie mogłeś go chyba złapać za ucho?

- Fakt, ale i tak za mocno go walnąłem.
- Dobra, zobaczysz, że nic mu nie będzie.

W tym samym momencie przed kinem George-V czoła się marszczą i można wyczuć rosnące zdenerwowanie: „O której w końcu to miało być, o 16.30 czy o 17.30?”.

*

Także ubezpieczyciele w końcu odcinają się od Bruna. Trzeba będzie znaleźć inny sposób, być może wymagający więcej czasu i mniej opłacalny, na spieniężenie biżuterii od Cartiera. Na razie skarby są podzielone i ukryte w czterech różnych miejscach, aby w razie kłopotów nie stracić wszystkiego: w mieszkaniu Bruna, u Steve’a, w mieszkaniu jego przyjaciółki Nadine i u Christine, znajomej Bruna. Powolutku się to załatwi, na pewno uda się wszystko jakoś upłynnić.

Dwa dni po niedoszłym spotkaniu na Champs Élysées Bruno dzwoni do swojego drogiego przeciwnika Moréasa, żeby przeprosić go, w lekko kpiarskim tonie, za ten sztubacki żarcik w Palais des Congrès.

– Wiesz co? – mówi Moréas. – Tak właśnie myślałem, że nie dasz się złapać w taki prosty sposób. Ale musiałem jednak mimo wszystko spróbować, prawda?

– Cóż, wykonujesz swoją robotę. A ja swoją. Jednak szkoda, że nie mieliśmy okazji się spotkać. Może masz ochotę na wspólną kawę?

– Z ogromną przyjemnością.

– Ale przyjdzie pan sam, panie komisarzu, zgoda?

– Obiecuję.

Umawiają się tego samego dnia po południu, w kawiarnianym ogródku niedaleko place des Ternes. Moréas, jak można się było spodziewać, czeka tam godzinę na próżno – no, może nie do końca „na próżno”, bo jest to jednak okazja, żeby urwać się na chwilę z pracy, wypić coś na spokojnie, skorzystać z kończącego się babiego lata w Paryżu, i przyjrzeć się pięknym dziewczynom. Bruno dzwoni do niego następnego dnia:

– Przepraszam.

– Nie było to zbyt eleganckie, Sulak.

– Przykro mi. Byłem tam, wiesz, widziałem cię. Miałeś na sobie szary sweter i bluzę w ciemnoniebieskim kolorze. Wyglądało na to, że jesteś całkiem sam, można na ciebie liczyć.

– Wątpiłeś w to? Ja zawsze dotrzymuję słowa. No więc dlaczego nie przyszedłeś się ze mną spotkać?

– Hm, wiesz co, jestem nieśmiały. Ale może uda nam się to nadrobić któregoś dnia. Teraz z tym wszystkim kończę.

– Już to, zdaje się, słyszałem...

– Tak, ale tym razem to prawda. Mam tego dość, staje się to zbyt ryzykowne jak dla mnie. Poza tym mam już wystarczająco dużo kasy.

– Zresztą i ja ci się zwierzę z pewnej rzeczy: ja też z tym kończę.

– Nie.

– Owszem. Jestem taki jak ty, mam już powyżej uszu tego całego bałaganu. Pewnie zdążyłeś zauważyć, że między różnymi wydziałami nie ma zbyt wielkiej miłości... A poza tym nie mam ochoty ryzykować życia z powodu gości, którzy źle wykonują swoją pracę. A już niedługo będę ojcem małego chłopczyka...

– Ooo? No to gratulacje, panie komisarzu! I pozdrowienia dla przyszłej mamusi.

– Nie omieszkam.

– Mogłem właściwie zostać gliną, tak jak ty.

– A ja mogłem się stać słynnym bandytą, tak jak ty.

– To czego sobie w takim razie życzymy? Wszystkiego dobrego?

– No... I uważaj na siebie.

– Będzie dobrze, nie przejmuj się.

Wkrótce po tym telefonie Georges Moréas odchodzi z zawodu. Rezygnuje z funkcji komisarza, pozostając do dyspozycji zwierzchników. Właściwie nie będzie już dłużej policjantem: dwa lata później, w 1985, podaje się ostatecznie do dymisji. Wchodzi do budynku pod numerem 11 przy rue des Saussaies, idzie do biura Centralnej Dyrekcji Policji Kryminalnej, minęło siedemnaście lat od dnia, w którym po raz pierwszy zjawił się w tym miejscu, przyszedł wówczas zapisać się na egzamin na funkcjonariusza policji kryminalnej. Wchodzi do biura personalnego, zdaje broń, kajdanki, legitymację i odznakę, przekazuje wszystko funkcjonariuszowi, który ledwie raczy unieść głowę.

– Proszę...

– Dziękuję.

– To wszystko?

– Tak, to wszystko. Do widzenia.

Kiedy po raz ostatni schodzi po tych schodach, trochę szczypią go oczy, ale to pewnie z powodu kurzu. Strasznie dużo tam kurzu w tych biurach.

Zaczyna teraz drugie życie. Będzie zajmował się synkiem (spróbuje być lepszym ojcem dla niego niż dla córki z pierwszego małżeństwa, nie widział, jak dorastała), razem z jego mamą, May Be, szwagierką porwanego niegdyś producenta mebli. Będzie też pisał. Powieści, scenariusze. Jednak nie napisze książki o Brunie.

Po telefonie do Moréasa Bruno także dotrzymał słowa – w każdym razie przynajmniej w jakimś stopniu: zawiesza działalność na terytorium Francji. Pod nazwiskiem Radišy Savika, podając się za szwedzkiego fotografa o jugosłowiańskich korzeniach, wyjeżdża do Kanady razem ze Steve'em, którego krajan odsiaduje tam wyrok. Bruno chce spróbować wydostać go z więzienia. Najpierw myśli o tym, by wykorzystać w tym celu helikopter, lecz okazuje się, że ukształtowanie terenu nie nadaje się do tego, potem wpada na pomysł, żeby wysadzić w powietrze jeden z otaczających więzienie murów i przypisać tę ucieczkę jakiemuś fikcyjnemu ugrupowaniu politycznemu albo organizacji terrorystycznej. Chociaż to tylko moje zdanie i być może jest ono interesujące wyłącznie dla mojego odbicia w lustrze i dla mojej cioci, ale widziałbym w tym szyderczą parodię lirycznych uniesień Mesrine'a, który walczył z systemem, przywłaszczając sobie pieniądze na wynagrodzenia robotników z jakiejś fabryki czy drukarni, i strzelał bez wahania do tych wszystkich, którzy mu się nie podobali, posuwając się nawet do tego, że z dobrotliwym humorem groził śmiercią Pierre'owi Desproges'owi („Nie doprowadzajcie do tego, bym żałował, iż zastosowałem metodę mieszczańską, jaką jest list, którym chciałem was wzruszyć. Znam też inną metodę, dostarczaną zawsze za potwierdzeniem odbioru!”, a potem jeszcze dodaje: „Poznałem wielu klaunów, którzy bawiąc się moim kosztem, wykonali ostatni numer na arenie cyrkowej!”), po prostu dlatego, że tenże Desproges nazwał go w „Aurore” zarozumiałym fanfaronem.

Po dokładnym obejrzeniu najbliższej okolicy więzienia sam Steve poprosił Bruna, żeby odpuścili ten pomysł, gdyż szanse powodzenia bez strat w ludziach byłyby zdecydowanie zbyt małe. Obaj wyjeżdżają więc do Los Angeles i zatrzymują się w posiadłości innego przyjaciela Steve'a, prowadzącego bardzo wygodne życie (u którego zresztą Miki, jego brat, znajdzie schronienie dwa lata później razem z Nadine, ukochaną Steve'a). Bruno od dawna nie zaznał przyjemności nieskrępowanego i wolnego od obaw spacerowania po mieście, bez oglądania się co parę kroków, dobrze to na niego działa, czuje, że odżywa, ma się znacznie lepiej – ale ponieważ nie ma zamiaru spędzić reszty życia w tym kraju, który wcale nie wydaje mu się miłszy i bardziej przyjazny od Francji z jej malwersantami w garniturach, wspólnie ze Steve'em dokonuje napadu na niewielki sklep jubilerski w Beverly Hills, i to pomimo problemów natury językowej. Potem wsiadają w samolot do Nowego Jorku, gdzie zostaną przez dwa tygodnie (miasto jest niesamowite, pełne światła i życia, przyklejone do ziemi i jednocześnie wznoszące się do nieba), udają turystów i obrabiają kolejny sklep jubilerski, używając języka migowego. Był to sklep Cartiera przy Piątej Alei, zaliczony wcześniej rano, zaraz po otwarciu, szybka piłka, akcja na kowboja, coś w rodzaju

pocztówki wysłanej do samego pana prezesa Alaina Dominique'a Perrina.

Wieczorem, oparty o długi bar w knajpie przy Czterdziestej Drugiej Ulicy, Bruno rozmawia na tyle, na ile potrafi w swej niedoskonałej angielszczyźnie, z ładną kobietą, która zwierza mu się, że cierpi na poważną chorobę serca. Widzi się z nią nazajutrz i wręcza jej wystarczającą ilość klejnotów i dolarów, żeby mogła opłacić konieczną operację i rekonwalescencję. Ta pani żyje do dzisiaj.

Wracają do Paryża na początku grudnia, Bruno wie, że te nafaszerowane pułapkami dekoracje są nie dla niego (a teraz, kiedy nie ma już Moréasa, jest świadomy, że bezpiecznik wysiadł i że mogą do niego strzelać), chce więc wyjechać gdzieś daleko. Ma jeszcze kilka spraw do załatwienia, musi upłynnić biżuterię od Cartiera i od Aldeberta, ale również to, co przywiózł ze Stanów Zjednoczonych w luku bagażowym boeinga 747, zainwestować jak największą sumę, kupić mieszkanie, jacht w Maroku i zorganizować sobie możliwie jak najwygodniejszą bandycką emeryturę. Po kilku przyjemnych nocach spędzonych z Christine w XX dzielnicy teraz chce przede wszystkim zobaczyć się z rodziną, z córką Amélie. Wsiada do bmw i jedzie przez całą noc do Jouques.

Niebieska łada z napędem 4×4, tak jak było ustalone, jedzie wążutką drogą niedaleko Meyrargues. Bruno podąża za nią, trzy mrugnięcia światłami, wymija ładę, parkuje szybko i sprawnie, wysiada ze swojego samochodu i wskakuje na tyle siedzenie terenówki, wślizguje się pod wielki koc. Prowadzi Max, chłopak Stelli, Marcelle siedzi obok niego. Wyciąga rękę za siebie i gładzi drżącą dłonią po głowie ukrytego pod kocem syna.

Po kilku nawrotach i objazdach, aby upewnić się, że nikt ich nie śledzi, Max wjeżdża na drogę prowadzącą do Jouques. Bruno wysiada z samochodu w garażu obok domu. Stanislas przytula syna mocno do siebie. Patricia, żona Sulaka, też jest tutaj, wzruszona tak samo jak on. No i Amélie. Ma już cztery i pół roku, ciemne włosy, to bardzo ładna dziewczynka, jej oczy lśnią, i mówi po prostu:

– Och!

Bruno bierze ją na rękę, ale jego córka czuje się nieswojo, nie rozpoznaje go, papa ma dłuższe włosy niż na zdjęciach i do tego wąsy. W końcu jednak Amélie pozwala się przytulić.

Stella, która była na pięttrze i powtarzała akurat lekcje, usłyszała głos brata. Krzyczy: „Bruno!”, zbiega błyskawicznie po schodach, rzuca mu się na szyję i płacze.

Marcelle przygotowała ulubione dania syna, w tym oczywiście tartę cytrynową, krząta się szybko w kuchni, wszystko robi niemal biegiem.

– Nie spiesz się tak, mamó. Zostaję dzisiaj na noc.

Wszyscy wokoło wiedzą, jak bardzo jest to nieostrożne, wręcz niebezpieczne, ale nikt nie ma odwagi się odezwać, bojąc się, bo nigdy nie wiadomo, a nuż uda się go przekonać, by natychmiast wyjechał. Zresztą nie

udałoby się im. Bruno wie, co robi, wie też, że przyjechał spędzić noc w miejscu, gdzie policjantom najłatwiej przyszłoby go znaleźć, ale jest gotów podjąć ryzyko, żeby spędzić trochę czasu z tymi, których kocha. Ma rację.

Stanislas, niczym wspólnik, pokazuje synowi wszelkie możliwe drogi ucieczki i miejsca, w których może się ukryć w domu w przypadku szturmowania policji. Bruno ogląda wszystko i słucha uważnie, potem bierze prysznic, wkłada szlafrok i kapcie, czuje się wreszcie jak u siebie w domu. Przez kilka godzin jest tak jak dawniej.

Amélie, która najpierw była zaciekawiona i podejrzliwa, teraz nie odstępowała go nawet na chwilę. Trzyma go za rękę cały czas, wszędzie za nim chodzi.

Siedząc przy stole, Bruno zwierza się ojcu, że posłucha wreszcie jego rady:

– Zrobię tak, jak mi mówiłeś, tato. Wyjadę gdzieś daleko i będę się spokojnie zachowywał.

Następnego dnia rano wszyscy zdają sobie sprawę, że przeciągnął tę wizytę tak długo, jak się tylko dało, teraz już czas wyruszyć w drogę. Wyjechać wcale nie jest najtrudniej. Wyjechać to właściwie tyle, co nic, wystarczy postawić najpierw jedną stopę, a potem zaraz drugą i tak dalej. Najgorsze jest nie wiedzieć, kiedy będzie można powrócić.

Po przyjeździe do Paryża Bruno dzwoni do kawiarni artystycznej, gdzie od czasu do czasu pracuje Talia. Nie ma jej jednak na miejscu, ustala za to z barmanem, że zadzwoni do niej następnego dnia po południu, musi ją koniecznie zapytać o coś ważnego.

Wieczorem je kolację ze Steve'em i obwieszcza mu, że postanowił wyjechać, tym razem na dobre, zapewne do Brazylii. Jego przyjaciel nie pojedzie razem z nim, woli tutaj zostać, nie jest tak uporczywie i wytrwale poszukiwany, jak on, ma jeszcze sporo spraw do załatwienia we Francji, w Paryżu, nie ma ochoty jechać na drugi koniec świata.

Nazajutrz rano Brunowi udało się złapać przez telefon Talię. Niebawem wyjedzie, aby zamieszkać w Brazylii, czy ona zgodzi się pojechać razem z nim? Talię zaskoczyło to pytanie, czuje, że nie może odpowiedzieć mu już teraz, natychmiast, prosi go, żeby zadzwonił do niej za dwa dni.

W dniu 13 grudnia wchodzi do sklepu jubilerskiego przy rue de Caumartin. Ostatni występ przed wyruszeniem w drogę, żeby miał co wspominać na stare lata. Starannie się przygotowuje do skoku, głupio przecież byłoby dać się przyskrzynić na dwa tygodnie przed wyjazdem do Ameryki, do jego eldorado. Sklep nie jest zbyt duży, jedna kamera, jeden sprzedawca za ladą. Bruno chciałby zobaczyć najładniejsze pierścionki, to dla żony, na rocznicę ślubu, chciałby coś, co mają najlepszego do zaoferowania. Na razie nie ma nic nadzwyczajnego, ale jubiler, w małych bucikach, uniżony, twierdzi, że mógłby dosyć szybko znaleźć większe i czystsze brylanty, bo ma jakiegoś kolegę, który, bla-bla-bla, i powinien... Czy jutro byłoby możliwe? Rocznicą jest jutro. W takim razie wróci jutro przed południem, przyjdzie z żoną, to ona wybierze, tak będzie pewniej, wiadomo, jak to jest z kobietami. I komu pan to mówi, jubiler zapewnia go, że nie będzie żadnego problemu, znajdzie coś, co na pewno sprawi przyjemność szanownej pani.

Wieczorem dzwoni do pracy do Talii. Długo się zastanawiała, jest na skraju łez, kiedy oświadcza mu, że nie pojedzie z nim do Brazylii. A przecież marzy o tym, wyobraża sobie ich wspólne życie, z dala od niebezpieczeństw, w spokoju i w słońcu, ale przeraża ją, że przez nią mogliby go złapać. Wciąż bowiem nie ma prawa, oficjalnie w każdym razie, wyjeżdżać z departamentu Vaucluse. Podróż samolotem z jednego kontynentu na drugi, przejście przez odprawę celną to jednak zupełnie coś innego niż przeskoczenie przez barierkę bezpieczeństwa na autostradzie. Szybko by ją wypatryli. Bruno zostałby schwytany i osadzony w więzieniu, na długo, i to z jej winy. Nie może tego zrobić. Decyzja jest rozdzierająca. Jeszcze dzisiaj bardzo tego żałuje. Myśli, że powinna była wtedy podjąć takie ryzyko. Ale wtedy, skąd mogła wiedzieć? Jak przewidzieć to, co się stanie?

Bruno dzwoni przygnębiony do rodziców:

– La Grande ze mną nie jedzie.

Następnego dnia rano wraca na rue de Caumartin, tak jak umówił się z jubilerem – jedyny szczegół, który bardzo tu nie pasuje, to żona, która siedzi z tyłu na motocyklu, łudząco przypominająca jakiegoś serbskiego boksera. Motocykl nie zatrzymuje się jednak na chodniku w odległości kilku metrów od sklepu, omija go i jedzie dalej. „Gliniarz” Bruna najwyraźniej zatrąbił mu donośnie w ucho. Dopiero na końcu ulicy Bruno pojmuje, co tutaj nie gra. Jak na środę, ulica wydaje się nienaturalnie spokojna. Zaparkowanych jest bardzo niewiele samochodów. Ani jednego przechodnia i większość sklepów zamknięta. Wszystko wygląda jak wymarłe. Na skrzyżowaniu rue Auber i Mathurins dostrzega kątem oka dwa zaparkowane wozy policyjne. Jedzie więc dalej, nie zatrzymując się przy boulevard Haussmann, Steve poklepuje go po plecach, on również zrozumiał.

Poprzedniego dnia jubiler pomyślał sobie, że gdzieś już widział tę twarz. Czyżby jakiś aktor? A może właściciel sklepu z winami przy rue Scribe? Zaraz po tym, jak Bruno wyszedł ze sklepu, przewinął kasetę z kamery bezpieczeństwa: nie ma najmniejszej wątpliwości, to ten facet, którego zdjęcie opublikowano w prasie po napadzie na sklep Cartiera w Cannes. Natychmiast powiadamia policję, która nie wpadła na lepszy pomysł, jak „oczyścić” okolicę z pojazdów na tyle, na ile się da, w razie gdyby wywiązała się strzelanina. Gdyby ustawili znaki ostrzegawcze z napisem: „Uwaga, przewidziany napad, za chwilę nastąpią aresztowania”, byłoby chyba tak samo dyskretnie. W policji wyraźnie daje się odczuć brak Georges’a Moréasa.

Tymczasem Bruno powinien szybko wziąć z niego przykład, czas już najwyższy, by przejść na emeryturę. Będąc jednak z natury niezbyt skorym do rezygnowania z jakiegoś projektu, wyrusza na krótki wypad do Szwajcarii, do Genewy, tym razem całkiem sam. Pada deszcz, gdy wchodzi w płaszczu z kaszmiru do holu z butikami w Hiltonie. Zmierza spokojnym krokiem do jubilera Bijouterie des Ambassadeurs. W sklepie jest tylko szef, człowiek pełen ciepła, sprawiający sympatyczne wrażenie, wydaje się nastawiony ugodowo, no i ma wąsy, tak jak Bruno. Ten ostatni wyciąga swój rewolwer kalibru .357, zakuwa mężczyznę najspokojniej, jak umie, w kajdanki (nie zawsze jest to łatwe) i zabiera mu wszystko, co jest na stanie w sklepie, bardzo piękny zbiór, kolie, całe zestawy biżuterii, pierścionki, drogocenne kamienie, no i przepiękne zegarki, które z pewnością sprawią radość Steve’owi, wszystko razem o wartości handlowej dwóch milionów franków szwajcarskich, to jest mniej więcej dziesięć milionów franków francuskich. Kiedy odjeżdża w deszczu swoim bmw, mijają go trzy wozy policyjne na sygnale. Bruno myśli sobie: „I o co tyle hałasu, kiedy jest przecież tyle spraw, o których mogłoby być znacznie głośniej”.

Korzysta z tego, że znalazł się w Szwajcarii, jedzie na dwa dni na narty do

malutkiej wioski Torgon, po czym wraca do Paryża do Christine. Steve mówi mu o zleceniu na obrabowanie sklepu jubilerskiego w Lyonie, lecz tym razem Bruno kategorycznie odmawia. Koniec z robotą na zlecenie, to przynosi pecha, a poza tym koniec ze wszystkim. Od znajomego Steve'a, który widuje się z gliniarzami, dowiedział się, że liczba policjantów zaangażowanych w tropienie go została niemal podwojona: na górze przestano go lubić, i to całkiem, żeby było jasne, i nie podoba się już nikomu, że ten arogancki Bruno gra im na nosie. Tak czy inaczej, ma już wystarczająco dużo pieniędzy. Od pierwszego skoku na sklep jubilerski Clerc, ten przy place de l'Opéra, zgarnęli sto milionów franków w migoczącym towarze.

Powiadamia Christine, że nie podejmie się tego lyońskiego zlecenia, które wzbudzało tak wielki lęk u młodej kobiety.

– Święty Mikołaj mógłby się pogniewać – wyjaśnia.

Zamiast skoku na jubilera przystraja choinkę, a 24 grudnia, gdy ona bierze długą kąpiel, on w tym czasie przygotowuje wystawną kolację wigilijną. Przy deserze zapyta ją, czy nie zechciałaby spędzić z nim sylwestra w Wenezueli.

W jednej z restauracji w Caracas, 31 grudnia 1983 r. wieczorem, Christine i Bruno trącają się kieliszkami. We Francji jest już 1984 – rok, w którym będą obchodził dwudzieste urodziny, dawne czasy. Najpierw pojechali jego bmw do Portugalii, tam wsiedli w samolot na lotnisku w Lizbonie, mniej niebezpiecznym dla Bruna niż Orly albo Roissy, który znowu podróżuje jako Radiša Savik, Szwed jugosłowiańskiego pochodzenia.

Po Caracas wyruszają na kilka dni na wyspę Curaçao, na Małych Antylach, na północ od Wenezueli, ale potem Christine musi wracać do Paryża, nie chce bowiem porzucić swojej pracy. Bruno nie waha się, zostaje na miejscu. Wszystko mu się tutaj podoba, klimat, przyroda, a zwłaszcza odpowiadają mu ludzie, ich otwartość, prawość, gościnność, poza tym wydaje mu się, że jest prawdą to, co mówi się o tamtejszych mieszkańcach, o autentyczności relacji między ludźmi, w każdym razie tak wynika z tego wszystkiego, co widzi na własne oczy. Teraz pojedzie do Brazylii. Po raz kolejny ucieka, tyle że tym razem, chociaż nie mamy ochoty uderzać w liryczny ton i tworzyć prostackich alegorii, ucieka przed samym sobą i przed postacią, którą się stał.

Christine wraca do Francji, a on leci do Rio, gdzie zupełnie nikogo nie zna i gdzie nikt go nie ściga. Zatrzymuje się w pierwszym napotkanym hotelu. Myśli o Talii, której babcia była Brazylijką, często rozmawiali o tych stronach, dobrze by jej było razem z nim w tym dalekim kraju, wiedliby spokojne i proste życie, bez zagrożeń, bez napięć, z silnymi, szczerymi i twardymi ludźmi wokół. Ma do niej trochę żal, ale Bruno wie, że zrobiła to ze względu na niego, że chciała go chronić, i dlatego postanowiła nie towarzyszyć mu w tej podróży. Będzie stanowić część jego życia aż do końca, jak napisał do Pauline. Dzwoni do Christine, która wróciła do szarego i cynicznego życia, które wiedzie między boulevard Saint-Germain i XX dzielnicą. Mówi jej o tym, co odczuwa, o wrażeniu wolności paradoksalnie wzmocnionym przez to, że ucieka i żyje niejako w zawieszeniu, że czuje się tak, jak wtedy, gdy będąc potwornie głodnym, zjada się coś z tym większą przyjemnością, opowiada jej o upajającej go przemocy ulic, o tamtejszej kulturze. Pierwszy raz w życiu, a w każdym razie od dzieciństwa, czuje się wewnętrznie wyciszony, odnajduje wreszcie spokój, który był przecież nieosiągalny i niewyobrażalny zarówno dwa tygodnie temu, jak i dwadzieścia lat wcześniej, w pewnej chwili wydaje mu się, że wreszcie zrozumiał, na czym polega „sens życia”, i chciałby tutaj zamieszkać na zawsze.

Stopniowo, w ciągu następnego miesiąca spotyka ludzi, którzy wzbudzają w nim silne i pozytywne emocje. Milton, homoseksualista, adwokat o ogromnej wiedzy i niezwykłej dobroci, Paolo, znany w Brazylii aktor, oraz Pati, profesor historii sztuki, piękna, eteryczna i melancholijna kobieta, mroczna i zmysłowa,

której włosy, gesty i odwaga przypominają mu Talię. Ona nie mówi po francusku, a on mówi po portugalsku tak samo, jak moja babcia mówi po turecku, a jednak się rozumieją. Trzymając się za ręce, spacerują całymi dniami po ulicach Rio, spędzają długie godziny na plaży, oddalają się od miasta i kąpią się nago w spadającej kaskadami wodzie. Istny raj, jak w kinie.

Bruno siedzi sam, opierając się o zakurzony i wilgotny bar, popija sok cytrynowy z dużą ilością lodu. Mały Metys, chudy i brudny, ma jakieś jedenaście, a może dwanaście lat, wchodzi do knajpki i podchodzi do niego, jest bosy, bez koszuli, wiszą na nim związane sznurkiem szorty, a z kieszeni wystaje mu paczka miejscowych papierosów Luiz XV. Chłopak ciągnie go za rękę:

– *Por favor, senhor...*

Wysoki barman odkłada natychmiast gazetę i robi trzy kroki, żeby przegonić go jednym ruchem dłoni, tak jak odgania się muchę. W cokolwiek niepewnym, ale zrozumiałym portugalskim Bruno radzi mu, by zajął się swoimi sprawami i dał dzieciakowi coś do zjedzenia. Z porozumiewawczym uśmiechem, którego Bruno w pierwszej chwili w ogóle nie wychwytał, spocony barman oddala się, żeby przygotować sandwicza z grillowanego chleba, z szynką i serem, którego podaje dzieciakowi, stawiając jeszcze przed nim dużą szklankę soku cytrynowego, oblesnie mrugając okiem do białego klienta. Kiedy zaczyna do niego mówić niskim i ochryplym głosem o urodzie brazylijskich dzieci, o miejscach, gdzie się z nimi można spotykać, takich, między innymi, jak jego nieposzlakowany zakład, a także o tym, jak trudno jest uczciwemu przedsiębiorcy wyjść finansowo na swoje, Bruno wreszcie rozumie, że ten facet bierze go za amatora egzotycznego świeżego mięska. Całkowicie tym zniesmaczony, rzuca na bar kilka banknotów, żeby zapłacić za sok cytrynowy, i wychodzi, zostawiając niedopity napój. Chłopiec przełyka błyskawicznie ostatnie kęsy kanapki i biegnie za nim po chodniku, żeby mu podziękować. Bruno wyciąga z kieszeni garść banknotów o nominale pięciu tysięcy cruzeiros, w sumie mimo wszystko jest to niewiele, i wciska mu do ręki, smutno się uśmiechając. Dzieciak myśli, że to jakaś pomyłka, ale cieszy się, że wreszcie mu się poszczęściło, i zaraz przebiega przez ulicę, zanim – tak pewnie sobie myśli – turysta zorientuje się, jak bardzo pomylił się w rachunkach. Przejeżdżająca zygzakiem między innymi samochodami rozpędzona taksówka potrąca go i odrzuca jego ciało wprost pod koła nadjeżdżającego z przeciwnej strony autobusu. Chłopiec ginie na miejscu ze zmiażdżoną głową.

Kierowca taksówki, czerwony z wściekłości, wyskakuje z samochodu, akurat jemu musiało się to przydarzyć, nie zapłacił ubezpieczenia. Nadbiega policjant i wrywa banknoty z mocno zaciśniętej jeszcze ręki chłopca, aby zwrócić pieniądze Brunowi – sprawia wrażenie, jakby z trudem się powstrzymał, aby nie założyć martwemu dzieciakowi kajdanek. Bruno odsuwa od siebie wyciągnięte w jego stronę pieniądze i płacze. Wszędzie na tym świecie jest tak wiele draństwa.

Milton, znajomy adwokat, pomaga Brunowi inwestować w Brazylii, zwłaszcza w nieruchomości, aby zapewnił sobie wygodne życie w przyszłości. Jednak trzeba jeszcze będzie załatwić kilka spraw w Paryżu, odzyskać pieniądze i biżuterię (także panterę, rzecz jasna), solidnie się przygotować do ostatecznego rozstania z krajem. Postanawiają pojechać tam razem, aby wszystko w miarę szybko załatwić – dziesięć dni, a w ostateczności dwa albo trzy tygodnie powinny im wystarczyć. Milton nie wie nic o tym, co Bruno robił w przeszłości, domyśla się tylko, że jego konto nie jest idealnie przejrzyste i czyste, skoro nie chce przekazać pieniędzy normalną, oficjalną drogą, ale nie przychodzi mu oczywiście do głowy, że jego nowy przyjaciel jest we Francji wrogiem publicznym numer 1.

Według jego szwagra Yves'a Bruno zamierza także wykorzystać krótki pobyt we Francji, aby spróbować go wydostać z więzienia w Albi, gdzie czeka na rozpoczęcie procesu za napad na supermarket Mammouth w październiku 1978 roku – na ławie oskarżonych Yves ma być sam. Ale tego jeszcze nie wiadomo, być może tak właśnie będzie. Jest również możliwe, że Sulak zaczeka na ogłoszenie wyroku i spróbuje szwagra wydostać, gdyby ten otrzymał wyrok wieloletniego więzienia. Gdyby karę musiał odsiadywać niejako za ich dwóch, Bruno miałby do siebie żal. Jednak adwokat Yves'a, mecenas L. (nie podaję jego nazwiska, ponieważ później zdarzy się coś, co pozostaje do dzisiaj niejasne), uważa, że nie powinno być aż tak źle. Tłumaczy swojemu klientowi, że to ostatni proces sędziego Saint-Germèsa, który wie, że media będą obecne na sali, a on nie ma ochoty szarpać się przed kamerami jak starzejący się szmacciarz, chce, aby proces przebiegł spokojnie, aby mógł elegancko i z klasą zakończyć karierę sędziowską. Jeśli więc Yves przyzna się bez wykrętów do udziału w napadzie (jest bowiem zbyt wiele poszlak przeciwko niemu – jego oczy rozpoznała jedna z kasjerek, bluza z nadrukiem Perkins... – aby miał jakiegokolwiek szanse na uniewinnienie, gdyby wszystkiemu zaprzeczał), L. postara się, aby potraktowano go tylko jako współnika, oddanego szwagra, który jedynie wykonywał rozkazy gangstera Sulaka, a wtedy werdykt będzie raczej łagodny, karę wliczą mu na poczet sześciu lat zasądzonych już wcześniej za supermarket Montlaur w Lattes, a skoro odsiedział już pięć lat, więc wyszedłby naprawdę niebawem. Yves nie jest wcale tego taki pewien, ale żywi z pewnością głębokie przekonanie, że może liczyć na Bruna, gdyby zapadł wyrok zbyt ciężki do zniesienia dla niego. Jego żona Brigitte, siostra Patricii, uspokaja go:

– Jeśli ci wlepią zbyt długą odsiadkę, Bruno cię uwolni.

*

Rano, w dniu odlotu z lotniska w Rio, Bruno kradnie Pati majtki, żeby mieć

po niej w kieszeni erotyczną pamiątkę, kiedy już wylądował w Europie. Majtki były w kolorze bładoniebieskim z delikatnym wzorkiem.

Zanim pozwoli mu wyruszyć razem z Miltonem w stronę hali odpraw, całuje go długo i mówi do niego:

– *Volte breve*.

„Wracaj szybko”. Niebawem będzie często słyszał te słowa, z bólem zamykając oczy, *Volte breve*, i przypominał sobie delikatny dotyk dłoni Pati na swoich włosach, gdy rozstawali się na lotnisku w Rio de Janeiro.

Dnia 9 lutego 1984 roku samolot, którym Bruno wraca na stary kontynent, ląduje w Lizbonie. Nie ma wielkiej nadziei, żeby odnaleźć swoje bmw (nic takiego by się nie stało, wynająłby albo kupił nowe), ale samochód jest na miejscu, znowu ma szczęście, auto czeka na niego od końca grudnia. A jednak, podczas gdy reguluje sporą zresztą należność w kasie parkingu, wydaje mu się, że jego „gliniarz” mocno się szamocze. Zaraz, spokojnie, o co chodzi? Skąd wzięło się to niepokojące i idiotyczne wrażenie – określenie jest zdecydowanie zbyt słabe – że definitywnie wraca w te strony i że nigdy więcej nie zobaczy już Ameryki Południowej, Rio i Pati? Przecież nie ma powodu. Nie, nie rozumie tego, jego beznadziejny „gliniarz” musiał się pogubić przez te różnice czasowe. Zresztą, tak czy inaczej, nic nie może na to poradzić, Milton i on sam nie wsiądą do samolotu lecącego w drogę powrotną tylko dlatego, że pojawiło się jakieś przecucie spowodowane najprawdopodobniej zmęczeniem, przyjechali tu, aby zająć się przygotowaniem wygodnego życia na przyszłość, uregulują szybko wszystkie sprawy, bez nadmiernego wzniecania kurzu, po czym odlecą z powrotem tam, gdzie czeka go lepsze życie. Bruno nie ma innego wyboru.

Jadą przez Portugalię, potem przez północ Hiszpanii, ponad dziewięćset kilometrów w wygodnym bmw, aż wreszcie dojeżdżają do francuskiej granicy, są na przejściu w Biriattou. Są w Kraju Basków, na ziemi baskijskich autonomistów, wszędzie tłumy policjantów. Niespecjalnie to wygląda, jeśli chodzi o warunki powrotu. W nadziei, że przejadą przez granicę nieco szybciej, Bruno decyduje się pokazać francuskie papiery, jedne z pierwszych, jakie sam podrobił, i na których wszystko, co zapisane, jest „prawdą”, dzięki nim dostał świetną pracę ochroniarza w banku i udało mu się uniknąć rewizji na avenue de Suffren, kiedy zostali u Steve’a; dokumenty są wystawione na nazwisko Érica Lamberta. Podaje je celnikowi i w tym właśnie momencie pech, ten sam pech dotyka go teraz lepkiem palcem, po raz pierwszy od czasu niedosłego skoku nad Kolwezi, powraca znów i stuka go palcem w czoło. Młody celnik bowiem, przepełniony zawodowym entuzjazmem, właśnie ukończył kilkudniowy kurs poświęcony fałszowaniu dokumentów. I od razu zauważa dwa lub trzy charakterystyczne szczegóły, nie wierzy własnym oczom, trafiony-zatopiony, dokładnie to, o czym mówił pan wykładowca, jackpot, a więc okazja, żeby udowodnić wszystkim, jak pilnym był uczniem – no i, rzecz jasna, Bruno włożył palec między drzwi, pif-paf!

MAŁY CELNIK JEST ZAKOCHANY

Dwa tygodnie wcześniej, w czasie weekendu na nartach w Luz-Ardiden, młody człowiek poznaje piękną Hiszpankę o imieniu Lucia, która przebywa z rodzicami na wakacjach. Młodzi nie przespali się jeszcze z sobą, z panią Carmen

i panem Casimirem lepiej na ten temat nie żartować, ale od tamtej pory on wciąż myśli o niej, mają się znowu zobaczyć pod koniec lutego u niej w Pampelunie – Pamplona! Ponieważ bujał w obłokach podczas kursu, myśląc tylko o ukochanej, dostał dwa albo trzy razy po łapach w czasie szkolenia na temat „falszywych papierów”. Jest mu to właściwie obojętne, chociaż Lucia skrzywiła się odrobinę, kiedy powiedział jej, że jest celnikiem, może należało wymyślić inny zawód, bardziej seksowny, na przykład instruktor narciarski?

– Tak, przepraszam pana. Ma pan coś do oclenia? Proszę bardzo. Przyjemnej podróży, panie Lambert.

O nie! Tak łatwo tym razem nie pójdzie...

– Proszę wyłączyć silnik. Coś tutaj nie gra, proszę pana. Chciałbym pana prosić o...

To tylko pryszcz, Bruno zanedo się tym nie przejmuje, w torbie podróźnej ma przecież paszportów pod dostatkiem i zawsze jakiś wykręt w zanadru, który wykorzysta, zanim celnik o czerwonych uszach zdąży wypowiedzieć zdanie do końca. W mgnieniu oka dokonuje się w nim metamorfoza, tak jakby lekko świrnięta dobra wróżka przeleciała niczym tornado przez wnętrze samochodu. Celnik, którego umysł zaburzą gorliwość i triumf, nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że jego ludzki skarb nagle stał się o wiele bardziej zniewieściały, aniżeli przedstawiał się jeszcze dwie minuty wcześniej, gdy opuścił szybę, ani nawet nie zauważył, że ten gość nie mówi już tak dobrze po francusku, a w każdym razie, że wypowiada słowa z dziwnym angielsko-skandynawskim akcentem, który wywołałby gwizdy wśród widzów oglądających bułgarski serial kategorii B (ale szczęście powraca, wsuwa się, aby zająć swoje stałe miejsce: kurs na temat fałszywego akcentu odbędzie się zapewne dopiero za miesiąc). No więc tak, to prawda, po co dłużej odgrywać komedię, otóż on nie nazywa się Éric Lambert, to fakt, młody człowiek odkrył to, wszystko się wydało. Bo naprawdę nazywa się Radiša Savik, jest obywatelem szwedzkim, ale pochodzenia jugosłowiańskiego (można to chyba wyczytać z rysów jego twarzy, prawda?), no i stało się to, że jest żonaty, ma sporo kłopotów ze swoją eksżoną, Szwedką, kobietą surowych zasad, wiadomo przecież, jakie one czasami są, nie może mu wybaczyć, że zakochał się w Miltonie, tym oto tutaj panu siedzącym tuż obok, że przeżywa z nim wielką miłość, żona chce zakazać mu widywania się z córką, a poza tym, uczciwie mówiąc, zapomniał trochę o płaceniu alimentów przez ostatnie miesiące, był w Brazylii razem z Miltonem, jednym słowem, zrobił się z tego wszystkiego okropny pasztet i kaszana.

Celnik jest zaniepokojony i rozczarowany, ale nawet taki specjalista jak on przyznaje w końcu, że jego dogłębna wiedza musi skapitulować przed obowiązującym prawem: ten szwedzki paszport jest bowiem jak najbardziej autentyczny. (Kursy dla celników są jednak zdecydowanie za krótkie). Oczywiście

to nie jest powód, żeby zaczynać od okazywania fałszywego paszportu, ale ta ciota z północy nie ma w sobie nic z kryminalisty, ot, zwykły pedzio ścigany przez dwumetrową, stukilogramową Brunhildę, przez jakąś orkę z jasnymi lokami, która chce go dopaść i wypatroszyć. To na pewno nie jest zdobycz, za którą dostanie medal, niestety. A jednak dobra nowina, która właśnie nadchodzi, odrobinę go pociesza: po krótkich poszukiwaniach i trzech telefonach okazuje się, że bmw figuruje na liście skradzionych pojazdów. Pech daje szczęściu kopniaka w dupę i ponownie przejmuje władzę.

Tego akurat Bruno nie przewidział. Był przekonany, że zakupiony przez niego samochód jest czysty. (Niemieckie okazje nie służą mu najwyraźniej, nic bardziej zdradzieckiego). Oj, powie on do słuchu sprzedawcy, temu łobuzowi bez serdaczka, jeśli stąd wyjdzie. Na razie jednak próbuje nie wpadać w popłoch, nie trzeba widzieć wszystkiego w czarnych kolorach, nikt tutaj nie wie, kim jest. Ma krótko przycięte włosy, *brushing* w stylu młodych intelektualistów, okulary w rogowych oprawkach i kilkudniowy zarost, nawet rodzona matka z trudem by go rozpoznała. No i ma pełne zaufanie do jakże starannie wykonanego szwedzkiego paszportu: następnego dnia po aresztowaniu policjanci ustalają, że naprawdę istnieje obywatel szwedzki urodzony w Jugosławii o nazwisku Radiša Savik, niedawno rozwiedziony. Nie byłoby dobrze, gdyby ekszona za szybko się o tym dowiedziała, a jeszcze gorzej by było, gdyby naszła ją ochota przylecieć tutaj i wykręcić mu ucho na hiszpańskiej granicy (jej dom jest jednak daleko stąd, więc wszystko w porządku), tyle że nikt nie będzie go trzymał w celi przez lata za kradzione auto, skoro przysięga, że kupił je w dobrej wierze, podaje nawet jakieś wymyślone dane dotyczące faceta w Paryżu, do którego miał całkowite zaufanie, który wyglądał tak poważnie i który wmawiał mu, że zajmuje się od dawna samochodami; Bruno tak dobrze wszedł w swoją rolę, aż się rozplakał podczas przesłuchania. Przez dwa dni aresztu mało śpi i z trudem oddycha, czuje, że złapali go z powodu zupełnie drobnej rzeczy, jest wykończony psychicznie.

Kiedy jednak przychodzi wypuścić na wolność Milтона, który nie ma z tym nic wspólnego, wydaje mu się, że i z nim wszystko pójdzie dobrze, bo ani policja, ani sędzia nie traktują tej sprawy poważnie. Mimo to przewożą go do więzienia w Bajonnie, ale z pewnością nie na długo: adwokat, z którym chce się zobaczyć (żaden z tych, rzecz jasna, którzy wcześniej byli obrońcami Bruna Sulaka), powiadamia go, że może zostać zwolniony „tymczasowo” za kaucję. Zanim pożegnał się z Miltonem, któremu wszystko opowiedział w ciągu dwóch dni aresztu (i który nie miał do niego pretensji, że ukrywał przed nim tę w sumie powierzchowną cechę swojej osobowości), przekazał mu również numer telefonu do Steve’a w Paryżu, i wie, że przyjaciel wszystkim starannie się zajmie. Gdyby więc Milton go powiadomił, byłoby szalenie miło. A potem niech wraca do Brazylii i nie niepokoi się o nic, Bruno dołączy do niego niebawem, uregulują

wszelkie finansowe i inwestycyjne kwestie innym razem. Wszystko będzie dobrze. Rewers medalu, który rzadko zapomina o tym, że ma dwie strony, polega na tym, iż od chwili przybycia do zakładu karnego w Bajonnie, zarówno w celi, jak i na spacerniaku, Bruno musi zachowywać się tak, jak powinna się zachowywać kreowana przez niego postać szwedzkiego fotografa homoseksualisty. Bo szwedzcy fotografowie homoseksualiści w więzieniu nie są zbyt częstym zjawiskiem. Ten młody, bardzo opalony chłopak mówiący piskliwym głosem dużo gestykuluje i chodzi, kręcąc tyłeczkiem: spotyka go raczej chłodne powitanie. Nadal jednak odgrywa swoją rolę. Naprawdę trzeba mieć nerwy ze stali.

W godzinę po telefonie od Milona Steve jest już w drodze do Bajonny z torbą pełną pieniędzy w bagażniku samochodu. Jest zdenerwowany, spieszy się, nie podoba mu się, że jego przyjaciel trafił do więzienia, że znalazł się w tak trudnej sytuacji, mocno osaczony przez tych, którzy ścigają go od tak wielu miesięcy. Zaraz po przyjeździe grzecznie kontaktuje się z adwokatem, który potwierdza, że wystarczy wpłacenie kaucji, aby Bruno znalazł się na wolności, ale nie wydaje się też zanadto zainteresowany całą tą sytuacją, bo musi prowadzić mniej zabawne sprawy niż zakup trefnego samochodu przez jakiegoś pedzista turystę, więc prosi Steve'a, żeby przyszedł do niego za tydzień, a w tym czasie on dowie się, jaka jest ostateczna wysokość kaucji. Tytan z Leskovaca sięga do najgłębszych pokładów samokontroli, żeby nie roznieść na strzępy tego łysawego pokurcza, gdyż mogłoby to postawić pod znakiem zapytania sukces całej operacji: „Wyciągamy po cichu Bruna z pierdła i nikt o niczym nie będzie wiedział”, po czym wychodzi z gabinetu adwokata, delikatnie pocierając knykcie prawej pięści.

Lawirując łagodnie między brutalnymi bandziorami i podekscytowanymi młodymi łobuzami, cwaniaczkami, którzy marzą, by zaliczyć to szwedzkie ciacho, Bruno czeka, niespokojny (jeśli ktokolwiek go tu rozpozna, czekają go stuletnie galery) i ufny zarazem: mieć Steve'a obok siebie, kiedy pojawiają się kłopoty, to tak, jak być bratem mistrza świata hydraulików, gdy w kuchni obok cieknie kran.

Przez cały ten czas w OCRB wszyscy drapią się po głowie. Minęły już dwa miesiące, jak Sulak nie dał znaku życia ani nie pokazał się u jubilerów, co do niego raczej niepodobne, ani nawet nie rozmawiał przez telefon z bliskimi – wciąż wszyscy są na podsłuchu – co do niego jest już całkiem niepodobne. To nienormalne. Albo nawet niepokojące. Poszukiwania wciąż trwają, w szpitalach, więzieniach, kostnicach. Niektórzy zadają sobie pytanie, czy nie wykończył go jakiś zawistny kumpel z branży, który chciał mu zabrać jego skarby. Ale nikt w to za bardzo nie wierzy. Jakiś policjant mówi do kolegi: „Sulak jest kotem (skąd on o tym wie?), ma dziewięć żywotów, a jak do tej pory, nie wykorzystał nawet pierwszego z nich”. Nie jest to jakaś porywająca robota, nikomu się nie chce przeglądać dziesiątków fiszek i akt w nadziei, że trafi się przypadkiem na faceta, który najprawdopodobniej sączy teraz przez słomkę nektar z papai, gdzieś między

Kuala Lumpur a Montevideo, w biurach wszyscy zrzędzą, nikt się do tego nie pali.

W tydzień po pierwszej kurtuazyjnej wizycie Steve pojawia się ponownie, by zobaczyć się z adwokatem, który powinien był, dla bezpieczeństwa swej cielesnej powłoki, zająć się co nieco wiadomą sprawą. Uczynił to na całe swoje szczęście (jest więc jednak miłosierny Bóg, który czuwa nad adwokatami). Cokolwiek zakłopotany, obwieszcza mu, że kaucja wynosi pięćdziesiąt tysięcy franków.

– To rzeczywiście sporo, bardzo mi przykro...

Steve mógłby zapłacić od ręki, tak jak kupuje się w piekarni croissanta, ale coś mu się w tym gościu nie podoba: jeśli położy przed nim na biurku grube pliki banknotów, od razu stanie się to tematem rozmów przy automacie do kawy na komisariacie w Bajonnie. Steve przybiera więc zafrasowaną minę:

– Rzeczywiście, to duża kwota. Proszę posłuchać, dzisiaj jest czwartek, niech mi pan da czas na zebranie pieniędzy. Wystarczy mi weekend. Tylko jak pan już dostanie te pieniądze, czy mój przyjaciel wyjdzie na wolność?

– W ciągu kilku godzin.

– Dobrze. Postaram się dostarczyć pieniądze w poniedziałek.

*

W poniedziałek, 27 lutego 1984 roku, tuż przed południem, Steve wychodzi z hotelu z aktówką, w której jest pięćdziesiąt tysięcy franków w różnych nominałach. Przed końcem dnia będzie mógł wziąć swojego kompana w ramiona. Walka na szczycie pomiędzy pechem i szczęściem dobiega końca. Po raz kolejny wydaje się, że zwycięży szczęście.

Nikt już dzisiaj nie pamięta tego chłopca, młodego policjanta z OCRB, który dopiero co przyjechał z prowincji i nie zna prawie nikogo w Paryżu. Czuje się chyba trochę nieswojo, nie ma przyjaciół, a dziewczyny w tym mieście wydają się tak pewne siebie, że go onieśmielają. Owszem, jest ta mała blondyneczka z drugiego piętra, która się do niego uśmiecha rano, kiedy się mijają, ale jak dotąd nie odważył się zaproponować jej, żeby poszli po pracy do kawiarni. Tak się nie da tego zrobić, to trudne. Kładąc się spać, myśli o tym, widzi oczyma wyobraźni, jak się do niej zwraca, powtarza zdania, które chciałby do niej wypowiedzieć. Tak przypuszczam. Dajmy mu na imię na przykład Guillaume. Pasuje do prowincji i do kogoś nieśmiałego, myślę, że może być.

I właśnie Guillaume'owi wcisnęli tę niewdzięczną robotę polegającą na przeglądaniu akt i dokumentów z więzień, szpitali, z aresztów śledczych, musi sprawdzić wszystko, co spływa z różnych zakątków Francji. Nie bardzo go to bawi, to jasne, ale przynajmniej ma jakieś zajęcie, czuje się potrzebny, choćby pozornie, i nie musi się za dużo nad tym zastanawiać. Zamknięty w malutkim biurze w dziale dokumentów, wykonuje sumiennie mrówczą pracę. („Zresztą jestem przecież mrówką...”, być może). Pracuje bardzo starannie i gorliwie. W piątek, 24 lutego 1984 roku, zostanie w pracy dłużej niż inni, pozwoli mu to nie iść samemu na piwo Météor do tej ponurej knajpy pod domem, nie będzie też musiał jeść samotnie przed telewizorem odgrzanego w mikrofalówce czegoś tam firmy Vivagel – z pewnością to nie dzisiaj odważy się spróbować szczęścia z tą małą blondyneczką. Bo ze szczęściem jest u niego raczej kiepsko, przynajmniej tak to wyglądało do tej pory.

Chcąc zrobić w życiu przynajmniej jedną rzecz jak należy, rozszerza zakres poszukiwań: skoro jego koledzy są przekonani, że Sulak jest gdzieś między Kuala Lumpur a Montevideo, to znaczy, że nie przebywa w szpitalu w Charenton albo w zakładzie karnym w Metz, musi więc być w ciągłym ruchu, dokądś tam jeździ, więc głupio by było nie rzucić przynajmniej okiem na to, co ostatnio działo się na przejściach granicznych.

Jest po godzinie 23.00, kiedy w małym biurze na trzecim piętrze niemal całkiem opustoszałego starego budynku policji Guillaume unosi brwi. Zabawne, nigdy w życiu nie słyszał tego imienia, a teraz po raz drugi trafia na nie w ciągu zaledwie kilku tygodni. Radiša. Tak samo jak współnik Sulaka, Radiša Jovanović. Tym razem to Radiša Savik, szwedzki fotograf zatrzymany dwa tygodnie temu na granicy hiszpańskiej z powodu legitymowania się fałszywymi dokumentami i jazdy kradzionym samochodem. No cóż... Urodził się w Jugosławii, to musi być popularne imię tam, w Jugosławii, Radiša, tak jak Hans czy Helmut w Niemczech albo Pedro w Hiszpanii. Guillaume był tylko raz w Jugosławii, kiedy miał sześć

albo siedem lat, spędzał wtedy wakacje z rodzicami w miejscowości Umag, pamięta, że plaża wyglądała jak wielka schodząca do morza betonowa płyta, była również wielka zjeżdżalnia, ale jeśli chodzi o imiona... Dobra. Patrzy mimo wszystko na zdjęcie tego faceta. Nie, to nie on. Zupełnie niepodobny. Może jednak ma podobne oczy? Trochę tak. Oczy rzeczywiście są mimo wszystko podobne... A tutaj, ten pieprzyk?

Podniecony (to byłoby przecież szaleństwo), zapomina całkiem o powściągliwości i umiarze, które blokują go od najmłodszych lat, i dzwoni do szefa do domu. Ten akurat położył się spać, gdera coś pod nosem, Guillaume, kurde, złapaliśmy Sulaka dwa tygodnie temu i nikt o tym nie wie, bez przesady, są jakieś granice. Oczy, dajże spokój, twój ojciec jest okulistą, czy co? Dobrze już, zobaczymy rano, a teraz bądź tak uprzejmy i daj ludziom spać.

W sobotę rano dwóch funkcjonariuszy policji z OCRB, którzy wspólnie z Moréasem przesłuchiwali Bruna całymi godzinami w styczniu 1982 roku, pochyła się nad zdjęciem geja ze Sztokholmu. Po pierwszym grymasie niezadowolenia przyglądają się trochę uważniej. Czyżby jednak?

Po południu obaj wyruszają do Bajonny, żeby ocenić wszystko na miejscu, a zwłaszcza żeby sprawdzić odciski palców, których nie przesłano do centralnego rejestru. W Paryżu Guillaume jest trochę rozczarowany, chciał, żeby go zabrali z sobą, tyle że on nigdy nie widział słynnego Sulaka, na nic by się więc nie przydał, dobrze o tym wie. Ale cokolwiek się wydarzy, jutro stanie się kimś w rodzaju cichego bohatera, jeśli to dzięki niemu być może zostanie zatrzymany wróg publiczny numer 1. Jeżeli nawet wtedy nie poradzi sobie i nie uda mu się zaprosić do kawiarni tej blondyneczki, to nie ma dla niego miejsca wśród mężczyzn, wśród tych, którzy aspirują do prawdziwej miłości. Zostanie już na zawsze z daniami firmy Vivagel do odgrzania w mikrofalówce.

W niedzielę w Bajonnie obaj policjanci precyzyjnie badają odciski palców pobrane przez kolegów ze straży granicznej. Oj, robi się głośno, a nawet bardzo głośno.

W poniedziałek rano, gdy Steve zamyka neseser z pieniędzmi na łóżku w pokoju hotelowym, drzwi do celi Bruna w zakładzie penitencjarnym w Bajonnie, nazywanym „smutną willą”, otwierają się. Od razu rozpoznaje dwóch wchodzących gości. To koniec. Szczęście go opuściło. Szczęście opuściło go w ostatniej chwili.

– Jesteście mocni – mówi do nich Bruno. – Ale niewiele brakowało, żebym wygrał.

GUILLAUME ODKRYWA ZALETY WHISKY

Piątek, 24 lutego 1984 roku, godzina 17.30. To przecież niemożliwe, żeby tak strasznie się bać. No jasne, że jeżeli nigdy do niej nie zagada, to ta blondynka

na pewno nie wpadnie sama w jego ręce jak jajko na Wielkanoc. A na dodatek jajka też trzeba dopiero znaleźć gdzieś w głębi ogrodu. Wyobraź więc sobie, że ona jest jak jajko, Guillaume, jak małe jajko blond.

Za długo to już trwa. Guillaume postanawia więc przejść do działania. Pamięta dziadka, który mówił mu wiele razy, że szybki sznaps „na odwagę” pozwala mężczyźnie pokonać wszelkie wątpliwości w tym życiu w wieku od dziesięciu do stu lat (zaleca się wypicie dwóch sznapsów w przypadku bardzo ładnych dziewcząt i pojedynków, chociaż ta ostatnia tradycja dzisiaj akurat zanika). Mówi więc, że ma pilną sprawę do załatwienia, biegnie do pierwszej kawiarni, strzela sobie podwójną miarkę Ballantine’s (nigdy wcześniej tego nie pił, ale to whisky, którą pije jego szef, więc musi być OK), wychyla duszkiem, wraca na drugie piętro i od razu pyta blondyneczkę (jestem pewien, że ma na imię Isabelle), czy nie zechciałaby pójść z nim po pracy na drinka. Ależ tak, z przyjemnością – *oui*. W pierwszy wieczór nic się nie dzieje, Guillaume nie jest z gatunku szalonych zdobywców niewieścich serc (gdyby poznał wcześniej produkty gorzelnii Oban, a nie jedynie Ballantine’s, Isabelle zobaczyłaby, z kim ma do czynienia), ale oczywiście nie wraca już do pracy, spędza wieczór na rozmyślaniu o życiu we dwoje i marzy o piersiach Isabelle, błogosławiąc przy tym imię swojego dziadka oraz George’a Ballantine’a, syna farmera z okolic Edynburga. Do pracy zabrałby się ponownie w poniedziałek rano, wczesnym popołudniem wszedłby do biura szefa ze zdjęciem Radišy Savika, a kiedy dwaj policjanci przyjeżdżają do Bajonny we wtorek po całonocnej jeździe samochodem, Bruno i Steve padli już sobie w ramiona kilka godzin wcześniej, są już daleko stąd, śmieją się na jednej z uliczek w Turynie, poklepują się po plecach i szukają dobrej pizzerii. Bruno wraca do Rio kilka dni potem, spotyka Pati i Miliona, przygotowują staranniej przyszły wyjazd do Francji, za rok, może dwa, nie ma mowy o okazji kupowanych samochodach, dwa ostrożnie spędzone tygodnie i sprawa załatwiona. Dzisiaj mieszka w Brazylii, ma pięćdziesiąt osiem lat, założył niewielki klub spadochronowy, wspiera organizacje pomocowe dla dzieci z biednych rodzin. Talia dołącza do niego w 1986 roku, od czasu do czasu odwiedzają go Pauline, Stella i Denis, znacznie częściej natomiast przyjeżdża do niego Amélie.

Pirata zakuli więc w kajdany. Cała prasa w kraju szaleje, to świetny temat, nieprawdopodobna historia, wyjątkowo zdolny i nieuchwytny do tej pory bandyta od ponad dwóch tygodni chodził w kółko po celi w więzieniu w Bajonnie. Pod wydrukowanym wielkimi literami tytułem: *Sulak, gwiazda napadów, wreszcie ujęty* artykuł w „Libération” zaczyna się tak: *Rok 1983 miał swoje gwiazdy, są to Hafiz al-Asad, jeśli chodzi o wojnę, Yannick Noah, gdy idzie o sport, Michael Jackson w dziedzinie muzyki. Mimo wszystko zapomniano o jeszcze jednej ważnej postaci. Nazywa się Bruno Sulak. Złodziej roku.* Autor pisze o groteskowym i szczęśliwym dla OCRB zatrzymaniu Sulaka na granicy. Przypomina się najsłynniejsze „wyczyny” zatrzymanego. Do tekstu dołączono fragment jego listu do matki: *Wiem, że stracę życie. Kpię sobie z tego, jestem szczęśliwy i nie potrafiłbym żyć inaczej. Czy umrę jutro, czy za pięćdziesiąt lat, jakie to ma znaczenie?* Artykuł kończy się zagadkową puentą: *Tymczasem czeka go więzienie. Więzienie jako uginający się pomost między życiem i śmiercią.*

Kiedy Steve wchodzi do biura łysawego adwokata w poniedziałek przed południem, ten jest blady, a w jego rozbieganych oczach widać strach.

– Proszę pana, niestety, jest pewien problem z pana przyjacielem, nie ma sensu wpłacać kaucji, nie wypuszczą go. Funkcjonariusze z OCRB przyjechali dzisiaj rano z Paryża, żeby zobaczyć się z nim w celi.

Nie dodał nic więcej, nie wypowiedział imienia Bruna, ale Steve oczywiście natychmiast zrozumiał. Wyszedł bez słowa z kancelarii. Ale przynajmniej ten adwokat, którego uważał za podstępnego oszusta, nic o nim nie powiedział, nie wspomniał nikomu o kaucji ani o dzisiejszym spotkaniu. Mylimy się co do ludzi, a często mylimy się nawet bardzo.

Rozumiejąc, że nie ma sensu pozostawać w okolicy, ponieważ nikt tutaj nie byłby w stanie udzielić mu informacji, ani jak, ani gdzie się z nim skontaktować, Steve od razu wraca do Paryża. Jest przekonany, że szybko otrzyma od Bruna wiadomości, które dotrą do niego taką czy inną drogą. W ciągu następnych dni nic nie liczy się dla niego bardziej, w jego życiu, w jego myślach i dla jego przyszłości, jak tylko ten właśnie cel, obsesyjne dążenie i zwierzęcy upór: jak wyciągnąć przyjaciela z klatki. Jak wydobyć go z tego piekła – wie o tym, przeżył już to, tę odrazę ma we krwi – jak wydostać go z piekła, jakim jest więzienie, w którym zagrzebią go na dwadzieścia lat.

Zaraz po powrocie udaje się z wizytą do Denisa Girauda, adwokata Bruna, człowieka lojalnego, na którym można polegać, aby zorientować się, czego można się teraz spodziewać, gdzie znajduje się Bruno, na jak długo, czy proces w sprawie supermarketu Mammouth w Albi, w którym do tej pory jedynym oskarżonym był Yves, będzie kontynuowany, czy przełożony? Adwokat nie potrafi jeszcze

odpowiedzieć na te pytania. Determinacja Steve'a robi jednak na nim ogromne wrażenie, widzi jego zawziętość, niemal furię, domyśla się też, chociaż le Grand nie mówi mu, nie chcąc wprowadzić go w stan głębokiej rozterki zawodowej, że jest gotów uwolnić tego, którego uważa za swojego drugiego brata, i ani on, ani nikt inny nie będzie w stanie mu w tym przeszkodzić. Steve już nabrał rozpędu i nie cofnie się przed niczym.

Dwa dni po tym, jak niespodziewanie odkryto jego tożsamość, Bruno zostaje przewieziony pod eskortą, którą spokojnie można by pokazać z dumą podczas defilady 14 lipca, do aresztu w Gradignan, niedaleko Bordeaux, miejsca lepiej obwarowanego aniżeli areszt śledczy w Bajonnie. Gdyby schwytano dzikiego cyklopa, który spadł prosto z nieba, nie byłby z pewnością pilniej strzeżony. Jednak Bruno stawia na inny oręż niż siła i złość. Przygląda się, rozmawia. Wprawdzie zabroniono mu kontaktowania się z innymi więźniami, ale w ciągu zaledwie dwóch dni klawisze stali się dla niego tak życzliwi, że pozwolili mu obserwować spokojnie to, co dzieje się wokół niego, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, że sami dostarczyli mu kilku pożytecznych informacji. Dzięki temu może naszkicować ogólny plan więzienia.

Mecenas L., adwokat Yves'a, zjawia się u Sulaka 2 marca. Pyta go, czy zgodzi się wziąć na siebie całą odpowiedzialność za napad na supermarket Mammouth, aby wymiar sprawiedliwości kierowany przez sędziego Saint-Germèsa łagodniej potraktował jego klienta i aby mógł on opuścić więzienie praktycznie zaraz po zakończeniu procesu. Bruno nie waha się ani przez chwilę, zgadza się – zresztą ma tak wiele spraw na sumieniu, dziesiątki supermarketów i sklepów jubilerskich, skoro czeka go długa runda po licznych sądach, to z pewnością jeden niewielki Mammouth nie zmieni tutaj zbyt wiele. Weźmie to na swoje konto, zgoda, on wszystko zorganizował i wykonał, Yves jedynie pilnował wejścia do supermarketu. W zamian prosi adwokata o drobną przysługę: trzeba przekazać Steve'owi, do którego podaje mu numer telefonu, plan więzienia, a do tego napisany poprzedniego dnia list, w którym wyjaśnia, kiedy i w jaki sposób mógłby go stąd wydostać. Ale trzeba działać szybko, zanim zamkną go w miejscu, z którego po prostu nie da się już uciec.

Muszę tutaj pozwolić sobie na dłuższą dygresję. Chcąc opowiedzieć o tym, jak naprawdę sprawy się potoczyły i co się dokładnie stało, możemy tylko stwierdzić, że nie mamy co do tego żadnej pewności. Nie jest bowiem absolutnie pewne, że to mecenasowi L. (którego nie ma już na tym świecie, pokój jego duszy – albo i nie) Bruno przekazał plan więzienia oraz list. W swoich notatkach spisanych wkrótce potem Bruno wyjaśnia, że przekazał je jakiejś osobie (czytając jego słowa, można przypuszczać, że chodziło o jakiegoś klawisza, ponieważ nie miał prawa do spotkań w rozmównicy zaledwie w kilka dni po aresztowaniu), której Steve miał wręczyć sto tysięcy franków. To, że potrafił zaskarbić sobie

czyjaś sympatię, to pewne, ale żeby całkowicie zaufał komuś, a do tego jeszcze klawiszowi, w sprawie o tak wielkim dla niego znaczeniu po zaledwie dwóch dniach spędzonych w więzieniu, trudno w to uwierzyć. Komu więc innemu miałyby przekazać te papiery? Z pewnością nie był to Denis Giraud, którego nie chciał ze względu na łączącą ich przyjaźń wplątywać w przemykanie tych trefnych notatek i nie zamierzał ściągnąć na niego ryzyka wykluczenia z zawodu. Poza tym Giraud nie spotkał się z nim w tym czasie, nikt inny wtedy z nim nie rozmawiał, z wyjątkiem mecenasa L. Tyle w każdym razie mi powiedziano (nie mogę sprecyzować, kto z tak zwanych „dobrze poinformowanych źródeł” kryje się za tą bezosobową formą). Zresztą, możliwe, że to temu właśnie adwokatowi obiecał owe sto tysięcy franków w zamian za niezadowolające, jak się okazało, usługi. To możliwe, lecz nie do końca pewne.

Z chwilą gdy wiadomość do niego dotarła, Steve przystępuje do działania. Nie wolno mu tracić czasu, data procesu zostaje utrzymana, rozprawa odbędzie się 20 marca. Jedzie najpierw do Christine, do mieszkania przy rue Olivier-Métra, odzyskuje pieniądze i biżuterię, która nie została jeszcze spieniężona (zawsze przyda się trochę błyskotek, żeby przekonać szlachetne dusze), oraz broń. Prosi dwóch swoich przybocznych — nazwijmy ich Ivko i Živko – aby mu towarzyszyli, i wyrusza do Bordeaux mercedesem 190, którego wynajął na nazwisko Grégory’ego Jacques’a Fanellego, urodzonego 25 lipca 1953 (to jego prawdziwa data urodzin) w Mons, w Belgii.

W piątek, 9 marca jakiś mężczyzna z wyraźnym włoskim akcentem dzwoni do Airlec, firmy zajmującej się wynajmowaniem helikopterów, która mieści się na lotnisku Bordeaux-Mérignac. (W swoim liście Bruno poradził mu, żeby wybrał lądowisko helikopterów nieco bardziej oddalone od Gradignan, znajdujące się w odległości zaledwie dziesięciu kilometrów, aby nie wzbudzać podejrzeń, lecz tym razem Steve nie stosuje się do sugestii przyjaciela, nie ma ochoty latać całymi godzinami). Pragnie uzyskać informacje na temat wynajmu helikoptera, aby polecieć nad Bordeaux i okolicą w celu wykonania zdjęć lotniczych, jest bowiem reżyserem filmów dokumentalnych oraz filmów realizowanych na zlecenie różnych przedsiębiorstw. Wynajem urządzenia, które najbardziej by mu odpowiadało, kosztuje czterysta dwadzieścia dwa dolary za godzinę. W porządku, to rozsądna cena. Fanelli musi tylko dzień wcześniej dostarczyć plan lotu. Nie ma problemu, wpadnie jutro.

W sobotę, 10 marca w recepcji firmy Airlec pojawiają się dwaj sympatyczni faceci: Grégory „Steve” Fanelli oraz mężczyzna, którego przedstawia jako operatora kamery. Wyjaśnia dyrektorowi, który sam zresztą ma być ich pilotem, że najbardziej interesuje go węzeł drogowy przy autostradzie w okolicy Villenave-d’Ornon i wysepka Arcins na Garonnie. To świetny wybór, uważa dyrektor. Czy start o godzinie 8.30 byłby możliwy, żeby wykorzystać dobre

poranne światło? Doskonale. Reżyser zostawia sto dolarów zaliczki.

Wieczorem Steve nie może zasnąć. Nie boi się, to nie w jego stylu, ale przecież po raz pierwszy podejmuje próbę wydostania kogoś z więzienia z użyciem helikoptera (będzie to dopiero druga taka próba we Francji, po tej, którą zorganizował i przeprowadził Serge Coutel we Fleury-Mérogis), i nic nie zmartwiłoby go bardziej niż niepowodzenie. Powtarza wciąż w myślach zalecenia, które Bruno przekazał mu w liście: sterroryzować pilota dziesięć minut po starcie, zachować spokój, w żadnym razie nie posługiwać się bronią (jeśli coś potoczyłoby się źle, nie nalegać, przerwać operację, a nawet dać się aresztować, zawsze będzie okazja, żeby później uciec), zmusić pilota, aby zatrzymał się tuż nad siatką rozciągniętą na małym dziedzińcu oznaczonym na planie, gdzie Bruno „spaceruje” (albo raczej gdzie go wyprowadzają) każdego ranka pilnowany przez tylko jednego strażnika, z którym poradzi sobie bez trudu i który do tego będzie trzymany na muszce z helikoptera. Następnie Ivko schodzi na ogrodzenie z siatki, którą rozetnie specjalnymi nożycami do stali, po czym przrzuci Brunowi sznurową drabinkę. Nie wolno strzelać, a w razie konieczności jedynie odbezpieczyć granat. Z chwilą gdy już będą w środku helikoptera, trzeba zmusić pilota, aby doleciał do miejsca, gdzie będzie na nich czekał samochód z Živkiem za kierownicą, zniszczyć system komunikacji radiowej i pozwolić pilotowi wrócić na lądowisko.

Późno w nocy, po ostatnim telefonie do Ivka, który jest w sąsiednim pokoju hotelowym, Steve wreszcie zasypia.

O godzinie 8.20, w niedzielę, 11 marca 1984 roku niebieski mercedes parkuje nieopodal strefy zarezerwowanej dla helikopterów na lotnisku w Mérignac. Wysiada z niego trzech mężczyzn, ale tylko jeden z nich idzie w stronę recepcji, to Grégory Jacques Fanelli. Ma na sobie zieloną wojskową kurtkę nałożoną na skórzaną bluzę, pasek z wężowej skóry, na ręce zegarek Van Cleef & Arpels, brązową torbę na pasku, niebieską plastikową saszetkę w drugiej ręce, beżowy kaszkiet, okulary przeciwsłoneczne Porsche i fajkę w ustach (nieźle). Kiedy podchodzi nieco bliżej, widzi, że mężczyzna w recepcji to nie ten sam gość, z którym rozmawiał wczoraj. Co dziwne, pięciu albo sześciu facetów chodzi o tej wczesnej porze po korytarzu. Inny, trochę starszy, wychodzi z biura po prawej stronie, w ręku trzyma pistolet. Rozlegają się dwa strzały. Steve nie żyje.

„Jeśli będzie trzeba, dam się za niego zabić” – powiedział dawno temu Steve. I właśnie to zrobił, tyle że w niczym to nie pomogło Brunowi.

Według policji, a konkretnie według zeznań policjanta, który strzelał i który wyszedł z biura po prawej stronie korytarza, funkcjonariusza SRPJ z Bordeaux, Steve zamarł w bezruchu, kiedy podszedł do niego z opaską z napisem „POLICJA” na lewym ramieniu, podając mu swoje nazwisko i nakazując mu wejść do biura, następnie włożył rękę do kieszeni bluzy, „podczas gdy my staraliśmy się uniemożliwić mu ucieczkę”, i wyciągnął pistolet, który w nich wycelował. „W tym samym momencie dwukrotnie użyłem mojej broni, strzelając do tego osobnika, który osunął się, pociągając za sobą na podłogę mojego kolegę”.

W plastikowej saszetce znaleziono kilka map regionu. W bluzie były trzy tysiące dolarów i dowód osobisty na nazwisko Grégory’ego Jacques’a Fanellego, szwedzki paszport wystawiony na nazwisko Tadeusza Turika, urodzonego w 1948 roku w Warszawie, odręcznie napisany list, bez podpisu, wyszczególniający kolejne etapy ucieczki, i schematyczny plan więzienia w Gradignan. Wreszcie w trzymanej na pasku torbie, wciąż według relacji policji, znaleziono kilka rewolwerów i pistoletów, dwa granaty (osiem – według innych źródeł...), kajdanki, pięciometrowy sznur (a nie drabinkę sznurową?) i fiolkę temesty²⁴.

Bruno wytłumaczy później, że nic się tu nie trzyma kupy. Zalecił przecież Steve’owi, aby ten miał przy sobie jedną sztukę broni, po to tylko, żeby straszyć pilota. Po co miałyby iść do recepcji z całym arsenałem w torbie? (Poza oczywistym faktem, że jest to pożyteczne dla wersji przedstawionej przez policję: no pewnie, bo jak ktoś jest tak uzbrojony, to przecież trzeba go zabić). Oznaczałoby to, że zamierzał wykonać tę akcję całkiem sam (inaczej bowiem to Živko niósłby torbę, w której miała być kamera), więc chociaż lubimy policję, to jednak mimo naprawdę sporego wysiłku i dobrej woli, nie można się z nimi zgodzić, kiedy wyobrażają sobie, że Steve schodzi po metalowej siatce ogrodzenia rozciągniętej nad dziedzińcem, aby ją przeciąć, a w tym czasie dyrektor Airlecu ląduje posłusznie tuż obok, oczywiście sam w helikopterze, sratatata!

Jednocześnie należy przedstawić dowody, torbę, broń, policjanci być może nie posunęli się do tego, by wszystko to ściągnąć nie wiadomo skąd. Ale tajemnica pozostaje. Ja w każdym razie tego nie wiem.

Nie to jednak jest najistotniejsze, zupełnie nie. Bruno jest bowiem przekonany, i powie o tym kilkakrotnie, że Steve nie próbował w ogóle strzelać do gości z SRPJ, ba, on nawet nie wyciągnął broni, znał go przecież lepiej niż ktokolwiek inny, wie, że Steve nie był wariatem i nie bawiłby się w odbezpieczanie broni, mając przed sobą ośmiu uzbrojonych policjantów: „W takim przypadku nasze postępowanie jest bardzo proste: dać się zatrzymać, uniknąć strat, a potem...

Tak długo jak się jest żywym, wszystko jest możliwe”. Nie mogło się to zatem potoczyć tak, jak twierdzi policja. Zresztą, oni również między sobą nie do końca się zgadzają. Michel Hénault, dyrektor SRPJ z Bordeaux, oświadcza: „Mężczyzna był zaskoczony, widząc tak dużą liczbę obecnych tam osób, wyciągnął broń, ale to jeden z moich policjantów strzelił pierwszy”. (Możemy wyobrazić sobie tę scenę: Steve wchodzi do holu, żeby wynająć helikopter, widzi sześć albo siedem osób i od razu wyciąga swoje magnum .357 – no po prostu psychopata). Inspektor Jacques Imbert utrzymuje z kolei, że pokazał się Steve’owi z odznaką policyjną na ramieniu i krzyknął do niego, by się poddał. Tylko że to już nie jest to samo. A jeśli chcielibyśmy sobie teraz wyobrazić scenę opisaną w protokole przez Imberta, przychodzi nam to z dużym trudem: Steve zastyga w bezruchu, widząc opaskę z napisem POLICJA, potem próbuje uciekać (na razie wszystko pasuje, bo taka byłaby też reakcja Bruna). Tymczasem Imbert i jego kolega (tak na marginesie: Imbert mówi tylko o nich dwóch, chociaż we wszystkich pozostałych wersjach, w końcu oficjalnych, policjanci „zajęli pomieszczenia firmy Airlec” i jest ich siedmiu lub ośmiu) próbują „przeszkodzić mu w ucieczce”, a on wkłada rękę do lewej kieszeni bluzy. W chwili gdy Imbert i jego kolega rzucają się na niego, sześciu pozostałych przygląda się beczynnemu tej scenie, no już, chłopaki, jesteśmy z wami! Nie, oczywiście, że nie, wszyscy chcą mu uniemożliwić ucieczkę. Ale Steve, prawdziwy i niepokonany kolos, wkłada mimo wszystko rękę do kieszeni bluzy, a nawet wyciąga swoje magnum .357, podczas gdy ośmiu gości leży na nim i nie pozwala mu uciec. W tym samym momencie Imbert trochę panikuje („toż to kolos!”), najprawdopodobniej się cofa i strzela dwa razy, trafiając go w klatkę piersiową i w gardło. Jego kolega osuwa się pod ciężarem Steve’a, a sześciu pozostałych zastanawia się jeszcze, czy należy interweniować. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie było tak żałosne. Sekcja zwłok wykazała, tyle w każdym razie usłyszał Bruno, że pocisk, który przeszył gardło Novicy Živkovicia, wszedł przez potylicę. Ale nikt się tym później już nie zajmował.

W każdym razie Novica ginie w wieku trzydziestu lat. W odległości kilku metrów od helikoptera. Jest czymś przejmującym i bolesnym, kiedy znowu oglądamy scenę z *Zawodowca*, na której patrzy beznamiętnym wzrokiem i widzi, jak Jean-Paul Belmondo idzie w kierunku helikoptera i dostaje kulę w plecy. Strzela do niego inspektor Farges, wypełniając rozkaz ministra spraw wewnętrznych.

Policjanci oraz zapewne francuski rząd mają już tego dość, tego Sulaka, który gra im na nerwach od tylu lat. Ale żeby od razu wykonać egzekucję na jego współniku? Pytanie, które chodzi mi po głowie, brzmi: dlaczego? Ale cóż, jest to pytanie, które wciąż się pojawia i pojawiać się będzie jeszcze wiele razy.

Czekali na niego, wiedzieli, że właśnie tego ranka się zjawi. W jaki sposób się o tym dowiedzieli? W niektórych gazetach można było przeczytać, że śledzili

go od kilku dni. Oczywiście. Znaleźli alter ego Bruna Sulaka, tego, który, jak im się wydaje, nazywa się Radiša Jovanović i którego nie byli w stanie złapać od trzech lat, dlatego zadowolają się śledzeniem go w nadziei, że popełni jakieś głupstwo? Policjanci, aby wytłumaczyć swoją obecność tego ranka, oświadczyli, iż dyrektor Airlec uznał, że Grégory Fanelli wygląda podejrzanie z tą swoją fajką, wobec tego w sobotę zadzwonił na komisariat, aby zgłosić, tak na wszelki wypadek, że pojawił się u niego klient, co do którego ma pewne wątpliwości. A wtedy policjanci, zawsze gotowi, aby uruchomić na pierwszy sygnał obywatelski wszystkie siły, wysyłają od razu ośmiu ludzi wczesnym rankiem, żeby zaczekali na niego w holu, w razie gdyby coś się miało wydarzyć. Sam dyrektor z kolei w ogóle nie wspomina o jakimkolwiek telefonie. Twierdzi, że przygotowywał właśnie helikopter do lotu (który zatem rzeczywiście miał się odbyć), około godziny 7.45, kiedy nagle zjawia się u niego ekipa z SRPJ, która powiadomiła go, że zajmie pomieszczenia firmy, ale by kontynuował swą pracę, jak gdyby nigdy nic. Tak więc wersja podana przez policję jest zwykłym kłamstwem. A kłamstwo to da się wytłumaczyć tylko w jeden sposób: zostali ostrzeżeni przez mściciela mniej nieszkodliwego niż dyrektor firmy Airlec. Dziesięć dni później Bruno i Yves rozmawiali o tym podczas procesu: był to według nich mecenas L. Dlaczego jednak Bruno nie obciąża go w swoich zapiskach? Nie podaje nazwiska, chcąc być *dyskretnym*, jak pisze. Po czym dodaje: *Dalem sto tysięcy lajdakowi*. W tym czasie był to obrońca Yves'a i lepiej było nie nastawiać go przeciwko sobie. Poza tym Bruno nigdy nie mógł być do końca pewien, że to on właśnie zakablował. Z innego źródła dowiedziałem się, że mecenas L. nie kontaktował się bezpośrednio z policją. Podzielił się jedynie swoimi wewnętrznymi rozterkami (po wcześniejszym zainkasowaniu mimo wszystko stu tysięcy franków) z jednym ze swoich kolegów, ważną postacią palestry, który sam zajął się uniemożliwieniem tej skandalicznej ucieczki. I znowu nie jest to pewne. (Inaczej bowiem podałbym nazwisko. Właściwie przykro mi, bo można by je podać. Gdyż kabel kablowi nierówny).

Jedna natomiast rzecz jest pewna, a mianowicie to, że kiedy SRPJ otrzymało cenną informację, starannie ukryło ten fakt przed OCRB, które przecież było najważniejszym wydziałem zajmującym się sprawą Sulaka. Wydział ten chciał załatwić to w pojedynkę, na swój własny sposób. Inna jeszcze rzecz jest mniej lub bardziej pewna (nawet bardziej niż mniej, to lepiej brzmi), otóż nie była to klasyczna interwencja ani nawet klasyczne policyjne „nadużycie” w formie działania w obronie koniecznej. W biurach firmy Airlec po śmierci Steve'a działy się dziwne rzeczy. Po pierwsze, dużo rozmawiano, dzwoniło w różne miejsca albo długo się zastanawiano. Steve zginął tuż przed godziną 8.30. Natomiast rozkaz blokady dróg w celu zatrzymania jego dwóch kompanów, którzy uciekli niebieskim mercedesem, został wydany dopiero o godzinie 11.20. Nie da się obronić tezy, że tych dwóch współników w mercedesie nie zauważono albo że jakoś tak dziwnie

potem o nich zapomniano. Policja bowiem zanotowała numer rejestracyjny samochodu i dysponowała też rysopisem obu panów: „Pierwszy z nich, brodaty, w typie śródziemnomorskim, był ubrany w brązową bluzę i jeansy, a drugi, blondyn, miał na sobie grubą kurtkę i kapelusz w stylu tyrolskim. Trzymał w ręku torbę, jaką noszą reporterzy”. Tymczasem trzeba było aż trzech godzin, aby zarządzić blokady dróg dojazdowych w okolicy.

Poranny spacer Bruna po małym dziedzińcu więziennym odbył się jak co dzień. Podniósł wzrok w stronę metalowego ogrodzenia, nadstawił ucha, nie słysząc żadnego odgłosu helikoptera. Wraca do celi numer 608, jest zawiedziony, ale za bardzo się nie niepokoi. Coś się musiało stać, Steve pewnie w ostatniej chwili zrezygnował. W najgorszym razie aresztowali go, ale i tak mają przecież sporo oddanych im ludzi na zewnątrz, zwłaszcza w jugosłowiańskiej społeczności, a tak długo, jak się jest żywym... W informacyjnym fleszu nadawanym o godzinie 11.30 przez stację radiową, której słucha, podają, że jakiś mężczyzna próbował strzelać do policjantów i że został zabity na lotnisku Bordeaux-Mérignac. (Zaledwie dziesięć minut po zablokowaniu dróg, jak widać, wieści szybko się rozchodzą). Bruno czuje, że w brzuchu pęcznieje mu betonowa kula, musi zaczerpnąć głębokiego oddechu, ale zachowuje wciąż jeszcze niewielką nadzieję: w liście prosił Steve'a, aby wybrał dalej położone lądowisko dla helikopterów; ale przede wszystkim daremnie zamyka oczy i próbuje się skoncentrować, ani przez chwilę nie może wyobrazić sobie, że jego przyjaciel „próbował strzelać do policjantów”.

Jakając się bardziej niż zwykle, prosi klawiszy o jakieś informacje, lecz ci nic nie wiedzą. Następnego dnia też mu nic nie mówią. (Nazwisko Radišy Jovanovicia pojawia się jednak w gazetach w poniedziałek, 12 marca, wraz z fotosem z filmu *Zawodowiec*. Dziennikarze zostali powiadomieni poprzedniego dnia wieczorem przez policję, która nie miała większych problemów, żeby zidentyfikować, na podstawie jednego niewyraźnego zdjęcia, mężczyznę, który nie miał przy sobie dokumentu tożsamości i do rozpoznania którego nikt nie został wezwany. Jak widać, porażająca skuteczność). Dopiero w środę – w tym miejscu wytracamy prędkość – dwóch policjantów wchodzi do celi Bruna i pokazuje mu belgijski dowód osobisty wystawiony na nazwisko Grégory'ego Jacques'a Fanellego. Bruno nie może złapać tchu, nogi się pod nim uginają, osuwa się na metalowe łóżko. Jego przyjaciel, jego brat został zamordowany. Zatlukli go. Bruno czuje, że zapada się w sobie, czuje, że on także umiera. Właśnie oni, dla których podstawową zasadą było nigdy nie strzelać do nikogo. Steve nie żyje. W kilka sekund ta komedia i gra przeobrażają się w wywołującą mdłości tragedię. Od tej chwili nic już go nie cieszy.

Novica Živković, zwany le Grand, został pochowany w swojej rodzinnej wiosce, niedaleko Leskovaca w Jugosławii. Jego grób znajduje się tuż obok grobu Cvetka, dziadka, którego tak uwielbiał. W czasie pogrzebu jego młodszy brat Miki widzi, jak ich ojciec Krsta, tak przecież twardy, tak dumny, po raz pierwszy płacze, mimo trudnych i gwałtownych relacji, jakie miał ze swoim niepokornym synem.

Miki stracił swój wzorzec, stracił swojego Bato. Ma osiemnaście lat, dopiero wchodzi w dorosłe życie i musi radzić sobie sam. Zajmie miejsce brata. Zastąpi go u boku Bruna, jak tylko ten ucieknie z więzienia. Na razie jednak musi zaopiekować się załamaną i rozbitą Nadine, która opuściła paryskie mieszkanie w niecałą godzinę, podejrzewa, że policjanci już wkrótce ją namierzą (przeszukają jej mieszkanie w tydzień po śmierci Steve'a, znajdą trochę biżuterii i broń), nie wie, co zrobić ze swoim życiem, nie wie, dokąd ma wyjechać. Młody Miki zachowuje się jak prawdziwy facet, towarzyszy jej do Los Angeles, gdzie zatrzymują się w domu przyjaciela Steve'a, który ubiegłej jesieni podejmował u siebie obu unieszkodliwionych dzisiaj rzeźmieszków. Tam jednak ciężko jest mu się dostosować do kapryśnego i autorytarnego zarazem charakteru młodej damy, często się kłóca, chociaż są razem tylko jako przyjaciele (jest to mimo wszystko przejmujące doświadczenie dla Miki, gdy zastępuje Steve'a u boku kobiety, którą kochał jego brat), ale daje radę i gra tę rolę, nie może przecież zostawić Nadine, bo byłoby to tak, jakby zostawił Novicę, który i tak jest już całkiem sam pod ziemią. Zapisuje się na kurs literatury na Uniwersytecie Kalifornijskim oraz do klubu siatkarskiego, chciałby zostać strażakiem, pracuje od czasu do czasu jako ochroniarz w Sheratonie, aby pomóc koledze (jest równie potężnie zbudowany, jak jego brat Steve, tyle że jest od niego wyższy – sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i sto dziesięć kilogramów mięśni), zaczyna zaglądać do kasyn, funduje sobie kilka wycieczek do Las Vegas (gdzie w ciągu dwóch dni przegrywa dwumiesięczną pensję z Sheratonu). Jego życie powoli zmierza ku przewidywalnej drodze, która czeka na niego od czasów, gdy był całkiem mały, gdy wielkimi oczami patrzył na swojego Bato. Grając, narobił sobie długów, spędził trzy kosztowne miesiące na wyspie Maui na Hawajach, uwielbia też piękne zegarki; zgadza się wykonać kilka skoków za namową kolegów poznanych przy zielonym stoliku, co sprawia, że Nadine bardzo się złości. W 1987 roku poznała pewnego Amerykanina, którego wkrótce potem poślubi (zamieszkają niedaleko Seattle), wtedy też Miki korzysta z okazji i czując, że spełnił swój obowiązek, oddala się od niej i jej humorów, jedzie przewietrzyć głowę na Alaskę, do Big Lake, gdzie znowu pracuje trochę jako ochroniarz (w cywilu, ale z bronią, dla przedsiębiorstwa Alaska Security – FBI będzie go podejrzewało o przywłaszczenie środków należących do jego pracodawców), zajmuje się końmi należącymi do

przyjaciela poznanego w Los Angeles – i jego siostrą również, nieomal-Miss-Alaska 1986. Wiedzie dalej żywot spadkobiercy pod fałszywym nazwiskiem (Joe Gonzalez, urodzony w Portoryko), wreszcie zostaje zatrzymany za napad na bank w Anchorage, wkrótce po narodzinach syna, Anthony'ego, którego matka jest „indiańskim kwiatem”, jak mawiał, Aleutką spotkaną na wysepce Unalaska. Dostaje wyrok dziesięciu lat więzienia, nie widzi więc, jak dorasta jego syn, tak jak Bruno nie widział dorastającej Amélie. Wykorzystuje pobyt w odosobnieniu, aby zrobić licencjat z literatury amerykańskiej. Po wyjściu z więzienia wraca do Europy, być może spotyka na swej drodze słynnych Pink Panthers albo i nie, dokonuje dwukrotnie, w odstępie dwóch i pół miesiąca, napadu na ten sam oddział banku w kantonie Vaud w Szwajcarii – chcąc oddać hołd sztuce zegarmistrzowskiej tego kraju, za jednym i drugim razem podejmuje działanie dokładnie o tej samej godzinie, to jest o 9.55. Zostaje zatrzymany przez OCRB w marcu 2001 roku w swoim mieszkaniu w Fontenay-sous-Bois. Dostaje wyrok ośmiu lat więzienia. W dniu, w którym wychodzi na wolność, w 2005 roku, idzie spać pod chmurką na trawniku w lasku Vincennes, sam pod gołym niebem. Pod koniec roku zostaje zatrzymany w Austrii za napad na sklep jubilerski Nadler w Salzburgu i skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności. Od tej chwili jest wpisany na listę Interpolu jako domniemany członek Pink Panthers. (W czasie gdy przebywa w więzieniu, 13 lipca 2009 roku Pink Panthers napadają na sklep Cartiera w Cannes, złotą świątynię Bruna i Steve'a, skąd wychodzą z łupem w wysokości piętnastu milionów euro – wszystko dzisiaj drożeje). Otrzymuje zgodę na warunkowe zwolnienie w październiku 2010 roku. Tym razem chciałby z tym wszystkim skończyć, żyć wreszcie spokojnie pod niebem w lasku de Vincennes i gdzie indziej, spotyka młodą Serbkę, w której jest bardzo zakochany, pobierają się, ale pozostał mu jeszcze potężny karciany dług do uregulowania. W lutym 2011 roku, razem z trzema współnikami, napada na sklep jubilerski w Szwajcarii, używając zwykłego straszaka. Jednak coś poszło nie tak, policja przyjeżdża za szybko (Szwajcar jest szybszy, niż mogłoby się wydawać), po krótkim pościgu, smutny to widok, Miki zostaje złapany w błocie w jakiejś winnicy. Zostaje umieszczony w areszcie tymczasowym w Porrentruy, malutkim, niemal rodzinnym więzieniu, w szwajcarskiej Jurze, gdzie przebywa szesnastu więźniów, których pilnuje tylko jeden człowiek, niejaki Gigi, bardzo sympatyczny (Szwajcar jest może i szybki, ale ma pewne braki, jeśli chodzi o historię kryminalistyki: ten facet zetknął się z Brunem Sulakiem, moi drodzy). Oczywiście Miki z tego więzienia ucieka w dniu 3 lipca. Miłość do Slavicy, jego serbskiej małżonki, ułatwia pracę francuskiej policji i Interpolowi, który wydał za nim międzynarodowy list gończy. Niecałe trzy tygodnie później, 20 lipca 2011 roku o godzinie 11.30, oboje zostają zatrzymani na boulevard Gouvion-Saint-Cyr pod letnim paryskim niebem. Slavicę szybko zwolniono (dzisiaj uczą serbskiego

dzieci Nenada, mojego przyjaciela i od niedawna właściciela baru, w którym poznali się Steve i Drago), podczas gdy Miki został umieszczony w areszcie tymczasowym. Pomimo wniosku złożonego przez stronę szwajcarską w zeszłym miesiącu osądzono go w Créteil, ponieważ Francja nie przewiduje ekstradycji swoich obywateli. Niedługo powinien wyjść z więzienia. Czekam na niego, żeby pójść z nim się napić do Bistrot Lafayette, razem z Talią. Kiedy już na dobre odzyska wolność, zamierza opowiedzieć o pierwszych czterdziestu siedmiu latach swojego życia. Chce napisać książkę. Całkiem niezłe zajęcie. Bruno także powinien był to zrobić.

Kiedy Marie-Christine Etelin, nowa pani adwokat Bruna (pracuje w parze ze swoim mężem Christianem), wchodzi do aresztu w Albi, aby poznać swojego klienta, który został tam przewieziony w związku z procesem, dyrektor więzienia cieszy się, że ją widzi. Więzień Sulak bardzo go bowiem martwi, jest cieniem człowieka, nie mówi, nie rusza się, nie je, nie śpi – można myśleć, widząc go, że wkrótce popelni samobójstwo, to chyba jedyny gest, jaki w jego przypadku wydaje się jeszcze możliwy.

– To smutne – mówi dyrektor. – Nawet niektórzy strażnicy są zaniepokojeni jego stanem.

Gdzieś w Paryżu, czytając gazetę, inny mężczyzna zapewne jest poruszony, myśli o dawnym przeciwniku i rozumie go: Georges Moréas, który przeszedł na wcześniejszą emeryturę, również stracił przyjaciela, nawet jeśli nie był mu tak bliski jak brat, jak Steve dla Bruna. Był nim Charles Marteau, który zginął w głębi wąwozu Vésubie.

Do rozmównicy, w której czeka mecenas Etelin, wchodzi zjawia. Młody niegdyś człowiek, dzisiaj zniszczony i blady. Siada na krześle, spuszczone wzrok, podkrążone oczy, nie odzywa się ani słowem przez godzinę i kwadrans, wciąż tylko płacze. Pani adwokat najpierw przez dłuższą chwilę także milczy, po czym zaczyna mówić do niego łagodnym głosem, bierze go za rękę, głaszcze po dłoni. Bruno się uspokaja, wreszcie wypowiada kilka zdań, wspomina nieobecnego zmarłego, którego zabito, znikła dawna lekkość, w jego życiu nie ma już drogi, którą mógłby pójść dalej po tej tragedii, która zmieniła wszystko: „Akceptacja jego położenia jest niemożliwa, a bunt nie ma już żadnego sensu”. Marie-Christine Etelin tłumaczy mu, że Bruno może „pomścić” śmierć Steve’a tylko wtedy, kiedy pozostanie wśród żywych, musi się więc pozbierać przed rozpoczęciem procesu, gdyż opuszczenie głowy i załamanie rąk byłoby tylko oddaniem przysługi jego przeciwnikom. Bruno rozumie i zgadza się z nią. Po trzech godzinach rozmowy udało jej się przywrócić mu nieco sił, odrobinę się wyprostował. Opowiada jej o swojej rodzinie, o Talii, o Stevie, rzecz jasna, o Brazylii, a nawet o panterze od Cartiera, którą obiecuje pokazać jej pewnego dnia, kiedy ucieknie z więzienia. Na razie nie ma nawet sensu o tym myśleć, chociaż wrócił do tego samego pierwszego więzienia, z którego uciekł, przeskakując przez mur. Przewieziono go z Gradignan samolotem, cessań żandarmerii, policjanci stali dosłownie wszędzie na lotnisku w Albi, byli nawet w wieży kontrolnej, z lornetkami, pierwszy fałszywy konwój liczący dziesięć furgonetek i motocykli wyruszył w kierunku aresztu, Bruna zabrali kilka minut później w drugim konwoju, znacznie mniej rzucającym się w oczy, wszystkie drogi łączące się z drogą krajową numer 88 między lotniskiem i więzieniem zostały zablokowane, a teraz, nawet jeśli dyrektor i paru klawiszki mu

współczuje, to jego cela jest pod tak ścisłym nadzorem, jakby chodziło o potwora obdarzonego niepojętą mocą. Rozkazy przysły z góry, nie ma mowy, by znowu uciekł, wszystkie zalecenia potraktowano śmiertelnie poważnie: ucieczka stała się niemożliwa. Tym bardziej że nie ma już Steve'a, aby mu pomóc. Zresztą nawet on sam nie ma już na to ochoty. Nie ma ochoty na nic. Ale tak długo, jak się pozostaje przy życiu, również ochota może powrócić.

Proces rozpoczyna się 20 marca 1984 roku. Od poprzedniego dnia w całym Albi odczuwa się wręcz nuklearne napięcie, zewsząd napływają siły policyjne, tak samo jak pojawiają się liczne ekipy dziennikarzy z prasy, radia i telewizji. Dziewięćset osiemdziesiąt siedem metrów, jakie dzieli budynek aresztu śledczego od gmachu sądu – droga, którą pokonają wczesnym popołudniem Bruno i Yves w oddzielnych furgonetkach – jest oddzielone od budynków szpalerem uzbrojonych policjantów. Wprowadzono całkowity zakaz ruchu pojazdów w owym *no man's land*, jakim stały się okolice sądu strzeżone przez oddział gwardii CRS ściągnięty z Montauban, są psy policyjne, które wszystko obwąchują, oraz strzelcy wyborowi z GIGN w Bordeaux rozlokowani wokoło na dachach malowniczych kamienic. W sali rozpraw zarezerwowano bardzo niewiele miejsc dla publiczności, czterdzieści pięć krzeseł przygotowano dla osób, spośród których zostaną wybrani przysięgli, czterdzieści miejsc dla prasy i wreszcie trzydzieści miejsc przewidziano dla żandarmów w mundurach i policjantów po cywilnemu. Dla reszty zostało bardzo mało krzeseł, większość z przybyłych, około stu rozczarowanych, pozostanie na zewnątrz. (Słysząc, jak ktoś z oczekujących przed budynkiem stwierdza: „Tylu policjantów pilnujących człowieka, który nigdy i w stosunku do nikogo nie zachował się brutalnie, gdy tymczasem może w uliczce tuż obok jakiś łobuz właśnie napadł na staruszkę!”). Wszyscy ci, którzy mogą wejść na salę, są poddawani szczegółowej kontroli, z użyciem wykrywaczy metalu i obmacywaniem, policjantki sprawdzają kobiety, policjanci kontrolują mężczyzn. Nawet jeden z adwokatów Bruna, Christian Etelin, zostaje wypchnięty z sali i musi czekać przez kilka minut pod drzwiami. Trochę się denerwuje.

Gmach sądu w stanie oblężenia – tak właśnie Christine Ockrent komentuje wydarzenie w wieczornych wiadomościach telewizyjnych. Można się uśmiechnąć, kiedy uświadomimy sobie, że wszystkie te policyjne i wojskowe środki bezpieczeństwa zostały zastosowane dla zapewnienia bezpieczeństwa w trakcie procesu o napad na niewielki supermarket na francuskiej prowincji sześć lat wcześniej, napad, który przyniósł jego sprawcom łup w wysokości dwustu dziewięćdziesięciu trzech tysięcy sześciuset franków, to jest po dwadzieścia dwa tysiące trzysta euro dla każdego z nich.

W otoczeniu żandarmów zakuty w kajdanki, z rękami na plecach, ubrany w jeansy i czarną skórzaną kurtkę Bruno wysiada z furgonetki o godzinie 13.30, aby przejść kilka metrów dzielących go od tylnego wejścia do sądu. Przechodząc

przed kamerą stacji telewizyjnej Antenne 2, która ustawiona jest na podwyższeniu, Bruno podnosi głowę. Dostrzega ojca i uśmiecha się do niego smutno, chociaż chciałby, żeby ten uśmiech wzbudził w ojcu ufność. Trzy kroki dalej znowu podnosi głowę, lekko odwraca się, spogląda przez trzy lub cztery sekundy za siebie, szuka kogoś wzrokiem – patrzy, czy nie ma w pobliżu Talii. Nie widzi jej. Nie przyszła.

Długo się wahała, torturowała i głowę, i serce: Bruno prosił rodzinę, aby tylko jego ojciec był obecny na sali, nie chce im sprawiać bólu, nie chce, by czuli się źle, Talia jednak nie wiedziała, czy ta prośba odnosi się także do niej, czy nie. Obawiała się, że jej obecność może mu przeszkadzać, bała się, że może nie chcieć, aby go widziała jak schwytane i zamknięte w klatce zwierzę. Jest przez cały dzień sama z rodzicami w Bédarrides, a wieczorem, załamana, siedząc przed telewizorem, widzi na ekranie Bruna, który szuka jej wzrokiem.

Zobaczy go również w reportażu Paula Lefèvre'a, jak porusza się powoli w miejscu dla oskarżonych ostrzeliwany przez lampy błyskowe. („Zupełnie jak na festiwalu filmowym w Cannes” – komentuje leciwy przewodniczący składu sędziowskiego Saint-Germès, próbując rozluźnić atmosferę). Kilkudniowy zarost, opuszczone ramiona, twarz zarazem zgaszona i jasna, pozbawione energii ciało, Bruno wydaje się nieobecny duchem, spokojny i słaby. Jak wyprowadzone na światło dzienne pojmane zwierzę. Jak wycieńczony kot. Następnego dnia w dzienniku „La Dépêche du Midi”, opisując go w kilku słowach w stylu melodramatyczno-poetyckim (co czasami nie jest wcale takie złe), napiszą o nim: „Anioł w stanie dekompozycji”.

Sędzia Saint-Germès nie jest niezadowolony z faktu, że główny oskarżony bierze na siebie niemal całą odpowiedzialność za napad, to bowiem bardzo uprości proces i pozwoli uniknąć prostackich przepychanek, będzie można skupić się na formie i istocie samej rozprawy, a przypomnienie klasycznych zasad przewodu sądowego może mieć wyłącznie pozytywne oddziaływanie w tych niepewnych czasach, tym bardziej gdy chce się pięknie zakończyć karierę. Jednakże sędzia trochę mimo wszystko przesadza: opisując życie Bruna Sulaka, wraca do jego najmłodszych lat, mówi o kolejnych etapach, od narodzin po czasy obecne, wydawać się może, że ta opowieść nigdy się nie skończy (zupełnie jak ja, kiedy piszę o sobie, cholera jasna), jego narracja przeplatana jest co i raz niemalże rodzicielskimi wyrzutami i spóźnionymi cokolwiek radami. Na początku Bruno wydaje się obojętny, a potem poirytowany rozwlekłym monologiem biograficznym, ale w końcu zaczyna go to niemal bawić, wzdycha, wznosi oczy w stronę okna (za którym na tle nieba widać sylwetkę uzbrojonego żandarma – na półpiętrze, za metalowymi kratami, rozlokowano siedmiu takich żołnierzyków), czasami się przekomarza.

– Był pan niegdyś uroczym chłopcem. Był pan dzieckiem bardzo żywym, miłym i czułym. Wszyscy co do tego się zgadzają: przyjaciele, sąsiedzi...

– I dozorca.

Potem nastąpi kilka łagodnych i wesołych scen, kiedy sprawiając wrażenie oburzonego, poprawi sędziego w kwestii zdawanej matury (wyimaginowanej):

– Zdał pan maturę o profilu A, z filozofii i literatury.

– Przepraszam bardzo, ale to była matura C, profil matematyczno-fizyczny.

– Przykro mi, ale z wywiadu wynika, że A.

– Wysoki Sąd wie, jak to jest z wywiadem...

– Proszę się nie śmiać! To pański proces. I proszę pamiętać, że „jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą”.

– Wyjął mi to pan sędzia z ust.

Lekko zbity z tropu sędzia staje się surowszy i zaczyna go łajać:

– Popełnił pan błąd, słuchając rad swoich koleżków z marsylskich ulic, zamiast słuchać rodziców.

Bruno tego nie komentuje, odwraca się w stronę siedzącego w drugim rzędzie ojca i długo się do niego uśmiecha. Po dwóch dniach procesu, które przeznaczono na supermarket, gdyż drobiazgowy sędzia Saint-Germès chciał, by przyjemność trwała jak najdłużej, Stanislas opowie o wszystkim żonie, która wolała podporządkować się prośbie syna i nie uczestniczyła w rozprawie. (Wieczorem pierwszego dnia procesu, kiedy zobaczyła w telewizji w stacji Antenne 2 Bruna zajmującego miejsce na ławie oskarżonych, Marcelle, ze łzami

w oczach, powie po prostu: „Postarzał się”).

Sędzia zaś kontynuuje z namaszczeniem opowieść o latach młodzieńczych oskarżonego, czyniąc to w coraz bardziej karcącym tonie. Nawet to, że Bruno pracował za barem, wydaje mu się czymś niewłaściwym:

– Nie chcę powiedzieć czegoś złego o barmanach, ale w barach właśnie można spotkać nieodpowiednich ludzi.

Bruno znowu się uśmiecha. Odnosząc się do Legii Cudzoziemskiej (tym razem sędzia stanowczo potępia dezercję tego tak dobrze wychowanego chłopca) i do skoków na spadochronie, Bruno przedstawia to w następujący sposób:

– Wchodzimy najpierw na pułap pięciu tysięcy metrów, skaczymy, nie otwieramy spadochronu od razu, czekamy, przez kilka minut trwa niewiarygodny odjazd, a potem spadamy w gówno. Zdezerterowałem, bo miałem dość brodzenia w tym gównie.

Bardziej jednak niż dezercją, sędzia jest skonsternowany pierwszą ucieczką Bruna (i żeby jeszcze do tego uciec z aresztu w Albi, kto to widział?). Jest zresztą raczej porządnym człowiekiem, ale nie może pojąć, że ktoś nie postępuje zgodnie z prawem. Bruno, trochę już znużony, wstaje po raz kolejny, bierze mikrofon i tłumaczy, że z więzienia chciał uciec z tych samych względów co z Legii:

– Tam naprawdę nie da się żyć.

Od tego momentu stopniowo coraz mniej interesuje się przebiegiem procesu, siedzi wciśnięty między dwóch żandarmów, ale jest jakby nieobecny duchem. Nazajutrz jeden z dziennikarzy napisze, że przypomina *Jamesa Deana, tyle że jest więcej smutku w jego oczach*. Zareaguje dopiero na koniec rozprawy, kiedy przewodniczący sądu Saint-Germès powie:

– Wiem, że bardzo się pan przejął śmiercią przyjaciela, Radišy Jovanovicia.

Bruno wstaje powoli z miejsca, na jego twarzy nie widać szczególnych emocji – można jedynie odnieść wrażenie, że przygniata go poczucie osamotnienia. Oświadcza do mikrofonu:

– Powiem, co o tym myślę, być może pozwoli to panu sędziemu zrozumieć, dlaczego jest mi kompletnie obojętny wyrok, jaki zapadnie w mojej sprawie. W niedzielę, 11 marca umarłem razem z przyjacielem, przy helikopterze, w tej zasadzce, którą zastawiono nie po to, by go aresztować, ale żeby go zabić. Wasza sprawiedliwość jest czerwona jak plama krwi. My zaś, mój przyjaciel i ja, zachowaliśmy czyste ręce.

– Wydaje się jednak, że przewodzi pan niebezpiecznej grupie Jugosłowian...

– Wysoki Sądzie, proszę nie mówić o rzeczach, które pana przerastają. Nie jestem niczym szefem. I można było zatrzymać mojego przyjaciela, nie zabijając go. Macie na to dość środków. Wystarczy tylko spojrzeć na zgromadzone tutaj siły.

– Rozumiem, że jest pan poruszony tym, co się stało, ale nie mogę pozwolić, by wytaczał pan proces policji.

– Domyślam się.

*

Następnego dnia, w środę, 21 marca, Bruno pojawia się w sądzie nieco mniej markotny niż pierwszego dnia, wydaje się, że spał lepiej niż w ciągu poprzednich nocy, macha ręką do ojca i szeroko się do niego uśmiecha. Broda znowu mu trochę urosła.

Yves nie mówi wiele więcej niż poprzedniego dnia, wydaje się spięty, niespokojny i nieśmiały (nie jest wcale aż taki nieśmiały, ale adwokat prosił go, żeby był jak najbardziej wyciszony, skoro współoskarżony bierze całą winę na siebie). Odpowiada zdawkowo na zadawane przez sędziego pytania, przyznaje się do udziału w napadzie. W jego spojrzeniu widać wdzięczność dla Bruna. Widzą się po raz ostatni. Po ogłoszeniu wyroku, zanim żandarmi zabiorą ich w różne miejsca, Bruno znajdzie jeszcze chwilę, aby dać mu kilka rad na przyszłość: „Wyjedź do Włoch, zobacz się z Jeanem-Louisem S., on tam jest, będzie ci tam dobrze. Jeśli chcesz, kupiłem jacht w Maroku, jest twój, to duża i piękna łajba”. Yves pójdzie za jego radą. Będzie mieszkał przez rok we Włoszech, w Alassio, niedaleko granicy z Francją, w letniej rezydencji należącej do przyjaciela Jeana-Louisa S., niejakiego Sergia P., milionera zafascynowanego bandytami. Yves będzie tam miał jak w niebie („szwagier Bruna Sulaka!”), komfortowe mieszkanie, dobrą płacę (niby pracuje jako kierowca i ochroniarz), Patricia również spędzi jakiś czas razem z Amélie w tej bezpiecznej enklawie nad Morzem Śródziemnym. Potem jednak milioner gangsterofil splajtuje i każdy będzie musiał wrócić do siebie do domu. Kiedy Yves będzie chciał odzyskać piękny jacht w Maroku, okaże się, że całkowicie go splądrowano i wszystko z niego ukradziono, w suchym doku pozostał tylko wrak.

Pojawia się też kilku świadków, adwokat występujący w imieniu supermarketu Mammoth wylicza na palcach roszczenia z tytułu odszkodowania, a potem mowę wygłasza główny oskarżyciel, Étienne Daures. Jest oschły, ale jednocześnie rzeczowy i bezstronny:

– Jest rzeczą niezwykłą, aby rozprawie przed sądem w departamencie Tarn towarzyszyły wydrukowane wielkimi literami tytuły w prasie. Można by pomyśleć, że nie osądzamy pospolitego napadu na supermarket popełniony przez młodych jeszcze ludzi, ale że bardziej, zdaje się, osądzamy osobowość oskarżonych, a w każdym razie osobowość jednego z nich. To obecność Bruna Sulaka nadaje tej sprawie zasadniczy wymiar. Media przedstawiły go jako wroga publicznego numer jeden. A ja zwracam się do przysięgłych, żeby odsunęli od siebie ten wizerunek i obraz.

Dla Bruna żąda ośmiu lat więzienia, co do Yves’a, „kara może być bardziej umiarkowana”. Po wystąpieniu mecenasa L., którego zadanie było proste, głos

zabierają obrońcy Bruna, Marie-Christine i Christian Etelinowie. To, co mówią, jest jasne, zdecydowane i możliwe do ujęcia w jednym zdaniu:

– Bruno Sulak jest przeciwieństwem przemocy.

Sędzia prosi następnie, aby na koniec głos zabrał Bruno. Oskarżony wstaje ze spuszczonego wzrokiem, mówi o „swojej ucieczce do przodu”, o tym, że „nie znalazł innego rozwiązania, by zdobyć pieniądze, jak tylko wziąć je z miejsc, gdzie są”. Wreszcie podnosi głowę i oświadcza:

– Chcę jeszcze dodać, że najlepsze chwile przeżyłem z ludźmi, dla których pieniądze nie są istotne i z którymi nie mam relacji opartych na sprawach finansowych. Możemy się wzruszyć, oglądając aktora albo podziwiając obraz, ale ja dowiedziałem się o tym za późno. Nie mam jednak ani żalu, ani wyrzutów sumienia za to, co zrobiłem. Wróć do więzienia, rozumiem to, chociaż się z tym nie zgadzam ze względu na warunki, które tam panują. Mam ochotę na tym się zatrzymać, nie chce mi się dalej żyć. Jednak to nie leży w moim charakterze. Bardzo cierpiałem w ciągu ostatnich dziesięciu dni, ale nie znalazłem w sobie tyle nienawiści, żeby zniszczyć samego siebie i odzyskać w ten sposób wolność. – Odwraca się na kilka sekund w stronę Stanisłasa. Na koniec patrzy na dziewięciu przysięgłych, cztery kobiety i pięciu mężczyzn, którzy słuchają go z uwagą i najwyraźniej czują się dosyć niepewnie: – Przeze mnie ludzie czuli się zagrożeni. Jestem jednak szczęśliwy, że wszystko dobrze się skończyło. Miałem szczęście. I tyle, to wszystko. Nie wiem, czy mnie zrozumieliście.

*

Przysięgli udają się na naradę, jak zwykle się mawiać. Mają trudną rolę do odegrania, właściwie prawie niemożliwą: prokurator prosi ich, by nie brali pod uwagę tego, co wiedzą o dalszym życiu Bruna Sulaka, czyli po pierwszym napadzie, no dobrze, zgoda, tylko jak to zrobić? Słuchali radia, oglądali telewizję, przeczytali niezliczone artykuły w prasie, wszyscy wydają się raczej przychylnie nastawieni do tego gangstera dżentelmena, ale znaczenie ma również liczba napadów, których dokonał, a ta robi wrażenie. Im więcej o tym się mówi, tym sprawa jest poważniejsza. Należy więc być czujnym i surowym. Ileż razy w ich otoczeniu słyszeli w ciągu ostatnich dni, że sądy są dzisiaj zbyt pobłażliwe? Wydają się poruszeni i niepewni. (Jeden z przysięgłych miał chyba klapki na oczach, gdyż zwierzy się później jednemu z dziennikarzy, tłumacząc się w sposób urągający wszelkiej logice: „Podczas procesu ten cały Sulak nie popatrzył ani przez chwilę na swojego ojca. A ten biedny człowiek wydawał się smutny. Sulaka zaślepia pycha, jest okropnym egoistą i człowiekiem o lodowatym sercu”).

Skazują Bruna na dziewięć lat więzienia, a więc o rok więcej, niż żądał prokurator. (Kiedy zapytano osoby, które potencjalnie mogły zostać przysięgłymi, ale ich kandydaturę odrzucono, kategorycznie stwierdziły, że z pewnością nie

wniosłyby o tak wysoką karę). Yves'owi zasądono karę siedmiu lat więzienia. Jednak wliczona ona zostanie na poczet kary za napad w Montlaur: po tylu już latach spędzonych w więzieniu i darowaniu kilku kar, jest to prawie jak oswobodzenie. Yves'a przewiozą do więzienia w Montpellier, skąd zostanie zwolniony miesiąc później, w kwietniu 1984 roku. To prawdziwe zwycięstwo jego obrońcy, mecenasa L. (Zdaję sobie sprawę, że odczuwam coś na podobieństwo odrazy w stosunku do mecenasa L., podczas gdy jest możliwe, że nie zrobił nic złego).

W oczekiwaniu na werdykt Bruno patrzy (kolejny raz) w kierunku swojego ojca, uśmiecha się do niego (znowu) i z rezygnacją wzrusza ramionami. Ale to dopiero pierwsza kara. Kilka chwil później zakuwają go w kajdanki i w eskorcie żandarmów wyprowadzają z sali sądowej. Przechodząc przed wołającymi do niego wręcz z sympatią dziennikarzami, rzuca do nich:

– Cześć! Do zobaczenia podczas następnego procesu!

Przeciwko niemu toczy się dziewiętnaście postępowań. Już następnego dnia przewożą go do Paryża specjalnym samolotem, czymś w rodzaju latającej celi. Na lotnisku le Bourget zwiążą go w furgonetce, która pojedzie z dużą prędkością, otoczona policyjnymi motocyklami i pojazdami z włączonymi syrenami na całej trasie aż do więzienia la Santé. Bez szczególnego powodu, być może dla żartu, za jakiś błysk w oku, zostanie zaraz po przyjeździe umieszczony w karcerze.

Pierwsze dni w więzieniu la Santé są bardzo ciężkie dla Bruna, nawet po wyjściu z karceru. Pomimo w sumie niezłej reputacji, jaką cieszy się w oczach opinii publicznej, a być może właśnie z powodu tej powszechnej wyrozumiałości, zabarwionej czasami nawet odrobiną podziwu, szybko zrozumiał, że dyrektor i klawisze zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby uczynić jego pobyt możliwie jak najbardziej przykrym. Jest w celi razem z dwoma brutalnymi i tępymi gośćmi, których zwoje mózgowieomalże się nie przegrzeją, gdy próbują powiązać z sobą w sposób spójny i poprawny językowo jakieś trzy lub cztery słowa (zapewne byli to dwaj najbardziej drażliwi i ograniczeni więźniowie, których przebiegle wyselekcjonowano), głoduje, jest mu zimno, śpi w ubraniu na brudnej pościeli – jedyny przywilej, jaki mu przyznano, to tabletki nasenne. Po miesiącu od uwięzienia jego rodzina nadal nie może go odwiedzać, listy otrzymuje z ponadpiętnastodniowym opóźnieniem. Chciałby coś napisać, żeby walczyć z potworną nudą, która każe mu leżeć od rana do wieczora w łóżku, czas, który przerywają serie pompek i krótkie „spacery” w deszczu na dziedzińcu, ale nie ma już prawie tuszu w długopisie, a nowego wkładu nie chcą mu dać. Dni ciągną się długie, ciężkie i puste. Kilkakrotnie zwracał się z prośbą o umieszczenie go w pojedynczej celi i możliwość uczenia się (literatury i filozofii), ale nie otrzymuje żadnej odpowiedzi. Czuje w tym pierwszym okresie, że szybko się pograża. Jego paryski adwokat, Denis Giraud, przyszedł, żeby się z nim zobaczyć, i mówi mu, że za wszystkie napady, których dokonał, może się spodziewać wyroku łącznego dwudziestu lat więzienia. Resztką tuszu, który mu pozostał, Bruno zapisuje: *Dręczy mnie myśl, że tego nie przeżyję.*

Śmierć Steve’a okaleczyła go. Zapadł w stan otępienia. Wydaje mu się, że przyszłość jest jedną wielką pustynią, nie istnieje (dwadzieścia lat nicości, a co potem?). Zaczyna się już w tym wszystkim gubić, nie rozumie sam siebie, ma wrażenie, że nie jest już sobą albo jest dwojgiem ludzi w jednej powłoce, ludzi, którzy się nawzajem nie rozumieją. Chyba że to jego „wewnętrzny gliniarz”, osaczony groźbami, przyparty do muru, zwariował. Zaskoczony jest własnymi myślami, jak świadczą o tym choćby napisane przez niego słowa:

Śmierć zjawi się pewnego dnia, szok, znieczulenie, wrażenie, że wszystko oddala się szybko, nicość.

Dnia 19 kwietnia po raz pierwszy spotyka się z sędzią śledczym Yves'em Corneloupem, w którego gestii znajdują się teraz wszystkie akta dotyczących go spraw. W pierwszej chwili nie chciał zgodzić się na to spotkanie, aby w ten sposób zaprotestować przeciwko całkowitemu ignorowaniu próśb, jakie składa w więzieniu la Santé, ale ostatecznie z tego rezygnuje. Przejazd do pałacu sprawiedliwości będzie przynajmniej okazją, aby znowu przez chwilę popatrzeć na

Paryż.

Tyle że na trzykilometrowej trasie, którą przejeżdża z zawrotną prędkością w pilnie strzeżonej furgonetce w otoczeniu trzech wozów policyjnych pełnych gliniarzy w kamizelkach kuloodpornych i z policjantami na motorach wokoło, nie widzi zbyt wiele. Zawsze to jednak lepsze niż nic. Przejeżdża obok malutkiego dworca przy Port-Royal, przez boulevard Saint-Michel, gdzie spacerował z Talią, potem wzdłuż Ogrodu Luksemburskiego, Sorbony, mija boulevard Saint-Germain, niedaleko sklepu, w którym pracowała Christine, wreszcie przejeżdża przez most na drugi brzeg Sekwany. Spotkanie z sędzią odbywa się bez większych problemów. Od pierwszej chwili Bruno zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia z człowiekiem inteligentnym, wrażliwym, do którego można mieć zaufanie. Dla Bruna Corneloup jest w obszarze wymiaru sprawiedliwości mniej więcej tym, kim w policji był dla niego Moréas. Rozmawiają przez dwie godziny, ale niewiele czasu poświęcają konkretnym sprawom, Bruno opowiada mu o pobycie w więzieniu, o tym, co odczuwa, co mogłoby mu pomóc, aby łatwiej to znieść. Yves Corneloup obiecuje, że spróbuje interweniować, aby mu pomóc. Na koniec pierwszego spotkania sędzia radzi więźniowi, żeby poddał się psychoanalizie, aby zrozumieć, dlaczego jest tak bardzo „zamknięty w sobie”.

Po powrocie do celi Bruno odzyskuje nieco sił. Jego jedyną pociechą w tym momencie jest to, że trzymają go w Paryżu. Jest całkiem niedaleko rue Barrault, gdzie pokazywał swoje magiczne sztuczki na Boże Narodzenie u znajomych Talii. Goli się. Wieczorem wkłada piżamę, którą dostał od rodziców. Przekazali mu również szlafrok, ale nie ma prawa go nosić. Odpisuje matce, od której wreszcie otrzymał pierwszy list, w którym użalała się nad nim, że w telewizji wyglądał na zmęczonego i postarzałego:

Mój tygodniowy zarost wynikał raczej z lenistwa niż z czegokolwiek innego, a może też był to jakiś szósty zmysł, który mi podpowiadał, żebym się nie pokazywał całkiem nagi tym sępom. [...] Czasami, nagle dopada mnie coś w rodzaju depresji, a niedawno, pisząc do Talii (po raz pierwszy), coś we mnie pękło. [...] W długopisie skończył się tusz. Łóżko bez prześcieradła jest już przygotowane. Piżama, którą mi kupiliście, tak ładnie pachnie, jakie to przyjemne.

Wykorzystał ten nieco mniej ponury moment, żeby napisać długi list do Talii, której nie chce niepokoić, opowiada jej o tych kilku sekundach, gdy szukał jej wzrokiem, zanim wszedł do budynku sądu w Albi, o tym spojrzeniu zawieszonym w próżni, które z ekranu przeszło ją, kiedy wpatrywała się w ekran telewizora w salonie domu rodziców. Pisze do niej najpierw tak, jak gdyby była zupełnie inną osobą:

Myślałem, że uda jej się wyrwać na dwa dni, aby przyjechać i dać mi znak, nawet jeżeli od pewnego już czasu z mojej strony rzeczywiście zapadła całkowita cisza! Zjawiam się, otwieram oczy po błysku fleszów i kogo widzę? Nikogo. To

znaczy nie do końca, jest trochę ludzi, przyjechał mój ojciec, dostrzegam kilka twarzy, które coś mi mówią. O, wydaje mi się, że widziałem już gdzieś tę twarz, tyle że ja szukałem akurat tej osoby, która powinna była lekko wystawać ponad ten tłum. Potem jednak pomyślałem sobie, że jej wrodzona nieśmiałość z pewnością kazała jej zostać na południowym wschodzie, bo zachód jest zbyt perfidny o tej porze roku. W długopisie skończył mi się już prawie całkiem tusz. A innego nie mam! Co robić? Zatrzymać się w tym miejscu z tym nikłym żarcikiem, pocałować Cię, tak jakby nic się nie stało? [...] Jeszcze musiało zostać trochę tuszu wokół kulki, nawet jeśli nic nie widzę, dziwna jest ta plastikowa rurka, tak przezroczysta, tak rozpaczliwie pusta, tak sprzeczna z naszymi przyzwyczajeniami, może ją zachowam i będę ją trzymał na dnie torby. Wydaje się, że życie ją opuściło, jak w błysku flesza, trach! Wiem przecież, że tak nie jest, skoro piszę nim jeszcze, tym dogorywającym długopisem, i że wystarczy mu, w dniu, w którym pokona ten stan niby-śmierci, aby dał mi znak, z jakichś niby-zaświatów, tak abym znowu nappełnił go sokiemi-siłą-szaleństwem i by w moich palcach, poprzez mnie, przekazał Ci, że żyje i że nasze łzy i rozterki są niepotrzebne, gdyż zapisze nam swym tuszem jeszcze wiele stron o życiu tak burzliwym, tak intensywnym, w którym tak wiele jest ucieczki, miłości, zapomnienia i odmowy. Nie ma już tuszu, Thally! A przecież długopis wciąż dalej pisze, pomóż mi. Albo nie, zostaw mnie, pomyśl o nim, pomyśl, że staje się coraz bardziej pusty i umiera coraz bardziej wraz z każdym słowem i każdą literą, jeszcze nie tak dawno był nowy, pełen tuszu, pisał, wykreślał... a przez tę krótką chwilę, gdy bije serce, gdy mruga powieka, przez chwilę życia i śmierci, wszystko się zatrzymuje i wszystko trwa, chce nadal pisać i powstrzymać ten tusz, który ucieka... Dlaczego? On dobrze to wie, ten Bic, wyczerpany, świrnięty długopis, dogorywający, zapomniany, a jednak aż do ostatniej kropli tuszu będzie pisał, będzie Ci opowiadał i będzie dla mnie żył – czemu nie jestem długopisem! – w ostatnim zrywie, w ostatniej transfuzji, żyć albo umrzeć razem (daj wreszcie znak, zrób to dla mnie, byśmy razem się pogrążyli). On nadal pisze, Thally, chcę już przestać, ale nie mogę skończyć, jeszcze nie teraz, bo on czeka, wciąż ma nadzieję, czy czujesz jego oddech, tak, wypełnię go moim życiem, a on będzie dalej pisał, wciąż i wciąż, za zakrętem kolejnego zdania, gdzie opadłszy z sił, wyczerpani, podpiszemy się razem pod listem, prosząc Cię w ostatnim tchnieniu tuszu, abyś podniosła ten długopis i aby z twoją miłością-pięknem-szaleństwem, z twoim sokiemi, nigdy nie zgasł...

Od tamtej pory Talia, Thally, często wracała do tego listu, i nawet dzisiaj, czytając go, dziwnie się czuje.

*

Dnia 20 kwietnia dwóch Jugosłowian zostaje zatrzymanych na place de l'Opéra; znaleziono przy nich biżuterię pochodzącą ze sklepu jubilerskiego Ruben

et Heurgon przy rue Royale, oraz ze sklepu Ambassadeurs w Genewie. Paško Kaplan i Ivan Mustapić byli bliskimi znajomymi Steve'a. Trzy dni później policjanci z OCRB i z Genewy zjawiają się, by przesłuchać Bruna w więzieniu la Santé. On myśli jednak wtedy tylko o swoim przyjacielu i odpowiada im z roztargnieniem, że oczywiście nigdy nie słyszał o tych dwóch gościach i nie ma pojęcia, gdzie zdobyli tę biżuterię.

*

Bruno dostaje teraz bardzo dużo listów, zwłaszcza od kobiet, od matki, od siostr i od kobiet, które kochał lub kocha, ale otrzymuje też sporo korespondencji od nieznanomych – listy te sprawiają mu dużą przyjemność, stanowią dla niego rozrywkę albo wzruszają go, ale nie wyciągają go z otchłani, w którą wpadł po krótkotrwałym wydobyciu się na powierzchnię (ulice Paryża za szybko przemknęły mu przed oczami, a świeży zapach piżamy, którą podarowali mu rodzice, znikł po kilku zaledwie dniach; teraz piżama pachnie wilgotnym więzieniem). Wciąż nie widzi przed sobą żadnych perspektyw. Pisze do Marie-Christine i Christiana Etelinów, swoich adwokatów:

Uciezka byłaby dla nich katastrofalna w skutkach. [...] Na nic się nie powołując, nie przyznając się do jakiegokolwiek ideału, nie występując w obronie żadnej sprawy, stanowią jeden z najbardziej niebezpiecznych możliwych wzorców... Owszem, mają do dyspozycji całą masę środków, aby powstrzymać ten proces, i wiemy dobrze, że przed niczym się nie cofną. Nawet ryzykując zadanie śmierci bez osądzenia, by zahamować rozwijanie się owego „mitu”.

Bruno jest coraz bardziej przygnębiony, jego nerwy – do tej pory tak mocne – puszczają, nie znajduje już w sobie energii, by uprawiać sport, zamyka się w sobie, wydaje mu się, że jest jak dzikie zwierzę niezdolne do życia w społeczeństwie, a przecież w celi jest ich teraz już tylko dwóch, ale to i tak za dużo, ma ochotę gryźć albo przez cały czas spać. Czyta książki Duras i Yourcenar, Pauline udało się dostarczyć mu do więzienia walkmana, Bruno zakłada więc na uszy słuchawki, słucha Marvinu Gaye'a i Beethovena. Próbuje pisać. Listy pisze mu się łatwo, ale on chciałby napisać coś innego. Jedynym promykiem światła, jak na razie, pośród całej tej korespondencji, jaką dostaje od kobiet, które żyją dla niego tylko na papierze, są listy od młodej aktorki o imieniu Johanne. Ona istnieje, żyje na zewnątrz, Bruno czyta listy od niej, ale ma wrażenie, że raczej jest wytworem jego wyobraźni. Johanne będzie jego więzienną miłością. Często i dużo do niej pisze.

Lato nadchodzi i coraz bardziej go przytłacza. Teraz w celach więziennych jest za gorąco, na odsłoniętym dziedzińcu jest za dużo słońca, za dużo ludzi, nawet nie ma miejsca, żeby poćwiczyć, gdyby miał ochotę. Dnia 15 lipca, przechodząc obok jednego ze strażników, mówi mu, bez jakiegokolwiek podtekstu, bo jest to

raczej znak pokoju:

– Widział pan to niebo? Lepiej byłoby teraz wylegiwać się na słońcu na Karaibach!

Ale żaloszny i ograniczony klawisz, przekonany, że padł ofiarą próby przekupstwa (to jego dzień chwały), natychmiast doniesie o tym przełożonemu, który z kolei podrepcze od razu do zastępcy dyrektora. Próba ucieczki! Tego samego dnia Bruno łąduje w karczerze na dwa tygodnie. Gdy tylko ma taką możliwość, pisze do sędziego Corneloupa:

Trzeba liczyć się z tym, że mogę tego nie wytrzymać. Czyżby czekali tutaj na coś dramatycznego, co stałoby się pretekstem do...? Jeśli więzienie la Santé nie jest wystarczająco pewne, jak na Pana gust, proszę znaleźć dla mnie inny zakład karny. I nie trzeba wciąż we mnie celować i starać się mnie unicestwić na wszelkie możliwe sposoby. Jestem wykończony. Potrzebuję lekarza i odpowiedniego dla mnie leczenia. To, co przeżywam każdego dnia, stanowi fragment pewnej całości. Obawiam się dla mnie najgorszego, w dniu, w którym pod wpływem ciągłego napięcia puszczą mi nerwy.

Podczas gdy Bruno siedzi w karczerze, OCRB, które dyrektor la Santé powiadomił na temat wyimaginowanej próby ucieczki na Karaiby, przeprowadza rewizję w mieszkaniu Johanne, konfiskuje wszystkie listy napisane przez niego z więzienia i jeszcze wtedy, gdy przebywał w areszcie śledczym. Moréas jest już bardzo daleko (w tym czasie pisze książkę o swojej karierze policyjnej). Bruno, całkowicie bezsilny za kratami, pisze list przepelniony wściekłością i pogardą do inspektora, który przejął jego korespondencję z Johanne: *Brakuje Ci godności, gliniarzu.* Mówi mu, że jest już za późno i że nic nie mogą mu już zrobić: *Więzienie, czy mnie ono powstrzyma, czy nie, pozostanie dla mnie na zawsze związane z poczuciem zwycięstwa, a dla Was, mimo wszystko, z uczuciem frustracji.* Jestem pewien, że jeśli ten policjant nie jest kompletnym kretynem, to nie mógł, w duchu, nie przyznać mu racji. Sulak w więzieniu, co dziwne, nadal wywołuje frustrację wśród stróżów obowiązującego porządku.

Złość przywraca mu siły i energię oraz chęć do tego, aby nie dać się stłamsić. Sam się sobie dziwi, gdy pisze te słowa: *Więzienie, czy mnie ono powstrzyma, czy nie...* Tak łatwo go nie złamią, nie wolno zapominać, kim on tak naprawdę jest.

Wyszedłszy z karczeru po interwencji sędziego Corneloupa, może rozpocząć psychoterapię, studiować filozofię i literaturę, jego rodzice wreszcie dostają zgodę, by się z nim zobaczyć, przyjeżdżają więc z Bouches-du-Rhône, aby przez pół godziny spotkać się z nim w rozmównicy. Bruno zwierza się ojcu: „Gdybym chciał pograć ważne szachy ze świata polityki i finansów, to mógłbym to zrobić”. (Nie mówi jednak nic więcej na ten temat i nigdy o tym nic więcej nie powie, jak na bezideowego pirata przystało). Wreszcie przenoszą go do pojedynczej celi. Po tym,

jak złośliwie kazano mu czekać aż cztery miesiące, jeden z zastępców dyrektora, niejaki Lauseral, nie znalazł dla niego nic innego, jak, powiedzmy, że całkiem przypadkowo, wolną celę w bloku B, a więc w bloku dla czarnych. W tamtym czasie w la Santé, aby „zapobiec konfliktom”, więźniowie zostali podzieleni na cztery bloki w zależności od „rasy”: Europejczycy przebywają w bloku A, mężczyźni o korzeniach afrykańskich w bloku B, pochodzący z krajów Maghrebu w bloku C, „resztę świata” umieszczono w bloku D. Bruno, rzecz jasna, nie ma nic przeciwko czarnym, ale już wśród białych jego sława ściągała na niego wszystkie spojrzenia; teraz natomiast, jako jedyny biały na dziedzińcu pośród czterystu czy pięciuset czarnych, stał się wielką atrakcją codziennego spaceru. Dziękuję ci, Lauseral, błada twarzy. Ale to nawet nie jest takie straszne, bo Bruno ma teraz dla siebie całą celę, prawdziwy pałacyk: trzy metry sześćdziesiąt na metr czterdzieści, łóżko o szerokości dziewięćdziesięciu centymetrów, co pozostawia przestrzeń ponad pięćdziesięciu centymetrów, jeśli nie podniesie się blatu rozkładanego stolika przymocowanego do ściany (bo inaczej mówi się „trudno”), szafka z płyty pilśniowej i autentyczny kibel z lat czterdziestych, rzecz przejmująca, z małą umywalką powyżej (bardzo praktyczne rozwiązanie). Podłoga z betonu, żadnych tam fanaberii, pełna natura.

Bruno pisze do młodszej siostry, Stelli, prosząc ją, aby któregoś popołudnia wpadła do Johanne na kawę lub herbatę i żeby przeżyła to w jego imieniu. *Tylko dla mnie, do kawy nie za dużo cukru.* W innym ze swoich listów zachęca Christine, żeby nie zadowalała się wyłącznie wspólnymi wspomnieniami: *Kochaj się dla mnie, żeby nie zapomnieć całkowicie o tym, czym jest rozkosz.* Sam w swoim pałacu próbuje się ponownie połączyć, na ile się da, z resztą świata. Odżywa, od tej chwili w coraz większym stopniu czuje się, jakby znajdował się w czymś w rodzaju bazy na tyłach frontu aniżeli na dnie studni. Zawiesza zdjęcia na ścianach, próbuje jakoś umościć się w tej niewielkiej przestrzeni. (Ale nie wie niestety, że Lauseral jest jeszcze większym żartowniszem, niż sądził: jeśli bowiem łaskawie zgodził się, po czterech miesiącach błagalnych próśb, przydzielić mu, dla niego samego, obskurną celę, to tylko dlatego, że dowiedział się, iż więzień Sulak Bruno ma już wkrótce zostać przeniesiony do innego zakładu karnego – a więc dać mu czas na zagospodarowanie tego lochu, a potem hop, zjeżdżaj stąd).

W sobotę, 18 sierpnia 1984 roku (pobierzemy się też w sobotę, 18 sierpnia, Anne-Catherine i ja, tyle że siedemnaście lat później), chociaż nadal nie ma prawa opuszczać departamentu Vaucluse (aż do lutego 1985), Talia jedzie do Paryża. Od Pauline dowiedziała się, gdzie mniej więcej znajduje się cela Bruna. Wieczorem stoi przed malutkimi drewnianymi drzwiami pod numerem 23 bis przy rue Jean-Dolent, podnosi wzrok, wpatruje się w ostatnie piętro więzienia i krzyczy bardzo głośno. Za drugim razem, na dźwięk swojego imienia, Bruno odpowiada. Rozpoznał jej głos, rozpoznał głos Talii. Też wykrzykuje jej imię, jest zdziwiony

i szczęśliwy, że ją słyszy, krzyczą do siebie, że się kochają. (Jeśli któregoś dnia jakiś czytelnik powie mi, że to pretensjonalne i cliwe, to zębami wyrwę mu język). W ciemnościach nie widzi go, dostrzega jedynie jego rękę wysuniętą między prętami w oknie. Krzyczą do siebie znowu, że się kochają, nie wiedzą, co do tego dodać, jak rozmawiać, będąc od siebie tak daleko, każde z nich myśli o tym drugim, nic innego nie da się powiedzieć, trzymaj się, do zobaczenia, myślę o tobie, Kocham cię. Talia patrzy po raz ostatni na rękę Bruna, którą ten macha do niej między kratami, po czym odchodzi.

Kiedy w końcu znowu odzyska całkowicie radość życia, pragnienie, aby znaleźć się na zewnątrz, Bruno wyśle ze swojej celi we Fleury-Mérogis niewielką kronikę do miesięcznika „Zoulou”, *Napad z bronią w ręku, instrukcja obsługi*. Opowie w niej o kilku swoich jubilerskich wyczynach, udzieli cennych rad przyszłym włamywaczom i wreszcie zaproponuje czytelnikom prostą grę. Na koniec tekstu obiecuje, że sam ukryje gdzieś pewien klejnot (a zatem wtedy, kiedy uda mu się uciec z więzienia), że nastąpi to już za miesiąc i że będzie to przed wejściem do jakiegoś budynku w Paryżu: adres jednak miał zostać podany w formie szarady w następnym numerze pisma („I bądźcie szybsi niż policja”). Zamiast treningu proponuje pierwszą szaradę, której rozwiązanie brzmi: „23 bis rue Jean-Dolent”. (Niestety, miesięcznik niebawem padnie i nie będzie następnego wydania „Zoulou”, którego publikacja skończy się na ósmym numerze).

Dnia 25 sierpnia, gdy wraca do celi po spacerze, zatrzymuje się na kilka chwil, żeby porozmawiać z innym więźniem. Strażnik podchodzi do niego i wydzierając się, każe mu iść.

– Dobra, dobra, wszyscy jeszcze nie wrócili do cel, więc odczep się ode mnie.

Klawiszowi jednak to się nie podoba i popycha go do środka. Bruno kiwa głową:

– No już, idź spisać ten swój kłamliwy raport, tylko to potraficie robić, i wpuść mnie do mojej klity.

Stając przed celą, wali pięścią w drzwi. Jeszcze tego samego wieczoru wrzucają go do karceru na cztery dni. Pisze tam coś w rodzaju poematu o śmierci – *Dręcząca, perfidna, przyczajona śmierć podchodzi cichymi, drobnymi kroczkami, aby zawładnąć twą duszą i uwieść ją*.

Wkrótce po tym, jak wy dostał się z głębin karceru, 31 sierpnia przewożą go do Fleury-Mérogis, eskortując jak terrorystę. I chociaż przyjeżdża przecież prosto z innego więzienia, to poddany zostaje dwukrotnej i bardzo dokładnej rewizji osobistej, najpierw zaraz po przybyciu, a po raz drugi przed samym wejściem do celi. Jest to całkowicie niepotrzebne, ale tutaj nikt się nie cacka z przestępcami: jeśli liczysz na to, człowieczku, że któregoś dnia uda ci się stąd uciec, to się grubo mylisz. Bruno zostaje też oznakowany jako DPS²⁵ – więzień pod ścisłym

nadzorem.

Dnia 3 września przyjeżdża odwiedzić go Stella. Każą jej czekać cztery godziny. Potem podają jej inny numer kabiny rozmównicy, niż ten, który podano Brunowi. Siedzą więc przez jakiś czas w różnych miejscach, każde gdzie indziej. Wreszcie, zmęczeni i znużeni, mogą się zobaczyć. Stella nie jest w najlepszej formie. Nie wie, co z sobą zrobić, jak reagować wobec świata, w którą stronę iść i komu wierzyć: w wieku dziewiętnastu lat trudno jej wejść w dorosłe życie bez pomocy starszego brata. Nie zmieni tego z pewnością pełne napięcia półgodzinne spotkanie. Zaraz po powrocie do celi Bruno zaczyna pisać do niej list: *Ta rozmowa wyprowadziła mnie z równowagi, więc muszę napisać do Ciebie, żeby się uspokoić. Tych kilka żalonych minut z jednej i drugiej strony szyby nic właściwie nie dało. Tylko spotęgowało poczucie zagubienia u Stelli i zdenerwowało Bruna. Píše więc do niej o tym, czego nie był w stanie jej przekazać z braku czasu i wewnętrznego spokoju: Przecież dobrze wiesz, że ze swoim życiem możesz zrobić to, co chcesz, ale zawsze istnieje ryzyko, że się pomylisz. Nie słuchaj innych ludzi. Po co miałabyś wierzyć, że to na pewno to, a nie co innego, i do tego dostosowywać się do innych?*

Następnego dnia w liście do Talii powraca do tego czasu, kiedy byli daleko od siebie, ale i do tych dziesięciu pospiesznych i silnych emocjonalnie powrotów, do tych spotkań, które zaczynały się i kończyły na poboczu autostrady. Nie ma do siebie pretensji, nie przeprosza, chce jednak się wytłumaczyć, aby nie zadawać jej bólu: *Te ostatnie lata uczyniły ze mnie wilka, który może tylko od czasu do czasu ugasić pragnienie. Nigdy potem już nie kochałem tak nikogo. Potrafiłem zastąpić potrzebę czułości złudną bliskością fizyczną, czekając na spotkanie dusz. To Ciebie starałem się stworzyć na nowo, Ciebie próbowałem odnaleźć. Tak jak pragnąłem naszej szalonej wspólnoty w działaniu, dzielenia się wszystkim, osmozą nas dwojga, tym, aby we dwoje czuć się jedną istotą. Píše jej o listach, które dostaje, o jakże ważnym dla niego wsparciu ze strony siostr, o pojawieniu się Johanne, o muzyce, której słucha (Pink Floyd, *Hey You*, które przypomina mu ich pierwsze wspólnie spędzone dni i noce), o jedynej dla niego fizycznej przyjemności, o sporcie (*o odczuwaniu własnego ciała, tego wiernego i gotowego wszystko dla mnie uczynić zwierzęcia*), pisze też o cierpieniu, złości, o tym wszystkim, co rośnie w nim w środku: *Dzisiaj nie wiem, jaki sens ma moje życie. Śmierć przyjaciela nie jest już dla mnie wyzwoleniem. Przez to morderstwo uczę się nienawiści.**

Dnia 10 października ominie go codzienny spacer, ponieważ wzywają go do sali odwiedzin, ale rozmowa nie potoczy się dobrze, zobaczy rodziców i córkę: nie może znieść, że widzi Amélie zaledwie przez pół godziny, że nie może jej dotknąć, ona całuje szybę kabiny, mówi mu, że robi jakieś głupstwo, żeby być razem z nim w więzieniu, jego zaś wypełnia smutek, frustracja, mała jest zakłopotana jego fatalnym nastrojem. Następnego dnia Bruno pisze do Patricii, żeby wyjaśnić jej, co

się stało, dziki kot przeszedł ostateczną metamorfozę: *Staję się wilkiem, oni sprawiają, że rosną mi pazury i kły. Amélie nic z tego nie rozumie. Nie miała na to dość czasu.* Ominął go spacer, ale tym razem akurat wyszło mu to na dobre. Wracając do celi, przez wychodzące na dziedziniec okno widzi około sześćdziesięciu więźniów, którzy zaczynają protestować, krzyczą, odmawiają powrotu do cel, są rozjątrzeni panującymi w więzieniu warunkami: żądają spotkania z dyrektorem. Inni z kolei chcą wrócić, ale klawisze im na to nie pozwalają, blokują ich, konflikt się przeciąga, żadna rozmowa nie jest w ogóle możliwa, nie ma szans na jakiegokolwiek porozumienie czy kompromis: wreszcie brama się otwiera i stado ubranych na czarno ludzi rzuca się na więźniów, to oddział CRS uzbrojony w karabiny, pałki i gaz łzawiący. Szturmowcy brutalnie atakują buntowników albo raczej demonstrantów. Wrzaski, pałowanie, rozpylony gaz łzawiący, kilku więźniów pada na ziemię, pięciu CRS-owców pastwi się nad jednym z nich, okładają go na oślep pałkami i kolbami karabinów, trzech innych zbliża się, odciągają na bok kolegów, zajmując ich miejsce, teraz oni biją więźnia jak oszalali, kopią go potężnymi buciorami, mężczyzna na ziemi nie rusza się. Gaz dochodzi już do wysokości celi Bruna, który jest przerażony tym, co widzi – wrzeszczy przez kratę w oknie: „Przestańcie! Przestańcie!”, ale faceci w czarnych mundurach dalej się wyżywają, biją wszystkich, tak jakby ich życie od tego zależało. Więźniowie podnoszą ręce, aby dać znać, że zrozumieli, że w porządku, że na tym koniec, tłoczą się przerażeni obok drzwi, tworząc małą i zalęknioną grupkę. Chwila niepewności. Wchodzi tymczasem inny oddział CRS, w kaskach i z tarczami, policjanci stają w szeregu w odległości trzydziestu metrów od grupki i nagle, na oczach Bruna, który nie jest w stanie uwierzyć w to, co widzi, pokrzykując, ruszają wszyscy razem do natarcia. I znowu to samo, dzikusy w czerni biją na oślep, na ich twarzach widać jedynie zaciętość i dalej pastwią się nad masą żywego jeszcze mięsa – Bruno odnosi potworne wrażenie, że się śmieją, tak bardzo bowiem przestali się hamować. Kim w ogóle są ci ludzie? Skąd oni ich wzięli? Kiedy w końcu funkcjonariusze CRS zaczynają się wycofywać, połowa więźniów leży na ziemi. Inni osuwają się dopiero teraz. Trzy rozwalone czaszki, wybite oko, w izbie chorych aż gęsto od ludzi, wielu będzie kulało przez dziesięć dni.

Strażnicy więzienni, w niebieskich mundurach, teraz są łagodni i mili. Tworzą coś w rodzaju „ścieżki hańby”, aby skierować sponiewieranych więźniów do ich cel. Gdy więźniowie przechodzą obok nich, biją ich bez żenady, bez wstydu i bez serca. Czują, że mają do tego prawo. W liście do sędziego Corneloupa Bruno pisze o tych podłych i złośliwych klawiszach: *Potem, kiedy klawisze wrócili na swoje miejsca, zaczęli odgrywać niewiniątka – „Czy ja coś zrobiłem? Skądże znowu!”.*

Bruno boi się. *Bardzo się boję,* pisze do Corneloupa. Obawia się, że grozi

mu jakaś dziwna paranoja. Otaczają go wściekłość i przemoc, czuje, że jest na łańcuchach, które w każdej dosłownie chwili mogą go zniszczyć. A zamknięto go za przemoc, która w porównaniu z tym, co tutaj się dzieje, jest wręcz śmieszna. Zapisuje sobie: *Na nas skupia się wszystko to, czego wstydzą się społeczeństwo, a wyobrażenie o naszej egzystencji wystarczy, aby uwolnić się od winy.*

Kiedy minie tydzień od tych wydarzeń (było to nazajutrz po odnalezieniu ciała małego Grégory'ego Villemina w la Vologne), Bruno zostaje przeniesiony z sekcji D4 do sekcji D2. Zakład we Fleury-Mérogis (który, z lotu ptaka, ma kształt serca) jest podzielony – wokół znajdującej się w samym środku rotundy – na pięć grup po trzy budynki wzniesionych na planie gwiazdy (a więc trzy bloki z celami ustawione koncentrycznie, przypominające logo Mercedesa): te połączone z sobą budynki nazywane są *tripales*, a w każdym z nich przebywa od ośmiuset do dziewięciuset więźniów. Bruno uświadamia sobie teraz, że nie odsiedzi tutaj swojej kary: dwadzieścia lat, które miałby spędzić w tym piekle, pod ciągłym zagrożeniem złośliwych i pozbawionych skrupułów brutalnych łobuzów, nie jest w stanie tego sobie wyobrazić. *Olewam tę karę.* Musi się stąd wydostać.

Do sekcji *tripale* D2 przydzielili młodego strażnika, który właśnie ukończył ENAP²⁶, to jego pierwsza praca. Nazywa się Marc Metge, ma dwadzieścia dwa lata, jest opalony, sprawia wrażenie wyluzowanego, bardziej przypomina playboya z dyskoteki na Lazurowym Wybrzeżu niż klawisz. Zanim zdecydował się na robienie kariery w penitencjarnym betonie, odbył staż w oddziałach komandosów w marynarce wojennej. Jednak było to dla niego trochę za ciężkie doświadczenie. Jedyne, co mu się tam podobało, to dwutygodniowy kurs w ośrodku szkoleniowym dla spadochroniarzy w Pau.

Zaraz po tym, jak rozpocznie pracę w więzieniu, zauważa go Bruno.

Marc jest wyraźnie pod wrażeniem tego, co słyszał o Brunie, a gdy poznaje go bliżej, jest oczarowany jego osobowością. Rozmawiają o wojsku, o Legii Cudzoziemskiej i oddziałach specjalnych, ale najczęściej o spadochroniarstwie i o życiu na zewnątrz: Bruno szybko pojmuje, że właśnie otwierają się przed nim jakieś drzwi.

Czarne myśli stopniowo go opuszczają. Coraz więcej czyta, sześć, a nawet osiem godzin dziennie, Michaux, Marquez, Duras, Hemingway, Genet, Hugo, Tournier, znowu jest w stanie sobie wyobrazić, że jest wolny: Johanne otrzymuje od niego list nadany z Grecji (wysłał go na fałszywy adres w Atenach, podając na odwrocie adres Johanne jako nadawcy). Talia jest trochę o nią zazdrosna, lecz on ją uspokaja. Wszystko zaczyna się rysować w nieco jaśniejszych barwach. Michel Butel i Antoine Dulaure, którzy przymierzają się do przekształcenia „Les Nouvelles littéraires” w „L’Autre Journal”, wysyłają do niego list, aby zapytać, czy zgodziłby się pisać felietony do nowego miesięcznika. Odpowiada im 28 października, speszony, lecz entuzjastycznie nastawiony do pomysłu (chce pisać, choć to go onieśmiela, chce pisać, więc wzbudza to w nim entuzjazm): wyśle im tekst do pierwszego numeru, który ma się ukazać w grudniu 1984 roku. (Wzrusza mnie to do głębi: Michel Butel napisze do mnie pięć i pół roku później, proponując mi opublikowanie mojego pierwszego opowiadania w ostatnim wydaniu „L’Autre Journal” – w tamtym czasie, jak mi się wydaje, nie słyszałem jeszcze nic o Brunie Sulaku – a potem pisanie felietonów raz w miesiącu, mam na to ochotę, onieśmiela mnie to i wzbudza we mnie entuzjazm). Na dziedzińcu więzienia, między dwiema chwilami na uprawianie sportu (dużo w tym czasie biega), Bruno rozmawia z Rogerem Knobelspiessem, tak jak on, DPS-em, więźniem pod ścisłym nadzorem. Rozmawiają o różnych sprawach, ale przede wszystkim o literaturze, pisaniu, o powieściach, które czytają, o tym, co Bruno ma napisać dla „L’Autre Journal”. Bawią się, sporządzając listy nowych słów, które dopiero odkrywają, i które ich urzekły.

Spotkanie z Markiem Metge’em, strażnikiem playboyem, możliwość wydostania się na zewnątrz, którą dzięki niemu dostrzeżę, pozwalają mu lepiej znosić zamknięcie, presję ze strony innych strażników oraz ciągle przenosiny z celi do celi (jako DPS-a przenoszą go mniej więcej raz na dwa tygodnie) i piętnastominutowy prysznic, który przysługuje mu raz na tydzień. *Jestem jak wariat, który uważa się za kogoś normalnego, a otaczają go dziwni ludzie i wydarzenia* – pisze do Christine. Na początku listopada, zaledwie dwa tygodnie po pierwszej wymianie zdań, Marc, sam z siebie, mówi o możliwości ucieczki. Albo jest całkowicie zafascynowany tym charyzmatycznym więźniem, albo, myśli Bruno, to pułapka zastawiona na niego przez dyrekcję więzienia.

Bruno pozostaje bardzo ostrożny, chociaż sprawdzenie lojalności okazującego dobrą wolę klawisza, tej swoistej pomyłki w świecie strażników więziennych, nie może przecież kosztować go zbyt wiele, w najgorszym razie skończy się to na kilku miesiącach dodatkowej odsiadki, które rozmyją się gdzieś w przewidywanym dwudziestoletnim wyroku. Proponuje więc Marcowi najprostszy z możliwych planów ucieczki, coś, co wymagałoby od niego jedynie biernego współdziałania: kiedy będzie na służbie na wieży strażniczej, miałby po prostu „nie zauważyć” Bruna, który ucieknie po wcześniejszym przepiłowaniu krat w celi. Banalne, ale powinno wystarczyć. Jeśli natomiast celem jest zastawienie na niego pułapki, wtedy dyrekcja albo ktokolwiek inny, kto przygotowuje tę zasadzkę, będzie musiał się zadowolić tylko oskarżeniem go o nieudolną próbę ucieczki. Bruno chce się teraz dowiedzieć, czy Marc będzie go zachęcał do wybrania tej właśnie drogi.

Sędzia Corneloup również odczuwa coraz większą sympatię do Bruna. Wzywa go regularnie do pałacu sprawiedliwości, oficjalnie po to, aby porozmawiać z nim o postępowaniu w jego sprawie, którą prowadzi, ale tak naprawdę zajmują się tymi tematami zaledwie przez kwadrans na początku spotkania, a potem rozmawiają zupełnie o czymś innym. Przede wszystkim jednak Corneloup wie, że przejazdy przez Paryż, nawet w tak szybkim tempie i w zamkniętym pojeździe policyjnym, stanowią jedyną rozrywkę Bruna i namiastkę podróży. Każdego tygodnia albo prawie co tydzień stwarza mu możliwość obejrzenia odrobiny życia w tym mieście, które przez moment Sulak dostrzega za szybą furgonetki.

Pewnego razu Bruno otrzymał od Pauline i Stelli list, w którym, aby go choć trochę rozbawić, wypisywały różne skojarzenia, na przykład: „fontanna: świeżość, kamienie, wioska, wiosna”, a wśród innych zestawień napisały pod hasłem „wolność”: „powietrze, ruch, ucieczka, przestrzeń, zewnątrz”, a znowu ze słowem „śmierć” skojarzyły pojęcia takie jak: „broń, zabijać, przemoc, uderzenie”, takie tam bzdury, a jednak słowa „ucieczka” i „broń”, nie zostały przyjęte za dobrze, list skonfiskowano, przekazano prokuratorowi Republiki, a Bruna wezwano do szefa więzienia, dostał upomnienie i zagrożono mu ścisłym odosobnieniem i uniemożliwieniem widzeń, „jeśli miałyby się to powtórzyć”. Dyrektor i tak uważał, że Sulak przekroczył granice w tych swoich zagadkowych i prowokujących listach – chociaż nie jest w nich zawarty żaden kod, nie ma tam żadnej ukrytej wiadomości, ale jego słownictwo i sposób konstruowania zdań są najwyraźniej zbyt wyszukane, jak na możliwości umysłowe strażników kontrolujących pocztę, których te kwestie szybko przerosły. Po tym, kolejnym, problemie z dyrekcją więzienia Bruno pisze do sędziego Corneloupa: *Nie mam zamiaru uciec, ale wcale pana nie proszę, aby mi pan wierzył.*

Dociera do niego też dobra wiadomość. Marc Metge wydaje się wiarygodny.

Nie zaakceptował od razu zbyt prostego i niezbyt pewnego planu ucieczki i zwierzył mu się, że być może nie tylko on pomoże mu w wydostaniu się z więzienia. Jest bowiem zaprzyjaźniony z niejakim Thierryem Sniterem, dwudziestopięcioletnim chłopakiem, który może się okazać bardzo przydatny w ich planach: jest stażystą na stanowisku zastępcy dyrektora w zakładzie karnym Fleury-Mérogis, gdzie powierzono mu nadzór nad sekcją D5.

Obaj ci młodzi ludzie pochodzą z Bordeaux, spotkali się sześć miesięcy wcześniej, w maju, podczas stażu (na stanowisko zastępcy dyrektora w przypadku Snitera i na strażnika, jeśli chodzi o Metge'a) w ośrodku Saint-Martin-en-Ré. Od razu się zaprzyjaźnili, i to nie tylko dlatego, że urodzili się w tym samym mieście. Obaj są wrażliwi, nieco zagubieni, dzieciństwo mieli trudne i biedne w przypadku jednego z nich, bogate i jednocześnie koszmarnie, gdy idzie o tego drugiego (Thierry Sniter powie później, że jego ojciec, przemysłowiec, regularnie go gwałcił), obaj też zadają sobie pytanie, dlaczego właściwie zdecydowali się pracować w systemie penitencjarnym. Kiedy Metge zjawia się we Fleury, mieszka najpierw w jednym z baraków na terenie więzienia w oczekiwaniu na przydział mieszkania. Sniter z kolei, który zamieszkał w znacznie lepszych warunkach i znalazł miejsce w budynku należącym do administracji usytuowanym niedaleko więzienia, zaproponował mu, aby tymczasem zamieszkał u niego.

Marc wspomniał o swoim nowym koledze Thierry'emu. Ten również jest zafascynowany osobą Bruna Sulaka – reprezentuje on bowiem to wszystko, czego jemu brakuje (w życiowym rozdaniu nie dostał od losu zbyt mocnych kart – jakie to jednak niesprawiedliwe) – i nie okazał najmniejszych oporów ani nawet zaskoczenia, kiedy młody strażnik poruszył temat ewentualnej ucieczki Bruna. Wręcz przeciwnie, jest podekscytowany myślą, że może odegrać rolę w długiej i bogatej historii przestępczości – a całkiem po prostu, że odegra wreszcie jakąkolwiek rolę. Kiedy będzie później przesłuchiwany, początkowo wytłumaczy swój udział racjonalnie, ale też niezbyt wiarygodnie: „Było to dla mnie jak intelektualne wyzwanie, oczarowała mnie ta możliwość. Chciałem udowodnić, jakie są wyrwy w systemie zabezpieczeń penitencjarnych, a zwłaszcza to, że z Fleury-Mérogis również można uciec”. Na koniec jednak przyzna, tym razem już z mniejszą hipokryzją: „Poznawszy go lepiej i wiedząc, że jego ręce nie są splamione krwią, przywiązaliśmy się do Bruna, tym bardziej że dobrze się z nim rozmawiało i zawsze był kulturalny. Zdałem sobie sprawę, że nie ma w sobie żadnych cech typowego bandziora ze środowiska przestępczego i że nawet w więzieniu był marginalizowany, a jego poziom intelektualny zdecydowanie przewyższał to, co reprezentowali sobą przeciętni więźniowie. Poza tym zawsze był wobec nas niezwykle miły i uprzejmy”.

Bruno przeczuwa, że może zaufać Metge'owi, jego „wewnętrzny gliniarz” uporczywie milczy, pozostaje jeszcze tylko sprawdzić Snitera. Dowiaduje się od

innego strażnika, kiedy Sniter ma dyżur, a zaraz po tym, jak przeniosą go do sekcji D5, poprosi o spotkanie z nim, aby porozmawiać o sprawie skonfiskowanych listów. Nikt nie doszukuje się w tym czegoś niezwykłego, bo ten Sulak jest przecież znanym upierdliwcem, więc pod koniec listopada pojawia się wreszcie w biurze zastępcy dyrektora.

Sniter jest młodym mężczyzną o ciemnych włosach, szczupłej budowie ciała, wygląda na smutasa, nosi okulary i wąsy, wydaje się, że czuje się na tym stanowisku niezbyt pewnie, sprawia wrażenie znużonego. Ktoś w rodzaju delikatnego chłopca, któremu w szkole każdy mógł przyłożyć na przerwie i na którego nikt nie zwraca uwagi. Bruno jest jednak ostrożny, pozwala mu mówić jako pierwszemu. Zastępca dyrektora w pewnym momencie zgadza się pomóc mu w ucieczce z więzienia.

Rozmowa trwa zaledwie dziesięć minut. Bruno woli jednak za bardzo się nie spieszyć, prosi Snitera o numer telefonu i mówi mu, że niebawem ktoś do niego zadzwoni.

Wieczorem pisze do Stelli, wiedząc, jak bardzo jest nieszczęśliwa: *Oczekiwanie to nic takiego, to tylko trochę pustki, trochę łez i wątpliwości. [...] Nie płacz, bo to nie pozwoli uniknąć czekania.*

Na początku grudnia, późnym wieczorem, Thierry Sniter odbiera telefon w swoim służbowym mieszkaniu. Jakiś mężczyzna wyznacza mu spotkanie następnego dnia o północy na skwerku w pobliżu porte Maillot. Sniter musi tam, rzecz jasna, zjawić się sam.

W półmroku, czekając już od ponad pół godziny, zastępca dyrektora widzi, jak zbliża się do niego czyjaś sylwetka. Mężczyzna trzyma rękę w wewnętrznej kieszeni bluzy, zapewne na rękojeści broni, ma na twarzy kominiarkę. (To jeden z ostatnich ludzi, którym Bruno może jeszcze ufać, chodzi o Živka, tego samego, który czekał w mercedesie na lotnisku Mérignac, kiedy zabito Steve'a. Może bardziej niż Živko, należałoby go nazwać Pedro. Od procesu czekał na jakieś wieści od Bruna, skontaktowano się z nim trzy dni wcześniej, po spotkaniu w rozmównicy). Thierry Sniter umiera ze strachu, jest sam na sam w nocy z gangsterem, ale przecież o to właśnie chodzi.

Podczas pierwszego spotkania mężczyzna w kominiarce dokładnie go przeszukał, zadowolił się zadaniem mu kilku pytań, aby, po pierwsze, upewnić się, że Sniter faktycznie jest zastępcą dyrektora więzienia, a nie podstawionym policjantem, a po drugie, żeby sprawdzić, czy jest lojalny, zdeterminowany i czy będzie można na niego liczyć. Zostawia go, jak się wydaje, zadowolony, ma się odezwać do niego już wkrótce.

Za drugim razem Pedro prosi go, aby przyszedł razem z Markiem Metge'em. Spotykają się na gare de Lyon, każe im obu wsiąść do swojego volva – teraz też jest w kominiarce – i zawozi ich na podziemny parking. Rozmawiają o tym, w jaki

sposób zorganizować ucieczkę: na razie wciąż jeszcze są na etapie wersji z piłowaniem krat, skokiem przez okno, przejściem przed roztargnionym strażnikiem na wieży, nawet jeśli nikt nie jest do końca przekonany, że to najlepsze rozwiązanie. Po raz trzeci, 22 grudnia, Sniter ponownie zjawia się sam, Pedro czeka na niego na motorze przy wyjeździe z południowej autostrady w Savigny-sur-Orge, wsiada do jego samochodu, nie zdejmując z głowy kasku. (Dzień 22 grudnia 1984 roku to sobota, mam dwadzieścia lat i jestem wtedy być może całkiem niedaleko od nich: w każdą sobotę wieczorem, wspólnie z trzema przyjaciółmi z dzieciństwa, jedziemy kupić zapas piwa Valstar na stacji benzynowej Mobil, która znajduje się tuż przy zjeździe z autostrady w Savigny-sur-Orge, a potem pijemy piwo, dyskutując w moim renault 5). Zastępca dyrektora inkasuje trzydzieści tysięcy franków i zostaje ostatecznie wciągnięty w ten plan. (Bruno obiecał im, Metge'owi i jemu, że dostaną sporą kasę, jak tylko wydostanie się na wolność, że da im tyle, ile będą chcieli. Milion? Więcej? Cztery miliony? Tak czy inaczej, przekonają się, że nie pomagali komuś, kto nie potrafiłby się odwdziżyć. Ale najwyraźniej, nawet jeśli z pewnością nie spluną na te pieniądze, nie to stanowi podstawowy motyw ich działania. Sniter oświadczy później: „Dokładna kwota nigdy nie została wymieniona, a poza danym przez niego słowem nic nam nie gwarantowało, że dostaniemy jakiegokolwiek pieniądze”). W dniu 28 grudnia Thierry Sniter bierze urlop przewidziany na koniec roku: wróci do pracy 14 stycznia i wtedy będzie można przejść do działania.

Bruno nie rozmawiał jeszcze z rodziną o szczegółach swojego pomysłu. Chce mieć pewność w kilku kwestiach (teraz znowu przeniesiono go do sekcji D2, może porozumiewać się z Metge'em, ale już nie ze Sniterem). Rodzina wie tylko tyle, że jakiś zastępca dyrektora więzienia jest gotów mu pomóc. Przeżywają jednak coraz bardziej uwięzienie ich brata, syna, ojca i towarzyszące temu wątpliwości. W rozmównicy, ale i w listach, które do niego docierają, Bruno czuje, jak wiele zła wyrządził swoim najbliższym, jak silne są ich obawy i rozpacz, jak wiele rzeczy pozostaje niedopowiedzianych, jak wiele silnych napięć rodzi się właściwie z niczego i jak jego bliscy nie potrafią sobie z tym poradzić. Próbuje więc ich uspokoić, chronić ich na tyle, na ile potrafi, prosi Stellę, żeby nie przychodziła na widzenia z nim – wie, że ona gaśnie, że wyciszyła już prawie wszystko w swym życiu w oczekiwaniu, aż on wyjdzie z więzienia, dała mu nawet do zrozumienia, że myśli o samobójstwie. *Powinnaś uderzyć się w twarz* – pisze do niej. Ich matka, Marcelle, w liście pełnym niepokoju i bólu pisze mu o nich, o swoich dzieciach: *Boję się patrzeć, jak zmierzacie daleko, do granic samych siebie, w poszukiwaniu niemożliwej doskonałości.*

Ale dopiero gdy widzi Amélie, ma do siebie największe pretensje. Łapie się na tym, że zaczyna obawiać się tych spotkań w rozmównicy ze swoją córką, która nie ma jeszcze sześciu lat, zaczyna nienawidzić tych spotkań, chociaż jednocześnie

wyczekuje ich z nadzieją, jest rozdarty między miłością do Amélie i egoizmem: nie chce zadawać jej bólu, nie chce, by widziała ojca zamkniętego w klatce, nie chce wpływać w tak tragiczny sposób na dalsze jej życie, żałując przy tym, że nie będzie mógł w nim odegrać głównej roli, chyba że przez swoją nieobecność. Pozwolono mu teraz na rozmowę w kabinie bez szyb, chociaż nadal rozmówców oddziela niewysoka przegroda i obowiązuje całkowity zakaz bezpośredniego kontaktu, obejmowania się, nie wolno mu położyć ręki na głowie dziecka, przytulać żony czy partnerki (jeden z więźniów dostał piętnastodniowy zakaz spotkań w rozmównicy za to, że wsunął rękę pod bluzkę żony, inny znowu został skazany na dwutygodniowy pobyt w karcerze i zakaz spotkań przez dwa miesiące za to, że nieporadnie próbował się kochać ze swoją żoną, obu zakablowali pilnujący ich strażnicy – *Co to za mężczyźni, którzy patrzą na innych mężczyzn, gdy ci, tylko przez chwilę, mogą dotknąć wreszcie ukochanej kobiety, która zdecydowała się tutaj przyjść, a oni na nich kablują?*); mała Amélie nic sobie na szczęście nie robi z tych zakazów, bierze ojca za rękę, wczepia się w niego, opiera się na jego ramieniu, *tak jak później oprze się na jego nieobecności.*

Dnia 4 stycznia wiozą go do pałacu sprawiedliwości (w Paryżu pada śnieg, jest pięknie) na miniproces, który nie potrwa nawet godziny, a chodzi o napad na supermarket w Montélimar 20 września 1980 roku, ten sam, podczas którego skrajnie przerażona kasjerka rzuciła się na podłogę; Bruno wyszedł wtedy bez utargu. Zostaje skazany na trzydzieści miesięcy więzienia. W Montélimar, razem z Jeanem-Pierre'em, zrobił dokładnie to samo co zrobił wcześniej z Yves'em w Albi, a więc wyjęli broń, zagrozili pracownikom, przestraszyli klientów. Jedyna różnica polega na tym, że nie zabrali pieniędzy. Za Albi dostali dziewięć lat, a za Montélimar – dwa i pół roku. Pieniądze, jak się okazuje, są jak szynka w kanapce – chleb w sumie niewiele jest wart, kiedy się go wyrzuci. Brunowi zarzuca się, podobnie jak ludziom takim jak on, że chce nieuczciwie zdobyć pieniądze i że tylko one są motywem jego występków, to odrażające, brudne i złe, a jednak wyrok wydany przez wymiar sprawiedliwości świadczy tylko o tym, że w życiu najważniejsze są pieniądze. Matematycznie rzecz ujmując, na poziomie kary, według sądu i według prawa, pieniądze są trzy razy ważniejsze niż ludzie. *Pieniądze, na tym właśnie polega największy błąd. Natomiast ryzyko, na jakie narażam ludzi, już tak ważne nie jest. Za nic nie wolno naruszyć władzy pieniądza. A ludzi można olać. Co za gówno.*

Przed rozpoczęciem procesu jeden z jego adwokatów kartkuje „L'Autre Journal”, gdzie właśnie ukazał się drugi felieton Bruna. Ten zaś, zawsze zwracając uwagę na to, by nie wciągać nikogo w swoje historie, mówi mu, aby schował może pismo do teczki: przedstawiciele prawniczej prasy (obecni na rozprawie) nie zawahaliby się wykorzystać tego przeciwko Michelowi Butelowi (który zresztą wcale by się tym nie przejął – Bruno mimo wszystko pisze jednak do niego, żeby

go zapytać: *Czy dobrze zrobiłem, czy może nie ma to żadnego znaczenia? O tych procesach będzie jeszcze się sporo pisało, jak powinienem był się zachować, oczywiście w tym konkretnym przypadku?*).

Kiedy się żegnają po ogłoszeniu wyroku, adwokat powiadamia go, że nie będzie mógł go odwiedzić w więzieniu Fleury przez kilka następnych miesięcy, jest bardzo zajęty, nie będzie się z nim widział wcześniej niż z początkiem lata. Bruno wzrusza ramionami i uśmiecha się:

– Kto wie? Może jednak zobaczymy się nieco wcześniej...

Tej samej nocy, w celi, ma dziwny sen, który następnego dnia opisuje w krótkim liście do Johanne.

Czekając na powrót Thierry'ego Snitera z wakacji, czyta i wciąż pisze, uważa, że teksty do „L'Autre Journal” są nadal trochę przyciężkie, brakuje im finezji i precyzji, musi popracować nad stylem, ćwiczy więc bezustannie. Sześćdziesięcioczeroletniemu poecie, który pochwalił go za pierwszy felieton, zwierza się: *Dorastałem tak daleko od pięknych słów, że dzisiaj, tutaj, w tym więzieniu, dni wydają mi się często zbyt krótkie, tak jakbym był naznaczony tym czymś, czego we mnie nie ma, czymś, czego już w żaden sposób w sobie nie toleruję*. Prosi go więc o uwagi i rady, chce w jakiś sposób wypełnić ten brak, który przyprawia go o zawrót głowy. Ale wie także, iż są to tylko zdania, strony, idee: *Czasami słowa są słabsze niż kontakt czy dotyk* – pisze do Johanne. *Moja ręka na ciele kobiety, ręka kobiety na moim ciele. To już nie istnieje, koniec z tym na piętnaście albo dwadzieścia lat*. Oczywiście, że nie.

Niestety, na krótko przed powrotem Thierry'ego Snitera do pracy Bruno po raz kolejny musi zmienić celę (władze więzienia chcą mieć pewność, że w żadnym miejscu nie znajdzie on jakichkolwiek punktów oparcia, że nie uda mu się nawiązać bliższych kontaktów z innymi więźniami i że nie jest możliwa jakakolwiek zmowa), ale przede wszystkim musi też zmienić sekcję: opuszcza sekcję D2, a więc tę, w której jest Marc Metge, i przydzielają mu celę w sekcji D4. Trzeba więc będzie jeszcze poczekać.

Podczas tych przenosin jeden ze strażników, który postawił sobie widać za cel jak najlepiej służyć swojemu krajowi, znajduje w jego rzeczach bladoniebieskie majtki, które Bruno zabrał Pati jeszcze w Brazylii, aby mieć przez krótki pobyt we Francji coś, co będzie mu ją przypominało. Klawisz natychmiast to konfiskuje, bo to jest zakazane. Cóż bardziej logicznego? Majtki w celi więziennej, a dlaczego by nie od razu karabin maszynowy? A jednak owe majtki „przebywały” nielegalnie przez blisko rok we francuskich zakładach karnych, co świadczy o tym, że zabezpieczenia pozostawiają jednak wiele do życzenia. Zmartwiony Bruno patrzy z żalem, jak majtki przechodzą na przechowanie władz więzienia, lecz w sumie, nieważne: już wkrótce będzie miał dla siebie nie tylko majtki, ale i całą Brazylię. Chcąc w jakimś sensie odpowiedzieć na tę żalosalną konfiskatę, poświęca w całości

trzeci (i ostatni) felieton w „L’Autre Journal” Rio de Janeiro i przygotowaniom do karnawału.

W ciągu dwóch tygodni wakacji zastępca dyrektora dużo się zastanawiał nad planem ucieczki Bruna. W pełni się w tę sprawę angażuje, czuje się ważny. Ale pomysł wydostania się przez okno po przepiłowaniu krat nie bardzo mu się podoba: należałoby znaleźć jakiś inny, nierzucający się w oczy sposób, aby wyjść przez okno, przebiec przez dziedziniec, co i tak jest ryzykowne, nawet gdy Metge będzie na wieży strażniczej, a potem przedostać się przez mur... Za bardzo to wszystko wydaje się niepewne. Wpada więc na inny pomysł. Przychodzi mu do głowy znacznie prostsze rozwiązanie, ma plan, który nie może się nie powieść. Jeszcze tego samego wieczoru, zaraz po powrocie z wakacji, dzieli się swoim pomysłem z młodym strażnikiem, który go w pełni popiera.

Najprostszą rzeczą do wykonania, kiedy chce się przejść przez zamknięte drzwi, jest je otworzyć. A do tego, jeśli chcemy je otworzyć, potrzebny jest klucz. Tymczasem Thierry Sniter ma wszystkie klucze, na tym polega jego praca. Wystarczy dać je Brunowi. Od czasu wynalezienia koła nie pojawiła się chyba bardziej porywająca myśl. W szczegółach ma to wyglądać tak: w nocy Marc pójdzie otworzyć drzwi do celi Bruna, ten wyjdzie z niej, a następnie dzięki zestawowi kluczy otworzy wszystkie drzwi aż do rozmównicy w sekcji D2, niedaleko rotundy, gdzie będzie na niego czekał Thierry, który pozwoli mu, odwracając uwagę siedzących w przeszklonym pomieszczeniu strażników (dyżurka to newralgiczny punkt więzienia, znajdujący się przy głównej bramie wejściowej), przedostać się do budynku administracji, gdzie w oknach nie ma krat i nie jest w nich założona siatka. Okna w trzecim biurze po prawej stronie, tam gdzie mieści się sekretariat, nie wychodzą nad wejściem głównym przy alei prowadzącej do dużego parkingu dla odwiedzających, ale bardziej na zachód, w kierunku parkingu dla personelu. Bruno musiałby więc skoczyć z pierwszego piętra, z wysokości trzech, może czterech metrów, wylądować na trawie, dla niego to dziecięca zabawa, następnie ukryć się w bagażniku białego renault 5 Snitera, który zostawi samochód otwarty. Zastępca dyrektora, odwracając uwagę strażników siedzących w dyżurce, w czasie gdy Bruno będzie starał się dotrzeć do budynku administracji, wróci po jakimś czasie, aby zamknąć okno w biurze, które gdyby pozostało otwarte, przyciągałoby uwagę, po czym, jak każdego wieczoru, wyjdzie spokojnie z więzienia, wsiądzie na parkingu do swojego renault 5 i zostawi Bruna przed budynkiem, gdzie mieszka, około kilometra dalej, a później przejmie już go Pedro.

Trudno sobie wyobrazić, żeby ich plan się nie powiódł. Wprawdzie Bruno będzie musiał wykonać długi marsz od celi aż do okna, to ponad czterysta metrów, ale w nocy korytarze są puste, a jedyne niepewne przejście znajduje się na klatce oddzielającej pierwsze piętro w rotundzie od klatki w budynku administracyjnym, ponieważ tam właśnie, na dole schodów, usytuowana jest przeszklona dyżurka.

Sniter jednak nie powinien mieć kłopotów, żeby odwrócić uwagę będących na służbie strażników, tak żeby nie popatrzyli w górę.

Zastępca dyrektora więzienia i strażnik więzienny, którzy są tak bardzo zafascynowani więźniem, że gotowi są mu pomóc w ucieczce, no cóż, nie zdarza się to zbyt często, a właściwie chyba nigdy dotąd coś takiego nie miało miejsca. Ale żeby zastępca dyrektora więzienia razem ze strażnikiem opracowali plan ucieczki, aby następnie podsunąć go więźniowi, czegoś takiego nikt nie byłby w stanie sobie wyobrazić.

Tymczasem Bruno zaryglowany w sekcji D4 znowu spochmurniał. Nie mając od dłuższego już czasu kontaktu ze Sniterem ani z Metge'em, zatrzymał się na etapie piłowania krat i doszedł do wniosku, że ten plan jest zbyt ryzykowny. Ma wrażenie, że wraca na ziemię, a raczej pod ziemię, że niepotrzebnie zaczął się upajać tym pomysłem, za mało się nad tym wszystkim zastanawiając. Nawet nie stara się umówić na kolejne spotkanie z zastępcą dyrektora. Poza tym nadal mocno przeżywa śmierć Steve'a i wciąż snią mu się koszmary. W liście do Michela Butela, który, jak sądzi, może go rozumieć, powraca do tego, co go dręczy: *Dlaczego on tak bardzo mnie kochał, ten człowiek, który, stając w obronie mojej wolności, utrwalił naszą przyjaźń na wieki w ten niedzielny poranek, gdy zginął od kuli, co przeszła jego gardło. Moja wolność nie była tego warta. Jeśli taka ma być jej cena, to chrzańię wolność. Nie potrzebuję jej, odpuszczam. Wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno, bo to nie była gra.*

W dniu 5 lutego na spacerniaku znajduje pióro. Duże pióro. Myśli sobie, że być może jest to znak, że nie wolno tracić nadziei i poddawać się. Pióro jest czarne. Zgubiła je wrona, tak sądzi.

Czyta *Méchant*, pierwszą autobiograficzną powieść Jeana-Marca Robertsa. Pisze, on także, zachęcany przez nauczyciela francuskiego, który udziela mu lekcji raz w tygodniu, ale nie ma to nic wspólnego z autobiografią, bo chodzi raczej o science fiction, które Pauline nauczyła go cenić, wyobraża więc sobie, jak będzie wyglądało społeczeństwo w roku 2036: *we wszystkich francuskich domach będzie zainstalowana telewizja kablowa, każdy odbiornik telewizyjny zostanie wyposażony w terminal przeznaczony do gromadzenia opinii na najróżniejsze tematy, ale również, w razie potrzeby, do porozumiewania się...* Chce dalej i dużo pisać: *Od 1987 roku będę pisał dwie powieści rocznie i do tego sztuki teatralne. Ale najpierw muszę wszystkiego się nauczyć. To zresztą proste, bo na razie nie umiem nic albo prawie nic.*

Dnia 18 lutego Thierry Sniter idzie zobaczyć się z kolegą, zastępcą dyrektora, którego przydzielono teraz do sekcji D4. To całkowity przypadek, ale kiedy wchodzi do jego biura, jest tam Bruno, który zgłosił kolejny problem z wysyłaniem i otrzymywaniem listów. To również przypadek – zdarzają się jeszcze na szczęście takie rzeczy – że współpracownika wicedyrektora wezwano

akurat na kilka minut do innego biura, co pozwala obu mężczyznom zostać sam na sam. Sniter korzysta z okazji i mówi Brunowi o nowym, opracowanym przez siebie planie. Ten zaś od razu się do tego pomysłu zapala, nagle czuje, jakby w jednej chwili odżył, rozwiązanie jest bowiem rzeczywiście idealne, pozwoli mu prawie niepostrzeżenie i do tego w sposób niemal całkiem bezpieczny wydostać się z więzienia. Zastępca dyrektora jest zadowolony. Cztery dni później znowu dzwoni do niego Pedro.

Tymczasem Bruno rozchorował się na grypę, a 20 lutego znowu zmieniają mu celę i sekcję – już nawet go to nie dziwi i przestaje się tym denerwować. Nie przenoszą go, jak miał nadzieję, do D2, ale do D5 (tam, gdzie urzęduje Sniter, zawsze to coś). Nic więc złego się nie dzieje, koło fortuny się kręci, w końcu któregoś dnia padnie wreszcie na D2. Píše do matki, aby opowiedzieć jej o grypie, o stanie gardła, o otepiałych zmysłach, musi mocno się pilnować, żeby z jego słów nie można było wyczytać, że wreszcie odzyskał dobry nastrój: *Jest makabrycznie. Nic mi się nie chce. Ale powinno mi to wszystko przejść dosyć szybko.*

Myśli teraz wyłącznie o Brazylii. W nocy, z zatyczkami do uszu i z zasłoniętymi opaską oczami, wyobraża sobie siebie na plaży w Rio w otoczeniu osób, które kocha. Kiedy już wyleczy się z grypy i jest pełen nowej energii, dostaje zgodę na spotkanie z Thierrym Sniterem: Bruno również wpadł na pewien pomysł. Aby po ucieczce z więzienia nie zostawić swoich kolegów na lodzie (jak to się w ogóle dzieje, że nie zdają sobie z tego sprawy, jak mogą być tak zaślepieni chęcią udzielenia mu pomocy, by nie przejmować się tym, że kiedy okaże się, iż Bruno znikł z celi i nic nie zostało wyważone albo zniszczone, wówczas podejrzenia automatycznie skierują się przeciwko będącemu tego wieczoru na służbie personelowi?), proponuje zaaranżować rzekomą ucieczkę przez okno. Zanim wyjdzie z celi, założy w oknie materiał wybuchowy, do którego przyczepi wolno palący się lont, który Marc Metge zapali, gdy Bruno będzie już na zewnątrz. Policjanci może niekoniecznie dadzą się na to nabrać, ale przynajmniej pojawią się wątpliwości i będzie to jak zasłona dymna.

Pedro widzi się jeszcze trzykrotnie ze Sniterem, w tym dwa razy w towarzystwie Metge'a, spotkania odbywają się w podziemnych parkingach w okolicy Opery. Teraz nie nosi już kominiarki ani maski, ma do nich zaufanie. Wspólnie ustalają tak precyzyjnie, jak to możliwe, szczegóły ucieczki, która ma nastąpić, gdy tylko Bruno wróci do sekcji D2, co ma się stać w najbliższych dniach.

Wiadomość przedostaje się na zewnątrz przez rozmównicę. Stella wyjeżdża, aby czekać na niego w Brazylii, gdzie zatrzymuje się u Milтона, którego adres dostała wcześniej. Wkrótce dołączy do niej Pauline ze swoją córką Julie. Talia, która teraz może już opuszczać terytorium departamentu Vaucluse, gdyż nikt już jej nie śledzi i nie niepokoje, ma tam dojechać trochę później, po tym, jak Bruno

przedostanie się na drugą stronę Atlantyku. Tymczasem on pisze do Stelli w Rio: *Wyślij mi pocztówki, jakieś piękne zdjęcia. A co do reszty...* Pisze także do Christine: *Dziś wieczorem uśmiecham się, kraty w oknie nie mogą w to uwierzyć.*

Dnia 2 marca znowu zmienia celę, przenoszą go z sekcji D5 do D3. Spokojnie, w końcu przecież się doczeka... Na dziedzińcu więzienia podchodzi do ogrodzenia z siatki, które oddziela tę część od sąsiedniego dziedzińca, tam gdzie znajduje się Roger Knobelspiess. Nie wspomina o planie ucieczki, ale mówi mu:

– Daj mi jakiś kontakt do siebie na zewnątrz. Bo jak mnie gdzieś znowu przeniosą, chciałbym ci przekazać jakieś wieści ode mnie przez twoją rodzinę.

Roger zrozumie dopiero dziesięć dni później, co Bruno miał na myśli, mówiąc mu o „przenosinach”. Zapamiętał widok Bruna wczepionego w siatkę ogrodzenia, zachował w pamięci obraz miłego człowieka, który potrafił się dzielić z dobrego serca tym, co miał, zachował prostotę i skromność, a do tego nigdy nie uderzał w „wysokie tony”, jak mawiał, za co również wszyscy go cenili.

W Paryżu i Fleury od kilku dni jest szaro i pada deszcz. Bruno i Amélie widzą się po raz ostatni przez pół godziny w rozmównicy. Nadal cierpi, dostrzegając, jak mała czuje się nieswojo, jak bardzo nienaturalnie się zachowuje, to normalne, on sam nie wie, jak się zachowywać w jej obecności, czy ją przytulić do siebie, czy może raczej trzymać ją z dala od ojcowskiej miłości, z której nigdy przecież nie będzie mogła w pełni się cieszyć. Już wkrótce nastąpi koniec. Ale czy będzie potem mógł ją widywać tak często, jak będzie chciał? Nie potrafi wyobrazić sobie samego siebie w przyszłości, nie umie myśleć o tym, kim będzie za dziesięć albo piętnaście lat.

Dzień 11 marca to rocznica śmierci Steve’a. Bruno czyta *Poszukiwacza złota*, Le Clézio, ale nie skończy jej, książka zostanie znaleziona w jego celi na łóżku. Pisze list do Johanne, swej nieznannej przyjaciółki, zaczynając od słów: *Dziś wieczorem kocham Cię, bo potrzebuję miłości. To witalna i wszechwładna konieczność.* Tego dnia jest jednym z dwóch ludzi na ziemi, którzy ze smutkiem myślą o Novicy Živkoviciu. Tym drugim jest jego młodszy brat Miki, który mieszka w Los Angeles. Nie wie nic o tym, że Bruno może niebawem odzyskać wolność, jutro albo za tydzień, ale chociaż jest tak młody, już kilka razy spotkał się z Pedrem, zna go i wie, że to kiedyś nastąpi: wtedy zaś będzie mógł ofiarować Brunowi przyjaźń podobną do tej, jaką ten utracił wraz ze śmiercią Steve’a, tak samo silną i wierną.

Dnia 13 marca Bruno jeszcze o tym nie wie, ale pisze ostatni list z za krat adresowany do Johanne: *Wyobrażam sobie, że nie musielibyśmy żyć w ten sposób tutaj albo żyć tak samo gdzie indziej. Ach! Gdyby osiąść gdzieś ostatecznie, czasami wydaje mi się, że przyniosłoby mi to największą ulgę, największy spokój. Jednak siedząc tutaj, sam już nie wiem, co mam Ci powiedzieć. Bruno.*

W dniu 14 marca zapisuje kilka uwag na kartce: *Minął rok. Rok albo prawie*

rok. Muszę jeszcze porozmawiać o kilku jubilerach z sędzią Corneloupem. Jakie to dziwne, ta niespodziewana obojętność. Potrafię przecież nadal sobie przypomnieć te wydarzenia, opowiadać o nich, a jednak jestem już od tego tak daleko... Chyba że ten zamknięty w celi człowiek nie jest do końca mną i że stworzył go tylko ten kontekst. Jednak dzisiaj i tutaj muszę dokonać wyboru, musi nastąpić coś w rodzaju wewnętrznego przeprogramowania tego wszystkiego, co gdzieś tam wlokę za sobą od lat, aby móc opisać lub opowiedzieć sceny (czy są to jeszcze fakty?), które wydają się mnie dotyczyć jedynie ze względu na znaczenie, jakie im przypisuję, i zdziwienie, jakie we mnie wywołują.

W piątek, 15 marca przychodzą po niego, każą mu po raz kolejny pozbierać rzeczy. Prowadzą go do sekcji D2, do celi na drugim piętrze.

Decyzja zostaje podjęta jeszcze tego samego dnia: ponieważ Marc Metge będzie miał dyżur w nocy z niedzieli na poniedziałek, wtedy właśnie trzeba będzie wypuścić Bruna z celi. Zostały więc dwa dni. Opuści celę o godzinie 23.15. Metge zapali lont czterdzieści minut po północy, tak żeby Bruno miał czas oddalić się na bezpieczną odległość.

W sobotę, 16 marca zastępca dyrektora i strażnik widzą się po raz ostatni z Pedrem, spotkanie zorganizowano w błyskawicznym tempie, także i tym razem na parkingu przy Operze – niedaleko od pomalowanego przez Chagalla plafonu. Pedro przekazuje im krótkofalówkę z dodatkową słuchawką, dwie porcje plastiku, zapalnik, wolno palący się lont i trzy świece dymne. Powierza im również, co dziwne, coś w rodzaju amuletu (mała czerwona sakiewka z białym sznureczkiem, którą Bruno ma sobie zawiązać w pasie), kopertę zawierającą proszek, który ma połknąć przed ucieczką i dwa związane z sobą kawałki materiału, które trzeba będzie zostawić Marcowi przed ucieczką. Pedro jest przesądny, a kilka wspomagających atrybutów jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Dnia 16 marca 1985 roku Stella obchodzi dwudzieste urodziny. W Rio Pauline wstawia szampana do lodówki. Z otwarciem butelki poczekają do następnego dnia.

W niedzielę, 17 marca Marc Metge zaczyna pracę o godzinie 18.45. Razem z nim w więzieniu znajdują się materiały wybuchowe i amulety. Thierry Sniter przychodzi o godzinie 22.00. Wchodzi do przeszklonej dyżurki, gdzie na służbie jest dwóch strażników, a trzech innych w tym czasie odpoczywa (zostali na miejscu, aby porozmawiać z kolegami między dwoma obchodami, zanim pójdą odpocząć w pomieszczeniu przewidzianym specjalnie do tego celu), bierze pęk kluczy i zostawia w zamian swój żeton identyfikacyjny. Mówi strażnikom, że idzie przeprowadzić nocną kontrolę, i prosi ich o otwarcie elektrycznej bramy, przez którą trzeba przejść, chcąc dostać się do centralnej rotundy i do rozmównicy adwokatów, tak aby mógł tą drogą dojść do sekcji D5. W swojej celi, na łóżku, Bruno czeka, gotowy do działania. Ma na sobie jeansy, koszulę i płócienną bluzę w kolorze khaki. Nie będzie miał z sobą żadnej broni. Nie byłoby to bardzo trudne, aby ją zdobyć, wystarczyłoby, żeby o nią poprosił, ale woli, by nie pojawiła się pokusa, aby jej użyć, gdyby sprawy źle się potoczyły.

(Zamykam oczy i próbuję postawić się na jego miejscu. Jest noc, siedzę w celi. Jestem w samym środku betonowej fortecy o promieniu długości prawie dwóch kilometrów. W środku są mury, kraty, strażnicy. Za kilka minut będę próbował stąd uciec. Pójdę sam ciemnymi korytarzami i spróbuję się wydostać z największego w Europie więzienia. Umieram ze strachu).

O godzinie 23.00 Sniter wychodzi z sekcji D5. Zamiast wrócić do dyżurki, wykorzystuje swój uniwersalny klucz, aby udać się do rozmównicy adwokatów w sekcji D2, potem otwiera metalową kratę, która pozwala dostać się na schody, po czym wchodzi na pomost łączący drugie i trzecie piętro, tam się zatrzymuje i czeka. W tym samym czasie Metge otwiera drzwi do celi Bruna. Podaje mu krótkofalówkę, materiały wybuchowe i amulety dostarczone przez Pedra. Bruno zostawia je na łóżku, nie weźmie ich z sobą, szybko umieszcza plastik na kracie w oknie, zakłada zapalnik i przyczepia lont, kładzie na podłodze świece dymne (Marc zapali je, kiedy podpali lont, aby nie zorientowano się zbyt szybko, że Bruno nie wyskoczył przez okno).

Więźniowie śpią albo słuchają radia z odbiornikiem przystawionym do ucha, na korytarzach nie ma żywej duszy, pierwsza część trasy nie sprawia kłopotu: o godzinie 23.15, a więc dokładnie o wyznaczonej porze, Bruno i Metge dochodzą do kraty, która oddziela drugie piętro w sekcji D2 od schodów przeciwpożarowych. Sniter widzi ich, schodzi kilka stopni i wpuszcza ich do środka. Marc idzie z powrotem w stronę cel, Bruno dołącza do Thierry'ego, krótkofalówka jest w kieszeni bluzy. Schodzą na pierwsze piętro, przechodzą przez kratę, za którą znajduje się rozmównica adwokatów, następnie otwierają drzwi do korytarza prowadzącego do centralnej rotundy. Stąd Thierry dzwoni do znajdujących się

w przeszklonej dyżurce strażników: informuje ich, że zakończył kontrolny obchód, prosi ich o automatyczne otwarcie bramy i włączenie oświetlenia na korytarzu z napisem „Wejście dla rodzin”, którym ma pójść za chwilę, żeby do nich dołączyć. Na końcu korytarza znajduje się jedyna prawdziwa trudność na tej trasie.

Bruno i Thierry dochodzą do schodów, które prowadzą na parter do dyżurki. Z klatki schodowej za szybą widać w dole strażników, rzecz jasna, oni też mogą zobaczyć, co dzieje się nad nimi. Na szczęście, jeśli się schylimy, jest niewielki martwy punkt. Tak właśnie robi Bruno. Thierry zostawia go samego, schodzi po schodach, wchodzi do dyżurki, rozmawia z pięcioma strażnikami, trzech z nich jest już po służbie. Bruno wyprostowuje się i przeskakuje przez poręcz oddzielającą klatkę od rozciągniętej poziomo siatki stanowiącej sufit nad korytarzem prowadzącym do jednego z wewnętrznych dziedzińców. W tym momencie można go zobaczyć z dołu. Przez pierwszą część trasy, jaką pokonuje po siatce, widać jego nogi. A dalej, już po drugiej stronie, przeskoczy przez kolejną poręcz, aby tym razem dostać się do klatki schodowej na pierwszym piętrze w budynku administracji. Wystarczy teraz już tylko wejść do środka, drzwi nie są nigdy zamknięte na klucz, potem musi wejść do sekretariatu, do trzeciego biura po prawej stronie, które również będzie otwarte, i wreszcie wyskoczyć na trawnik. Tak więc, jeśli żaden z klawiszy nie podniesie wzroku w jego stronę, gdy będzie pokonywał pierwsze trzy metry po metalowej siatce, później już pójdzie łatwo, dalej jest wolność.

Sniter dobrze wykonał swoją dywersyjną robotę, Bruno mógł przemknąć niezauważony przez metalową siatkę. Przechodząc przez poręcz w administracyjnej części budynku, pewnie się lekko uśmiecha. Nie ma już nikogo między nim i oknem.

Otwiera jedne z drzwi, które prowadzą do biur – najpierw te na korytarzu z napisem „Sprawy socjalne i techniczne”, a więc te, o których mówił mu Sniter. Nie, jednak ich nie otwiera, bo drzwi są zamknięte. Zastępca dyrektora zaręczał, że są otwarte w dzień i w nocy, ale tak jednak nie jest. Bruno naciska na klamkę, popycha, może się coś zacięło, ale nie. Serce zaczyna szybciej bić, czuje silne ssanie w żołądku, nie może uwierzyć: tylko te żałosne drzwi dzielą go teraz od Brazylii, a one są zamknięte na klucz? Próbuje jeszcze otworzyć drzwi do korytarza z napisem „Dyrekcja”, ale i tu bezskutecznie, tak jak zresztą podejrzewał. Co za pech! Przecież plan był idealny, przejrzysty i pewny, a teraz wszystko zacięło się na zwykłych drzwiach z napisem: „Sprawy socjalne i techniczne”, które nie wiadomo dlaczego są zamknięte. Wiele było już takich drzwi w życiu Bruna, które zamknięto przed nim bez żadnego logicznego powodu.

Zbity z tropu i zdenerwowany, wchodzi na drugie piętro budynku administracji. Tutaj drzwi do działu „Szkolenia” nie są zamknięte. Na korytarzu jest tylko jedno otwarte biuro, pierwsze po prawej stronie, wchodzi do środka, to

niewielka sala zajęciowa. Przed nim, za wielkimi zasłonami, a właściwie kotarami, są dwa okna. Idzie w lewą stronę, odsuwa zasłonę, otwiera jedyne skrzydło okienne, patrzy w dół. Poniżej siedem albo osiem metrów do ziemi. Pod nim goły beton. Mógłby spróbować, ale wylądowałby tuż przed głównym wejściem do więzienia, tam gdzie znajduje się dyżurka. Skręciłby sobie co najmniej kostkę albo nawet obie, a dwaj uzbrojeni żandarmi są niedaleko, patrolują najbliższą okolicę, a ci z dyżurki też nie są ani ślepi, ani kulawi. Lepiej już zejść po schodach z podniesionymi rękami. Bruno odwraca się, dwie wysokie i szerokie metalowe szafy stoją po prawej stronie od drzwi. Otwiera tę drugą, po lewej stronie, wślizguje się na środkową półkę, zwija się w kłębek, przyciąga do siebie drzwi i włącza krótkofalówkę.

– Kontakt...

Pedro siedzi za kierownicą peugeota 205 GTI na parkingu przed budynkiem, w którym mieszka Thierry Sniter. Ścisłym głosem, mówiąc w języku Pedra, którego się nauczył, Bruno tłumaczy mu, jak wygląda sytuacja, że jest zablokowany na drugim piętrze, że jest sam i nie ma jak się wydostać. Pedro, wściekły i zły, nie może nic zrobić poza czekaniem na tego kretyńskiego wicedyrektora, mając nadzieję, że ten w końcu się tu pojawi albo że odnajdzie Bruna. Ten zaś denerwuje się coraz bardziej, ma bowiem wrażenie, że wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę, aby dotknąć piasku na plaży Ipanema, ale wciąż jeszcze nie wpada w popłoch. Nikt tutaj po niego nie przyjdzie, ma trochę czasu przed sobą. Wie, że może liczyć na Pedra, aby ten nie pozwolił Sniterowi odpuścić sprawy ucieczki. Jedyne poważny problem miałby, gdyby Sniter go w ostatniej chwili olał. Trzeba by wtedy wracać do celi i zaczynać wszystko od początku.

O godzinie 23.50, uznając, że Bruno miał wystarczająco dużo czasu, aby dostać się do sekretariatu, wyskoczyć przez okno i ukryć się w bagażniku jego renault 5, Sniter żegna się ze strażnikami siedzącymi w dyżurce. Zanim wyjdzie, udając, że nagle przypomniał sobie, iż zapomniał wziąć teczkę z dokumentami (zostawił ją w tym właśnie celu poprzedniego wieczoru), mówi im, że musi jeszcze po nią pójść do budynku administracji. Chce tam pójść i zamknąć okno w biurze. Kiedy zauważa, że drzwi na korytarz są zamknięte, panikuje, strzela mu najpierw jeden, potem drugi i trzeci bezpiecznik. Tego nie przewidzieli, wszystko zaczyna się sypać, ta zabawa w wyjętego spod prawa uciekiniera okazuje się bardziej skomplikowana, niż myślał, po jaką cholere w ogóle się w to łądował?! Studia, niegdyś spokojne i nijakie życie młodego człowieka, nie przygotowały go do reagowania na tego rodzaju ekstremalne sytuacje. Zamiast zadać sobie pytanie, gdzie mógł się podziać Bruno (myśli sobie, jak wytłumaczy później, że Bruno mógł „wyskoczyć z innego miejsca niż to, które przewidzieli” – czyżby więzienie było tak dziurawe jak szwajcarski ser?), zamiast na przykład wejść na drugie piętro

(wydawałoby się to dosyć logiczne, nawet w przypadku kogoś, kto nie ma za sobą przeszłości słynnego bandyty i włamywacza), on schodzi do dyżurki i prosi strażników o klucz. Potem wchodzi na pierwsze piętro, zabiera z sekretariatu teczkę z dokumentami, schodzi (nie zamykając za sobą drzwi na klucz – czyżby mu odbiło, po co tak ryzykuje, skoro myśli, że Brunowi udało się mimo wszystko wydostać na zewnątrz?), oddaje klucze i opuszcza zakład karny. Podchodzi do swojego renault 5 z nadzieją, że może Bruno jest jednak jakimś cudem w bagażniku. Jednak nie! Wciąż zachowując optymizm (jego mózg przestał chyba już całkiem funkcjonować), sądzi, że Bruno zmienił końcówkę planu z powodu trudności, jakie napotkał przy drzwiach, i uciekł ostatecznie na piechotę. Włącza więc silnik i jedzie do siebie do domu.

Jest północ, Bruno siedzi w szafie już od blisko pół godziny, Pedro się nie odezwał, Sniter też nie, oddział triumfujących klawiszy również po niego nie przyszedł, nie rozumie, co się dzieje. Jeśli mały Thierry posikał się w majtki ze strachu i uciekł na drugi koniec Francji, to jutro rano Bruno będzie ładnie wyglądał.

Pięć minut po północy Sniter zatrzymuje się na parkingu i nie zastanawiając się nawet, gdzie może być Pedro, wchodzi do klatki schodowej w swoim domu. Po pokonaniu pięciu czy sześciu stopni czuje, jak ktoś kładzie mu ciężką rękę na ramieniu:

– Co ty tu robisz? Gdzie Bruno?

Całkiem spanikowany Thierry Sniter, zagubiony gdzieś w jakimś zupełnie innym świecie, prowadzi go do swojego mieszkania, a gdy już są w środku, tłumaczy mu, co się stało, mówi, że drzwi były zamknięte, pomyślał więc, że Brunowi udało się jednak mimo wszystko jakoś wydostać na zewnątrz i że nie ma kompletnie pojęcia, gdzie teraz może się on znajdować.

– Wiem, idioto, że drzwi były zamknięte. Czeka na ciebie na drugim piętrze. Wracasz po niego, i to już!

– Ale ja otworzyłem drzwi na pierwszym piętrze, zanim wyszedłem.

– Co takiego? Są otwarte?

Pedro włącza krótkofalówkę, żeby powiadomić Bruna, że może teraz już zejść, dostać się do sekretariatu i że Sniter przyjedzie, żeby go stamtąd zabrać:

– Kontakt... Kontakt...

Może dlatego, że oddalił się nieco od parkingu, a może dlatego, że jest teraz wewnątrz domu, w każdym razie nie jest w stanie nawiązać połączenia, Bruno nie odpowiada. Obaj mężczyźni wychodzą pospiesznie z mieszkania, Sniter zatacza się, koszmarnie przerażony, wsiada jak automat do swojego renault 5 i jedzie w kierunku więzienia, a za nim podąża Pedro w swoim peugeocie 205, po tym, jak po raz kolejny próbował bezskutecznie połączyć się z Brunem, najwyraźniej nie działa to w tę stronę, rusza na pełnym gazie z wygaszonymi światłami, o mało co nie zderza się z małym samochodem niejakiego pana Chamoulauda, który akurat

wraca do domu po ciężkim dniu pracy, dobrze, że jeszcze miał odrobinę refleksu, co to za palant, który zapomniał włączyć światła?!

Podczas gdy Sniter dojeżdża do parkingu dla personelu, gdzie ma zamiar zaparkować swoje renault 5 w tym samym miejscu co poprzednio, Pedro zatrzymuje się na początku drogi prowadzącej do bramy, na wysokości wejścia dla odwiedzających. Udaje mu się wreszcie połączyć z Brunem przez krótkofalówkę, i to dokładnie w tej samej chwili, gdy zastępca dyrektora podchodzi do głównej bramy.

Piętnaście minut po północy pięciu strażników, którzy siedzą w przeszklonej dyżurce, opowiada sobie więzienne kawały, gdy nagle słyszą jakiś odgłos dochodzący z wyższych pięter. Coś jakby trzaśnięcie drzwiami albo odgłos zamykanego okna. Nie wiem, co to jest. Czy nagły poryw wiatru gwałtownie zamknął okno, które Bruno zostawił uchylone? Czy zdążył porozmawiać z Pedrem i wykonał jakiś niezręczny ruch, wychodząc z szafy, żeby zejść na pierwsze piętro? A może jest już na korytarzu i podmuch wiatru zatrzasnął drzwi, zanim Bruno zdążył je po cichu zamknąć (wraca natychmiast do kryjówki, aby poczekać i upewnić się, że nikt niczego nie usłyszał). Tak czy inaczej, hałas musiał być dosyć duży, skoro go było słychać dwa piętra niżej. Aby nie zawracać głowy pilnującym strażnikom, trzech będący po służbie klawisze, Patrick P., 27 lat, Jean-Claude E., 29 lat, i Jacques H., 32 lata, proponują uprzejmię, że pójdą zobaczyć, co się tam dzieje.

Nie dotarli jeszcze do pierwszego piętra, gdy Sniter wchodzi do dyżurki. Nie widział, jak wchodzi na górę. Niepewnym głosem, z trudem panując nad sobą, wyjaśnia dwóm strażnikom, że przedtem pomyliły mu się teczki z dokumentami i że musi pójść tam jeszcze raz, żeby wziąć tę właściwą. Prosi ich więc ponownie o klucze – nie potrzebuje ich wcale, ale oni nie muszą o tym wiedzieć, nie może przecież pójść bez kluczy na górę. Jeden ze strażników daje mu je, dziwiąc się w duchu, że Sniter nic ze sobą nie ma i że nie przyniósł ze sobą tej granatowej teczki, którą wziął rzekomo przez pomyłkę i z którą wcześniej wyszedł.

Trzej strażnicy nie zatrzymują się na pierwszym piętrze i wspinają się dalej – Jean-Claude E. wyjaśni później, że wiedział, iż ten hałas nie mógł dochodzić z tego miejsca, gdyż drzwi na korytarzu były, rzecz jasna, zamknięte jak zawsze.

Od tego momentu, dla mnie przynajmniej, obraz zaczyna nagle przeskakiwać, jakby zatarła się taśma filmowa, a dalszy ciąg jest niewyraźny i mętny.

Na drugim piętrze trzech mężczyzn otwierają od razu drzwi do korytarza z napisem „Szkolenia” – według Jacques’a H. zrobili tak dlatego, że „w tym miejscu stoi automat, więc postanowiliśmy się przy okazji napić kawy”. Patrick P. idzie w głąb korytarza, gdzie znajdują się ów automat do kawy i toalety, a w tym samym czasie Jean-Claude E. naciska klamkę przy pierwszych drzwiach po prawej

stronie. Ze zdziwieniem stwierdza, że drzwi się otwierają – „To nienormalne, bo te drzwi powinny być zamknięte na klucz przez osoby wyższe stopniem zajmujące się szkoleniami”. Wchodzi do środka i zauważa, że okno po lewej stronie jest uchylone. Idzie dalej (jego kolega Jacques H. został na progu) i dostrzega, że drzwi do znajdującej się po prawej stronie szafy, tuż przy ścianie, są niedomknięte. Podchodząc bliżej, słyszy czyjś ściszony głos, otwiera szafę i nagle widzi mężczyznę z podkurczonymi nogami leżącego na drugiej od dołu półce z krótkofalówką w prawej ręce i ze słuchawką w uchu.

– Co ty tu robisz?! Kto ty jesteś?!

Mężczyzna wyskakuje z szafy, zwinny i pewny siebie i staje na środku pomieszczenia. Jacques H., który już wszedł do środka, słyszy, że ktoś mówi w obcym języku przez krótkofalówkę. W końcu ten obcy mężczyzna, wpatrując się w nich lodowatym wzrokiem, mówi do nich:

– Zaraz wam pokażę, kim jestem! Wychodzić stąd!

Mężczyzna podchodzi do drzwi, ale Jacques H. staje mu na drodze.

Kiedy Thierry Sniter dochodzi do pierwszego piętra, nad głową słyszy strzępy rozmowy i dostrzega światło na klatce powyżej. Szybko zamyka na klucz drzwi do korytarza „Sprawy socjalne i techniczne”, aby uniknąć późniejszych ewentualnych pytań, i czym prędzej biegnie na drugie piętro. Wpadając do korytarza z napisem „Szkolenia”, widzi w głębi „strażnika, który opierając się o automat z napojami, pije kawę”. W tym samym czasie z prawej strony dochodzą do niego odgłosy rozmowy z biura, gdzie światło jest wyłączone, a jedyne światło pochodzi z ulicznych lamp na zewnątrz. Idzie dwa kroki w stronę uchylonych drzwi i widzi dwóch odwróconych do niego strażników, którzy stoją naprzeciwko ubranego w cywilne ubranie mężczyzny, którego oczywiście rozpoznaje od razu i który jest „niemal przyciśnięty do zamkniętego okna”.

Tymczasem Patrick P., który poszedł w stronę toalety, zawraca: „Usłyszałem czyjeś głosy dochodzące z pierwszego pomieszczenia, więc zawróciłem”. (Według zastępcy dyrektora pił akurat spokojnie kawę, stojąc przy automacie – to niejasne i mętne tłumaczenie, bo skoro „usłyszał czyjeś głosy” zaledwie kilka sekund po tym, jak zostawił na korytarzu kolegów, to w jaki sposób mógł nalać sobie kawy i zacząć ją pić?).

Gdy mężczyzna zauważa Snitera, woła do niego:

– Panie dyrektorze!

Jean-Claude E. i Jacques H. odwracają się, Sniter pyta ich przytłumionym głosem:

– Kto to jest?

– Nie wiem – odpowiada Jean-Claude E.

– Zobacz pan zaraz, kim jestem, panie dyrektorze!

W tym momencie mężczyzna rzuca na podłogę krótkofalówkę i zanurza

prawą rękę w wewnętrzną lewą kieszeń bluzy:

– Nie zbliżać się! – krzyczy.

Chwila niepewności. Myśląc, że mężczyzna zaraz wyciągnie broń, Jean-Claude E. i Jacques H. stoją przez dwie sekundy jak zamurowani. Mężczyzna wykorzystuje ten moment, żeby otworzyć okno (już uchylone – według strażników, zamknięte – według zastępcy dyrektora) i przekłada jedną nogę na zewnątrz. Dwaj strażnicy rzucają się na niego i łapią go za bluzę. Patrick P., gdy wróci z korytarza, z toalety czy od automatu z napojami, wchodzi do biura i podbiega, aby pomóc kolegom. Chwyta mężczyznę za nadgarstek. Temu jednak udaje się przełożyć drugą nogę przez okno i mając ich naprzeciwko siebie, ciągnie z całych sił do tyłu, opierając się obiema stopami na niewielkim wystającym betonowym parapecie. W środku, w pokoju, Sniter się nie rusza. Następnie, według zeznania Jacques'a H.: „Mężczyzna rzucił się w dół, utrzymaliśmy go jeszcze przez chwilę, próbując wciągnąć go do środka”. Według słów Patricka P.: „Był zawieszony w próżni, mieliśmy go na wprost nas i trzymałem go za prawą rękę”. Po czym trzej strażnicy słyszą odgłos rozrywanego materiału, puścił rękaw bluzy (który został, według Jeana-Claude'a E., w rękach Patricka P.): mężczyzna spada.

Klawisze wychylają się przez okno i widzą go leżącego bez ruchu na betonowej nawierzchni z twarzą do ziemi. Krzyczą i gwizdzą, żeby zaalarmować dwóch żandarmów z patrolu przed więzieniem, którzy nadbiegają po chwili. Jacques H. wybiega z pokoju. Patrick P. podnosi z podłogi bluzę (w każdym razie powie: „Wydaje mi się, że podniosłem ją z podłogi”) i wybiega z pokoju – przy czym wybiegając, zauważa krótkofalówkę i słuchawki leżące na stole. Wcześniej, kiedy wchodził, nie zwrócił na to uwagi. Jean-Claude E. podnosi krótkofalówkę z podłogi (zgadza się) i wybiega z biura. Teraz z kolei Thierry Sniter wychyla się z okna, widzi ciało Bruna i wybiega na zewnątrz.

Pierwszymi, którzy podbiegną do leżącego na ziemi mężczyzny, są żandarmi Gérard M. i Serge B.: rzucili się w tamtą stronę zaraz po alarmie wszczętym przez strażników, gdyż podczas obchodu, przypadkiem, podnosząc głowę, ujrzeli „jakiegoś człowieka zwisającego z drugiego piętra, który trzymał się zasłon przez trzy albo cztery sekundy, a nad nim, w oknie, widać było trzech ludzi”. Bruno leży twarzą do ziemi, lekko obrócony na prawy bok, wydaje im się, że jest nieprzytomny, ale żywy. Znajduje się przed wejściem do więzienia Fleury-Mérogis, żyje, jest na zewnątrz więziennego muru.

W dyżurce dwaj strażnicy natychmiast wszczynają alarm i otwierają drzwi Sniterowi, który chce znaleźć się blisko rannego. Po chwili dołączają do niego Jean-Claude E., Jacques H. i Patrick P., którzy także wybiegają szybko na zewnątrz. (Opowiedzą o tym dosyć niedbale podczas składania zeznań: kiedy przybiegli, zastępca dyrektora stał obok leżącego na ziemi mężczyzny. Albo więc Thierry Sniter mimo otyłości jest wyjątkowo szybki w zbieganiu po schodach,

skoro to on jako ostatni wychylił się przez okno, albo ci trzech strażnicy są naprawdę wyjątkowo nieporadni). Sniter komunikuje im:

– To Bruno Sulak.

W tej samej chwili słyszą odgłos silnika, odwracają się więc i widzą peugeota 205, który skręca w aleję prowadzącą do parkingu dla gości i odjeżdża na dużej prędkości.

Powiadomiony przez jednego ze strażników z dyżurki („Chodź tu szybko, jakiś facet wypadł z okna i leży pod bramą wejściową!”), więzienny lekarz dyżurny, doktor Deyla jest na miejscu o godzinie 0.25, trzy, może cztery minuty od ogłoszenia alarmu. Kiedy się zjawia, na miejscu są tylko żandarmi, ale już po chwili „dołącza do nich Thierry Sniter”. (Zastępca dyrektora jest zatem mniej szybki, niż początkowo sądzono. W każdym razie jest znacznie wolniejszy od lekarza. O klawiszach nawet nie wspominając).

– To Bruno Sulak – mówi Sniter, podchodząc do niego.

Lekarz stwierdza u Bruna poważne obrażenia czaszki i twarzy, krwiaki wokół obojga oczu, bardziej widoczne po prawej stronie, wgniecenie w czaszce po prawej stronie oraz złamanie obu nadgarstków, w tym otwarte złamanie lewej ręki. Wydaje się, że nie ma żadnego poważniejszego urazu klatki piersiowej, miednicy i kończyn dolnych. Z pierwszego oglądu wnioskuje, że „pan Sulak spadł głową i lewym ramieniem do przodu, co wskazywałoby raczej, że nie tyle skoczył, co rzucił się przed siebie”. Doktor Deyla okrywa rannego kocem.

O godzinie 0.27 udaje się do dyżurki, żeby wezwać ambulans pogotowia ratunkowego SAMU²⁷ 91. Kiedy znowu jest przy Brunie, ten odzyskał świadomość. Porusza się z trudem, jęczy, skarży się na lewe ramię i na otwarte złamanie nadgarstka, powtarza wciąż:

– Uwaga, zaraz wybuchnie, zaraz wybuchnie...

Ani lekarz, ani żandarmi, ani trzech strażnicy nie rozumieją, że ma na myśli materiał wybuchowy, który przymocował do krat w swojej celi i że Marc Metge ma wywołać eksplozję o godzinie 0.40. Myślą, że bredzi i gada od rzeczy.

O godzinie 0.39 ambulans zatrzymuje się przed bramą więzienia, z karetki wyskakuje doktor Jacquelinet. (O godzinie 0.40 nie słyhać żadnej eksplozji, gdyż dowiedziawszy się, że ogłoszono alarm, Metge zrezygnował z uruchomienia zapalnika). Doktor Deyla krótko streszcza mu swoje pierwsze obserwacje, następnie lekarz z pogotowia sam bada rannego: Bruno leży teraz na lewym boku, jest przykryty kocem, wstrząsają nim dreszcze. Odpowiada tak lub nie na kilka zadanych mu pytań („Czy nazywa się pan Bruno Sulak?” „Tak”), w miejscach, których dotyka lekarz, odczuwa ból, porusza nogami i odrobinę też rękami, gdy lekarz go o to prosi. Oddycha normalnie, tętno osiemdziesiąt sześć uderzeń na minutę (zwykle, w przeszłości, kiedy był w Legii Cudzoziemskiej, jego serce biło w rytmie czterdziestu ośmiu uderzeń na minutę), ma trochę podwyższone ciśnienie,

„z pewnością z powodu stresu”. Kładą go na noszach i wsuwają do ambulansu. Aplikują mu od razu antybiotyki, rany są odkażone i zabandażowane, dostaje kroplówkę, żeby uśmierzyć ból i drgawki, praca serca jest pod kontrolą. O godzinie 1.28 ambulans odjeżdża spod więzienia w kierunku szpitala w Corbeil-Essonnes w eskorcie żandarmów na motocyklach. W ambulansie doktor Jacquelinet stwierdza przyspieszenie tętna, spadek ciśnienia, co może wskazywać, że nastąpił krwotok wewnętrzny, stwierdza też silne krwawienie z nosa. Kiedy go bada, aby określić, skąd bierze się najbardziej intensywny ból, Bruno mówi mu:

– Sprawiasz mi ból, kochany, sprawiasz mi ból.

Po czym zapada w śpiączkę.

Śmierć zjawi się pewnego dnia, szok, znieczulenie, wrażenie, że wszystko oddala się szybko, nicość.

W dyżurce, na własną prośbę, Jean-Claude E., Jacques H. i Patrick P. są badani przez doktora Deylę. Cierpią na skurcze rąk. Wyjaśniają mu, że to z powodu „trzymania z całą siłą rannego za bluzę, aby go zatrzymać i uniemożliwić mu skok z okna”. Dodają, chociaż nikt ich o to nie pyta, że nie znają tożsamości rannego. Lekarz stwierdza, że nie mogą rozchylić dłoni, ale też nie zauważył „jakichkolwiek krwiaków czy obrzęków”.

Thierry Sniter zostaje wysłany przez zastępcę dyrektora do budynku D2. Zbliżając się do celi Bruna, stwierdza, że drzwi są otwarte, kilku strażników jest w środku, materiał wybuchowy nie eksplodował. W celi znajdują się liczne notatki sporządzone przez Bruna, w tym ostatnie zapisane przez niego zdanie (*Ostatnie nagłe zobojętnienie, jakże jestem od tego teraz daleki*), należące do niego książki, w tym *Poszukiwacz złota*, której nie skończył (to opowieść o młodym człowieku, który przez lata szuka „skarbu korsarza”, o którego istnieniu dowiedział się z zapisków ojca zaraz po jego śmierci – wędruje więc przez świat, będzie szukał skarbu na dnie oceanu, nie znajdzie go jednak nigdy, by wreszcie, uspokojony, zrozumieć – okropnie to wszystko spłycam – że skarb jest w każdym z nas), amulety od Pedra, niewielki klucz i trampki, na których Bruno napisał flamastrem: „TALIA”. Potem, co dziwne, znaleziony jeszcze zostanie różaniec – nikt nigdy nie dowie się, skąd się tam wziął.

Thierry Sniter zjawia się w biurze dyrektora, by zdać relację ze swojej inspekcji, ale zanim skończy, mdleje. Odzyskuje przytomność po kilku chwilach. Pozwalają mu odpocząć, potem wraca do domu, bierze środek nasenny i natychmiast zasypia. Telefon u niego w domu dzwoni o godzinie 6.30, proszą, żeby wrócił do więzienia.

*

Funkcjonariusze SRPJ z Wersalu przybywają na miejsce wypadku w środku nocy. Jacques H., Patrick P. i Jean-Claude E. są przesłuchiwanymi przez inspektorów. Sniter z kolei rozmawia od razu i bezpośrednio z szefem GRB z Wersalu (stanowisko, które niegdyś zajmował Georges Moréas, zanim przeniesiony został do BRI w Nicei). Zaczyna składać zeznania o godzinie 7.05. Twierdzi, że został w więzieniu poprzedniego dnia wieczorem, ponieważ chciał „przyjrzeć się, jak wygląda praca podczas nocnej służby”, że był na miejscu mniej więcej przez godzinę, że wychodząc, zapomniał zabrać teczkę z dokumentami, a gdy zorientował się w domu, iż wziął nie te dokumenty, co trzeba, wrócił do biura i na górze usłyszał jakieś hałasy.

Wieczorem wzywają go do biura SRPJ w Wersalu. Nikt mu rano nie uwierzył, czuć na kilometr, że kłamie. Kolejne przesłuchanie rozpoczyna się

o 23.20 – tym razem ma przed sobą kobietę, ma na imię Anouk – i kończy się o godzinie 5.50 następnego dnia rano. Do wszystkiego się przyznał i obciążył Marca Metge'a.

*

Wszystkie te wydarzenia, od momentu trzaśnięcia drzwiami lub odgłosu zamykanego na drugim piętrze okna aż do chwili przybycia lekarza do leżącego na ziemi nieprzytomnego Bruna, to wersja oficjalna, spisana na podstawie zeznań zainteresowanych osób i świadków. Jednak jego rodzina i najbliżsi w to wszystko nie wierzą.

W swojej celi, nieco ponad dwa miesiące wcześniej, 4 stycznia, Bruno miał dziwny sen, który nazajutrz opisał w krótkim liście wysłanym do Johanne:

Machinalnie wyciągam i rozprostowuję nogi, bardzo się męczę. Wysilek, który w to włożyłem, sprawia, że jestem wycieńczony i obolały. Mam płytki oddech, czolgam się, z trudem łapię powietrze. Jest ciemno, czyjeś głosy burzą spokój tego miejsca, tych ruin: „Jest tutaj...”. Dziesięć piętér, skaczę, wiem, czuję, że spadam. Moje ciało osuwa się. Mój umysł unosi się już nade mną. Rozmywam się.

Kilka lat wcześniej w wierszu z młodzieńczych lat napisał takie oto słowa: *Człowiek śni, a śmierć, mądra, stoi tuż przy nim.*

*

Po przybyciu na oddział ratunkowy w szpitalu w Corbeil o godzinie 1.40 w nocy z 17 na 18 marca pomimo prób wyprowadzenia go ze wstrząsu pourazowego i reanimacji Bruno pozostaje w stanie śpiączki. Po krótkiej rozmowie z doktorem Jacquelinetem z ambulansu bada go teraz doktor Kohlmann, który dochodzi do mniej więcej podobnych wniosków: poważny uraz czaszki z wgnieceniem, rozległy krwiak wokół prawego oka, uraz obu nadgarstków z otwartym złamaniem w lewej ręce, coraz niższe ciśnienie i coraz szybszy puls. Stwierdza maksymalne rozszerzenie prawej źrenicy, co jest konsekwencją, jak zapisuje, „bezpośredniego urazu prawego oka” – a więc urazu spowodowanego uderzeniem, ciosem lub upadkiem z dużej wysokości. Rozległe wybroczyny pojawiły się na prawym boku, badanie brzucha ujawnia niepokojący przykurcz, co sprawia, że można podejrzewać poważny uraz wewnętrzny, natychmiast więc przeprowadza laparotomię; inaczej mówiąc – choć trochę dłużej to trwa – otwiera mu jamę brzuszną od góry do dołu na długości dwudziestu siedmiu centymetrów.

Wewnątrz – prawdziwa jatka. Wiele organów zostało uszkodzonych i krwawią, widać liczne skrzepy. Doktor Kohlmann i jego asystent, doktor Desoutter, natychmiast przystępują do usunięcia śledziony i prawej nerki, następnie zszywają w kilku miejscach wątrobę, w tym ranę o długości sześciu centymetrów. W ten sposób kilka krwotoków zostało zatamowanych. Lekarze nie mogą jednak wystarczająco dokładnie obejrzeć jelit z powodu zrostów po wcześniejszej interwencji chirurgicznej, której przyczyn nie są w stanie określić (chodzi o usunięty z brzucha Bruna pocisk, kiedy strzelał do niego zbyt nerwowo dyrektor supermarketu). Na koniec zakładają dreny i zszywają brzuch.

Jeśli jednak chodzi o mózg, to zważywszy na stan czaszki, ten podmiejski szpital nie jest odpowiednio wyposażony w specjalistyczny sprzęt. Zresztą u Bruna nastąpiło już przejście do drugiego stadium śpiączki. *Moja ręka na ciele kobiety, ręka kobiety na moim ciele.* Po południu podjęta zostaje decyzja o przewiezieniu go

do szpitala Pitié-Salpêtrière w Paryżu. Tuż przed godziną 16.00 dzieciaki grające w piłkę w Corbeil zostają przegonione z boiska. W niemym zachwycie obserwują, jak w narysowanym na samym środku boiska kole ląduje helikopter, który po kilku minutach unosi się znowu w powietrze, tworząc potężny wir, który każe im zmrużyć oczy; na pokładzie śmigłowca znajduje się pogrążony w śpiączce Bruno.

*

Lokalne stacje radiowe uczyniły z nieudanej próby ucieczki Bruna Sulaka główną poranną wiadomość. W Rio de Janeiro, kiedy szampan się mrozi w lodówce, Pauline i Stella czekają niecierpliwie na telefon; wreszcie telefon dzwoni. Pauline i Stella załamują się.

Następnego dnia we wszystkich francuskich gazetach na pierwszej stronie pojawia się wiadomość o upadku Bruna, i to pomimo wielu innych ważnych wydarzeń: konflikt zbrojny między Iranem a Irakiem nasila się, Christine Villemin była przesłuchiwana przez długie godziny przez śledczych SRPJ z Épinal i jest główną podejrzaną w sprawie o zamordowanie syna. *Tragiczna próba ucieczki Bruna Sulaka*, brzmi tytuł w „Libération”. W podtytule napisano: *Jego stan jest beznadziejny*. Stella wyjeżdża z Rio i wraca zrozpaczona do Francji. Pauline, zdruzgotana, zostaje z Miltonem, Pati i małą Julie, próbuje być silna właśnie dla niej, stara się nie poddawać. Stanislas, Marcelle, Denis i Talia jadą do Paryża.

Bruno przebywa teraz w szpitalu la Pitié, na oddziale neurochirurgii zarządzanym przez profesora Pertuiseta. Ranny wszedł w trzecie stadium (w czterostopniowej skali) śpiączki. Rezonans magnetyczny wykazał liczne i poważne urazy czaszki (w raporcie mówi się o „spustoszeniu wewnątrz czaszki”), krwotok mózgowy i poważne uszkodzenia neurologiczne, które szybko się pogłębiają. Aby próbować ratować pacjenta, doktor Robert otwiera mu czaszkę, zszywa rozdartą oponę mózgową i wykonuje lobektomię prawego płata czołowego – wycina mu fragment mózgu, kawałek kory oczodołowej i prawy płat skroniowy. Jeśli nawet Bruno przeżyje, nigdy nie będzie już tym samym człowiekiem. Płat skroniowy odgrywa bowiem zasadniczą rolę, jeśli chodzi o mowę, zapamiętywanie, pamięć werbalną, postrzeganie oraz rozpoznawanie obiektów i twarzy.

Stella i Talia zatrzymały się w małym mieszkaniu przy rue de Sèvres należącym do Pauline, a rodzice Bruna zamieszkali na przedmieściach Paryża, u najmłodszej siostry Marcelle, Michèle, zwanej Michou – tej, która podarowała Brunowi, gdy się urodził, piszczącego gumowego pieska, którego wcześniej żołnierze Legiii Cudzoziemskiej ofiarowali Marcelle, kiedy spotkała się ze Stanislasem w restauracji Krief w Sidi Bu-l-Abbas. Gdy udali się do szpitala la Pitié-Salpêtrière zaraz po przyjeździe do Paryża, nie zostali wpuszczeni na oddział reanimacji chirurgicznej profesora Viarsa strzeżony przez tuzin uzbrojonych gliniarzy. Marcelle i Stanislasowi nie pozwolono czuć przy łóżku syna. Nie

podano im jakiegokolwiek sensownego wyjaśnienia. W ogóle zresztą nie udzielają odpowiedzi na zadawane przez nich pytania. Do niepokoju i rozpaczki dochodzi więc jeszcze złość. I, naturalnie, podejrzenia. Po co ta zaporą?

Zdenerwowany Stanislas nie panuje nad sobą. Wspierany i podtrzymywany na duchu przez adwokatów Bruna wysyła do gazet kolejne apele: „Chcę zobaczyć mojego syna!”

Na rue de Sèvres Stella i Talia chodzą w kółko po malutkim mieszkaniu, są jak nieprzytomne, życie uległo zawieszeniu. Dzwonią codziennie do Pauline, która trzęsie się z rozpaczki w Rio w domu Pati, gdzie przebywa z Julie (na wszystkich zeszytach dziewczynka, która jest tam jak na wakacjach, rysuje słońce), ale nie mają właściwie nic nowego do przekazania, w szpitalu nikt nie udziela im żadnych informacji – chyba że są to czysto medyczne i przerażające zarazem wieści: śledziona, nerka, wątroba, mózg. Dziewięć tysięcy kilometrów od okaleczonego Bruna, pod błękitnym niebem Brazylii, Pauline nie jest w stanie do końca uświadomić sobie, co dzieje się z jej bratem. Po przeprowadzonej lobektomii jego stan się ustabilizował, wrócił do drugiego stadium śpiączki, znowu zaczyna odczuwać ból (i to jest dobra wiadomość), więc odzyskują nadzieję. Kiedy Stella i Talia wychodzą na chwilę z domu, żeby pójść do piekarni albo do pobliskiej kawiarni na rogu (Talia pije swoją pierwszą kawę w życiu, za dużo pali), mają niemal pewność, że są obserwowane i że ktoś wciąż za nimi chodzi.

W sobotę, 23 marca, pięć dni po przyjęciu Bruna do la Pitié, Marcelle i Stanislas wreszcie dostają zgodę, żeby go zobaczyć, chociaż są od niego oddzieleni szybą. Najpierw jednak policjanci bardzo dokładnie rewidują Stana, przeszukują torbę Marcelle, musi im pokazać, co ma w kieszeniach (jeśli policjant zacznie ją obmacywać, myśli Stanislas, dostanie w łeb i też już zostanie na dłużej w szpitalu). Stojący wokół strażnicy trzymają palec na spuście karabinu maszynowego. Co oni sobie wyobrażają? Że Marcelle i Stanislas wszystko rozwalą, że wyciągną granaty i zabiorą stąd umierającego syna?

Bruno leży na plecach na łóżku w przeszklonym pokoju, jest podłączony do wielu urządzeń, do kroplówki, różnych kabli, rurek, drenów, poddano go tracheotomii, podają mu tlen, jest cewnikowany, obandażowano mu głowę, odsłonięte są tylko oczy, na pokrytym bliznami ciele wszędzie podłączone są czujniki. Ma otwarte usta.

„Paris Match” opublikuje zrobione przez szybę zdjęcie tego zmasakrowanego człowieka.

W poniedziałek, 25 marca jego stan neurologiczny, który wcześniej poprawił się, teraz nagle się pogarsza. Znowu jest w trzecim stadium śpiączki. Lekarzom nie udaje się zmniejszyć obrzęku: pień mózgu, łączący mózg z rdzeniem kręgowym, jest naruszony. We wtorek badania wykazują poważną niewydolność nerek i sepsę, która wywiązała się w wyniku zapalenia płuc. Na polecenie sędziego Dessagne’a,

któremu sąd w Évry powierzył prowadzenie dochodzenia w związku z „przestępczym działaniem, czynnym i biernym skorumpowaniem funkcjonariuszy, znową ze strażnikami oraz przechowywaniem materiałów wybuchowych”, pojawia się ekspert, doktor Campana, by zbadać rannego. Nie stwierdza przy tym „żadnej rany, która mogłaby świadczyć o użyciu broni palnej”. Stwierdza, że „perspektywy wyzdrowienia są bardzo nikłe” i że „w najlepszym razie ranny nie będzie mógł być przesłuchany wcześniej niż za kilka miesięcy”. W środę (dzień urodzin Talii) Marcelle i Stanislas, przekonani, że okoliczności związane z ciężkim stanem ich syna pozostają niejasne, wnoszą zatem skargę z powództwa cywilnego z powodu odniesienia przez Bruna ran i obrażeń ciała, aby zostało wszczęte dodatkowe postępowanie, które pozwoliłoby ustalić, co dokładnie się wydarzyło. Marcelle, mimo zakazu, przedostaje się do przeszklonego pokoju, podchodzi do syna, mówi do niego, powtarza mu, że cała rodzina jest przy nim – ma wrażenie, ale może to tylko odczucie matki, że Bruno się do niej uśmiecha.

Przez tę krótką chwilę, gdy bije serce, gdy mruga powieka, przez chwilę życia i śmierci, wszystko się zatrzymuje i wszystko trwa, chce nadal pisać i powstrzymać ten tusz, który ucieka... Dlaczego? On dobrze to wie, ten Bic, wyczerpany, świrnięty długopis, dogorywający, zapomniany, a jednak aż do ostatniej kropli tuszu będzie pisał, będzie Ci opowiadał i będzie dla mnie żył – czemu nie jestem długopisem! – w ostatnim zrywie, w ostatniej transfuzji, żyć albo umrzeć razem...

Następnego dnia, po „nieodwracalnych zmianach, jakie nastąpiły w pniu mózgu”, stan neurologiczny Bruna gwałtownie się pogarsza, rytm serca i ciśnienie spadają, żadne środki już nie działają, następuje kolejne, czwarte stadium śpiączki, Bruno umiera w nocy z czwartku, 28 marca, na piątek, 29 marca 1985 roku, dwadzieścia pięć minut po północy, jedenaście dni od feralnej nocy, podczas której wypadł z okna. Miał dwadzieścia dziewięć lat.

O świcie telefon ze szpitala budzi Talię i Stellę:

– To już koniec.

Stella dzwoni do Pauline. Nie jest w stanie wypowiedzieć zdania: „Bruno nie żyje”, zanosi się płaczem i bez przerwy powtarza imię brata. Pauline wyje z rozpaczy. Pati i Milton próbują ją uspokoić. Julie płacze.

*

Pauline kupuje bilet na nocny lot do Paryża. Kiedy wysiada z samolotu na Roissy, trzyma za rękę Julie i widzi twarz Bruna na pierwszych stronach gazet. Tego dnia w dziennikach obok jego zdjęcia widać też inne twarze: Marc Chagall zmarł kilka godzin przed nim, Bernard Laroche kilka godzin potem, zabity przez Jeana-Marie Villemina. Chagall, Sulak, Laroche, wszyscy razem na stojaku na prasę.

W tym samym tygodniu na ścianach paryskich domów, w czerni i bieli, również pojawia się twarz Bruna. „Zbuntowany łobuz...”. To jeden z pierwszych szablonów graffiti Miss.Tic.

Marcelle i Stanislas starają się jakoś trzymać. Zamieniają złożoną przez siebie wcześniej skargę o spowodowanie uszkodzenia ciała i pobicie na nieumyślne zabójstwo. W wywiadzie udzielonym „L’Autre Journal” Stanislas powie ze spokojem, który jeszcze teraz, dwadzieścia osiem lat później, jest dla mnie przejmujący: „Tak wielki jest nasz żal, że Bruno odszedł”.

W dniu 5 kwietnia przed pogrzebem cała rodzina udaje się do Instytutu Medycyny Sądowej na quai de la Rapée, gdzie czekają już na nich liczni dziennikarze. Widok Bruna w trumnie jest okropny. Wychudzony, wygląda jakby nadal potwornie cierpiał, ma wciąż półotwarte usta. Jego twarz jest zdeformowana. Ma ogoloną głowę. Tylko dwa małe pieprzyki, jeden powyżej lewej wargi i drugi na lewym policzku, wskazują, że to on.

Pięć dni wcześniej sędzia Dessagne zarządził przeprowadzenie sekcji zwłok. Lista ran, urazów i złamań, które stwierdzono u Bruna w raporcie medycznym, jest długa. Rozliczne pęknięcia podstawy czaszki, blizna o długości dwudziestu dwóch centymetrów po przeprowadzonej trepanacji, inna, czterocentymetrowa, w górnej części czoła, pod którą stwierdzono złamanie kości czołowej po prawej stronie, trzycentymetrowa rana powyżej prawej brwi, złamanie prawej kości jarzmowej, nacieki krwi na prawym policzku i na szyi, pęknięcie kości skroniowej (lewej?) i długa rana po pęknięciu kości czołowo-ciemieniowej, także po lewej stronie, krwiak pomiędzy kością czaszkową a oponą mózgowo-rdzeniową nad lewym oczodołem, ośmiocentymetrowy ślad po rozdarciu opony mózgowo-rdzeniowej po prawej stronie, skrzepy w obu płatach czołowych i w obu płatach skroniowych

mózgu, wycięcie fragmentu prawego zakrętu płata skroniowego i części prawego płata boczego, stłuczenie powiek i krwotok oczny, rana po przeprowadzonej tracheotomii, rana na brzuchu o długości dwudziestu siedmiu centymetrów po laparotomii, cztery otwory po drenach założonych na klatce piersiowej i brzuchu, dwa dziesięciocentymetrowe stłuczenia na boku prawym i jedno na boku lewym, jedno szerokie stłuczenie na prawym pośladku, jedno na prawym kolanie, jedno na wierzchu prawej dłoni, złamanie obu nadgarstków, czterocentymetrowa rana na lewym nadgarstku z widocznymi ścięgnami, złamanie siódmego i ósmego żebra po prawej stronie, ostry stan zapalny w prawym płucu, obrzęk w lewym płucu, sześciocentymetrowa blizna na wątrobie, nefrektomia, splenektomia, ślady po licznych zastrzykach w okolicach zgięcia łokciowego. Lekarze Campana i Deponge (lekarz sądowy, ten sam, który stwierdził zgon Romy Schneider) kończą swój raport, wskazując, że śmierć osoby, która ma zawieszoną na kostce nogi plakietkę identyfikacyjną z numerem 1015, nastąpiła z powodu licznych urazów, w szczególności w wyniku urazowego uszkodzenia mózgu (we wnioskach wymienione są jedynie urazy i stłuczenia prawej strony czaszki i ciała – z wyjątkiem lewego nadgarstka), „spowodowanego upadkiem z dużej wysokości”. Tak kończy się życie Bruna Sulaka, 180 cm, 66 kg. Waga serca: 465 g.

W obecności rodziny w Instytucie Medycyny Sądowej trumna zostaje zamknięta.

Dyrektor administracji penitencjarnej, Myriam Ezratty, wręczy odznaczenia trzem strażnikom więziennym: Jeanowi-Claude'owi E., Jacques'owi H. i Patrickowi P., „za uniemożliwienie próby ucieczki Bruna Sulaka” (no cóż, „uniemożliwiono mu ucieczkę”, chyba lepiej się tego nie da ująć).

Pomimo dwóch prób rekonstrukcji wydarzeń, przeprowadzonych w więzieniu Fleury-Mérogis, w tym jednej zrealizowanej w ramach postępowania w sprawie próby przekupstwa, współudziału itd., oraz drugiej, wykonanej w obecności Stanisława Sulaka, w związku ze skargą rodziców o nieumyślne zabójstwo, które w obu przypadkach doprowadziły do takich samych wniosków (w chwili gdy Bruno chciał wyskoczyć przez okno, odkryli go strażnicy; następnie próbowali go powstrzymać, w ich rękach pozostał fragment jego bluzy, on zaś spadł, straciwszy równowagę), wiele punktów nadal pozostaje niejasnych, pojawiają się liczne i dotyczące różnych aspektów pytania.

Ucieczka nie powiodła się, ponieważ drzwi do korytarza „Sprawy socjalne i techniczne” w budynku administracyjnym były zamknięte na klucz. Zamknął je jeden ze strażników, Jean-Claude E. Oświadczył on, że wszedł w tym celu na pierwsze piętro o godzinie 20.15, oraz stwierdził, chcąc się niejako usprawiedliwić, że te drzwi zawsze były zamykane wieczorem. Tymczasem Thierry Sniter, który przecież był zastępcą dyrektora, myślał, że tak nie jest. Nie oznacza to, że Jean-Claude E. wiedział o próbie ucieczki, nie czekałby bowiem spokojnie w swojej dyżurce po północy, aby jakiś hałas usłyszany na górnym piętrze dał mu okazję schwytania zamkniętego w pokoju uciekiniera. Tyle że stanowiło to wyjątkowo nieszczęśliwy dla Bruna zbieg okoliczności. Na klatce było dwoje drzwi, być może tylko drzwi do korytarza z napisem „Dyrekcja” miały być zamknięte, czy zatem Jean-Claude E. wykazał się gorliwością, czy po prostu się pomylił? Chyba że to Sniter zapomniał sprawdzić, czy te drzwi pozostają rzeczywiście otwarte także w nocy.

Piętnaście minut po północy pięciu znajdujących się w dyżurce strażników twierdzi, że zaskoczył ich dźwięk przypominający trzask. Musiało to być porządne trzaśnięcie, skoro strażnicy mogli je usłyszeć dwa piętra niżej, gdy w tym samym czasie z sobą rozmawiali. Nigdy nie dowiemy się, co robił wtedy Bruno, żeby wywołać tak duży hałas. Jeśli był to tylko dźwięk otwieranych lub zamykanych drzwi szafy, kiedy z niej wychodził, to strażnicy musieli mieć wyjątkowo czuły słuch. Wydaje się to trochę podejrzanе: słyszą jakiś hałas i od razu idą we trzech na górę, żeby zobaczyć, co się tam dzieje? No dobrze, to w końcu strażnicy więzienni, będący bezustannie w stanie pogotowia, więc może przypuszczają, że pojawił się jakiś poważny problem z bezpieczeństwem, założmy, że tak było. Tyle że strażnik Jacques H. w zeznaniu złożonym o godzinie 6.30 rano stwierdza wyraźnie, że

„postanowili w tym samym czasie napić się kawy”. Chłopaki muszą mieć naprawdę stalowe nerwy. A zatem: jest jakiś problem, pewnie jakiś gość chce stąd uciec, więc idziemy we trzech, zgarniamy go i skoro już tam jesteśmy, to strzelimy sobie po jednej kawie. Ale być może ten hałas tak bardzo ich znowu nie zaniepokoił, a weszli na piętro głównie po to, żeby wypić kawę.

Jest to prawdopodobne, bo przecież nie zatrzymali się na pierwszym piętrze. Albo też nie dość że są podejrzliwi, to jeszcze mają świetny, ba, fenomenalny słuch: słyszą hałas z gatunku „jakieś odgłosy dochodzą z drugiego piętra”, to pewne. Jean-Claude E. wiedział, no bo jakżeby inaczej, że drzwi na pierwszym piętrze są zamknięte, ale sam tego nie sprawdził? Zaalarmowany odgłosem zamykanych drzwi nie popatrzył, czy są zamknięte? Zamknięte drzwi mogły przecież zostać otwarte, zwłaszcza przez kogoś, kto zamierza uciec i komu udało się dotrzeć aż tutaj. A jednak nie, wszyscy trzej idą śmiało na drugie piętro, po co tracić czas na sprawdzanie klamek, skoro naprawdę mają tak nieposkromioną ochotę napić się kawy.

Na drugim piętrze drzwi do działu z napisem „Szkolenia” są otwarte, Jean-Claude E. nie pojawił się tutaj o godzinie 20.15 z powodu automatu do kawy. Myśli, że wszystkie drzwi do biur są zamknięte, a w każdym razie, że zamknięte są drzwi do pierwszego biura po prawej stronie (w zeznaniu stwierdza, że powinny być zamknięte przez osoby prowadzące szkolenia), a jednak te drzwi akurat, w przeciwieństwie do tych, które znajdują się piętro niżej, mimo wszystko próbuje otworzyć. Przeczucie. Albo szczęście. I jednocześnie nieszczęście dla Bruna: drzwi na pierwszym piętrze, które powinny być otwarte, są zamknięte, a te na drugim piętrze, które powinny być zamknięte, są otwarte (gdyby bowiem tak nie było, nie mógłby się tam ukryć, poszedłby może schować się do toalety albo gdzieś indziej, nie byłoby też słyhać żadnego trzaskania drzwiami itd.). Drzwi w tym zakładzie karnym to naprawdę coś bardzo dziwnego.

Niezwykły zbieg okoliczności. Wszystko, w sposób wręcz nieprawdopodobny, sprzysięga się przeciwko niemu, ale sędzę, że można to przypisać temu niedefiniowalnemu, niewytłumaczalnemu i rozwścieczonemu losowi, który ścigał go najpierw, gdy stał się dorosłym człowiekiem, potem ten sam los całkiem o nim zapomniał przez blisko sześć lat, zostawiając miejsce dla złota i światła, po czym dopadł go ponownie po powrocie do Europy zaraz po tym, jak wylądował w Lizbonie. I znowu, na przykład, gdyby Sniter wymiękł jeszcze przed ucieczką i wszystko wychlapał strażnikom, to czy można sobie w ogóle wyobrazić, że zostało to tak fenomenalnie przez nich skalkulowane (zamykamy drzwi, doskonale posunięcie, zostawiamy otwarte drzwi do biura, też niegłupie) i że ryzykowaliby, interweniując dopiero po blisko trzech kwadransach od chwili pojawienia się Bruna w części administracyjnej budynku, iż znajdzie inny sposób wydostania się na zewnątrz? Ale dopiero później wszystkie te kwestie stają się

o wiele bardziej dwuznaczne.

W biurze światło jest zgaszone, ale Jean-Claude E., który wszedł na piętro głównie po to, żeby się napić kawy – jeśli podążalibyśmy za jego tokiem rozumowania – wchodzi mimo wszystko do środka, aby zauważyć, że drzwi szafy, tej po prawej stronie, są uchylone. Może właśnie to wpółotwarte okno go zaintrygowało i skłoniło do wejścia do środka. Twierdzi, że w tym momencie usłyszał, jak ktoś coś mówi ścisłym głosem. A zatem Bruno, który znalazł się w niezwykle stresującej i niebezpiecznej sytuacji, a do tego przed chwilą wywołał hałas drzwiami lub oknem, który musi w związku z tym znajdować się w stanie najwyższej czujności, nie usłyszał trzech strażników idących korytarzem albo jest mu to obojętne i nie zadaje sobie nawet trudu, żeby dokładnie zamknąć drzwi szafy, w której się ukrył, i nadal rozmawia przez krótkofalówkę z Pedrem („A u ciebie w porządku? Wszystko gra? Jak rodzina?”), chociaż dowiedział się trzy albo cztery minuty wcześniej, o ile nie pięć albo sześć, że drzwi na pierwszym piętrze są otwarte i że tak czy inaczej Sniter zaraz wróci. Przy takiej hipotezie Bruno naprawdę sprawia wrażenie mało rozgarniętego.

Jean-Claude E. otwiera więc drzwi szafy, widzi Bruna i pyta go, kim jest (to się raczej rozumie samo przez się). I chociaż Bruno leży zwinięty na półce, jednak udaje mu się błyskawicznie wyjść z szafy (krzycząc: „Zaraz wam pokażę, kim jestem!”), podczas gdy Jean-Claude E. nawet nie usiłuje go powstrzymać, na przykład łapiąc go w pasie – strażnik oświadczy: „Pomyślałem, że może chodzi o jakieś ćwiczenia w zakresie bezpieczeństwa” (cóż, dosyć wyszukane ćwiczenia), a potem staje na środku pomieszczenia. Jacques H. w tym samym czasie stoi w uchylonych drzwiach. „Ten człowiek – mówi Jean-Claude E. – nie mógł więc wyjść”. Co wskazywałoby, z dużą dozą prawdopodobieństwa, że Bruno sprawiał wrażenie kogoś, kto miałby ochotę wyjść, a więc że wolałby raczej normalnie przejść przez drzwi, a nie wyskakiwać oknem, ale nie mógł tego zrobić. Co wydaje się również wskazywać, że wykonał krok w kierunku drzwi (albo Jean-Claude E. jest równie wnikliwym obserwatorem, co psychologiem, i potrafi bezbłędnie odczytać każdy błysk w oku), podczas gdy dwaj onieśmieleni strażnicy nawet nie myślą o tym, by go obezwładnić (może to jakiś instruktor wykonujący swoją misję, trzeba uważać).

Potem następuje dziwne pojawienie się Thierry’ego Snitera. Strażnicy weszli na górę zaledwie kilka chwil przed tym, jak zadzwonił do dyżurki, aby dostać się do środka, a tu znowu pech. Kiedy dochodzi do drugiego piętra, po tym, jak zamknął drzwi do korytarza na pierwszym piętrze (mógł podjąć tę decyzję dopiero wtedy, gdy usłyszał głosy na drugim piętrze, inaczej nie miałby bowiem żadnego powodu, aby to zrobić), widzi najpierw Patricka P. opartego o automat i spokojnie pijącego kawę (ten zaś twierdzi, że zawrócił, kiedy tylko usłyszał jakieś głosy dochodzące z biura), a potem Jeana-Claude’a E. i Jacques’a H. stojących przed

Brunem i pytających go, kim jest i co tutaj robi. Od momentu gdy Thierry Sniter dotarł do pierwszego piętra, w czasie gdy zamyka drzwi i wchodzi po schodach, obaj strażnicy wciąż pytają Bruna, kim jest i co tutaj robi (dosyć dziwna i miałka jest ta dyskusja), nie rzucają się na niego, a tymczasem Patrickowi P. nie udało się jeszcze zawrócić z korytarza. Nie chcę wcale szukać dziury w całym ani tworzyć jakiejś spiskowej teorii dziejów, ale naprawdę coś tu nie gra. Albo Thierry Sniter kompletnie się pogubił, już po fakcie, z powodu narastającej paniki, albo Thierry Sniter kłamie, albo kłamia strażnicy.

Przez cały ten czas, jaki spędziłem w jego życiu, albo może raczej idąc śladami tego, co po nim pozostało, wczytując się w jego zapiski i rozmawiając z jego bliskimi, mam wrażenie, że jednak trochę poznałem Bruna. (W każdym razie jego rodzina i Talia na pewno dobrze go znali). Wyobrażam go więc sobie w tym pokoju, samego i bez broni naprzeciw dwóch klawiszy. Wcześniej zdążył wyrzeć na zewnątrz, wie, że pod nim jest osiem metrów do ziemi, że na dole czeka na niego beton i połamie sobie kilka kości, nie ma nawet cienia możliwości, aby uciec strażnikom z dyżurki albo żandarmom, a jednak mimo wszystko chce wyskoczyć? Wykonuje gest, udając, że chce wyciągnąć z kieszeni jakąś broń (choć nawet nie uznał za celowe zabranie z sobą jakiegokolwiek narzędzia walki, co oznacza, że nie miał zamiaru się opierać, gdyby pojawiły się problemy), a potem rzuca się jak wariat w stronę okna? On, który nigdy nie uwierzył, że Steve mógł zareagować w sposób, w jaki oficjalnie podano do wiadomości publicznej, który kwestionował to i tłumaczył mu rok wcześniej: „W takim przypadku nasze działanie jest proste: trzeba dać się zatrzymać, unikać strat, a potem, tak długo jak się jest żywym, wszystko jest możliwe”? (Ale wygodniej było mu przypisać gest chwytania za broń, bo inaczej jak miałby utrzymać na wystarczającą odległość strażników, żeby otworzyć okno? W numerze pisma „Détective”, który ukazał się, kiedy jeszcze Bruno był w śpiączce, można nawet przeczytać, że miał przyczepione w pasie ładunki wybuchowe, ciekawe zresztą, skąd coś takiego przyszło do głowy autorom artykułu). To kompletna bzdura. Działałby tak, jak sądzi jego ojciec: wiedząc już, że nie uda mu się uciec, powiedziałby: „No dobra chłopaki, na tym dzisiaj kończymy...”. I odłożyłby ucieczkę na inny raz.

No chyba że chciał popełnić samobójstwo. Ale to by oznaczało, że bardzo szybko skapitulował, co dziwne, jak na kogoś, kto ma tak wielkie zasoby, tyle pragnień, tak wielu ludzi, którzy go kochają i których on kocha. Jest kimś, kto mógłby jeszcze trochę poczekać – zamierza przecież zająć się pisaniem, a to absorbujące zajęcie. Według raportu ze śledztwa przeprowadzonego przez SRPJ z Wersalu: „kiedy wydawało mu się, że jest już tak blisko sukcesu i, co za tym idzie, znalezienia się na wolności, zapewne w chwili, gdy zorientował się, że odkryto jego zamiary, nie był w stanie pogodzić się z porażką”. To prawda, że kiedy nacisnął na klamkę w drzwiach na pierwszym piętrze, rozczarowanie musiało

być potworne, wszystkie nadzieje dostały pałą po łbie, a wolność była przecież tuż-tuż. Jednak nie stanął oko w oko ze strażnikami po dziesięciu następnych sekundach. Miał trzy kwadranse, kiedy leżał skulony w szafie, żeby oswoić się z myślą, że sprawa wygląda kiepsko. Potem zaś widzi Snitera. Pedro właśnie go zawiadomił, że Sniter przywdział na nowo strój zastępcy dyrektora, że wraca, Bruno widzi go, jak pojawia się tuż za strażnikami. Co też on sobie myśli? Drzwi „zawsze otwarte” okazały się zamknięte, a do tego Sniter nadchodzi w towarzystwie strażników? Myśli oczywiście, że Sniter go wydał i że to była pułapka. I dlatego popełnia samobójstwo, żeby w ten sposób sprawić społeczeństwu przyjemność?

Założmy, że istotnie tak było. Bruno decyduje się więc wyskoczyć przez okno. Okno, które było uchylone, zgodnie z tym, co zeznał Jean-Claude E., albo zamknięte, według Snitera (i znowu, albo spanikowany zastępca dyrektora źle widział – co jest możliwe – albo Sniter kłamie, albo kłamie Jean-Claude E., albo też żaden z nich dwóch nie kłamie, a okno zostało zamknięte między momentem, w którym wszedł Jean-Claude E., a tym, w którym pojawił się Sniter). Brunowi udaje się przełożyć obie nogi na drugą stronę mimo interwencji dwóch napakowanych facetów, którzy rzucili się na niego, gdy przełożył pierwszą nogę. W zeznaniach złożonych przez wszystkich trzech strażników, spisanych późną nocą, Bruno jest naprzeciwko nich, stopy postawił już na betonowym gzymsie i z całych sił odpycha się do tyłu. Żandarmi, którzy robią obchód na zewnątrz więzienia, twierdzą, że widzieli, jak Bruno wisi w powietrzu, wczepiony w kotarę, tuż przed upadkiem. Ta wersja została później zmieniona podczas rekonstrukcji zarządzanej przez sędziego Dessagne’a w odpowiedzi na skargę złożoną przez rodziców Bruna. A więc już po wyniku sekcji zwłok. Połamane nadgarstki, rozbita czaszka: Bruno spadł najpierw głową w dół, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Jest to niemożliwe, jeśli stoi przodem do okna (no chyba że wykonuje coś w rodzaju salta do tyłu z podkurczonymi nogami), a byłoby to jeszcze bardziej niemożliwe, gdyby trzymał się rękami kotary. Tymczasem podczas drugiej wizji lokalnej scena opisana przez strażników nie wygląda już tak samo: Brunowi udaje się zręcznie wykonać zwrot, odwracając się twarzą do zewnątrz, ze stopami wciąż opartymi o mały gzyms, chce rzucić się do przodu, a trzech mężczyzn trzymają go za plecy. Bluza rozrywa się (w zamku błyskawicznym będzie brakowało czterech ząbków i uchwytu, więc nie są to jakieś olbrzymie straty), po czym Bruno rzuca się w pustkę. Nie zgadza się to z pierwszymi zeznaniami, ale strażnicy są teraz już tego pewni, tak właśnie miało się to odbyć.

Pedro, który czekał w swoim peugeotie 205 na wysokości parkingu dla gości (nigdy go nie odnaleziono i teraz jest pewnie bardzo daleko od Francji), powiedział, że widział Bruna w nocy, w świetle ulicznych lamp, „jak spada bezwładnie i rozbija się o ziemię”.

No cóż, najlepszy spadochroniarz 2. REP Legii Cudzoziemskiej nie jest już tym, kim był.

W pokoju pozostała po nim tylko bluza w kolorze khaki. Według Jeana-Claude'a E. została ona w dłoniach jego kolegi Patricka P., w chwili gdy Bruno wypadł przez okno. Jest to trochę dziwne, gdyż Patrick P. – on sam to zresztą powiedział – jako jedyny nie trzymał Bruna za ubranie: złapał go za nadgarstek. Zresztą uściśla, że zanim zszedł na dół, podniósł bluzę z podłogi. Być może Jean-Claude E. się pomylił, powiedzmy bowiem raczej, że to Jacques H. trzymał bluzę w rękach, a potem, gdy Bruno spadł, rzucił bluzę na podłogę.

Natomiast czymś zupełnie niezrozumiałym w kontekście niejasnych i pokrętnych zeznań strażników jest to, że tę wersję wydarzeń potwierdza Thierry Sniter. W swoim pierwszym zeznaniu złożonym wcześniej rano twierdzi, że znalazł się tam przypadkowo, a w drugim, wieczornym zeznaniu przyznaje się do tego, że współuczestniczył w próbie ucieczki i że widział, jak Bruno rzuca się w stronę okna, a strażnicy bezskutecznie próbują go powstrzymać. Jeśli jest uczciwy, sprawa załatwiona, był to wypadek – coś w rodzaju wypadku, a strażnicy mimo wszystko nie pozwolili Brunowi skoczyć, nazwijmy to, „normalnie”. A co, jeśli było inaczej? Dlaczego miałby kłamać? Czy wymiękł, przerażony, wracając do więzienia po rozmowie z Pedrem (który w niczym nie przypomina malutkiego chomika) i myśląc o konsekwencjach, jakie mogą go spotkać, w związku z tym przyznaje się do wszystkiego już w dyżurce, zanim wejdzie na piętro? Czy rzeczywiście zjawiał się pięć sekund po tym, jak strażnicy dotarli na drugie piętro, i był świadkiem sceny pobicia Bruna (ów „bezpośredni uraz” prawego oka powstałby zatem na skutek ciosu lub „w bezpośrednim zetknięciu z rozbitym miejscem”, a więc odnosi się to do urazu oczodołu – co z grubsza odpowiada, jak mi się wydaje, uderzeniu głową o płaską powierzchnię), a później pozwolił się zastraszyć, słysząc groźbę w rodzaju: „Jak zaczniesz gadać, pedale jeden, jesteś trupem”? (Pamiętamy, jak trzech strażnicy stwierdzili, że na dole zjawili się już po nim, a pełniący nocny dyżur doktor Deyla oświadczył nawet, że był pierwszym, który dołączył do stojących nad rannym żandarmów – co pozostawia trochę czasu na krótką wymianę zdań na drugim piętrze). Ale żeby nigdy nie odwołał później kłamstw, nawet z więzienia, do którego go potem wsadzono? Tak czy inaczej, wszystko wydaje się tutaj dziwne.

Rozmawiałem z byłym strażnikiem, Alainem H., który tego dnia rozpoczął służbę na wieży strażniczej o godzinie 7.00. Powiedział mi, że zdecydowana większość jego kolegów z więzienia Fleury szanowała Bruna Sulaka: „Jego klasa i inteligencja nie pozwalały nam nawet pomyśleć o tym, by podnieść na niego rękę. Był cichy, uprzejmy i trzymał się na uboczu. Emanowała od niego tak duża siła wewnętrzna, że nie mogliśmy go nie szanować”. Jednocześnie zdarzało się, że niektórzy strażnicy bili więźniów, gdy ci „buntowali się albo im ubliżali”, i że

nawet niektórzy klawisze cenili sobie tę rozrywkę. Wreszcie stwierdził, że żaden ze strażników nie mógł nie wiedzieć, kim jest Bruno Sulak ani jak wygląda. Musieli znać wszystkich niebezpiecznych osadzonych DPS-ów, a Bruno był najbardziej znany spośród nich. „Każdy z nas, przy różnych zadaniach, przy takiej czy innej okazji, musiał się z nim kiedyś zetknąć”. Mieli również obowiązek, zobligowani do tego przez dyrekcję, zapisywać wszystko, co robił, notować nazwiska więźniów, z którymi rozmawiał na dziedzińcu podczas spaceru (niewiele tego było), a następnie zdawać relację przełożonym. Alain H. był nowy w tym zakładzie karnym, zaczął pracę zaledwie osiem miesięcy wcześniej, a jednak rozpoznałby Bruna wśród czterech czy pięciu tysięcy więźniów. Na koniec mówi jeszcze: „Ten, kto pracował w więzieniu Fleury w 1985 roku i twierdzi, że nie rozpoznałby Sulaka, kłamie”.

Nie ma sensu odgrywać detektywa amatora od spraw niemożliwych, tylko trzy osoby bowiem mogłyby opowiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się w nocy z 17 na 18 marca 1985 roku w znajdującym się na drugim piętrze biurze przeznaczonym na szkolenia: Jean-Claude E., Patrick P. i Jacques H. Być może nie zrobili nic złego. A może jednak tak. Ale spotkanie się z nimi dzisiaj i zadawanie im pytań, czy nie przypominają sobie takiego czy innego szczegółu, nie wydaje mi się zbyt sensowne.

*

W miesiąc po upadku Bruna na betonowy dziedziniec więźniowie z Fleury-Mérogis podpisali apel. Cóż, apel jest dosadny i niewyrafinowany stylistycznie (ale wiadomo przecież doskonale, jacy są więźniowie). A oto fragment tegoż apelu:

Wolterze, obudź się! Humanisci u władzy oszaleli. Dzisiaj Bruna Sulaka zabija się żelaznymi prętami, tymi samymi, z których zrobione są w celach kraty i w które uzbrojeni są strażnicy, gdy idą na nocny obchód. Potem słysząc gorące pochwały dla klawiszy. Byłoby lepiej, gdyby strażnik rugbyista wstydził się, zamiast opowiadać w kantynie więziennej we Fleury o swoich wyczynach i o tym, jak użył żelaznego pręta na Brunie. SULAK ZOSTAŁ ZAMORDOWANY.

Jean-Claude E., o ile pamięć nie zawodzi Alaina H., był instruktorem sportowym. Nie wiem, czy akurat grał w rugby. Urodził się w każdym razie niedaleko Bajonny i Dax. Ale o niczym to oczywiście nie świadczy.

Pisząc to wszystko, zdaję sobie sprawę, że są to tylko pytania, hipotezy, podejrzenia, polemika. Poważna, istotna, ale tylko polemika: Bruna już nie ma, są więc jedynie ulotne przypuszczenia, które go dotyczą. Czy spadł, czy go zabili, tak czy inaczej nie ma go już tutaj. Nie żyje.

Kiedy Pauline spotyka sędziego Yves'a Corneloupa po raz pierwszy po śmierci Bruna, ten mówi do niej: „Wraz z nim odeszło z tego świata trochę

prostoduszności”.

Po pokonaniu dwudziestu trzech kilometrów dzielących Instytut Medycyny Sądowej od miejsca wiecznego spoczynku Bruna Sulaka odbył się 5 kwietnia 1985 roku pogrzeb zgodnie z obowiązującymi przepisami, na cmentarzu w Thiais, na południe od Paryża, w części zarezerwowanej dla administracji penitencjarnej. Nad grobem nie została wygłoszona żadna mowa pożegnalna, oprócz kilku zdań wypowiedzianych przez najbliższe mu osoby. Stawiła się niemal cała rodzina: Patricia, Yves, oczywiście Marcelle i Stanislas, Stella, Pauline, Talia... Denis nie znalazł w sobie dość siły. Stella drży, boi się, trzęsie się, jakby przeszywały ją wewnętrzne wstrząsy sejsmiczne, z trudem trzyma się na nogach, czuje, że pozostała już całkiem sama. Pauline próbuje się nie załamywać, Talia oplakuje ukochanego, którego zaraz pochowają. Marcelle i Stanislas podtrzymują się nawzajem, stojąc pośród licznie zgromadzonych dziennikarzy. Jest też dużo policjantów, którzy obstawili teren i rozglądają się wokoło. W jednej z gazet pojawił się następujący tytuł: *Sulak uciekł na zawsze*, ale to tylko poezja, ponieważ oni wszyscy są tutaj na miejscu, aż do końca, nie odpuścili mu. Zresztą trumnę zamyka jakiś komisarz policji. To należy do jego obowiązków. Jednak gliniarze i tak nie będą nigdy w stanie wszystkiego kontrolować. Nieco na uboczu, obok drzewa, w deszczu, widać ciemną sylwetkę, jakiś wysoki, lekko przygarbiony, dziwnie wyglądający, ubrany na czarno mężczyzna z kapturem na głowie. To Albert Spaggiari. Ten szaleniec chciał koniecznie tu przyjść, pomimo dużej liczby ściągniętych z tej okazji policjantów, aby oddać hołd „koledze”, którego przecież nigdy osobiście nie poznał. W kieszeni ma fałszywe papiery na nazwisko Romaina Clémenta (nazwisko panieńskie matki). Po pogrzebie podejdzie złożyć kondolencje rodzinie, zaprosi Pauline i Talię na kolację do siebie kilka dni później, aby opowiedzieć im o ogromnym podziwieniu, jakim darzył Bruna – i opowiedzieć po raz tysięczny o swoim legendarnym włamaniu do banku Société Générale w Nicei.

Trzydzieści lat później, 14 listopada 1998 roku szczątki Bruna zostaną skremowane na cmentarzu Père-Lachaise. (Stało się to w dniu urodzin Pauline. Po prostu dlatego, że nie można było tego zrobić ani dzień wcześniej, ani dzień później – czysty przypadek). Tak jest lepiej – Spaggiari mawiał: „Beton na cmentarzach to wieczne więzienie”. Prochy Bruna są dzisiaj u jego rodziców, w Prowansji, tam gdzie spędził młodość. Jego córka, Amélie, zamierzała rozsypać je w powietrzu podczas skoku na spadochronie, lecz do tej pory tego nie zrobiła. Teraz nie jest już do końca pewna, czy to był dobry pomysł. Bo przecież te prochy i tak spadłyby na ziemię.

Marc Metge i Thierry Sniter zostali skazani odpowiednio na siedem i osiem lat więzienia bez zawieszenia, wyrok, który nie jest ani przesadnie surowy, ani też zbyt dla nich łaskawy: taka jest kara za „zmowę i współudział w ucieczce”, od

pięciu do dziesięciu lat więzienia, tak więc zastosowano wobec nich mniej więcej połowę przewidzianej kary.

Po odbyciu kary były klawisz Marc Metge podążył drogą tego, któremu próbował niegdyś pomóc, i został bandytą. Zatrzymano go razem z jego współnikiem w październiku 1998 roku, po napadzie na sklep jubilerski w Castres. Przyznał się również do czterech innych napadów z bronią w ręku na oddziały banków w departamencie Languedoc-Roussillon i został skazany na piętnaście lat więzienia. Doszły mnie słuchy, że dzisiaj przebywa w zakładzie psychiatrycznym, ale tej informacji nie udało mi się potwierdzić.

Thierry Sniter – sam już nawet nie wiem, czy to zaskakujące, czy nie – podążył identyczną drogą. Wkrótce po opuszczeniu zakładu karnego w lutym 1992 roku był zastępca dyrektora został zatrzymany za nielegalne posiadanie broni, współudział w kradzieży z użyciem broni oraz za napady, kradzieże i paserstwo. Wcześniej, w odstępie kilku miesięcy, napisał dwa listy do Pauline, chciał się z nią spotkać i porozmawiać. Nie odpowiedziała mu, nie miała ochoty się z nim widzieć. Pewnego dnia zadzwonił do Yves'a, który mieszka niedaleko Périgueux. Szwagier Bruna nie za bardzo wiedział, czego Sniter od niego chce, wydawało się, że znajdował się w bardzo złej formie psychicznej, coś mu się stało z głową, prawdopodobnie był nafaszerowany jakimiś prochami, mówił nieskładnie, zwierzył mu się, chociaż Yves go o nic nie pytał, że był gwałcony przez swojego ojca, bredził coś od rzeczy, nie powiedział właściwie nic więcej. Dziesięć lat po śmierci Bruna Pauline uspokoiła się już na tyle, żeby zgodzić się na spotkanie z nim. Skontaktowała się ze swoim adwokatem, od którego usłyszała, że Thierry Sniter popełnił samobójstwo. Pauline nigdy nie dowiedziała się, co chciał jej powiedzieć.

Od wyjścia z więzienia, wkrótce po procesie w Albi, Yves nie miał już nigdy więcej do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Mieszka wciąż niedaleko Périgueux, ma czwórkę dzieci. Dla rozrywki wziął udział w kilku rajdach samochodowych, a dzisiaj zajmuje się hodowlą psów.

Dwadzieścia osiem lat temu Georges Moréas zrezygnował ostatecznie z pracy w policji. Nie żałuje tego, napisał od tamtej pory trzynaście książek, w tym dziesięć powieści, kilka scenariuszy filmowych, jest aktywnym blogerem. Czasami wspomina jeszcze na swoim blogu o Brunie.

Miki Živković, młodszy brat Steve'a, za pośrednictwem swojego adwokata zwrócił się z prośbą o zawieszenie kary z powodów zdrowotnych. Stwardnienie rozsiane, na które cierpi, czyni jego pobyt w więzieniu nieludzkim i powinno skłonić sędziów do zrozumienia, że dla społeczeństwa nie stanowi on już żadnego zagrożenia. Niebawem w sprawie podjęcia decyzji ma się zebrać komisja. Gdybym miał trzydzieści kciuków, zacisnąłbym wszystkie trzydzieści.

Walter, odważny Macedończyk, mieszka na przedmieściach Paryża, zajmuje się tym i owym. Ubiera się elegancko, nosi ciemne okulary i do dzisiaj, kiedy idzie

ulicą, nie wyzbył się nawyku rozglądania się na prawo i lewo. Interesuje się dziewczynami i kosmosem, tym, co dzieje się w niebie.

Jean-Louis S. w pełni korzysta z życia w słońcu i na wolności nad Morzem Śródziemnym. Swój czas dzieli mniej więcej równo na wędkarstwo i grę w bule.

W café de Flore ostatecznie nie pozwoliłem odejść Amélie i jej holenderskiemu koledze, wstałem, gdy przechodzili obok mnie i kierowali się do wyjścia... A co tam, trudno się mówi, jeśli chodzi o niezręczne zachowania, bo przecież wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z historią, którą pragnąłem opowiedzieć. Może wyglądałem śmiesznie, czekając tak długo, ale Amélie raczej nawet to rozbawiło, usiedliśmy i porozmawialiśmy trochę, podczas gdy jej przyjaciel sprawdzał pocztę e-mailową. Niewiele mogła mi powiedzieć. Ale to dzięki niej napisałem tę książkę. To ona otworzyła mi drzwi prowadzące do jej ojca i od niej dostałem namiary na Talię i Pauline.

Amélie przez długi czas trzymała się z dala od Francji, mieszkała trochę tu, trochę tam, w różnych miejscach na świecie. Teraz jednak, kiedy skończyła trzydzieści cztery lata, wiem, że ma zamiar wrócić i zamieszkać gdzieś na francuskiej wsi: zakochała się w jakimś pasterzu. Ma na imię Jean-Baptiste. Amélie zajmuje się fotografią, a więc wykonuje zawód, pod którym często występował jej ojciec, uczy się masażu tantrycznego, a w przyszłości chce się zająć hodowlą pszczół. Będzie nadal jeździć po świecie, przez kilka miesięcy w roku, i uprawiać wspinaczkę górską.

Już od młodości, zanim jeszcze pojawiła się ta piosenka o psie w witrynie w wykonaniu Line Renaud, Marcelle lubi śpiewać. I nadal to robi mimo smutku i żalu, śpiewa i myśli o swoim synu. Nadal piecze tarty cytrynowe. Stanislas jest obok niej, mieszkają w domu w Prowansji, ale on po tylu ciężkich próbach w końcu odpuścił walkę (a raczej „opuścił ręce” – jak mawia Pauline), marzy i żyje pogrążony we wspomnieniach.

Denis mieszka niedaleko od nich, jest fotografem tak jak jego bratanica Amélie, pasjonuje się pokerem.

Stella żyje swoim życiem, tu czy tam, gdzieś w świecie, ma czwórkę dzieci. Jej starszy brat nigdy dla niej nie umarł.

Pauline ponownie wyszła za mąż, ma pięcioro dzieci i siedmioro wnuków. Zamierza wyruszyć w długą podróż dookoła świata ze swoim mężem Tayebem, aby głosić wszędzie „przesłanie pokoju”.

Talia ma syna, mieszka w Paryżu, pracuje, ma bardzo spokojne zajęcie. Jej życie poza prawem wydaje jej się bardzo odległe. Lubię się z nią spotykać. Często się uśmiecha, pije raczej herbatę niż kawę, niekiedy pije szampana, pali od czasu do czasu papierosy, wyrusza czasami na przejażdżki autobusem po Paryżu, patrzy na miasto przez szybę. Kiedy mówi o Brunie, w jej oczach pojawia się blask.

*

Już następnego dnia po pogrzebie dziennikarze i policjanci ekscytowali się „niezwykłym łupem zgromadzonym przez Bruna Sulaka”. Gdzie podziały się te miliony? Gdzie są te miliony? Nigdy niczego nie odnaleziono, wszystko przepuścił albo rozdał, wszystko się ulotniło – a pantera od Cartiera pewnie nadal gdzieś sobie śpi, bezpiecznie ukryta.

Bruno postąpił dokładnie tak, jak zrobił z pieniędzmi i biżuterią, pirat się ulotnił, razem ze Steve'em i Dragiem. Albo może raczej, jak mówił pod koniec proroczego snu, o którym opowiedział w liście do Johanne: *Rozmywam się. W powietrzu i w życiu. W Paryżu, kiedy dzisiaj widzę jakiś sklep jubilerski, komisariat, hotel, ładną dziewczynę, która przechodzi obok mnie, kiedy widzę motocykl, kiedy widzę przed sobą place de l'Opéra, czuję jego obecność: to jak smuga światła, jak odrobina złota, wyczuwam jego rozmytą obecność – w końcu ta książka trochę mi jednak dała po głowie. Nie musimy żyć w ten sposób tutaj, nie musimy też tak żyć gdzie indziej. Niemalże go widzę. Mój duch unosi się nade mną.* Jego obraz, ten, który unosi się nad ulicami, nie jest wcale obrazem spadającego miękko pajaca, którego połamane ciało zamknięto w trumnie, lecz jest to sylwetka młodego mężczyzny, który w stroju do tenisa wchodzi do sklepu Cartiera na la Croisette, tego, który otwiera szampana pośród żandarmów na lądowisku w Issy-les-Moulineaux, złodzieja, który wsuwa pierścionek z brylantami do ręki pięknej klientki, i chłopaka, który zabiera Talię z pobocza autostrady, zawsze takim właśnie go widzę.

A ja, no cóż, siedzę przed monitorem, kończę opowiadać tę historię, czuję się lekki, ale też mimo wszystko trochę stary – mam czterdzieści dziewięć lat i boli mnie lewe kolano: będzie padać, może już wieczorem albo dopiero jutro. Siedzę tutaj, pośród rozłożonych starych, pożółkłych gazet, pośród wyschniętych kartek papieru o charakterystycznym i wyjątkowym zapachu, zapachu czasu, który przeminął.

Podziękowania

Ta książka z pewnością nie byłaby taka sama, gdyby nie cenna i życzliwa pomoc wielu osób, lecz prawdopodobnie w ogóle by nie powstała bez udziału Pauline Belmihoub, z domu Sulak, i bez jej książki, którą poświęciła swojemu bratu: *Bruno Sulak, l'ami public n° 1* (Bruno Sulak, przyjaciel publiczny numer 1), opublikowanej w wydawnictwie Mélanges. Czytając tę właśnie książkę, dowiedziałem się, kim był Bruno, i z niej też zaczerpnałem wiele informacji, które były niezbędne dla mojej opowieści.

Pragnę gorąco i serdecznie podziękować Amélie za to, że pozwoliła mi wniknąć w historię jej ojca; Pauline dziękuję raz jeszcze za cierpliwość i pełne zaufanie pomimo kilku obiekcji na samym początku (często wprowadzano ją w błąd i często też nadużywano jej zaufania, mam nadzieję, że mnie to nie dotyczy), za udostępnienie mi i możliwość wykorzystania wszystkich dokumentów sądowych; Yves'owi dziękuję za udzielenie mi odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania oraz za to, że nie liczył niekończących się rozmów przez telefon; Jeanowi-Louisowi S. za opowieści o wspaniałych ucieczkach i za czas, jaki poświęcił mi między wyprawą na ryby a partią gry w bule; Rogerowi Knobelspiessowi, który nigdy się nie poddał i zachował Bruna w swoim sercu; Aïssy Lachebowi za rozległą wiedzę, zdobytą niejako mimowolnie, o więzieniach, w których spędził zbyt wiele czasu (o czym opowiada w swojej ostatniej książce *Scènes de la vie carcérale*, wydanej przez Diable Vauvert); Alainowi H. za szczerość i przenikliwość; Georges'owi Moréasowi za jego otwartość, życzliwość, za podzielenie się ze mną wspomnieniami oraz za książkę, z której pozwolił wykorzystać pewne wątki, *Un flic de l'intérieur*, wydanej przez Éditions n° 1; Walterowi za jego dobry humor i duszę buntownika (choć nie przestawał ani przez chwilę spoglądać na nogi mojej żony); dziękuję też Mikiemu Živkovićowi, w którym znalazłem przyjaciela, jakiego nigdy wcześniej nie miałem, i któremu dzisiaj życzę miłego i jak najbardziej spokojnego życia na wolności.

I, oczywiście, z głębi serca dziękuję Talii, la Grande, pięknej Thally, która o wszystkim mi opowiedziała tak, jakbyśmy znali się od zawsze, i której nie pozwolę już nigdy się ode mnie oddalić.

¹ 13. DBLE – 13ème demi-brigade de Légion étrangère (fr.) – 13. Półbrygada Legii Cudzoziemskiej.

² Franc. *pâtissier* – cukiernik; *tapissier* – tapeciarsz.

³ 21. RIMA – 21e régiment d’infanterie de marine (fr.) – 21. Pułk Piechoty Morskiej.

⁴ CRS – Compagnies républicaines de sécurité (fr.) – Republikańskie Kompanie Bezpieczeństwa – francuskie oddziały prewencji Police nationale przeznaczone do ochrony porządku publicznego, tłumienia zamieszek i manifestacji.

⁵ GIGN – Groupe d’intervention de la Gendarmerie nationale (fr.) – Grupa Interwencyjna Żandarmerii Narodowej – oddział antyterrorystyczny żandarmerii narodowej.

⁶ REP – Régiment étranger de parachutistes (fr.).

⁷ GOLE – Groupement opérationnel de la Légion étrangère (fr.) – Oddział Operacyjny Legii Cudzoziemskiej.

⁸ OAS – Organisation de l’Armée Secrète (fr.) – Organizacja Tajnej Armii, francuska organizacja opozycji wojskowo-cywilnej działająca nielegalnie w latach 1961–1963 we Francji i Algierii, założona i kierowana przez gen. R. Salana. Skupiała przeciwników niepodległości Algierii opowiadających się za jej dalszą przynależnością do Francji, przez akty terroru starała się uniemożliwić zakończenie wojny algierskiej.

⁹ BRI – Brigade de recherche et d’intervention (fr.) – Brygada Poszukiwawczo-Interwencyjna.

¹⁰ OCRB – Office central de répression du banditisme (fr.) – Centralne Biuro do Walki z Bandytyzmem.

¹¹ SRPJ – Service régional de police judiciaire (fr.) – Służba Regionalna Policji Sądowej.

¹² Trawestacja poematu Paula Éluarda *Wolność*.

¹³ Jacques Mesrine (1936–1979) – francuski przestępca, odpowiedzialny za liczne zabójstwa, napady na banki i sklepy jubilerskie, porwania i handel bronią, okrzyknięty „Wrogiem publicznym nr 1”. Prasa przypięła mu łatkę romantycznego złoczyńcy, upatrując w jego poczynaniach kontestacji francuskiego establishmentu.

¹⁴ PMU – Pari mutuel urbain (fr.) – powstała w 1930 r. prywatna firma zajmująca się komercjalizacją i promocją zakładów na wyścigach konnych na rzecz ich francuskich organizatorów. Od 2010 r. poszerzyła sferę o zakłady sportowe i pokera. PMU jest największym operatorem zakładów wzajemnych w Europie.

¹⁵ SNCF – Société nationale des chemins de fer français (fr.) – Narodowe Towarzystwo Kolei Francuskich – francuski państwowy przewoźnik kolejowy,

firma powstała w 1938 r.

¹⁶ BRB – Brigade de répression du banditisme (fr.) – Brygada do Walki z Bandytyzmem (podległa DRPJ Paris w odróżnieniu od OCRB podległemu DCPJ).

¹⁷ BSP – Brigade des stupéfiants et du proxénétisme (fr.) – Brygada do Walki z Narkotykami i Stręczycielstwem.

¹⁸ Brigade mondaine (fr.) – brygada „obyczajowa”.

¹⁹ SRPJ – 1. Service regional de police judiciaire (fr.) – Służba Regionalna Policji Sądowej (Kryminalnej), jedna ze służb Police nationale lub: 2. Section de recherche de la police judiciaire (fr.) – Sekcja Poszukiwawcza Policji Sądowej (Kryminalnej), jedna ze służb Gendarmerie nationale.

²⁰ RMC – Radio Monte Carlo.

²¹ Pierre Richard – także: francuski aktor komediowy.

²² QHS – Quartier de haute sécurité (fr.) – więzienie o zaostrożonym rygorze, oddział izolacyjny.

²³ *Goutte noire* (fr.) – dosł.: czarna kropla, w przenośni: rysztoł.

²⁴ Temesta – lek psychotropowy z grupy benzodiazepin o działaniu przeciwlękowym i uspakajającym.

²⁵ DPS – détenu particulièrement signalé (fr.).

²⁶ ENAP – École nationale d’administration pénitentiaire (fr.) – Krajowa Szkoła Administracji Penitencjarnej.

²⁷ SAMU – Service d’aide médicale urgente (fr.).

